

„WCIĄGAJĄCA, WIELOWYMIAROWA POWIEŚĆ, W KTÓREJ
GROZA NARODZIN FASZYZMU I STALINIZMU PRZEPLATA SIĘ
Z WIELKĄ MIŁOŚCIĄ I WALKĄ O PRZETRWANIE” – La Razón

Paloma Sánchez-Garnica

OSTATNIE DNI W BERLINIE

PONAD 100.000
SPRZEDANYCH
EGZEMPLARZY!



FINALISTA
PREMIO PLANETA
2021!



FILIA

Paloma Sánchez-Garnica
OSTATNIE DNI
W BERLINIE

Przełożyła
Ewa Ratajczyk

FILIA

Dla Manolo, za wszystko i za tak wiele...

Berlin, 30 stycznia 1933 roku

Jest to nieodwracalne prawo historii, że właśnie naoczni świadkowie wielkich, znamienych dla swojej epoki ruchów i wydarzeń w pierwszym okresie nie poznają się na nich[1].

STEFAN ZWEIG,

Świat wczorajszy. Wspomnienia pewnego Europejczyka

Choć tamtego popołudnia było chłodno, Jurij Santacruz postanowił wyjść. Jego gospodyni, pani Metzger, usłyszała w radiu wiadomość: dla uczczenia powołania Adolfa Hitlera na nowego kanclerza Niemiec zorganizowano marsz z pochodniami. Nie chciał tego opuścić. Za radą pani Metzger ubrał się ciepło i pędem zbiegł po schodach. Ledwie wyszedł z bramy, chłód przeniknął przez solidny, jeszcze rozpięty płaszcz. Skostniały zapiał guziki, włożył skórzane rękawiczki, które podarowała mu na Boże Narodzenie jego siostra Katia, i poprawił na szyi szalik wydziergany przez starą Swietę. Z ołowianego nieba padał śnieg z deszczem i osiadał mu na policzkach. Nasunął na czoło kapelusz i szybkim krokiem ruszył Friedrichstrasse. Z wielu okien i fasad zwisały czerwone flagi z symbolami czarnych swastyk. Gdy dotarł na bulwar Unter den Linden, zwolnił kroku, oszołomiony widowiskiem.

Na nocnym horyzoncie za Bramą Brandenburską lśniły setki pochodni, poruszających się w rytmie marszu. W miarę jak Jurij zbliżał się do Pariser Platz, gęstniał chaotyczny tłum ludzi, którzy chcieli być świadkami tego orszaku. Iskry pochodni trzaskały w mroźnym powietrzu. Podniosłe wrażenie potęgował chrzęst butów, miażdżących

zsynchronizowanym krokiem śnieg na chodniku, w rytm łaskotu werbli i donośnych głosów intonujących *Horst Wessel Lied*, patriotyczną pieśń partii nacjonalistycznej, która miała stać się oficjalnym hymnem Niemiec w rozpoczynającej się w tej właśnie chwili epoce. Defilada setek mężczyzn w brunatnych mundurach nazistowskiej milicji przypominała wijącego się węża, sunącego powoli i niestrudzenie pod łukami Bramy Brandenburskiej, pokonującego Pariser Platz i skręcającego w Wilhelmstrasse, aby przejść przed budynkiem Kancelarii Rzeszy, gdzie z balkonu salutował wyniosły Hitler. To były SA, słynne oddziały szturmowe, których w ostatnim czasie przybywało w zastraszającym tempie i które z coraz większym impetem wkraczały w prywatne życie obywateli z zadaniem zastraszania i tłamszenia wszelkiej opozycji politycznej w celu powstrzymania krytyki wobec partii pod wodzą Hitlera.

Ośłupiały Jurij obserwował tę ludzką masę przesuwaną się przed jego oczami w sześciuosobowych rzędach, z pochodniami rzucającymi plamy światła na szary bruk, a na fasady budynków – cienie, które wzbudzały lekki niepokój. Defilada torowała sobie drogę wśród mnóstwa niemieckich kobiet: matek, sióstr i żon mężczyzn i chłopaków maszerujących w mundurach środkiem ulicy, którym żywiołowo wiwatowały, wyciągając ręce i machając tym, co przy sobie miały – chusteczkami, szalikami, chorągiewkami – zarażone swoistą histerią, rozlewającą się niczym niewidzialną trucizną. Inni, podobnie jak on, byli zwykłymi widzami i uczestniczyli w tym przedstawieniu z ostrożnością, oporami i zaskoczeniem.

Zdawało się, że podziwiający przemarsz w ferworze nie czują przeraźliwego chłodu; Jurij zaś musiał bez przerwy się ruszać, żeby nie zamarznąć. Czuł się oszołomiony doniosłymi obchodami, które uważano za triumf Niemiec. Trudno było nie ulec zbiorowej euforii, wrażeniu, że dzieje się coś ważnego. Po ponad godzinie chodzenia z miejsca na miejsce postanowił wrócić do domu. Oddalając się od tłumu, przemówień i wrzawy, szedł powoli ulicami, coraz bardziej pustymi. Kiedy już znalazł

się na swojej, za plecami usłyszał głosy, obelgi i wołanie o pomoc. Zatrzymał się i odwrócił, żeby zobaczyć, co się dzieje i kto prosi o ratunek. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej pół tuzina mężczyzn w brunatnych mundurach okładało i bezlitośnie kopało leżącego na ziemi człowieka, a ten, skulony, próbował się osłaniać. Po przyjeździe do Berlina Jurijowi poradzono, żeby dla własnego bezpieczeństwa unikał takich zdarzeń. Stał nieruchomo przez kilka sekund, niezdecydowany, przerażony, że jest świadkiem brutalnej napaści na bezbronnego. Znajdował się kilka metrów od swojej bramy, więc ruszył naprzód, stosując się do rady, żeby trzymać się od takich sytuacji z daleka, nie pakować w kłopoty, ale krzyki bezlitośnie wdzierały się do jego sumienia. Zaciśnął pięści w rękawiczkach, zagryzł zęby i zrobił krok, a później kolejny i jeszcze jeden, aż w końcu mimowolnie pobiegł w stronę grupy.

– Ej, ej, przestańcie natychmiast! – krzyknął bezbłędnie po niemiecku, kiedy znalazł się dostatecznie blisko. – Co wy wyprawiacie? Zostawcie go w spokoju!

Zatrzymał się w odległości kilku metrów, jakby tych bandytów mogła odstraszyć sama jego obecność. Tylko jeden z oprawców oderwał się od swojego zajęcia; cała reszta nawet na chwilę nie przestała kopać skulonego ciała ofiary.

Ten, który przerwał, odwrócił się do niego prowokująco, z rękami na biodrach, w rozkroku, z podniesioną głową, wypiętą pierś, arogancko.

– A co cię to, kurwa, obchodzi? Idź stąd, bo też oberwiesz.

Wszyscy mieli na sobie ciepłe brunatne koszule, pasujące krawaty, czerwone naramienniki ze swastyką na lewej ręce, skórzane pasy na piersi, pumpy, czapki i sztywne czarne botki zakrywające łydkę – wyglądali tak samo jak mężczyźni, którzy deflowali kilka minut temu; celem tych było bezlitosne polowanie na osiągalną ofiarę.

– Jest was wielu na jednego. – Jurij próbował zachować spokojny ton, żeby nie okazać dławiącego go strachu. – To niezbyt mężne z waszej strony, nie sądzisz?

– Idź stąd, powiedziałem – powtórzył facet w brunatnej koszuli. – To nie twoja sprawa.

Bez zastanowienia, dając się ponieść moralnemu instynktowi sumienia, szybkim i niespodziewanym ruchem Jurij zwinnie pokonał ludzki mur i podszedł do grupy z zamiarem odciążenia napastników od ofiary. Pchnął jednego i drugiego, aż zdołał dotrzeć do chłopaka, który nie przestawał drżeć z przerażenia. Usiłował osłonić go przed ciosami, aż sam został powalony; i teraz to on zaczął zbierać kopniaki i razy zadawane gumowymi pałkami, które spadały na jego plecy niczym deszcz kamieni. Zakrył głowę rękami, skulił się, podciągając kolana pod brodę, i czekał, kiedy to się skończy. Nagle znad tego piekła dobiegł kobiecy głos:

– Dość tego! Zostawcie go! Przestańcie! Zwariowaliście... Zabijecie ich!

– Tylko tej tu brakowało! – ryknął jeden. – Idź stąd. To nie jest miejsce dla kobiet.

– Kazałam ci przestać. Dość! – krzyknęła. Nic nie wskórała, więc zmieniła ton i zaczęła ich przekonywać: – Dziś jest święto, Franz. To nie przystoi. – Złapała za rękę chłopaka, który wcześniej mierzył się z Jurijem, i zaczęła się domagać, żeby przestał go bić. – Posłuchaj mnie, zabierz swoich chłopaków, idźcie świętować i dajcie spokój tym biedakom.

Facet w brunatnej koszuli zmarszczył czoło, rozluźnił zaciśniętą szczękę, odwrócił się do grupy i odezwał władcym tonem:

– Wystarczy. Na dziś koniec z tymi śmieciami.

Atak ustał i zapadła cisza, zakłócana jedynie sapaniem napastników zmęczonych zadawaniem ciosów. Jurij podniósł głowę i spojrzał na kobietę, która ich ocaliła; miała szarą wełnianą czapkę naciągniętą na czoło, a szeroki kołnierz płaszcza zakrywał jej twarz do policzków. Wbiła wzrok w Jurija, zaledwie na kilka sekund, bo czyjś gromki głos zniszczył magię tego spojrzenia niemal przezroczyście zielonych oczu.

– Żaden koniec – oznajmił najbardziej korpulentny ze wszystkich, groteskowo stawiając się temu, który wyglądał na przywódcę. Bełkotliwa

mowa i chwiejny chód zdradzały, że nie był trzeźwy. – Mnie nie będzie rozkazywać żadna baba.

– Rozkazuję ci ja, a jestem twoim zwierzchnikiem. Masz iść do domu się przespać i wytrzeźwieć, dość już wypiełeś.

Wspomniany chłopak przypominał niedźwiedzia, nie tylko z powodu barwy munduru, ale także zwalistego ciała, kwadratowej głowy, zanurzonej w tułowi praktycznie pozbawionym szyi.

– Pójdę, jak będę miał ochotę. Na tego się zamierzałem i tym razem mi nie ucieknie. – Po tych słowach mocno kopnął chłopaka w twarz, a ten jęknął zboląły i niczym przerażone zwierzę zaczął się czołgać po asfalcie.

Przywódca grupy podszedł do podpitego towarzysza, wyższego od niego o pół głowy.

– Powiedziałem, że koniec imprezy – oznajmił groźnie, ciągnąc go za rękę.

Kiedy stali naprzeciw siebie, zwierzchnik musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć adwersarzowi w oczy. Niedźwiedź tak wydymał pierś, że materiał koszuli napiął się do granic wytrzymałości. Szarpali się, popychali wśród krzyków i wyzwisk. Pozostali przyglądali się uważnie, ale nikt nie ośmielił się interweniować. Nagle ktoś krzyknął ostrzegawczo:

– Uważaj, Franz, on ma nóż!

Dowódca, uprzedzony o broni, którą niedźwiedź trzymał w prawej dłoni, wykorzystał wywołany nadmiarem alkoholu brak koordynacji ruchów przeciwnika i z łatwością mu ją odebrał. Zaraz potem, w przypiływie wściekłości, zamachnął się i zanurzył scyzoryk w podwójnym podbródku zdrajcy.

– Nie!

Po krzyku bezradnej dziewczyny zaległa wstrząsająca cisza. Przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund dwaj mężczyźni trwali złączeni w śmiertelnym uścisku – niedźwiedź uczepony ciała przywódcy. W końcu go puścił i uniósł dłonie do szyi z grymasem przerażenia, gdy wyczuł więzy śmierci. Zachwiał się, zatoczył i padł na ziemię z głuchym

uderzeniem głowy o krawężnik, które potwornie zadudniło. Zdawało się, że obraz zamarł, czas się zatrzymał – wszyscy stali milczący, niemi; poruszały się jedynie białawe opary oddechów gapiów, dyszących z zimna, wysiłku i pod wpływem konsternacji. Buntownik leżał nieruchomo, z otwartymi oczami i wykrzywionymi wargami. Z jego szyi powoli spływał ciemny cień, barwiąc na czerwono świeży biały śnieg. Przywódca przyglądał się mu z grymasem przerażenia na twarzy, oszołomiony tym, co zrobił. Spojrzał na swoją rękę, w której ciągle ścisnął mały sztylet ociekający świeżą krwią, i wypuścił go, jakby nóż przyprawił go o skurcz. Nie przestawał wpatrywać się w rozpostartą dłoń, zakrwawioną, drżącą.

Pozostali trwali w stuporze, przytłoczeni makabryczną sceną. Pierwszy poruszył się chłopak – ofiara agresji, który znalazł się za plecami napastników. Podniósł się bezszelestnie i nie spuszczać wzroku z grupy, chwycił Jurija za rękę, pomógł mu wstać i gestem wskazał, żeby uciekał. Jurij, zanim to zrobił, spojrzał na dziewczynę. Ich wzrok znów się spotkał. W końcu ruszył do ucieczki.

– Skurwysyny – krzyknął rozwścieczony chłopak, który puścił się biegiem wcześniej. – Dzikie bestie.

Jurij, zbliżając się do bramy, zwolnił kroku i zaczął szukać kluczy w kieszeni. Zdenerwowany zatrzymał się przed wejściem. Chłopak także.

– Mieszkasz tu? – spytał, jakby był zdziwiony.

Jurij kiwnął głową, usiłując jednocześnie włożyć klucz do zamka. Chłopak oddalił się od niego o kilka kroków, nie przestając mu się przyglądać; przyłożył dłoń do czoła, jakby salutował, i powiedział z szerokim uśmiechem na twarzy:

– Dziękuję, kolego, jestem twoim dłużnikiem.

Natychmiast puścił się biegiem z niewiarygodną prędkością. Jurij odwrócił się w stronę grupy, która zaczynała się rozchodzić. Dłoń drżała mu tak, że nie mógł trafić kluczem do zamka. Czuł bolesne pulsowanie w skroniach i piekła go warga, jakby w ustach trzymał płonącą

pochodnię. Poczł smak gęstej krwi. W końcu otworzył drzwi, wszedł do klatki i puścił się biegiem po schodach. Wpadł na swój strych, a serce mało nie eksplodowało mu w piersi. Przywarł plecami do ściany i zdyszany osunął się na podłogę. Brakowało mu powietrza, jakby tlen nie docierał do płuc; czuł, że się dusi. Zdjął rękawiczki, szalika pozbył się tak, jakby wyzwał szję ze sznura, ale nadal czuł nieznośne napięcie.

Wstał i chwiejnym krokiem podszedł do jednej z mansard, otworzył okno i wystawił pół ciała na zewnątrz, żeby zaczerpnąć powietrza. Wdychał je łapczywymi haustami, z niecierpliwością narzucaną przez rozszalałe serce. Kiedy się uspokoił, znów usiadł na podłodze, przy otwartym oknie. Trzął się z zimna. A może ze strachu, który towarzyszył mu nieustannie od dwóch lat.

[1] Stefan Zweig, *Świat wczorajsz. Wspomnienia pewnego Europejczyka*, tłum. Maria Wisłowska, Warszawa 1958, s. 432.

Piotrogród (dawny Sankt Petersburg), 1921 roku

Szczególnie nie wierzę Rosjaninowi, który dzierży władzę. Niedawny niewolnik staje się najbardziej nieobliczalnym despotą, gdy dostaje szansę, by stać się panem bliźniego.

MAKSIM GORKI

I

Miguel Santacruz przybył do pięknego Sankt Petersburga wiosną 1906 roku, aby objąć posadę attaché handlowego w ambasadzie Hiszpanii w carskiej Rosji. Weronikę Olegowną Filatową poznał na jednym ze wspaniałych, pełnych przepychu przyjęć organizowanych przez ambasadora, który nie szczędził na nie wydatków – przywykłym do luksusów i życia na najwyższym poziomie gościom serwowano kawior, najlepsze wina, francuski szampan i rozmaite delicje. Uroda Weroniki poraziła Miguela od pierwszego wejrzenia: była wysoka, smukła, z długą, łabędzią szyją, białą perłową skórą, szarymi, bardzo jasnymi, wielkimi, skośnymi oczami o lśniącym spojrzeniu; była wesoła i pełna życia, a z jej warg emanował pogodny, spokojny, zaraźliwy uśmiech. Miała siedemnaście lat i była jedyną córką zamożnego kupca z Rostowa nad Donem, który przeprowadził się do Sankt Petersburga, aby zapewnić latorośli najlepsze wykształcenie i możliwość obracania się w wyższych sferach.

Ojciec Weroniki, Oleg Borysowicz, sympatyzował z ideami rosyjskiej partii liberalnej, która domagała się większej wolności i konstytucji jako podstawy utworzenia systemu parlamentarnego na wzór zachodnich; ale bardziej niż polityka interesowała go gospodarka. Spędzał dużo czasu z dala od żony i córki, pochłonięty interesami. Matka, Olga Iwanowna, była kobietą inteligentną, wielbicielką muzyki i książek, sercem i duszą oddaną wychowaniu i wykształceniu młodej Weroniki, dla której należało wybrać dobrego męża, stosownie do jej pozycji społecznej. Dlatego trudno jej było zaakceptować względy, jakie jej córce okazywał Miguel Santacruz; obcokrajowiec o dziesięć lat od niej starszy, który, jej zdaniem, przebywał w Rosji tymczasowo i z całą pewnością zamierzał przenieść się do innego miejsca na świecie, niszcząc jedność rodziny, oddalając od niej córkę i przyszłe wnuki. Jednak miłość, jaką tych dwoje wyznało sobie już na początku, pokonała wszelkie uprzedzenia.

Miguel i Weronika po roku wzięli ślub. Dziewięć miesięcy później urodził się Jurij, a po nim, w odstępie zaledwie roku, Nikołaj, którego nazywano Kolią. Wiosną 1914 roku na świat przyszła upragniona córeczka, której dano na imię Jekaterina, a wszyscy nazywali ją Katią.

Weronika, podobnie jak matka, poświęciła życie na wychowywanie dzieci. Jurij i Kolia świetnie się dogadywali, bawili się razem i obaj lubili muzykę, sztukę, czytanie i naukę języków obcych. Poza rosyjskim i hiszpańskim nauczyli się niemal bezbłędnie mówić po francusku i niemiecku. Weronika była obdarzona wdzięcznym głosem, silnym i słodkim jednocześnie. Miała w zwyczaju śpiewać z dziećmi *Kalinkę*, ulubioną piosenkę maluchów; cała trójka śpiewała i tańczyła w wielkim salonie w domu, ciesząc się życiem pełnym szczęścia.

Jedynie Katia nie dała się wciągnąć w rytm matczynych nauk. Nie lubiła muzyki ani czytania; cały dzień spędzała na zabawie pięknym domem dla lalek, który podarował jej dziadek od strony matki. Od urodzenia była oczkiem w głowie ojca, miał do niej słabość i pozwalał na wszystko, o co go poprosiła.

Kiedy Jurij miał osiem lat, Weronika zaszła w kolejną ciążę. Sasza przyszedł na świat w paskudną noc w lutym 1917 roku, kiedy w mieście szalała arktyczna śnieżycyca, w czasie jednej z najbardziej mroźnych zim, jakie pamiętano, w kraju ogarniętym wojną od lata 1914 roku. W tym samym miesiącu wybuchła rewolucja – zapoczątkowana w dużej mierze przez kobiety zmęczone niedostatkiem chleba i jego wysokimi cenami, wywołanymi niegodziwą złączywą młynarzy – która kilka miesięcy później miała doprowadzić do upadku caratu. Poród był długi i skomplikowany, a kiedy Weronika Olegowna po raz pierwszy ujrziała twarz noworodka, ogarnęło ją złe przecucie. Intuicja jej nie myliła, bo od tej chwili spokojne życie, jakie do tej pory znali, zaczęło się walić niczym olbrzymi zamek z kart.

Rok później, w pierwsze urodziny Saszy, sytuacja rodziny Santacruz tak dalece różniła się od ich dawnego życia, że Weronika miała wrażenie, jakby upłynął cały wiek. Chaos i anarchia zaczęły panować wszędzie i nad wszystkimi. Bolszewicka rewolucja, która wybuchła w październiku 1917 roku, rozprzestrzeniała się chaotycznie w społeczeństwie pozbawionym prawa i porządku. Strzały na ulicach i kamienie rzucone w okna mieszkania rodziny Santacruz były pierwszymi ostrzeżeniami, a po nich nastąpiła eskalacja plądrowania, kradzieży, zniszczeń, a przede wszystkim strachu – takiego, który w każdy por skóry, w każde uderzenie serca i w każdy oddech wciskał powietrze przesycone niepokonionym złem.

Santacruzowie mieszkali na pierwszym piętrze okazałej kamienicy z wysokimi, przestronnymi pomieszczeniami, czystymi i pełnymi światła, z wielkim salonem urządzonym ze smakiem wyrafinowanymi meblami ze szlachetnego drewna i drogimi tkaninami, ze zjawiskowym fortepianem Bechsteina na środku; w domu była instalacja elektryczna i bieżąca woda, dzięki czemu mogli sobie pozwolić na w pełni wyposażoną łazienkę, bardzo przestronną, z wanną, dwiema umywalkami i sedesem. Wskutek dekretu znoszącego własność prywatną w budynku ustanowiono politykę komunałek, a prywatne

domy zamieniono w mieszkania komunalne. Wtedy kierownictwo komitetu sąsiedzkiego w każdym z dziesięciu pokoi, z wyjątkiem dwóch, które pozostawiono rodzinie Santacruzów, rozlokowało grupę pochodzących z przedmieść i wiosek ludzi o nędznym wyglądzie. Zachowanie nowo przybyłych rodzin było z początku poprawne, powściągliwe i dość obojętne, ale wkrótce bezczelność, lekceważące rozmowy, brak szacunku, zazdrość i zawiść z powodu tego, co miał jeden, a czego brakowało innemu, zaczęły przejmować panowanie nad każdym kątem domu. Nowi lokatorzy używali przedmiotów nieostrożnie, a kiedy się psuły, nie naprawiano ich. Nikt nie sprzątał ani nie dbał, więc wkrótce wszystko było brudne i zniszczone z powodu niedbalstwa i niewłaściwego użytkowania.

Santacruzowie ograniczyli się do pokoju, który wcześniej służył za małżeńską sypialnię, oraz dawnej garderoby Weroniki, połączonych drzwiami, dzięki czemu nie musieli wychodzić na korytarz i zachowali pewne wrażenie intymności. Oprócz małżonków i dzieci w tej ciasnocie mieszkały z nimi Olga Iwanowna, matka Weroniki, oraz niania, Swieta Rudakowa, babuszka słodka i pulchna, którą chciało się serdecznie przytulić; dawno temu zrezygnowała z posiadania własnych dzieci, aby poświęcić się opiece nad cudzymi, i z małżonkami mieszkała od narodzin Jurija. Walka, kierowca Santacruzów, dopóki nie odebrano im packarda, ulokował się w miejscu dawnej spiżarni. Wraz ze Swietą byli jedynymi członkami służby, którzy pozostali lojalni wobec rodziny, pomagając jej niejednokrotnie w czasie grabieży i rewizji, których doświadczyła.

Santacruzowie stracili niemal cały znajdujący się w domu dobytek: dywany, zasłony, meble, bieliznę stołową, ubrania, również dziecięce, z których część udało się uchronić Swiecie – ukryła je w skrzyni wraz z innymi cennymi przedmiotami i oznajmiła grabieżcom, że należą do niej i że jej, proletariuszce, nie mogą odebrać dobytku.

Okazały salon zamieniono w miejsce spotkań komitetu dzielnicowego, więc bez przerwy ktoś wchodził i wychodził, robił hałas, wszczynał awantury, za dnia i w środku nocy. Fortepian znalazł się wśród rzeczy,

które zabrano jako pierwsze; ból z powodu tej straty położył Weronikę na kilka dni do łóżka; nie była w stanie unieść tak wielkiego smutku. Z łazienki korzystali wszyscy. Walka kilka razy musiał ją naprawiać i pokazywać, że sedes nie jest miejscem do wrzucania rozmaitych śmieci, ale wszelkie wysiłki wkładane w to, żeby korzystano z niego właściwie, wydawały się bezsensowne. Używanie kuchni wkrótce stało się dla Santacruzów niemożliwe. Weronika nie zamierzała gotować w chlewie, w jaki lokatorzy zamienili kuchenkę, blaty kuchenne i zlew.

Życie w luksusie, z wygodami, w dobrobycie, jakie wiedli wcześniej Miguel Santacruz z rodziną, poszło w zapomnienie. Santacruzowie, uznani za wrogów ludu, naznaczeni jako wyniośli burżuje i egoiści, oskarżeni i skazani niczym przestępcy z tego tylko powodu, że należeli do określonej klasy społecznej, musieli nauczyć się funkcjonować dyskretnie, unikać tych, z których eksplodowała gromadzona przez lata złość. Możliwość opuszczenia Rosji i wyjazdu do Hiszpanii stracili, jak większość innych pracowników, kiedy latem 1918 roku, niedługo po egzekucji cara Mikołaja II i królewskiej rodziny Romanowów, ambasada zamknęła placówkę. Weronika (naciskana przez matkę) wcześniej sprzeciwiała się wyjazdowi z kraju, który uważała za swoją ojczyznę. Nie chciała porzucić wszystkiego, co stanowiło sens jej życia, na rzecz niepewnej podróży przez całą Europę, ciągle jeszcze pogrążoną w wojnie, dodatkowo z małym Saszą. Rzeczywistość kolejnych miesięcy niczym kamień nagrobny nieodwracalnie przypieczętowała tamtą decyzję, a Weronika codziennie obwiniała się o to, że przez nią dzieci ugrzęzły w tym piekle, a oni stali się pariasami we własnym domu.

Skazą stawał się zwykły fakt posiadania obecnie, lub wcześniej, jakichkolwiek dóbr czy interesów, choćby drobnych. Kradzież nazywano nacjonalizacją, a co najgorsze – okrucieństwo, napady, donosy, a nawet zabójstwa stały się formą walki klas. Na wolność wypuszczono z więzień pospolitych przestępców, kierując się przekonaniem, że przestępczość wynikała z nadmiernej liczebności klasy ludzi uprzywilejowanych, którzy przez wieki uciskali biednych; więc po ulicach krążyły bezkarne

hordy skazanych za wszelkie przestępstwa: złodziei, zabójców, oszustów, gwałcicieli. Po dawnej świetności miasta nie został nawet ślad, jakby przetoczył się przez nie huragan. Budynki, wcześniej okazałe i eleganckie, przypominały teraz zniszczone otwarte grobowce. Ulice, wcześniej czyste i oświetlone, były brudne, zaniedbane i tak rzadko uczęszczane, że zaczęły porastać krzewami. Nie było sklepów ani teatrów, ani restauracji, ani nawet fabryk. Wszystko zostało zamknięte, porzucone w tym mieście-widmie, przypominającym zapomniany cmentarz, zamieszkały jedynie przez chodzące trupy – wymizerowanych mężczyzn, kobiety, dzieci, samotnych staruszków poszukujących kromki chleba czy kawałka drewna, żeby się ogrzać. Nie było psów ani kotów, ani ptaków, przetrwały tylko szczury i karaluchy; chude mięso padłych z głodu koni służyło do ugotowania zupy czy gulaszu. Wszystko, co nadawało się na opał, znikło: drzewa, płoty, drzwi; jeśli jakiś dom porzucono, w ciągu paru nocy zostawał ogołocony do samych fundamentów. Niedostatek niszczył miasto. Królowała niepewność. Strach przed wyjściem na ulicę, bez względu na porę, odczuwała większość tych, którzy jedynie starali się przetrwać w miejscu pozbawionym wszystkiego. Los spokojnych ludzi zależał od tego, czy nie natrafiają na swojej drodze na typy wałęsające się swobodnie, bez żadnej kontroli, którym za zbrodnie nie groziła żadna kara; powrót do domu świętowano jak wielkie wydarzenie. Doszło do tego, że Santacruzowie na opał musieli przeznaczyć własne meble, także te bardzo cenne, i książki, a widok płonących kart sprawiał Weronice taki ból, jakby patrzyła na żywą istotę w płomieniach. Pan domu, w towarzystwie Walki, wymknął się kilka razy na przedmieścia w poszukiwaniu opału, ryzykując zatrzymaniem, bo zbieranie go czy jakiegokolwiek innego produktu bez pozwolenia stanowiło przestępstwo, za które groziło kilka lat więzienia, a nawet śmierć.

Wszystko wokół się waliło, a Miguel Santacruz był świadkiem i ofiarą dewastacji własnej rodziny. Wiedział, że jeśli nie opuszczą szybko Sankt Petersburga, miasta białych nocy, stanie się ono jego grobem.

II

Był 1 stycznia 1921 roku. Santacruzowie od dwóch lat nie obchodzili nadejścia nowego roku. Właściwie od dawna nie świętowali niczego, bo nie było czego świętować. Codziennie myśleli tylko, żeby przeżyć do następnego dnia.

Weronika wezwała lekarza, bo mały Sasza od kilku dni miał wysoką gorączkę. Pietia Smelów zjawił się natychmiast. Przyjaźnił się z Miguelem Santacruzem od czasu jego przyjazdu do Sankt Petersburga i był lekarzem rodziny: odbierał porody Weroniki i leczył wszystkie dolegliwości, choroby i komplikacje Santacruzów, a także ich służby.

Smelów zbadał dziecko pod czujnym okiem matki, która stała w nogach łóżka i odpowiadała na zadawane przez lekarza pytania.

Kiedy skończył, umył ręce z poważną miną.

– Mały ma tyfus, ale od niego nie umrze. Twoje dziecko zabije głód. Jest bardzo słabe. Pożywienie i chinina, tego mu trzeba.

– A skąd mam wziąć jedzenie i chininę? – wyszeptała matka z bezradną miną.

Pietia przyglądał się jej zmartwiony; była zbyt szczupła, jakby lada moment miała się złamać, podtrzymywana jedynie siłą, jaką jest w stanie wykrzesać z siebie matka, która chce wychować dzieci mimo trudności.

– Co z pozwoleniami na wyjazd z kraju?

– Miguel robi, co może. Zapukał do wszystkich drzwi, poszedł do wszystkich gabinetów we wszystkich rosyjskich i zagranicznych instytucjach, ale wygląda na to, że to zadanie niewykonalne. Każdy krok kończy się natychmiastową odmową. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Wszystko się ciągnie w nieskończoność. To dobijające.

Jej mąż od miesiący starał się zdobyć listy żelazne na wyjazd. W ambasadzie Norwegii, która przejęła sprawy Hiszpanów, jemu,

dyplocie i obywatelowi Hiszpanii, nie robili żadnych trudności, ale wyglądało na to, że zdobycie pozwolenia dla żony i ich czworga dzieci, Rosjan, będzie nie lada wyzwaniem.

– Że też nie chciałam wyjechać z kraju, kiedy mieliśmy możliwość... Nigdy sobie tego nie wybaczę...

– Nie obwiniaj się, nikt się nie spodziewał takiego obrotu spraw.

Oczy Weroniki spochmurniały. Zmartwiona odezwała się do lekarza:

– Pietia, powiedz mi, jak mogę zdobyć chininę dla Saszy. Ty masz kontakty.

– Nie prosź mnie o to, Weroniko Olegowno. Nie mogę... Nie powinienem. To zbyt niebezpieczne.

– Błagam cię, musisz mi pomóc, chodzi o mojego syna... Matka dla swojego dziecka zrobi wszystko.

– Na niewiele się zda takie narażanie. A Miguel nigdy by mi tego nie wybaczył.

– Nie musi o niczym wiedzieć. Proszę, Pietia, powiedz, gdzie mogę znaleźć coś, co może uratować życie mojemu synowi. – Kilka sekund czekała na odpowiedź, na reakcję. – Jeśli mi nie pomożesz, wyjdę na ulicę, gotowa na wszystko, żeby zdobyć informacje, których nie chcesz mi zdradzić... Dobrze wiem, jak to zrobić.

– Nie – odparł przestraszony Pietia. – Niech ci nie przyjdą do głowy żadne głupstwa.

– Więc mi pomóż – poprosiła jeszcze raz bardzo cicho, lecz z uporem.

Przez kilka sekund wpatrywali się w siebie nawzajem, on – oceniająco, ona – błagalnie, aż w końcu odwrócił wzrok, wziął kartkę i pióro i zapisał adres. Podał jej go niechętnie.

– Idź przed ósmą, inaczej ryzykujesz, że będzie zamknięte. Tam znajdziesz świeżą żywność, jarzyny i mleko. Nie wiem, czy mają chininę.

Weronika szybko odczytała notatkę i przycisnęła ją do piersi.

– Dziękuję – wyszeptała przejęta. Ten skrawek papieru był jej iskierką nadziei.

– Nikt nie może się dowiedzieć, że dałem ci ten kontakt, zaklinam cię na to, co najbardziej kochasz, Weroniko. Miałbym poważne problemy.

– Możesz być spokojny – odpowiedziała z wdzięcznością.

Spojrzał na nią ze skruszoną miną, zde gustowany, że jej uległ.

– Jak Miguel się dowie, urwie mi głowę – mruknął. – Nie zabieraj pieniędzy, nie są już nic warte. Zostało wam coś wartościowego? Złoto, klejnoty, ubrania, buty, cokolwiek...

Fatalne konsekwencje wojennego komunizmu, zaprowadzonego przez bolszewicki rząd w zimie 1918 roku, spotęgowane jedną z najstraszliwszych suszy, wywołały w całym kraju wielki głód, który zabijał miliony osób.

Weronika kiwnęła głową.

Lekarz pozbierał swoje rzeczy, włożył płaszcz. Rozejrzał się po pokoju z lekkim obrzydzeniem.

– Spróbuj trochę tu przewietrzyć. Nie da się oddychać.

– Wiem – odpowiedziała zawstydzona. – Ale ciepło jest dobrem zbyt cennym, żeby wypuszczać je przez okno.

Lekarz ze zboląłą miną przyznał jej rację. Weronika odprowadziła go przez korytarz do drzwi mieszkania, które kiedyś było ich domem.

– Uważaj na siebie, Weroniko, to bardzo niebezpieczne, a jak cię odkryją... To może być koniec dla ciebie i twojego dziecka.

Nie przestając patrzeć mu w oczy, ścisnęła papier w dłoniach, jakby trzymała w nich śmiertcionośną broń.

– Pietia, muszę to zrobić. Nie mogę pozwolić, żeby Sasza umarł...

Szybkim krokiem wróciła do pokoju i poczuła gorące, gęste opary. Lampy naftowe, które Walka zrobił z butelek i słoików napełnionych łożem, żeby mieli światło, kiedy brakowało prądu, przesycaly powietrze cuchnącym dymem, który podrażniał gardła i oczy oraz oczerniał sufity, kiedyś białe jak śnieg.

Poczuła dławiący niepokój. Musiała coś zrobić, jeśli zostaną tutaj i będą wdychać to zatrute powietrze, wszyscy poumierają.

Podeszła do jedyne go ocalałego stolika z dzbankiem z wodą, szklanką i małą miednicą, w której babcia od czasu do czasu moczyła chusteczkę, którą następnie kładła na spoconym czole dziecka, próbując okiełznać gorączkę. Ostrożnie otworzyła szufladę, żeby nie przestraszyć małego, poszperała w niej głęboko i wyciągnęła złote kolczyki. Matka przyglądała się jej z niepokojem.

– Co chcesz z nimi zrobić? – spytała przestraszona. – To twoje kolczyki ślubne.

– To zwykłe kolczyki, mamó, warte są już tylko tyle, ile mogę za nie zdobyć.

– Oprócz nich nic nam już nie zostało. Twój mąż chce za nie kupić bilety na pociąg, kiedy zdobędzie listy żelazne.

– Musimy żyć tu i teraz; może nie pozwolą nam wyjechać z kraju przez długie miesiące. Albo i nigdy... – Spuściła wzrok, żeby się nie rozpłakać. Musiała zachować siłę. Spojrzała na matkę z przekonaniem. – Na co mi bilety na pociąg, jeśli Sasza umrze? Te kolczyki są mi potrzebne teraz – oznajmiła kategorycznie.

Kolczyki i notatkę od lekarza schowała do stanika. Włożyła buty i płaszcz. Kiedy sięgała po szal, napotkała smutne i ostre spojrzenie Jurija. Był chudy i bardzo blady, potargane włosy zachodziły mu na czoło. W jego wyglądzie łączyły się cechy dziecka z cechami nastolatka, które już się pojawiały. Karnację miał śniadą jak ojciec, ale po niej odziedziczył te same szare oczy i ten sam sposób patrzenia na świat, wrażliwość i talent do muzyki – tyle brutalnie zaprzepaszczonych szans, choć dopiero jego talenty zaczęły rozkwitać.

– Mój mały Jura. – Tylko matka zwracała się do niego w ten sposób, i tylko w wyjątkowych sytuacjach, takich jak ta; Miguel Santacruz nie znosił tego powszechnego rosyjskiego zwyczaju określania wszystkiego i wszystkich zdrobnieniami. – Muszę wyjść. Zaopiekujesz się rodzeństwem i babcią?

– A jak nie wrócisz? – spytał zaniepokojony chłopiec.

Podeszła do niego, pochyliła się lekko, żeby spojrzeć w jego szare oczy, i przemówiła z największą pewnością, na jaką było ją stać:

– Wróć, słyszysz? Obiecuję, że wróćę.

Pocałowała go w czoło i w tej akurat chwili w oddali rozległ się strzał. Instynktownie wszyscy troje skierowali spojrzenie w stronę okna. Było to czymś powszednim, zwłaszcza po zmroku, kiedy miasto zamieniało się w miejsce agresji i pełne niebezpieczeństw dla tych, którzy ryzykowali chodzeniem po jego ulicach.

– Nie rób tego – błagała Olga Iwanowna. – Na miłość boską, córko, nie wychodź.

Weronika podeszła do niej, owijając się grubym szalem.

– Zaopiekuj się Saszą, mamó. Zdobęde chinię i coś do jedzenia, żeby nasz maluch nie umarł z głodu.

– Boję się o ciebie.

Zdławiony głos matki rozczulił Weronikę.

– Nic mi się nie stanie – zapewniła, posyłając jej uśmiech.

Wzięła rękawiczki i włożyła czapkę z lisiego futra, naciągnęła nauszniki. Matka po raz ostatni poprosiła ją, żeby nie wychodziła.

– Zaczekaj przynajmniej do powrotu męża.

– Nie mogę czekać, nie ma czasu.

Wyszła i zamknęła drzwi. Olga Iwanowna przez chwilę siedziała jak sparalizowana, powstrzymując łzy bezsilności. Wróciła do łóżka, w którym leżał ciężko chory Sasza. Był tak chudy i blady, że właściwie ginął pod kołdrą.

W tej chwili z przyległego pokoju wyszedł Kolia, a za nim wyłoniła się Katia, która pobiegła w ramiona babci, szukając pociechy na jej miękkich kolanach.

– Gdzie mamoczka?

Jurij się nie odezwał, tylko przytulił brata. Spojrzał na babcię, próbując na jej twarzy znaleźć wyjaśnienie tego całego nieszczęścia.

III

Weronika szybko zeszła po schodach, zakrywając usta, żeby nie wdychać unoszącego się w powietrzu odoru śmieci i moczu. Kiedy doszła do bramy, zadrżała na widok dwóch sąsiadów, którzy od miesiący zajmowali pokoje w mieszkaniu na drugim piętrze. Wyższy z nich przejął rolę komisarza komitetu sąsiedzkiego; drugi był jego pomocnikiem, zawsze przy nim, wierny giermek od brudnej roboty. Rozdawali mieszkańcom kartki niezbędne do zdobycia racji chleba, mleka czy do przejazdu tramwajem. Trzeba im się było gęsto tłumaczyć, po co się wychodzi z budynku i po co wchodzi, kto wchodzi na górę i kto schodzi, oni stanowili prawo i sprawiedliwość, decydowali, kto powinien pilnować klatki przed potencjalnymi nocnymi napadami, kto ma odgarniać z wejścia śnieg, zbierać i przechowywać drewno na opał, które później trafiało wyłącznie do ich rodzin lub do tych, których oni wyznaczyli. Sąsiedzi byli zdani na ich rozkazy, zazwyczaj bezprawne i niesprawiedliwe, od których nie było odwołania; od tych ludzi zależał los wszystkich mieszkańców.

Weronika próbowała ich wyminąć, ale komisarz zaszedł jej drogę.

– A dokąd to się caryca wybiera o tej porze?

– Proszę mnie przepuścić. Muszę zdobyć trochę mleka dla syna, lekarz mi powiedział, że umrze, jeśli czegoś nie zje.

– Jaka szkoda... – odparł ironicznie, zerkając na koleżkę.

Weronika cierpiała, widząc taki brak człowieczeństwa, nie przestawała jej zadziwiać ta chłodna i okrutna postawa, choć od dawna była na porządku dziennym.

– A gdzie kartki, obywatelko Olegowno?

Weronika zbladła. Pokręciła głową.

– Proszę... Błagam, mój syn umiera.

– Kartki, bo inaczej nie wyjdziecie – powtórzył komisarz, wyciągając rękę.

Po rewolucji powszechne stało się zwracanie do ludzi w ten sposób; była to kolejna metoda poniżenia tych, którzy kiedyś mieli wszystko. Nie szanowało się ani wieku, ani statusu; władza znalazła się w rękach ludzi takich jak ci kretyni, których rozpoznawało się po niebieskiej czapce z wyszytą na niej czerwoną gwiazdą.

– Nie mam kartek. Ale mogłabym je zdobyć jutro. Pójdę do komitetu lekarskiego, porozmawiam z towarzyszem przewodniczącym...

Komisarz spojrział z pogardą na swojego kolegę i wypiął pierś.

– To mi na nic, obywatelko Olegowno; skoro nie macie kartek, nie wyjdziecie. Takie są zasady. Tu nie ma przywilejów, dla nikogo, a już na pewno nie dla was, którzy korzystaliście z nich przez wieki.

Weronika podniosła wzrok, błagalny i zrozpaczony.

Wiedziała, że nie istnieją żadne przepisy, które zabraniałyby jej wyjścia na ulicę, ale protesty na nic by się zdały. Szukała sposobu, żeby się z nimi dogadać.

– Może da się to jakoś załatwić, towarzyszu Warłamie? – zasugerowała łagodnym tonem, chcąc zaskarbić sobie przychylność tego prostaka.

– Co mi proponujecie?

Po kilku chwilach niezdecydowania z pytającą miną podniosła dłoń do szala, który okalał jej szyję. Mężczyzna go dotknął, zacisnął wargi i się skrzywił na znak niezgody, wcześniej wyciągając dłoń do klapy płaszcza.

– Myślę, że to wystarczy, towarzyszko, pomyślcie, że dla was łamię zasady. Chcę płaszcz.

– Ale... zamarznię, jeśli wyjdę bez niego. – Wiedziała, że temperatura spadła poniżej zera, a chodniki są białe od śniegu.

Drugi mężczyzna uśmiechnął się złośliwie. Mordercze spojrzenie zdruzgotało Weronikę.

– Jestem przekonany, że dacie sobie radę.

Weronika wiedziała, że nie ma wyjścia, więc zdjęła płaszcz. Pomyślała, żeby wrócić do mieszkania po płaszcz matki, ale od razu porzuciła tę myśl, bo przestraszyłaby ją jeszcze bardziej. Poza tym nie była pewna, czy jeżeli zejdzie drugi raz, nie zażądają od niej kolejnej opłaty. Wręczyła

swój jedyny płaszcz komisarzowi. Wziął go z satysfakcją. Była to porządna sztuka, wełniana, podszyta barankiem, ze skórzanym kołnierzem. Instynktownie położyła dłoń na piersi w miejscu, gdzie ukryła kolczyki. Owinęła się szczelniej szalem i spróbowała się przesunąć, ale komisarz nadal zastępował jej drogę na ulicę.

– Mogę odejść?

Komisarz przesunął się z grymasem na twarzy.

– Proszę, obywatelko Olegowno, możecie odejść.

Wyszła, a mężczyźni obserwowali, jak się oddala, ale jak tylko skręciła za róg, komisarz polecił drugiemu:

– Nie traćcie z oczu tej głupiej burżujki, towarzyszu.

Sługus wyszedł z klatki i przebiegł przez ulicę. Filcowe botki z chrzęstem rozgniatały śnieg.

IV

Minęły ponad cztery godziny, odkąd Weronika wyszła z domu, kiedy w pokoju Saszy pojawił się Miguel Santacruz z miną tłumionej euforii.

– Jak się czuje? – spytał teściową, która siedziała przy łóżku na drewnianej ławce i śledziła oddech wnuka. – Był doktor Smełow? Co powiedział?

Zadał pytania jedno po drugim, spoglądając na dziecko i delikatnie dotykając jego czoła.

– Ciągle ma gorączkę – odpowiedziała. Chciała nad sobą panować, ale nie była w stanie. Wargi jej zadrżały, głos się załamał. – Umiera nam, Miguel, nasz mały Sasza umiera... Mój mały Sasza, co za tragedia... – płakała, kołysząc się i trzymając za brzuch, ogarnięta przerażeniem na widok coraz słabszego wnuka.

Miguel podszedł do niej i ukucnął, żeby ją pocieszyć; poszukał jej wzroku.

– Nie, Olgo Iwanowno, niech mama tak nie mówi... i niech mama nie płacze. – Oczy mu błyszczały, a wargi rozchyłały się w uśmiechu. Uniósł dłoń do kieszeni i wyciągnął złożone kartki, pokazał je jak jakiś skarb. – Mam listy żelazne, zdobyłem je. Teraz musimy tylko załatwić bilety na pociąg i w końcu możemy wyjechać.

– Ale... dla wszystkich? – spytała teściowa z niedowierzaniem. – Moja Werozka też będzie mogła wyjechać?

Miguel Santacruz kiwnął głową, trzymając papiery wysoko, w triumfalnym geście.

– Dla wszystkich, Olgo Iwanowno, jedziemy wszyscy. Dzieci, Weronika, Swieta... Mama, oczywiście, też jedzie z nami. Nie pozwolę, żeby mama tu została.

Twarz staruszki spochmurniała, a na jej wargach pojawił się smutny uśmiech.

– Nie opuszczę tego kraju bez mojego męża, wiesz o tym.

– Olgo Iwanowno, nie może mama zostać tu sama, nie przeżyje mama.

– O mnie się nie martw. Jak wszyscy już będziecie bezpieczni, wrócę do domu. Oleg Borysowicz już za długo jest sam.

Ponad tysiąc siedemset kilometrów dzieliło Piotrogród od Rostowa nad Donem, niedaleko Morza Azowskiego, a Miguel zastanawiał się, jak zamierza tam dotrzeć matka jego żony. Nie powiedział tego głośno, za to obiecał:

– Olegiem Borysowiczem zajmę się z Hiszpanii.

– Mój mąż w życiu nie opuści Rosji – przerwała mu. – Trzeba by go zabić, żeby go stąd wyciągnąć.

– Weronika nie pozwoli, żeby został.

– Moja córka zrobi to, co każę – skwitowała.

Miguel zauważył nieobecność żony.

– Gdzie jest?

– Wyszła przed chwilą.

– Dokąd? – spytał zaniepokojony. – Jest bardzo późno i mocno sypie śnieg.

- Po jedzenie. Twój przyjaciel lekarz dał jej adres pewnego miejsca.
 - Święty Boże... Dlaczego mama pozwoliła jej wyjść?
 - Nie ma na Ziemi takiej siły, która zatrzymałaby matkę, gdy życie jej dziecka zależy od tego, co robi – odpowiedziała kategorycznie.
 - Muszę iść jej szukać – oznajmił Miguel, ruszając w stronę drzwi: przeczuwał niebezpieczeństwo. – Dokąd poszła?
 - Nie powiedziała mi, ale zabrała kolczyki.
- Miguel spojrzał na nią z przygnębieniem. Wiedział, co to oznacza.
- Jak dawno wyszła?
 - Kilka godzin temu. – Pobiegnęła za nim. – Lepiej zostań, Miguel, nie wiesz, gdzie jej szukać.
 - Pójdę do Pietii. Powie mi, dokąd ją wysłał. – Pokręcił głową oszołomiony i z namysłem wyszeptał: – Jak mógł... – Odwrócił się do teściowej i wręczył jej listy żelazne. – Niech mama je dobrze schowa i zacznie wszystko szykować. Trzeba postanowić, co zabrać, a co zostawić.
- Olga Iwanowna szukała w oczach zięcia tej pewności, której jej brakowało.
- Miguel, sprowadź do domu moją córkę... Błagam cię, przyprowadź moją Weroczkę do domu.
 - Może być mama pewna, Olgo Iwanowno, że bez niej nie wrócę.

V

Miguel wyszedł z budynku w gęstą śnieżycę, która pokrywała ulice białym dywanem. Grube płatki wirowały wokół jego twarzy niczym małe tancerki, drwiąc z niego. Ciemność spowijała wszystko; oświetlenia właściwie nie było i należało stąpać ostrożnie, żeby się nie przewrócić, i starać się nie wpaść na jakiegoś zbira. Postawił skórzany kołnierz kozucha, czapkę naciągnął na brwi, a dłonie schował w kieszeniach.

Ostatnie rękawiczki, jakie miał, wymienił na kilka pieńków drewna, żeby wrzucić je do żelaznego piecyka w pokoju, w którym leżał jego chory syn. Szedł do domu Pietii Smelowa.

Po przyjeździe do Sankt Petersburga niemal trzy dekady temu lekarz stał się jego najlepszym przyjacielem. Byli w tym samym wieku, ożenili się w tym samym roku, choć Pietia nie mógł spełnić marzenia o tym, by zostać ojcem. To on pomógł mu nauczyć się rosyjskiego, aż osiągnął godną pozazdroszczenia płynność i doskonały akcent. Rosjanin znał zagrożenie, jakie wiązało się ze zbliżaniem się do miejsc, gdzie handlowała kontrabanda, on sam ostrzegał go przed nimi wiele razy, dlatego nie mógł pojąć, że przyjacielowi przyszło do głowy narażać Weronikę. Nie mieściło mu się to w głowie. Był wściekły. Dom, w którym małżeństwo Smelówów mieszkało przed rewolucją, niedaleko kamienicy Santacruzów, został napadnięty, zniszczony, a cały ich dobytek – rozkradzony, jak w większości mieszkań w Piotrogradzie. Jednak utrata mieszkania dla Smelówów oznaczała jedynie zmianę miejsca zamieszkania: po tym wydarzeniu na ponad dwa lata ulokowali się w Grand Hotel Europe przy Newskim Prospekcie – który kilka lat wcześniej przyjął nazwę Alei 25 Października – z wygodami godnymi pozazdroszczenia i nieosiągalnymi dla reszty śmiertelników. Zaledwie kilka miesięcy temu, dzięki posadzie rządowego lekarza Partii Komunistycznej, komitet mieszkaniowy przydzielił jemu i jego żonie dom, przestronny i w pełni umeblowany, ze służbą i ochroną przy wejściu.

Miguel musiał się przedstawić strażnikowi. Kiedy pokonał pierwszą przeszkodę, wszedł po schodach i energicznie zapukał do drzwi. Otworzyła mu kobieta, służąca, z grymasem na twarzy z powodu zamieszania, jakie wywołał. Nim zdążyli zamienić słowo, pojawił się Pietia.

– Gdzie Weronika? Dokąd ją wysłałeś?

Pietia odprawił kobietę, która oddaliła się, mamrocząc pod nosem.

– Ostrzegałem ją, że to bardzo niebezpieczne.

– Jak mogłeś? – odezwał się Miguel z pretensją w głosie, ledwo nad sobą panując. – Powiedz mi, dokąd poszła.

Pietia opuścił głowę i nią pokręcił.

– Bardzo mi przykro, Miguel. – Patrzył na niego wzrokiem przepełnionym dziwnym niepokojem. – Właśnie miałem do ciebie iść.

– Weroczce coś się stało?

– Zatrzymali ją. – Nieobecny głos Pietii wywołał w nim dreszcz. – Ktoś doniósł i zjawił się patrol czekistów, właśnie się dowiedziałem od mojego asystenta. Była tam, kiedy zaczęła się obława...

Miguel Santacruz patrzył na niego osłupiały i zdruzgotany.

– Dokąd ją zabrali?

– Nie wiem. Chyba do Instytutu Smolnego.

Miguel się odwrócił i zaczął schodzić.

– Zaczekaj! – krzyknął Pietia, chwytając kozuch i uszanke. – Idę z tobą.

VI

Miguel nie chciał poczekać na kierowcę, którego lekarz zamierzał wezwać, i ruszył piechotą. Pietia szedł za nim opustoszałymi ulicami, śliskimi jak szklanka, krusząc butami zamarznięty śnieg. Przemierzali ponure dzielnice z obawą, że w każdej chwili mogą zostać napadnięci, ale nie bali się o swoje bezpieczeństwo, a o to, że mogą nie zdążyć uratować Weroniki. W końcu dotarli do żelaznej bramy prowadzącej do olbrzymiego ogrodu Instytutu Smolnego.

Zanim wybuchła rewolucja, Smolny był pensjonatem dla szlachetnie urodzonych dziewcząt, pod patronatem carycy (również Weronika spędziła w nim semestr przed zamążpójściem), ale w 1917 roku Lenin zamienił go w bolszewicką kwaterę główną, a obecnie mieściła się w nim siedziba miejscowego aparatu Partii Komunistycznej.

W jego piwnicach utworzono cele dla zatrzymanych, których były już tysiące w całym mieście i którzy wypełnili już wszystkie więzienia i areszty w okolicy. Byli to potencjalni dysydenci, oszuści, przede wszystkim „ludzie minionej epoki”: arystokraci, pracująca burżuazja, handlarze, szeroko pojęci właściciele, uznawani za wrogów rewolucji. Wtedy nie wiedzieli jeszcze, że wielu wysyłano do tak zwanych obozów specjalnych na przedmieściach lub oddalonych tysiące kilometrów. Zostawiali rodziny nieświadome ich losu.

Przed wejściem do Smolnego stały samochody miejscowego kierownictwa partii. To był dobry znak, mogli zwrócić się do kogoś władnego podejmowania decyzji. Uzbrojeni strażnicy ogrzewali się wokół paleniska, które utworzyli przed gankiem. Po skontrolowaniu dokumentów pozwolili im wejść.

– Zaczekaj – polecił Pietia Miguelowi, który już ruszał do środka. – Musimy napisać podanie. Takie są zasady.

Miguel czekał z posępną miną, aż przyjaciel wypełni wniosek o spotkanie z komisarzem czeka, tajnej policji utworzonej pod koniec 1917 roku. Za wszelką cenę musieli się dowiedzieć, czy Weronika tu jest. Jakaś dziewczyna wręczyła im dwa podstemplowane dokumenty z numerem piętra i pokoju, do którego mieli się udać.

Pietia spytał o nazwisko komisarza, a odpowiedź go zdumiała.

– Znam go – powiedział. – Ma dopiero dwadzieścia lat...

Dziewczyna wruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że zupełnie nie jest zainteresowana wiekiem komisarza. Odwróciła się i odeszła.

Mężczyźni weszli szerokimi marmurowymi schodami, które, choć brudne i zaniedbane, zachowały wspomnienie dawnego splendoru.

– Pozwól rozmawiać mnie, znam tego faceta – poprosił Pietia. – Mam dobre stosunki z jego ojcem. Tego siusiumajtka nie raz leczyłem z anginy, a jego matce kilka lat temu uratowałem życie. Jego rodzina jest mi winna wiele przysług.

Miguel patrzył na niego, nie mogąc powstrzymać płomiennego wzburzenia. Gdyby nie Pietia, Weronice nie groziłoby teraz

niebezpieczeństwo.

– W porządku... Załatw to, jak chcesz, ale wyciągnij Weronikę z tego całego galimatiasu, Pietia. Musisz to zrobić.

– Wierz mi, Miguel, proszę.

Santacruz nie miał wyjścia, musiał wierzyć mężczyźnie, do którego czuł szczerą sympatię.

Weszli do dużej, wysokiej sali z dwoma oknami pozbawionymi zasłon, zerwanych i zaginionych dawno temu. Podeszli do imponującego drewnianego stołu, za którym siedział chłopak w niebieskiej czapce z czerwoną gwiazdą. Otaczał się aurą autorytetu. Istniała pewna dysproporcja pomiędzy jakością stołu a postacią, która przy nim siedziała. Nieco oddalona, przy innym, o wiele mniejszym biurku, gruba, około pięćdziesięcioletnia kobieta energicznie stukała na maszynie do pisania.

– W czym mogę wam pomóc, towarzysze? – spytał chłopak, nie podnosząc wzroku znad leżących przed nim kartek.

– Anatoli Sergiejewicz Gołownia.

Chłopak podniósł wzrok, lekko wybity ze swojej autorytarnej pozycji.

– Towarzyszu Pietio Smełowie, nie spodziewałem się was tutaj.

– Widzę, że awansowaliście. Jak się miewa wasza matka?

– Dobrze, dobrze. – Widać było, że czuje się niezręcznie, usiłując zachować wyniosłość i autorytet związany z pełnioną funkcją. – Zupełnie wydobrzała ze swoich dolegliwości.

– Cieszę się.

– Co was sprowadza, towarzyszu Smełowie?

– Szukam żony mojego przyjaciela. Nazywa się Weronika Olegowna Santacruz.

Komisarz uniósł brwi, czarne i gęste, i odwrócił się do maszynistki.

– Towarzyszek Galino, sprawdźcie nazwisko.

Kobieta podeszła z teczką, otworzyła ją i przebiegła wzrokiem obszerną listę.

– Weronika Olegowna Santacruz. – Musiała się wysilić, wymawiając nazwisko Miguela. – Jest. Przyjęta zaledwie przed godziną. Oskarżona o kupowanie produktów zmonopolizowanych przez republikę, za co grozi kara więzienia nie mniejsza niż dziesięć lat zgodnie z uchwałą rady komisarzy ludowych.

– Obywatelka Weronika Olegowna Santacruz jest aresztowana – potwierdził czekista.

– Przyszedłem, żeby się za nią wstawić, na jej obronę mogę powiedzieć, że nie jest winna zarzucanych jej czynów.

– Towarzyszu Smełowie, poddajecie w wątpliwość skuteczność funkcjonariuszy czeka, którzy ją zatrzymali?

– Jestem przekonany o profesjonalizmie funkcjonariuszy, ale Weronika Olegowna powinna wyjść na wolność. Ręczę za nią.

– Obywatelka Olegowna będzie sądzona przez sąd ludowy za łamanie zasad rewolucji.

Pietia podszedł do chłopaka, położył dłonie na stole i się pochylił.

– Anatoliju Sergiejewiczu, ze względu na przyjaźń, jaka zawsze łączyła mnie z waszą rodziną, błagam, żebyście wypuścili na wolność Weronikę Olegowną.

Chłopak odmówił, nie spuszczał z niego wzroku, napawając się swoją władzą.

– Bardzo mi przykro, towarzyszu Smełowie, ale prosicie mnie o rzecz niemożliwą. Wy lepiej niż ktokolwiek inny rozumiecie, że nie mogę łamać zasad ani robić wyjątków. To byłoby niesprawiedliwe.

Pietia stał bez ruchu przez kilka sekund, oceniając te słowa. Później zerknął szybko na maszynistkę, która już zdążyła wrócić do biurka i waliła w klawiaturę, a gdy się upewnił, że nie patrzy, szybkim ruchem zdjął grubą złotą obrączkę, która zdobiła serdeczny palec. Po czym ukrywając ją pod dłonią, przesunął po skórzanej powierzchni stołu, aż do lewej dłoni komisarza, który trwał nieruchomo ze wzrokiem wbitym w Pietię.

– Być może udałoby się przyspieszyć formalności, biorąc pod uwagę, że ręczę moim słowem za tę kobietę. Jestem przekonany, towarzyszu Anatoliju Sergiejewiczu, że coś da się zrobić.

Dopiero wtedy chłopak spuścił wzrok, spojrzał przelotnie na obrączkę, wziął ją i schował do kieszeni.

– Towarzyszu Smełowie, zaufam pańskiemu słowu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby obywatelka Weronika Olegowna jak najszybciej wyszła na wolność. Możecie być spokojni.

– Jestem spokojny. Jak sądzicie, kiedy będziemy mogli zabrać do domu żonę mojego przyjaciela?

– Wszystko wymaga formalności, towarzyszu. Powiadomię was o postępach w sprawie.

Pietia się odwrócił, gotowy do wyjścia, ale Miguel się nie ruszył.

– Zostanę tu, dopóki nie uwolnią mojej żony – powiedział tylko.

– Nie może zostać – powiedział komisarz do Pietii, ignorując obecność Miguela.

– A kto mi zabroni? – zaprotestował Hiszpan.

– Ja – odparł chłopak z wyższością, a później znów zwrócił się do Pietii:

– Wyjdźcie stąd, bo inaczej nie rozpocznę procesu wypuszczania na wolność zatrzymanej.

Lekarz wziął Miguela pod rękę, żeby z nim wyjść, ale ten się wyszarpnął.

– Bez żony nie pójdę – powtórzył.

Pietia dyskutował z nim przez chwilę, usiłując przemówić mu do rozsądku, aż w końcu mężczyzna uległ namowom przyjaciela.

– Idź do domu, Miguel. Zostaw sprawy w moich rękach. Znam kogoś, kto przyspieszy całą procedurę.

– To wszystko twoja wina – wytknął lekarzowi z wściekłością.

– Wiem i dlatego zaryzykuję. Wyciągnę stąd Weronikę, ale pozwól, żebym to zrobił po swojemu. Proszę... Zaczekaj w domu. Posłuchaj mnie.

VII

Kiedy oczekiwanie trwa w najbardziej rozpaczliwej niepewności, zdaje się, że czas stoi w miejscu, sekundy wydają się godzinami, te płyną powoli, potęgując zniecierpliwienie. Nieznośność jest czasami tak silna, że bezwiednie zatrzymuje się oddech na każdy odgłos, każdy zwiastun wyczekiwanego przyjścia.

Wszyscy przebywali w sypialni, w której znajdowało się łóżko Saszy. Babcia siedziała na jedynym krześle przy chorym wnuku, Katia przytulona do Swiety, która obejmowała ją niczym kura swoje kurczę, obie skulone z boku pieca. W innym kącie był Kolia, obejmowany przez ukochanego brata Jurija.

Miguel Santacruz spacerował bez ustanku po sypialni, w tę i z powrotem, z dłońmi za plecami, ze spuszczoną głową, zmarszczonym czołem i pełną niepokoju miną.

– Usiądź na chwilę, Miguel, na miłość boską, wykończysz się – przekonywała go zmartwiona teściowa. – W niczym nie pomożesz takim spacerowaniem.

– Nie mogę, Olgo Iwanowno, krew się we mnie gotuje na samą myśl, że mogą zrobić jej coś złego.

– Ze mną jest podobnie, to moja córka. Ale musisz zachować spokój, przede wszystkim ze względu na dzieci. Straszysz je takim zachowaniem.

Miguel zatrzymał się i zorientował, że Jurij i Kolia obserwowali go wyczekująco ze swojego kąta. Na ich twarzach malowało się przerażenie z powodu nieobecności matki. Nie był w stanie nic im powiedzieć i na nowo zaczął spacerować. Zatrzymał się dopiero, gdy usłyszał płacz Kolii, nieutulony płacz, jakby milczenie ojca otworzyło wrota uczucia skrywanego pod prostolinijną ostrożnością.

– Nie płacz – wyładował na nim rozdrażnienie, które nazbierało się w ciągu długich godzin oczekiwania.

Jurij, przejęty bezradnością brata, objął go ramieniem, żeby ukoić jego płacz, a później spojrzął na ojca i przez kilka chwil przyglądali się sobie, badając nawzajem własne obawy. Jurijowi też chciało się płakać, ale się powstrzymał, zagryzł wargi i zdołał przełknąć gorycz i niepokój, jakie ścisnęły go w piersi.

Miguel Santacruz w końcu oparł się plecami o ścianę i osunął na podłogę, pokonany nagłym wyczerpaniem; odchylił głowę i po raz pierwszy od wielu godzin zamknął oczy. Nastał świt. Niebo było ołowiane, a powietrze mącił mroźny wiatr. Od jakiegoś czasu pokój zanurzony był w przytłaczającym spokoju. Babcia drzemała na swoim krześle przy małym Saszy, który również spał niespokojnie. Kolia zasnął wtulony w brata, śpiącego z głową opartą o ścianę. Miguel Santacruz, który też pozwolił sobie zapaść w półsen, wybudził się na dźwięk warkotu silnika na ulicy: nadjeżdżał samochód. Otworzył oczy i przez kilka sekund zachowywał czujność, wszystkie zmysły skupiając na tym odgłosie, aż usłyszał, jak auto zatrzymuje się dokładnie przed ich bramą. Wstał, jakby miał w nogach sprężyny, i rzucił się do okna, a kiedy spojrzął przez nie, zobaczył, że z ciemnego, zaskakująco czystego packarda wysiada Pietia. Pobiegnął na korytarz, wyszedł na klatkę i co sił w nogach pokonał oba fragmenty schodów. W bramie stanął twarzą w twarz z przyjacielem, który w tej właśnie chwili wchodził do budynku; prowadził Weronikę, podtrzymując ją w talii – było widać, że kobieta ledwie idzie. Miguel poczuł, że serce mu eksploduje pod wpływem wybuchowej mieszanki radości z powodu powrotu żony i strachu na widok jej osłabienia. W ciągu tych sekund niepewności tłukły mu się po głowie rozmaite tortury, na jakie mogła zostać skazana kobieta, którą tak kochał, a jego ból był tak silny, że musiał stanąć i wziąć kilka głębokich oddechów, nabrać powietrza, żeby nie zemdleć.

Jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Pietii, a chwilę później delikatnie wziął Weronikę w ramiona. Pozwoliła mu na to i uwieszona jego szyi oparła twarz o jego ciepłą pierś. Miguel wyczuł w jej kruchym ciele nieprzyjemną chłodną woń stęchlizny i wilgoci. Nie odezwał się do

Pietii słowem, odwrócił się do niego plecami i ruszył w górę po schodach. Lekarz stał i patrzył, jak Miguel się oddala, i zastanawiał się, czy się odwrócić, czy pójść za nim, co też w końcu uczynił. W drzwiach pokoju czekał Jurij, który obejmował Kolię, jakby chronił go przed całym złem. Razem z nimi Swieta, Katia i jej babcia, która, gdy zobaczyła, jak idą korytarzem, uniosła dłoń do ust, nie wiedząc, czy krzyczeć z radości, czy płakać z bezradności. Miguel bardzo ostrożnie położył żonę na tym samym łóżku, w którym jego syn toczył walkę z gorączką. Dopiero wtedy zobaczył twarz Weroniki, posiniaczoną od uderzeń, które nie wywołały krwawienia; była brudna, rozczochrana, wyglądała jak bezwładna lalka, jakby w areszcie spędziła nie kilka godzin, lecz kilka tygodni.

– Weronika, kochana moja, już po wszystkim – mówił ze ściśniętym sercem.

Otworzyła oczy i się uśmiechnęła. Pogłaskała go po policzku i odezwała się cicho:

– Miguel... Przepraszam... Kolczyki... Zabrali mi je i...

Uciszył ją, kładąc palce na jej suchych wargach. Swieta i Olga Iwanowna umyły ją i na ile mogły, doprowadziły do porządku. Zaparzyły jej herbaty w małym srebrnym samowarze, który udało im się ocalić przed grabieżą. Chciało jej się tak pić, że mało nie poparzyła sobie wrzątkiem warg.

Pietia przez cały ten czas czekał ostrożnie przy drzwiach. Dzieci przyglądały się tej scenie bez słowa, jakby zamieniły się rolami z cierpiącą matką, jak niemi obserwatorzy czegoś, co, mimo swojej prostoduszności, odbierały jako przełomowe.

Kiedy Weronika w końcu zasnęła, Miguel zwrócił się szeptem do przyjaciela:

– Powiedz, co jej zrobili, Pietia.

– Teraz o tym nie myśl. Jest tutaj. To najważniejsze.

– Mam listy żelazne – wyznał Miguel z ciężkim sercem. – Ale nie mam czym zapłacić za bilety.

Pietia pomyślał chwilę. Chwycił złoty łańcuch, który miał na szyi, zdjął go przez głowę i wręczył przyjacielowi.

– Nie mogę go przyjąć – odmówił Miguel. – To jest prezent od twojego ojca.

– Jesteś moim przyjacielem, przecież zrobiłbyś dla mnie to samo.

Miguel wahał się przez parę sekund; wziął łańcuch i uśmiechnął się do Pietii z wdzięcznością.

– Masz rację... Dziękuję. Wyjedziemy z tego przeklętego kraju pierwszym pociągami, do jakiego uda nam się wsiąść.

Pietia odwrócił się do niego, ale się nie ruszył. Spojrzał na niego niepewnie.

– Miguel, źle zrobiłem, dając ten adres Weronice, wybacz mi... Powinienem być pójść tam sam.

Patrzyli sobie w oczy przez długie sekundy. W końcu Pietia odwrócił wzrok, obrócił się i odszedł korytarzem, stawiając duże kroki, a poły jego płaszcza łopotały niczym rozpostarte na wietrze skrzydła. Płaszcz był nowy, nieskazitelny, wyjątkowej jakości, podobnie jak skórzane botki i uszanka z lisa, która zakrywała jego głowę i uszy. Miguel przez długi czas próbował ignorować rzeczywistość, która stawała się oczywista. Pietia był jego przyjacielem, więc nie chciał przyjąć do wiadomości, że tylko ludzie wysoko postawieni, ci, którzy mają wpływy w partii, mogli zachować taki poziom życia: domy, meble, pożywienie i ochronę przy wejściu. Postanowił nie pytać, nie dociekać, nie spoglądać w oczy tej prawdy, że Pietia jest częścią całej tej potwornej, uruchomionej przez rewolucję maszyny, która zaczęła się przed trzema laty, niszczycielskim trybem tego rozpadającego się społeczeństwa, którego ofiarami padli on i jego rodzina. Jednak łącząca ich przyjaźń była o wiele potężniejsza i nie mógł się wyzbyć wielkiego uczucia, jakim darzył Pietię. W końcu zawsze się za nimi wstawiał, a w najtrudniejszych chwilach zaopatrywał ich w żywność, bez której zmarliby z głodu.

VIII

Dni po powrocie Weroniki przeżyli w niepokoju, czy po nią nie przyjdą. Często się zdarzało, że po wypuszczeniu zatrzymanego na wolność wkrótce znów go zabierano, tyle że tym razem nikt nie wiedział dokąd.

Minął tydzień, odkąd Miguel zdobył bilety na pociąg. Tego ranka zjawił się u nich Pietia. Otworzył mu Kolia, a gdy lekarz wszedł, zobaczył Weronikę zajętą owijaniem pakunku w koc.

– Pietia! – Kobieta zostawiła swoje zajęcie i podeszła do niego z błyskiem radości w oczach. – Jak miło cię wiedzieć! Mówił ci Miguel? W końcu wyjeżdżamy. Zdobył bilety.

Przyjaciel pomyślał, że dawno nie widział jej tak radosnej, choć nadal miała sińce na twarzy.

– Nie... – wymamrotał, próbując okazać radość. – Nie wiedziałem. Kiedy macie pociąg?

– Dziś po południu. Uprzedzono nas, żebyśmy byli cierpliwi, bo bardzo możliwe, że będą opóźnienia, ale to nieważne. Najważniejsze, że w końcu będziemy mogli stąd wyjechać. Pojedziemy do Mińska, a później do Berlina. Stamtąd wyruszymy do Madrytu. – Jej twarz promieniała szczęściem. – Miguel tyle mi opowiadał o swoim mieście, o słońcu, o błękitnym niebie tak innym od tego. Z najdrobniejszymi szczegółami opisał mi dom jego ojca, w którym zamieszkamy, dom, w którym znów będziemy szczęśliwi, gdzie będziemy mogli patrzeć, jak nasze dzieci dorastają... – Chwyła go za rękę i odszukała jego wzrok, żeby zarazić go swoim optymizmem. – Tak się cieszę, Pietia.

– Cieszę się waszym szczęściem, ale nie ukrywam, że bardzo będzie mi was brakować.

– Tak bym chciała, żebyście z nami pojechali, ty i Nadia...

– Wiesz, że to niemożliwe. Jak się czuje Sasza? – spytał.

Weronika spochmurniała.

– Ciągle ma gorączkę i jest bardzo słaby. Pije trochę więcej mleka, bo Jurij i Kolia oddali mu swoje racje. Mówią, że im mleko niepotrzebne –

dodała rozczulona.

Pietia wyciągnął z lekarskiego kufra dwie butelki mleka, po czym wsunął obie dłonie do kieszeni i wyjął pół bochenka chleba, kawałek sera i kostkę mydła niczym iluzjonista wydostający z czeluści płaszcza rzeczy wielce nieprawdopodobne. Weronika przyjęła wszystko z wdzięcznością. Kiedy oglądała otrzymane dobra, Pietia podszedł do malucha, który nadal leżał w łóżku.

– Gdzie Miguel? – spytał, kiedy skończył badać.

– Poszedł oddać kartki żywnościowe, żeby odebrać bilety.

– Wiesz, co to oznacza? – odezwał się, nie ukrywając zaniepokojenia. – Jeśli z jakiegoś powodu nie zdołacie odjechać tym pociągiem, zostaniecie bez niczego, nie będzie odwrotu. – Rozpostarł dłonie zaniepokojony. – Umrzecie z głodu. Nie będziecie nawet mogli wrócić do tego mieszkania: nim dojdziecie na klatkę, zajmą je inni.

Zadarła głowę i odezwała się z przekonaniem o słuszności podjętej decyzji:

– Pojedziemy tym pociągiem, Pietia. Nie mam zamiaru wracać do tej nory, w którą się zamienił mój dawny dom.

Smelów przełknął ślinę, widać było, że czuje się niezręcznie.

– Stan małego nie pozwala na podróż, to bardzo niebezpieczne.

– Jeśli tu zostaniemy, umrzemy wszyscy. Ten pociąg to dla mojego dziecka szansa.

Lekarz kiwnął głową i jakby odpędziwszy wszelkie wątpliwości, uśmiechnął się szeroko.

– Masz rację, Weroniko. To wasza szansa. Jeśli pozwolisz, odwiozę was na dworzec.

Kiwnęła głową z wdzięcznością. Umówili się na konkretną godzinę i Pietia Smelów wyszedł.

Kiedy nadeszła pora, każdy wziął tobolek na miarę wieku i sił. Miguel niósł Saszę przywiązanego do tułowia w tłumoku zrobionym przez teściową tak zręcznie, że zdawało się, że jest częścią jego ciała, dzięki czemu mógł dźwigać dwa ciężkie worki, po jednym na każdym ramieniu.

Olga Iwanowna do swojego tobołka spakowała zaledwie jedno ubranie na zmianę, tomik poezji, trochę jedzenia i małą ikonę Maryi, którą zawsze nosiła ze sobą i do której żarliwie się modliła. Dostała ją od matki, kiedy była mała. Ona miała wsiąść do innego pociągu, który miał ją zawieźć do męża w Rostowie nad Donem.

Zanim rodzina opuściła swoje pokoje, Weronika zadzwoniła do Walki, kierowcy: dała mu samowar, piecyk, koc i materac i podziękowała za wszystko, co dla nich zrobił. Mężczyzna płakał jak dziecko i nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Odszedł i zamknął się w swoim pokoju. Więcej pożegnań nie było. Wszyscy pozostali mieszkańcy budynku wyszli na klatkę schodową i przyglądali się wyprowadzce Santacruzów. Nikt się nie odzywał. Patrzyli tylko na nich z nieuzasadnioną zazdrością, jaką zawsze wobec nich czuli. Nim wyszli za próg, jedno z najbardziej kłótliwych i zaczepnych małżeństw, zajmujących pokój, który w szczęśliwych czasach był ich miejscem do gier, z nieskrywaną radością przejęło pomieszczenie, które przed chwilą opuścili Santacruzowie. Weronika odwróciła się bliska płaczu.

– Nie oglądaj się, Weroniko, proszę. – Miguel usiłował ją pocieszyć. – To już od dawna nie jest nasze mieszkanie.

– Nasze mieszkanie będzie zawsze tam, gdzie my – wyszeptała, odwracając się od widoku, który sprawiał jej taki ból, i stała się głucha na szydercze śmiechy.

– Zostawię klucze – powiedział Miguel.

Wszedł na drugie piętro. Nie musiał dzwonić do drzwi, bo były otwarte na oścież. Wszedł do mieszkania i w salonie zastał Warłama, komisarza budynku, siedzącego na czymś, co kiedyś było zapewne pięknym fotelem, obecnie zdezelowanym z powodu codziennego użytkowania i braku dbałości. Obok niego był jego wierny giermek. Warłam palił papierosa, a popiół powiększał stertę na drewnianej podłodze, upstrzonej czarnymi plamami wskutek wcześniejszych przypaleń. Miguel podszedł wolnym krokiem, starając się zachować równowagę przy całym dźwiganym ciężarze, włącznie z małym Saszą. Wyglądał jak olbrzym, dwukrotnie

większy od tobołów. Podał Warłamowi komplet kluczy do pokoju, który był domem dla jego rodziny od ponad dwóch długich, ciężkich lat. Komisarz spojrział na niego z pogardą.

– Dobrze, że rewolucja eliminuje ludzi takich jak wy i wasza rodzina, bo umieliście żerować tylko na cudzej pracy – wymamrotał gardłowo głosem ochryłym od alkoholu i papierosów. Splunął w jego stronę z odrazą. – Wynoście się raz na zawsze. Nie ma tu dla was miejsca.

Miguel nie odpowiedział. Nigdy nie reagował na nieustanne zaczepki tego prostaka, który wyrósł na władcę życia wszystkich mieszkających w tym budynku. Wyszedł na ulicę. Weronika kończyła układać bagaże w samochodzie Pietii.

– Nie ma odwrotu – oznajmił Miguel. – Tutaj nie czeka nas nic prócz śmierci.

Weronika nie mogła powstrzymać zawrotów głowy i głębokiego żalu z powodu rozstania z ukochaną matką i tego, że nie może pożegnać się z ojcem. Jednak mimo dręczących ją obaw przed nieznanym uśmiechnęła się do męża i wyruszyli w drogę.

IX

Na dworcu Finlandia panował istny chaos. Bezkresne morze tobołków i ciał leżących na ziemi w wielu miejscach uniemożliwiało przejście. Powoli torowali sobie drogę, aż udało im się ulokować w głębi wielkiej głównej hali, niedaleko peronów. Mijały godziny, a ich pociąg nie nadjeżdżał. Niepewność rosła.

Weronika była zdenerwowana. Teraz ona trzymała Saszę na rękach i czuła osłabienie i gorączkę małego, który przypominał bezwładną lalkę owiniętą kocem.

Tak jak ich uprzedzono, pociąg, który miał wyruszyć wczesnym popołudniem, spóźniał się, ale znikąd nie mieli żadnych informacji. Po kilku godzinach długiego oczekiwania zapowiedziano pociąg Olgi

Iwanownej, a później rozległ się przenikliwy gwizd i donośny głos obwieścił przyjazd pociągu, do którego mieli wsiąść Santacruzowie. Nagle, niczym obudzona śpiąca bestia, ogromna masa ludzi z tobołami i walizkami wstała i zaczęła się przesuwać. Zdawało się, że na dworcu zapanowała swoista zbiorowa histeria. Pietia, który czekał z nimi przez cały czas, zaofiarował się, że odprowadzi staruszkę na właściwy peron. Weronice zdawało się, że umrze, gdy nadszedł moment pożegnania z matką; Pietia i Miguel musieli siłą rozdzielać je z uścisku. Kolia zaczął płakać na widok oddalającej się ukochanej babci, pochłanianej przez tłum, potrącaniej niczym krucha marionetka, chroniona jedynie silnymi ramionami Pietii. Miguel musiał przemówić Weronice do rozsądku, był straszny tłok i istniało ryzyko, że zginą im dzieci.

Popychani w tłumie rozszalałym po długim i wyczerpującym oczekiwaniu i strachu przed utratą szansy wydostania się z tej szarańczy, Santacruzowie ruszyli do punktu kontroli. Stanęli w kolejce do bydłych wagonów, do których wsiadali ludzie po przejściu kontroli. Kiedy przyszła na nich pora, wszyscy wstrzymali oddech, kiedy funkcjonariusz w skórzanej kurtce, czarnej czapce z wyszytą gwiazdą zachłannym wzrokiem oglądał po kolei każdą okazaną przepustkę. Na każdej stawiał pieczęć: najpierw na dokumencie Miguela, później Jurija, Kolii i Katii; list żelazny Swiety i małego Saszy również został podstemplowany. Miguel zorientował się, że komisarz odłożył na bok wizę Weroniki. Po podstemplowaniu pozostałych komisarz przejrzał listę, którą miał pod ręką.

– Towarzyszka Weronika Olegowna Filatowa nie ma pozwolenia na podróż.

Miguel i Weronika spojrzeli na siebie przelotnie, wstrząśnięci, przerażeni, ogarnięci nagłym strachem.

– Przecież macie tam list żelazny – argumentował Miguel. – Jest kompletny i jeszcze ważny. Sprawdźcie go, towarzyszu, błagam was.

– To już nieaktualne – orzekł z pogardą, patrząc na kartkę. – Towarzyszka Olegowna jest na zwolnieniu warunkowym. Nie może

wyjechać, dopóki nie stanie przed sądem za przestępstwa, o które jest oskarżona.

Sytuacja była bardzo napięta. Zniecierpliwieni ludzie napierali na nich od tyłu. Jurij i Kolia stali przyklejeni do matki i nie odstępowali jej na centymetr ze strachu, że porwie ich tłum; Katia kurczowo trzymała się starej Swiety, tonąc w tłumie, który osaczał ją, jakby była zanurzona w wodach wzburzonego morza.

Miguel wyciągnął szyję i wypatrywał ponad dziesiątkami głów przyjaciela. Nie był w stanie go dostrzec, a co dopiero powiadomić o tym, co się stało.

– Zaczekaj tu – przykazał Weronice. – Pójdę poszukać Pietii.

Strażnik to usłyszał i wręczył mu dokumenty; minę miał ponurą, pełny zarost zaciemniał jego twarz, nadając jej złowrogi wygląd.

– Jeżeli nie wsiądziesz do pociągu teraz, stracisz kolejkę. Ludzi jest dużo, miejsc mało.

– Ale muszę porozmawiać z kimś, żeby załatwił pozwolenie dla mojej żony.

– Powiedziałem już, że towarzyszka Olegowna zostaje.

– Nie możecie tego zrobić.

Na skutek zatamowania ruchu powstało zamieszanie. Podszedł do nich jeden z funkcjonariuszy, którzy krążyli po dworcu, doglądając wszystkiego.

– Co tu się dzieje? Utrudniacie przejście.

– Towarzyszu funkcjonariuszu – odezwał się Miguel z próżną nadzieją, że zdoła go przekonać. – Przepustka mojej żony jest prawidłowa, ale nie chcę pozwolić jej wsiąść.

– Jest na liście – zaprotestował strażnik, pokazując zwierzchnikowi nazwisko na kartce. – Wszyscy pozostali są w porządku.

Komisarz – bardzo wysoki, w czarnym kożuchu ze skórzanym kołnierzem, czarnej czapce, opasce identyfikacyjnej i uzbrojony w pistolet – przejrzał listę i sprawdził pozwolenia.

– Ona nie może opuścić kraju, reszta ma wsiąść do pociągu.

Nie zwracał się bezpośrednio do nich, ich ignorował. Wydawał polecenia strażnikowi, który stemplował przepustki. Ludzie z tyłu protestowali coraz bardziej wściekli.

– Nie mogę wyjechać bez niej.

– Wyjść z kolejki, wszyscy – rozkazał mężczyzna.

– Nie! – krzyknęła przerażona Weronika, zyskując kilka sekund. – Ja pójdę poszukać Pietii – zwróciła się do męża wzburzona. – Ty wsiadaj z dziećmi do pociągu. – Mówiąc, wcisnęła mu na rękę Saszę.

– Mowy nie ma, nie zostawię cię samej.

– Miguel, proszę, posłuchaj mnie. Musisz wsiąść do tego pociągu. – Pchnęła go razem z dziećmi w stronę peronu, choć musiała się wysilić, żeby oderwać Jurija od swojej talii.

– Nie chcę, żebyś szła! – krzyknął chłopiec z przerażeniem w oczach.

– Zaraz wrócę, Jura. Idę poszukać Pietii. On wszystko załatwi. Idź z tatą, dziecko, proszę. Posłuchaj mnie, idź z tatą. – Pchnęła Jurija w stronę ojca. Kolia stał obok niego oszołomiony.

Miguel protestował, krzyczał, choć także strażnicy pchali go, żeby zrobił przejście, coraz bardziej go od niej oddalając.

– Proszę cię, wsiądź do pociągu z dziećmi! – ponagliła go Weronika, potrącana i szturchana przez ludzi dookoła. – Wrócę, jak tylko znajdę Pietię, ale musisz wsiąść, nie możemy zmarnować tej okazji, Miguel, proszę. Wywieź stąd dzieci... Proszę...

Patrzyli na siebie przez kilka sekund, jakby cały świat wokół nich się zatrzymał. Błagała go wzrokiem. W końcu się odwróciła i zanurzyła w tłumie, jakby płynęła pod prąd. Chciał zareagować, ale nie przepuszczono go już w stronę punktu kontrolnego. Musieli przesuwac się w kierunku peronu, szukając numeru swojego wagonu. Miguel zamierzał wsadzić ich wszystkich do pociągu i wyjść poszukać żony, bo wyglądało na to, że pociąg postoi jeszcze dobrą chwilę. O tym myślał, kiedy usłyszał rozpaczliwy krzyk Swiety.

– Kolia! Kolia! – wołała, rozglądając się na wszystkie strony, szukając wzrokiem chłopca, nie wypuszczając Jurija i Katii, którzy również

z niepokojem go szukali. – Gdzie jesteś? Kolia! Mały, nie widzę małego!

Miguel, zrozpaczony, z Saszą na rękach, przyłączył się do poszukiwań, ale wśród tylu ludzi nie było szans, żeby cokolwiek zobaczyć.

– Święta, wsiadajmy do pociągu, ja go zaraz poszukam. Dalej, szybko.

Dotarli do wagonu i wsiedli. Święta wzięła Saszę na rękę, a maluch zaczął głośno płakać, przestraszony zamieszaniem i wyczuwający przerażenie. Miguel chwycił Jurija za ramiona i pochylił się do niego.

– Idę poszukać twojej mamy i twojego brata, masz się o wszystkich zatroszczyć. Zgoda?

Chłopiec kiwnął głową z powagą, gotowy wziąć na siebie odpowiedzialność, którą ojciec właśnie włożył mu na barki. Miguel chciał wysiąść, ale mu nie pozwolono. Szarpał się z wściekłością, walczył z dwoma typami, którzy zmuszali go do pozostania w wagonie. Zadawał i zbierał ciosy, pchnięcia, rozlegały się obelgi i krzyki, aż poczuł silne uderzenie w tył głowy i stracił przytomność.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył twarz Jurija. Zdezorientowany przyglądał mu się przez parę chwil, aż nagle poczuł kołysanie i stukot. Dotarło do niego, że pociąg jedzie. Jakby coś zaskoczyło w jego umyśle, chciał się wyprostować, ale musiał się powstrzymać, bo ból był tak silny, że miał wrażenie, że głowa mu eksploduje. Chwycił Jurija za rękę i wbijając wzrok w jego oczy, spytał z bólem:

– Co z twoją matką?

Czekał na odpowiedź, choć nie było nadziei w tych wielkich jasnych oczach zalanych łzami. Potrząsnął ręką syna, ponaglając już zdławionym głosem:

– Gdzie mama, Jurij? I Kolia... Gdzie twój brat?

Jurij nadal milczał, zagryzając wargi, z zaciśniętą szczęką, nie przestając na niego patrzeć, aż w końcu jego głowa poruszyła się lekko w geście zaprzeczenia. Ojciec, załamany, chciał znaleźć ukojenie w ramionach syna, ale chłopiec odsunął się od niego gwałtownie, gromiąc go lodowatym, oskarżycielskim spojrzeniem. Miguel Santacruz,

zdruzgotany tym, że nie był w stanie ich ochronić, zauważył, że oczy syna wbijają w jego duszę ostry sztylet winy.

Drugiej nocy tej potwornej podróży mały Sasza zasnął i już się nie obudził. Jego zwłoki pochowali w czasie jednego z wielu postojów pociągu; musieli się spieszyć, bo bali się, że lada moment ruszy, zmuszeni pozostawić ciało dziecka na zupełnym odludziu, w bezimiennym grobie, nad którym nikt nigdy nie zapłacze, nikt się nie pomodli, w grobie, którego nigdy nie ozdobią świeże kwiaty. Jurij i Swieta musieli wciągać zdruzgotanego ojca do jadącego już pociągu, odrywając go na zawsze od tego prowizorycznego grobu; zrozpaczonego tym, że musi zostawić synka na tej jałowej ziemi.

Miguel Santacruz płakał nieutulonym płaczem przez wiele godzin, aż oczy stały się suche, pozbawione blasku, widoków na przyszłość i zniszczone na zawsze.

Jurij obwinał ojca o to, że pozwolił matce odejść, że jej nie ochronił. Obwinał go o to, że stracił ukochanego brata Kolię i że nie zapobiegł śmierci Saszy. W mechanizmie obronnym wobec nagromadzonego bólu Jurij uczynił ojca winnego wszystkimu.

X

Ta część rodziny Santacruz, której udało się opuścić Rosję, po męczącej podróży zdołała dotrzeć do Berlina. Dojechali wymizierowani, wyczerpani i zbrukani nędzą znośną przez ostatnie cztery lata. Jurij, jego siostra, ojciec i niania Swieta w końcu mogli odpocząć na miękkich materacach bez wszy i pluskiew, przykryci lekkimi pierzynami, i wziąć do ust coś ciepłego, konkretnego, smacznego i treściwego. We wspomnieniach Jurija na zawsze miała pozostać sympatia do Berlina, do jego gościnnych mieszkańców, serdecznych, uśmiechniętych, radość z ponownego poczucia bezpieczeństwa, wolności odzyskanej po tak długo kumulowanym strachu, strachu przed aresztowaniem, pobiciem,

okradzeniem, zamordowaniem, strachu przed śmiercią z głodu, z zimna, strachu przed śmiercią ze strachu.

Rodzina spędziła w Berlinie kilka miesięcy, przez cały czas będąc pod opieką syna przyjaciela Miguela, Ericha Villanuevy, który pracował w hiszpańskim ministerstwie spraw zagranicznych. Ponieważ w Niemczech nie było rosyjskiej ambasady, mężczyzna ten zorganizował Miguelowi kilka spotkań z wysokimi urzędnikami niemieckiej Partii Komunistycznej, z którymi rozmawiał o tym, jak wyciągnąć z Rosji żonę i syna. Wobec braku odpowiedzi Miguel postanowił, że sam pojedzie ich szukać. W czasie tygodni nieobecności ojca Jurij niecierpliwie czekał na jego powrót. Całe dni spędzał w oknie kwatery, w której się zatrzymali, albo siedząc na stopniu w bramie, patrząc na pustą ulicę. Marzył o chwili, kiedy pojawią się we troje, jak do nich biegnie, obejmuje ich. Myślał tylko o tym, w każdej minucie, w każdej godzinie, dzień po dniu i każdej nocy, wyobrażając sobie szczęśliwe zjednoczenie, bo tak mu obiecał ojciec przed wyjazdem.

– Przywiozę ich ze sobą, bez nich nie wrócę, obiecuję ci.

Tak powiedział, a on mu wierzył, był przekonany, że tym razem ojciec go nie zawiedzie, nie mógł tego zrobić, wróci z nimi do Berlina.

Tego ranka, kiedy ojciec w końcu przyjechał, padał drobny deszcz. Jurij kończył trzynaście lat i wyszedł kupić zeszyty za marki, które dał mu w prezencie Villanueva. Właśnie miał wejść do bramy, gdy zobaczył nadjeżdżającą taksówkę. Poczł kołatanie serca i poczekał, aż auto zatrzymało się przed nim. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły i pojawił się ojciec, o wiele chudszy, wymizerowany i postarzały, jakby nieobecny był nie dwa miesiące, ale dziesięć lat. Jurij bezwiednie wstrzymywał oddech, aż poczuł lekkie zawroty głowy i gwałtownie zaczerpnął powietrza, jakby wydostał się z ciemnej studni, spragniony tlenu. Taksówka odjechała i zostali na ulicy sami, oddzieleni zaledwie kilkoma metrami. Miguel patrzył mu w oczy w milczeniu. Jurij zacisnął pięści w oczekiwaniu, aż coś się wydarzy. Podeszedł powoli, jakby widok ojca był sztyletem, którego ostrze z każdym krokiem zanurzało się coraz

bardziej w jego sercu. Kiedy znalazł się przy nim, Miguel położył rękę na jego ramieniu i z mrozącą krew w żyłach kategorycznością kazał mu zapomnieć o matce. Najbardziej zaskoczyła go stanowczość, z jaką mówił, stanowczość, która nijak się miała do jego wyglądu człowieka pokonanego i zgnębnego. Była w tym sprzeczność, ale powtórzył te słowa.

– Będziemy żyć bez nich, Jurij. Musimy zapomnieć o niej i o twoim bracie, wymazać ich z naszych umysłów i z naszej pamięci.

Jurij wpatrywał się w niego oniemiały, nie rozumiejąc słów, które wściekle go smagały. Wyswobodził się z uścisku ojca z odrazą, jakby cuchnął mu jego oddech. Cofnął się o kilka kroków, chwiejąc się, nie przestając na niego patrzeć, jakby przed oczami miał samiuśkiego diabła; w końcu puścił się biegiem, uciekając od rzeczywistości, której nie był w stanie zaakceptować, zraniony zdradą, kolejnym niepowodzeniem. Biegł tak długo, że kiedy zatrzymał się w środku parku, był wyczerpany, mokry od potu, ledwie trzymał się na nogach. Padł na mokrą ziemię i leżał przez kilka godzin, nie czując moczącego deszczu ani zimna, które przenikało do mięśni.

O zmierzchu wstał i wrócił do kwatery. Przez kilka dni miał bardzo wysoką gorączkę, był w półprzytomny. Jak tylko trochę wydobrzeł, Santacruzowie wsiedli do pociągu, który zawiózł ich do Madrytu. Jurij przez całą drogę nie otworzył ust. Był oszołomiony, wyłączony z otaczającej go rzeczywistości, z niepokojącym uczuciem, że z każdym odgłosem turkotu pociągu coraz bardziej oddala się od matki i brata, pozostawiając ich na pastwę losu.

W głębi jego duszy wzbierała nienawiść do ojca, który znów go zawiódł, nie chcąc ich szukać, niezdolny do wytrwałości, do walki, aby osiągnąć jedyny możliwy cel, który przychodził mu na myśl: odzyskanie jego ukochanej matki i uwielbianego Koli, uratowanie ich, sprowadzenie do rodziny.

W miarę upływu lat ta myśl tylko umocniła się w osowiałej wrażliwości Jurija. Mieszkanie przy ulicy Princesa, do którego się wprowadzili,

zawsze wydawało mu się posępne, zimne, mało przytulne, pozbawione ciepła domu matczynego. Miało długi korytarz z wysokim sufitem, drewnianą podłogą trzeszczącą pod stopami, niczym rozdierający lament w tej dojmującej pustce. Wszystkie okna, oprócz salonowych i okien gabinetu zajmowanego przez ojca, wychodziły na patio, do którego nigdy nie docierało słońce, za to unosiły się wilgotne wyziewy. Nigdy nie czuł, że ten madrycki dom jest jego, nigdy nie czuł, że to jego miasto, nigdy nie przestał czuć się tutaj obco.

W szkole był wzorowym uczniem, zbierał najlepsze stopnie, ale nie umiał albo nie chciał integrować się z kolegami, którzy przewali go „Rosjaninem”, a ci bardziej brutalni – „bolszewikiem”. „Rosjanina” przyjmował bez zastrzeżeń, ale denerwował się, kiedy ktoś nazywał go „bolszewikiem”, i wdawał się nawet w okazjonalne bójki, żeby bronić splamionego honoru. Stał się podejrzliwym samotnikiem i większość okresu dorastania spędził na odosobnieniu w pięknej i przepełnionej bibliotece, która należała do jego zmarłego dziadka od strony ojca, jedynym miejscu w tym domu, w którym czuł się dobrze i które stało się jego schronieniem, gdzie nikt mu nie przeszkadzał. Biblioteka miała sporą kolekcję książek po niemiecku i Jurij czytał je nie tylko po to, żeby szlifować język, ale dlatego że kiedy to robił, przypominał sobie ciepły głos matki czytającej Kologii i jemu książki w tym języku. Przez wszystkie te lata pobytu w Madrycie wspólne życie było bardzo trudne. Do buntu Jurija dokładała się niezdolność jego ojca do zrozumienia, nawet w najmniejszym stopniu, osamotnienia syna, zamkniętego w przekornym milczeniu. Miguel Santacruz zadbał jednak o to, by zapomnieć to, co zostawił w Rosji. Przestał wspominać o zaginionej żonie i synu, wymazał ich imiona i uciszył swoją pamięć, jakby przestali istnieć. Zakazał reszcie rodziny wspominać o nich w jego obecności. Jurij był świadkiem, jak znikają wszystkie wspomnienia, które łączyły go z Rosją i z tymi, którzy tam zostali, nawet zdjęcia spłonęły w swoistym przemysłnym sabacie. Jedna jedyna fotografia zdołała się uchronić przed tym zniszczeniem przeszłości; na zdjęciu matka trzymała na kolanach

Kolę w dniu, kiedy kończył trzy lata; oboje uśmiechali się szczęśliwi, nieświadomi tego, co szykuje dla nich przeznaczenie. Swieta schowała tę fotografię w swoich rzeczach i zamiast wrzucić ją do ognia, przekazała ją po kryjomu Jurijowi, ryzykując, że znajdzie się na ulicy za złamanie zasad narzuconych przez Miguela Santacruza, nakazujących pozbycie się wszystkiego, bez wyjątku, co pochodziło z Rosji.

Tamten portret w odcieniach sepii, pociemniały z upływem czasu, stał się dla Jurija węzłem, którego się chwytał przez wszystkie te lata, aby nie dopuścić do tego, by zapomnienie rozmyło pamięć o matce. Co wieczór przed snem wyciągał zdjęcie z kryjówki, jakby było świętą ikoną, i przez kilka sekund intensywnie wpatrywał się w twarz matki: wielkie szare oczy, skośne, które po niej odziedziczył, mięsiste wargi uniesione w uśmiechu, wydatne policzki i długie blond włosy w lekkim upięciu, z lokami podkreślającymi jej idealne rysy, zapisując w pamięci ten wizerunek, który nie zacierał się wraz z upływem czasu, podobnie jak dziecięca i uśmiechnięta twarz nieodżałowanego brata.

W przeciwieństwie do ojca Jurij nigdy nie porzucił myśli o odnalezieniu matki i brata. Wyciągnięcie ich ze Związku Radzieckiego i przywiezienie do Hiszpanii stało się dla niego milczącą obsesją. Kiedy osiągnął wiek pozwalający na samodzielne działanie, dowiedział się od ojca, że cała ich rodzina otrzymała zakaz wjazdu do Rosji. Wraz z końcem dyktatury Primo de Rivery i ogłoszeniem republiki zaczęły krążyć pogłoski, że republikański rząd, po uznaniu Związku Radzieckiego, odnowi stosunki dyplomatyczne ze Stalinem; ale czas płynął, a tak się nie działo.

Erich Villanueva, który został sekretarzem do spraw komunikacji w ambasadzie Hiszpanii w Berlinie, potrzebował do pomocy kogoś, komu mógłby w pełni ufać. Miguel Santacruz wspomniał o tym synowi, a Jurij nie wahał się ani chwili w obliczu możliwości powrotu do ulubionego miasta, gdzie na dodatek działała rosyjska ambasada. Dlatego przyjął propozycję Villanuevy i przeprowadził się do Berlina 1 stycznia 1933 roku z zamiarem znalezienia jakiegoś kontaktu, który umożliwiłby mu wjazd do Rosji i poszukiwania matki i brata.

Miał dwadzieścia cztery lata.

Wprowadził się do mieszkania przy Mohrenstrasse, bardzo blisko skrzyżowania z Friedrichstrasse; jego właścicielką była pewna wdowa, znajoma Villanuevy. Miał do dyspozycji kawalerkę na poddaszu ze skosami i mansardowymi oknami, przez które wpadało ołowiane berlińskie światło. Mieszkanie pod nim zajmowała właścicielka, Frau Theresa Metzger, wdowa o pruskich korzeniach, która straciła męża w czasie wielkiej wojny. Nigdy nie zobaczyła jego ciała, zaginionego w walkach na ziemiach belgijskich, więc nie zaznała ukojenia, jakie daje grób, nad którym można opłakiwać zmarłego. Miała córkę o imieniu Krista, absolwentkę medycyny, której Jurij jeszcze nie poznał, ponieważ mieszkała w Monachium, gdzie otrzymała posadę asystentki w prestiżowej klinice położniczej. Planowała zrobić doktorat z ginekologii i położnictwa.

Pani Metzger utrzymywała się z wdowiej renty, a poza tym z otrzymywanej od Jurija opłaty za pokój i z wynajmu lokalu przy Kurfürstendamm, głównej ulicy berlińskiego Westend. Wynajmowała go krawcowi żydowskiego pochodzenia, schludnemu panu Rossowi, prowadzącemu elegancki sklep z męską odzieżą. Cieszył się on wielką renomą wśród najznamienitszych mieszkańców Berlina. Wpływy te pozwalały jej na życie z pewną swobodą, pomogły też uniknąć skutków wielkiego kryzysu, jaki dotknął większość społeczeństwa w wyniku zadłużenia, w jakie popadły Niemcy wraz z podpisaniem traktatu wersalskiego w czerwcu 1919 roku, na zakończenie wojny.

Pani Metzger zaproponowała, że będzie mu gotować, pod jednym warunkiem – że posiłki będą podawane w jej jadalni. Wyznała mu, że bolesne jest dla niej nakrywanie do stołu tylko dla niej samej. Jurij zgodził się, zadowolony, bo nie przepadał za przyrządzaniem posiłków, a nie zarabiał na tyle dużo, żeby codziennie jadać na mieście. Od początku czuł się przy tej kobiecie bardzo dobrze. Łagodna i stateczna,

wykształcona, była interesującą rozmówczynią, miłośniczką muzyki i zapaloną czytelniczką; miała wyśmienitą bibliotekę, z której Jurij mógł wypożyczać książki, jakie tylko zechciał, pod warunkiem, że będzie o nie dbał, a po przeczytaniu – odkładał na swoje miejsce. Choć nie skończyła jeszcze pięćdziesięciu lat, miała wygląd kobiety przedwcześnie postarzałej, nieco bezradnej. Była szczupłą, zawsze nienagannie ubrana i uczesana. Wywoływała w Juriju pewne skojarzenia, jej melodyjny głos, doskonałe maniere, sposób gestykulacji, miny w nieunikniony sposób poruszały jego pamięć i wydobywały z niej wspomnienia matki, za którą tak tęsknił, i które nadal bolały.

W pierwszych rozmowach podczas śniadań, obiadów i kolacji pani Metzger opowiedziała mu o pozostałych sąsiadach. Na pierwszym piętrze po lewej mieszkali państwo Rothmanowie, urocze małżeństwo polskiego pochodzenia, które prowadziło znakomitą piekarnię i cukiernię przy ruchliwym bulwarze Leipzigerstrasse. Spotkanie z Lilli Rothman oznaczało upojenie słodkim zapachem świeżego chleba. Była kobietą radosną, posiadającą szczególny talent do pieczenia ciast. Mieli dwoje dzieci: szesnastoletniego Bruna, który pomagał w sklepie w weekendy, a przed pójściem do szkoły roznosił zamówienia najstarszym klientom, do których zaliczała się pani Metzger; córkę Ernestinę, która niedawno skończyła osiemnaście lat i od dwóch pracowała z rodzicami, zgłębiając tajemnice matczynych przepisów na pyszne wypieki. Naprzeciwko Rothmanów mieszkali państwo Siegel. Herr Siegel wykładał filozofię i od trzech dekad prowadził zajęcia na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma; został mu tylko rok do emerytury.

Na drugim piętrze przy Mohrenstrasse mieszkała pani Blumenfeld, córka wielkiego przemysłowca, który do wybuchu wojny kierował jedną z największych hut stali w kraju. Przedsiębiorca przed śmiercią, ze względu na uparte staropanieństwo swojej spadkobierczyni i niemożność przekazania jej sterów firmy, postanowił wszystko sprzedać i nabyć kilka nieruchomości, z których wynajmu Angela Blumenfeld mogła żyć bez zbyt wielu trosk. Miała około sześćdziesiątki, choć prawdziwy wiek

ukrywała, a starą panną została dlatego, że nie wierzyła w uczciwe intencje mężczyzn. Stała się samotniczką o dobrotliwym usposobieniu, która dziergała w oknie i zawsze obdarzała sąsiadów serdecznym uśmiechem.

Naprzeciwko Angeli Blumenfeld wszystko było gotowe na przyjęcie pary młodych nowożeńców, którzy jeszcze się nie wprowadzili.

Na trzecim piętrze, oprócz pani Metzger, mieszkali Bauerowie, małżeństwo staruszków, którzy spędzili razem ponad pół wieku i od czasu do czasu przeżywali najazd gromady wnuków, wesołych i hałaśliwych, w przyjemny sposób zakłócających panujący zwykle w kamienicy spokój.

Od podestu trzeciego piętra odchodziły wąskie schody prowadzące do mansardy zamieszkiwanej przez Jurija Santacruza. Tej, w której zamknął się na cztery spusty, drżąc z zimna i z przerażenia po wydarzeniach nocy pochodni 30 stycznia.

Berlin, 1933 roku

Aby zło zatriumfowało, wystarczy, by dobry człowiek niczego nie robił.

Cytat przypisywany EDMUNDOWI BURKE'OWI

Minęły trzy dni od incydentu z grupą SA, a Jurij ciągle miał obolałe ciało, jakby przebiegło po nim stado dzikich koni. Opuchlizna warga znikła dzięki maści, którą dała mu gospodyni. Skłamał jej na temat przyczyny rany, podobnie jak Villanuevie. Nie był w stanie opowiedzieć o tym, co widział. Gazety opublikowały informację o śmierci członka SA, którym okazał się Peter von Duisburg, syn członka eskadry ochronnej NSDAP, swoistej prywatnej policji Hitlera. O przyczynie śmierci właściwie nie pisano, oprócz wzmianki, że chodzi o brutalne zabójstwo, i zapewnienia, że winny zostanie odnaleziony. Nikt nie mógł go powiązać z tym wydarzeniem, więc wysiłał się, żeby zachować spokój i poczekać na upływ czasu.

Skończył się szykować i zszedł na śniadanie.

Otworzyła mu Brenda, gosposia wdowy. Wszedł do jadalni, w której już siedziała pani Metzger, jak zawsze w nieskazitelnym stroju i fryzurze.

– Dzień dobry, Frau Metzger.

– Dzień dobry, Jurij. – Spojrzała na niego z ukosa. – Bruno przyniósł ciasto, które lubisz. Jego matka upiekła je specjalnie dla ciebie – dodała z uśmiechem.

Zadowolony usiadł obok niej. Lubił wstawać wcześniej i jeść śniadanie bez pośpiechu, czytając gazetę; nie był do tego przyzwyczajony w domu

w Madrycie, zawsze sam, w kuchni, na stojąco i na szybko. Właściwie nie zdarzało mu się jeść śniadania z ojcem, choć mieszkali pod jednym dachem. Jednak pani Metzger ofiarowała mu coś zbliżonego do domowego ciepła, to odczucie, które z taką nostalgią wspominał z dzieciństwa, spokojny deser, rytuał podwieczorku, celebrowanie zwyczajności, które w odległej przeszłości dawały mu tak silne poczucie bezpieczeństwa i które dzięki pani Metzger na nowo zagościły w jego codzienności.

Brenda napełniła jego filiżankę pachnącą kawą, a on z radością ją smakował. Wdowa szczyliła się, że to najlepsza w Berlinie, i miała rację; Jurij nigdy wcześniej nie pił kawy tak mocnej i aromatycznej, jak tej podawanej w tym domu. Były też gazety, które Brenda codziennie przynosiła z kiosku. Wdowa lubiła czytać kilka dzienników prezentujących różne poglądy i z publikowanych treści wyciągała własne wnioski: zwykle czytała „Morgenpost” i „Berliner Tageblatt”, a kiedy miała możliwość, zaopatrywała się we „Frankfurter Zeitung”. Przez długi czas opierała się przed kupowaniem „Der Stürmer” i „Völkischer Beobachter”, oficjalnego dziennika nacjonalistyczno-socjalistycznego, ale od paru tygodni Brenda kupowała oba bez uzgodnienia, ponieważ jej zdaniem były jedynymi, które mówiły prawdę o tym, co się dzieje w kraju. Wdowa to zaakceptowała, bo koniec końców nie pozostawało nic innego, jak je przeczytać, żeby mieć porównanie i przede wszystkim orientować się w tym, do czego zmierzają Niemcy, bo, jej zdaniem, było rzeczą pewną, że jeżeli marcowe wybory temu nie zapobiegną, partia nazistowska i jej pozbawiony mózgu przywódca, Adolf Hitler, będą rządzić krajem przez najbliższe lata. To wydawało się oczywiste, kiedy brało się każdego ranka do ręki gazetę.

Radio na kredensie szemrało cicho niczym nakręcany ptak. Jurij był skupiony na tytułach gazet, ale wzrok wdowy zmusił go do oderwania od nich oczu.

- Święty Boże, niemożliwe! – wykrzyknęła ze zbolałą miną.
- Co się stało, Frau Metzger? Złe wieści?

W tym momencie weszła Brenda z dzbankiem ciepłego mleka.

– Zatrzymali Axela Laufera, syna aptekarza z Kronenstrasse. Jest oskarżony o zabójstwo tego chłopaka, który umarł parę dni temu niedaleko, na naszej ulicy.

Jurij słuchał zaniepokojony.

– Mogę? – Wyciągnął rękę, prosząc o gazetę.

Podawała mu ją, a jej wzrok zabłąkał się w gąszczu myśli, bo nie mieściło jej się głowie to, co przeczytała.

– Nie mogę w to uwierzyć... Axel nie mógłby... – mruzczała do siebie, a Jurij w tym czasie skupiał się na gazecie. – To najbardziej ugodowy i spokojny człowiek, jakiego znam.

– Zna go pani? – spytał Jurij ostrożnie.

– Od dziecka. Chodził do szkoły z moją córką; całe popołudnia spędzał w tym salonie, kiedy jego rodzice mieli dużo pracy i nie mogli się nim zająć. – Zamknęła oczy, jakby cierpiała na samą myśl o tym. – Biedna Dora, musi być zdruzgotana.

Brenda przerwała litanie szeptaną przez wdowę.

– Temu się należy – wypaliła bez ogródek.

– Brenda! – Pani Metzger spojrzała na nią wielkimi oczami, nie wierząc w to, co usłyszała. – Dlaczego tak mówisz?

– Bo to komunistyczna świnią.

– A jaki masz problem z komunistami, skoro zawsze ich broniłaś jako wybawców robotników? – Wdowa wycelowała w nią oskarżycielsko palcem. – Nawet na nich głosowałaś w listopadowych wyborach, sama mi powiedziałaś, a nawet mnie namawiałaś, żeby na nich głosować.

Brenda, z pewną siebie miną, zadarła głowę, zacisnęła wargi i z zapalem pokręciła głową.

– Wykluczone, nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy głosować na takie bydlę. Musiała mnie pani źle zrozumieć. Ja od zawsze uważam, że bolszewicy to diabeł wcielony i że chcą w Niemczech zaprowadzić rewolucję pod przewodnictwem Stalina – mówiła z takim przekonaniem,

że trudno było zakwestionować jej słowa. – A Axel Laufer to jeden z najgorszych.

– Nie opowiadaj bzdur – zganiła ją wdowa z pewną powściągliwością. – Axel nigdy nie interesował się polityką, i dobrze o tym wiesz.

– Zawsze była pani łatwowierna. Axel jest z tych, co udzielają się najbardziej, może mi pani wierzyć, wiem to z pewnego źródła.

Brenda doskonale wywiązywała się ze swoich obowiązków i robiła wszystko zgodnie z życzeniem pani Metzger, ale była plotkarą i uwielbiała pogaduszki; do wszystkiego się wtrącała, wszystko chciała wiedzieć, a najgorsze było to, że jej się to udawało. Chwytała się różnych sposobów, żeby poznać najświeższe plotki, a kiedy je zdobyła, jakby chodziło o największe trofeum, zajmowała się opowiadaniem ich tu i tam. Bez skrupułów, bez sprawdzenia informacji, nie przywiązując wagi do tego, czy to, czego się dowiedziała, to prawda, i nie przejmując się, czy zniesławieniem może skrzywdzić zainteresowanych, kwestionując zachowanie osób, których nawet nie знаła. Krzywda obcych wzbudzała w niej perwersyjną radość, którą musiała nieść dalej, do tych, którzy chcieli jej słuchać. Pani Metzger doskonale znała tę wadę Brendy, wolała udawać, że nie słyszy i, przyzwyczajona do jej słowotoku, pozwalała jej mówić, chyba że pozwalała sobie na zbyt wiele, wtedy udzielała jej stanowczej reprimendy. Tak było i tym razem, między innymi dlatego, że Dora Laufer była jej dobrą koleżanką, a jej syna Axela darzyła szczególną serdecznością.

– A kto ci to powiedział? – spytała pani Metzger ironicznym tonem, unosząc brwi. – Twoja sąsiadka Gitti?

Gospoia dumnie poprawiła wykrochmalony i bielusieńki fartuszek, założyła ręce na obfitym biuście i odezwała się wyniośle:

– Nie, proszę pani. Powiedział mi mąż. – Było widać, że jest dumna. – Wstąpił do oddziałów szturmowych Führera, a tam im powiedzieli, kto jest wrogiem Niemiec.

Wdowa, nie kryjąc zdziwienia, roześmiała się sarkastycznie.

– Lukas wstąpił do SA? Przecież twój mąż przeraźliwie boi się mundurów.

Brenda z nadętą miną wzruszyła ramionami.

– Nawet sobie pani nie wyobraża, jak mu pasuje, wygląda jak malowany – oznajmiła z wyższością. – Na Boże Narodzenie dałam mu Mein Kampf, książkę naszego ukochanego Führera, w tydzień przeczytał od deski do deski i z miejsca poszedł się zapisać do SA, a małego zapisał do Hitlerjugend. Co mam powiedzieć: płacą mu pensję, ubrali go od stóp do głów i jest z tymi, którzy będą bronić Niemiec przed wrogami, którzy chcą je pogrążyć. No i ma informacje z pierwszej ręki, więc nie damy się zaskoczyć.

– I myślisz, że Lauferowie są wrogami Niemiec? – spytała zdumiona wdowa.

– To ścierwo. A pani powinna zerwać z nimi kontakty, Frau Metzger. Nie chciałabym, żeby się pani zbrukała.

– Zabraniam ci tak do mnie mówić – wypaliła urażona. Brenda przekroczyła granice. – Wracaj do swoich zajęć i przestań wygadywać bzdury.

– Jeszcze się pani przekona. Powiedziałam pani, co to za szumowiny, żeby później nie było, że pani nie ostrzegałam. – Wzruszyła ramionami obrażona. – Wrogowie naszego kraju są w naszym społeczeństwie, trzeba ich demaskować i natychmiast zgłaszać.

Po tych słowach wzięła pusty dzbanek po soku i odmaszerowała do kuchni naburmuszona.

– Nie zwracaj na nią uwagi – odezwała się wdowa, jakby chciała przeprosić Jurija za nieodpowiednie zachowanie gosposi. – Tak naprawdę ma dobre serce.

Brenda miała czterdzieści pięć lat i w domu pani Metzger pracowała już przed wojną. Jej mężem był Lukas Kube, mężczyzna o słabym charakterze, nieudacznik, który swoje frustracje topił w piwie, whisky czy koniaku, w zależności od funduszy, jakimi dysponował; z tego powodu kilka razy stracił pracę, a ponieważ nie potrafił zmierzyć się

z prawdą wobec silnego charakteru żony, zwykle krążył po najobskurniejszych tawernach Berlina, aż w końcu ona go z którejś wyciągała. Brenda była siłą napędową domu. Dzięki jej zawziętości zawsze mieli co włożyć do ust i dach nad głową. Mieli dwóch synów: osiemnastoletniego Ilse o charakterze równie miękkim co u ojca i szesnastoletniego Rudiego, rozpieszczonego, niewychowanego i awanturnika, który kłócił się z ojcem i nad którym matce było coraz trudniej zapanować. Dwa lata temu wyrzucono go ze szkoły za udział w bijatyce z innym chłopakiem i Brenda poprosiła Lilli Rothman, piekarkę z parteru, żeby wstawiła się o przyjęcie Rudiego do szkoły, do której chodził jej syn. Lilli nie miała nic przeciwko temu i od tamtej pory Rudi Kube był szkolnym kolegą Bruna Rothmana.

Jurij ponownie skupił się na gazecie. Przeczytał cały artykuł. Świadek zdarzenia, kobieta, na temat której nie podawano żadnych informacji, oskarżyła Axela Laufera o zabójstwo członka SA. Poza tym, że podano nazwisko zatrzymanego, wskazano też jego adres, a twarz chłopaka widniała na czarno-białym policyjnym zdjęciu. Jurij nie mógł od niego oderwać wzroku. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to ten sam, którego bili. Potwierdzeniem, choć fotografia była bardzo nieostra, była widoczna spuchnięta prawa powieka i rozcięcie na policzku.

Odłożył gazetę na stół, z niepokojem na twarzy, zastanawiając się, co powodowało tamtą dziewczyną, która powstrzymała bójkę, a teraz składała fałszywe oskarżenie.

– To nie był on – stwierdził, uciszając lamentowanie wdowy.
– Skąd wiesz? – spytała z wyraźnym zaskoczeniem.
– Bo go widziałem. To nie on – powtórzył. – Napadły na niego bydlaki z oddziałów szturmowych, również ten, co zginął, jeden z tych dzikusów, który w dodatku był pijany. Inny z nich stwierdził, że już dość, i mieli odejść, ten, co zginął, się sprzeciwił. Wywiązała się między nimi bójka. Ten, który zginął, wyciągnął nóż, drugi mu go wyrwał i wbił mu w szyję. Byłem przy tym i wszystko widziałem, tak samo jak syn aptekarza, tak jak i wszyscy pozostali, i jak dziewczyna, która była świadkiem całego

tego zajścia. Domyślam się, że to ona wskazała go jako zabójcę. Ale to nieprawda. Ten chłopak tylko został pobity i uciekł.

– A ty... – wymamrotała pani Metzger, bojąc się odpowiedzi. – Co tam robiłeś?

– Próbowałem mu pomóc.

– To już rozumiem, skąd rozcięcie na wardze i ból zębra. – Theresa Metzger spojrzała na niego czule, po czym zmarszczyła czoło zdziwiona.

– Dlaczego nie poszedłeś na policję?

Jurij z grymasem na twarzy pokręcił ze smutkiem głową.

– Nie wiem... Uciekłem. – Bezwiednie rozłożył ręce, zawstydzony swoim tchórzostwem. – Przyznaję, że się bałem. Tego, że się wpakuję w kłopoty. Zaraz po przyjeździe Villanueva mnie ostrzegł, żebym trzymał się z dala od ulicznych awantur, których jest mnóstwo. Żebym trzymał się z dala od bójek. Przykro mi. Zachowałem się jak tchórz.

– Nie obwiniaj się – odpowiedziała wyrozumiale wdowa. – Niestety, w tym kraju od jakiegoś czasu rządzi strach. Ale dlaczego winić jego?

– Ta dziewczyna знаła tego, który zadał cios... – Jurij przywoływał zgromadzone i ukryte wspomnienia. Mówił tak, jakby myśli uciekały mu przez usta. – Jestem pewny, że zwróciła się do niego po imieniu. Pewnie chce go chronić.

– Logiczne. Musimy iść do Lauferów i im powiedzieć, co widziałeś. Trzeba wyciągnąć chłopaka z tej afery, i tylko ty możesz to zrobić.

≈≈≈

Zasada orkiestracji

Propaganda powinna się ograniczać do niewielkiej liczby idei powtarzanych często, przedstawianych wielokrotnie z różnych perspektyw, zawsze jednak dotyczących jednej koncepcji. Bez rozdźwięków i wątpliwości. Kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Julius Laufer prowadził renomowaną aptekę przy Kronenstrasse od ponad trzydziestu lat. Pochodził z Heidelbergu, gdzie skończył studia na wydziale farmacji. Przeprowadził się do Berlina i podjął pracę jako stażysta u starego aptekarza, który po przejściu na emeryturę wraz z dużą częścią swojej wiedzy przekazał mu aptekę. Wkrótce Julius poznał Dorę i się pobrali. Choć pragnęli zostać rodzicami, udało im się to dopiero po kilku latach. Kiedy już właściwie pogodzili się z faktem, że nie będą mieć dzieci, urodził się Axel, przepełniając ich szczęściem i wdzięcznością. Byli dobrymi ludźmi i oddanymi sąsiadami. Wszyscy ich lubili.

Julius Laufer, poza przepisywanymi pacjentom lekami przygotowanymi według standardowych receptur, wytwarzał też własne medykamenty. Znał się na łączeniu substancji, dzięki czemu stał się dość znany. Posługiwał się starym notatnikiem w okładce z czarnej ceraty. Zapisywał w nim kwoty, które byli mu winni klienci, którym trudno było pokryć na raz koszty leków, więc spłacali je, kiedy i na ile mogli. Niektóre długi zostały zapomniane, ale Julius Laufer się nie upominał, nie był do tego zdolny.

Sam był bardzo solidny, jeśli chodzi o ciężące na nim płatności, i był święcie przekonany, że wszyscy kierują się takimi samymi zasadami. Ani wiek, ani wielkie rozczarowania nie skłoniły do zmiany podejścia i nadal darzył ludzi wyjątkowym zaufaniem.

Axel wychował się w aptece; mimo to od dziecka wiedział, że receptury i słoje z ziołami to nie jego bajka. Lubił nauki humanistyczne. Jego ojciec mocno się zezłościł, kiedy mu powiedział, że chce studiować filozofię. Julius marzył, że ukochany syn podąży jego śladem i że będzie mógł przekazać w jego ręce wszystkie swoje lecznicze tajemnice. Ale nie miał wyjścia, musiał się pogodzić z jego decyzją.

Lada moment kończył studia, ze znakomitymi wynikami, których gratulowało mu całe grono profesorskie, i zamierzał zrobić doktorat i zostać wykładowcą na uczelni, co napełniało jego ojca dumą.

Dora Laufer z kolei była doskonałą krawcową, robiła poprawki dla ekskluzywnego butików i szyła na zamówienie dla prywatnych klientek, do których zaliczała się pani Metzger, z którą łączyła ją wyjątkowa, wieloletnia przyjaźń. Dora była niczym poduszka, w którą Theresa Metzger mogła się wyplakać w straszliwie trudnym okresie żałoby, kiedy jej mąż zaginął na wojnie, z kolei Theresa okazała się dla Dory wybawieniem w kwestii opieki nad Axelem, kiedy w czasie jego dzieciństwa nie mogła się nim zająć z powodu dużej liczby zleceń albo dlatego że musiała pomagać mężowi w aptece.

Lauferowie mieszkali nad apteką. Wiedli życie dostatnie, ale bez przepychu, bo mimo poważnego kryzysu w ostatnich latach sytuację mieli naprawdę dobrą. Ludzie zawsze potrzebowali medykamentów, które leczą lub poprawiają stan zdrowia, a wskutek braku pracy wielu nie było stać na kupno nowych ubrań, więc naprawiali stare, przerabiali je i poprawiali, a to oznaczało dodatkową pracę dla Dory.

Kiedy Jurij i pani Metzger dotarli na koniec ulicy, przyspieszyli kroku zaskoczeni widokiem ludzi zgromadzonych przed apteką. Mała szyba lokalu była wybita, podobnie jak szklane drzwi z wypisanym złotymi literami nazwiskiem Laufer. Ale najbardziej bolesny był wielki napis wykonany pociągnięciami czerwonej farby, który pokrywał ściany i głosił: „Bolszewickie świnie. Zabójcy. Won z Niemiec”.

Jurij i wdowa stanęli oniemiałi i przyglądali się temu niepokojącemu spektaklowi. Sąsiedzi szeptali między sobą, zaciekawieni cudzym nieszczęściem. Trzej członkowie brunatnych koszul o wyglądzie bandziorów upajali się tą sceną.

– Co się stało? – spytała głośno Theresa Metzger. – Kto to zrobił? – Nikt się nie odezwał, patrzyli na nią z wyrzutem, jakby przeszkadzało im jej przejęcie. – Gdzie jest Herr Laufer?

– Chcemy, żeby się wynieśli – wypaliła rozwścieczona kobieta, ośmielona przez otaczający ją tłum, miną podkreślając wymowę swoich słów. – Nie chcemy tu komunistów, tym bardziej morderców.

– Myli się pani – zaprotestowała oburzona wdowa. – Tutaj nie ma ani bolszewików, ani morderców. To wszystko pomyłka, niewiarygodne, że państwo mówią coś takiego...

– Niech się wynoszą! – odezwał się ktoś inny kategorycznie. – Mają iść precz!

– Nie zrobili nic złego! – Metzger podniosła głos, coraz bardziej wzburzona. – Cała dzielnica wie, jacy są Lauferowie. To dobrzy ludzie, nie zasługują na takie traktowanie.

Wśród gwizdów podniosły się pełne obelg krzyki. Jurij chwycił wdowę pod rękę i pociągnął, żeby odsunąć ją od rozjuszonego tłumu, ale mu się oparła i zносиła ataki, broniąc honoru przyjaciół i domagając się szacunku dla nich.

– Frau Metzger, proszę nie zwracać na nich uwagi – błagał Jurij. – Wszystko się wyjaśni. Oni są rozwścieczeni. Niech pani nie reaguje. Nie warto się z nimi wyklócać.

– To niesprawiedliwe! – krzyknęła zirytowana.

– Chodźmy do Lauferów – powiedział Jurij. – Porozmawiamy z nimi, a później pójdziemy na policję. Proszę mnie posłuchać.

Pani Metzger uległa i weszła do bramy, a za nią Jurij. Co tchu wbiegli po schodach na piętro. Wdowa zadzwoniła natarczywie, wzburzona i bardzo zmartwiona.

– Dora, Dora, otwórz, proszę cię, to ja, Theresa. – Wciskała dzwonek i pukała do drzwi, podnosząc głos z coraz większym niepokojem. – Dora! Herr Laufer!

Na dźwięk zamka zamilkła. Cofnęła się o krok i czekała, kiedy drzwi bardzo ostrożnie się otwierały. W szparze pojawiła się twarz kobiety.

– Theresa... – wyszeptała. Jej wzrok powędrował do stojącego za wdową Jurija. Metzger zorientowała się, że przyjaciółka jest nieufna. – Nie martw się, on jest ze mną. Mamy ci coś ważnego do powiedzenia.

Pani Laufer otworzyła drzwi na tyle, żeby ich wpuścić, i natychmiast zamknęła je z powrotem. Przybyła uściskała przyjaciółkę, na co ona

wybuchła rozpaczliwym płaczem. Stały tak dobrą chwilę, a Jurij z szacunkiem milczał.

Kobieta, szlochając, zaczęła opowiadać głosem przepełnionym niewysłowionym smutkiem.

– Niedawno wrócił pobity... Mało go nie zabili... A teraz to... Wczoraj wieczorem, kiedy już leżeliśmy w łóżku, usłyszeliśmy hałasy. Wyjrzeliliśmy przez okno i zobaczyliśmy, że próbują się dostać do apteki. Weszli na górę, wyciągnęli go z łóżka i siłą zabrali. Bez słowa wyjaśnienia... A teraz twierdzą, że kogoś zabił... Mój syn... – Słowa rwały się na jej rozedrganych wargach. – Mój Axel nie skrzywdziłby muchy... Mój kochany synek... Och, Thereso, co z nim teraz będzie? Co będzie z nami?

– Postaraj się uspokoić, Doro, przyszedliśmy pomóc.

– Frau Laufer – wtrącił Jurij tonem łagodnym, lecz stanowczym. – Pani syn nikogo nie zabił, mogę panią zapewnić.

Gospodyni spojrzała na niego, a wdowa pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Doro, to lokator, o którym ci wspominałam, Jurij Santacruz, Hiszpan – poinformowała, chwytając ją za brodę i uśmiechem próbując złagodzić napięcie. – On wszystko widział, był tam. Próbował pomóc Axelowi.

– To pan... – wszeptła, jakby zobaczyła ducha. – Syn mi opowiedział, że jakiś mężczyzna chciał mu pomóc i sam zebrał za to spore cięgi.

Jurij domyślił się, że Axel nie powiedział matce, że mieszka w kamienicy pani Metzger, a widząc zażyłość pomiędzy rodzinami, odebrał to jako chęć chronienia go. Domyślił się, że chłopak nie wyjawiał jego tożsamości nikomu, żeby nie mieszać go w tę sprawę.

Dora Laufer położyła dłoń na sercu, wysilając się na uśmiech, który zbladł pod wpływem wzruszenia.

– Będę panu dozgonnie wdzięczna za to, co pan zrobił.

– Pani Laufer, pójdę na komisariat opowiedzieć, co zaszło – obiecał wzruszony. – Pani syn był ofiarą, nikogo nie zabił.

– Po niego nie przysłała policja – wyjaśniła Dora. – Tylko te bestie z oddziałów szturmowych... On nic nie zrobił... Mój syn nic złego nie

zrobił... – powtarzała szeptem, jakby chciała zamienić to zdanie w zbawienną mantrę.

W tej chwili pojawił się Julius Laufer, w piżamie, okryty szlafrokiem z ciemnej wełny. Na policzku miał ślad po uderzeniu, a na twarzy – śmiertelną niepewność.

Dora podeszła do niego.

– Juliusie, ten chłopiec pomógł Axelowi, jak na niego napadli. Wszystko widział i zapewnia, że on tego nie zrobił.

– Nie potrzebuję niczyjego potwierdzenia, że mój syn nie jest zabójcą. – Głos brzmiał pewnie, zdawało się, że słowa rozdzierają mu gardło.

– Herr Laufer, pójdę na policję i złożę zeznania. Nie będą mieli wyjścia, będą musieli uwolnić pana syna. Był pierwszą ofiarą tej bijatyki.

Mężczyzna przez chwilę patrzył przed siebie. W jego oczach lśniły wdzięczność i rozpacz.

– To na nic... – oznajmił w końcu, wracając do okrutnej rzeczywistości.

– Mieli go na celowniku. Axel mnie uprzedzał, że powinniśmy być przygotowani. – Na jego twarzy malowała się zupełna bezradność. – W szkole odmówił wstąpienia do Hitlerjugend, a na uniwersytecie naciskali na niego, żeby zapisał się do partii nazistowskiej; z powodu odmowy jest na celowniku tych najbardziej zagorzałych zwolenników nazizmu. Poza tym kilka razy występował w obronie profesora Siegela, kiedy ci fanatycy rozwalali jego wykłady obelgami i wywodami. Sam Herr Siegel odwiedził mnie niedawno: bardzo dziękował za to, co Axel dla niego robi, ale błagał, żebym go przekonał, żeby nie występował w jego obronie, bo będzie się czuł odpowiedzialny, jeżeli cokolwiek mu się stanie. Już wtedy mnie uprzedzał, że rozpuszczają poważne oskarżenia wobec nas: że nazywa się nas komunistami, a co gorsza, że do moich leków dodają szkodliwe substancje, żeby zrobić krzywdę klientom.

– Wszyscy wiedzą, że to nieprawda – weszła mu w słowo pani Metzger.

– Łatwo dowieść prawdy.

Julius Laufer spojrzał na nią ze smutkiem.

– Żyjemy w takich czasach, że to nie ma znaczenia. Bardzo łatwo zamienić kłamstwo w prawdę, jeśli dzięki temu mogą osiągnąć cel. Mają na to swoje sposoby i środki. Ich propaganda jest jasna: „Kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą”. – Pokręcił spuszczoną głową, ze smutkiem na twarzy. – Wiedziałem... Wiedziałem, że prędzej czy później Axel zapłaci za bezkompromisowe dążenie do tego, żeby iść własną drogą. W obecnej sytuacji w tym kraju trzymanie się z dala od wytyczonego szlaku ma swoją cenę. Axel nie zna się na polityce, nigdy nie interesowały go ani ideologie tych najemników, ani ich hasła, a oni nie mogą mu tego zapomnieć. Dla nich sytuacja jest jasna: albo jesteś z nimi, albo przeciwko nim.

W tym maleńkim korytarzu, w którym wszyscy stali, jakby zatrzymali się po drodze i nie byli w stanie przejść do wygodniejszego miejsca, atmosfera stawała się coraz gęstsza. Pan Laufer patrzył na Jurija małymi szarymi oczami pełnymi łez. Położył dłoń na jego przedramieniu, siląc się na uśmiech, i wyszeptał „dziękuję”, ale słowo zgasło na jego drżących wargach. Odwrócił się i zniknął. Jego ciężkie kroki oddalały się na korytarzu, aż ucichły.

Na klatce schodowej wdowa wyjaśniała Jurijowi, jak dojść do Alexanderplatz, gdzie znajdował się posterunek policji. Nie chciała z nim iść, bo zamierzała przekonać Lauferów, żeby przenieśli się do jej mieszkania, przynajmniej dopóki sytuacja się nie uspokoi. Kiedy mieli się pożegnać, na schodach pojawił się wysoki, szczupły mężczyzna, o dość niechlujnym wyglądzie, w okrągłych okularach w plastikowych oprawkach i z rzadkim, jasnym wąsem, w przydużym garniturze, w rozpiętej marynarce i kurtce, z lekko pomiętą koszulą i opuszczonym węzłem krawatu. Przechylony do tyłu kapelusz odsłaniał czoło.

– Fritz, co ty tu robisz? – zagadnęła go zdziwiona Theresa Metzger.

– Dzień dobry, pani Metzger. Przeczytałem informację. Mama prosiła, żebym przyszedł sprawdzić, jak się trzymają, i chciałbym, jeśli to

możliwe, zebrać informacje.

– Lepiej daj sobie spokój, przynajmniej dziś. Lauferowie są wstrząśnięci.

– Dobrze, spróbuję innym razem, ale chciałbym poznać ich wersję, głównie dlatego, że na pewno jest inna od tej, która się ukazała. – Chwilę się wahał, jakby się nad czymś zastanawiał. – Tylko jedno pytanie, pani Metzger: wiadomo, dokąd go zabrano?

– Nie, Fritz, nic nie wiedzą. Nie zatrzymała go policja. Wygląda na to, że zniszczenie apteki i zatrzymanie to robota SA.

Słuchał słów wdowy w skupieniu, zastanawiając się nad konsekwencjami.

– Proszę mi dać znać, jak będzie można z nimi porozmawiać, dobrze?

– Pewnie.

Mężczyzna kiwnął dłonią na pożegnanie, odwrócił się z uśmiechem i zaczął schodzić.

– Fritz, zaczekaj – zatrzymała go kobieta. – Może się przydasz. Może zyskasz materiał na dobry artykuł.

Wrócił do nich.

– To ja lecę... – powiedział ostrożnie Jurij.

– Nie, poczekaj. Jurij, to jest Fritz Siegel, syn sąsiadów z pierwszego piętra. Pan Siegel to wykładowca, o którym mówił Julius Laufer. – Zwróciła się do Fritza: – To Jurij Santacruz, mój nowy lokator na poddaszu. Pracuje w hiszpańskiej ambasadzie. Wszystko widział. – Wdowa opowiedziała Fritzowi o całym zajściu i o tym, że Jurij zamierza pójść na policję i zeznawać w obronie Axela Laufera.

– Jesteś pewien tego, co mówisz?

– Absolutnie – potwierdził Jurij, słysząc powątpiewanie dziennikarza.

Do rozmowy wtrąciła się pani Metzger:

– Idź z nim, Fritz. Muszę was zostawić. Pozdrów swoją piękną żonę. – A spoglądając na Jurija, dodała: – Zostawiam cię w najlepszych rękach. Możesz mieć do niego pełne zaufanie. Zawsze wie, co robić.

– Pani jest dla mnie bardzo miła, Frau Metzger – odezwał się Fritz.

Pożegnała ich serdeczną miną i weszła do mieszkania Lauferów. Mężczyźni zostali sami na klatce, twarzą w twarz. Jurij czuł się niezręcznie. Zdawało się, że ten dziennikarz bada go wzrokiem.

– Więc chcesz iść na policję.

– Tak nakazuje sumienie – odparł.

Fritz uniósł dłoń do ust, marszcząc czoło, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Tak... A jeśli rzeczywiście byłeś świadkiem zabójstwa tego chłopaka, dlaczego nie poszedłeś zgłosić tego tej samej nocy?

Jurij poczuł się zaatakowany. Pytanie go wzburzyło, bo wstydził się odpowiedzi, tego, że był zmuszony do tłumaczenia się ze swojego tchórzostwa temu typowi, którego dopiero co poznał. Nabrał powietrza i uniósł brwi.

– Nie chciałem pakować się w kłopoty – oznajmił stanowczym głosem. – Wystarczy ci?

Nie czekał na odpowiedź. Zbiegł po schodach i wybiegł na ulicę. Tłum coraz bardziej rozjuszonych gapiów wykrzykiwał obelgi wobec Lauferów, a wśród nich przodowały chłopaki z SA. Wahał się chwilę, ale ruszył, usiłując przypomnieć sobie wskazówki wdowy, jak dotrzeć do Alexanderplatz. Za plecami usłyszał głos Fritza:

– Santacruz, zaczekaj.

Jurij obejrzał się przez ramię, ale nie stanął. Fritz go dogonił i szedł razem z nim.

– Nie chciałem cię urazić. Ale na pewno wiesz, co robisz?

– Powinienem być to zrobić dużo wcześniej.

– Moim zdaniem to nie jest dobry pomysł.

– A ty byś tego nie zrobił? – Pytanie było dobitne. Jurija denerwowało protekcyjne podejście, z jakim traktował go natrętny dziennikarz.

– Gdyby to coś mogło dać, to pewnie, że tak, ale ta sprawa pociągnęła już dostateczną liczbę ofiar.

– Co masz na myśli? – spytał Jurij.

– Że miałeś słuszne obawy i że najprawdopodobniej wpakujesz się w niezłe tarapaty, między innymi dlatego, że policja nie ma z tym nic wspólnego. Jeśli to sprawa oddziałów szturmowych, żaden policjant nie kiwnie palcem w obronie kogoś zatrzymanego przez SA. Żaden, rozumiesz?

– Popełniłem błąd, przemilczając, co widziałem, ale błędy należy naprawiać, im szybciej, tym lepiej.

– Santacruz, jeśli pójdziesz na komisariat, przede wszystkim spytają cię, dlaczego nie przyszedłeś w dniu napadu. A później może ci się przydarzyć wszystko, a nie będzie to nic dobrego, na przykład oskarżą cię o współudział.

Fritz nie zdołał złamać postanowienia Jurija.

Kiedy dotarli do drzwi posterunku policji, zatrzymał się przed nimi, jakby miał przed sobą górę do zdobycia. Sapnął niepewnie przed szyldem „Polizeirevier” przy wejściu, który zdawał się go ganić, i pokręcił głową zdesperowany.

– Jeśli tego nie zrobię, do końca życia nie będę mógł spokojnie spać.

Fritz zacisnął wargi zamyślony; uniósł dłoń do kapelusza i westchnął.

– W porządku – odezwał się w końcu. – Jak chcesz. Pójdę z tobą.

– Nie ma potrzeby.

– Obiecałem pani Metzger. A ja zawsze dotrzymuję słowa.

Zgodnie z przewidywaniem Fritza wizyta na komisariacie okazała się kompletną porażką. Koszmar rozpoczął się w chwili, kiedy Jurij powiedział funkcjonariuszowi za ladą, co go sprowadza. Policjant zadał mu kilka pytań, zanotował informacje i kazał czekać. Jurij i Fritz usiedli na drewnianej ławce na długim korytarzu i czekali ponad godzinę. Niewiele rozmawiali. Fritz palił jednego papierosa za drugim, wstawał i wolnym krokiem chodził z kąta w kąt zamyślony, z jedną dłonią w kieszeni, a w drugiej trzymając papierosa. Jurij przyglądał mu się z ławki, oparty plecami o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Fritz się zatrzymał, zaczął szperać po kieszeniach i poklepywać je, jakby czegoś szukał.

– Masz papierosa?

Jurij pomacał kurtkę i pokręcił głową.

– Niestety, zostawiłem u pani Metzger.

– Pójdę kupić. W takich miejscach robię się niespokojny i tylko tytoń mnie uspokaja. Zaraz wracam.

Jurij tylko kiwnął głową.

Fritz szybko wyszedł z komisariatu. Jak tylko zniknął z zasięgu wzroku, Santacruz rozejrzał się dookoła i poczuł dojmujące osamotnienie; do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu pomaga obecność dziennikarza. Wysunął się na krzesło, oparł łokcie na kolanach i zanurzył głowę w dłoniach. Choć próbował, nie był w stanie powstrzymać strachu przed konsekwencjami tego, co mógł mu przynieść ten bohaterski czyn. Był przekonany, że Villanueva nie pochwaliłby tego, co robi. Do tej pory nie pomyślał o jego reakcji. Od niego zależał jego pobyt w Berlinie, mógł go odesłać do Madrytu. Wyrzucał sobie własną głupotę. Powinien był posłuchać Fritza.

Kiedy chciał zrezygnować i wyjść, usłyszał swoje nazwisko z drugiego końca korytarza. Wstał i podszedł do policjanta czekającego na niego przy schodach, po których zaczął wchodzić, gdy Jurij do niego podszedł. Chłopak rzucił ostatnie spojrzenie, wyczekując powrotu Fritza. Policjant się zatrzymał i ponaglił go, żeby szedł dalej. Weszli na pierwsze piętro, przeszli korytarzem do drzwi z tabliczką „Kriminalkommissar”. Policjant zapukał dwa razy i jak tylko ze środka rozległ się głos, otworzył, przesunął się na bok i wskazał Jurijowi, żeby wszedł, po czym zamknął za nim drzwi. Gabinet był bardzo przestronny, z dużym oknem wychodzącym na ulicę. Powietrze było gorące, gęste. Siedzący za wytartym biurkiem policjant, ewidentnie wyższy rangą, przeglądał dokumenty. Od czasu do czasu poprawiał palcem okulary na nosie. Policyjna czapka leżała z boku na biurku.

– Proszę siadać – rozkazał. Jurij spokojnie zajął jedno z krzeseł. Dopiero wtedy policjant podniósł wzrok i spojrzął na niego z przytłaczającą stanowczością. – Widzę, że był pan świadkiem przestępstwa i chce złożyć zeznania.

Santacruz potwierdził.

– Słucham.

Jurij niepewnie zaczął relacjonować przebieg wydarzeń, starając się nie pominąć żadnego szczegółu. Mężczyzna przyglądał mu się z wyraźną niechęcią. Kiedy opowiedział już wszystko, a nawet usprawiedliwił się, dlaczego wcześniej nie przyszedł zgłosić zdarzenia, zapadła cisza. Oczy mężczyzny nadal świdrowały go, jakby policjant dokonywał wyczerpującej analizy każdego gestu, słowa i sposobu, w jaki zostało wypowiedziane.

– To wszystko? – spytał po chwili z pogardą.

– Tak, proszę pana.

– Poproszę pana dokumenty.

Santacruz wyciągnął paszport i mu go podał. Policjant uważnie przejrzał strony, a później milczał przez kilka długich, pełnych napięcia sekund. Uderzając w stół krawędzią dokumentu, zastanawiał się, co zrobić. W końcu wstał, a jemu kazał zaczekać. Zniknął z paszportem, zostawiając go samego w gabinecie. Po ponad pół-godzinie czekania Jurij nie mógł już dłużej opanować zniecierpliwienia i wstał, chcąc odnaleźć kogoś, kto by mu powiedział, co się dzieje, ale kiedy otworzył drzwi, stanął twarzą w twarz z mężczyzną w świetnie skrojonym ciemnoszarym garniturze z diagonalu, białej koszuli i dzianinowym perłowszarym krawacie. Bił od niego silny zapach męskich perfum, bardzo pasujący do eleganckiego wyglądu. Był trochę wyższy od Jurija, barczysty, dobrze zbudowany, około pięćdziesiątki. Miał duże, intensywnie niebieskie oczy, spod ciemnego kapelusza wystawały bardzo jasne włosy, wygolone nad uszami i na karku, miał cienkie wargi i wydatne policzki, przez co sprawiał wrażenie twardego, złowrogiego. Jurij zwrócił uwagę na partyjny znaczek w klapie.

– Wybierał się pan dokądś? – spytał poważnym tonem z lodowatą miną mężczyzna.

– Dość długo czekam. Pomyślałem, że...

– Zaraz kończymy.

Jurij się odwrócił i podszedł znów do krzesła. Mężczyzna wszedł za nim, zamknął drzwi i skierował się do drugiego końca stołu.

– Proszę usiąść.

Jurij wykonał polecenie. Mężczyzna stał, przyglądając mu się z góry, oddzielony od niego biurkiem. Zanurzył dłoń w kieszeni spodni; Santacruz zauważył, że w drugiej trzymał jego paszport.

– Co pana łączy z Axelem Lauferem?

– Nic. Zeznałem, że go nie znam. Chciałem mu pomóc, kiedy go bili na ulicy.

– Jest pan pewien, że to był on?

– Oczywiście.

– Skąd ta pewność, skoro go pan nie zna?

– Widziałem jego twarz, tę samą, która pojawiła się w dzisiejszej gazecie.

– Kogo jeszcze pan widział?

– Pół tuzina ludzi, członków SA, i dziewczynę, która się pojawiła i też wszystko widziała.

– Co to za dziewczyna?

– Nie wiem.

– A czy tego, kto, pana zdaniem, jest sprawcą przestępstwa, byłby pan w stanie rozpoznać?

Jurij zastanawiał się przez kilka sekund.

– Chyba tak.

– Chyba czy na pewno?

– Na pewno – odpowiedział stanowczo.

Mężczyzna cały czas stał w wyniosłej pozie. Otworzył paszport i skrupulatnie go przejrzał.

– Urodził się pan w Rosji? – spytał, unosząc wzrok znad kartek.

– Tak, proszę pana, w dawnym Sankt Petersburgu. Ale, jak pan widzi, obywatelstwo mam hiszpańskie. Mój ojciec pracował w hiszpańskiej ambasadzie do czasu wybuchu rewolucji bolszewickiej.

Zadał mu kilka pytań osobistych: gdzie mieszka, jak długo przebywa w Berlinie, gdzie pracuje, kto jest jego matką, kto ojcem. Jurij odpowiadał na wszystkie z rosnącą niecierpliwością; z każdym pytaniem irytacja i zmęczenie były coraz większe, aż w końcu wybuchł, kiedy mężczyzna zapytał, dlaczego jego matka pozostała w Rosji.

– Nie rozumiem, jakie znaczenie ma to, czy moja matka jest w Rosji, czy nie. Przyszedłem tu złożyć zeznania na korzyść Axela Laufera. On nie zabił tamtego człowieka.

Świdrujący wzrok mężczyzny w nieskazitelnym garniturze go onieśmiał.

– Zeznania innej osoby mówią coś przeciwnego. Oświadczyła z całkowitą pewnością, że Axel Laufer z zimną krwią zabił Petera von Duisburga.

– Ktokolwiek to jest, kłamie – odparł Jurij. – Zdarzenie przebiegało tak, jak panu opowiedziałem.

Znów to powściągliwe milczenie, obliczone na to, żeby zirytować.

– Herr Santacruz, właśnie mnie powiadomiono, że Axel Laufer przyznał się do winy.

Twarz Jurija spochmurniała. Jego wargi pozwoliły wydostać się bełkotowi:

– Niemożliwe... Z jakiegoś powodu kłamie...

– Obawiam się, Herr Santacruz, że jedynym, który kłamie, jest pan. I zastanawia mnie, co pana do tego skłania. Axel Laufer jest komunistycznym aktywistą, popełnił przestępstwo wobec bliskiego krewnego ważnego członka SA. Bardzo podejrzany wydaje się pana upór, żeby uwolnić go od oskarżenia o zabójstwo i obciążyć nim kogoś innego, a jeszcze bardziej podejrzane jest to, że zjawia się pan tutaj trzy dni po zbrodni, której, jak pan twierdzi, był pan świadkiem.

Jurij nagle poczuł się pokonany. Zrozumiał słowa Fritza i zaczął się denerwować, puls mu przyspieszył. Czuł silny ucisk w piersi, jakby spojrzenie tego mężczyzny go przygniatało. Chciał stąd wyjść.

– Herr Santacruz, proszę uważnie posłuchać tego, co panu powiem: sprawa Axela Laufera jest sprawą Niemiec i pana nie dotyczy. Będzie lepiej, jak pan zapomni o wszystkim, co, pana zdaniem, pan widział. Dla dobra pana i samego Laufera.

Te słowa wydały się Jurijowi jawną groźbą.

– Może pan wyjść – powiedział mężczyzna, rzucając paszport na biurko z pewną pogardą, jakby darował mu życie. – Ale uprzedzam: proszę zapomnieć o tej sprawie, bo inaczej drogo pan za to zapłaci.

Jurij wziął paszport, wstał, odwrócił się i mało nie upadł, bo tak drżały mu nogi.

Mężczyzna, kiedy został sam, wziął telefon i wykręcił numer.

– Von Schönberg przy telefonie – odezwał się głos po drugiej stronie.

– Ulrich, pojawił się problem. Czekam na ciebie w moim gabinecie za godzinę.

Fritz siedział na tej samej drewnianej ławce, na której zostawił Jurija. Palił ze zmartwioną miną. Kiedy zauważył Santacruza, podszedł do niego.

– Co się stało? – spytał.

– Poczęstujesz mnie papierosem? – poprosił Jurij z grymasem na twarzy.

Zapalił od płomienia podanego przez Fritza i mocno się zaciągnął. W tej chwili dobiegły ich odgłosy kroków i pojawił się mężczyzna w ciemnoszarym garniturze, zmierzający w ich stronę szybkim krokiem. Na jego widok Fritz się zerwał, jakby zobaczył diabła. Mężczyzna minął ich, nawet na nich nie spoglądając, włożył kapelusz i wyszedł na ulicę.

– Miałeś rację, Fritz. – Jurij lekkim kiwnięciem głowy wskazał wychodzącego mężczyznę. – Ten policjant, czy ktokolwiek to jest, mi

groził. Kazał zapomnieć o tej sprawie...

– Rozmawiałeś z nim? – spytał Fritz ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

Jurij kiwnął głową. Zdenerwowany przysuwał papierosa do ust, wciągał i wypuszczał powietrze, jakby z dymem chciał uwolnić całe skumulowane napięcie.

– Sprawa się komplikuje... – wyszeptał Fritz.

– Kto to jest?

– Gruba ryba z SD, wywiadu SS, człowiek z wielką władzą, który jest bardzo blisko z Himmlerem i oczywiście samym Hitlerem. Jest zatwardziałym nazistą, zagorzałym antykomunistą, nienawidzi ich z całego serca. Od zeszłego lata zaciekle ściga i likwiduje wszystkich dysydentów. Wcześniej skupiał się tylko na bolszewikach, ale teraz swoje zainteresowania rozszerza na socjalistów, związkowców, niewygodnych dziennikarzy, wszystkich, którzy znajdują się poza nawiasem jego orbity politycznej i ideologicznej. Miałem z nim do czynienia kilka razy, ale na razie mi się upiekło. Największy problem w tym, że ci ludzie działają na granicy prawa, żadnych sądów, prawników, obrony... Jak cię dorwą, to przepadłeś.

Fritz zauważył, że Jurij jest bardzo blady i czoło ma zroszone potem.

– Dobrze się czujesz? – spytał zmartwiony.

Jurij znów wziął papierosa do ust, zaciągnął się mocno, a później zgasił go w popielnicy pełnej petów, która stała przy drewnianej ławce. Wsunął palce pod kołnierzyk koszuli i poluzował krawat.

– Chodźmy stąd... Duszno mi.

≈≈≈

Zasada wiarygodności

Opierać argumenty na różnych źródłach poprzez tak zwane sondowanie lub informacje fragmentaryczne.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Na ulicy ruszyli bez konkretnego celu. Jurij szedł szybko, jakby goniony przez coś lub kogoś. Fritz szedł obok i obserwował go kątem oka.

– Dasz się zaprosić na piwo?

Dopiero wtedy Jurij zwolnił.

– Dziękuję... – Wysilił się na uśmiech. – Łyk piwa chyba dobrze mi zrobi.

Był wykończony, czuł się, jakby stoczył walkę na froncie. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, nic nie rozumiał. Poszli do pubu, do którego chadzał Fritz. W niskim wnętrzu unosił się kwaśny zapach rozlanego piwa, zmieszanego z wonią papierosowego dymu. Pstrokata sala z długimi stołami i drewnianymi ławkami była w połowie pusta.

– Mamy szczęście. – Fritz skinieniem głowy wskazał jeden ze stolików w głębi sali, przy którym, popijając piwo, czytał książkę mężczyzna o ponurym wyglądzie. – Chodź, poznasz kogoś, kto dobrze się orientuje w tym, co dzieje się teraz w Niemczech.

Podeszli, a posepny człowiek podniósł wzrok, jakby cały czas był czujny na to, co dzieje się dookoła. Na ich widok podniósł się z uśmiechem.

– Fritz, jak się cieszę... – Uścisnęli sobie serdecznie dłonie. – Dawno cię nie widziałem. Siadajcie. Co u Nicole?

– Wszystko w porządku, dziękuję – odpowiedział dziennikarz, siadając. Jurij poszedł w jego ślady i zajął miejsce tyłem do sali, przodem do obu mężczyzn, którzy usiedli razem po drugiej stronie stołu. – To Jurij Santacruz. Jest w Niemczech niecały miesiąc, ale już zaczyna się orientować, jak wygląda życie u nas. – Następnie zwrócił się do Jurija: – Poznaj Hansa Littena, jedyne go prawnika, który odważył się wezwać na świadka samiuśkiego Adolfa Hitlera w procesie w sprawie napadu na lokal taneczny Edenpalast przeciwko kilku członkom SA, którzy zaatakowali paru młodych przeciwników, a najlepsze, że wyprowadził go z równowagi i ośmieszył.

Jurij i Hans podali sobie ręce. Litten miał wygląd młodego intelektualisty; w okrągłych okularach, z ciemnymi włosami z dużymi

zakolami, w szarym garniturze i krawacie w żywych kolorach, na którego węzeł zachodziły krawędzie łamanego kołnierza koszuli.

– Na nic mi się to zdało – oznajmił z niesmakiem. – Od tamtej pory słono za to płacę.

– Ataki personalne się nie skończyły? – spytał Fritz, zmazując uśmiech z jego twarzy.

– Zawodowe też nie. Stają w drzwiach mojej kancelarii i upominają każdego, kto próbuje wejść. Moja biedna matka odchodzi od zmysłów... A teraz, kiedy ma władzę... Jeśli nacjonaści wygrają wybory, jest po mnie.

– Myślisz, że wygrają? – dopytywał Fritz.

– Tak. A jeśli nawet nie, na jedno wyjdzie: przejmą władzę siłą. Prezydent Rzeszy popełnił poważny błąd, mianując kanclerzem Hitlera. Zdaje im się, że na tym stanowisku będą mogli nim manipulować, ale się mylą. Hindenburg wręczył mu wytrych do definitywnego zniszczenia demokracji w Niemczech.

– Obyś się mylił.

– Hitler to niewykształcony podżegacz, wykorzystuje teorie germanizmu w sposób niegodziwy. – Prawnik zacisnął wargi w zamyśleniu. – I obawiam się, że będzie bezlitosny wobec tych, którzy mu przeszkadzają... Powinniśmy zachować ostrożność.

– Jeśli zaczniemy się ich bać, to będzie znaczyć, że już wygrali bitwę – zaprotestował Fritz. – Jesteśmy Niemcami.

– Ale ja jestem Żydem, nie zapominaj...

– Jesteś Niemcem prawdziwszym niż Hitler, urodziłeś się w Niemczech, a on w Austrii.

– Jestem na muszce, Fritz, i nie mam jak uciec. – Było słyhać, że Litten jest zrezygnowany.

Zamilkli, ponieważ podszedł kelner. Zamówili trzy piwa. Kiedy się oddalił, Fritz opowiedział mu o sprawie Axela Laufera i o tym, co Jurij przeżył na komisariacie.

– Wygląda na to, że Axel przyznał się – powiedział Jurij. – Ale to nieprawda. Ten chłopak nic nie zrobił. Nie wierzę, że wziął na siebie winę.

– Najprawdopodobniej zrobił to z lekką pomocą – skwitował Fritz.

– Chcesz powiedzieć, że go torturowali? – spytał zdumiony Jurij. – To niemożliwe. Republika Weimarska jest demokracją, państwem prawa, ma ustawy i zasady, ma parlament i wolne wybory. Nie, to niemożliwe – powtórzył.

– Obawiam się, że twoja wizja Niemiec nie przystaje do rzeczywistości – ocenił Fritz.

– Ciesz się, że jesteś obcokrajowcem – wtrącił adwokat. – Inaczej nie siedziałbyś tu przy piwie. Zatrzymaliby cię pod byle pretekstem. Mają wpływy w coraz większej liczbie instytucji.

– Ale kto tym wszystkim kieruje? – spytał Jurij, nic nie rozumiejąc.

Hans Litten chwycił książkę, którą czytał, gdy przyszli. Na czerwonej okładce wybijały się białe litery tytułu: Mein Kampf Adolfa Hitlera.

– Jak to: kto? Autor tego pamfletu i cała zgraja, którą się otoczył. Nowy kanclerz to człowiek bez skrupułów, przepelniony nienawiścią i uprzedzeniami, gotowy przejąć władzę bez względu na cenę. Będzie próbował wszystkiego. Jeśli nie uda mu się osiągnąć tego w sposób demokratyczny, nie zawaha się przed rozpętaniem rewolucji. Brutalnej, jeśli będzie trzeba. Właściwie od lat prowadzą ją jego oddziały szturmowe.

– Masz na myśli SA? – przerwał mu zaciekawiony Jurij.

– Tak, Sturmabteilung są częścią partii nazistowskiej niemal od samego jej założenia trzynaście lat temu. Działają jako jej ramię zbrojne. Werbuja bezrobotnych, przestępców, mężczyzn bez przyszłości, dają im mundur i wypłacają pensję w zamian za ślepe posłuszeństwo. Oni zajmują się tłumieniem wszelkich oporów i eliminowaniem wszystkiego, co im przeszkadza, a Hitler występuje jako orędownik pokoju.

– A SS? Czym się zajmują?

– Schutzstaffel to ochroniarze – odpowiedział Litten. – Elita rasowa, ludzie, na których Hitler może liczyć, bo przysięgli mu absolutną dozonną lojalność.

– Są zawsze obok przywódcy i członków kierownictwa partii – dodał Fritz. – Stoją, żeby wszyscy ich widzieli, w czarnych mundurach z runami.

– Do SS nie dostaje się byle kto – ciągnął prawnik. – Tam są najlepsi, wybrani, uważają się i czują za lepszych, i w pewnym sensie są, bo są lepiej przygotowani. Rekruci muszą być dobrze zbudowani i być czystymi Aryjczykami; muszą przedstawić historię genealogiczną sięgającą połowy zeszłego wieku, w której nie może się pojawić żaden przodek żydowskiego pochodzenia.

– To antysemita, antykomuniści i antychrześcijanie – dodał dziennikarz. – Ich celem jest stworzenie nowej religii opartej na ideologii nacjonalistycznej. To szaleństwo, ale jeśli go nie zatrzymamy, może stać się rzeczywistością, i to całkiem niedługo.

Fritz wypił łyk ze swojego kufła. Adwokat zrobił to samo. Jurij przyglądał się im w osłupieniu.

– Ale przecież są tu wybory, to system oparty na praworządności. Co nieco wiem o rewolucjach. Rosyjskiej doświadczyłem na własnej skórze.

W dużym skrócie streścił im swoje przeżycia.

– Hitler będzie próbował przejąć władzę bez przemocy, przynajmniej takie będzie sprawiał pozory – podkreślił Litten. – Ale jemu jest to obojętne. Użyje wszystkich dostępnych środków, żeby nagiąć prawo do swoich potrzeb.

– Przecież naród niemiecki się na to nie nabierze – oburzył się Jurij. – To nie Rosja. Niemcy na to nie pozwolą.

– Oczywiście, że to zrobi... – odparł Litten. – Już robi, zaczynając od prezydenta Rzeszy. Hitler jest już kanclerzem i wkrótce zawładnie krajem. Doprowadzi nas do katastrofy. Europa powinna się bacznie przyglądać temu, co się tutaj dzieje. Nasza przyszłość będzie zależeć od tego, czy inne państwa zareagują na czas, czy nie.

Przez kilka sekund milczeli, wszyscy trzej trzymając kufle za ucho, zamyśleni, pochłonięci swoimi zmartwieniami i obawami.

– A co zrobimy z Axelem Lauferem? – Jurij rozpostarł dłonie w pytającym geście. – Nie możemy pozwolić, żeby gnił w więzieniu, skoro wiemy, że jest niewinny.

Fritz wypił łyk piwa i spojrzał na prawnika, ale ten pokręcił głową.

– Zapomnij. Gdybym kiwnął palcem w sprawie tego chłopaka, pogroziłbym go na dobre.

– Zadzwoń w kilka miejsc – oznajmił Fritz. – Postaram się dowiedzieć, gdzie go trzymają.

– Mógłbyś to zrobić? – spytał z nadzieją Jurij.

– Jestem dziennikarzem, mam kontakty. Choć ostatnio wszyscy zaczynają zawodzić. Ja pierwszy chcę wyciągnąć Axela z tego bagna, nie tylko dlatego, że wiem, że jest czysty, ale jestem mu to winien ze względu na to, jak zachował się wobec mojego ojca.

Długo rozmawiali przy piwie. Jurij powoli się rozluźniał. Kiedy mieli zamówić następną kolejkę, Hans Litten zebrał swoje rzeczy.

– Muszę iść. Cieszę się, że cię zobaczyłem, Fritz. – Podał Jurijowi rękę. – Miło cię poznać, Jurij. Oby ci się tu dobrze mieszkało.

Pożegnali się i Litten wyszedł w tej samej chwili, kiedy do lokalu weszła grupa mężczyzn. Ich głosy i śmiechy zburzyły panujący tu do tej pory spokój.

– Patrz, kto przyszedł – wyszeptał Fritz, nie spuszczać wzroku z przybyłych gości. – Ulrich von Schönberg we własnej osobie...

– Który to? – Jurij wykręcił szyję i spojrzał przez ramię.

– Ten w mundurze. – W jego minie widać było pewną awersję. – Syn funkcjonariusza, który cię przesłuchiwał na komisariacie, bandyta z SS, wypisz wymaluj ojciec, za posadę sprzedałby własną matkę. Uosobienie arogancji, mierności i sprytu, a trzeba przyznać, że ojciec jest inteligentny i rozważny. Pod tym względem syn nie dorasta mu do pięt. Ulrich awansował dlatego, że jest synem tego, a nie innego,

w rekordowym tempie został osobistym asystentem samego Himmlera. Niebezpieczny typ.

Jurij jeszcze raz obrócił się przez ramię, a później do Fritza.

– A blondynka, która z nim jest? Wiesz, kto to?

Fritz przyglądał się dziewczynie przez kilka sekund, aż w końcu pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Pewnie któraś z jego dziwek. – Zmarszczył czoło, jakby coś sobie przypomniał. – Ktoś mi mówił, że się ożenił albo ma się żenić.

– Znam tę dziewczynę – oznajmił Jurij, jakby w końcu zdołał się z tym pogodzić. – To ona pojawiła się w czasie bójki i dzięki niej Axela i mnie nie zatłukli na śmierć. – Znow zaczął jej się przyglądać i po kilku sekundach ich spojrzenia się spotkały, ale ona natychmiast zakłopotana odwróciła wzrok. – Ona wszystko widziała.

– Jesteś pewien? – spytał oniemiały Fritz.

Jurij odwrócił się do niego.

– Na sto procent. Tych oczu nie da się zapomnieć.

Od tego dnia Jurij i Fritz często się spotykali. Jurij poznał Nicole Friedman, uroczą żonę Fritza, gadatliwą Amerykankę, wyzwoloną, światową, która pracowała jako fotograf dla magazynu mody. Stanowili idealną parę.

Jurij przekonał się, że Fritz Siegel jest człowiekiem interesującym i dowcipnym. Studiował prawo na Uniwersytecie Monachijskim. W tym czasie interesował się rozwojem i przemianami w niemieckiej partii robotniczej, która dała początek partii narodowosocjalistycznej, NSDAP, potocznie nazywanej partią nazistowską. Zanim skończył studia, nadarzyła mu się okazja podjęcia pracy w redakcji „Münchener Post”, gazecie o profilu wydawniczym bardzo krytycznym wobec Hitlera od samych jego początków działania w polityce. O planach kariery prawniczej zapomniał po paru dniach pracy w dziennikarstwie.

Zaangażowanie i łatwość zdobywania informacji utorowały mu w redakcji drogę do awansu. W kilku artykułach wnikliwie przeanalizował charakter złowieszczej postaci Hitlera, człowieka miernego i skazanego na porażkę, który mimo to w ostatnich miesiącach stał się najwyższym przywódcą rozentuzjasmowanych mas oddanych jego sprawie, i robił to z zadziwiającą prędkością.

Fritz był jednym z pierwszych, którzy przeczytali Mein Kampf, książkę napisaną przez samego Hitlera podczas pobytu w więzieniu, gdzie został umieszczony po puczu monachijskim, próbie obalenia rządu Bawarii, do którego doszło w listopadzie 1923 roku. Od jej wydania w 1925 roku sprzedano zaledwie kilka tysięcy egzemplarzy i ta porażka uspokoiła Fritza, który znał jej wywrotowe, brutalne i głęboko antysemickie treści. Jednak w ostatnich miesiącach sprzedaż alarmująco wzrosła. Mein Kampf stawał się swoistą magna carta życia politycznego i społecznego w całych Niemczech. Fritz go przeanalizował, próbując zrozumieć doktrynę, jaką autor miał w głowie, jego taktykę do stania się wojownikiem o najczystsze wartości Niemiec, niekwestionowanym, jedynym przywódcą. Jego sposób wyrażania się, wyuczone gesty, doskonale wyćwiczony ton, którym zwracał się do mas, ubiór, specyficzny kształt, jaki nadał swoim wąsom... Hitler opracował wszystko co do joty. Mówiło się nawet, że to on zaprojektował oficjalny sztandar partii (czerwone tło z białym kołem i czarną swastyką na środku).

Fritz od lat w swoich artykułach informował o zagrożeniu, jakim jest nazizm, ostrzegając przed narcystyczną, nietolerancyjną osobowością Hitlera i jego wybujałym ego; wziął udział w wielu jego wiecach, widział go i słyszał, poza tym relacjonował zgromadzenia partii w Monachium i innych niemieckich miastach. Jednak coraz mniej ludzi, onieśmielonych możliwymi represjami, wyrażało swoją niezgodę na ten stan rzeczy; przytłaczająca ostrożność zapanowała nawet wśród jego kolegów dziennikarzy, wcześniej krytycznych, a obecnie milczących z powodu strachu przed tym, że wezmą ich na cel zagorzali adepci, którzy mnożyli się niczym śmiertelna trucizna i którzy wdzierali się na

wszystkie płaszczyzny społeczeństwa, do wszystkich klas społecznych: nie miały znaczenia poglądy polityczne wyznawane w przeszłości, kryteria mogły się zmienić z dnia na dzień, wywołując zaskoczenie i niepokój tych, którzy obstawali przy swoim, jak Fritz Siegel. Jego zdaniem zbyt wielu było tych, którzy – co niebezpieczne – milczeli i odwracali głowy w drugą stronę.

Praca w ambasadzie wydawała się Jurijowi nieco nużąca. Podlegał bezpośrednio pod Ericha Villanuevę i polecenia mógł przyjmować tylko od niego; była to jedna z rzeczy, którą ten zastrzegł podczas pierwszej rozmowy, jaką odbyli w jego gabinecie w celu zapoznania go z obowiązkami.

Villanueva urodził się w Berlinie, był synem Hiszpana i Niemki. Dawno skończył czterdzieści lat, ale zachował młodzieńczy wygląd – był wysoki i postawny, z bujnymi czarnymi włosami przygładzonymi pomadą, małym nosem, wąskimi wargami i wydatną szczęką; po matce odziedziczył stalowoniebieski kolor oczu. Jego hiszpański był szorstki, z silnym akcentem, podkreślającym „er”. Obdarzony dźwięcznym śmiechem miał dar zjednywania ludzi i był świetnym rozmówcą, umiał słuchać i mówić bez napastliwości. Był bardzo bystry. W ambasadzie pracował od wybuchu wielkiej wojny. Od ponad dziesięciu lat był w separacji z żoną, która mieszkała w Hamburgu z ich synem i bardzo wysokimi alimentami, które co miesiąc im przekazywał. Od tamtego czasu mieszkał samotnie w budynku niedaleko miejsca pracy.

Villanueva zajmował się całą korespondencją – przychodzącymi do ambasady telegramami, powiadomieniami, komunikatami, różnymi skargami lub roszczeniami, zarówno niemieckimi, jak i od obywateli hiszpańskich. Wszystko czytał, klasyfikował, jeśli należało, sporządzał raport, a na końcu każde pismo przekazywał do stosownego wydziału. Do zadań Jurija należało przyjmowanie całej tej korespondencji w chwili wpłynięcia do sekretariatu. Codziennie musiał dokonywać jej wstępnego

przeglądu, zwracając uwagę na jakikolwiek list, kopertę czy paczkę, których nadawcą był Volker Finckenstein, który mógł się podpisać pełnym nazwiskiem lub tylko inicjałami: VKF. Taką przesyłkę musiał zdjąć z podajnika i natychmiast przekazać do rąk Villanuevy, poza rejestrem. „Jakby nie wpłynęła”, poinstruował go dobitnie tonem zdecydowanie poufnym. Jurij wiedział, że pod tym nazwiskiem coś się skrywało, ale należyty szacunek i lojalność, jakich nauczył się od ojca, nie pozwalały mu dociekać. Zobowiązał się do tego i zgodził na wszystko, zapamiętał nazwisko, bo nie mógł go nigdzie zapisać. Zakaz dotyczył również rozmów na ten temat z kimkolwiek.

Powód przyjazdu Jurija do Berlina był jasny. Kilka dni po objęciu posady, kiedy wiedział, że Villanueva zamierza się spotkać z członkiem rosyjskiej delegacji, Jurij odważył się podzielić z nim swoim pragnieniem poznania losów matki i brata. Sekretarz do spraw komunikacji spojrział na niego tak, jakby zaproponował morderstwo.

– Ani się waż kiwnąć palcem w tej sprawie.
– Muszę się dowiedzieć, co się z nimi stało i jak żyją – odezwał się błagalnie z żalosną miną. – Proszę się postawić na moim miejscu.

Villanueva przyglądał się mu z grymasem na twarzy.

– Jurij, zapomnij o matce i o bracie. Posłuchaj mnie. Nie tykaj się tego gówna. Pożałujesz, jeśli to zrobisz.

Jurij patrzył na niego z niezrozumieniem i uporem. Przygniotła go ciężka rozpacz, jakby te słowa rozerwały mu serce.

– Gównem, o którym pan wspomniał, jest moja matka i mój młodszy brat. Nie mam z nimi kontaktu od dwunastu lat. – Jego oczy zaszły mgłą. – Niech mnie pan zrozumie, muszę ich odnaleźć, żebym mógł dalej żyć. Dla nich poszedłbym do samego piekła.

– Celnie to określiłeś...
– Ja nie jestem jak mój ojciec – wyszeptał Jurij ze smutkiem. – Nigdy ich nie porzuciłem. I nigdy tego nie zrobię.

Villanueva przyglądał się mu w zamyśleniu.

– Rosja to bardzo grząski i niebezpieczny grunt, nawet poza jej granicami. Stosunki między Hitlerem i Stalinem są coraz gorsze. Sytuacja jest napięta i wszelkie kontakty z bolszewikami wywołują nieufność, a ja, będę z tobą szczery, nie mam na to ochoty.

– Nie chcę panu zaszkodzić, absolutnie. Gdyby zaszła konieczność, zrezygnowałbym z pracy w ambasadzie, poszukał innej posady, zająłbym się czymkolwiek, byle się utrzymać, dopóki nie obmyślę, jak dostać się do Rosji.

Villanueva zamyślił się nad pewnym pomysłem, który chodził mu po głowie. Westchnął, zacisnął wargi, położył ręce na stole, splótł dłonie i odezwał się poufnym tonem.

– Zrobimy pewną rzecz... – zaczął ostrożnie. – Postaram się przeprowadzić rozeznanie, a ty w zamian zrobisz coś dla mnie.

– O co tylko pan poprosi – odparł Jurij z iskierką nadziei.

– Będę potrzebował, żebyś wykonywał pewne prace niezbyt... – Uniósł rękę i kiwnął dłonią w powietrzu, jakby szukał odpowiedniego słowa. – Jakby to ująć... – Nie przestawał na niego patrzeć, jakby go badał. Przyniósł się do stołu, wysunął głowę i w końcu się odważył. – Są ludzie, którzy, przewidując problemy w niedalekiej przyszłości, decydują się na sprzedanie dobytku i wywiezienie pieniędzy z kraju, tak żeby wszystkiego nie stracić. A my im w tym pomagamy w zamian za skromną kwotę. To interes uczciwy dla obu stron; jeśli nie zrobimy tego my, zrobią to inni, posługując się podłymi metodami, mogę cię zapewnić. Krótko mówiąc: potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o przetransportowanie teczek jako torby dyplomatycznej do wskazanego miejsca po drugiej stronie granicy.

– Ale to przemyt waluty – powiedział, nie skrywając zmieszania. – To nielegalne.

– Granice prawa bywają elastyczne – wyszeptał Villanueva. – Ale zgadza się, to przestępstwo i grozi za nie dziesięć lat więzienia. Wiąże się z dużym ryzykiem, nie będę cię czarował. Wszystko zależy od wynagrodzenia, inaczej byłoby absurdem. Sam będziesz wiedział, do

jakiego momentu będziesz w stanie się tym zajmować. Za każdą podróż będziesz mógł otrzymać znaczącą kwotę, a dodatkowe pieniądze ci nie zaszkodzą, zważywszy na to, że poszukujesz kontaktów, które na ogół są drogie.

Jurij wahał się kilka sekund. Propozycja była kusząca i wiedział, że Villanueva mógłby zapewnić mu dostęp do kontaktów, których potrzebował; miał świadomość, że poszukiwanie ich na własną rękę wiązało się z trudnościami, wymagałoby czasu i środków, a on nie miał ani jednego, ani drugiego.

– A jeśli popełnię błąd?

– Staraj się go nie popełnić. Ale jeśli coś by się wydarzyło, masz mnie. Jesteś pracownikiem hiszpańskiej ambasady. Mam kontakty. Wyciągnę cię z wszelkich tarapatów.

– W takim razie jestem do usług.

– Jesteś zależny tylko od siebie. Ja ci zapewnię niezbędną ochronę jako pracownikowi ambasady. – Machnął dłonią w powietrzu, jakby chciał zbagatelizować sprawę. – Jak będziesz robił, co ci powiem, pójdzie ci o wiele łatwiej, niż przypuszczasz.

– Nie wiem, co o tym myśleć... – odezwał się Jurij z niepokojem. – Wydaje mi się, że to żerowanie na cudzym nieszczęściu.

Villanueva zmrużył oczy i lekko się uśmiechnął.

– Rozumiem twoje opory, Jurij, zważywszy na to, co przeżyłeś... Co mam ci powiedzieć. Jeśli, zgodnie z przewidywaniami, Hitler wygra marcowe wybory, ten kraj czeka wiele zmian, nie wiem, czy na lepsze dla Niemiec, ale jestem pewien, że ten człowiek będzie przekleństwem dla Żydów i tych, którzy mimo wszystko aktywnie będą mu się przeciwstawiać; i dlatego pomagamy wszystkim, którzy chcą stąd wyjechać, zabierając, co do nich należy, czego się dorobili swoją ciężką pracą, dobra odziedziczone po przodkach. To też jest sprawiedliwość.

Po paru sekundach zastanowienia Jurij wyciągnął do niego rękę.

– Może pan na mnie liczyć.

– W porządku – odezwał się Villanueva, czując silny uścisk dłoni. – Oczywiście proszę o całkowitą dyskrecję.

– Może mi pan ufać.

– I ani słowa twojemu ojcu o tym, że zamierzasz nawiązać kontakty z Rosją. Jak się dowie, że chcę ci pomóc, zabije mnie.

– Proszę się nie obawiać, panie Villanueva – odpowiedział z łagodnym uśmiechem. – Mój ojciec nie jest nawet cieniem człowieka, którym kiedyś był.

– Ciekawe, że dzieciom nigdy nie udaje się dobrze poznać swoich rodziców – odparł Villanueva, przekonany o słuszności swoich słów.

Zanim odszedł, Jurij zwrócił się do niego niepewnie:

– Mogę pana o coś spytać?

– Pewnie...

– Wie pan, dlaczego mój ojciec tak kategorycznie zerwał ze wszystkim, co zostawiliśmy w Rosji?

Villanueva zastanawiał się nad odpowiedzią kilka chwil. W końcu pokręcił głową.

– Miał swoje powody. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

Jurij nie dopytywał, bo zdawał sobie sprawę z niezłomnej lojalności Villanuevy wobec jego ojca.

Czarne chmury sprowadziły ciemność jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Wilgotne powietrze było ostre i lodowate i już zaczęło mocno padać. Jurij szedł szybko, skulony, czując lodowaty deszcz zbierający się w zakamarkach płaszcza. Słońca nie widział przez dwadzieścia dni tego zimnego lutego, ciągle pochmurnego, ciągle z deszczem albo śniegiem.

Przed jego bramą stał opel laubfrosch w odcieniu soczystej zieleni. Od razu zwrócił na niego uwagę. Jedne z drzwi były otwarte, a wewnątrz było pełne skrzyń i waliz. Na klatce wpadł na wychodzącą pospiesznie dziewczynę.

– Oj... przepraszam – odezwała się.

On również przeprosił i zdjął przemoczony kapelusz. Miała chustkę na głowie i jasną sukienkę, a na niej fartuszek w kratkę, który zakrywał ją od przodu. Jurij z zaskoczeniem rozpoznał w niej dziewczynę, która interweniowała podczas bijatyki SA z Axelem Lauferem. Ona też go poznała, ale natychmiast odwróciła wzrok; wyminęła go i wyszła na ulicę. Jurij stał w bramie, ze zdumieniem przyglądając się, jak dziewczyna pochyła się do wnętrza samochodu. Jego wzrok zatrzymał się na krągłościach jej pośladków i nie mógł powstrzymać myśli, że są idealne. Zdołał pozbyć się z twarzy głupiej miny, a wtedy ona się odwróciła z dwiema ciężkimi walizkami w rękach.

– Pomogę pani – zaproponował szarmancko.

– Nie trzeba. Dam radę sama, dziękuję.

Ruszyła w stronę schodów, zerkając na niego kątem oka.

– Musi pani wnieść wszystko, co jest w aucie?

– Tak – odpowiedziała, nie zatrzymując się, kiedy zaczęła już pokonywać pierwszy zabieg schodów. – Zrobię kilka kursów.

Jurij znów założył kapelusz, wyszedł na zewnątrz i wziął największą i najcięższą skrzynię, jaką zobaczył w samochodzie, i zaczął wchodzić za dziewczyną. Na drugim piętrze zastał otwarte drzwi. Domyślił się, że to tu powinien zostawić skrzynię. Nie mógł uwierzyć, że ta kobieta miała zostać jego sąsiadką. Wszedł do przedsiionka, a ona pojawiła się w korytarzu.

– Mówiłam, że nie potrzebuję pomocy.

– Ale nie mogę na to pozwolić. Gdzie to zanieść?

Trzymając ręce na biodrach, patrzyła na niego. Zacisnęła wargi, a Jurij dał jej znać, że skrzynia jest ciężka.

– W porządku. Niech pan wejdzie. – Odwróciła się i długim korytarzem przeszła do salonu. Wszystko wyglądało na nowe. W koszach znajdowała się częściowo rozpakowana zastawa stołowa. – Proszę postawić tutaj. – Wskazała wolne miejsce na podłodze.

Zeszli po resztę rzeczy, a kiedy wnieśli ostatni pakunek, już na piętrze Jurij ponownie zdjął kapelusz, żeby się pożegnać.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się, Jurij Santacruz. – Wyciągnął do niej rękę. – Mieszkam na poddaszu.

Przyglądała mu się, uśmiechnęła się i uścisnęła jego dłoń.

– Claudia Kahler. Dziękuję za pomoc.

Zanim wypuścili dłonie, Jurij, marszcząc czoło, w skupieniu zadał jej pytanie:

– Przepraszam... my się chyba znamy?

– Niemożliwe – odparła, natychmiast wypuszczając jego dłoń.

– Jest pani pewna? Wydaje mi się.

– Całkiem pewna – dodała kategorycznie. – Nigdy pana nie widziałam.

Jurij postanowił ustąpić i nie drażnić tematu.

– Gdybym mógł się na coś przydać, wie pani, gdzie mnie znaleźć – rzucił na pożegnanie.

Claudia przyglądała mu się z zaciekawieniem. Była przemoczona. Zdjęła z głowy chustkę i na jej wilgotne czoło opadło kilka blond kosmyków. Odgarnęła je, wycierając twarz rękawem. Jurijowi wydawała się niesamowicie piękna; odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach do swojego mieszkania.

– Chwileczkę.

Zatrzymał się, odwrócił i zobaczył ją w progu opierającą się o futrynę, z opuszczonymi rękami i mokrą apaszką w dłoni.

– Ma pan ochotę na kawę? – spytała uprzejmie. – Chyba pan na nią zasłużył.

Kiwnął głową. Dostrzegł sposobność, żeby choć trochę poznać myśli tej kobiety. Weszli do przestronnej kuchni, bardzo podobnej do kuchni pani Metzger, ale nowocześniejszej. Na białych blatach piętrzyły się kartony ze szklankami, sterty talerzy do poustawiania, kieliszki jeszcze owinięte papierem, garnki, patelnie. Drzwi niektórych szafek były otwarte. Claudia je szybko pozamykała. Na środku stał biały drewniany stół, a przy nim – cztery krzesła. Panowała ciepła i miła atmosfera. Wszystko pachniało nowością.

– Przepraszam za bałagan. Gdybym wiedziała, że urządzenie domu jest takie trudne, zastanowiłabym się przed ślubem. – Poruszała się po kuchni dość chaotycznie. – Chyba nigdy tego wszystkiego nie uporządkuję.

– Zatem domyślam się, że niedawno wyszła pani za mąż.

– W sobotę. Mój mąż jest człowiekiem bardzo zajęтым i musieliśmy zrezygnować z podróży poślubnej. Przesunięta na lato... Tak mi powiedział, ale nie robię sobie złudzeń. Jeśli wygramy wybory, więcej go nie zobaczę. – Wyraźnie cieszyło ją to wyolbrzymienie.

– Jak pani sądzi, kto wygra?

– Hitler, a jakże – oznajmiła. – Partia nazistowska jest gotowa do przejęcia w kraju sterów. Wszystko w Niemczech potoczy się lepiej, odkąd Führer przejmie władzę. – Mówiąc, w kuchennym chaosie szukała kawiarki. W końcu ją znalazła, napełniła wodą, wsypała kawę i postawiła na ogniu.

– Jest pani pewna?

Stała jak wryta i odwróciła się do niego, zaskoczona jego powątpiewaniem.

– Pewnie, że tak. A pan nie?

– Nie jestem tak przekonany, jak pani... Właściwie wolałbym, żeby nie wygrał.

– Chyba nie jest pan komunistą? – zaniepokoiła się.

– Neeee. – Jurij parsknął śmiechem. – Skąd. – Nie mógłbym nim być, komunizmu doświadczyłem na własnej skórze. Komunistą nie jestem, ale nacjonalistyczne metody też do mnie nie przemawiają. Podoba mi się demokracja.

– Demokracja ma wiele pęknięć, przez które naród stopniowo się wykrwawia. Wystarczy popatrzeć na sytuację Niemiec, odkąd ją mamy, coraz bardziej się pogrążamy.

– Problem tkwi w tym: jaki stopień doskonałości mogą osiągnąć systemy totalitarne, obojętnie który, obojętnie spod jakiej bandery.

– Nazizm nie jest systemem totalitarnym, jest jedynym sposobem na zjednoczenie narodu niemieckiego, aby zbudować silne Niemcy, światową potęgę. Tym jest nazizm.

– Tylko czas pokaże, kto ma rację, pani czy ja.

Przyglądała mu się nieustępliwym wzrokiem, jakby analizowała jego słowa.

– Skąd pan jest? Na pewno nie stąd, zdradza pana nazwisko i akcent, choć pana niemiecki jest prawie doskonały.

– Jestem Hiszpanem... A właściwie Rosjaninem, urodziłem się w dawnym Sankt Petersburgu.

– Od jak dawna mieszka pan w Berlinie?

– Od początku roku.

– A co robi w Berlinie Hiszpan urodzony w Rosji?

– Pracuję w hiszpańskiej ambasadzie.

Claudia zdjęła fartuch i powiesiła go na wieszaku za drzwiami. Jurij swój płaszcz i kapelusz położył wcześniej na krześle, ale cały czas stał.

– Niech pan siada – powiedziała, myjąc dwie filiżanki, które wydobyla spośród kłębów papieru.

Jurij podszedł do zlewu.

– Mogę? – spytał, pokazując dłonie brudne od noszenia pakunków.

– Pewnie. – Podała mu kostkę mydła. – Pójdę po ręcznik.

– Wystarczy mi któraś z tych. – Wskazał brodą górę idealnie poskładanych kuchennych ściereczek na blacie.

Myjąc ręce, zerkał na nią kątem oka. Miała niezwykłą urodę, połączenie siły i delikatności; okrągła twarz o idealnych rysach, wargi pełne i różowe, a kiedy się uśmiechała, ukazywały się białe, równiutkie zęby. Mokry materiał sukienki był przyklejony do piersi, podkreślając delikatne krągłości jej biustu. Wzrok Jurija zatrzymał się na tym wzniesieniu. W tej chwili, jakby wyczuwając jego ogniste spojrzenie, Claudia odwróciła się do niego; na jej ustach zagościł uśmiech, a jej różowe policzki się uwydatniły. Jurij nie mógł się oprzeć tym wielkim ciemnozielonym oczom, niemal przezroczystym. Kiedy kawiarka zaczęła

bulgotać, kuchnię spowił przyjemny aromat. Usiedli przy stole i Claudia nalała parujący płyn do obu filiżanek.

Jurij z kieszeni marynarki wyciągnął paczkę R6; przywiezione z Madrytu ideales skończyły mu się przed tygodniem.

– Pali pani?

– Mój mąż nienawidzi tytoniu.

– To niech nie pali – skwitował Jurij, podtrzymując swoją propozycję.

Wzięła papierosa i wsunęła go do ust. Jurij zapalił najpierw jej, a później swojego. Claudia mocno się zaciągnęła i zamknęła oczy.

– Prawie zapomniałam, jak smakują – szepnęła z satysfakcją.

Przez dobrą chwilę wpatrywali się w ulatujący z papierosów dym, nie wiedząc, co zrobić i co powiedzieć. Milczenie przerwał Jurij.

– Najlepsze życzenia z okazji ślubu.

– Dziękuję. A pan ma narzeczoną?

– Nie, ale nie wykluczam, że znajdę miłość. Może uda mi się to tutaj, w Berlinie. Przekonuję się, że Niemki są piękne.

– Niech pan o tym zapomni. Niemki są dla Niemców – skwitowała z grymasem i czekała na jego reakcję.

Uniósł brwi.

– Podobno miłość nie uznaje granic ani tym bardziej narodowości.

Claudia odchyliła się na krześle i założyła nogę na nogę. Papieros trzymała ściśnięty pomiędzy palcami, jej ręka przylegała do ciała, a dłoń miała przed twarzą, oczy półprzymknięte, jakby chowała się za falistymi smużkami białawego dymu, unoszących się powoli i znikających w końcu w kuchennym powietrzu.

– W Niemczech nie jest tak jak w innych krajach. My, niemieckie kobiety, mamy obowiązek dbać o czystość aryjskiej rasy i dlatego musimy wychodzić za aryjskich mężczyzn.

– Czyli mam problem, taki mieszaniec nie ma szans rozkochać w sobie niemieckiej kobiety.

– Niech pan nawet nie próbuje.

– Zakazuje tego jakiś przepis?

– Jeszcze nie, może kiedyś.

Jurij uniósł kawę do ust i przez kilka sekund patrzył na Claudię znad filiżanki, usiłując rozszyfrować, czy mówi serio, czy sobie z niego żartuje.

– Naprawdę pani tak myśli? – spytał.

– Oczywiście – odpowiedziała z przesadną pewnością.

– Nazistowska ideologia, wiadomo. – W słowach Jurija pobrzmiwała ironia.

– Ideologia z korzyścią dla Niemców.

– Rozumiem, że ta korzyść obejmuje tylko część Niemców.

– Prawdziwych Niemców.

– A kim są ci prawdziwi Niemcy? Kto rozstrzyga, kto jest dobrym, a kto złym Niemcem? Brunatne koszule? Ich zna pani doskonale, wie pani, jak działają. Skoro idąc ulicą, dochodzą do wniosku, że jakiś chłopak jest Niemcem złym, biją go, a jeśli coś pójdzie nie tak, obwiniają go i sprawa załatwiona... Zna to pani doskonale.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła, zupełnie niezrażona.

– Doskonale pani wie, o czym mówię.

Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, a ona wkładała dużo wysiłku w to, żeby wytrzymać to spojrzenie. Pokręciła głową, usiłując zachować godność.

– Jest pan cudzoziemcem, mieszka tutaj od niedawna. Nie ma pan pojęcia, co wycierpiał ten kraj. Pewnych rzeczy nie sposób zrozumieć, jeśli nie jest się Niemcem.

Uczucia tłukły się w Juriju niczym bilardowe kule popychane siłą tej kobiety. Była w niej pewna sprzeczność, coś zaskakującego, nie do pogodzenia. Nie mógł zapanować nad tym, że go pociągała, jej uroda omamiła go niczym mikstura pozbawiająca silnej woli, ale cały ten czar prysnął pod wpływem jej przemowy.

– To, że jestem cudzoziemcem, nie oznacza, że jestem ślepy, a tym bardziej głupi – wypalił w końcu, usiłując wyzwolić umysł spod wpływu jej uwodzicielskiego spojrzenia.

– Nie powiedziałam, że jest pan głupi, mówię tylko, że nie jest pan w stanie zrozumieć, jakiej rewolucji potrzebuje ten kraj.

– Rewolucji? – spytał Jurij z ironicznym uśmiechem. – Czy w niej mieści się skazywanie niewinnego, wiedząc o jego niewinności?

– Nie wiem, o czym pan mówi – powtórzyła.

– To kłamstwo. Takie samo jak to, że mnie pani nie zna. I skłamała pani na policji.

Patrzyła teraz na niego wyzywająco, bez ruchu, właściwie bez mrugnięcia, jakby chciała go pokonać samą siłą swojego spojrzenia.

– W życiu pana nie widziałam. – Jej głos był pełnym wściekłości szeptem.

Jurija ogarniał coraz większy paraliż, jakby od tego spojrzenia wychodziła pajęcza nieć, która coraz bardziej go oplatała. Musiał to przeciąć, poruszyć się, żeby uwolnić się od magii jej oczu. Wziął papierosa do ust, zaciągnął się, zgniótł go z całej siły w popielniczkę i pochylił się, żeby zbliżyć się do kobiety i mieć pewność, że dobrze go słyszy. Jednym tchem powiedział jej to, co pragnął powiedzieć od chwili, gdy na nią wpadł na klatce schodowej.

– Poznaliśmy się trzydziestego stycznia kilka metrów stąd. To pani powstrzymała cięgi, jakie zbieraliśmy, Axel Laufer i ja. Bardzo odważnie z pani strony i będę pani dozgonnie wdzięczny. Ale wiadomo, że to pani oskarżyła Laufera o zabójstwo, doskonale wiedząc, że to nieprawda.

Claudia siedziała niewzruszona, jakby jego słowa spłynęły po niej niczym krople deszczu po nieprzemakalnej tkaninie.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Kiedyś się dowiem, dlaczego pani kłamie i kogo pani kryje kosztem niewinnego człowieka. Może być pani pewna, że nie zrezygnuję, dopóki nie odkryję prawdziwego zabójcy i nie doprowadzę do tego, żeby wziął na siebie winę. – Wstał. – Muszę iść. – Wziął płaszcz i kapelusz i odezwał się do kobiety uprzejmym tonem: – Dziękuję za kawę. Gdyby kiedyś miała pani ochotę powiedzieć mi, co panią skłoniło do tego, żeby oskarżyć niewinnego człowieka, wie pani, gdzie mnie znaleźć.

W tej chwili rozległ się odgłos otwieranego zamka w drzwiach. Claudia ze zdziwieniem zerknęła na zegarek na ręce. Zgasła papierosa i wstała w tej samej chwili, kiedy do kuchni wszedł mężczyzna w nieskazitelnym garniturze SS, z czapką pod pachą, bardzo jasnymi blond włosami, długimi, z wyjątkiem wygolonych miejsc nad uszami i na karku. Widok ich obojga wyraźnie go zirytował.

– Ulrich... Co tu robisz? – spytała Claudia. – Nie spodziewałam się ciebie tak szybko.

– Właśnie widzę. – Jego ton brzmiał gorzko i ostro. Patrzył na Jurija wyniośle, ewidentnie niezadowolony z obecności intruza.

– Przywiozłam trochę rzeczy z domu rodziców – wyjaśniła Claudia. – Jurij Santacruz mieszka na poddaszu i zaoferował mi pomoc.

Jednak zdawało się, że Ulrich jej nie słucha – jego wzrok nadal był wbity w Jurija, który stał z kapeluszem w ręce i płaszczem przewieszonym przez ramię. Santacruz pamiętał tę twarz z piwiarni, w której był z Fritzem. Kiedy Claudia wymieniła nazwisko mężczyzny, podszedł do Ulricha, siląc się na serdeczność. Gospodarz był wysoki i szczupły, z twarzą kwadratową i prymitywną, szarymi wylupiastymi oczami, szeroko otwartymi jak u sowy. Wyciągnął do niego rękę.

– Bardzo mi miło pana poznać, Herr...

– Von Schönberg – dopowiedziała natychmiast Claudia. – Ulrich von Schönberg. To mój mąż.

Ulrich również wyciągnął rękę i mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Niemiec ani na chwilę nie przestał być poważny, nieufny. Jurij rozluźnił dłoń i ją cofnął.

– Muszę iść.

Stojący przed drzwiami Ulrich właściwie się nie ruszył, kiedy Jurij go wymijał, żeby wyjść na korytarz. Claudia odprowadziła go do drzwi.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała, otwierając je.

Już na klatce Jurij uśmiechnął się lakonicznie, kiwnął głową i ruszył w stronę schodów.

Kiedy drzwi się zamknęły, Jurij zwolnił i nasłuchiwał, ale nie usłyszał nic prócz ciszy.

Po drugiej stronie drzwi Claudia wróciła do kuchni. Ulrich zdążył położyć czapkę na stole i gdy weszła, przyglądał się dwóm filiżankom.

– Co to ma znaczyć? – spytał.

Claudia wzięła filiżanki, zaniósła je do innych naczyń i zaczęła zmywać, stojąc odwrócona plecami do męża.

– Powiedziałam ci, pomógł mi wnieść pakunki z samochodu i zaprosiłam go na kawę. Wydawało mi się, że powinnam. – Mówiła, nie patrząc na niego, ale czuła jego wzrok wbity w nią niczym dwa naostrzone wytrychy. Zostawiła kubki, wytarła dłonie w tę samą ścierkę, której użył Jurij, i odwróciła się do męża, który nadal stał na środku kuchni i czekał na wyjaśnienia. Claudia oparła się o blat i skrzyżowała ręce na piersiach, jakby miała mu wyznać coś doniosłego. – To on obronił Axela Laufera. Rozpoznał mnie, wie, że to ja zeznałam przeciwko Axelowi.

– Wiem.

– Znasz go? – spytała zaskoczona.

– Ojciec mi powiedział, że parę tygodni temu przyszedł na komisariat i usiłował złożyć zeznania na korzyść tego Laufera... Idiota. Co mu powiedziałaś?

– Zaprzeczyłam, że go znam. Ale on to wie, że kłamię. A skoro rozpoznał mnie, może rozpoznać mojego brata.

– Mój ojciec jest zdania, że nie powinniśmy się zbytnio przejmować. To głupek z aspiracjami na samozwańczego strażnika sprawiedliwości. Jak stanie się uciążliwy, z łatwością się go pozbędziemy.

– Mieszka w tej samej kamienicy, będę się z nim często mijać. – Claudia zamilkła na chwilę. – Myślisz, że może ściągnąć problemy na Franza?

– Twój brat już jest jednym wielkim problemem. Wpakował się w niezłe bagno. Muszę z nim coś zrobić.

– Franz nie jest winien, mówiłam ci. Bronił się.

– Zabił syna jednego z najlepszych przyjaciół Führera, nie rozumiesz? Hitler jest wściekły, Petera traktował jak własne dziecko. Chce winnego.

– Marszczył brwi, pod wpływem gwałtowności zaczął szybciej oddychać i jego nozdrza poruszały się szybko, próbując łapać powietrze. – Jak wyjdzie na jaw, że Petera von Duisburga zabił mój szwagier, będę musiał się gęsto tłumaczyć. A nie lubię się tłumaczyć z cudzych błędów.

– A co z innymi chłopakami, którzy też się bili? Oni też byli świadkami.

– Nimi już się zająłem – oznajmił. – Trzeba uważać tylko na tego cudzoziemca. Właściwie, jak się nad tym zastanowić, to wcale nie tak źle, że tutaj mieszka. Dzięki temu będziemy go mieć na oku.

– To pół Rosjanin, pół Hiszpan. Możliwe, że jest szpiegiem.

– A co ty wiesz o szpiegach? – skwitował Ulrich obcesowo. – Trzymaj się od niego z daleka. Resztę zostaw mnie, jasne?

– Postaram się, choćbym miała uchodzić za niemłą i niewychowaną sąsiadkę – zapewniła półżartem.

Przyglądał się jej przez chwilę. W końcu podszedł do niej z szelmowskim uśmiechem, pogłaskał ją po policzkach, chwycił w pasie i przyciągnął do siebie. Pocałował ją w usta, ale natychmiast się odsunął, zirytowany.

– Znowu zaczęłaś palić?

– Nie jest łatwo rzucić, mówiłam ci. Poza tym lubię palić – oznajmiła prowokująco.

Ulrich przyglądał się jej przez kilka chwil, ganiąc ją wzrokiem, ale ten wyrzut stłumiło pożądanie. Znowu pocałował ją w usta, a ona się temu poddała. Ulrich kipiał z podniecenia, a jego dłonie zdawały się mnożyć w każdym fragmencie uległego ciała Claudii, jego zachłanne wargi wędrujące po jej szyi i piersiach, natarczywe, jak zawsze; w pośpiechu niezdarnie zadarł jej spódnicę do pasa i ściągnął majtki. Swoje spodnie

opuścił do kostek. Nie przerywając, położył ją na tym samym stole, przy którym zaledwie chwilę temu piła kawę z Jurijem. Z plecami na drewnie, ciałem Ulricha pomiędzy nogami, czując pchnięcia, Claudia zamknęła oczy i, nie mogąc temu zapobiec, podnieciła się, myśląc o hiszpańskim sąsiedzie.

Claudia Kahler i Ulrich von Schönberg poznali się cztery lata wcześniej. Od razu wpadła mu w oko; ona długo opierała się jego zalotom, aż stała się dla niego wyzwaniem. Ulrich szkolił się na pilota Luftwaffe w rosyjskich bazach wybudowanych w latach dwudziestych, tajnych bazach, w których wojsko niemieckie drwiło z traktatu wersalskiego, ale musiał zrezygnować z tej profesji wskutek wypadku, w którym ucierpiała jego ręka i nie była już w pełni władna. Dzięki kontaktom ojca bez trudu dostał się do SS i szybko awansował, aż został jednym z doradców Reichsführera SS, Himmlera. Więcej wysiłku kosztowało go zdobycie serca Claudii. Wysyłał jej codziennie kwiaty, zapraszał do najlepszych łóż teatralnych i operowych, dawał drogie prezenty, zabierał do najbardziej ekskluzywnych restauracji w mieście, woził ją swoim wspaniałym kabrioletem adlerem. Claudia czuła się w jego towarzystwie swobodnie: był kulturalny, uważny, przyjemnie się z nim rozmawiało, ale jego wadą była zbyt duża powaga, zbyt duża sztywność, zawsze w mundurze, jakby pełnił służbę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie żeby jej się nie podobało to silne poczucie obowiązku, przeciwnie, wydawało się odpowiednie u mężczyzny z jego pozycją, ale ona lubiła rozrywki – grę w tenisa, bywanie na przyjęciach, życie bez zmartwień poza tym, co na siebie włożyć i jakie perfumy dobrać, i czuła, że czasami potwornie się przy nim nudzi.

W tym okresie Ulrich, sprytny i cierpliwy, nie tylko próbował pokonać opór Claudii wobec zobowiązań, ale też działał, żeby zyskać bezwarunkową przychylność Kahlerów. Często ich odwiedzał, zanosił prezenty, ułatwiał życie, jak tylko mógł. Franz, brat Claudii młodszy od

niej o trzy lata, studiował inżynierię bez większych sukcesów – był leniwym lekkoduchem, nieokrzesanym, impulsywnym i płytkim, a jego skłonność do otaczania się niewłaściwym towarzystwem spychała go na złe tory. Kłopoty z jego nieodpowiedzialnym zachowaniem skończyły się, gdy w ich życiu pojawił się Ulrich. Bardzo umiejętnie zaproponował Franzowi przyłączenie się do oddziałów szturmowych: zachęcił go dobrą pensją i obiecał, że szybko awansuje. Brat Claudii się zgodził i włożył brązowy mundur. Po kilku miesiącach, w dniu swoich dwudziestych urodzin, został mianowany na Truppführera i wyróżniony dwiema gwiazdkami przy szyi. Ten awans wywołał sporo zawiści wśród wielu jego kolegów, którzy uważali, że został uprzywilejowany mimo zbyt młodego wieku, emocjonalnego zachowania i braku autorytetu. Z powodu krytyki Franz schronił się pod skrzydłami Ulricha i od tamtej pory był jego wiernym i lojalnym giermkim.

Rodzice Claudii, Herbert i Erika Kahler – on, przeciętny kardiolog, ona, ambitna snobka – od samego początku darzyli go uczuciami odmiennymi. Herbert widział w nim przeszkodę – córka była jego oczkiem w głowie, i w tym młodym, dość zaborczym mężczyźnie, siedem lat od niej starszym, upatrywał końca swoich marzeń o tym, że córka zostanie lekarką. Jego żona natomiast widziała szansę na to, by zacząć się poruszać w wyższych sferach berlińskiego społeczeństwa. Erika od siedmiu lat należała do partii nacjonalistycznej Hitlera i była tym człowiekiem zachwycona, jego sposobem mówienia, wyrażania się, rozpalania mas. Przez pewien czas pracowała jako urzędniczka pocztowa; tam poznała Trude Mohr, z którą współpracowała w fundacji kobiecego oddziału Hitlerjugend, której celem było nauczanie młodych Niemek tradycji i ich roli jako kobiet w społeczeństwie, a także ideologii nazistowskiej. Na jednym z przyjęć zorganizowanych przez kierownictwo Hitlerjugend, w której brały udział także przedstawicielki Związku Niemieckich Dziewcząt, poznały Ulricha von Schönberga. Od pierwszej chwili Erika była nim oczarowana i zrobiła ze swojej strony wiele, by pomóc mu w okresie pierwszego oporu jej córki, a przy okazji urabiała

męża, żeby i on wpadł w jego sieci. Oboje, Erika i Ulrich, wykorzystywali się nawzajem do własnych celów. Dla Eriki wizja skoligacenia się z rodziną von Schönbergów oznaczała upragniony awans społeczny. Dlatego dzięki mądrym i dyskretnemu naciskowi zdołała przekonać córkę, jaką to świetną partią jest ten mężczyzna i jak jest w niej zakochany.

Oficjalne zaręczyny pary odbyły się podczas wielkiego przyjęcia w domu von Schönbergów, a wzięły w nim udział między innymi ważne już partyjne osobistości, jak na przykład małżonkowie Magda i Joseph Goebbels, odpowiedzialny za komunikację jako narzędzie promocji partii, niedługo potem został mianowany ministrem propagandy w pierwszym rządzie Hitlera. Osobowość i styl Magdy Goebbels wywarły na Ericie Kahler ogromne wrażenie i od tamtej pory pozostawała pod wpływem jej uroku. Chodziła za nią wszędzie, bez najmniejszego skrępowania, jak wierny pies, i dzięki swojej nieprzejednanej zawziętości we wszystkim, co sobie postanowiła, zdołała dostać się do kręgu jej najbliższych znajomych nie dlatego, że Magda Goebbels obdarzyła ją tak wielką sympatią, ale raczej dlatego, że Erika Kahler okazywała jej służalczy szacunek, co wyniosłej pani Goebbels bardzo się podobało.

Ślub, który odbył się osiemnastego lutego tego roku, stał się wydarzeniem towarzyskim, na którym spotkali się przywódcy partii nazistowskiej z najznamienitszymi i najbardziej wpływowymi osobistościami z wyższych sfer berlińskich. Adolf Hitler podarował nowożeńcom specjalne wydanie Mein Kampf w luksusowej oprawie, na czerpanym papierze, z dedykacją i podpisem samego autora, dzięki czemu, zdaniem Eriki, książka była bezcenna.

Oboje atrakcyjni, z blond włosami, jasnymi oczami i białą skórą, silni i zdrowi. Uchodzili za przykład idealnego aryjskiego małżeństwa. Ona w to uwierzyła.

Zasada przemilczania

Przemilczać kwestie, co do których brak argumentów, i ignorować wiadomości przychylne przeciwnikowi, a także przenosić na niego ciężar uwagi przy pomocy środków masowego przekazu.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Wydarzenia w Niemczech nabrały pędu niczym nieposkromiony wodospad. Zwołane na piątego marca wybory zostały poprzedzone niesłychanym wydarzeniem, które całkowicie odmieniło bieg kampanii wyborczej, przede wszystkim dla członków lewicowych partii, opozycyjnych wobec wszechobecnej partii nazistowskiej. W nocy dwudziestego siódmego lutego w Reichstagu wybuchł pożar, wywołany bez wątpienia podpaleniem. Zatrzymany został Marinus van der Lubbe, holenderski komunista, którego oskarżono o ten czyn. Hitler wykorzystał to jako niepodważalny dowód istnienia bolszewickiego spisku uknutego w celu przejęcia siłą władzy poprzez brutalną rewolucję. Wobec nadciągającego zagrożenia kanclerz nakłonił prezydenta Rzeszy, starego Hindenburga, aby zatwierdził dekret specjalny, który zawieszał czasowo niektóre prawa konstytucyjne, takie jak wolność publikacji, wyrażania poglądów i zgromadzeń, a także tajemnicy korespondencji i rozmów telefonicznych, co dawało policji pełne prawo do dokonywania przeszukań, zatrzymań i konfiskat mienia bez nakazu sądowego. Jednym z zatrzymanych był adwokat Hans Litten; jego osobista droga krzyżowa się rozpoczęła.

Kampania wyborcza została zmanipulowana, ponieważ partiom marksistowskim lub o ideologii komunistycznej zakazano organizowania wieców i wszelkiej propagandy wyborczej, w dodatku ich przywódcy zostali w większości internowani bez uzasadnionego powodu, prewencyjnie.

Partia nazistowska wygrała wybory, nie osiągając jednak swojego celu, jakim było zdobycie większości absolutnej. Pod pretekstem wyjścia z impasu, jakim była niemożność rządzenia, doskwierająca Reichstagowi

od trzech lat, Hitler dążył do koalicji z konserwatywnymi siłami politycznymi, centrowymi i katolickimi, pragnącymi utworzyć wspólny front przeciwko zagrożeniu komunistycznemu. Ponieważ korzystanie z budynku Reichstagu było niemożliwe, parlament zebrał się w Operze Krolla przy Königsplatz: teatrze, który okazał się idealnym miejscem na premierę makiawelicznej sztuki wystawianej przez Adolfa Hitlera. Układ odpowiadał temu, jak miały wyglądać procedury parlamentarne: na scenie członkowie rządu, sekretarze i przewodniczący parlamentu Hermann Göring, mianowany przez Adolfa Hitlera, jeden z jego zaufanych ludzi. Posłowie zajmowali miejsca na widowni na parterze, korpus dyplomatyczny umieszczono w łoży honorowej, a goście i prasa rozdzielili się pomiędzy pozostałymi łożami, amfiteatrem i drugą galerią. Jedynymi aktorami tej teatralnej maszyny byli ci, którzy znajdowali się na scenie: rząd i premier.

Jurij brał udział w tej inauguracyjnej sesji parlamentarnej dwudziestego trzeciego marca razem z Fritzem i był naocznym świadkiem tego, jak przebiegała trudna debata nad przyjęciem tak zwanej ustawy o pełnomocnictwach, w której Reichstag oddawał, de facto, absolutną władzę w ręce Hitlera. Po burzliwych debatach i wystąpieniach reprezentantów partii nazistowskiej, pełnych pogróżek wobec wszystkich, którzy sprzeciwiliby się propozycji przedstawionej przez kanclerza, ustawa została przyjęta i rzeczywistość wcześniej tylko przeczuwana zaczęła stawać się coraz bardziej namacalna. Republika Weimarska, której jedynym bastionem był stary i wyczerpany Hindenburg, lekkomyślnie ustępowała nowemu reżimowi, w którym władza skupiała się wokół jednego człowieka, Adolfa Hitlera, wspieranego przez jedną partię – nazistowską. Fritz był zdruzgotany tym, co nieuniknione, a Jurij zaczynał zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństw gromadzących się nad Niemcami.

Przyjaźń, jaka się między nimi zrodziła, bardzo Jurijowi pomagała. Spotykali się często po południu i mogli rozmawiać do późnej nocy. Zwykle umawiali się w piwiarni niedaleko dworca przy Friedrichstrasse i zawsze kończyli w domu Fritza, wysłuchując punktu widzenia Nicole, Amerykanki; palili papierosy i pili hiszpańskie wino albo sherry, które Jurij zdobywał dzięki kontaktom swojego szefa. Te spotkania bardzo podnosiły go na duchu. Po raz pierwszy zaznał więzi przypominającej przyjaźń.

Wiedzieli, że Hans Litten przebywa w więzieniu w Spandau, zatrzymany podczas jednego z najść policji po pożarze Reichstagu, ale choć stawali na głowie, nie byli w stanie odnaleźć śladu Axela Laufera. Zupełnie jakby się zapadł pod ziemię – nikt nie wiedział nic na jego temat ani gdzie jest przetrzymywany.

Od dnia, kiedy został zabrany siłą z domu, codziennie wczesnym rankiem Dora Laufer szła na komisariat, żeby zapytać o syna, i zawsze otrzymywała tę samą odpowiedź: nie wiedzieli nic o żadnym Axelu Lauferze. Nie poddawała się zniechęceniu. Traktowali ją z pogardą, jak wariatkę, ale Dora nie rezygnowała i następnego ranka ponownie stawała w kolejce z innymi matkami, innymi żonami, innymi siostrami, kobietami o smutnych twarzach, które próbowały dowiedzieć się czegoś o losach synów, mężów, braci; kobietami, które chciały wiedzieć, gdzie są ich mężczyźni.

Pan Laufer naprawił zniszczenia w aptece. Dziurawe szyby i szklane drzwi zakrył kartonami w oczekiwaniu na ich naprawę, posprzątał w środku, po czym zdobył się na odwagę i otworzył swój punkt. Od czasu do czasu widział grupy młodzieży, chłopaków i dziewczyn z organizacji nazistowskich, najwyraźniej patrolujących ulicę; czasami zatrzymywali się w wejściu do apteki, siadali na stopniu przed drzwiami, uniemożliwiając przejście i tak już nielicznym klientom. Okazało się, że nagle nikomu nic nie dolega. Pośród tych, którzy nadal przychodzili, zdarzały się osoby serdeczne, które dodawały mu otuchy, obstawały przy wersji, że wszystko się niedługo skończy, i prosiły, żeby się nie martwił,

ale Julius Laufer widział zmianę w ich zachowaniu. Ludzie przychodzili zaleknieni, zakupy robili, zerkając na ulicę, jakby robili coś złego, wstydliwego; unikali wdawania się w rozmowy mimo podejścia Juliusa, który lubił pytać o rodzinę i okazywać swoim klientom zainteresowanie. Zdarzali się i tacy, którzy do niego dzwonili, żeby przeprosić go; z żalem cichym głosem mówili, że bardzo im przykro, ale nie mają wyjścia, bo mają rodziny, swoje interesy, pracę, a spotkali się z pogrózkami, że mają przestać robić zakupy w aptece. Julius Laufer starał się to bagatelizować, próbując zdjąć z nich ciężar poczucia winy.

Dora też wiele doświadczała. Od tego ranka, kiedy zatrzymano Axela, zaczęła odbierać telefony od klientek odwołujących zlecenia na stroje, niektóre już rozpoczęte, z kupionym i opłaconym materiałem, albo chciały natychmiast odebrać ubrania przyniesione do naprawy, bez względu na to, czy poprawki zostały wykonane. Zdarzały się klientki, lojalne do tej pory, które nie zapłaciły jej nawet za przeróbki już zrobione: brały swoje rzeczy i wychodziły z wielką dumą, jakby ocaliły swoje ubrania z jakiegoś odrażającego miejsca. Jedynie nieliczne klientki nadal powierzały naprawy swoich ubrań wprawnym dłoniom Dory. Żadne z małżonków nie niepokoiło drugiego swoimi przykrymi doświadczeniami; starali się minimalizować własny smutek, skrywać każdą impertynencję niczym najgłębszą tajemnicę.

Jednak najgorsze było jeszcze przed Lauferami. Dwa tygodnie po zniknięciu Axela w aptecę zjawił się gruby, łysy mężczyzna z małymi, ciemnymi oczami, w prążkowanym garniturze z gabardyny, szarym kapeluszu i z dłońmi okrytymi rękawiczkami. Powiedział, że reprezentuje niejakiego Hendricha, również farmaceutę. Wyjaśnił, że pan Hendrich ma syna, który właśnie skończył farmację, chłopaka bystrego, z przyszłością. Laufer pomyślał, że mężczyzna zjawił się, żeby wymóc zatrudnienie chłopaka jako pomocnika na staż. Nie potrzebował nikogo, ale wysłuchał gościa ze spokojem. Kiedy miał go odprawić, mężczyzna wyciągnął z kieszeni marynarki czek bankowy na groteskową kwotę.

– Kupię od pana aptekę.

Pan Laufer, zaskoczony, zrobił zdziwioną minę.

– Pan wybaczy – usiłował zachować się uprzejmie. – Nie zamierzam sprzedawać apteki. To moje źródło utrzymania, a poza tym nie oddałbym jej za całe złoto świata. Zostało mi jeszcze kilka lat do emerytury i zamierzam dalej robić swoje, dopóki siły mi pozwolą.

Mężczyzna nie odpowiedział. Wyprostował się z poważną miną, wziął czek, schował go i wyszedł, ale następnego dnia wrócił. Uprzejmość i subtelność z poprzedniego dnia znikły. Bez słowa położył na stole inny czek, na połowę kwoty, którą oferował dzień wcześniej, cenę śmieszną za aptekę działającą i z dobrą klientelą, przynajmniej do tej pory. Ale najgorszą rzeczą nie była beczelnie niska kwota, którą proponował, lecz ostrzeżenie, którym okraszył czek: z każdą odrzuconą ofertą cena miała się zmniejszać. Julius Laufer, zachowując dobre maniere, powtórzył, że nie zamierza sprzedawać apteki, i w kulturalny sposób poprosił, żeby mężczyzna zapomniał o sprawie. Po każdej odmowie ten jednak wracał następnego dnia. I tak przez cały tydzień, z ofertą na coraz niższą kwotę i z zagadkowo agresywnym podejściem, co wprawiało aptekarza w głębokie zdumienie. Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, kiedy pewnego ranka, bardzo wcześnie, w mieszkaniu Lauferów zjawili się dwaj mężczyźni w garniturach i pod krawatem, i poinformowali, że Dora ma się stawić na komisariacie. Wezwano ją do złożenia zeznań w sprawie, której szczegółów nie podali. Wszystko odbyło się bardzo szybko, zbyt szybko dla oszołomionych Lauferów. Julius chciał pójść z nią, ale mu nie pozwolili. Wyprowadzali ją, popychając, w samym szlafroku przykrywającym nocną koszulę, i musieli ją ciągnąć, bo nie chciała iść sama, a na jej twarzy malowały się zaskoczenie, strach i niedowierzanie. Julius nie wiedział, co robić, szedł za nią i błagał, żeby pozwolili mu pójść, aż w końcu, na ulicy, kiedy wpełnęli ją do samochodu, jeden z mężczyzn odwrócił się i pchnął go tak mocno, że Julius stracił równowagę i wylądował w kałuży. Siedział na mokrej kostce brukowej, załamany tym, że nie może nic zrobić, wbijając wzrok

w oddalający się samochód, który wywoził jego ukochaną żonę. Z oczami pełnymi łez próbował się podnieść, aż nagle poczuł, że chwyta go czyjaś dłoń i go wspiera. Podniósł wzrok, żeby podziękować za ten gest, i zobaczył chytry uśmiech upartego kupca.

– Nic panu nie jest, Herr Laufer?

Aptekarz nie odpowiedział i odrzucił wyciągniętą dłoń.

Płacząc jak dziecko, w końcu zdołał wstać. Roztrzęsiony, nie zważając na tamtego mężczyznę, którego obecność była niczym koszmarny sen, skierował się w stronę bramy. Drżał, nie tylko pod wpływem wstrząsu i rozpacz, ale dlatego że przemarzył – był boso, bo kapcie zgubił, biegnąc za żoną, a mokry tył pizamy z cienkiej tkaniny przykleił się do jego ciała, przyprawiając o odczucie nieprzyjemnego chłodu. Kiedy dotarł do drzwi mieszkania, które zostawił otwarte na oścież, wszedł do wewnątrz i gdy miał je zamknąć, zorientował się, że jego koszmar przyszedł za nim.

– Proszę odejść, nie mogę się teraz panem zająć – wymamrotał, drżąc.

– Nie teraz... Przed chwilą zabrali moją żonę i nie wiem, co robić.

– Niech się pan nie martwi, Herr Laufer, mogę panu pomóc. Mam dobre kontakty. Wystarczy, że mnie pan poprosi, a wykonam jeden telefon i gwarantuję panu, że pani Laufer wróci w niecałą godzinę i będzie po sprawie.

Zbolały i wstrząśnięty tym, co się stało, Laufer popatrzył na niego, jakby miał do czynienia z samym diablem.

Dora Laufer wróciła po dwóch godzinach od momentu, w którym pan Laufer podpisał umowę sprzedaży nie tylko apteki, ale także ich mieszkania z całym umeblowaniem. Mógł zabrać jedynie przedmioty osobiste i ubrania, wszystko inne wchodziło w zakres sprzedaży. Mieli dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie mieszkania. Wszystko za kwotę jednej jedynej marki.

≈≈≈

Zasada wyolbrzymienia i zniekształcenia

Przedstawić rzecz najbliższą jako poważne zagrożenie.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Jurij przez szybę w samochodzie obserwował rozległy park Tiergarten, lasek w sercu miasta, jeszcze w chłodnych zimowych barwach. Był dwudziesty czwarty marca, dzień po rozpoczęciu obrad parlamentu. Erich Villanueva siedział za kierownicą lśniącego kabrioletu – mercedesa benz mannheim w kolorze granatu. Jego wnętrze pachniało nowością, świeżo wyprawioną skórą, lakierem na drewnie, jakim wykończone były detale tego luksusowego pojazdu. Sprawiał wrażenie zadowolonego, dumnego: warkot silnika wydawał mu się niebiańską muzyką, wygoda prowadzenia i perfekcja wykończenia potwierdzały, że Niemcy umieją produkować samochody wysokiej jakości.

– Jak ci się podoba, Jurij? Przyznasz, że sama przyjemność prowadzić takie auto.

– Na pewno – odparł podekscytowany. – Prawdziwe cacko.

– Chciałbyś taki?

– Kto by nie chciał. Ale w moim przypadku chyba za bardzo zwracałby uwagę.

– A nie lubisz zwracać uwagi? Kobiety padałyby ci do stóp.

– Może i ma pan rację – stwierdził z uśmiechem zadowolony Jurij.

Villanueva zerknął na niego przelotnie.

– Najwyższy czas, żebyś miał własny samochód.

– Nie zarabiam aż tyle, dobrze pan o tym wie. Pensja z ambasady właściwie wystarcza mi tylko na opłacenie wynajmu Frau Metzger i na niewiele więcej. Te moje dwie podróże do Szwajcarii zaledwie pozwoliły mi odetchnąć.

– Bądź cierpliwy, Jurij. Na razie pozwolę ci jeździć moim starym fordem. Nie chciałbym go sprzedawać, a jak będzie stał, tylko się zniszczy.

– Naprawdę pożycz mi pan swoje auto? – spytał, nie mogąc w to uwierzyć.

- Pod warunkiem, że będziesz o niego dbał, jak należy.
 - Może pan być pewien. – Wargi Jurija rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. – Bardzo panu dziękuję. Nie wiem, co powiedzieć – mówił rozentuzjasmowany, przepełniony niedowierzaniem i radością. – Zapewniam, że będę na niego chuchał i dmuchał.
 - Będziesz miał więcej swobody – odezwał się Villanueva. – Jeszcze w tym tygodniu będziesz mógł nim pokonać parę kilometrów. Jest zadanie, dzięki któremu zdobędziesz niezłą sumę, która cię przybliży do porządnego samochodu.
 - Kolejna walizka? – Mimo początkowych oporów teraz w jego tonie pobrzmiwał cień satysfakcji.
 - Tym razem oprócz przesyłki będziesz miał towarzystwo dwóch osób.
 - Dwóch osób?
 - Są ludzie, którzy muszą opuścić kraj w trybie pilnym, ale z jakichś powodów, które nas nie interesują, mają z tym pewne trudności.
 - Ma pan na myśli Żydów? Słyszałem, że wielu próbuje wyjechać z Niemiec, przynajmniej na jakiś czas.
 - Tym razem nie chodzi o Żydów, to aryjscy Niemcy, ale poważnie obciążeni przez to, że mają własne poglądy. To małżeństwo. Mężczyzna prowadzi ważną firmę meblową. Przyszło mu do głowy podpisać manifest przeciwko przepisom, które kładą kres Republice Weimarskiej.
- Jurij kiwnął głową. Wiedział, o jakim manifeście mowa, bo rozmawiał o nim z Fritzem Siegelem. Villanueva mówił dalej:
- Podpisało go ponad sto osób: wykładowcy akademicy, pisarze, przedsiębiorcy, lekarze, prawnicy, Żydzi i nie-Żydzi, ludzie zaangażowani w sprawę w obecnych czasach przegraną. – Oderwał prawą dłoń od kierownicy i kiwnął nią, jakby sam sobie dawał znak, żeby mówić dalej.
 - Wszyscy sygnatariusze mają problemy. Wielu zostało zatrzymanych, oskarżonych o działalność wywrotową, inni zostali odsunięci od swoich posad albo zostali pozbawieni możliwości zarabiania na życie; jeszcze inni zmarli w niejasnych okolicznościach wskutek wypadków, samobójstw. Pewien księgarz zapadł się pod ziemię, zniknął, kiedy

wracał ze swojej księgarni. Nigdy nie dotarł do domu; jego samochód znaleziono na ulicy niedaleko miejsca zamieszkania, z nietkniętymi rzeczami, ale nikt nie ma pojęcia, gdzie się podział ten człowiek. Niewielka liczba uratowała się dlatego, że w porę wyjechała z Niemiec albo dzięki temu, że się ukrywa; i tak jest w tym przypadku. Małżeństwo, które masz przewieźć do Szwajcarii, przebywa w ukryciu.

– W ambasadzie?

– Niezupełnie. Dziś mnie o to nie pytaj. Wszystkich szczegółów dowiesz się w stosownym czasie. A teraz po prostu dobrze się bawmy.

Samochód jechał Dahlem, aż zatrzymał się przed jedną z okazałych kamiennych posiadłości.

– Poznasz tu wielu ciekawych ludzi – uprzedził go Villanueva. – Chcę, żebyś miał oczy i uszy otwarte. Odzywaj się mało, zawsze lepiej słuchać, tym bardziej w takich sytuacjach, gdzie wszystkim nieco rozwiązuje się język. Ważne, żebyś zrozumiał jedno: żadnych niestosownych prywatnych opinii ani zachowania, jakbyś był szukającym informacji dziennikarzem. Tutaj najważniejsze są Niemcy, a my w nich mieszkamy. Jasne?

– Proszę się nie martwić, panie Villanueva, będę gościem idealnym.

Drzwi otworzyli im dwaj lokaje w uniformach. Jurij wysiadł z samochodu, poprawił mankiet koszuli, satynowy pas i sprawdził, czy muchę ma prosto. Dobrze wyglądał w smokingu; krawiec musiał mu go uszyć w ekspresowym tempie, a miał za niego zapłacić w dogodnych ratach, wszystko dzięki Villanuevie, który poinformował go z zaledwie tygodniowym wyprzedzeniem o tym, że jego obecność na tym przyjęciu jest nieodzowna. W jego pamięci obudziły się wspomnienia z dzieciństwa, kiedy matka szykowała się na imprezę albo do teatru, a na koniec oglądała smoking ojca. Wzruszył go ten rozkoszny obraz: rodzice roześmiani, szczęśliwi, w świecie marzeń, który dawno przeminął. Był przekonany, że gdyby matka zobaczyła go w tym smokingu, byłaby z niego bardzo dumna.

Nabrał do płuc wilgotnego, rześkiego wieczornego powietrza. Za plecami słyszał, jak Villanueva udziela lokajowi instrukcji, jak obchodzić

się z autem. Czekaając, przyjrzał się imponującemu pałacowi, który wznosił się przed jego oczami na wysokość dwóch pięter, z wielkimi symetrycznymi oknami, nadającymi fasadzie harmonii, otoczonemu ogrodzeniem z żelaznych prętów na ceglanej podmurówce. Do ogrodu wchodziło się przez furtkę z kutego żelaza i piaszczystą drogą dochodziło się do stóp schodów z białego marmuru. Drzwi były otwarte na oścież, a na ganku przed nimi tłoczyli się mężczyźni i kilka kobiet w eleganckich strojach w oczekiwaniu, aż pozwolą im wejść. Nie ulegało wątpliwości, że wstęp był ograniczony. Dwaj lokaje, wytwornie ubrani, sprawdzali w progę tożsamość każdego gościa. Nie wszedł nikt, czyje nazwisko nie znajdowało się na liście, którą trzymał jeden z nich. Dlatego Jurija zaskoczyło, że kiedy nadeszła ich kolej, obaj lokaje, jak tylko zobaczyli Villanuevę, zasalutowali mu, witając nazistowskim powitaniem, na które sekretarz do spraw komunikacji ambasady Hiszpanii zareagował bez zbytniego entuzjazmu, i zrobili mu przejście.

– On jest ze mną – oznajmił Villanueva, wchodząc na hol wojskowym krokiem.

Jurij poszedł za nim, przez nikogo niezatrzymywany. Było widać, że w tym domu jest znany. Spośród wielu grup ludzi dobiegał nieustanny szmer głosów i dźwięk śmiechów.

W olbrzymim korytarzu Villanueva przywitał się z paroma osobami, nie zważając na obecność Jurija, który dyskretnie trzymał się z boku. Weszli do przestronnego salonu, pełnego ludzi podzielonych na grupy, w większości stojących, choć niektórzy siedzieli w fotelach i na krzesłach porozstawianych w różnych miejscach. Drewniana podłoga lśniła pod lakierkami mężczyzn i szpilek dam; wysokie sufity podkreślały majestatyczny charakter budynku; frontową część stanowiło wielkie okno wychodzące na ogród, a pozostałe ściany były tapicerowane przepięknym adamaszkiem. Na środku muzyk we fraku zabawiał gości, siedząc przy klawiaturze fortepianu.

Było widać, że Villanueva czuje się swobodnie w tym otoczeniu. Po drodze zatrzymywał się przy tym czy innym znajomym, witali się

podaniem dłoni albo „Heil Hitler!”, zamieniali parę zdań, czasami głośno, czasami w sposób bardziej poufny, szeptem. Jurij z każdym dniem bardziej podziwiał tego człowieka, który starał się uprzyjemnić mu życie.

W pewnej chwili Villanueva odwrócił się do niego i powiedział mu na ucho:

– Przedstawię cię komuś, kto może cię zainteresować. Chodzi o Vadima Sokołowa. Człowiek dyskretny i sprytny.

Jurij chciał spojrzeć w miejsce, które wskazywał Villanueva, ale ten ścisnął mu rękę, jakby go powstrzymywał.

– Bądź ostrożny, Jurij, nie działaj pochopnie. Z tymi ludźmi trzeba sobie dobrze przygotować grunt, żeby stąpać pewnie, bez potknięć.

Jurij spojrzał na niego z wdzięcznością i kiwnął głową. Dopiero wtedy podeszli do jednej z grupek i Villanueva zaczął jednego z mężczyzn stojącego tyłem, który odwrócił się do niego z uśmiechem. Był wysoki i korpulentny, z bardzo krótkimi blond włosami, miał około czterdziestki.

– Villanueva, miło pana widzieć. – Jego niemiecki był bardzo niewprawy.

– Panie Sokołowie, musimy się kiedyś spotkać, żeby porozmawiać o sprawach, które nas interesują. A tymczasem przedstawię panu Jurija Santacruza. Pracuje ze mną. Wspominałem panu o nim.

Jurij i Sokołow podali sobie dłonie, patrząc przy tym w oczy, jakby badali siebie nawzajem. Chłopak na przywitanie odpowiedział po rosyjsku; w tej chwili Villanueva dostrzegł kogoś i się oddalił, zostawiając ich samych.

– Bardzo dobrze mówi pan po rosyjsku – pochwalił Sokołow.

– Moje pełne nazwisko to Jurij Michajłowicz Santacruz Filatow.

– Ojciec Hiszpan, matka Rosjanka – skwitował Rosjanin z kwaśną miną. – Nietypowe połączenie.

– To prawda. – Jurij uśmiechnął się przymilnie. – Urodziłem się w Sankt Petersburgu.

– W Leningradzie – poprawił go Sokołow.

– Nazywał się Sankt Petersburg, kiedy się rodziłem. – Krótko opowiedział, dlaczego pochodzi z Rosji. – Wyjechałem, gdy miałem dwanaście lat – poinformował bez dalszych wyjaśnień.

– I od tamtej pory nie był pan w Rosji?

– Nie miałem możliwości. Stalin nie pozwalała mi na wjazd.

– Widocznie ma swoje powody – skwitował sprytnie Sokołow.

– Zapewniam pana, że jestem nieszkodliwy. – Jurij przybrał niewinny ton.

– W Rosji nikt nie jest nieszkodliwy.

Patrzyli jeden na drugiego, przyglądając się sobie, jakby odizolowani od niemieckiego gwaru, który ich otaczał, zanurzeni w swojej własnej rosyjskiej bańce.

Choć Villanueva ostrzegł go przed pochopnym działaniem, Jurij z trudem się powstrzymywał. Zacisnął wargi i na chwilę spuścił wzrok, jakby chciał nabrać rozpędu.

– Towarzyszu Sokołow, będę z panem szczery. Moja matka i brat zostali w Rosji i od dwunastu lat nie mam od nich wieści. Muszę wiedzieć, czy żyją... Może mógłby pan... – Zreflektował się, że pewnie działa pochopnie, ale odwrotu już nie było. – Może mógłby pan się czegoś o nich dowiedzieć – dopowiedział, wstrzymując oddech.

Sokołow obrzucił go chłodnym spojrzeniem, a Jurij miał wrażenie, że stalowe oczy rozmówcy przewiercają jego mózg.

– Minęło dużo czasu – stwierdził z pogardliwą miną. – W Rosji dwanaście lat to jak dwie dekady.

– Proszę, błagam pana... – nalegał Jurij, nie skrywając desperacji. – Muszę wiedzieć... – Przełknął ślinę z goryczą na twarzy, jakby bolały go wypowiedane słowa. – Moja matka nazywa się Weronika Olegowna Filatowa.

– Związek Radziecki to ogromne tereny i ogromna liczba ludności. To byłoby szukaniem igły w stogu siana. – Pokręcił przecząco głową, oschle, niemal obcesowo. – Przykro mi.

– Pewien lekarz może wiedzieć, co się z nimi stało; był już wtedy ważnym członkiem partii, domyślam się, że jest nim nadal. Chodzi o doktora Smełowa, Pietię Smełowa.

Na dźwięk tego nazwiska Rosjanin nie zdołał powstrzymać grymasu na twarzy, jakby nagle i niespodziewanie poczuł silny powiew lodowatego powietrza. Jurij czuł, że jego serce się zatrzymuje w nadziei, że rozmówca wie, o kim mowa. Dostrzegł, że Rosjanin marszy czoło, jednak po chwili wahania znów pokręcił głową.

– Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. W Związku Radzieckim od pana wyjazdu wydarzyło się zbyt wiele. Nie ma pan szans ich znaleźć ani nawet dowiedzieć się, czy żyją. Zwariuje pan, jeśli zacznie pan próbować.

– Pozwoli pan, że o moje zdrowie psychiczne będę się martwił sam – odparł Jurij, nie mogąc ukryć rozczarowania. Spuścił wzrok i wbił go w podłogę. Czuł się głupio, płaszcząc się przed tym dopiero co poznanym mężczyzną. – Może... gdyby istniała jakaś szansa na zdobycie wizy wjazdowej do Rosji, mógłbym ich poszukać sam.

– Rosja ma wielu wrogów, Juriju Michajłowiczu, dlatego bardzo uważa na to, komu i w jakim celu pozwala wjechać na swoje terytorium. To, o co pan prosi, byłoby bardzo trudne.

– Mógłby pan spróbować? Jestem skłonny zapłacić. – Zreflektował się, że postępuje dokładnie odwrotnie, niż poradził mu Villanueva, ale niepewność była silniejsza niż ostrożność, o którą go poproszono.

Sokołow nie spuszczał wzroku z oczu Jurija.

– Nie chodzi tylko o pieniądze – stwierdził.

– Więc proszę powiedzieć, czego oczekuje pan w zamian, zrobię wszystko...

– To stwierdzenie zbyt otwarte i zbyt niebezpieczne.

Te słowa były dla Jurija potwierdzeniem, że posuwa się za daleko. Instynktownie zacisnął pięści, jakby w ten sposób próbował się powstrzymać, na próżno, bo nie miał wyjścia: musiał brnąć dalej; nie chciał zmarnować takiej okazji.

– Mógłby pan zdobyć dla mnie wizę do Rosji?

– Procedury mogą potrwać bardzo długo, możliwe, że kilka miesięcy, a nawet lat...

– Mogę zaczekać.

– W porządku, trzymam pana za słowo – odpowiedział lakonicznie Rosjanin. – Odezwę się do pana.

Odwrócił się i oddalił, wtapiając się w tłum. Jurij przyglądał mu się przez kilka sekund, aż wyczuł obok obecność Villanuevy.

– Jurij, podejdź. Przedstawię cię gospodarzowi, który był na tyle uprzejmy, że zaprosił nas na to wspaniałe przyjęcie.

Prowadzony przez swojego szefa stanął przed mężczyzną, którego jego zwierzchnik zamierzał mu przedstawić. Spojrzeli na siebie i się rozpoznali. Stał twarzą w twarz z człowiekiem, który przesłuchiwał go w komisariacie przy Alexanderplatz, teściem jego sąsiadki, Claudii Kahler. Zamiast garnituru miał na sobie elegancki smoking.

– Jurij – odezwał się Villanueva, nie dostrzegając, co dzieje się pomiędzy mężczyznami. – Chcę ci przedstawić Standartenführera Friedricha von Schönberga, komisarza SD, tajnej policji państwowej. – Z satysfakcją zwrócił się do oficera: – Herr von Schönberg, przedstawiam panu Jurija Santacruz, pracuje w ambasadzie, jest moim podwładnym. Dobry chłopak z wielkimi możliwościami.

– Nie trzeba nas sobie przedstawiać, Herr Villanueva. Santacruz i ja już się poznaliśmy.

Jurij, znów patrząc w te zamglone oczy, poczuł się jak rażony piorunem. Komisarz, nie przestając patrzeć na Jurija, jakby trzymał go mocą swojego spojrzenia, wyciągnął do niego rękę. Ale on stał nieruchomo. Villanueva, zakłopotany brakiem reakcji swojego podwładnego, ponaglił go:

– No, Jurij, niech nikt nie wątpi w dobre maniere Hiszpanów. – Podeszedł do niego, jakby zamierzał powiedzieć mu coś poufnego. – Standartenführer von Schönberg dźwiga na barkach wielką odpowiedzialność za uporanie się z wszelkimi komunistycznymi śmieciami, które od lat usiłują przeprowadzić w Niemczech wielką

rewolucję bolszewicką. A ty doskonale wiesz, jakie zło niesie marksizm – mówił z uśmiechem satysfakcji, zadowolony ze swojej przemowy. Spojrzał z uznaniem na gospodarza, by jeszcze bardziej mu schlebić. – Z całą pewnością można stwierdzić, że oficer von Schönberg wszystko widzi i wszystko słyszy.

– Zdawało mi się, że taką moc posiada tylko Bóg.

Villanuewę rozgniewało niezrozumiałe krnąbrne zachowanie Jurija. Oficer cofnął dłoń bez mrugnienia powieką, z pozoru.

– Powinien pan ważyć słowa, panie Santacruz.

– Bardzo przepraszam, jeżeli pana obraziłem, Herr von Schönberg, absolutnie nie było to moim zamiarem.

– Przeprosiny przyjęte – odparł chłodno. – Ale radzę, żeby się pan pilnował. Muszę panów opuścić, czekają na mnie inni goście. Panowie, miłej zabawy.

Villanueva odwrócił się do Jurija.

– Możesz mi wyjaśnić, co to wszystko ma znaczyć?

– Poznałem go kilka dni temu na komisariacie.

– A czego szukałeś na komisariacie?

Uwagę Jurija przyciągnęła para, która właśnie weszła: Claudia Kahler w towarzystwie męża. Wyglądała zjawiskowo w sukni, której kolor podkreślał jej karnację i oczy. Włosy związane w koński ogon podkreślały rysy twarzy. Ogarnęła go taka euforia na ten widok, że nie zauważył potężnej złości Villanuevy. Spojrzał na niego, jakby dopiero się zorientował. Uśmiechnął się i z przyjazną miną położył dłoń na jego ramieniu.

– Proszę się nie martwić, panie Villanueva. Chodziło o błahostkę. Przepraszę pana, chciałbym się z kimś przywitać.

Erich chwycił go za rękę, żeby go zatrzymać.

– Uważaj, Jurij, stąpasz po grząskim gruncie, a nie chciałbym widzieć, jak toniesz w błocie tych ludzi. – Brodą wskazał zgromadzonych.

Jurij puścił do niego oko dla uspokojenia, poklepał go po ręce, dziękując za ostrzeżenie, i ruszył, lawirując pomiędzy grupkami, obserwowany

przez Villanuewę. Przyglądał się parze z daleka, nie udało mu się zbliżyć do nich na tyle, żeby usłyszeć komplementy, jakie prawili im pozostali goście. Ta kobieta przyciągała z siłą magnesu, nie można było oderwać oczu od tej idealnej twarzy, kształtnego ciała, zmysłowości nagich ramion i falistej linii odkrytych pleców. Obok Jurija przechodził kelner z tacą z kieliszkami szampana, zatrzymał go i wziął jeden. W tej chwili Claudia go dostrzegła, a on uniósł kieliszek, jakby wznosił toast. Nie zareagowała na ten gest; jednak od tej chwili podążali za sobą wzrokiem, choć ona gawędziła i śmiała się z tymi, którzy ją otaczali. Jurij zachowywał dystans i nie miał zamiaru się zbliżyć, chciał tylko przyglądać się jej w tej scenerii, jak ktoś, kto podziwia dzieło sztuki bez innego powodu niż upajanie się pięknem. Wyglądała niczym bogini wśród adoratorów. Jej mąż miał na sobie nieskazitelny czarny mundur, brunatną koszulę, krawat, runy zwycięstwa wyszyte na kołnierzyku marynarki. Wydawał się pociągający. Jurij zorientował się, że kobiety krążyły wokół niego, próbując zwrócić na siebie uwagę. Wypił łyk szampana i zrobiło mu się gorąco. Nie rozumiał tego, co się z nim działo. Dostrzegł otwarte drzwi do ogrodu, odstawił kieliszek na stół i wyszedł na taras. Zszedł po czterech stopniach z białego marmuru i poczuł pod stopami miękki trawnik. Oddychał świeżym powietrzem tego późnomarcowego zmierzchu, tak innego od atmosfery w domu, ciężkiej od nadmiaru dymu i wrzawy. Od zajścia na dworcu z czasów dzieciństwa nie lubił dużych skupisk, nie znosił pomieszczeń zamkniętych i pełnych ludzi, miał wtedy wrażenie, że brakuje mu tlenu.

Wyciągnął paczkę papierosów i włożył jednego do ust. Kiedy szukał zapalniczki na dnie kieszeni, płomień zapłonął przed jego twarzą. Odziana w rękawiczkę dłoń Claudii trzymała cenny przyrząd, a drżący płomień lśnił przed jego oczami. Przysunął papierosa do ognia, żeby go zapalić.

– Poczęstuje mnie pan? – spytała. – Mam wielką ochotę zapalić.

Jurij znów wyciągnął paczkę, a ona wyjęła papierosa, odpaliła go i mocno się zaciągnęła. Skrzyżowała ręce na piersiach, zmarznięta. Jurij

zareagował: przytrzymał papierosa w ustach i zdjął marynarkę.

– Pozwoli pani – powiedział, kładąc ostrożnie odzienie na jej nagich ramionach. Nie zaprotestowała. – Noce w Berlinie są bardzo chłodne.

– To prawda... – potwierdziła z miną pełną wdzięczności.

Wolnym krokiem wąską, piaszczystą ścieżką zapuszczali się w głąb nastrojowo oświetlonego ogrodu, przyciągani ukrytą siłą ciemności.

– Wspaniałe przyjęcie – stwierdził Jurij.

– Specjalność mojej teściowej. Wszystko zorganizowała sama, jest mistrzynią protokołu. Idealne dopełnienie mojego teścia.

– To zrozumiałe. On jest zbyt pochłonięty ściganiem i zamykaniem marksistów.

– Bycie marksistą jest niebezpieczne.

– Tak bardzo, jak bycie nazistą? – zapytał kąśliwym tonem.

– Proszę uważać na słowa.

Jurij odebrał to jak rozmyślną groźbę. Obrzucił ją drwiącym spojrzeniem.

– Mam się bać, że doniesie pani na mnie teściowi? Albo mężowi?

Nie odpowiedziała. Z nieobecnym wzrokiem wzniosła oczy ku niebu zasłoniętemu przez gałęzie drzew poruszane delikatnym powiewem.

– Przypuszczam, że narażam się na to, że zostanę wtrącony do jakiegoś ciemnego lochu – ciągnął. – Wraz z setkami komunistów i socjalistów, których jedyną winą są poglądy, niezgoda na socjalizm nacjonalistyczny. Albo wywiozą mnie do tych obozów pracy tak wychwalanych przez partię, której tak pani broni i której, jak się domyślam, jest pani zapewne pełnoprawnym członkiem.

– Jeśli się ich tam wywozi, to po to, żeby ich chronić przed wściekłością narodu. – Claudia mówiła monotonnym tonem, pozbawionym pasji, przekonana o tym, co wydawało jej się rzeczą oczywistą. – Wściekłością zrozumiałą, ale niebezpieczną, dla nich samych i dla porządku publicznego. Chyba zgodzi się pan, że nie można dopuścić do tego, żeby ludzie brali sprawiedliwość w swoje ręce.

Jurij znał ciężką sytuację aresztowanych tymczasowo i więźniów na Prinz-Albrecht-Strasse, gdzie znajdowała się główna siedziba nazistów, bo ze szczegółami opowiedział mu o tym Fritz. Kilku jego znajomych przeżyło albo właśnie przeżywało to doświadczenie, dla niektórych skutki okazały się nieodwracalne. Dlatego Jurijowi trudno było milczeć; doskonale zdawał sobie sprawę, na co się naraża, ale ta kobieta miała w sobie coś, co zmuszało go do wylania przed nią całej koszmarnej prawdy, otwarcia oczu sumienia na gąszcz kłamstw, ponad którym zdawała się unosić niczym lekka chmurka na niebie.

– Nie wierzę, że jest pani tak naiwna.

Claudia nie odpowiedziała od razu. W jej umyśle walczyły ze sobą chęć wyłożenia tego, co uważała za ideologiczną prawdę, z niepokojącą fascynacją, jaką wzbudzała w niej bliskość tego mężczyzny, spotęgowana jego zuchwalstwem. Szli, przystając co jakiś czas, coraz bardziej oddalając się od gwaru przyjęcia, przy akompaniamencie zgrzytu żwiru pod podeszwami butów. Claudia wzięła papierosa do ust i wypuściła dym, jakby chciała pozbyć się z umysłu usłyszanych słów. Dopiero wtedy przerwała krępującą ciszę.

– Nie powinien pan dawać posłuchu tym, którzy próbują zniesławić narodowy socjalizm. – Spojrzała na niego kątem oka. – Wie pan coś na temat tego chłopaka? Axela Laufera. Wie pan coś?

– Nagle zainteresowała się pani jego losem? Może z powodu wyrzutów sumienia?

– Ze zwykłej ciekawości – odparła, obdarzając go uśmiechem.

Jurij się nie odezwał. Ona się zatrzymała, rzuciła niedopałek na ziemię i zgasiła go, przesuwając po nim złotym butem, aż zostały z niego okruszki. Jurij również się zatrzymał i rzucił na wpół wypalonego papierosa na drogę. Stał i patrzył w ciemności na delikatny jego błysk. Odległość i drzewa wyciszały hałas wnętrza domu. Byli sami, twarzą w twarz.

– Nadal nie ma pan dziewczyny?

Jurij roześmiał się rozluźniony.

– Mam z tym problem. Sama pani powiedziała: niemieckie kobiety są tylko dla aryjczyków, mam małe szanse, przynajmniej w pani kraju.

Podeszła do niego. Jurij chłonał jej zapach niczym paralizujący narkotyk. Poczuł na swoich ustach żar jej wydatnych warg. Zamknął oczy. Jej dłoń pieściła jego kark, on chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie. Nagle ona oderwała usta, a Jurij otworzył oczy, jakby zaklęcie przestało działać.

– Cieszę się. – Jej szept odbił się echem w jego głowie.

Oddała mu marynarkę, odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Jurij podążał za nią wzrokiem, czując jeszcze słodki smak jej śliny. Przysunął marynarkę pod nos i wdychał zapach, którym przesiąkł materiał.

Tej nocy, po powrocie na poddasze, prawie nie spał.

≈≈≈

Zasada powszechności

Wszelka propaganda musi być powszechna i dostosowana do poziomu osób najmniej inteligentnych z grupy, do której jest skierowana. Im większej masie przekazywana, tym mniejszego wysiłku intelektualnego musi wymagać. Masy mają ograniczoną zdolność pojmowania i niewielkie możliwości zrozumienia; ponadto cechuje je łatwość zapominania.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Claudia wyszła na ulicę i nałożyła rękawiczki z cienkiej kozłęcej skóry. W radiu i w gazetach ogłaszano wcześniej, że pierwszego kwietnia od dziesiątej będzie się odbywał bojkot żydowskich sklepików i firm. Jej zbyt mało interesowało, co się będzie działo, czy też, co przestanie się dziać, ale przypuszczała, że powstanie zamieszanie i ulice będą odcięte, więc lepiej było zostawić samochód i iść pieszo. Spojrzała na zegarek na bransolecie podarowany przez Ulricha, kiedy prosił ją o rękę. Była umówiona u modystki na ostatnią przymiarę sukienki. Choć zjawiła się

punktualnie, kazano jej czekać prawie dwadzieścia minut. Zdenerwowało ją to, choć przez cały ranek nie miała nic innego do roboty. Kiedy pomocnica wpuściła ją do środka, Claudia nie skrywała swojego oburzenia, ale zapomniała o nim, jak tylko zobaczyła się w sukni. Przeglądała się w lustrze, obracając to w jedną, to w drugą stronę, i podziwiała jakość wykonania.

– Ma pani świetną figurę, pani von Schönberg.

Krawcowa musiała zrobić pewne poprawki na biuście, ale suknia miała być gotowa na umówiony dzień. Claudia się pożegnała, ale przedtem zganiła kobietę za to, że kazała jej czekać. Zakładała, że stając się panią von Schönberg, otrzymała swoistą aureolę, widoczną dla wszystkich, zmuszonych składać jej hołd; to przeświadczenie zaszczepiła w niej matka i czasami upajała się tym, że jest żoną wysoko postawionego członka SS, ze wszystkim, co się z tym wiązało.

Na ulicach zamieszanie było większe niż zwykle, zdawało się, że to dzień świąteczny, a nie sobota. Czerwone kartki w sklepach dla oznaczenia niemieckich firm, których bojkot nie dotyczył, oddziały szturmowe defilujące pieszo lub przewożone w otwartych ciężarówkach, wykrzykujące slogany powtarzane przez grupy rozentuzjarmowanej młodzieży z Hitlerjugend w czarnych spodniach i musztardowych koszulach, i przez dziewczęta ze Związku Niemieckich Dziewcząt, w białych koszulach, granatowych spódnicach i białych kolanówkach; były nawet dzieci w mundurach Deutsches Jungvolk, dziecięcego oddziału Hitlerjugend. Paradzie towarzyszyły okrzyki – doskonale wyuczone slogany: „Nie kupujcie od Żydów!”, „Kto kupuje od Żydów, jest zdrajcą!”, „Żydzi to czyste kłamstwa i fałsz!”, „Dopóki nie umrze ostatni Żyd, nie będzie chleba ani pracy!”.

Ciężarówki wiozące członków SA zatrzymywały się na środku ulicy i na sygnał gwizdka mężczyźni wyskakiwali na ulicę w niezwykle zorganizowany sposób, dzielili się na małe grupy i przyklejali ogłoszenia na wystawach, drzwiach i szyldach wszystkich żydowskich firm i sklepików, które wskazywał jeden z nich po jednej i po drugiej stronie

ulicy. Inni zostawiali obraźliwe malunki wykonywane na oczach ciekawskich przechodniów spacerujących przed budynkami – jedni z pewnym skrepowaniem, drudzy, upajając się cudzą krzywdą, kiedy czytali przesłanie z plakatów, bardzo podobne do powtarzanych sloganów, wzywające obywateli, aby nie wchodzili do lokali prowadzonych przez Hebrajczyków ani w nich nie jedli.

Claudia przypomniała sobie, że miała wejść do cukierni Rothmanów odebrać Käsekuchen (sernik pieczony przez panią Rothman, dzięki któremu zasłynęła w całym Berlinie) i tacę wielkanocnych ciastek, które poprzedniego dnia zamówiła jej matka na spotkanie kobiet z partii. Kiedy dotarła na bulwar Leipzigerstrasse, zobaczyła zmierzającą w jej kierunku paradę oddziałów szturmowych. Ludzie tłoczyli się na chodniku z podniesioną ręką w geście hitlerowskiego pozdrowienia, i ona zrobiła to samo, również czekając, aż defilada przejdzie, żeby mogła iść dalej.

Minęła ją rodzina, małżeństwo z trzema nastoletnimi córkami, które, nie zważając na paradę, z zainteresowaniem oglądały wystawę sklepu z ubraniami. Zdziwiło ją takie zachowanie podczas przemarszu oddziałów, ale usłyszała, że rozmawiają po angielsku, i domyśliła się, że są cudzoziemcami i stąd ich obojętność. Jednak nie tylko Claudia zwróciła na nich uwagę. Podeszło do nich kilku umundurowanych mężczyzn, którzy głośno i niegrzecznie zażądali od nich wyjaśnień, dlaczego nie salutują i dlaczego na dodatek stoją tyłem do SA. Mężczyzna, z uprzejmą miną, próbując rozładować napięcie, z trudem odpowiedział po niemiecku, że są obywatelami północnoamerykańskimi, którzy przebywają w Berlinie turystycznie, i że wraz z rodziną wraca do hotelu. Część osób z tłumu zaczęła ich zaciekle lżyć. Rodzina poczuła się zagrożona, kobieta trzymała męża pod rękę, córki wtulały się w nią, przerażone szalejącą wokół nich wściekłością. Amerykanin dostrzegł kilku policjantów zaledwie parę metrów od nich i poprosił ich o pomoc wobec tego ataku, ale funkcjonariusze nie kiwnęli palcem, nawet nie drgnęli. Widać było, że mężczyzna jest wzburzony. Próbował ochronić

rodzinę swoim ciałem, niczym mur obronny. Claudia przyglądała się zajściu z przyspieszonym pulsem; nie podobało jej się to, ale nie mogła się wtrącić, nie powinna tego robić. W końcu do tego pojedynku lwów wkroczył jeden z przechodniów i powstrzymał wściekłość rozszalałego tłumu, dając rodzinie sposobność ucieczki, w panice i zdumieniu, wśród pchnięć i splunięć z niewytłumaczalną wściekłością.

Claudia wymieniła spojrzenie z mężczyzną, który powstrzymał ten spektakl pogardy, spojrzenie oskarżycielskie z powodu bierności wobec niesprawiedliwości. Wzdrygnęła się, czując posłany ku niej przejaw odrazy. Natychmiast odwróciła wzrok, nękana nieprzyjemnym doznaniem obrzydzenia do samej siebie, ruszyła, usiłując zginąć w tłumie i uciec od mroku własnego sumienia.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od cukierni Rothmanów do zatrzymania zmusiło ją inne zdarzenie. Grupa dziewcząt dopingowała chłopaka, który energicznymi pociągnięciami malował na żółto wystawę ciastkarni, tworząc prymitywny kształt gwiazdy Dawida. Claudia nie wiedziała o żydowskim pochodzeniu Rothmanów, stąd jej zdziwienie. Ona i jej rodzina zawsze robili zakupy w tej cukierni, produkty mieli wyborne i wyjątkowej jakości. Nie przyszłoby jej do głowy coś takiego. Wzruszyła ramionami, wstrząśnięta, i pomyślała o reakcji matki; była zadeklarowaną antysemitką i może dostać zawału, kiedy się dowie, że przez dekady jadła chleb i ciasta zagniatane przez żydowskie dłonie.

U Claudii niechęć do Żydów wynikała z tego, że wychowała się w takiej, a nie innej atmosferze. Jej antysemityzm opierał się na zwykłym przyzwyczajeniu, w jej umyśle nie było twardych argumentów, które przemawiałyby za tym odczuciem. Nie udzielała się też w krucjacie zorganizowanej przeciwko całej społeczności żydowskiej; właściwie nie zwracała zbytnej uwagi na nieustanne wystąpienia przeciwko nim, brutalne ataki (odosobnione, zwykła tłumaczyć), a ten bojkot ją nawet śmieszył – jak słyszała od męża, był całkowicie uzasadnioną obroną przeciwko zalewowi oszczerstw na temat nowych Niemiec z ust Żydów za granicą. Właściwie nie miało to wpływu na

codzienne życie większości obywateli takich jak ona, poza wszechobecnymi na ulicach i w instytucjach oddziałami szturmowymi czy falą flag i swastyk widzianych i demonstrowanych wszędzie oraz naciskiem na wymawianie nazistowskiego powitania „Heil Hitler!”, które przy tak częstym powtarzaniu stawało się niewygodne, a czasem wręcz absurdalne. Ale nie ulegało wątpliwości, że społeczeństwo ogarnęła swoista euforia narodu zjednoczonego pod przywództwem Hitlera.

Doszła do wniosku, że to nie najlepszy moment na odebranie zamówienia, więc przeszła na drugą stronę i przyspieszyła kroku, ale w końcu zwolniła i odwróciła się, słysząc nowe głosy.

Jurij Santacruz usiłował wejść do cukierni Rothmanów, dzielnie walcząc z dziewczynami, które przed wejściem utworzyły ludzki mur. Claudia z rozbawieniem przyglądała się tej scenie.

– Nie kupuj u Żydów! – krzyknęła jedna z dziewcząt.

Donośny głos Jurija rozniósł się na całej ulicy:

– Kupuję, gdzie mam ochotę.

– Chyba nie jesteś brudnym Żydem?

– A ty? Nie jesteś Żydówką?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała dziewczyna, zaczerwieniona z powodu obelgi.

Claudia przyglądała się mu z uśmiechem. Po ich przelotnym spotkaniu na przyjęciu u jej teściów minęła się z nim kilka razy na schodach i na ulicy. Jego uprzejmość wzbudzała w niej niepokój. Nic nie mogła poradzić na to, że czuła się oczarowana tymi oczami, doszczętnie uwiedziona jego wyjątkową urodą: był wysoki, miał ciemne, gęste, lekko falowane włosy, śniadą cerę – tak inną od aryjskiej bladości, do jakiej się przyzwyczaiła – która podkreślała jego szare oczy, bardzo jasne, kocie, pomyślała, z długimi czarnymi rzęsami. Był elegancki i postawny, regularne rysy twarzy idealnie do niego pasowały, a uśmiech miał zniewalający. Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i krawat w odcieniach błękitu, zawiązany nieco niezdarnie, w dłoni trzymał

filcowy kapelusz. Kłócił się zawzięcie, broniąc swojego prawa do wejścia do cukierni. Na rogu pojawiła się brygada SA. Czterej mężczyźni, wezwani przez dziewczęta, podeszli do nich z arogancką butą.

– Chce wejść na zakupy do żydowskich świń – wyjaśniła jedna z dziewczyn piskliwym głosem.

– Nie wolno kupować u Żydów – pouczył go pojednawczym tonem jeden z członków bojówki, jakby chciał po dobroci przekonać go do swoich racji.

– A kto mi zabroni? – spytał Jurij.

– Jeśli to zrobisz, będziesz musiał ponieść konsekwencje. – Z arogancką miną wyciągnął rękę. – Dokumenty.

Jurij zaprotestował. Nie popełnił żadnego przestępstwa ani wykroczenia. Podniosła się wrzawa i w tej chwili wzrok Claudii padł na wystawę: przerażona Lilli Rothman obserwowała zza szyby, co się dzieje na ulicy, aż nagle odwróciła się do Claudii. Przebłysk strachu w jej spojrzeniu podziałał jak rażenie pioruna, ale zamiast ją sparaliżować, pchnął do działania.

– Panienko, proszę nie kupować u Żydów. – Inny z członków grupy szturmowej zaszedł jej drogę.

– Nie jestem już panienką i zawsze tu kupowałam.

– Więc będzie pani musiała poszukać innej cukierni, prowadzonej przez Niemców. Przy tej samej ulicy jest jedna, sto metrów dalej. Właściciel jest aryjczykiem. Wielkim patriotą. Trzeba przestać wzbogacać te szumowiny, które nas zaduszają i wykorzystują dobrych Niemców.

Cała uwaga skupiła się na niej. Jurij również przyglądał się jej wyczekująco.

– Nie chcę iść gdzie indziej – odezwała się kategorycznie. – Chcę wejść do tego sklepu i nikt mi nie zabroni.

– Jeśli pani nalega, będzie musiała się wylegitymować.

Otworzyła torebkę, wyciągnęła dowód osobisty i mu go podała.

– Mój mąż raczej nie będzie zachwycony tym, że chcą go pozbawić jego ulubionych ciastek.

Mężczyzna spojrział na nią z pogardą i zanotował jej dane.

– Guzik mnie obchodzi, co myśli pani mąż. Pani sama powinna go przekonać, że kupowanie u Żydów jest zdradą wobec Niemiec.

Nabrała jeszcze większej pewności siebie.

– Może przekonasz go sam. – Zwróciła się do niego na ty celowo, tylko po to, żeby osłabić jego autorytet. – To Obergruppenführer SS von Schönberg. Znajdziesz go w gabinecie Heinricha Himmlera, jest jego osobistym asystentem. – Osiągnęła zamierzony efekt i postanowiła zadać ostateczny cios. – Mogę prosić o twoje nazwisko i stopień? – Odwróciła głowę i rozchyliła wargi, uśmiechając się złowrogo.

Twarz chłopaka stężała. Poruszał ustami, z których nie wydobywał się żaden dźwięk, i odwrócił się do swoich towarzyszy, domagając się wsparcia. Nikt nie drgnął. Jeden z nich wyciągnął mu z dłoni dokumenty i oddał je Claudii.

– Zostaw ją w spokoju – wyszeptał, nie spuszczając wzroku z dziewczyny, która uśmiechała się triumfalnie. – Niech kupuje, gdzie chce.

Claudia wzięła swój dowód. Zrobiła dwa kroki w stronę Jurija i pociągnęła go za rękę.

– On jest ze mną.

Dzwonek przy drzwiach zadźwięczał, a w środku przywitały ich wstrząsająca cisza i słodki zapach cukru i świeżego chleba. Uliczna wrzawa została stłumiona.

Lilli Rothman stała przy szybie z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby było jej zimno, z grymasem na twarzy. Jej mąż oraz dwoje dzieci, Bruno i Ernestine, stali za ladą. Wszyscy nieufnie przyglądali się nowo przybyłym, wyczekując, co zrobią. Poruszał się jedynie pan Rothman, który powoli, nie spuszczając wzroku z pary klientów, wkładał blachę z jabłecznikiem do szklanej witryny.

– Dzień dobry – odezwała się Claudia z uśmiechem, starając się, by jej słowa zabrzmiały zwyczajnie. – Przyszłam odebrać wczorajsze zamówienie. Jest gotowe?

Lilli przyglądała się jej przez kilka sekund, jakby nie mogła uwierzyć, że ta kobieta, córka, siostra i żona nazistów, zamierzała od nich coś kupić. Nagle usłyszała głos pana Rothmana:

– Lilli... Nie słyszałaś pani von Schönberg?

Kobieta zareagowała: pospiesznie wysłała Ernestine, żeby odszukała zamówienie Claudii, i dopiero to rozładowało napięcie. Pan Rothman obsłużył Jurija, który poprosił o dwa precle na wynos. Nagle drzwi się otworzyły i ciszę zakłócił dźwięk dzwonka. Do środka weszła kobieta w towarzystwie dwóch mężczyzn w nieskazitelnym mundurach SS. Trzymała tacę z ciastem w półotwartym opakowaniu. Pan Rothman przywitał ją serdecznie, nie rozumiejąc obecności tych mężczyzn, którzy zdawali się ją ochraniać.

– Dzień dobry, pani Korge. W czym mogę pomóc?

Nie odpowiedziała. Podeszła do lady i położyła tacę z takim impetem, że wylądowały na podłodze, gdyby cukiernik w porę jej nie chwycił.

– Nie smakowały pani ciasta, które dostarczył mój syn? – spytał zdumiony.

– Żądam zwrotu pieniędzy – oznajmiła ostrym tonem, z przesadnym oburzeniem. – Nie chcę pańskich ciastek ani chleba, nie chcę od państwa nic. Gdybym wiedziała, że jesteście Żydami, moja noga nie przekroczyłaby progu tej cukierni.

Pan Rothman patrzył na nią oniemiały. Zareagowała Lilli: otworzyła kasę, wyciągnęła banknot i wręczyła go kobiecie.

– Nie musi pani wydawać reszty. – Wykrzesła z siebie uśmiech, próbując zachować się uprzejmie.

– Nie zamierzałam – odpowiedziała kobieta wyniośle. – Powinnam zażądać od państwa zwrotu wszystkiego, co tu wydałam.

Jak gdyby nigdy nic, wyciągnęła rękę z donośnym „Heil Hitler!” powtórzonym przez obu mężczyzn. W kilkusekundowej ciszy trwało oczekiwanie na odpowiedź pozostałych. Ernestine, córka pana Rothmana, zareagowała pierwsza: wyciągnęła rękę i energicznie, z przekonaniem, wypowiedziała nazistowskie pozdrowienie. Pozostali,

zastraszeni, zrobili to, co ona, choć znacznie bardziej niemrawo, również Claudia. Jurij stał bez ruchu, ale na niego nikt nie zwracał uwagi. Kobieta obrzuciła wszystkich chłodnym spojrzeniem i z pogardą odwróciła się do nich tyłem. Czekający w gotowości mężczyźni otworzyli jej drzwi, dzwonek znów zadźwięczał i wyszli we trójkę, trzaskając drzwiami tak mocno, że pod wpływem wstrząsu szyba mało nie wypadła.

Pozostali stali nieruchomo w pełnej konsternacji ciszy. W końcu przerwała ją Claudia:

– Nie wiedziałam, że państwo...

Lilli nabiła na kasie kwotę, jaką miała zapłacić Claudia, jakby jej nie usłyszała.

– Powinni byli państwo powiedzieć – ciągnęła. – My, klienci, mamy prawo wiedzieć.

– Nie jesteśmy Żydami – odparła poirytowana Lilli. – Nie w sensie religijnym. – Było widać, że nagle straciła rezon, jej głos stał się cichszy. – Mój ojciec był Żydem, ale nie kultywował tradycji. Był Żydem, bo byli nimi jego rodzice, i tyle. Moja matka była katoliczką, wzięli kościelny ślub, ja jestem katoliczką, mój mąż jest katolikiem, moje dzieci są katolikami. Więc o co w tym wszystkim chodzi? – spytała ze zrozpaczoną miną, spoglądając na ulicę. Pokręciła głową, zdruzgotana, patrząc przed siebie. – Nie rozumiem, jak udało się państwu wejść. – Jej wzrok powędrował na chwilę ku córce, ale natychmiast go cofnęła, jakby patrząc na nią, doznała wstrząsu. Jej głos był zaledwie szeptem: – Nie rozumiem.

– Bojkot nie potrwa długo – pocieszyła ich Claudia, usiłując złagodzić wymowę tego, co działo się na zewnątrz. – Za parę dni wszystko wróci do normy.

Lilli spojrzała na nią oszołomiona.

Claudia i Jurij pożegnali się i odwrócili do wyjścia. Pan Rothman obszedł ladę, żeby otworzyć im drzwi; podziękował im za odwagę, kłaniając się kilka razy, dopóki nie wyszli na ulicę. Musieli omijać ludzi, którzy nie przestawali ich lżyć, teraz z daleka, za plecami, bez

podchodzenia, tchórzliwie kryjąc się w grupie. Przez chwilę szli w milczeniu, aż zyskali pewność, że znaleźli się na bezpiecznym gruncie.

– Chyba zaczyna się stawać zwyczajem to, że ratuje mnie pani z opresji – odezwał się Jurij, chcąc ją sprowokować.

– Nie wyciągnęłam pana z żadnych opresji. Chciałam wejść odebrać moje zamówienie, a pan stał mi na drodze.

– Ale pozwolono mi wejść dopiero, kiedy zjawiała się pani von Schönberg.

– Wpuściliby pana bez problemu.

– Bez problemu? Niewiele brakowało, żeby mnie zatrzymali.

Szła, patrząc przed siebie, stawiała krótkie kroki niezbyt szybko. Zorientowała się, że Jurij dostosowuje się do jej tempa.

– Jest bojkot – oznajmiła z przekonaniem. – Muszą poinformować ludzi.

– Rozumiem zatem, że pani nie bojkotuje Żydów.

– Rothmanowie nie są Żydami – odparła, spoglądając na niego kątem oka.

– Jej ojciec był – przypomniał Jurij. – Powiedziała to sama Lilli Rothman.

– Powiedziała też, że jest katoliczką, żoną katolika i ma ochrzczone dzieci... Rothmanowie to coś o wiele więcej niż zwykła cukiernia, stali się w Berlinie instytucją. Moja mama kupuje u nich od dziecka. Nie ulega wątpliwości, że w ich przypadku zaszła pomyłka.

Dotarli do bramy i wolnym krokiem zaczęli wchodzić po schodach. Kiedy weszli na drugie piętro, Claudia nie mogła wyjąć kluczy z torebki, bo ręce miała zajęte sprawunkami. Jurij ruszył z pomocą i przytrzymał pakunki. Claudia wyciągnęła klucze i otworzyła drzwi. Odwróciła się do niego, a on czekał. Gestem zaprosiła go do środka i Jurij wszedł, ale żadne z nich nie zorientowało się, że zza drzwi z naprzeciwka wszystko obserwowało czujne oko Angeli Blumenfeld. Jurij tacę położył na stole w kuchni, tym razem posprzątanej.

– Napije się pan kawy? Tym razem chyba zasłużyliśmy oboje. –
Uśmiechnęła się.

– Z chęcią bym się napił, ale nie wiem, co pomyśli sobie pani mąż, jeśli znów mnie tu zastanie. Nie był zachwycony moją obecnością.

– Mój mąż dużo podróżuje. Wróci dopiero w przyszłym tygodniu.

Claudia zaparzyła kawę, postawiła wszystko na tacy i zaprowadziła gościa do salonu. Jurij, idąc za nią, dostrzegł zdjęcie portretowe Franza Kahlera w brunatnym mundurze SA. Chwycił stojącą na kredensie ramkę. Claudia zdążyła postawić tacę na stole, wyprostowała się i kiedy się odwróciła, i zobaczyła go oglądającego zdjęcie, zamarła.

– Kto to jest? – spytał Jurij.

– Mój brat Franz.

– No tak. Franz... Przecież zwróciła się pani do niego po imieniu... – wymruczał Jurij, nie odrywając wzroku od fotografii. Po chwili spojrział na Claudię. – To on dźgnął tamtego chłopaka.

– Widział pan, jak było. Doskonale pan wie, że działał w swojej obronie.

– Więc dlaczego nie powiedziała pani tak w swoich zeznaniach? Dlaczego zrzucać winę na niewinnego?

– Nie zrozumie pan – odparła, obejmując się, jakby coś ją bolało.

– Chodzi o mówienie prawdy. Jaki to problem?

– To byłby dla mojego brata koniec kariery.

– Więc żeby ratować karierę brata, skazuje pani niewinnego chłopaka?
Co z pani za kobieta?

– Temu człowiekowi nic się nie stanie. Potrzymają go jakiś czas i wypuszczą. Mało tego, dopóki siedzi w więzieniu, jest chroniony przed represjami, które mogłyby mu wyrządzić więcej krzywdy. Z powodu śmierci tego Petera wielu pała żądzą zemsty.

– Naprawdę wierzy pani w to, co mówi? – spytał Jurij.

– A czemu miałabym nie wierzyć?

– Bo to, co pani mówi, nie jest prawdą.

– Mój mąż zapewnił, że tak będzie.

Oboje milczeli skrepowani. Ona wzięła głęboki oddech i zrobiła kilka kroków w jego stronę.

– Ma pan papierosa? – spytała łagodnym tonem, jakby chciała zmienić temat, tak dla niej niewygodny. – Proszę...

Jurij bez słowa odstawił zdjęcie, zanurzył dłoń w kieszeni i wyciągnął paczkę. Claudia wyjęła papierosa i odwróciła się, żeby wziąć ze stołu zapalniczkę leżącą obok tacy.

– Kawa wystygnie – powiedziała, pochylając się, żeby podać filizanki.

Jurij nie mógł oderwać wzroku od jej ciała, wcięcia w talii, podkreślonego ołówkową spódnicą, pod którą rysowały się idealne kształty jej pośladków. Puls mu przyspieszył. Niewiele myśląc, podszedł do niej. Claudia nagle się wyprostowała, odwróciła i znaleźli się tuż obok siebie, twarzą w twarz. Żadne z nich nie było w stanie tego powstrzymać. Ich wargi się złączyły, a wszystko inne przestało mieć znaczenie, gdy wdychali nawzajem swój zapach. Części garderoby upadały kolejno na dywan. Nagie ciała szukały się niecierpliwie. Wszystko wokół nich znikło, istnieli tylko oni, poza całym pełnym wrzawy światem. Skończyli wyczerpani, spoceni, wśród czułych pieszczot piersi, brzucha, ust, ud, i znów spleli ciała.

Kiedy Jurij wychodził od Claudii, pani Blumenfeld usłyszała odgłos otwieranych drzwi, znów przytknęła oko do wizjera. Gdy wyszedł z jej pola widzenia, kobieta uniosła dłoń do ust i wzruszyła ramionami, jakby chciała zachować ten sekret.

Jurij pokonywał stopnie, jakby lewitował. Był bardzo zmęczony. Noc spędził w samochodzie, wracając z kolejnej podróży do Szwajcarii. W dłoni trzymał tackę z preclami.

Jednego zamierzał zjeść i pójść spać, ale kiedy przechodził obok mieszkania pani Metzger, drzwi nagle się otworzyły i pojawiła się wdowa, jakby na niego czekała. Zagoniła go szybko do środka. Zamknęła i zaryglowała drzwi, choć nigdy wcześniej tego nie robiła.

– Na miłość boską, gdzie się podziewałeś? Czekam na ciebie i czekam.

– Stało się coś, Frau Metzger? – spytał, kładąc tackę na gzymsie, obok figury anioła z brązu.

Chwyliła go za rękę i pociągnęła przez korytarz do tej części domu, w której nigdy wcześniej nie był; weszli do pokoju z małymi drzwiami zamaskowanymi tapetą tak, by udawały szafę. Wdowa wyciągnęła z kieszeni klucz, wsunęła go do zamka, przekręciła i drzwi otworzyły się na zewnątrz. Odwróciła się do niego.

Jurij nie zareagował od razu. Był to swoisty składzik, długi na zaledwie dwa metry, szeroki na półtora, bez okien i z niskim sufitem. Po obu stronach stały walizy i stosy pudeł. Z głębi spoglądały na niego wielkie, zaskoczone oczy, oczy rannego ptaka, mężczyzny rozpaczliwie wychudzonego...

– Święty Boże...

Axel Laufer zjawił się w mieszkaniu pani Metzger zeszłej nocy. Zdołał uciec podczas transportu wiozącego stu więźniów takich jak on do obozu pracy, uruchomionego niedawno w Dachau, niedaleko Monachium. Przewożono ich ciężarówkami, a on wykorzystał drzemkę pilnującego ich strażnika i zeskoczył z paki. Drogę powrotną do Berlina pokonywał tylko nocą. Nie mógł wrócić do rodziców, bo bał się, że są śledzeni, a nie chciał ich pograżać jeszcze bardziej. Zamierzał do nich zadzwonić, ale nie miał pieniędzy. Postanowił wstąpić do pani Metzger i poprosić, żeby użyczyła mu telefonu. Musiał ich uspokoić, potrzebował też ubrań i pieniędzy. Zdecydował już, że wyjedzie z kraju.

Dotarł pod numer siedem przy Mohrenstrasse, ale drzwi do klatki były zamknięte na cztery spusty. Dochodziła północ, a tego nie przewidział. Już miał zrezygnować, ale usłyszał kroki i schował się w wejściu do sklepu obuwniczego w sąsiednim budynku. Rozpoznał pana Rothmana idącego drugą stroną ulicy. Nie chciał nikogo wplątywać w swoją ucieczkę, więc wstrzymał oddech, gdy spostrzegł, że cukiernik przechodzi przez jezdnię; nie zauważył go w ciemności, gdy go mijał, i stanął przed

bramą. Axel czekał, czujny. Wiedział, że musi być bardzo szybki. Usłyszał, jak Rothman otwiera drzwi, wychylił się i gdy miał pewność, że mężczyzna wszedł, podbiegł i chwycił skrzydło drzwi dosłownie w chwili, gdy się zamykały. Zakradł się do środka niczym kot. Widział plecy pana Rothmana, zmierzającego do pierwszego odcinka schodów, i czekał, aż drzwi do bramy trzasną. Przez kilka sekund niesło się echo kroków na kolejnych stopniach. Axel stał niemy jak posąg, aż usłyszał, że cukiernik wchodzi do mieszkania, a klatka schodowa pogrążyła się w grobowej ciszy. Bardzo ostrożnie wszedł na trzecie piętro i stanął przed drzwiami pani Metzger. Wcisnął dzwonek i przestraszył się hałasu. Wstrzymał oddech i czekał.

Wdowa właśnie zapadała w sen. Otworzyła oczy i patrzyła przed siebie w swojej ciemnej sypialni. Wstała i wyszła na korytarz, po drodze wkładając szlafrok. Kiedy dotarła do sieni, zapaliła światło. Axel dostrzegł wyzierającą spod drzwi jasność. Zapukał dwa razy.

– Kto tam? – spytała głośno.

Axel przysunął usta do drzwi i wyszeptał najgłośniejszym głosem, jak mógł.

– Pani Metzger, to ja, Axel...

Jego słowa dotarły do wdowy dopiero po chwili, jakby ten szept dobiegał nie zza drzwi, a z grobowca.

Axel znów delikatnie zapukał, a ona szybko otworzyła. Musiała się wysilić, żeby się nie rozplakać na widok opłakanego stanu chłopaka. Z szeroko otwartymi, przerażonymi oczami, zapadniętymi w ciemnych oczodołach, zgarbiony, trzęsący się z zimna, przypominał zbite, przestraszone zwierzątko.

– Pani Metzger – wyszeptał błagalnie. – Mogę wejść? Proszę...

Chwyciła go za rękę i wciągnęła do środka. Zamknęła drzwi na klucz i się odwróciła.

– Na miłość boską, Axel... Co ci zrobili?

Nic nie zostało ze zdrowego i wesołego chłopaka, jakim był, wyglądał jak włóczęga; wynędzniały, wyczerpany, ekstremalnie wychudzony, z posklejanymi, brudnymi włosami, ze skórą pozbawioną blasku,

matową, bladą, splamioną zaschniętym błotem z brunatnymi śladami po przeżytych uderzeniach; bił od niego odór kloaki. Choć noc była zimna, miał na sobie tylko cieniutką piżamę, w której go zatrzymano, wyświechtaną i brudną. Wdowa patrzyła na niego przerażona.

– Przepraszam, że panią niepokoję, pani Metzger – powiedział strapiiony, jakby zachował się niewłaściwie, zjawiając się u niej. – Nie wiedziałem, dokąd pójść... Mógłbym zadzwonić do rodziców? Pójdę sobie, jak tylko z nimi porozmawiam.

– Wyglądasz jak zjawa, dziecko... – odpowiedziała, ciągle wstrząśnięta jego widokiem. – Ale nie stój tu. Chodź, przygrzeję ci rosół, dobrze ci zrobi. – Zaprowadziła go do kuchni. – Siadaj. Zaraz ci go podam.

Axel potulnie usiadł na krześle ze zboląłą miną. Wyczekując w skrępowaniu, obserwował, jak kobieta krząta się przy palnikach kuchenki.

– Nie chcę pani w to wciągać, pani Metzger.

– Uciekłeś? – spytała, nie przystając.

– Tak. Pójdę sobie, jak tylko porozmawiam z rodzicami, o ile pani mi pozwoli...

Słuchała go, nie przestając przygotowywać jedzenia, jakby ruch dawał jej siły na to, by powiedzieć mu prawdę.

– Przykro mi, Axel, ale to nie będzie możliwe.

Zdruzgotany jej słowami, przełknął ślinę.

– W porządku... Rozumiem... – Poruszył głową i odezwał się błagalnie: – Może im pani ode mnie przekazać, żeby się o mnie nie martwili, że nic mi nie jest i że będę próbował wyjechać z kraju? I... – Z wielkim wysiłkiem przełknął łzy. – I że ich kocham całym sercem. Zrobi to pani, pani Metzger? Proszę...

Wdowa przerwała krzątanie i spojrzała na niego ze współczuciem. Zapaliła już palnik w kuchence i postawiła na nim garnek. Wyciągnęła z koszyka chleb i położyła go na talerzu razem ze sporym kawałkiem sera i odrobiną dżemu z pigwy. Stała przed nim z rękami skrzyżowanymi pod biustem, jakby obejmując się, dodawała sobie otuchy

albo chroniła przed brutalną prawdą, przed przygnębiającym wspomnieniem małżeństwa Lauferów odjeżdżających rozklekotaną furgonetką, do której zapakowali treść całego swojego życia: walizki, trochę książek, kosze z drobiazgami; jak przekazać mu szczerze tę brutalną prawdę, jak opowiedzieć mu o suchych od łez oczach matki, zapadniętej z bólu piersi ojca, zgarbionych ramionach obojga pod ogromnym ciężarem nieobecności syna, dobrego syna, nieświadomego jeszcze bolesnego losu ukochanych rodziców. Serce jej pękało na samą myśl o tym.

– Twoich rodziców nie ma w Berlinie – powiedziała w końcu. – Wyjechali wkrótce po twoim zatrzymaniu. Twoja mama przyszła się pożegnać, powiedziała mi, że wszystko sprzedali i wyjeżdżają do Szwajcarii, do twojej ciotki.

– Wszystko sprzedali? – spytał osłupiały Axel, słysząc te słowa. – Dlaczego? Jaki mieli powód?

Wdowa przerwała mu, unosząc dłoń.

– Zostawiła coś dla ciebie. Poczekaj. – Wyszła na korytarz i wróciła po chwili z zaklejoną kopertą. Położyła ją na stole i przesunęła powoli palcami, świadoma jej zawartości. – Powiedziała, żebym ci to dała, kiedy wrócisz, bo zawsze miała nadzieję, że wrócisz, że zjawisz się cały i zdrowy.

Axel wyciągnął rękę, żeby wziąć kopertę, ale natychmiast ją cofnął, bo zawstydził się z powodu swoich umorusanych dłoni, tak kontrastujących z nieskazitelną bielą koperty i z palcami wdowy.

– Mógłbym się najpierw umyć? – spytał lękliwie.

– Najpierw coś zjedz. Inaczej zanim pozbędziesz się brudu, umrzesz z głodu. – Kobieta chwyciła ucho rondla przez ścierekę, żeby się nie poparzyć, wlała rosół do miski i postawiła przed nim z ciężkim westchnieniem. – Dalej, jedz. Przygotuję ci kąpiel. Zdażysz to przeczytać.

Nie spuszczać wzroku z koperty, łapczywie połykał zupę, chleb, ser i słodką pigwę. Później wziął gorącą kąpiel. Pani Metzger znalazła ubrania po swoim zmarłym mężu, które jeszcze trzymała w skrzyni.

Spodnie były świetnie odszyte, ale za szerokie. Przytrzymała je paskiem. Dała chłopakowi też wełnianą marynarkę, bo choć w mieszkaniu było ciepło, Axel cały czas się trząsał, jakby krew mu w żyłach zamarzała. Umyty i porządnie ubrany odzyskał nieco godności. Powolnymi ruchami, wiedząc, że ta koperta przyniesie mu ból, usiadł z wdową w salonie i będąc w fotelu, otworzył list. Ze środka wypadł na podłogę łańcuszek ze złotym medalikiem przedstawiającym serce Jezusa. Axel natychmiast go podniósł. Trzymał go w dłoni i przyglądał mu się ze wzruszeniem. To był medalik z jego chrztu, starannie przechowywany przez jego matkę dla wnuków. Musnął biżuterię i trzymając ją w palcach, wyciągnął kartki zapisane po obu stronach znajomym, drobnym, krągłym pismem matki. Uśmiechnął się czule, wyobrażając ją sobie, jak pisze na stole, na którym wykrawała swoje szablony. Zanim zanurzył się w lekturze, zerknął na panią Metzger. Siedziała w fotelu niedaleko niego; wzięła robótkę i na niej się skupiła, spoglądając na niego od czasu do czasu, serdecznie, dając mu wsparcie i pociechę.

Czytając, Axel miał wrażenie, że w jego sercu zanurza się sroga pięść. Przy każdej linijce wzbierała w nim żal na myśl o potwornym doświadczeniu, jakie jego ukochani rodzice musieli znieść. Powstrzymał się od płaczu i z zimną krwią dotarł do końca tego świadectwa miłości i cierpienia. Gdy podniósł wzrok, jego oczy lśniły, i rozplakał się tak rozpaczliwie, że pani Metzger się wzruszyła. Mimo to nie próbowała go pocieszyć, zostawiła go z jego bólem, bo wiedziała, że trzeba czasu, żeby pogodzić się z cierpieniem i bezradnością wobec niego. Długo siedział skulony w fotelu, z twarzą ukrytą w pikowanej tkaninie, z kartkami w dłoniach. Tylko zegar na ścianie odmierzający godziny i cichy szloch Axela zakłócał kompletną ciszę w mieszkaniu, aż monotonny odgłos tykania stał się definitywnym panem ciszy, kiedy chłopak z wyczerpania zapadł w głęboki sen.

Pani Metzger otuliła go kocem i pozostała przy nim, zastanawiając się, co powinna zrobić. Choć bardzo żałowała, wiedziała, że Axel nie może u niej zostać; za parę godzin zjawi się Brenda i jeśli się o nim dowie, nie

ulegało najmniejszej wątpliwości, że pobiegnie na donieść. Ta kobieta zamieniła się w potwora i nie można było jej ufać. Pomyślała o Juriju: mógłby ukryć go na poddaszu, dopóki nie postanowią, co robić. Może dzięki temu, że pracuje w hiszpańskiej ambasadzie, byłby w stanie pomóc mu wyjechać z kraju. Z tą myślą wyszła po cichu i weszła na poddasze. Pukała natarczywie, ale nikt nie otwierał. Zmartwiona wróciła do swojego mieszkania i zerknęła na zegar. Pozwoliła Axelowi jeszcze trochę pospać, aż w końcu, nie mając wyjścia, obudziła go, ponieważ zbliżała się pora przyjścia gosposi. Choć zrobiła to bardzo delikatnie, podskoczył zdezorientowany, z zakodowaną w umyśle czujnością. Próbowała go uspokoić łagodnym tonem.

– Axel, muszę cię ukryć. Nie możesz tu zostać.

Opierał się i chciał sobie pójść, ale ona nie dała mu wyboru, nie zamierzała pozwolić mu wyjść na ulicę. Pozwolił się więc zaprowadzić do pomieszczenia w głębi korytarza, gdzie wdowa otworzyła drzwi małego składziku.

– Schowaj się tutaj. Chłopak, który pomógł ci podczas bójki, jest moim lokatorem, mieszka na poddaszu. Próbował zeznawać na twoją korzyść, ale nikt nie potraktował go poważnie. W tej chwili go nie ma, muszę poczekać, aż wróci. On na pewno znajdzie sposób, żeby ci pomóc. A tymczasem musisz posiedzieć tutaj, cichuteńko.

Przyglądali się sobie parę sekund. Axel wszedł do schowka i wcisnął się w głąb. Wdowa zamknęła drzwi i schowała klucz. Usiłowała ubrać się jak zwykle starannie, ale nerwy jej nie pozwalały, trzęsły się jej ręce i co chwilę wyglądała przez okno w nadziei, że zobaczy Jurija przed gosposią.

Brenda zjawiała się punktualnie. Jak tylko weszła, zauważyła, że pani Metzger jest nieswoja, zdenerwowana i spięta. Pomyślała, że źle spała, a ona to potwierdziła.

– Nie zmrużyłam oka, Brendo.

Usiadła z robótką przy oknie, nasłuchując, jak gosposia krząta się po domu, i wyczekując powrotu Jurija. On będzie wiedział, co robić,

powtarzała sobie.

Minęły prawie dwie godziny od chwili, gdy pani Metzger zobaczyła przez okno Jurija Santacruza wracającego w towarzystwie nowej sąsiadki. Wstała szybko.

- Brendo, idź po sprawunki. Nie mam ochoty wychodzić.
- Skończę łazienkę i pójdę. Nie wiedziałam, że jest taka brudna...
- Nie, idź zaraz, chcę przyszykować obiad, przyniesiesz chleb.

Brenda, podejrzliwa z powodu poganiania, włożyła płaszcz, wzięła koszyk i wyszła. Pani Metzger stanęła przy drzwiach i czekała na Jurija, ale długo się nie zjawiał, zbyt długo. Pomyślała, że widocznie zabawił u Siegelów: wpadał do nich, kiedy miał ich odwiedzić Fritz. Z duszą na ramieniu i przy wyłączonym radiu stała przy drzwiach, nasłuchując odgłosów na schodach. Po prawie godzinie usłyszała trzaśnięcie drzwi. Otworzyła swoje, aż pojawił się Jurij, i nie zostawiając mu czasu na reakcję, wciągnęła go do środka.

– Jak się tu znalazł? – Jurij nie mógł wyjść ze zdumienia na widok Axela Laufera w głębi składziku.

– Długa historia – odpowiedziała wdowa. – Teraz nie ma czasu. – Podeszła do niego, położyła mu rękę na ramieniu w błagalnym geście. – Muszę go stąd zabrać, zanim wróci Brenda. Wysłałam ją na zakupy godzinę temu. Jak wróci i go znajdzie, kłopoty będzie miał nie tylko Axel, ale i ja. Nie wiem, co robić...

Chłopak wyłonił się ze swojej kryjówki i przyglądał się nerwowo.

– Nie chcę nikogo obciążać. Zejdę do piwnicy, a po zmierzchu sobie pójdę.

– Mowy nie ma – przerwała mu wdowa kategorycznie.

– Mógłby się ukryć na poddaszu – zaproponował Jurij z namysłem. – Problem w tym, że Brenda tam też wchodzi sprzątać.

– Dziś sobota, nie wejdzie, wie, że jesteś w mieszkaniu.

W tej chwili Axel poruszył się z zamiarem wyjścia z pokoju, ale wdowa zastąpiła mu drogę.

– Nigdzie nie pójdziesz. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby stało ci się coś przez to, że pozwoliłam ci wyjść.

– Frau Metzger ma rację, Axel. Nie możesz wyjść, przynajmniej na razie.

Wdowa podeszła do okna i kiedy się wychyliła, jej twarz się odmieniła.

– Ta cholerna... – Zaciśnęła wargi. – Nie mamy czasu, Jurij. Proszę...

– Szybko, Axel, chodź ze mną – ponaglił go Jurij.

– Zaczekaj. – Kobieta chwyciła owinięty w papier pakunek i mu go wręczyła. – To ubranie, które miał na sobie, nie mogę go tu trzymać. Później się wszystkiego pozbędę.

Jurij nie zapomniał o swoich preclach. Wyszli na klatkę. Pani Metzger wychyliła się poza poręcz przy schodach i zobaczyła wchodzącą do bramy Brendę. Ponagliła ich dłonią. Mężczyźni po cichu dotarli na poddasze. Jurij otworzył drzwi i weszli do środka, bardzo ostrożnie zamknął je, pilnując, żeby nie narobić hałasu. Wdowa tymczasem wróciła do swojego mieszkania i przebiegła przez korytarz, żeby zamknąć drzwi do schowanka, i upewniła się, zdenerwowana, czy wszystko jest w porządku.

Kiedy usłyszała, jak Brenda wchodzi, wyszła jej na spotkanie, starając się zachować spokój.

– Szybko wróciłaś.

– Ach, pani Metzger, ale nieszczęście, coś straszego, nawet sobie pani nie wyobraża.

– Powiedz mi, co ci się stało? – spytała wdowa.

– Wiedziała pani, że Rothmanowie są Żydami?

– Rothmanowie? Żydami? Kto ci powiedział te bzdury? Twój mąż? – spytała z największą ironią, na jaką mogła się zdobyć.

– Nie, proszę pani, widziałam na własne oczy. Calutka cukiernia jest oklejona plakatami, a przed wejściem jest bojkot, to niech pani sama powie, są Żydami czy nie?

– Rothmanowie są bardziej niemieccy niż ty i ja, bladzi blondyni z jasnymi oczami jak chce twój Führer.

– I pani, Frau Metzger, i pani? – odpowiedziała opryskliwie. – A właśnie, powinna pani wywiesić w oknie flagę i spalić te obrzydliwe książki z biblioteczki, wzdrygam się za każdym razem, jak tylko na nie spojrzę.

– Można wiedzieć, dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo stanowią zagrożenie, i to pani obowiązek jako Niemki.

– Jestem Niemką – oznajmiła. – Ale ani nie jestem nazistką, ani nie myślę jak oni.

– Więc powinna pani zacząć. Myśleć jak oni. W tej kwestii, pani Metzger, nie ma nic pośrodku: albo się jest za, albo przeciwko zjednoczonym Niemcom.

Pani Metzger patrzyła na nią i powstrzymywała się, choć miała ochotę jej przyłożyć – może dzięki temu odzyskałaby nieco zdrowego rozsądku, który najwyraźniej straciła.

– W swoim domu wieszaj sobie flagi, jakie tylko chcesz, w moim rządzą ja i tu nie zawiśnie żadna. A teraz bierz się za robotę, mnie mocno boli głowa i nie mam ochoty wysłuchiwać głupot.

– A co z chlebem? – spytała jakby nigdy nic. – Jak pani chce, pójdę do piekarni Fräulein Bruckner.

– Mowy nie ma, ma najgorszy chleb w całym mieście. Ja później pójdę do Rothmanów.

– Chyba pani żartuje... – Brenda, zgromiona wzrokiem przez panią Metzger, odpuściła. – Dobrze, ostrzegałam panią, nie chciałam, żeby narobiła sobie pani kłopotów.

Na poddaszu Jurij i Axel przez chwilę stali nieruchomo, jakby czekali, aż minie jakieś czyhające na nich niebezpieczeństwo.

– Gdyby nie to, że nie wierzę w takie rzeczy, pomyślałbym, że jesteś moim aniołem stróżem. – Axel się uśmiechnął. – Dziękuję, Jurij, jeszcze raz dziękuję.

– Jesteś niewinny, Axel. Przypuszczam, że zrobiłbyś dla mnie to samo.
– Patrzył na niego przez kilka sekund, nie wiedząc, jak sformułować pytanie. – Wiesz już...? Pani Metzger powiedziała ci o twoich rodzicach?

Axel kiwnął głową i opadł na fotel z miną tak posępną, że Jurij się wzruszył. Podszedł do niego i położył dłoń na jego ramieniu w geście przyjaźni i pociechy.

– Wszystko będzie dobrze, Axel. – Otworzył pakunek z preclami, które wcześniej położył na stoliku. – Jadłeś śniadanie?

Axel pokręcił głową ze wzrokiem utkwionym w bułkach. To, czym nakarmiła go pani Metzger, znikło w otchłani jego żołądka udęczonego wielodniowym głodem.

Jurij zaparzył kawę i podgrzał mleko. Mieszkanie wypełnił przyjemny zapach. Axel, siedząc w fotelu skulony jak szczygieł, opowiedział mu o swoich koszmarnych przeżyciach.

– Na komisariacie powiedzieli mi, że przyznałeś się do winy – poinformował go Jurij.

– Im było wszystko jedno, co zeznam. Potrzebowali kozła ofiarnego i padło na mnie. Dobrze znałem Petera von Duisburga, chciał mnie dorwać, odkąd skończyliśmy szesnaście lat, i to przez coś tak banalnego, że wierzyć się nie chce... Wszystko dlatego, że podczas zawodów w szkole wbiłem mu gola, był bramkarzem swojej drużyny, i przez to przegrali... Od tamtej pory sama jego obecność stała się dla mnie koszmarem; ciągle mnie szukał, bez przerwy prowokował; to był zły mężczyzna, zły człowiek.

Jurij słuchał go uważnie, podając na tacy kawę z mlekiem.

– Jak widać, niektórzy nie umieją przegrywać. – Usiadł naprzeciw niego. – Jako winnego wskazała cię dziewczyna, która nam wtedy pomogła. Usiłowała chronić brata. – Jurij przemilczał tożsamość Claudii, nie chciał mu też mówić, że zamieszkała w tym budynku.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Axel wzruszył ramionami, jakby godził się z tym, co usłyszał. – Oni są jak banda, chronią się nawzajem, ale przeżywają tylko ci, którzy są blisko władzy. W piwnicy przy

Hedemannstrasse przez parę godzin siedziałem z dwoma chłopakami, którzy tamtej nocy na mnie napadli. Zostali zatrzymani, jak ja, i byli w potwornym stanie. Nie sądzę, że wyjdą stamtąd żywi. Zlikwidują wszelkie dowody, które mogłyby zaszkodzić winnemu, niejakiemu Franzowi Kahlerowi, który jest szwagrem Ulricha von Schönberga, grubej ryby w SS, który z kolei jest synem innej, jeszcze grubszej ryby... Liczy się ich słowo. Tego typu ludzie nie lubią się tłumaczyć ani żeby tłumaczyły się ich dzieci. Dlatego usunięto wszystkich świadków, nawet tych z ich własnego kręgu. Nie mają litości. Są bezwzględni, kiedy chodzi o ratowanie własnego tyłka.

– Ja też byłem świadkiem, więc mnie też grozi niebezpieczeństwo.

– Ty jesteś cudzoziemcem – uspokoił go Axel i odgryzł kawałek drugiego precla, którego wielkodusznie oddał mu Jurij. – Może to ich powstrzyma przed polowaniem na ciebie. Nie mam pojęcia, co im siedzi w głowach, mogę ci tylko poradzić, żebyś uważał, głowę dam, że cię śledzą. A co do mnie, jestem komunistą... Moje życie nie ma dla nich żadnego znaczenia.

– Ale twój ojciec mówił, że z polityką nie chcesz mieć nic wspólnego – zdziwił się Jurij.

– Ojcowie pewnych rzeczy nie rozumieją. Jakiś czas temu usiłowałem mu wyjaśnić moje poglądy, to, co myślę, moje spojrzenie na życie, na społeczeństwo, na kraj... Ale nie chciał mnie wysłuchać. Dla niego komunizm jest przeklętą trucizną, która przynosi tylko nieszczęście. Owszem, ma powody, żeby tak sądzić, ale przecież nie trzeba brać poglądów innych za swoje, nawet jeśli to poglądy ojca; po prostu mam inne zdanie niż on. Kazał mi przyrzec, że porzucę tę ideologię. Matka błagała, żebym to zrobił... I tak zrobiłem, obiecałem mu... – Podniósł wzrok i wziął głęboki oddech, jakby ciążyła mu ta wina. – Okłamałem go; nigdy się nie dowiedział, że zapisałem się do Partii Komunistycznej. Jak miałem mu to powiedzieć? Okłamywałem, bo kocham ich za bardzo, żeby wyznać im tę prawdę. Nie można odrzucić miłości ojca. I jak odmówić błagającej matce? Ale nie mogę też wyrzec się poglądów,

w które wierzę i za które chcę walczyć. Mój ojciec to człowiek uczciwy, prawy, dobry. Muszę przyznać, że miał trochę racji, mówiąc, że moje poglądy ściągają na mnie nieszczęście. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że ja ściągnąłem je na nich, i tego nie będę mógł sobie wybaczyć nigdy. – Jego twarz się zmieniła na wspomnienie bólu zawartego na kartkach, które chował w kieszeni. Jego głos stał się bełkotliwy, ledwie słyszalny. – Przeze mnie stracili owoce pracy całego życia. Stracili wszystko i tylko ja jestem temu winien.

– Jedyne winnymi całej tej sytuacji są ci, którzy działali niezgodnie z prawem, zatrzymali cię niesprawiedliwie i zabrali wszystko twoim rodzicom. – Pokręcił głową. – Nie podobają mi się te Niemcy, które oglądam...

– Mnie też nie, a jestem Niemcem. Chcę wyjechać do Rosji. Podziwiam to, co osiągnęła tam rewolucja.

Jurij przez kilka sekund przyglądał się mu uważnie.

– A co, twoim zdaniem, osiągnęła? – spytał w końcu.

– Społeczeństwo równych ludzi – oznajmił z pasją Axel. W jego oczach pierwszy raz pojawił się błysk. – Cały świat powinien się uczyć od tamtego społeczeństwa. Jest przykładem.

Jurij, słuchając go, nie mógł uciec przed wspomnieniami swoich przeżyć w Rosji, upadku całego jego świata, brutalnego odczłowieczenia wskutek głodu i wszechobecnej przemocy. Współczuł temu chłopakowi, bo pogrążał się we własnej ranie, w swoich wspomnieniach nieobecności, oddzielenia, ale żałował jego ignorancji wobec tamtej rzeczywistości, tej wyidealizowanej wizji, niemal poetyckiej, która rozprzestrzeniła się wśród lewicy w różnych krajach i usprawiedliwiała dowody zbrodni Lenina, jak i obecnie Stalina. Dyktatura proletariatu jako sposób na doprowadzenie do zniknięcia podziału na klasy społeczne, pod płaszczykiem obrony robotnika, zamieniła się w idealną zasłonę dymną, ukrywającą brutalność, która trwała już prawie dwie dekady.

– Naprawdę za przykład uważasz to, co zrobiono w Rosji?

– Oczywiście – odparł z przekonaniem. Zdawało się, że odzyskał siły dzięki gorącej kawie i preclom. – Osiągnięto równość całej ludności, znikły klasy i wielkie zróżnicowanie społeczne, z niesprawiedliwościami, które się z tym wiązały; wszyscy mają dostęp do kultury, do teatrów, parków, muzea są otwarte dla mas. Rosyjski robotnik jest szczęśliwy, bo po raz pierwszy ma nadzieję; nie jest skazany na wykorzystywanie przez garstkę panów bez skrupułów, to pracownicy dzielą między sobą korzyści ze swojej pracy. Tam nikt nie jest ważniejszy od drugiego, wszyscy mają takie same szanse.

– Axel, wierz mi, nie masz pojęcia, o czym mówisz...

– Wszyscy są towarzyszami – potwierdził Axel żywiołowo. – Wszyscy są równi.

– Niektórzy równiejsi od innych – odparł Jurij z niedowierzaniem i oburzeniem na tę ślełą naiwność tego niedojrzałego idealisty. – Nie powinieneś o tym zapominać.

Axel nie przyjmował tego do wiadomości, przekonany o swoich racjach.

– Ty nie masz o tym pojęcia – upierał się, bo nie znał przeszłości Jurija. – To raj dla robotnika, pracownika, dla równości...

– Ale nie dla wolności – wtrącił Jurij.

– A na co komu wolność w świecie nierówności?

– Po to, żeby decydować, kim chce się być, co chce się myśleć, jak się poruszać czy gdzie mieszkać. Naprawdę to dla ciebie niewiele?

– Mówisz o decyzjach osobistych. Ale najważniejsza nie jest jednostka, lecz dobro całego społeczeństwa, korzyść kolektywu. To powinno być celem.

– Zawsze uważałem, że poświęcenie osobiste jest czymś niebezpiecznym. Ten, kto jest gotowy poświęcić swój dobrobyt na rzecz ideałów, choćby nie wiem jak szlachetnych, w końcu będzie żądał takiej samej ofiary od innych, choćby nie chcieli.

– Nie byłoby tak, gdybyśmy wszyscy zmierzali w jednym kierunku.

Jurij wypił łyk kawy.

– Byłeś w Rosji?

– Nie, ale jeden towarzysz był kilka razy, spotkał się z Leninem, a niedawno z towarzyszem Stalinem. Odwiedził kilka miast, Moskwę, Leningrad, był w miasteczkach i wioskach, wszyscy mieli pracę, wszystkim się dobrze żyło. Opowiadał mi niesamowite rzeczy o tym, jak się żyje, jak się wszystkim dziela: spekulacja zniknęła, ludzie kupują to, czego potrzebują, a nie pod wpływem kaprysu; nabywanie rzeczy niepotrzebnych tylko po to, żeby mieć coś ładniejszego, większego czy lepszego niż sąsiad, to podłość i egoizm i prowadzi do najgorszej wersji kapitalizmu. – Axel mówił z entuzjazmem, z którego wynikało, że jest przekonany o słuszności swojej argumentacji. – Jeśli my, którzy wierzymy w komunizm jako system państwowy, będziemy należycie wykonywać naszą pracę, to jestem pewien, że przyszłość będzie o wiele lepsza, ludzie szczęśliwsi, wszystkim się będzie powodziło. Trzeba przygotować grunt, zasiać, żeby móc zbierać. Warto spróbować.

Jurij słuchał go, starając się zachować spokój; nie chciał, i wiedział, że nie powinien, wyładowywać na nim swojej złości. Był wściekły z powodu tej kompletnie nieprawdziwej wizji bolszewickiej rzeczywistości, jaką rozprzestrzeniano za granicą, która przenikała do umysłów ludzi szlachetnych, jeszcze uczciwych i przyzwoitych jak ten chłopak.

– I ty w to wszystko uwierzyłeś?

– Mówił to profesor z uniwersytetu, nie byle kto – usprawiedliwił się Axel. – Ma taki autorytet, że można mu wierzyć, a nie jest jedyny. Każdy, kto odwiedzi Rosję, wraca pod wrażeniem, przekonany.

Jurija bolały te słowa. Nie mógł uwierzyć, żeby sytuacja aż tak się zmieniła, żeby przez ostatnie lata dokonały się te postępy i ulepszenia, jakimi się chwalili. On miał własne doświadczenia, osobiste przeżycia, które podważały te puste dyskursy. Jak przekazać mu swoją prawdę, rzeczywistość przeżyta i wycierpianą na własnym ciele, rzeczywistość odsuniętą w najciemniejszy zakątek jego świadomości, spoczywającą tam od lat, pod wielkim głazem wiecznego odpychania? Jego wzrok bezwiednie powędrował do zdjęcia, które trzymał na komodzie, zdjęcia,

które w końcu mógł mieć na widoku, bez obaw, że czarna dłoń ojca zabierze mu ją i wrzuci w ogień zapomnienia.

Axel to zauważył.

– To twoja mama?

Jurij kiwnął głową z melancholijnym uśmiechem.

– I mój brat. Nie widziałem ich od ponad dwunastu lat. Zostali w Rosji.

– W Rosji? Nie wiedziałem... Nie miałem pojęcia, że masz rodzinę w Rosji.

– Skąd mogłeś wiedzieć, prawie się nie znamy. – Uśmiechnął się pojednawczo. – Urodziłem się w dawnym Sankt Petersburgu, wyjechałem stamtąd, kiedy był jeszcze Piotrogradem... Teraz nazywają go Leningradem na cześć człowieka, który swoją rewolucją wywołał jedną z najkrwawszych wojen domowych w historii, która zabiła głodem miliony Rosjan...

– Sprawy tak nie wyglądały.

– Axel, nie masz pojęcia, co naprawdę się tam wydarzyło – przerwał mu Jurij opanowanym tonem. Rozczuliła go naiwna ignorancja kogoś, kto został zindoktrynowany. – Było tak, jak ci opowiadam. Moja rodzina i ja zaznaliśmy tego na własnej skórze.

– Rewolucje zawsze pociągają za sobą jakieś ofiary – stwierdził Axel podniosłym tonem. – Widzimy to w tych kulturalnych i cywilizowanych Niemczech.

– To właśnie wielki problem, że w imię rewolucji wszystko się usprawiedliwia...

Dźwięk dzwonka zmusił go do zamilknięcia. Przestraszeni spojrzeli w stronę wejścia, jakby za drzwiami czaiło się zagrożenie. Jurij dał Axelowi znak, żeby ukrył się w łazience. Dzwonek odezwał się ponownie.

– Chwileczkę! – podniósł głos, żeby było go słychać.

Kiedy Axel znikł z pola widzenia, Jurij podszedł do drzwi.

– Kto tam?

– To ja, Brenda, Herr Santacruz. Ma pan coś do prania?

Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszał głos pani Metzger, która ze swojego piętra ganiła Brendę.

– Brenda, co ty robisz?

– Będę prac, proszę pani, i pytałam, czy ma jakieś brudy...

– Bądź łaskawa zejść i wrócić do swoich zajęć.

Brenda nie odpuściła.

– Gdyby miał pan coś do prania, Herr Santacruz, niech mi pan znieście.

Usłyszał, jak schodzi. Jej słowa zlewały się z wyrzutami wdowy. Po chwili wszystko się uspokoiło. Axel wychylił się i wyszedł z kryjówki. Kiedy ochłonęli, gość usiadł i nalał sobie kawy z kawiarki, która stała na ławie. Jurij wyciągnął swoją filiżankę, żeby jemu też nalał, ale nim zdążył usiąść, znów rozległ się dzwonek, a po nim dwukrotne pukanie do drzwi. W ten sposób stukała pani Metzger, więc przekonany, że to ona, otworzył drzwi pewnym ruchem. Na małym korytarzu klatki schodowej z ciastkami w dłoni stała uśmiechnięta Claudia.

– Pomyślałam, że... – Zamilkła na widok Axela siedzącego na jednym z foteli, jakby zobaczyła ducha. Talerz upadł na podłogę i się rozbił, a Claudia się odwróciła i zaczęła schodzić. Jurij wybiegł za nią i chwycił za rękę, żeby ją zatrzymać.

– Zaczekaj... – poprosił szeptem.

– Muszę iść. – Usiłowała się wyszarpnąć.

– Doniesiesz na niego? – spytał Jurij z przejęciem.

Patrzyła na niego przez chwilę ze spokojem na twarzy.

– A ty doniesiesz na mojego brata? – spytała.

Jurij zacisnął szczęki i pokręcił głową.

– Więc jesteście kwita.

Żadne z nich się nie ruszyło, uziemieni twarzą w twarz, w milczeniu, przyglądając się sobie, czując przyspieszony puls. Aż w końcu jej wargi uniosły się w lekkim uśmiechu i pogłaskała go po twarzy, od skroni do policzka. Jurij zadrżał od dotyku jej dłoni. Ta kobieta skradła mu serce. Claudia przysunęła się i pocałowała go w usta, przelotnie, delikatnie i słodko, a później się odwróciła i znikła na schodach.

Jurij poszedł do swojego przyjaciela Fritza, żeby opowiedzieć mu o pojawieniu się Axela i przeanalizować możliwe rozwiązania. Wyznał, kim jest Claudia Kahler i kogo próbuje chronić swoim oskarżeniem, a także to, że widziała Axela u niego na poddaszu.

– Ja bym tej kobiecie nie ufał – orzekł Franz po namyśle.

– Nic nie powie.

– Skąd ta pewność?

– Nic nie powie – powtórzył Jurij, nie wspominając, co między nimi zaszło. – Mam takie przeczucie.

– Z nazistami nie ma przeczuc, tylko pewność.

– Nie doniosę na jej brata – wyznał w końcu. – Dałem jej słowo.

– Domyśliłem się, ale mimo wszystko jej nie wierzę. Trzeba wywieźć Axela z kraju, i to jak najszybciej. Musimy zdobyć dla niego fałszywy paszport, żeby mógł przekroczyć granicę. Wiem, gdzie można to załatwić w zamian za sporą sumę.

– W kwestii pieniędzy nie ma problemu. Jeśli będzie trzeba, poproszę Villanuewę o pożyczkę.

– Wybadam teren – dodał Fritz z namysłem. – Zinfiltrowany przez tajną policję i SS jest już nawet margines społeczny, który załatwia tego typu nielegalne sprawy, więc musimy bardzo uważać.

Zdaniem Fritza, mimo narażenia na niebezpieczeństwo, przed jakim stali, najlepiej było przetrzymywać Axela w ukryciu, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Należało przeczekać gorączkę poszukiwań i wypuścić go dopiero w odpowiednim momencie. Było bardzo prawdopodobne, że zainteresowanie Axelem z czasem wygaśnie; mieli zbyt dużo otwartych frontów, wiele osób do ścigania, szukania, identyfikowania, zatrzymania...

Mimo zaangażowania olbrzymiej liczby środków nie mieli wyjścia i musieli ustalać hierarchię ważności.

≈≈≈

Zasada uproszczenia i jedyne go wroga

Przyjąć jedną ideę, jeden symbol. Z przeciwnika wykreować jednego wroga.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Minął tydzień, odkąd Axel Laufer zjawił się w mieszkaniu pani Metzger. Na poddaszu nie było miejsca dla nich obu, więc uciekinier zamieszkał u wdowy. W godzinach, kiedy po domu chodziła Brenda, Axel ukrywał się w składziku, za drzwiami zamkniętymi na klucz, który nosiła przy sobie wdowa.

Gosposia skończyła układać na stole nakrycie do śniadania. Pani Metzger obserwowała ją bez zbytniego zainteresowania, głucha na jej paplaninę. Skupiona była na małym schowku, w którym, jak co rano, Axel ukrył się kilka minut przed przyjściem Brendy. Wdowa bardzo się martwiła, bo syn aptekarza w nocy czuł się bardzo źle. Dostał wysokiej gorączki i miał napady nieopanowanego kaszlu. Myślała, żeby wysłać go na poddasze, ale tego dnia Brenda, po skończeniu porządków w mieszkaniu, sprzątała także na górze. Nie wiedziała, co robić. Chciała wezwać lekarza, ale żadnemu nie ufała. Wiedziała, że musi bardzo uważać na to, co mówi przez telefon, bo Brenda, w swoim zamiłowaniu do opowiadania wszystkiego, ostrzegła ją, że tajna policja podsłuchuje rozmowy, żeby wykrywać wrogów państwa. Gosposia, nieświadomie, na bieżąco informowała wdowę o zagrożeniach, jakie na nią czyhają przez to, że udziela schronienia zbiegowi. Dlatego kiedy poprzedniego wieczoru dzwoniła do swojej córki (która nie miała pojęcia o Axelu), powiedziała jej, że to ona ma objawy choroby i żeby jej poradziła, co ma zażyć. Krista zaleciła jej, żeby dużo piła, zażywała paracetamol i leżała w łóżku. Jednak tamta rozmowa telefoniczna nie dość, że jej nie uspokoiła, to dołożyła zmartwień. Wyczuła, że jej córka jest bardzo nieswoja; była pewna, że coś przed nią ukrywa, bo ton jej głosu był

zupełnie odmieniony, zdawała się niespokojna, ale matce nie udało się od niej niczego wyciągnąć.

Wdowa naląła sobie gorącej kawy i czekała, aż Jurij zejdzie na śniadanie; musiała mu powiedzieć o stanie zdrowia Axela. W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Brenda otworzyła i pani Metzger usłyszała głos pani Rothman. Kobieta wstała i wyszła do sieni, zdziwiona wizytą Lilli, ponieważ teoretycznie od paru godzin powinna wyrabiać chleb i piec ciasta.

– Dzień dobry, Lilli – przywitała ją uprzejmie. Zauważyła, że bardzo źle wygląda: schudła, miała podkrążone oczy i suchą skórę, po jej zawsze rumianych policzkach nie było śladu. – Co panią do mnie sprowadza z rana? Nie powinna pani przygotowywać swoich pysznych biszkoptów?

– Dzień dobry, pani Thereso. – Lilli Rothman trzymała owiniętą papierem tackę. Wyciągnęła ją do niej, siląc się na uśmiech. – Przyniosłam pani szarlotkę z moich stron, polski sernik, który tak pani lubi, dopiero upieczony, i dołożyłam też trochę pączków dla pani lokatora. Wiem, że bardzo je lubi.

Brenda, która stała w progu niczym pilnujący wejścia strażnik, burknęła z wściekłością:

– Żydowskie śmieci. – Po czym zrobiła gest, jakby spluwała.

Wdowę bardzo bolało takie zachowanie wobec pani Rothman, której Brenda wiele zawdzięczała z powodu wszystkiego, co zrobiła dla jej niesforne go syna, i za te wszystkie podarowane biszkopty i chleb, które z radością przyjmowała. Odkąd dowiedziała się o żydowskim pochodzeniu właściciela cukierni, gosposia zaczęła zachowywać się agresywnie. Jej impertynencje były nieprzyjemne także dla pani Metzger, ale nie miała odwagi zbyt jej rugać, bo nie chciała zaognić sytuacji, dopóki w mieszkaniu ukrywał się Axel.

– Brendo, wracaj do swoich zajęć – pogoniła ją oschle. – Ja się zajmę panią Rothman.

Zamówienie nie było typowe, właścicielka cukierni swój polski sernik piekła tylko na wyjątkowe okazje, na zamówienie. Jej wizyta z całą

pewnością nie była przypadkowa.

– Co się dzieje, pani Lilli? – spytała, kiedy Brenda zostawiła je same.

– Bruno nie czuje się dobrze. Pani Thereso, mogę z panią porozmawiać? Muszę z kimś porozmawiać... – Ostatnie zdanie było gorączkowo wyszeptanym wołaniem o pomoc.

– Proszę wejść, zapraszam na kawę.

– Nie chciałabym przeszkadzać.

Zanim drzwi się zamknęły, zjawił się Jurij. Przywitał się z obiema kobietami, a wdowa zaprosiła go do środka.

– Niech się pani nie boi. Jurijowi można w pełni ufać. Proszę mi wierzyć. Może pani być spokojna.

– Wiem – odparła Lilli z uśmiechem i przekonaniem.

Weszli we troje do jadalni. Wdowa zamknęła drzwi i pogłośniła radio, żeby gosposia nie mogła podsłuchać rozmowy.

– Co się dzieje z Brunem?

– Siedzi w domu, nie chce wyjść, nie chce wracać do szkoły. Znęcają się nad nim, plują, jak przechodzi, obrażają go, poniżają... Moje biedne dziecko. A tym znęcaniem w znacznej mierze dyryguje syn Brendy. Gdyby mogła z nią pani porozmawiać...

– Ten Rudi to diabeł. Porozmawiam z jego matką, niech się pani nie martwi.

– Ale nie to jest najgorsze... – Zamilkła na chwilę, jakby zbierała siły, żeby wydusić z siebie to, co raniło jej duszę. Podniosła głowę i spojrzała odważnie na sąsiadkę, prosto w oczy. – Ernestine poprosiła swojego ojca, żeby się ze mną rozstał. – Uniosła dłoń do piersi w geście potwornego bólu. – Moja własna córka...

Jurij i Theresa spoglądali na siebie skonsternowani, nie wierząc w to, co usłyszeli.

– Co takiego? – zareagowała w końcu wdowa.

– Nie mieliśmy pojęcia – ciągnęła Lilli. – Ale od paru miesięcy spotyka się z mężczyzną, który należy do SS. Jest od niej dużo starszy i taki... – Wzdrygnęła się, jakby przerażało ją samo wspomnienie. – Kilka dni

przed bojkotem zaprosiła go do domu, żebyśmy go poznali, i tego samego dnia poprosił nas o rękę Ernestine. Jej ojciec zauważył, że to bardzo pośpieszna decyzja, że jest jeszcze bardzo młoda i że powinni poczekać. Taka odpowiedź jemu się nie spodobała, zachowywał się bardzo niegrzecznie... Jak miałabym oddać córkę w ręce takiego prymitywa? Nie wyobraża sobie pani, co za maniery, co za brak wychowania, co za arogancja... Oznajmił, że mu obojętne, co powiemy, że ożeni się z moją córką, z naszym pozwoleniem albo bez niego. W tych ostatnich dniach widziałam, że mój mąż jest bardzo smutny, przygaszony, a wręcz mnie unika... Wczoraj wyznał mi w końcu, co go tak dręczy: Ernestine go poprosiła, żeby się ze mną rozwiódł.

– Jak córka może prosić ojca o coś takiego? – zastanawiała się zgorziona wdowa.

– Jestem dla niej przeszkodą na drodze do szczęścia. Jej chłopak powiedział, że lepiej dla wszystkich będzie, jeżeli mój mąż mnie zostawi, ponieważ jestem Żydówką. Ona dzięki temu uwolni się od powiązań z przeklętą rasą. To powiedziała ojcu. – Zdawało się, że słowa drżą na jej wyschniętych wargach. – Dąży do tego, żebym się wyprowadziła i zostawiła cukiernię... – Drżała jej broda i łamał się głos, ból ją przygniatał.

– Przecież pani jest duszą rodziny. I również cukierni, bez pani to nie będzie to samo.

– Ernestine zna moje przepisy. Przyglądała się mojej pracy od dziecka. Nie ma ludzi niezastąpionych.

– A pan Rothman? Co na to?

– Jest zdruzgotany... – Z trudem powstrzymywała się od płaczu, wysilała się, żeby przełknąć gorycz, która gryzła jej duszę, jakby do jej ciała dostał się sznur. – Jest pod dużą presją. Interes idzie źle. Klienci, którzy kupowali u nas od lat, naciskają, żeby wyrzucił mnie z cukierni, bo inaczej nie kupią ani bułeczki. Nie wiem, co robić, pani Thereso, to wszystko to jakiś koszmar... Jestem pewna, że to ten człowiek wyciągnął żydowskie pochodzenie mojego ojca. Bo któżby inny? Ja już prawie o nim

zapomniałam. W tym kraju wystarczy taki drobiazg, żeby zrujnować komuś życie.

Rozmowę przerwał nagle krzyk, a po nim szybkie kroki na korytarzu. Pani Metzger i Jurij wstali, żeby sprawdzić, co się dzieje, a kiedy otworzyli drzwi, do środka wkroczyła Brenda z wykrzywioną twarzą. Na widok wdowy wyciągnęła palec wskazujący i wycelowała w nią oskarżycielsko.

– Tego się po pani nie spodziewałam, Frau Metzger, tego się nie spodziewałam: ukrywać syna tego aptekarza, wroga Rzeszy... Zabójcę... Komunistę! Zaraz to zgłoszę.

– Brendo, proszę, błagam. – Kobieta usiłowała chwycić ją za rękę i z nią porozmawiać, ale gosposia gwałtownie się wyrwała. Theresa poszła za nią na korytarz, żeby ją błagać. – Brendo, chodzi o Axela, naszego Axela, opiekowaliśmy się nim obie tutaj, w tym domu...

Gosposia odwróciła się twarzą do pani Metzger.

– Nie mogę uwierzyć, że zrobiła pani coś takiego, pani Metzger, miałam panią za porządną Niemkę. Zawsze pani broniłam, chociaż nie chce pani wywiesić w oknie flagi naszego Führera, chociaż kupuje pani gazety, które kłamią i plują jadem na to, co dla Niemiec robi ten rząd, chociaż nie chodzi pani na wiece. Mimo tego wszystkiego broniłam pani, bo byłam przekonana, że jest pani za Niemcami aryjskimi, wolnymi od takich śmieci. – Zwróciła się z pogardą w stronę Lilli Rothman, która, podobnie jak Jurij, stała za plecami wdowy. – A okazuje się, że pani ukrywa przestępcę, zabójcę...

– Dość tego! – wybuchła pani Metzger. – Axel Laufer nie jest przestępcą ani zabójcą, nie zrobił nic złego.

– O tym niech zdecydują władze.

– Brenda, jeśli mnie wydasz, zatrzymają mnie... Stracisz pracę.

Gosposia parsknęła złowrogim śmiechem.

– Myśli pani, że jeszcze przekroczę próg tego domu? Nie potrzebuję pani jałmużny w zamian za sprzątanie gówna po pani. Lukas ma dobrą

pensją, a ja sobie znajdę przyzwoity dom, gdzie nie ukrywa się przestępców.

Ruszyła w stronę drzwi. Wdowa poszła za nią, nie przestając prosić, ale nie udało jej się zatrzymać gospoisi, która ze wzburzeniem otworzyła drzwi i wyszła na klatkę schodową. Pozostała trójka wychyliła się poza poręcz i bezradnie przyglądała, jak zmierza po policję.

Na korytarzu pojawił się kaszlący Axel.

– Przepraszam, pani Metzger, nie mogłem powstrzymać kaszlu. Musiała mnie usłyszeć i sforsowała zamek. Przepraszam.

Trząśł się od gorączki. Pani Metzger zwróciła się do Jurija:

– Co robić?

– Na poddaszu nie możemy go ulokować – odpowiedział po namyśle.

– Może u mnie... – zaproponowała Lilli.

– Nie – zaprotestował Jurij. – Na pewno przeszukają cały budynek.

– Więc co robić? – powtórzyła wdowa. – Ona zaraz wróci.

Przez kilka chwil Jurij marszczył czoło.

– Wiem, gdzie go ukryć – oznajmił nagle. – Axel, chodź ze mną. – Zaczął schodzić, a chłopak za nim, ale zatrzymał się i odwrócił. – Frau Metzger, niech pani sprzątnie schowek, żeby wyglądał tak, jakby nikogo w nim nie było, dobrze? Szybko. A pani, pani Rothman, niech wraca do siebie.

Zszedł na drugie piętro. Mocno wcisnął dzwonek, jednocześnie waląc do drzwi.

– Kto tam?

– Claudia, proszę, otwórz.

Wiedział, że jest sama, wcześniej się z nią umówił. Od ich pierwszego spotkania widywali się niemal codziennie, u niej albo na poddaszu. Sam nie rozumiał, co czuje do tej kobiety. Po raz pierwszy doświadczał uczucia przypominającego szczęście, kiedy z nią był, przy niej czas się zatrzymywał, nie liczyło się nic innego oprócz słuchania jej, tulenia, bliskości, wdychania jej zapachu, patrzenia jej w oczy, całowania jej ust. Zakochał się w niej bez pamięci.

Otworzyła. Jurij pchnął drzwi i wszedł z Axelem.

– Musisz go ukryć – oznajmił, nie dając jej czasu na reakcję. –
Przynajmniej na chwilę.

– Oszalałeś? Wykluczone.

– Claudia, błagam cię.

– Dlaczego uważasz, że tu będzie bezpieczniejszy?

– Bo twojego mieszkania nie odważą się przeszukać.

Usłyszeli samochody na ulicy. Głosy. Claudia wypchnęła Jurija na klatkę schodową, ale zanim zamknęła drzwi, spojrzała na tę ukochaną twarz. Była tak zakochana, że zrobiłaby wszystko, o co by ją poprosił. Poprowadziła wymizerowanego Axela przez korytarz.

Jurij wbiegł po schodach do mieszkania wdowy. Wszedł, zamknął drzwi i uspokoił oddech.

– Gotowe – powiedział tylko.

– Gdzie...?

Na pytanie odpowiedział jedynie machnięciem dłoni.

– Niech mi pani zaufa.

Wdowa spojrzała na niego jak na boskiego opiekuna. Chwycił ją pod rękę i bardzo ostrożnie zaprowadził do salonu.

– Siadajmy do śniadania. Nic się tutaj nie wydarzyło. Nic nie wiemy, a cała ta sytuacja nas zaskoczy, i to bardzo. Dalej, zajmijmy się śniadaniem.

≈≈≈

Zasada odświeżania

Nieustannie należy wypuszczać nowe informacje i argumenty, w takim tempie, żeby – gdy przeciwnik zareaguje – opinia publiczna była zainteresowana już czymś innym. Reakcje przeciwnika nigdy nie mogą zneutralizować przybierających na sile oskarżeń.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Z radia dobiegał zniekształcony głos Goebbelsa, ministra propagandy. Wdowa wzięła filiżankę z zimną już kawą, ale musiała ją odstawić, tak drżała jej ręka. Jurij przemówił do niej z czułością w oczach:

– Proszę się uspokoić, Frau Metzger, wszystko będzie dobrze. Będę przy pani.

Kiwnęła głową z wdzięcznością. Ponownie chwyciła filiżankę, tym razem obiema dłońmi, wypiła łyk kawy i odstawiła ją na talerzyk. Wpatrywała się w drzwi, jakby miał się w nich pojawić przerażający potwór.

Dzwonek zadźwięczał kilka razy i Jurij wstał.

– Ja pójdę, dobrze?

Otworzył drzwi i bez żadnych wyjaśnień do środka wdarła się horda mężczyzn w brunatnych strojach.

– Co to ma znaczyć? – spytał Jurij jedyne, który się przed nim zatrzymał.

– Mieliliśmy zgłoszenie, że w tym mieszkaniu ukrywany jest zbiegły zabójca.

– Jest tu tylko właścicielka mieszkania i ja. – Wskazał gospodynię. – Nikt więcej.

– To się okaże. Przeszukać wszystko, dalej! – krzyknął na mężczyzn, którzy rozbiegli się po wszystkich pokojach.

W tej chwili zjawiała się Brenda i weszła do mieszkania jak do siebie.

– Przeszukajcie wszystko, na pewno dobrze go schowali. Pokażę, gdzie go trzymali. – Przeszła korytarzem aż do ostatniego pokoju, a za nią wszyscy pozostali. – Widzi pan? – Wskazała drzwi pomieszczenia, które dzięki zepsutemu zamkowi otworzyła bez problemu. – Tu go trzymali.

– Tu są tylko graty i puste walizki – oznajmiła wdowa z udawanym oburzeniem. – Co to za bzdury, Brendo? Co to za przedstawienie?

– Zamek jest zepsuty. – Jeden z funkcjonariuszy przyglądał się uszkodzeniom, jakie spowodowała Brenda, próbując się włamać.

– Od jakiegoś czasu – odpowiedziała spokojnie pani Metzger. – Zgubiłam klucz i nie miałam wyjścia.

Funkcjonariusz spojrział na nią, później na Brendę. Zajrzał do środka i znów się wyprostował.

– Był tutaj, zapewniam – upierała się gosposia. – Musi mi pan uwierzyć.

– Ona kłamie – odparła wdowa.

– Dlaczego miałyby kłamać? – spytał opryskliwie dowódca.

– Nie wiem... – Właścicielka mieszkania wzdrygnęła się od pełnego nienawiści spojrzenia Brendy. – Zawsze była bardzo zazdrosna.

Gosposia nie zareagowała na bezpośredni atak wdowy. Ze złośliwą miną zwróciła się do przywódcy grupy:

– Jeśli nie ma go tutaj, sprawdźcie na górze, tam mieszka on. – Wskazała Jurija.

– Możemy zobaczyć pana mieszkanie? – spytał mundurowy.

– Proszę bardzo. Ale zapewniam, że to strata czasu.

Weszli, Jurij otworzył drzwi i czterej członkowie SA weszli na poddasze, a on czekał w progu. Brenda również weszła do środka, nie pytając Jurija o pozwolenie, i z miejsca ruszyła w stronę stojącej pod oknami skrzyni. Jurij czuł, że puls mu przyspiesza. Zupełnie zapomniał, że ukrył tam starą pizamę Axela.

– Proszę bardzo. – Wyciągnęła ją z satysfakcją, jakby znalazła skarb. – Zobaczyłam ją któregoś dnia, zdziwiło mnie, że to pana. – Patrzyła na Jurija złośliwie. – Teraz wszystko rozumiem. – Wyciągnęła rękę w kierunku jednego z członków SA. – Tu ma pan dowód.

Funkcjonariusz rozłożył zwinięte ubranie i oczom wszystkich ukazały się brudne, obszarpane spodnie i bluzka.

– Co to jest? – spytał.

– Ubranie tego komunisty, którego ukrywają – wyjaśniła pospiesznie.

– To nie moje – przyznał spokojnie Jurij. – Było tu, jak się wprowadziłem. Chciałem je wyrzucić, ale całkiem zapomniałem.

– Kłamca – rzuciła gosposia.

– Uważaj na słowa, Brendo. – Jego groźny ton nieco pozbawił ją pewności siebie.

Funkcjonariusz przyglądał się wszystkiemu podejrzliwie. Inny z mężczyzn poinformował, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Ten, który trzymał pizamę, wcisnął ją Jurijowi w pierś i wyszedł na schody, a za nim pozostali. Brenda, przechodząc przed nim, zatrzymała się tylko na parę sekund i wycedziła z wściekłością:

– Znajdziemy go, choćbyście schowali go w samym piekle.

Jurij wyszedł za Brendą i wrócił do wdowy na piętrze. Mężczyźni, którzy weszli do jego mieszkania, poinformowali swojego przywódcę, że nic nie znaleźli.

– Przeszukać cały budynek! – krzyknął. – Sprawdzić każdy zakamarek, wejść do każdego mieszkania, do każdej piwnicy, na każdy balkon i śmietnik.

Mężczyźni posłusznie zbiegli po schodach. Ich przywódca surowym tonem zwrócił się do wdowy, był wyraźnie niezadowolony z braku efektów polowania:

– Proszę okazać dokumenty.

– Dlaczego ma to robić? – spytał Jurij. – Jest o coś oskarżona?

Przerwał mu głos dobiegający z klatki schodowej.

– Mogę pana na chwilę poprosić?

Dowódca zaczął schodzić, a za nim Jurij. Funkcjonariusze wchodzili do pozostałych mieszkań i wychodzili, włącznie z mieszkaniem pani Rothman, która również udała zaskoczoną. Dotarli na drugie piętro. Claudia stała w drzwiach, nie pozwalając im wejść.

– Twierdzi, że jest żoną Obergruppenführera SS von Schönberga – oznajmił jeden z mundurowych.

– I synową Standartenführera von Schönberga – podkreśliła z arogancką pewnością siebie. – Pan tu dowodzi?

Mężczyźni kiwnęli głową.

– Pana ludzie usiłują wtargnąć do mojego mieszkania, twierdząc, że szukają zbiegłego zabójcy i komunisty. Już samo to naraża panów na zatrzymanie z powodu zniesławienia. To mieszkanie wysokiej rangi funkcjonariusza SS. Takie oskarżenie jest nie do pomyślenia.

Oczarowany Jurij przyglądał się mistrzowskiej grze Claudii. Zdecydowanie kochał tę kobietę.

Dowódca grupy zachowywał się wobec niej nad wyraz uprzejmie.

– Bardzo przepraszamy za niedogodności, Frau von Schönberg, ale było zgłoszenie i musimy dokonać przeszukania wszystkich mieszkań. Chodzi o niebezpiecznego przestępcę, który już zabił jedną osobę. Istnieje możliwość, że zakradł się do pani mieszkania. Przeszukanie przeprowadzamy ze względu na pani bezpieczeństwo. – Kiwnął na mężczyzn, czekających na klatce schodowej, rozkazując im wejść do środka, ale Claudia zastąpiła im drogę.

– Do mojego mieszkania nie wejdzie nikt bez sądowego nakazu.

Jeden z mężczyzn ją odsunął i pchnął uchylone drzwi. Jurij wstrzymał oddech. Claudia szukała jego spojrzenia, a on nie uciekł przed jej wzrokiem. Kiedy mężczyźni wchodzili do środka, wszystkich zaskoczył odgłos butów na schodach.

– Co tu się dzieje?

Franz Kahler pokonywał ostatni odcinek schodów, a za nim pół tuzina umundurowanych mężczyzn. Na widok trzech gwiazdek wyszytych na klapie brunatnej marynarki Franza dowódca stanął na baczność i zaszalutował.

– Przystępujemy do przeszukania, Herr Offizier.

– Oskarżają mnie, że ukrywam w mieszkaniu przestępcę, Franz – poskarżyła się Claudia, odważniejsza. – To niewybaczalne najście.

– Niech pan natychmiast zabierze stąd swoich ludzi... Ale już! – krzyknął Franz, wykorzystując swój autorytet.

Dowódca wszedł do sieni i rozkazał swoim podwładnym, żeby wyszli. Wszyscy wykonali polecenie. Jurij przyglądał się minie Claudii.

– Herr Offizier – próbował się usprawiedliwić przywódca grupy. – Było zgłoszenie, że w tym budynku ukrywa się groźny przestępca. Naszym zamiarem była jedynie ochrona pani von Schönberg.

– Pani von Schönberg jest moją siostrą i chronię ją ja. Proszę przystąpić do przeszukania reszty budynku.

Mężczyzna pożegnał się, salutując, i zajął się dalszym przeszukaniem. Klatka schodowa stała się miejscem pielgrzymek mężczyzn w brunatnych mundurach, biegających z góry na dół przy wtórze protestów mieszkańców, oburzonych zakłóceniem ich spokoju, wśród przerażonych twarzy, zaalarmowanych odgłosami butów na posadzce schodów. Jurij, korzystając z zamieszania, wszedł do mieszkania pani Metzger, żeby oddalić się od Claudii i uniknąć bliskiego spotkania z Franzem.

Claudia stała na klatce z bratem i przyglądała się akcji. Franz nie zamierzał zostać dłużej niż to konieczne. Czekali na niego jego ludzie. Serce biło jej mocno. Wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić, musiała nad sobą panować i za wszelką cenę zapobiec temu, żeby Franz wszedł do mieszkania. Axela ukryła w ostatnim pokoju, ale głośno kaszłał i bała się, że go usłyszy.

– Całe szczęście, że się zjawiłeś – powiedziała. – Ci mężczyźni to impertynenci.

– Wykonują swoją pracę, siostrzyczko. Dowiedziałem się, że budynek zostanie przeszukany, przechodziliśmy tędy, więc wpadłem sprawdzić, co się dzieje. Zgłaszająca mówiła, że chodzi o Axela Laufera.

– A on nie siedzi w więzieniu? – spytała z udawaną naiwnością.

– Uciekł tydzień temu. Szukamy go. Jak go znajdziemy, słono zapłaci za swoją brawurę.

Mężczyźni skończyli przeszukanie i wyszli całą grupą.

– Dobra, wracaj do swoich zajęć – ponagliła go Claudia, kiedy schody opustoszały. – Idę do ginekologa, zrobiło się późno. Przez tych idiotów straciłam dużo czasu.

– Ciekawe, kiedy zostanę wujkiem. Nie mogę się doczekać małego Franza.

– Franza? Jak Ulrich to usłyszy, poobrywa ci pagony.

– Chyba nie chcesz mu dać na imię Ulrich? To brzydkie imię.

– Nazwę go Hans – powiedziała z porozumiewawczym uśmiechem. – Po dziadku.

– Hans mi się podoba.

Włożył czapkę i szybko zbiegł po schodach. Claudia czekała czujnie, aż wyjdzie na ulicę. Weszła do domu i wyjrzała przez okno, żeby się upewnić, że sobie poszedł. Sekundę później zadzwonił dzwonek, a kiedy otworzyła, stał przed nią Jurij. Wszedł, zamknął drzwi i z całej siły ją objął, jeszcze pełen strachu. Rozdzielił ich kaszel Axela, dobiegający z głębi korytarza.

– Przepraszam, Claudio – powiedział, patrząc jej z niepokojem w oczy.

– Wiem, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby nie zjawił się twój brat.

– Co masz zamiar z nim zrobić? Trzymanie go tutaj jest bardzo niebezpieczne, Jurij.

– Wiem... Muszę go wywieźć z kraju.

– Uważaj, proszę cię. Nie przeżyłabym, gdyby coś ci się stało.

– Będę uważał – wyszeptał, przysuwając się do niej, zahipnotyzowany jej oczami. – Ale tylko dlatego, że ty mnie o to prosisz.

Zawołali Axela, żeby wyszedł. Jurij cały czas wpatrywał się w Claudię, powstrzymując się, żeby jej nie pocałować, bo korytarzem chwiejnym krokiem szedł Axel, skulony od gorączki jak pokutująca dusza.

Jurij zaprowadził go na poddasze i położył do łóżka. Chłopak trząsał się i mocno kaszłał. Kiedy Jurij wychodził do pracy, opiekowała się nim wdowa. Myślał, jak zrealizować wymyślony plan: nie mogli czekać, aż Fritz zdobędzie fałszywy paszport; należało jak najszybciej wywieźć Axela z kraju, bo inaczej wszyscy byli narażeni na poważne konsekwencje. W ambasadzie widział, gdzie przechowywane są paszporty z wizami wnioskodawców, którzy zamierzali wyjechać z kraju. Zamierzał zabrać jeden i zawieźć Axela na granicę ze Szwajcarią. Chciał zrobić to jeszcze tego samego wieczoru. Dobrze znał mechanizm, odbył już podróż na zlecenie Villanuevy, kiedy to przewiózł małżeństwo opozycjonistów prześladowanych za podpisanie manifestu przeciwko polityce rządu, które to, ku zaskoczeniu Jurija, Villanueva ukrywał we własnym domu. Był zaskoczony jego śmiałością, a raczej odwagą. Jego

działanie było niebezpiecznym kosztem, jaki ponosił w związku z korzyściami uzyskiwanymi na tych podróżach. Zastanawiał się, czy nie wtajemniczyć Villanuevy w sprawę Axela i porozmawiać z nim o możliwości dołączenia go do jednego z tych przewozów, ale odrzucił tę myśl. Teraz nie było już na nic czasu.

Dzień w ambasadzie upłynął w takim szaleństwie, jakie im ostatnio towarzyszyło. Rozeszła się plotka, po artykułach w kilku berlińskich gazetach, że Hiszpania potrzebuje ponad trzysta tysięcy Żydów. Te nieprawdziwe informacje, wraz z coraz bardziej skomplikowaną sytuacją niemieckich Żydów, sprawiły, że setki osób tłoczyły się w budynku hiszpańskiej ambasady z zamiarem zwrócenia się o azyl w tym raju na ziemi, jakim jawiła się im Republika Hiszpańska, w której nie istniały uprzedzenia rasowe ani zawiść wobec obcokrajowców, w większości jako argument przedstawiając swoje sefardyjskie pochodzenie. Ambasador od kilku dni był przytłoczony nawalem pracy i musiał wywiesić na drzwiach kartkę z informacją o nieprawdziwości plotek na temat rzekomych ułatwień hiszpańskiego rządu, takich jak darmowe przejazdy, przyznanie terenu na osiedlenie i innych preferencji, dla tych, którzy zamierzali osiedlić się w Hiszpanii. Jednak wyglądało na to, że do tych ludzi, kierowanych desperacją, nic nie było w stanie przemówić. Coraz więcej Żydów traciło pracę, zwalniano ich na podstawie arbitralnych przepisów, co rusz zatwierdzanych, które mówiły, że wszyscy Żydzi piastujący stanowiska państwowe, w firmach i korporacjach z udziałami państwowymi, mają zostać zwolnieni.

Jurij czekał cały dzień, aż wyszedł ostatni z pracowników z pokoju wiz, miejsca, w którym wcześniej widział stos paszportów gotowych do oddania ich właścicielom. Miał bardzo mało czasu, bo w każdej chwili mogły się zjawić sprzątaczkę. Jak tylko pokój opustoszał, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Powietrze było tak ciężkie od dymu, że można je było gryźć. Podeszedł do szafy, w której trzymano dokumenty,

ale była zamknięta na klucz. Starając się zachować spokój, rozejrzał się dookoła, przeszukał szuflady biurka, aż w końcu znalazł pęk kluczy i po kilku próbach wydarzył się cud i zamek ustąpił. Przejrzał całą furę zdjęć przedstawiających osoby dość podobne do Axela. Wybrał dwa, po czym ocenił, który pasuje do cech chłopaka, ale żaden z paszportów nie miał jeszcze białej pieczęci. Nagle dostrzegł na biurku paszport z wklejoną wizą. Przyjrzał się zdjęciu i choć Axel miał włosy ciemniejsze i gęstsze niż właściciel dokumentu, mógł za niego uchodzić. Pomyślał, że właściciel paszportu pewnie wkrótce się po niego zgłosi i wtedy się wyda, że dokument zniknął. Jurij zawahał się wobec tej niedogodności, ale w końcu postanowił zaryzykować. Schował paszport do skarpetki ukrytej pod nogawką spodni, wszystko zostawił w takim stanie, w jakim zastał, i bardzo ostrożnie wyszedł na korytarz. Opuścił budynek ambasady, wsiadł do pożyczonego przez Villanuewę auta i pojechał do domu. Zaparkował przed bramą. Gdy wysiadł z forda, dostrzegł mężczyznę stojącego po drugiej stronie ulicy. Pilnowali kamienicy. Wszedł na poddasze i zastał panią Metzger podającą rosół choremu Axelowi.

– Jak się czuje?

– Nadal ma wysoką gorączkę i mówi, że wszystko go boli, ale najgorszy jest kaszel.

Axel ledwie mówił. Ból malował się na jego twarzy.

– Mam dokumenty. Wyjeżdżamy natychmiast. Frau Metzger, proszę przygotować walizkę z ubraniami, niech pani weźmie moje, jakąś koszulę, spodnie i coś do mycia.

Pani Metzger robiła to, o co poprosił ją Jurij, a on wyjrzał przez okno.

– Nie może wyjść przez bramę – powiedział z niepokojem. – Jest jakieś inne wyjście?

– Podwórko z tyłu, gdzie stoi śmietnik. Ale będzie musiał przeskoczyć przez dwa płoty, żeby wyjść na uliczkę dochodzącą do Taubenstrasse.

– Wiem, o którym pani mówi. – Jurij zwrócił się do Axela, który wkładał buty: – Jak myślisz, dasz radę skoczyć?

– Skoczę – zapewnił z przekonaniem.

– Dobra. Podjadę samochodem na Taubenstrasse. Będę na ciebie czekał na początku uliczki. Zgoda?

Pani Metzger i Jurij zeszli z nim na podwórko, pomogli przeskoczyć przez pierwszy płot i przerzucili mu nad nim walizkę. Jurij wyszedł na ulicę, pozornie spokojny, nie spoglądając na mężczyznę, który bez skrupowania go obserwował. Uruchomił silnik, ruszył powoli i skręcił w lewo we Friedrichstrasse. Dokładnie w chwili, gdy skręcił ponownie, w Taubenstrasse, dostrzegł wyłaniającego się z bocznej uliczki Axela. Zatrzymał się, a jak tylko chłopak wsiadł, wcisnął gaz. Serce mu łomotało.

Axel przespał prawie całą podróż. Wdowa podała mu tabletkę nasenną, żeby po drodze nie męczył go kaszel. Jurij unikał dróg krajowych, nieco wydłużając trasę, ale tak było bezpieczniej, dzięki temu nie ryzykowali, że natkną się na rutynową kontrolę. Jechał całą noc. Po paru godzinach czuł, że ciało ma zdrętwiałe, i postanowił się zatrzymać, żeby rozprostować nogi. Axel mocno spał. Pierwsze światło brzasku tworzyło specyficzną czerwonawą mgłę. Było zimno. Wzdrygnął się, gdy siusiał, mając widoki na idylliczny górski krajobraz, którego ciemne linie zaczynały wyróżniać się na bladym horyzoncie. Wrócił do samochodu i ruszył w dalszą drogę.

Kiedy znajdowali się niedaleko granicy, zatrzymał się na poboczu i obudził Axela. Mówił bełkotliwie, nie mógł otworzyć oczu, powieki ciążyły mu, jakby były z ołowiu. Jurij przedstawił mu jego nową tożsamość, poprosił, żeby się nie odzywał, żeby zaufał jemu, a przede wszystkim, żeby, niezależnie od tego, co się stanie, nie próbował ucieczki.

– Nawet jak zobaczysz słupek graniczny bardzo blisko i będziesz wiedział, że od Szwajcarii dzieli cię dziesięć kroków, nie uciekaj. Zabiją cię.

– Jeśli zostanę w tym kraju, zabiją mnie na pewno – odparł Axel niewyraźnym głosem.

– Wiem, jak się obchodzić z tymi ludźmi.

Axel kiwnął głową, a Jurij uruchomił silnik. Oba paszporty leżały na desce rozdzielczej, jego i Axela z wizą wjazdową. Dostrzegli światła przejścia granicznego i dwóch strażników, wychodzących, by ich zatrzymać. Jurij zahamował. Kiedy jeden z nich podszedł do okna, odezwał się do niego uprzejmie. Wręczył mu dokumenty, a mężczyzna obejrzał najpierw paszport Jurija, po czym oddał mu go bez słowa. Otworzył paszport Axela i przyjrzał mu się uważniej. Popatrzył na chłopaka siedzącego nieruchomo obok Jurija z dość smutną miną, bo myślał o rodzicach, z którymi będzie mógł się zobaczyć, jeśli uda mu się pokonać to ogrodzenie z czerwono-białymi taśmami, które miał przed sobą, oświetlone reflektorami samochodu.

– Ta wiza będzie ważna dopiero za trzy dni. – Funkcjonariusz oddał Jurijowi wizę, a ten sprawdził datę, nie skrywając zaskoczenia. Nie zwrócił uwagi na ten szczegół.

– Ma pan rację, panie władzo. – Usiłował zachować spokój. – Nie wiem, jak to się stało, pewnie nastąpiła jakaś pomyłka. Wniosek był na dzisiaj.

– Przykro mi, bez ważnej wizy pański kolega nie może przekroczyć granicy. Takie jest prawo.

Jurij z zimną krwią z kieszeni marynarki wyciągnął kopertę, wsunął ją do paszportu i ponownie wyciągnął z samochodu rękę z dokumentem, z szerokim, serdecznym uśmiechem.

– Może uda się załatwić sprawę tej daty...

Funkcjonariusz szybko zerknął przez ramię i jeszcze raz wziął dokument. Rzucił okiem na zawartość koperty. Znow się rozejrzał, żeby się upewnić, że nie ma nikogo w pobliżu. Dyskretnie schował kopertę na piersi i oddał Jurijowi paszport.

– Wszystko w porządku, panowie.

Dotknął dłonią czoła, żeby zaszalutować, i przepuścił ich przez granicę.

Axel nie mógł uwierzyć, że znalazł się w Szwajcarii. Nawet gorączka mu ustąpiła. Poczł ożywienie, jakby pokonując tę trasę, odzyskał siły, które stracił w swoim kraju, w kraju, który zostawił i który tak źle ich potraktował, jego i ukochanych rodziców.

– Zostawię cię tutaj – powiedział Jurij, gdy dojechali do pierwszej miejscowości, kilka kilometrów za przejściem granicznym. – Powinienem jak najszybciej wrócić do Berlina.

Zatrzymał samochód przed pensjonatem i obaj wysiedli. Domy i śpiące w nich życie otulała gęsta mgła. Z bagażnika wyciągnęli walizkę przygotowaną przez panią Metzger. Dała mu też dwieście marek.

– Zabiorę wizę, muszę ją oddać, skąd wzięłem. Najlepiej będzie, jak złożysz wniosek o paszport nansenowski, z nim będziesz się mógł się poruszać bez problemów, przynajmniej przez jakiś czas.

– Będę pamiętał. Najpierw muszę pojechać do rodziców.

– Powodzenia – powiedział Jurij.

Podali sobie ręce.

– Wiele ci zawdzięczam, Jurij, mam nadzieję, że będę miał okazję odwdzińczyć ci się za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

– Uważaj na siebie, Axel, wyrwałeś się ze szponów nazizmu, nie popełnij błędu i nie rzucaj się w ramiona komunizmu. Ci, którzy dzierżą władzę, obiecują świetlaną przyszłość, ale w zamian kradną wolność i skazują na ciężkie życie bez przyszłości, bo ona należy się tylko im.

– Nie zgadzam się z tobą. Być może kiedyś udowodnię ci, że się mylisz.

Axelowi od gorączki błyszczały oczy i miał rozpaloną skórę. Jurij uśmiechnął się do niego wyrozumiale, jakby wybaczając mu jego błąd. Chłopak odwrócił się i wszedł do pensjonatu.

Jurij ponownie przekroczył granicę i o zmierzchu dotarł do Berlina. Wstąpił do ambasady i odłożył paszport na inne biurko, pod stos teczek. Później pojechał do domu, położył się i spał do rana.

O świcie w czwartek jedenastego maja Fritz Siegel musiał pożegnać się z rodzicami na dworcu centralnym. Był zdruzgotany. Dwa tygodnie wcześniej profesor Siegel został na uniwersytecie brutalnie pobity, a uszedł z życiem jedynie dzięki interwencji kilku kolegów i studentów,

którzy zdołali powstrzymać agresję, ale wcześniej usłyszał, że jeśli nie uciszy syna, to oni zajmą się tym, żeby uciszyć go na zawsze.

Fritz miał obsesję na punkcie zapewnienia rodzicom bezpieczeństwa. Ataki stawały się coraz częstsze, podobnie jak anonimy z groźbami śmierci i najrozmaitszymi obelgami, jakie otrzymywał w redakcji gazety „Berliner Tageblatt”, w której pracował. Problemem było to, że zaczęły przychodzić także do domu. Nicole znalazła przyklejoną do drzwi kartkę, na której napisano: „Zabijemy cię jak świnie”. Sprawy zabrnęły za daleko. Fritz nie obawiał się o siebie, był uparty, czuł, że jest w stanie przeciwstawić się im słowem, i oni o tym wiedzieli. Dlatego atakowali jego ojca i dlatego musiał ich uratować, wyrwać z niebezpieczeństwa, żeby mógł nadal korzystać z prawa do krytyki, do wyrażania opinii, utrzymać przy życiu wolność słowa, coraz bardziej zduszoną.

Nicole pociągnęła za sznurki na Uniwersytecie Columbia, gdzie miała znajomości, przedstawiła sytuację i życiorys teścia i natychmiast otrzymali odpowiedź: chcieli go zatrudnić. Ambasador Stanów Zjednoczonych pomógł im w załatwieniu formalności i zgromadzeniu niezbędnych dokumentów i po kilku dniach otrzymali promesę na piśmie z kilkoma podpisami, która pozwalała im na wjazd do kraju; uniwersytet opłacił nawet dwa bilety na rejs w kajucie pierwszej klasy na statku, na który mieli wsiąść w Southampton. Wyjeżdżający do Nowego Jorku rodzice Fritza żegnali się z synem z rozdartym sercem, bo wiedzieli, że zostaje w gnieździe os.

Franz zostawił rodziców w pociągu, a sam wrócił do domu spacerem. Było bardzo wcześnie i słońce wspinało się powoli po niebie nad różowionym horyzontem. Włókł swoje smutki aleją Unter den Linden, wdychając powietrze ciężkie od przenikliwego zapachu spalenizny. Świt był długi i burzliwy nie tylko w Berlinie, ale w całych Niemczech, w których mnożyły się stosy – przejaw nagłego despotyzmu. Dotarł na Bebelplatz, naprzeciwko uniwersytetu Fryderyka Wilhelma, i zatrzymał się, żeby w milczeniu z goryczą popatrzeć na dogorywające resztki monumentalnego stosu ustawionego na środku placu, czarne sterty

zwęglonych książek, spalonej mądrości, zniszczonej przez ignorancję ciasnych umysłów. Było jeszcze widać niektóre osmalone okładki dzieł określonych jako komunistyczne, żydowskie, homoseksualne, liberalne czy „podejrzane”; spisane słowa autorów takich jak Karl Marx, Freud, Stefan Zweig, Hemingway, H. G. Wells czy Helen Keller płonęły bez litości, uznane za wrogów nazistów lub za szkodliwe dla Niemiec. Patrzył na tę orgię furii i ognia, a jego wargi wyszeptały na wietrze prorocze słowa napisane ponad wiek wcześniej przez poetę Heinricha Heine’a: „Tam, gdzie książki palą, niebawem także ludzi palić będą”. Ta „akcja przeciwko antyniemieckiemu duchowi” – określona tak przez masy studentów, którzy ją przeprowadzali, tak ciężka od ponurej symboliki, zaakceptowanej i wspieranej przez partię rządzącą – otworzyła puszkę Pandory niepohamowanego i niebezpiecznego fanatyzmu, nad którym nie dało się zapanować.

Były dwie minuty przed dziesiątą tej soboty, którą zaczynał się lipiec. Claudia wyszła z domu, zamknęła drzwi i schowała klucz. Prawie nie zmrużyła oka. Była wzruszona i przejęta jak nastolatka przed pierwszą randką. W tej chwili otworzyły się drzwi naprzeciwko i w progu stanęła Angela Blumenfeld.

- Dzień dobry, pani von Schönberg – przywitała ją uprzejmie.
- Dzień dobry, pani Blumenfeld. – Claudia szybkim krokiem ruszyła w dół po schodach, podobnie jak jej sąsiadka.
- Idę, jak co dzień, na spacer. One mi bardzo dobrze robią. Wpływają na zdrowie, a dzień jest piękny. Może kiedyś wybrałybyśmy się razem...
- Przepraszam, pani Blumenfeld. – Claudia się nie zatrzymała. – Bardzo się spieszę. Miłego dnia.

Kobieta spojrzała na nią protekcjonalnie, czego Claudia nie zobaczyła. Usłyszała tylko echo szybkiego stukania obcasów sąsiadki. Nie miała przekonania do tej dziewczyny. Zbyt żywołowa, zbyt arogancka, zbyt nazistowska.

Claudia dotarła do bramy, poprawiła apaszkę z zielonego jedwabiu, którą nałożyła tego dnia na głowę, i, wychodząc na ulicę, włożyła okulary przeciwsłoneczne. Zaparło jej dech na widok forda Jurija, zaparkowanego na stałym miejscu. Zrobiła kilka kroków w jego stronę i dyskretnie zajrzała do środka. Wykorzystując to, że Ulrich przez kilka dni miał być poza Berlinem, postanowili spędzić weekend razem, w dyskretnym hotelu na przedmieściach Mittenwaldu, pięknego miasta oddalonego od Berlina godzinę jazdy samochodem. Mijały trzy miesiące, odkąd rozpoczęła się ta miłosna historia, i chcieli to uczcić. Umówili się, że odbierze ją ze skrzyżowania Grinkastrasse i Kronenstrasse. Mieli jechać samochodem Jurija, stąd jej zdziwienie na widok auta przed bramą. Spojrzała na zegarek: do umówionej godziny były trzy minuty. Podniosła wzrok ku poddaszu, jakby liczyła na to, że w oknie zobaczy jakiś znak. Zdenerwowana ruszyła w stronę miejsca spotkania. Gdy dotarła do skrzyżowania, przystanęła i rozejrzała się niespokojnie. Wydawało jej się, że wszyscy przechodnie wiedzą o jej skandalicznej niewierności. Zatrzymał się przed nią zjawiskowy mercedes benz w kolorze granatu i z jego wnętrza dobiegł głos:

– Panienska kogoś szuka?

Claudia pochyliła się i zobaczyła rozpromienioną twarz Jurija. Przez pierwsze minuty milczeli. Zdenerwowanie tym, że ktoś mógłby ich rozpoznać, przytłaczało ich tak, że odbierało mowę. Kiedy wyjeżdżali z miasta, Claudia spojrzała na Jurija z ekscytacją zakochanej dziewczyny.

– Skąd wzięłeś takie auto?

– Mój szef jest bardzo wyrozumiały – odparł Jurij, wyraźnie zadowolony.

– Chyba nikomu nie powiedziałaś?

– Za kogo ty mnie masz? Nie wiem, jacy są aryjczycy, ale ja jestem dżentelmenem.

Nie mogła się oprzeć pokusie i zarzuciła mu ręce na szyję, obsypując przy tym jego twarz pocałunkami. On się śmiał, rozbawiony

i zadowolony, skupiony na jeździe.

– Spokojnie... Jak zrobię na nim choć ryse, jest gotów wyrzucić mnie z kraju.

Intensywne lipcowe słońce ofiarowywało im wyjątkowe światło. Spędzili dwa niezapomniane dni, tylko we dwoje, bez obaw przed wścibskimi spojrzeniami, kochając się bez stresu, wychodząc na długie spacerunki po okolicy; byli ze sobą szczęśliwi, z dala od rzeczywistości, która ich przytłaczała, świadomi, że ich miłość jest niemożliwa. Cieszyli się każdą wspólnie spędzoną sekundą, jakby przeczuwali, że lada moment wszystko może się rozsypać w drobny mak.

– Rozwiedź się i wyjdź za mnie – powiedział Jurij, chwytając ją w pasie, kiedy spacerowali po pięknym lesie. – Pojedziemy do Hiszpanii albo do Ameryki...

Posłała mu czuły uśmiech. Chwyciła go za szyję i pocałowała.

– Mój kochany – wyszeptwała, muskając jego wargi. – Gdybym mogła, pojechałabym z tobą na koniec świata. Ciągle o tobie myślę, bez przerwy.

– Nawet kiedy jesteś ze swoim mężem? – Jurij pożałował tych słów w chwili, gdy wyszły z jego ust.

Zamarł jej uśmiech na twarzy i wyswobodziła się z uścisku.

– To nie w porządku, Jurij...

– Przepraszam, Claudio, przepraszam. – Przytulił ją, zanurzając się w jej piersiach. Westchnął ciężko. – Przeżywam katusze, kiedy wiem, że z nim śpisz. – Poszukał jej spojrzenia. – Dlaczego go nie zostawisz? – Nie czekał na odpowiedź. – Claudio, moja propozycja jest poważna: zostaw męża i wyjedź ze mną. Wyjedziemy z Berlina. – Twarz mu promieniała. – Zaczniemy razem nowe życie, w nowym miejscu.

Przyglądała się mu, oszołomiona miłością do niego.

– Nie chcę wyjeżdżać z Berlina... – odpowiedziała drżącym głosem. – A nawet gdybym chciała, nie mogę zostawić Ulricha.

Jurij wypuścił ją, bo nie mógł powstrzymać rozczarowania, i błędził wzrokiem po rozciągającej się przed nimi okolicy, eksplodującej życiem i kolorem.

– Zrozum, Jurij – dodała pojednawczym tonem. – Nie mogłabym tego zrobić. Rozwód nie mieści się w jego zasadach, w moich zresztą też nie...
– Jej głos stał się rozgorączkowany. – Święty Boże, dopiero wyszłam za mąż, wybuchłby skandal! Musiałabym ze wszystkiego zrezygnować. Nie rozumiesz?

– A co ze mną? Kim dla ciebie jestem? Zwykłą rozrywką? Ekscytującą przygodą, o której możesz opowiadać swoim koleżankom z klubu tenisowego, kochankiem, który utrzymuje cię przy życiu, kiedy twój mąż pracuje na rzecz wielkich i zjednoczonych Niemiec?

– Jeśli tak myślisz, Jurij, to nic nie rozumiesz. Twoja miłość jest wyjątkowym darem i uważam, że na niego nie zasługuję. Nie ma słów, żeby wytłumaczyć, co do ciebie czuję... Nie istnieją, nie wymyślono jeszcze sposobu, w jaki mogłabym wyrazić, jak bardzo cię kocham, i wszystkiego, co dla mnie znaczysz. Ale nie możesz mnie prosić, żebym zrezygnowała, tak nagle, ze wszystkiego, co stanowiło treść mojego życia, dopóki nie pojawiłeś się w nim ty.

Jurij posłał jej spojrzenie pełne bezradności.

– Może byłoby lepiej, gdybyś mnie tak nie kochała.

Przyglądali się sobie intensywnie, jakby każde z nich w oczach drugiego szukało czegoś, czego mogłoby się uchwycić. Jurij pierwszy odwrócił wzrok, stanął do niej tyłem i odszedł powoli, z jedną dłonią w kieszeni spodni, a drugą na ramieniu, palcami przytrzymując marynarkę, którą przed chwilą zdjął. Przyglądała mu się przez chwilę.

– Zaczekaj – poprosiła.

Jurij stanął i odwrócił się do niej, a ona wyciągnęła z torebki aparat Kodak.

– Chcę ci zrobić zdjęcie. – Spojrzała przez obiektyw. – Uśmiechnij się, proszę, chcę uchwycić twój uśmiech, żeby móc na niego patrzeć, kiedy cię przy mnie nie ma. Tak mnie uszczęśliwia...

Powiedziała to z taką słodyczą, że Jurij nie mógł się sprzeciwić, uśmiechnął się, a Claudia postarała się uchwycić blask jego oczu, jego

twarz rozświetloną słońcem tamtego niedzielnego popołudnia, na zawsze zapisując jego obraz na kliszy.

Przed zmierzchem tej upalnej niedzieli Jurij wysadził ją na tym samym skrzyżowaniu, z którego ją zabierał. W drodze powrotnej rozmawiali niewiele, każde pogrążone we własnych myślach, bojąc się podzielić swoimi obawami z drugim, gdy magia, która między nimi była, została zmacona. Nie pocałowali się w obawie, żeby ktoś przypadkiem nie zobaczył. Claudia, zanim wysiadła, dyskretnie chwyciła go za rękę i wyszeptała, nie patrząc na niego, że kocha go, jak nigdy nikogo nie kochała.

– Nigdy o tym nie zapomnij – poprosiła łamiącym się głosem.

Jurij patrzył na nią błagalnie, z palcami splecionymi z jej palcami, aż w końcu delikatnie wypuściła jego dłoń, wysiadła z samochodu i ruszyła ulicą. Patrzył, jak się oddala. Kusila go myśl, żeby ją dogonić, wziąć w ramiona, obdarzyć ostatnim uściskiem, którego odmówił jej, zanim wsiedli do auta, urażony z powodu odrzucenia, z powodu tego, że nie podjęła jego szalonego wyzwania. Wiedział, że nie ma prawa prosić jej, by wszystko dla niego rzuciła, był to dla niej krok zbyt ryzykowny, dla niego mniej, bo nie miał nic do stracenia. Kimże był, żeby prosić ją o coś takiego? Nikim, a zaoferować mógł jej jedynie niepewną przyszłość. Jego umysł zalewały sprzeczności: kochał tę kobietę całym sercem, zdając sobie sprawę z tego, że jest nieosiągalna, w obcym świecie, przeciwnym wszystkiemu temu, w co wierzył on. Nigdy nie mógłby z nią być, nigdy by mu na to nie pozwolono, ani jej mąż, ani system. Ogarniała go rozpacz wobec rzeczywistości, z którą nie było sensu walczyć.

Kiedy znikła z jego pola widzenia, przyspieszył i pojechał do Villanuevy oddać mu samochód. Nie mógł się zwierzyć nikomu z tej gmatwaniny uczyć. Obiecał jej, że nie powie nikomu, ani Fritzowi, ani Villanuevie, ani tym bardziej wdowie. Musiał milczeć, choć w środku eksplodowała miłość do niej, przełknąć tę namiętność, która tryskała

w jego piersi w samotności, bo nigdy nie zrobiłby nic, co mogłoby jej zaszkodzić, a tym bardziej narazić ją na niebezpieczeństwo w postaci plotek czy furii męża.

Claudia weszła do mieszkania, wlokąc ból rozstania, wymuszonego oddalenia, jego braku. Jakimże błędem był jej ślub, jakim potwornym błędem. Gdyby Jurij pojawił się w jej życiu choć kilka miesięcy wcześniej, wszystko potoczyłoby się inaczej, nigdy nie zgodziłaby się na zamążpójście, ale było za późno... Nie przestawała zadawać sobie pytania, czy powinna zadowolić się tymi potajemnymi spotkaniami z mężczyzną, który wywrócił jej świat do góry nogami, jak długo będzie w stanie znosić tę sytuację, zmuszona ukrywać najpiękniejsze uczucie, jakiego w życiu doświadczyła. Wszystkie jej myśli krążyły wokół niego, w jej pamięci odcisnął się smak jego pocałunków, zapach potu na jego skórze, dotyk jego dłoni na jej ciele, jego głos, jego uśmiech, jego oczy, cały emanował miłością do niej.

Ulrich miał wrócić dopiero następnego dnia, był na zjeździe SS, który odbywał się w Monachium. Przynajmniej tej nocy, pomyślała, będzie mogła spać, a jego niezdarne dłonie nie zaduszą delikatnych pieśczoł Jurija. Jednak gdy zapaliła światło w pokoju, krew zastygła jej w żyłach. Ulrich siedział w fotelu przy oknie, wyprostowany niczym Bóg na tronie.

– Ulrich... – wymamrotała zaskoczona. – Co tu robisz po ciemku? Przestraszyłeś mnie.

– Skąd wracasz? – Oschły ton przestraszył Claudię, która usiłowała zapanować nad sytuacją.

Beztrąsko zrzuciła buty, zdjęła żakiet i położyła go w nogach łóżka.

– Byłam w kinie i na spacerze. Piękny wieczór.

– Kłamiesz – odparł groźnie. – Gdzie spędziłaś noc?

– Tutaj, a niby gdzie? – Rozłożyła ręce, gotowa do ofensywy. Do tej pory jej się udawało. Musiała się dowiedzieć, co wie jej mąż, bo zdawała sobie sprawę, że Ulrich potrafi wydobyć prawdę przy pomocy kłamstw. Poznała jego podstępny, wszystko uchodziło, należało tylko zachować spokój. – O co ci chodzi? Myślisz, że będę siedzieć w domu do twojego powrotu?

Jeśli na to liczysz, to trzeba było ożenić się z inną. Nie cierpię być sama, nudzę się, lubię wychodzić i się bawić, wiedziałeś o tym, kiedy się ze mną żeniłeś.

Ulrich wstał, za bardzo marszczył brwi i to był zły znak. Był naprawdę wściekły. Claudia zeszywniała, znów to ona musiała się bronić, ale starała się, żeby tego nie zauważył. Podszedł do niej i bez słowa spoliczkował ją tak mocno, że zgięła się wpół i zaczęła trząść. Z dłonią na policzku patrzyła na niego oniemiała, oszołomiona niespodziewanym ciosem. Nigdy wcześniej nie podniósł na nią ręki.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła wściekła i ogłuszona. – Oszalałeś?

– Dotarło do mnie, że spotykasz się z jakimś mężczyzną – powiedział ochryple.

– I ty w to wierzysz?! – wrzasnęła, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Ktoś cię wczoraj widział, jak wsiadałaś do samochodu z mężczyzną za kierownicą.

– Źle cię poinformowano. To nie byłam ja – oznajmiła z przekonaniem.

– Co się z tobą dzieje? Jesteśmy niecałe pięć miesięcy po ślubie. Masz mnie za idiotkę? Myślisz, że ryzykowałabym, że stracę wszystko, co mam? – Zauważyła, że zmarszczki na jego czole lekko się wygładziły, a to oznaczało, że zaczynał powątpiewać w otrzymane informacje. – Ci plotkarze chcą jedynie cię pogrozić. Doskonale o tym wiesz, mówiłeś mi o tym nie raz. Wielu cię nienawidzi z powodu tego, kim jesteś, co osiągnąłeś, i zrobią wszystko, żeby zachwiać twoją pozycją. Już to przerabialiśmy w narzeczeństwie: próbowali judzić, żeby nas rozdzielić. Już zapomniałeś, jak ta wywłoka, którą masz w sekretariacie, truła mi, że spotykasz się z jakąś podrzędną aktorką? I o facecie, który mi powiedział, że romansowałeś z jedną z dziewczyn z Hitlerjugend? I co, ja w to uwierzyłam? Przyjęłam te kłamstwa za pewnik czy uwierzyłam twoim słowom? – Podnosiła głos w miarę, jak zmarszczki na czole Ulricha łagodniały; jej strategia zadziałała. – Cały czas będą podkopywać

nasze małżeństwo, zasiewać między nami niepewność. Nie rozumiesz? Zamierzasz wdać się w ich grę?

Ulrich słuchał jej z kwaśną miną. Cynk dał mu głupiec, który uwielbiał się pławić w niedoli innych, złośliwy plotkarz, który dowiadywał się o wszystkich nieszczęściach, jakie dotykały tych, których chciał pogrzyżyć, i puszczał te informacje w obieg stopniowo, z wielkim wyczuciem, chcąc roznieść hańbę swojej ofiary tak, żeby nie była w stanie naprawić swojej reputacji.

– Ostrzegam cię, Claudio – oznajmił kategorycznie z chłodną miną, celując w nią wyprostowanym palcem wskazującym. – Jeśli mnie zdradzasz, dowiem się, z kim, i osobiście zajmę się tym sukinsynem. Ktokolwiek to będzie, skończę z nim, a potem z tobą, przysięgam.

Patrzyła na niego bez mrugnięcia powieką, w te oczy zimne, tak odmienne od ciepłego spojrzenia Jurija. Wysiliła się na uśmiech i przysunęła do jego warg. Pocałowała go.

– Nie masz się czego obawiać, Ulrich. Jestem twoja. A poza tym... – Zamilkła na chwilę z przebiegłą miną. – Jutro mam wizytę u ginekologa.

Gdy to usłyszał, zmarszczki na jego czole znikły zupełnie, ale powstrzymał się od uśmiechu, jeszcze nie chciał odpuścić.

– Jesteś w ciąży? – spytał, nie będąc w stanie ukryć swojego pragnienia. Miał obsesję na punkcie jej ciąży i seks służył im tylko do tego, nie myślał o niej. Nie rozmawiali właściwie o niczym innym, jak o przyszłych dzieciach: czy pierwszy powinien być chłopiec, czy powinien być dorodnym blondynem, a Ulrich mówił nawet o tym, do jakiej szkoły zamierza go posłać. Claudia z niesmakiem to znosiła, tym większym, odkąd w jej życiu pojawił się Jurij, i usiłowała postępować zgodnie z radami matki, która podpowiadała jej, że powinna wykazywać się cierpliwością, a poza tym działać przebiegle i wykorzystywać na swoją korzyść kobiecą broń, żeby w ten sposób owinąć go sobie wokół palca jako mężczyznę i jako męża z chwilą, gdy da mu syna. „Zajdź w ciążę”, powiedziała jej poufnym tonem. „Daj mu tego upragnionego syna i już zawsze będzie jadł ci z ręki”.

Claudia zapamiętała tę wskazówkę, doskonale wiedziała, że jest słuszna.

– Jeszcze za wcześnie, żeby mieć pewność – powiedziała, świadoma, że wygrała bitwę. – Ale nie miałam już dwóch okresów. Miałam ci powiedzieć, jak będę pewna, nie chciałam ci robić próżnych nadziei. – Uniosła dłoń do policzka z posępną miną. – Za to pewne jest, że nie odpowiadają mi takie nieprzyjemności.

– Dobrze... Bardzo dobrze... – mruzczał z zaskoczeniem i radością, której nie chciał okazać. Zaciśnął wargi i odwrócił się do niej tyłem, jakby analizował sytuację. – Moja matka w ten weekend przenosi się na wieś, spędzi tam lato. – Znów na nią spojrział. – Pojedziesz z nią, świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Nie protestowała, nie mogła. Wiedziała, że tak będzie lepiej. Musiała odsunąć się od Jurija. Wiedziała, że Ulrich nie żartował: gdyby odkrył, o kogo chodzi, zabiłby go. Gdy ziarno podejrzliwości zostało zasiane, w nieunikniony sposób sytuacja zrodziłaby konsekwencje, których nawet nie chciała sobie wyobrażać. Nie miała innego wyjścia: musiała zrezygnować z mężczyzny, którego kochała, by go chronić.

Na dalsze rozmyślenia nie miała już czasu. Ulrich chwycił ją i pocałował podniecony. Jego ślina, jego niezdarne dłonie i jego ciężar zmiażdżyły zapach, który na jej ciele zostawił Jurij.

≈≈≈

Zasada metody przenoszenia

Różnych przeciwników sprowadzić do jednej kategorii lub utworzyć z nich jeden podmiot. Przeciwnicy powinni stanowić zbiór jednostek.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Dzień wstał szary i ciemny. Przez otwarte na oścież okno Jurij patrzył w niebo zasnute chmurami zwiastującymi deszcz. To niebo odzwierciedlało samopoczucie, które towarzyszyło mu od wielu dni – był

przytłoczony nadchodzącymi z Hiszpanii wiadomościami. Dzień wcześniej otrzymał list od siostry, Katii, ze szczegółami opisujący, co dzieje się w Madrycie. Nie były to krzepiące wieści. Zdrowie ojca się pogarszało. Trudno było patrzeć, jak coraz bardziej niedołącznie, fizycznie i umysłowo. Niepokoiła go ta sytuacja, ale czytając list, uświadomił sobie, że nie czuje miłości do Miguela Santacruza, że jest w nim raczej litość, a nie ból, jaki powinien odczuwać syn, a to z kolei napełniło go goryczą. Postanowił, że w ciągu dnia spróbuje zatelefonować do Katii i z nią porozmawiać.

Schował list do szuflady komody, nabrał do płuc wilgotnego powietrza, poprawił krawat, włożył marynarkę, wziął kapelusz i zszedł do pani Metzger na śniadanie. Zadzwoił i czekał. Wiedział, że już nie otworzy mu Brenda. Nie mieli od niej żadnych wieści od czasu zajścia z Axelem. Wdowa zastąpiła ją siedemnastoletnią Żydówką, która nazywała się Sarah Stein. Była córką motorniczego tramwaju, który został bez pracy na skutek nowych rozporządzeń rządowych, coraz bardziej komplikujących życie wielu Niemcom żydowskiego pochodzenia. Z dnia na dzień Steinowie zostali pozbawieni źródła utrzymania, bez choćby jednego żalosnego feniga. Sarah była najstarsza z sześciorga rodzeństwa, wszyscy chodzili do szkoły; matka była wątłego zdrowia, problemy z sercem nie pozwalały jej na większy wysiłek. Sarah potrzebowała pracy, więc kiedy jedna z sąsiadek powiedziała jej, że pani Metzger szuka gosposi, poszła do niej. Od pierwszej chwili była z nią szczerą: nie znała się za bardzo na pracach domowych, ale była gotowa szybko się nauczyć; była sumienna, czysta, lojalna i bardzo punktualna, nie miała nic przeciwko ciężkiej pracy ani jej godzinom, prosiła tylko o pensję, którą mogłaby przynosić do domu. Pani Metzger ceniła tę dziewczynę – sprawiała wrażenie dobrze wychowanej i obytej, a przede wszystkim małomówniej i dyskretnej. Pracowała dopiero kilka miesięcy i pani Metzger była nią zachwycona, mimo że większą część poranka poświęcała na pokazywanie jej, jak jej zdaniem powinna wykonywać swoje zadania.

Sarah otworzyła drzwi Jurijowi. Nie była ładna, ale też nie brzydka, raczej niska, nieco pulchna, miała krótkie nogi i obfity biust, a czarne włosy nosiła splecione w gruby warkocz. Oczy miała czarne i duże, a najładniejszy był jej wdzięczny uśmiech, miły, szczery, który ukazywał białe zęby, choć nieco krzywe.

– Dzień dobry, panie Jurij.

– Nie nazywaj mnie „panem”, Sarah, proszę, wystarczy „Jurij”.

– Oj, panie Jurij, zapomina mi się, przepraszam.

Mężczyzna wszedł do jadalni, przywitał się z wdową i usiadł przy stole. Ona złożyła gazetę, którą czytała, i zwróciła uwagę na poważną minę swojego lokatora. Od paru dni widziała, że jest małomówny, smutny, jakby nosił w sobie bardzo głęboką ranę. Usiłowała się dowiedzieć, co to za zło zgasiło uśmiech na jego twarzy, ale zawsze zręcznie unikał odpowiedzi.

– Mam dobre wieści – spróbowała go pocieszyć. – Dostałam list od Dory Laufer. Axel jest z nimi. Przesyła nam podziękowania i pisze, że mimo wszystko są szczęśliwi.

– Bardzo się cieszę – odpowiedział Jurij z melancholijną miną.

Wdowa, zaniepokojona brakiem reakcji chłopaka, wskazała biszkopt na stole. Odkąd Bruno przestał roznosić rano pieczywo, czasami nie docierało do nich na czas i musieli się zadowolić grzankami z dnia poprzedniego.

– Zobacz, jakie pyszności; to ten, który tak lubisz. Przed chwilą przyniosła go Lilli.

– Jak się miewa pani Rothman? – Jurij nalał sobie kawy.

– Bardzo źle. Bardzo się o nią martwię. Przez cały dzień pracuje w piekarni, ma zakaz obsługi klientów. Czuje się jak wyklęta przez własną rodzinę: musi wchodzić drzwiami magazynu, przez które wnosi się worki z mąką i inne produkty. Wszystko zgodnie z rozkazami wrednej córki, która teraz zachowuje się jak właścicielka cukierni. Co za głupie dziewuszydło – wykrztusiła wzburzona. – Nie masz pojęcia, jaki

ma tupet. Przez tego całego narzeczonego wpadła w niezdolną manię wielkości. Jak tak dalej pójdzie, to wpędzi do grobu biedną matkę.

– A ojciec na to pozwala?

– Pan Rothman jest dobroduszny. – Wdowa wzruszyła ramionami, stojąc w obliczu nieodwołalnej rzeczywistości. – Nigdy w życiu na nikogo nie podniósł głosu, a już na pewno nie na dzieci, a teraz jest za późno. Biedak jest zastraszony. Boi się własnej córki, a przede wszystkim jej fanatycznego narzeczonego, którego sobie sprawiła. Kiedy przychodzi do cukierni, zachowuje się jak jej właściciel.

– A Bruno?

– Lilli bardzo się martwi. Nie zaliczył paru przedmiotów, a w sierpniu musi jechać na obóz Hitlerjugend, gdzie, jestem tego pewna, piorą chłopakom mózgi. – Cmoknęła z grymasem na twarzy. – Nie twierdzą, że mają nie ćwiczyć, a świeże wiejskie powietrze dobrze im robi, tym bardziej w jego wieku, ale są bardzo młodzi i podatni na wpływy; to wszystko wymyka się spod kontroli. A później nas dziwi to, co się dzieje na ulicy.

Zapadła cisza, oboje siedzieli otuleni monotonnym głosem płynącym z radia. Jurij wyglądał, jakby wpadł w przepaść, zamyślony, ze wzrokiem utkwionym w dłoń, która zataczała koła, bez końca, łyżeczką w filiżance z kawą.

– Jurij, powiesz mi w końcu, co ci jest? – spytała wdowa. – I nie mów, że nic, bo coś cię gnębi i bardzo mnie martwisz. Wiesz, że jeśli tylko jestem w stanie ci pomóc...

Jurij skierował na nią wzrok znad filiżanki, nie przestając poruszać łyżeczką. Rozczułało go zachowanie tej kobiety, bo od dawna nikt nie przejmował się jego samopoczuciem, i doszedł do wniosku, że dla nikogo się nie liczy. Ta matczyna troska, jaką okazywała mu pani Metzger, przywołała wspomnienie matki, która po jednym spojrzeniu wiedziała, że coś mu dolega; dla niej nie było tajemnic, w jej obecności stawał się przezroczysty, a ona umiała wyleczyć wszystkie jego rany. Ale ta, która powstała w jego sercu, była zbyt głęboka, żeby uleczyć ją matczynymi

słowami. Claudia nie odezwała się więcej do niego po wspólnie spędzonym weekendzie w Mittenwaldzie.

Następnego dnia po powrocie znalazł liścik wsunięty pod drzwi, z jednym jedynym zdaniem: „Nie jesteśmy sobie pisani, zapomnij o mnie”. Nic więcej, żadnego wyjaśnienia tych lakonicznych słów, nic konkretnego, czego mógłby się uchwycić, żeby spróbować zrobić to, o co go prosiła, nie wiedział, czy to błaganie, czy żądanie, w każdym razie w tej chwili wydawało mu się rzeczą niemożliwą do spełnienia. Jak zapomnieć? raz po raz zadawał sobie to pytanie, jak uciszyć miłość taką, jaką czuł on, jak ignorować lawinę uczuć, jaka go zalewała. Przypadkiem się dowiedział, że Claudia przeprowadziła się z teściową do letniego domu w Szwarzwaldzie; usłyszał, jak pani Blumenfeld mówiła o tym wdowie, rozmawiając z nią na klatce schodowej. Odkąd Claudii Kahler nie było w kamienicy, wszyscy wydawali się spokojniejsi, wszyscy poza Jurijem. Drzwi jej mieszkania były ciągle zamknięte, okna zasłonięte, jej uporczywa nieobecność na nowo wzbudziła w nim poczucie samotności, które tylko jej udało się stłumić. Nie mógł nikogo o nic wypytać, i to dręczyło go najbardziej.

Przez kilka chwil z wahaniem patrzył na wdowę. Miewał myśli, żeby opowiedzieć jej o swoich sercowych rozterkach, wylać przed nią swoje cierpienie i rozpacz, bo czuł się jak rozbitek na środku szalejącego oceanu, którego zaraz pochłoną fale, a jedyną wyciągniętą ręką była maczyna słodycz tej kobiety. Jednak prędko się przekonał, że wdowa, która nigdy się nie dowiedziała, co Claudia Kahler zrobiła dla Axela, nie lubiła sąsiadki: uważała ją za fanatyczną nazistkę, arogancką, głupią i zarozumiałą, która przy każdej okazji wykorzystuje swoją pozycję żony funkcjonariusza SS. Nie tylko wdowa tak uważała, taką opinię mieli wszyscy sąsiedzi z klatki: należało unikać tej kobiety jak zarazy. Jurij wiedział, że pod pewnymi względami nie można im odmówić racji, ale on poznał inne oblicze tej kobiety okrytej wielką, przytłaczającą swastyką, która zakrywała szlachetność jej serca.

– Dziękuję z całego serca, pani Metzger, ale nic mi nie jest, w każdym razie nic, czego nie może uleczyć czas – skłamał w końcu, nie bez pewnych wyrzutów sumienia.

– Swoje przeżyłam, mój kochany Juriju – odparła słodkim, pobłażliwym tonem. – Nie chcesz mi powiedzieć, masz święte prawo. Ale mnie nie oszukasz; coś ci doskwiera i wszystko wskazuje na to, że przyczyną całego wzdychania jest kobieta.

Jurij nie mógł powstrzymać melancholijnego uśmiechu. Pokręcił głową.

– Nie ma żadnej kobiety, Frau Metzger – skłamał znowu. – Chodzi o mojego ojca. – To wyjaśnienie idealnie nadawało się do tego, by ją uspokoić. – Wiadomości o jego zdrowiu, które przekazała mi siostra, nie są najlepsze. Pewnie w sierpniu pojadę ich odwiedzić.

– Oj, jak mi przykro, Jurij. – Wdowa uwierzyła w wyjaśnienie, a z jej pełnej współczucia miny emanowała nieskończona czułość. – Jestem pewna, że twój ojciec ucieszy się, że cię zobaczy. Wy, dzieci, nie macie pojęcia, jak bolesna jest wasza nieobecność, wiem, że takie są prawa życia, ale odwiedziny od czasu do czasu mogą sprawić wiele radości.

W tej chwili rozbrzmiał dźwięk dzwonka. Pani Metzger zmarszczyła czoło.

– Kto to może być o tej porze? – szepnęła, spoglądając w stronę korytarza, jakby brzmienie dzwonka mogło posłużyć za wskazówkę. – Sarah! Możesz otworzyć?

Dziewczyna zjawiała się szybko, z apaszką na głowie przytrzymującą włosy i w fartuchu, którego wcześniej używała Brenda i który na nią był nieco przyciasny.

– Już idę, proszę pani.

Oboje niespokojnie wyczekiwali nazwiska niespodziewanego gościa, ale jak tylko wdowa usłyszała kobiecy głos, zerwała się, jakby miała w nogach silnik, i wybiegła jej na spotkanie, ogarnięta niebywałą radością.

– Krista, córeńko! – krzyknęła z korytarza, wyciągając ręce. – Co ty tu robisz?

Córka pani Metzger postawiła walizkę na podłodze, padła w objęcia matki i obejmowała ją długo i serdecznie. Kiedy się rozdzieliły, Krista spojrzała na gosposię, która przyglądała się im ze wzruszeniem.

– To Sarah – przedstawiła ją matka z szerokim uśmiechem. – Dziewczyna, o której ci mówiłam.

Nie opowiedziała córce całej prawdy o poprzedniej gosposi, bo nie chciała mówić o tym przez telefon. Powiedziała jej tylko, że Brenda odeszła i że na jej miejsce ma nową gosposię.

– Nadal nie masz wieści od Brendy? – spytała, niczego nieświadoma.

Pani Metzger machnęła ręką, marszcząc czoło.

– Później ci opowiem – odparła. Znów uśmiechnęła się promiennie, patrząc córce w oczy, chwyciła ją za rękę, za ramiona, uszczęśliwiona, że ma ją przy sobie po tylu miesiącach nieobecności. Nie widziała jej od Bożego Narodzenia – miała tyle pracy, że nie znalazła ani chwili, żeby odwiedzić matkę, jak twierdziła. – Co za radość! Chodź, jest świeża kawa.

– I biszkopty Lilli Rothman? Tak mi ich brakowało... – Przeszły powoli przez korytarz pod rękę, jedna przy drugiej. Matka patrzyła na nią i kręciła głową ze wzruszeniem. – Zeszczuplałaś, nie odżywasz się należycie w Monachium, za dużo pracujesz, moje dziecko.

Córka się nie odzywała. Uchwycona bezpiecznego matczynego ramienia upajała się ciepłym powitaniem.

– Jak się cieszę, że przyjechałaś. Jak długo zostaniesz?

Nie oczekiwała odpowiedzi, a Krista nie zamierzała odpowiadać. Pozwoliła jej mówić. Wiedziała, że tego potrzebuje.

Gdy weszły do salonu, Krista po raz pierwszy zobaczyła mężczyznę, o którym tyle słyszała. Jurij zdążył wstać i czekał na nią z uśmiechem. Krista nie mogła temu zapobiec: jej serce zaczęło bić w szalonym rytmie. Inaczej wyobrażała sobie lokatora matki, a może nawet w ogóle nie zaczęła go sobie wyobrażać. Wiedziała tylko, że matka jest szczęśliwa w jego towarzystwie i twierdziła, że to bardzo dobry człowiek; to jej wystarczało, żeby się nie martwić. Ale chłopak, którego miała przed

sobą, był najpiękniejszym stworzeniem, jakie w życiu widziała, tak pomyślała w chwili, gdy go zobaczyła, i ta myśl wywołała rumieniec, który rozpromienił jej twarz, coś takiego nigdy jej się nie przydarzyło i nagle poczuła się jak nastolatka.

Słowa matki, która ich sobie przedstawiała, były niczym ledwie słyszalne brzęczenie – ona tonęła w głębinach tych wielkich szarych oczu, odizolowana od wszystkiego, jakby nagle zanurzyła się w gorących wodach termalnych. Kiedy Jurij wyciągnął do niej rękę, wyczuła, że przyspiesza jej puls, i bała się, że on to zauważy, kiedy poda mu dłoń. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Była w swoim domu, w swoim salonie, ze swoją matką, a czuła, że jest zdenerwowana, zagubiona, nie na miejscu, jakby stąpała po nieznanym terytorium, dopiero odkrytym raju.

– Bardzo miło cię poznać, Kristo.

Głos Jurija wydał jej się niebiański, a uśmiech, ku jej rozpaczy, jeszcze bardziej rozpalił jej policzki.

– Mnie również jest bardzo miło – zdołała powiedzieć w końcu głosem nazbyt słodkim, miękkim. – Mama dużo mi o tobie opowiadała, jest tobą oczarowana. Niezbyt dobrze znosiła moją nieobecność. – Posłała matce miły uśmiech. – Dużo razem przeszliśmy. Cieszę się, że dzięki tobie nie czuje się samotna.

Pani Metzger poprosiła, żeby usiedli, a do Sarah zwróciła się z prośbą, żeby zaparzyła świeżej kawy, ale Jurij przeprosił kobiety.

– Muszę iść. Zostawiam panie, na pewno macie sobie dużo do powiedzenia. – Ukłonił się uprzejmie Kriście, pożegnał się i wyszedł.

Pani Metzger usiadła do stołu i poprosiła córkę, żeby do niej dołączyła, ale ona nadal stała bez słowa, jakby obecność tego mężczyzny ją zahipnotyzowała.

– Przystojny jest, co? – odezwała się matka ze śmiechem. – Mówiłam ci.

– Owszem, przystojny – wybąkała dziewczyna, siadając obok matki.

– I bardzo dobrze wychowany. Nie masz pojęcia, jaka jestem z niego zadowolona. Jest jak syn.

Krista posłała jej szczery uśmiech, ujęła dłonie matki w swoje i przysunęła się do niej, nieco już przytomniejsza.

– Cieszę się, mammo...

Sarah przyniosła dzbanek świeżo zaparzonej kawy, a pani Metzger napełniła filiżankę córki.

– Wyglądasz na zmęczoną, dziecko. Nie wyspałaś się?

– Od paru dni nie mogę zmrużyć oka – odpowiedziała Krista oględnie, wlewając do kawy strużkę ciepłego mleka.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że przyjedziesz? Jak długo zostaniesz?

Twarz jej spochmurniała, a oczy wypełniły się smutkiem.

– Mammo... Zwolnili mnie ze szpitala. Wyrzucili mnie, a razem ze mną piętnastu najbardziej kompetentnych, najmądrzejszych i najbardziej biegłych w sztuce medycznej lekarzy w kraju.

– Dlaczego? – spytała matka, nie skrywając rozczarowania.

– Ich za to, że są Żydami, mnie za to, że ich broniłam.

Te słowa zdusiły radość, jaką przyniósł przyjazd córki. W tej chwili matka uświadomiła sobie, że córka przywiozła ze sobą nie tylko walizkę, ale także nieprzyjemny ciężar niesprawiedliwości.

– Nie wiem, dokąd nas doprowadzi to szaleństwo – wyszeptała zdruzgotana.

Krista zaczęła opowiadać jak ktoś, kto wyrzuca z siebie strumień nagromadzonych śmieci, wydzielających odór, który nie pozwala normalnie oddychać. Wszystko zaczęło się cztery miesiące wcześniej, w dniu narodowego bojkotu Żydów. Tego ranka w szpitalu miało się odbyć kilka porodów i tylko z jedną pacjentką były problemy. Od wielu godzin miała rozwarcie, dziecko było ułożone pośladkowo, u matki pojawiły się ewidentne oznaki wyczerpania i musieli zdecydować, czy robić cesarkę, czy użyć kleszczy. Ten trudny poród odbierał doktor Greenstein, opiekun Kristy, żydowski lekarz z ponadtrzydziestoletnim

doświadczeniem i tysiącami porodów na koncie. Mąż rodzącej błagał lekarza, żeby zrobili wszystko, co możliwe, żeby syn urodził się siłami natury. W tej sytuacji doktor Greenstein do wyciągnięcia dziecka chciał użyć kleszczy, ale sytuacja się skomplikowała. Życie dziecka było poważnie zagrożone i trzeba było niezwłocznie działać. Nie pytając o zgodę męża, przystąpiono do przeprowadzenia cesarskiego cięcia, dzięki któremu udało się uratować matkę i dziecko, pięknego ponadtrzykilogramowego chłopca, który wreszcie głośno płakał w ramionach wymęczonej matki. Świeżo upieczony ojciec cieszył się ze szczęśliwego rozwiązania, a to, w jaki sposób dziecko przyszło na świat, nie miało dla niego znaczenia. Kiedy tak się cieszył, nieskazitelne szpitalne korytarze opanowała banda najemników w brunatnych mundurach, z listą piętnastu lekarzy pracujących w klinice. Zamieniło się to w prawdziwe polowanie, choć nikt z personelu nie wskazał żadnego z lekarzy figurujących na liście. Jednak wichrzyciele nie dali za wygraną. Bez żadnego wyczucia, jakim należy się kierować w klinice położniczej, weszli do wszystkich pomieszczeń i sal, zmuszając pacjentki do podania nazwiska opiekującego się nimi lekarza. Zdołali wyciągnąć siedem, a wśród nich znajdowało się nazwisko doktora Greensteina, podane przez męża rodzącej, która jeszcze dochodziła do siebie po cesarce na sali porodowej, który oskarżył go o to, że poddał jego żonę operacji bez jego zgody. W ciągu kilku minut radość z tego, że został ojcem, zamieniła się w pretensje do lekarza, który właśnie uratował życie jego żony i dziecka. Krista nie zawahała się stanąć w jego obronie i spotkała się z funkcjonariuszem SA dowodzącym grupą. Zyskała jedynie to, że spisali jej nazwisko i ostrzegli (a raczej zagrozili), że taka postawa pociągnie poważne konsekwencje. Wskazani lekarze w swoich białych fartuchach zostali wypchnięci na ulicę, gdzie czekał rozszalały tłum, który, jak tylko stanęli w drzwiach, przywitał ich obelgami, gwizdami, niepohamowanymi szyderstwami. Przeprowadzono ich ulicami, wstrząśniętych i zaszczutych, ale w końcu dali im spokój. Jednak ten koszmar był zaledwie początkiem. Parę dni po tych

zdarzeniach dyrektor szpitala otrzymał pismo, w którym nakazywano zwolnić wszystkich żydowskich lekarzy, pielęgniarki i sanitariuszy w ciągu dwudziestu czterech godzin i zastąpić ich personelem rasy aryjskiej z załączonej listy. W załączniku do tego pisma widniały nazwiska dwóch nieżydowskich członków personelu do zwolnienia za to, że czynnie usiłowali zapobiec wyrzuceniu lekarzy w dniu bojkotu; jednym z nich było nazwisko Kristy Metzger.

Szpital był własnością prywatną, choć korzystał z finansowania towarzystw ubezpieczeniowych i państwowych dotacji przeznaczonych na prowadzenie badań naukowych. Dyrektor kategorycznie sprzeciwił się takiemu rozkazowi i od tej pory szpital był nieustannie nękanym. Część prasy, zwłaszcza dwie miejscowe gazety, zaczęła publikować artykuły z nieprawdziwymi informacjami na temat szpitala, w których pojawiały się poważne oskarżenia o tajemnicze zniknięcia noworodków, niewyjaśnione zgony zdrowych rodzających, brak higieny na jego terenie. Ta cała kampania zniesławienia nieuchronnie prowadziła do bankructwa. Właściciele szpitala spotkali się z dyrektorem i postanowili zaakceptować ultimatum: zwolnili wszystkich z listy i przyjęli narzuconych kandydatów w zamian za natychmiastowe zakończenie szkalowania placówki. Ze stanowiska ustąpił również dyrektor, który wstydził się tego, że jest Niemcem.

– Tak im powiedział przed podpisaniem dymisji – oznajmiła Krista. – Nie jest możliwe, żeby jeden Niemiec czuł się lepszy od drugiego Niemca z powodu rasy. A jeśli tak jest, to znaczy, że Niemcy przestały być państwem prawa. – Krista zamilkła i wraz z matką siedziała pogrążona w niepokojącej ciszy.

Wieści na temat Miguela Santacruza cały czas były niepokojące i Jurij postanowił wyjechać na parę dni, żeby go odwiedzić. Na początku sierpnia wsiadł do pociągu i ponad czterdzieści godzin później wysiadł na madryckim dworcu Principe Pío. Kiedy podał taksówkarzowi adres,

ten się odwrócił i pobłażliwym tonem poprawił go, że ulica Princesa już się tak nie nazywa, została przemianowana na ulicę Blasco Ibáñeza. Jurij to wiedział, ale zareagował milczeniem, zdystansowany wobec celów takich zabiegów. Dał się wieźć przez miasto, które popadło w letarg z powodu pustynnego upału pory sjesty. W domu przywitały go siostra i Swieta, które starały się przygotować go na widok ojca. Wyjaśniły mu, że zachowywał się tak, jakby stopniowo gubił wspomnienia, powoli wymazywane z pamięci. Czasami ich nie rozpoznawał, ich, które były przy nim codziennie; czasem mylił Katię z matką i zwracał się do niej tak, jakby nigdy się nie rozstali, płakał jak dziecko bez wyraźnego powodu, czasami chodzenie sprawiało mu problemy, często bywał zdezorientowany i nie wiedział, gdzie jest. Mimo tych prób uprzedzenia Jurija o zdecydowanym pogorszeniu się stanu ojca jego widok go zszokował. Można by przysiąc, że nie minęło osiem miesięcy, a dwadzieścia lat, ale najgorsze było to, że ojciec go nie poznał, patrzył na niego, jak się patrzy na obcego, nieufnie. To zabolalo Jurija do żywego.

Katia chciała oddać go do jakiegoś ośrodka, ale Swieta się na to nie zgadzała i zapewniała, że ona będzie się nim opiekować. Błagała Jurija, żeby na to nie pozwolił, a on przyznał jej rację. Pozostawienie go w domu, w znajomym otoczeniu, wydawało mu się rozwiązaniem lepszym niż oddanie go do ośrodka, gdzie byłby jednym z wielu podopiecznych.

W czasie spędzonym w domu odbywał długie rozmowy z siostrą. Rozmawiali o sytuacji politycznej w Berlinie i o tym, co się dzieje w Madrycie. Dwa lata po ogłoszeniu Republiki entuzjazm wywołany jej powstaniem zaczynał pierzchnąć. Początkowe dobre intencje uciekały przez liczne pęknięcia w kruchej strukturze społecznej, politycznej i gospodarczej. Katia chciała we wrześniu rozpocząć studia prawnicze, bardzo interesowała się polityką. Poznała Clarę Campoamor, jedną z trzech posłanek wybranych do parlamentu hiszpańskiego w czerwcu 1931 roku, które zaciekle walczyły o prawa kobiet, szczególnie o prawa

wyborcze. Katia uważała ją za kobietę prawą, waleczną i niestrudzoną. Jurij lubił jej słuchać. Nigdy wcześniej tyle i w tak zażyły sposób nie rozmawiali. Siostra skarżyła się na jego nieobecność, wyznała mu, że odkąd wyjechał, czuje się bardzo samotna, że pogarszający się stan zdrowia ojca jest dla niej nie do zniesienia, a stosunki ze Swietą w ostatnich miesiącach bardzo się ochłodziły. Wyznała mu, że zakochała się w żonatym mężczyźnie, ojcu dwojga dzieci, prawniku, który właśnie się rozwodził, i oznajmiła, że zamierza z nim zamieszkać. Jurij miał wątpliwości, czy te plany są właściwe, ale powstrzymał się i nic jej nie powiedział, bo zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma prawa sterować jej życiem.

Jurij pod koniec sierpnia wrócił do Berlina z dziwnym poczuciem przygnębienia, jakby wyczuwał, że ten rozdział jego życia zamyka się definitywnie. W osobie Kristy znalazł nieoczekiwane wsparcie. Długie rozmowy przy stole po obiedzie czy po śniadaniu nieco łagodziły jego cierpienie. Zaczęli razem wychodzić na przyjemne spacerunki w ciepłe wieczory kończącego się lata albo do kina czy do teatru, kiedy do berlińskiego życia w sposób nieunikniony wdarły się deszcze i jesienny chłód. Wszystko w niej niosło mu pociechę: jej ciepły głos, zawsze ciekawe rozmowy, jej argumenty zawsze uzasadnione i bronione stanowczo i z przekonaniem, jej plany. Mimowolnie dzięki niej znalazł sposób na to, by zacząć się wyplątywać z mocnego węzła, który tak mocno i pochopnie połączył go z Claudią i który, do chwili pojawienia się Kristy, zaciskał się wokół jego szyi niczym słodki sznur. Był gotów dać się ponieść temu uczuciu błogości, jakie go przy niej ogarniało.

– Nie mogę zaprzeczyć, że podoba mi się ta kobieta. Jest inteligentna, zabawna, subtelna, a jednocześnie wydaje się taka silna... – opowiadał przyjacielowi Fritzowi z piwem w dłoni.

– Nie dziwię się, że cię zauroczyła. Znam ją od dziecka i mogę cię zapewnić, że to wyjątkowa osoba. – Przyjaciele rozmawiali spokojnie i szczerze. – Ale uprzedzam cię, że choć wydaje się ułożona, ma charakter, bywa uparta jak osioł i kiedy coś sobie wbije do głowy, nie

odpuści, dopóki tego nie osiągnie. Nic nie jest w stanie jej przeszkodzić, jest odważna i czasami ryzykuje. Widzisz, że straciła wyjątkową szansę, broniąc swoich zasad.

– Za to ją podziwiam – wtrącił zmyślony Jurij. – W takiej kobiecie mógłbym się zakochać.

Fritz wypił łyk piwa, przyglądając się znad szklanki przyjacielowi, którego twarz promieniała na myśl o Kriście. Zacisnął wargi, żeby poczuć smak piany.

– A co z twoją sąsiadką?

– Jaką sąsiadką?

– Jak to: jaką? Z drugiego piętra. Trzeba przyznać, że jest niezła, ale żebyś wdał się w romans z nazistką, żoną nazisty, córką i synową nazistów...

Jurij przyglądał mu się zdumiony. Nigdy nie wspomniał mu o związku z Claudią.

– Skąd te informacje?

– Powiedziała mi Angela Blumenfeld – odparł Fritz, rozbawiony na widok wyraźnego zaskoczenia przyjaciela. – Widziała cię nie jeden raz, jak zakradałeś się do jej mieszkania pod nieobecność jej męża i wychodziłeś nad ranem, i jak ona ukradkiem szła do ciebie na poddasze.

– Co za plotkara...

– Nie miej do niej pretensji. To nie jest zła kobieta, tylko się nudzi. I się nie martw, nikomu nie powie, będzie milczeć jak grób – uspokajał go, kładąc palec na wargach niczym pieczęć.

– Właśnie widzę – odparł Jurij z przekąsem.

– Mnie powiedziała o tym dlatego, że się o ciebie martwiła, a wie, że się przyjaźnimy. Bardzo mnie lubi. Boi się, że ta kobieta cię skrzywdzi. Nie przepada za nią.

Jurij popadł w zamyślenie i wzruszył ramionami ze zrezygnowaną miną.

– Nie będę się przed tobą wypierał, że coś między nami było... – Głupio się czuł, opowiadając przyjacielowi, że do szaleństwa zakochał się w nazistce. – Ale od jakiegoś czasu się z nią nie spotykam.

– Uważaj, Jurij, jeśli von Schönberg przyłapie cię na tym, że uwodzisz jego żonę, rozdepcze cię jak muchę. Ma taką władzę, że nie będzie miał z tym żadnego problemu.

Te słowa go zabolaly; pomiędzy nim a Claudią było coś o wiele więcej niż zwykły romans, ale przełknął rozgoryczenie, bo nie mógł ani nie chciał rozmawiać o swoich uczuciach. Wiele wysiłku musiał wkładać w to, żeby panować nad zamieszaniem w głowie; pragnął zapomnieć o tej silnej miłości, jaką czuł jeszcze do tej kobiety bez wątpienia nieosiągalnej, a jednocześnie chciał rozbudzić tę, jaką w coraz bardziej oczywisty sposób wzbudzała w nim Krista.

– To już skończone – oznajmił z największym przekonaniem, na jakie mógł się zdobyć. – Było, minęło. Teraz liczy się dla mnie Krista. Uwielbiam tę kobietę, przy niej jestem spokojny. Przebywać z nią to jak wejść do raju.

Fritz przyglądał mu się z uśmiechem satysfakcji.

– Cieszę się, Jurij. Zasługujesz na kogoś takiego jak ona. – Podniósł kufel. – Wypijmy za waszą przyszłość.

Trzymał go w powietrzu i czekał, aż Jurij podniesie swój. W końcu to zrobił i stuknęli się nimi, a później napili się piwa.

Koniec lata okazał się tragiczny dla Rothmanów. Ich ukochany syn Bruno utopił się na letnim obozie organizowanym dla nastolatków z Hitlerjugend, w którym chłopak był zmuszony wziąć udział. Według wersji oficjalnej przekazanej zrozpaczonym rodzicom wszedł do rzeki wbrew dokładnym rozkazom i wciągnął go prąd – spotęgowany tego dnia przez burzowe wody. Młody Rothman nie był w stanie wrócić na brzeg i pochłonięta go woda. Jego ciało pojawiło się kilka kilometrów dalej, ze

śladami poważnych obrażeń, odniesionych, według oficjalnego raportu, w wyniku uderzeń o kamienie, na które wpadało.

Rothmanowie pochowali syna, skazani na dodatkowe cierpienie – nie mogli po raz ostatni zobaczyć jego ciała, bo oddano im je w zaplombowanej trumnie. Od tej pory dom pogrążony był we wstrząsającej ciszy. Lilli nie mogła chodzić do cukierni w pierwszych tygodniach po jego śmierci, nie dlatego, że brakowało jej sił, żeby utrzymać się na nogach, ale dlatego, że czuła się w obowiązku zadbać o męża, który najwyraźniej zapadł w letarg i leżał w łóżku bez chęci do czegokolwiek. Życie nie przestało toczyć się normalnie jedynie dla Ernestine, jakby śmierć brata właściwie ją obeszła, była zimna jak lód, zupełnie nieczuła na cierpienie rodziców. To ona otwierała cukiernię i wyrabiała chleb i ciasta; zatrudniła dwie dziewczyny do pomocy przy obsłudze, choć z każdym dniem pojawiała się coraz więcej skarg stałych klientów na ogromną różnicę w smaku i wyglądzie ciast, biszkoptów, ciastek, a nawet chleba, w stosunku do tych, które wypiekała jej matka, więc Ernestine bez najmniejszych oporów zaczęła się domagać, żeby matka wróciła do pracy. Lilli próbowała jej wytłumaczyć niepewny stan ojca, tak przybitego, że mógł być zdolny do wszystkiego. Córka nie przyjmowała tej myśli do wiadomości i po kilku godzinach kłótni Lilli niechętnie ustąpiła. Musiała przyznać, że dzięki pracy czuła się lepiej. Czasami płakała, zanurzając dłonie w cieście, ale brała się w garść, wdychając zapach świeżego chleba wyciągniętego z opalanego drewnem pieca czy biszkoptów pachnących cynamonem i pomarańczą.

Minęły prawie dwa miesiące od śmierci Bruna, kiedy schody w kamienicy pokonała Lotte Schulze, szukająca drzwi mieszkania Rothmanów. Było sobotnie popołudnie. Dziewczyna, wysoka i dość niezgrabna, miała przewieszony przez ramię futerał skrzypiec. O tej porze powinna być na zebraniu Związku Niemieckich Dziewcząt, gdzie uczono je, jak powinna się ubierać i dbać o siebie aryjska kobieta, i jak powinna się zachowywać wobec chłopców. Musiała wymyślić przekonującą wymówkę, żeby na chwilę opuścić spotkanie. Wiedziała, że

o tej porze państwo Rothmanowie są w domu sami, bo ich córka Ernestine była jedną z wykładowczyń na kursie, dlatego na wizytę wybrała ten moment. Gdy wchodziła po schodach, przytłaczały ją wątpliwości niczym ciężki bagaż, spowalniając jej kroki. Jeszcze mogła zawrócić i uciec, myślała na każdym stopniu, jeszcze mogła wybiec i zostawić wszystko tak, jak jest. Jednak czuła, że potężna siła, o wiele mocniejsza od jej obaw, pchała ją do tego mieszkania. Musiała spojrzeć na skrzynki pocztowe, żeby upewnić się, które piętro i drzwi. Na klatce schodowej panował spokój; słychać było jedynie włączone gdzieś daleko radio, zbyt głośno nastawione. Lotte wzięła głęboki oddech, żeby dodać sobie odwagi, i wcisnęła dzwonek, który rozległ się w środku. Po kilku sekundach z drugiej strony drzwi rozległ się cichy głos:

– Kto tam?

– Lotte Schulze, pani Rothman.

Dał się słyszeć odgłos przesuwanego rygla. Drzwi się otworzyły, a w progu stała Lilli. Lotte poznała panią Rothman w cukierni, kiedy przychodziła do Bruna kupić ciasto czy chleb. Ta zawsze uśmiechnięta kobieta z błyskiem w oku, miła i uprzejma, znikła zupełnie, a zamiast niej Lotte miała przed sobą osobę, która przedwcześnie się postarzała, z cieniutką skórą i zgaszonymi, suchymi oczami.

– Dzień dobry, pani Rothman, mogę wejść? – Było widać, że jest niespokojna. – Chciałabym z panią porozmawiać. Nie zabiorę dużo czasu.

– Czasu mam aż nadto. – Piekarka przesunęła się, żeby zrobić przejście do mrocznego korytarza, i obie przyglądały się sobie w milczeniu. W domu unosił się zapach duchoty.

– Pani Rothman – zaczęła w końcu Lotte. – Długo się zastanawiałam, czy przyjść pani to powiedzieć... Ale uznałam, że ma pani prawo wiedzieć.

– O czym? – Lilli wyteńczyła słuch.

Dziewczyna czekała, niepewna. Zacisnęła wargi, na chwilę odwróciła wzrok, aż w końcu zaczęła mówić tak, jakby długo to wcześniej ćwiczyła.

– O tym, jak zginął pani syn.

– Co masz na myśli?

– Bruno nie utopił się przez swoją lekkomyślność, to nie był wypadek. Pani syna wrzucili do rzeki nieprzytomnego, ci sami, którzy wcześniej go pobili.

Lilli się zachwiała, jakby podłoga pod jej stopami zamieniła się w ruchome wydmy. Uniosła dłoń do szyi, bo miała wrażenie, że wokół niej zaciska się coraz bardziej sznur, a ona nie jest w stanie oddychać. Nagle chwyciła dziewczynę za rękę i zaprowadziła do kuchni. Gestem wskazała jej, żeby usiadła, i Lotte zrobiła to powoli, z dłońmi na kolanach, pod blatem, na którym stała tylko misa na owoce z dwoma jabłkami w środku. Lilli przez kilka chwil stała i przyglądała się dziewczynie uważnie, aż w końcu również usiadła, naprzeciw niej, z rękami na stole i splecionymi dłońmi.

– Skąd to wiesz?

– Bo byłam z Brunem... Ja byłam na obozie dla dziewcząt, a popołudniami, po kryjomu, staraliśmy się na chwilę spotkać. Pani Rothman, bardzo kochałam pani syna, a on kochał mnie... – Spuściła wzrok i spojrzała na dłonie, a później na okno osłonięte ażurowymi frankami, które sięgały do połowy szyby, zza których było widać powoli ciemniejące niebo. – W dniu, w którym to się stało... Siedzieliśmy razem nad rzeką i zjawili się oni... Bruno próbował mnie bronić, bo Rudi chciał, żebym... – Dziewczyna przysunęła brodę do piersi, zawstydzona.

– Mówisz o Rudim Kube?

Lotte podniosła głowę i przytaknęła.

– Chodziliśmy ze sobą rok temu, ale jest bardzo chamski i go zostawiłam. Nie spodobało mu się, że zaprzyjaźniłam się z Brunem... Rudi się na niego wziął i zaczął go dręczyć. Tamtego popołudnia pobił go z nieprawdopodobną furją, bo zobaczył, że się całowaliśmy. Uderzył tak mocno, że go powalił na ziemię, i bił go dalej... Był tak rozwścieczony, że wyglądał jak dzika bestia. Pozostali go dopingowali. Aż w końcu się zmęczył. Wtedy wszyscy chwycili Bruna i wrzucili do rzeki.

– A ty... – Pokręciła głową, bo nie docierało do niej to, co słyszała. – Nic nie zrobiłaś? Nie wzywałaś pomocy? Stałaś i patrzyłaś, jak zabijają mojego syna?

Oczy Lotte napęłniły się łzami, była przybita.

– Nic nie mogłam zrobić... Trzymali mnie... Zakryli mi usta... Później mnie... – Jej czoło zmarszczyło się, jakby od środka rozsadał ją ogromny ból. Jej głos był ledwie słyszalny. – Zagrozili, że rozpowiedzą, że przespałam się z nimi wszystkimi... Zagrozili, że jak pisnę słowem, wrócą i skrzywdzą mnie jeszcze bardziej... – Rozpłakała się, a łzy lały się z jej oczu strumieniami, wilgotne wargi z wysiłkiem wymawiały każde słowo, drżące dłonie boksowały powietrze, jakby chciała odstraszyć czyhającego na nią potwora. – Bałam się... bardzo się bałam... A teraz jestem... – Podniosła wzrok i zaczerwienionymi oczami spojrzała w oczy Lilli Rothman. – Jestem w ciąży... i nie wiem, co robić... Nie wiem, do kogo się zwrócić... Ojciec mnie zabije, jak się dowie... Tylko pani może mi pomóc, pani Rothman. – Zgięła się, jakby dostała cios w brzuch. Zapadła między nimi przerażająca cisza, przerywana jedynie żalnym łkaniem Lotte. Jej ramiona poruszały się w rytm szlochu; siedziała ze spuszczoną głową, splecionymi dłońmi, nieruchomymi, złączonymi stopami.

Lilli patrzyła na nią i nie reagowała, nie wiedziała, co powiedzieć.

– Dlaczego myślisz, że mogę ci pomóc? – spytała w końcu.

Dziewczyna spojrzała na nią oczami wymęczonymi płaczem; z kącika warg ciekła jej strużka śliny, policzki miała zaczerwienione.

– Pani Rothman... To dziecko Bruna. Jestem w czwartym miesiącu... Matka każe mi przerwać ciążę... Mówi, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego, dopóki nie pozbędę się dziecka... A ja nie wiem, co robić... Jestem skołowana. Wiem, że to by rozwiązało problem, ten koszmar by się skończył, ale coś w środku mi na to nie pozwala... Jakbym potrzebowała tego dziecka, żeby nie stracić Bruna całkowicie.

Lilli słuchała jej z otwartą buzią, nie umiała sobie poradzić z zalewem sprzecznych uczuć. W progu pojawił się jej mąż z poważną miną. Słuchał

wszystkiego z korytarza. Przez kilka minut przyglądał się płaczącej rozpaczliwie Lotte, która siedziała ze spuszczoną głową.

– Nie zrobisz tego – powiedział nagle ze stanowczością, która zaskoczyła jego żonę. – Nie przerwiesz ciąży, bo my ci pomożemy. – Spojrzał na Lilly i jego głos, i oblicze złagodniały. – Pojedziemy do Polski, do mojej siostry. – Znów skierował wzrok na Lotte, która słuchała go z zachwytem, jakby przeżywała boskie objawienie. – Tam spokojnie urodzisz dziecko. My się zajmiemy tobą i maluchem.

Lotte przez chwilę stała bez ruchu, bo nie była w stanie nic zrobić ani powiedzieć, i tylko patrzyła na pana Rothmana. W końcu zrobiła dwa kroki w jego stronę, i kolejny, i jeszcze jeden, i padła w objęcia tego mężczyzny, wysokiego, postawnego, niezdarnego, który z początku zdawał się zaskoczony tą wylewnością i nie bardzo wiedział, co zrobić, jak zareagować; ponad ramieniem dziewczyny spoglądał na swoją żonę, jakby oczekiwał od niej jakiegoś znaku. Oczy Lilli napełniły się łzami; spojrzała na swoje drżące dłonie. Panu Rothmanowi oczy zasły mgłą, zamknął je i poczuł, że dobywa się z niego stłumiony szloch. Przełknął ślinę, wyciągnął ręce i objął Lotte, przyciągając ją do swojego zranionego serca.

Ten poranek jednego z pierwszych grudniowych dni wstał zimny i deszczowy. Jurij siedział przy stole obok pani Metzger, kiedy zjawiła się Krista w eleganckim stroju. Czule pocałowała matkę w czoło, a Jurija przywitała buziakiem w policzek. Z dnia na dzień czułość między nimi stawała się coraz głębsza, ku zadowoleniu wdowy.

Usiadła przy stole i w tej samej chwili Sarah weszła z kawiarką w dłoni.

– Wczoraj minęłam się z tą nazistką z drugiego piętra – oznajmiła wdowa, marszcząc czoło. – I zgadnij, z czym wypaliła.

Krista podniosła filiżankę do ust i uniosła brwi pytająco.

– Że się dowiedziała, że Sarah jest Żydówką, że tak nie może być, że mam ją wyrzucić, a jeśli tego nie zrobię, to na mnie doniesie...

– Nie robi tego – uspokoiła ją córka, jakby nigdy nic, smarując masłem grzanekę.

– Nie jestem taka pewna. Jest przesiąknięta nienawiścią. Na schodach tak Sarah pchnęła, że mało biedaczki nie zrzuciła.

– Nic się nie stało – wtrąciła gosposia, próbując zbagatelizować sprawę.

– Szłam wolno, a jej się spieszyło. Nie sądzę, żeby zrobiła to celowo...

– Na miłość boską, Sarah, nie próbuj jej usprawiedliwiać – zaprotestowała wdowa. – Stałyśmy z panią Blumenfeld wyżej i wszystko widziałyśmy: pchnęła cię celowo i złośliwie. Powiedziałam jej, że do mojego domu wpuszczam, kogo mam ochotę.

– Nie przejmuj się nią tak, mamo. Ona nie jest taka groźna, na jaką wygląda.

– Śmiech mnie ogarnia, jaka ona niewinna. Biedne dziecko... Przy takich rodzicach czeka je świat podłej nienawiści... Boże jedyny...

Jurij słuchał ich bez słowa. Claudia Kahler wróciła na Mohrenstrasse na początku września. Wyglądała wspaniale – opalona i, jak wskazywał rozmiar jej ubrań – w zaawansowanej ciąży. Parę dni później Jurij minął się z nią w bramie w towarzystwie jej męża. Na jego widok Claudia, z fałszywą miną, chwyciła Ulricha pod rękę, jakby chwaliła się swoim szczęśliwym stanem. Od tamtej pory właściwie się nie widzieli, a gdy już się to zdarzyło, ona kulturalnie się z nim witała i czym prędzej oddalała, jakby w obawie przed jego wzrokiem. Jurij nie zrobił nic, żeby się do niej zbliżyć, uszanował jej decyzję i zachowywał się tak, jakby byli tylko sąsiadami. Ich zachowanie potwierdzało, że to, co między nimi było, skończyło się definitywnie.

Jurij usiłował przemówić sobie do rozsądku, że tak będzie lepiej dla nich obojga, przede wszystkim dla niej, choć nie zdołał powstrzymać uczucia nostalgii, kiedy kobiety rozmawiały o niej w jego obecności.

Krista spojrzała na zegarek i energicznie się podniosła, po czym wytarła usta serwetką.

– Muszę lecieć. – Włożyła żakiet, otworzyła torebkę, wyciągnęła szminkę i poprawiła makijaż przed lustrem wiszącym nad komodą. Wygładziła włosy, założyła kapelusz i odwróciła się do nich. – Jak wyglądam?

– Idealnie – odpowiedziała matka.

– Naprawdę nie chcesz, żebym cię podwiózł? – spytał Jurij.

– Nie ma potrzeby. Pojadę tramwajem. Jak się nie pospieszysz, to sam się spóźnisz. – Uśmiechnęła się i puściła do niego oko.

– Uda ci się – dodał Jurij. – Jestem pewien.

– Obyś miał rację.

Wyszła i Jurij został sam z wdową.

– Oby tym razem ją przyjęli, moją biedną córkę. Tyle wysiłku na nic.

– Krista to wyjątkowa kobieta i osiągnie to, co sobie zamierzyła.

– Dziękuję, Jurij. Dobry z ciebie człowiek. – Uśmiechnęła się do niego.

– Wiesz, że bardzo cię cenię?

Jurij kiwnął głową.

– Krista też. Tak mi z wami miło...

Przyglądał się jej z namysłem. Pochylił się i odwzajemnił uśmiech.

– Frau Metzger, chciałbym pani powiedzieć... Chciałbym panią poprosić o zgodę... Żywię do Kristy wyjątkowe uczucia i chciałbym, jeśli pani nie będzie miała nic przeciwko temu, chciałbym się z nią zaręczyć...

– Święty Boże, Jurij! – wykrzyknęła wdowa, nie mogąc powstrzymać entuzjazmu. – Ale mi sprawiłeś przyjemność, co za radość...

– Więc nie ma pani nic przeciwko temu?

– Na miłość boską, jak miałabym mieć coś przeciwko? Jesteś idealnym kandydatem na zięcia, mężczyzną, jakiego każda matka pragnęłaby dla swojej córki. Jestem szczęśliwa.

Jurij wstał, chwycił jej dłoń i ucałował z wdzięcznością i szczęściem.

– Dziękuję, Frau Metzger, ale proszę o dyskrecję. Chciałbym zdobyć serce Kristy po swojemu.

Ona wolną dłoń uniosła do ust i położyła na nich palec, dając znać, że będzie milczeć.

– A teraz jadę do ambasady, bo w końcu okaże się, że pani córka miała rację, i się spóźnię.

W tym czasie Krista Metzger zdążyła szybko zejść po schodach. Z nerwów ścisnęło ją w żołądku: rozmowa w sprawie pracy po tak długim czasie dawała jej nadzieję; jednak bała się odrzucenia. Wysłała swoje dokumenty do wszystkich berlińskich klinik, prywatnych i publicznych, dużych, małych, do przychodni, szpitali... Nikt jej nie odpowiedział. Ponury cień jej poparcia dla żydowskich lekarzy okazał się bardzo długi. Ostrzegał ją przed tym jej opiekun z Monachium, doktor Greenstein, kiedy się z nim żegnała przed jego wyjazdem do Palestyny. Kiedy dotarła na drugie piętro, drzwi po lewej się otworzyły i w progu pojawiła się Claudia Kahler. Zdążyły zapalać do siebie sympatią. Krista polubiła Claudię, choć sąsiedzi okazywali jej niechęć. Pewnie z powodu tego odrzucenia, jakiego zaznała na własnej skórze, Krista postanowiła, że nie będzie słuchać uprzedzeń panujących w kamienicy i pozna ją w bezpośrednich kontaktach, a nie z plotek. Były niemal w tym samym wieku, a Kriście, która nie miała pracy, czas upływał na nicnierobieniu; podobnie jak wiodącej banalne życie Claudii. Wyszły nawet razem na kawę i na spacer, oczywiście za plecami pani Metzger, która uważała sąsiadkę za nazistowskiego demona.

– Cześć, Krista – przywitała ją z uśmiechem. – Gdzie idziesz tak wcześnie taka wystrojona?

Z kolei dla Claudii Krista była wybawieniem od potwornej nudy, która dręczyła ją od powrotu z letniego domu teściowej w Szwarcwaldzie. Nie tylko ją lubiła, podziwiała ją za to, że jest lekarką i za pasję, z jaką podchodziła do zawodu. Pod jej wpływem zastanawiała się, co by było, gdyby posłuchała ojca, który namawiał ją do studiowania medycyny.

– Jadę do szpitala Charité w dzielnicy Mitte na rozmowę o pracę – odpowiedziała Krista z przejęciem. – Życz mi szczęścia.

Informację otrzymała poprzedniego dnia: dyrektor kadrowy, doktor Dressel, zapraszał ją na dziewiątą na rozmowę, nic więcej nie wyjaśniając. Miała się z nim spotkać już za pół godziny.

- Do Charité? Ja też tam jadę na kontrolę. Podwiozę cię.
- Nie chcę ci sprawiać kłopotu.
- Daj spokój, Krista – odezwała się z zadowoleniem. – Wiesz, że robię to z przyjemnością. Tylko ty jedna z całej klatki nie uciekasz na mój widok, no i jeszcze córka cukierników, która zapałała do mnie sympatią... – Zrobiła udręczoną minę.
- Nie bierz tego do siebie, to dobrzy ludzie, tylko onieśmiela ich mundur twojego męża. Daj im czas, żeby cię poznali, a zobaczysz, że padną ci do stóp.

Claudia roześmiała się z wdzięcznością.

- Że padną mi do stóp, bardzo wątpię – odparła rozbawiona. – Ale dam im czas, pewnie.

Dotarły do bramy i stanęły, bo lało jak z cebra. Claudia otworzyła parasol, obie się pod nim schroniły i przebiegły przez jezdnię, omijając kałuże, aż dotarły do jaskrawozielonego opla laubfrosch.

Dokładnie w tej chwili z bramy wyszedł Jurij i zobaczył je, jak szybko wsiadają do samochodu. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale nie podobała mu się zażyłość, jaka się między nimi zrodziła. Wiedział, że od powrotu Claudii często się widują, zorientował się nawet, że Krista broni jej przed matką, gdy ta ją krytykuje. Choć to zachowanie kobiety podobało mu się, gdy widział je razem albo gdy Krista opowiadała o Claudii, czuł się nieufny i bezbronny wobec ich przymierza. Szybko wsiadł do forda i zobaczył, jak mijają go w ulewnym deszczu. Nawet go nie zauważyły, pogrążone w przyjacielskiej rozmowie.

- Znam w Charité wielu lekarzy – powiedziała Claudia, lekko wciskając pedał gazu. – Z kim będziesz mieć rozmowę? Może będę w stanie ci pomóc.

- Zaprosił mnie dyrektor kadr, doktor Dressel.
- Znam go. Surowy i dość antypatyczny człowiek. Mogę ci udzielić rady?
- Pewnie – odparła Krista.

– Zetrzyj makijaż i szminkę z ust, inaczej nie pozwoli ci nawet wejść. Posłuchaj mnie. Doktor Dressel należy do tych, którzy są zdania, że kobiety powinny się skupić na trzech „k”: Kinder, Küche, Kirche, czyli dzieciach, kuchni i kościele. Jak cię zobaczy umalowaną, będzie miał powód, żeby odesłać cię do domu, gdzie zajmiesz się szyciem albo gotowaniem.

Krista odwróciła się do niej i utkwiała wzrok w jej brzuchu, już okazałych rozmiarów.

– Niedużo ci chyba zostało – zagadnęła, ignorując to, co usłyszała. – Jak się czujesz?

– Ciężko. – Claudia zaakcentowała to słowo. – Coraz bardziej ociężała. Gdybym chociaż mogła zapalić...

– To szkodliwe, już ci mówiłam. Szkodzi dziecku i, oczywiście, tobie.

– Jeśli mam być z tobą szczerą, Krista, z jednej strony cieszyłabym się, gdybyś wreszcie znalazła pracę, ale z egoistycznego punktu widzenia byłoby mi żal, bo stałabyś się kobietą bardzo zajęta i już nie miałabym twojego miłego towarzystwa.

– Czasu starczy na wszystko, Claudio, nie martw się. Poza tym przy dziecku będziesz miała sporo zajęć, zobaczysz, nie będzie ci się nudzić.

– Mam nadzieję... Gdyby nie ty, nie miałabym kontaktu z żadną rówieśnicą. Mam wrażenie, że moje dawne koleżanki zapadły się pod ziemię. Jak nie zaręczone i zajęte przygotowaniami do ślubu, to rodzą dzieci na chwałę naszego Führera. Niektóre czekają na trzecie, a są trzy lata po ślubie. – Cmoknęła i mówiła dalej, zirytowana. – Nie wychodź za mąż, Krista, to błąd, pułapka... Miłość to co innego.

– Przestań, nie popadaj w zniechęcenie – pocieszyła ją koleżanka ciepłym tonem. – Bycie matką to wyzwanie, ale też niesamowite doświadczenie. Poza tym – dodała z uśmiechem – musisz przyznać, że małżeństwo jest zwieńczeniem miłości, inaczej byłby skandal, nie sądzisz?

– Byłaś kiedyś zakochana? – spytała Claudia.

Oczy Kristy lśniły ze szczęścia, jakie towarzyszyło jej od dnia, w którym w jej życiu pojawił się Jurij.

– Jestem zakochana... do szaleństwa.

Claudia zdjęła nogę z gazu i patrzyła na nią przez kilka sekund, aż w końcu znów skupiła się na jezdni. Jej twarz się rozpromieniła.

– Krista! Cudownie! Nic nie mówiłaś? Kim jest ten szczęśliwiec? – dopytywała z promiennym uśmiechem. – Pewnie jakiś lekarz. Jakiś przystojniak, co paraduje w białym kitlu w tę i z powrotem jak paw...

Krista śmiała się, rozbawiona entuzjazmem Claudii, kręcąc głową.

– Nie jest lekarzem.

– Jak będziesz brać ślub, zostanę twoją druhną. We wszystkim ci pomogę. Mam doświadczenie.

– Przecież dopiero co mówiłaś, żebym nie wychodziła za mąż.

Z twarzy Claudii zniknął uśmiech, a w jej minie było widać cień smutku, choć Krista go nie dostrzegła.

– Wyjść za kogoś, kogo się kocha, to co innego. To co innego...

Zapadła cisza. Krista wyczuła, że Claudia nie jest wcale taka szczęśliwa, na jaką wyglądała. Nie wiedziała, co powiedzieć, ale kobieta zaraz odzyskała entuzjazm.

– Dalej, opowiedz mi o nim, jaki jest, czym się zajmuje, jak się w sobie zakochaliście... Mieszka w Berlinie?

– Powiem ci, jak obiecasz, że nikomu nie powiesz, bo pewne jest tylko to, że ja się w nim zakochałam od pierwszego wejrzenia.

– Będę milczeć jak grób, przyrzekam – zapewniła Claudia z promiennym uśmiechem.

– To Jurij, lokator mojej mamy...

Te słowa spadły na Claudię niczym roztopiony ołów; poczuła, że brakuje jej tchu, jakby nagle całe powietrze wyparowało z tego dusznego wnętrza. Zdjęła dłoń z kierownicy i zaczęła kręcić rączką, żeby opuścić szybę, i w tej właśnie chwili musiała z całej siły wcisnąć hamulec, żeby nie przejechać kobiety, która przechodziła przez ulicę i nie widziała nadjeżdżającego samochodu. Była skupiona na ucieczce przed nękaniami

przez grupę nastolatków w mundurach Hitlerjugend, którzy szli za nią, obrzucając rozmaitymi obelgami i popychając, a wśród okrzyków najbardziej wybijało się wojenne wezwanie: „Skacz, żydowska świnio!”.

Claudia wycedziła z nienawiścią dwa słowa, jakby wyrwała je z głębi trzewi:

– Żydowski śmieć.

– Claudia! To nie jej wina. To te dzieciaki, które nie mają za grosz wychowania ani szacunku dla starszych.

– Przeszkadza ci to? – spytała, usiłując zapanować nad wściekłością, jaką wywołało wyznanie Kristy.

– Oczywiście, że tak. Powinno przeszkadzać każdemu przyzwoitemu człowiekowi.

– Żydzi nie odczuwają tak jak my, to margines społeczny, kłamcy, kanciarze i szulerzy. – Mówiła, jakby z każdym słowem wypluwała truciznę, którą przed chwilą podała jej koleżanka, koktajl zazdrości, wściekłości, szalonego strachu przed utratą tego, co do tej pory nadal uważała za swoje. – Hołota, która doszła tu, gdzie jest, wskutek łatwowierności i dobroduszości niemieckiego narodu. Powinni zniknąć z powierzchni ziemi.

– Matko jedyna. – Krista była przerażona. – Takie poglądy i takie zachowanie okrywają hańbą kraj taki jak Niemcy. Wstyd, że ta cała nienawiść wypływa od rządu.

Claudia spojrzała na nią z poważną miną.

– Uważaj na słowa, Krista – odezwała się kategorycznym tonem. – Mogłabym na ciebie donieść... Nie przystoi szkalować rządu własnego kraju.

Kriście odjęło mowę z powodu tak zacieklej reakcji Claudii. Miała wrażenie, że rozmawia z inną osobą niż ta sprzed zaledwie paru sekund. Nie rozumiała tej nagłej nienawiści i nie chciała kontynuować dyskusji. Po kilku sekundach Claudia uruchomiła silnik i wcisnęła pedał gazu. Krista podążała wzrokiem za prześladowaną kobietą, tak bezbronną, tak wystraszoną, usiłującą uciec przed dręczeniem, jakiego doświadczała

w biały dzień na oczach wszystkich, z których nikt nie kiwnął palcem, żeby je powstrzymać: nikt nie stanął w obronie tej najbardziej bezbronnej osoby. Nawet ona sama, pomyślała z przygnębieniem podczas jazdy. Nie mogła się zatrzymać, nie mogła ryzykować, że nie dotrze na czas na rozmowę. Zamknęła oczy i przełknęła gorycz tchórzostwa.

W krępującej ciszy dotarły do szpitala Charité i na wielkim holu miały się rozejść, każda w swojej sprawie.

– Dziękuję, że mnie podwiozłaś – pożegnała się Krista, siląc się na uprzejmość.

– Krista... – Głos Claudii znów stał się słodki, przynajmniej z pozoru. – To odwzajemnione? Ta miłość, którą czujesz do tego mężczyzny... Odwzajemnia ją?

Wzrok Kristy był nieobecny. Na jej twarzy zaczęło się malować zadowolenie, a wargi uniosły się w uśmiechu, który był ciosem w duszę Claudii.

– Chyba zaczyna odwzajemniać.

Claudia zacisnęła wargi i przełknęła to, co chciała jej powiedzieć: że ten mężczyzna należy do niej i że nie może darzyć miłością innej, tylko ją. Powstrzymała się i lekko odwróciła z zamiarem odejścia, ale zwróciła się znów w stronę Kristy i uniosła do ust odziane w rękawiczki palce.

– Posłuchaj mojej rady. Odpuść go sobie.

Krista uśmiechnęła się bez słowa, po czym skierowała się do pokoju, w którym miała odbyć się rozmowa. Nim zapukała, wzięła chusteczkę i starła z warg szminkę.

Na drzwiach wisiała tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem: doktor Albert Dressel. Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest punkt dziewiąta. Zapukała dwa razy i natychmiast usłyszała zza drzwi polecenie, żeby weszła. Otworzyła i wsunęła do środka głowę.

– Doktor Dressel? Krista Metzger, jestem z panem umówiona.

Zaprosił ją gestem do środka, praktycznie nie unosząc głowy znad dokumentów na biurku. Był mężczyzną krzepkim, z dużą głową, siwymi, bardzo krótkimi włosami. Nosił symbol swastyki przypięty na klapie białego fartucha, nieskazitelnego, spod którego było widać krawat w jasnej tonacji na beżowej koszuli.

Krista zamknęła drzwi i stała, czekając.

– Proszę usiąść, Fräulein Metzger – polecił, spoglądając na nią surowo. Począł, aż usiadzie, i dopiero wtedy zaczął mówić dalej. – Ma pani wspaniałe doświadczenie zawodowe. Szkoda by było z powodu nieobywatelskiej postawy, niegodnej porządnej obywatelki Niemiec, jak pani, stracić świetną lekarzkę.

Krista zwlekała z reakcją. Nie ulegało wątpliwości, że on zna powody, które przywiodły ją z powrotem do Berlina, ale wiedziała, że powinna zachować czujność.

– Nie rozumiem...

– Proszę nie udawać głupiej, Fräulein Metzger. Wiem o wszystkim, co się wydarzyło w klinice Lemman w Monachium.

Krista uzbroiła się w całą godność, jaką w sobie miała.

– Lekarze, których wyrzucono, byli wspaniałymi profesjonalistami. Uznałam za niesprawiedliwość to, co ich dotknęło, dlatego złożyłam sprzeciw. Pan nie postąpiłby tak samo?

Doktor Dressel przyglądał się jej przez kilka sekund. Jego mina była zimna, zdystansowana. Po chwili wsparł łokcie na biurku i splótł dłonie, celując w nią obydwoma palcami wskazującymi.

– Fräulein Metzger, udam, że nie powiedziała pani słów, które przed chwilą padły. – Małe oczy o przenikliwym spojrzeniu nie odrywały się od niej. Mówił dalej ze srogą miną: – Przyjrzeliliśmy się szczegółowo pani przypadkowi i postanowiliśmy dać pani jeszcze jedną szansę na skończenie doktoratu i pracy na rzecz Trzeciej Rzeszy i naszego Führera. W tych czasach przemian potrzebne są wszystkie zasoby państwa i nie możemy sobie pozwolić na to, żeby zmarnować wysokie koszty pani wykształcenia. Oczywiście będziemy się bacznie przyglądać

pani działaniu, nie tylko zawodowemu, ale także prywatnemu. – Uniósł dłoń i pomachał nią w górze. – Żeby nie popełniła pani powtórnie błędów, które mogłyby niepotrzebnie skomplikować pani życie.

– Proszę się nie martwić, doktorze Dressel, nie usłyszą państwo żadnej skargi pod moim adresem.

– I to jest właściwa postawa, Fräulein Metzger – powiedział lekarz, a na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się uśmiech satysfakcji. – Trzeba wiedzieć, po której stronie się stoi. Pani miejsce jest przy aryjskich Niemczech, a prawdziwi Niemcy stoją przy naszym Führerze, człowieku, który przywrócił nadzieję temu krajowi i jego mieszkańcom.

Krista musiała ugryźć się w język, żeby nie wypalić z tym, co naprawdę myśli o Führerze, nazizmie i wszystkich fanatycznych ideach, które rozprzestrzeniały się, odkąd doszedł do władzy. Ale milczała. Potrzebowała tej pracy; bez ukończenia specjalizacji nie mogła wykonywać zawodu, który był jej prawdziwą pasją.

Doktor Dressel wyciągnął z teczki kartkę i jej wręczył. Doktorat robi pani pod kierunkiem doktor Hotzfeld. Kieruje Oddziałem Ginekologii Szpitala Miłosierdzia przy Scheunenviertel. Proszę się do niej jak najszybciej zgłosić. Doktor Hotzfeld poda wysokość wynagrodzenia, rozkład pracy i dyżurów. Przekaze wszystko, co niezbędne, aby natychmiast rozpoczęła pani pracę.

– Pójdę do niej jeszcze dzisiaj.

Wstała do wyjścia, ale doktor Dressel ją zatrzymał.

– Jeszcze jedno, Fräulein Metzger, następnym razem na rozmowę o pracę proszę pójść z umytą twarzą. To nie klub nocny, gdzie ma się pani prezentować, ani ja nie jestem kawalerem, którego należy podbić.

To był dla Kristy upokarzający cios. Bez słowa kiwnęła głową, zaciskając wargi. W tej chwili doktor Dressel uniósł rękę przy słowach „Heil Hitler!”. Krista wahała się przez kilka sekund, aż w końcu poszła w jego ślady i wybełkotała nazistowskie pozdrowienie. Później wyszła na korytarz i pędem puściła się po schodach.

Przestało padać i promień słońca próbował się przebić pomiędzy puchatymi szarymi chmurami. Claudia miała rację. Niemożliwe, żeby ta kobieta miała złe serce, pomyślała z uśmiechem na twarzy.

Przepełniona radością, jaką wywołała perspektywa powrotu do pracy, tramwajem pojechała do Szpitala Miłosierdzia.

Doktor Anna Hotzfeld była kobietą bardzo wysoką, szczupłą, o ramionach szerokich, podobnie jak jej twarz o rysach dziwnie łączących słodycz i siłę. Była krótkowłosą brunetką, pogodną, uprzejmą, miała około czterdziestki.

Krista z zaskoczeniem przyjęła jej reakcję, gdy pojawiła się w jej gabinecie. Kobieta przywitała ją nad wyraz serdecznie, zadowolona, że ją widzi.

– Całe szczęście, że się zgodziłaś, Krista – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Mamy takie braki kadrowe, że potrzebne są każde ręce. Pozwól, że będę do ciebie mówić na ty, będziemy pracować ramię w ramię i potrzebuję twojej pomocy, a przede wszystkim całkowitej dyskrecji.

– Może pani liczyć na jedno i drugie, doktor Hotzfeld – zapewniła Krista.

– Wiem, że podanie o pracę złożyłaś trzy miesiące temu, ale wszystkich kandydatów najpierw musi zatwierdzić partyjna komisja oceniająca. Uciążliwa i niepotrzebna biurokracja, która wszystko opóźnia i tworzy problemy kadrowe. Zupełnie się nie wyrabiamy.

– Mam tutaj list polecający od mojego opiekuna z Monachium.

– Nic mi nie musisz pokazywać. Sam doktor Greenstein poinformował mnie o tym, jak pracujesz.

– Zna go pani?

– Oczywiście. Szkoda, że tak skończył, to wielka niesprawiedliwość. Niemcy nawet nie wiedzą, ile tracą z powodu jego wyjazdu.

– Zgadzam się. – Ledwie wypowiedziała te słowa, na klapie fartucha lekarki dostrzegła swastykę; jej twarz spochmurniała, a pierwszy entuzjazm w jednej chwili wyparował.

Anna Hotzfeld zorientowała się, spojrzała na symbol i dotknęła go lekceważącym gestem.

– Spokojnie, jestem w partii wyłącznie dla wygody, nie z przekonania. Możesz mi ufać. Odkąd dostałam twoje podanie o pracę, robiłam wszystko, co mogłam, żeby cię zatrudnić. Wiem, co zrobiłaś w klinice w Monachium na rzecz żydowskich pracowników. Nie ma wątpliwości, że twoja reakcja była godna podziwu, ale przyznaj, że na nic się nie zdała, narobiła ci tylko kłopotów zawodowych, i to wielkich. – Po krótkiej przerwie spokojnie mówiła dalej: – Posłuchaj, Krista. Nie podoba mi się to, co się dzieje. Mamy wariata na czele kraju, który rządzi głupimi masami nadgorliwców, którzy coraz liczniej za nim podążają. Biorąc pod uwagę okoliczności, mamy do wyboru: milczeć i nie robić nic albo starać się działać bardziej inteligentnie od nich, wykorzystując ich własne organizacje, walcząc od środka. Mój mąż się ze mną nie zgadza, jest zwolennikiem bierności, wierzy, że to szybko minie, że niemożliwe jest, żeby ten jeden wielki cyrk, w jaki Hitler zamienił ten kraj, nie zawalił się pod własnym ciężarem. Ale mnie, jak na razie, moja taktyka świetnie się sprawdza. Ta swastyka otwiera mi wiele drzwi i pozwala robić rzeczy, o których w innych okolicznościach nie mogłabym nawet pomyśleć; na przykład bez tej swastyki zatrudnienie ciebie nie byłoby możliwe. – Wzruszyła ramionami i ściszyła głos. – W przeciwieństwie do tego, co już ma miejsce w innych szpitalach, tutaj leczy się pacjentów, nie pytając o religię czy rasę. I powiem ci w zaufaniu coś, co nie może wyjść poza te ściany: udało mi się zatrudnić dwóch lekarzy i kilka pielęgniarek spoza Berlina, z których nikt nie jest czystej krwi, jak wymaga się teraz ode mnie podczas zatrudniania, ale załatwiłam wszystko tak, że za nich uchodzą. A mogę to robić dzięki temu, że moje nazwisko znajduje się na liście członków partii nazistowskiej, na którą

co miesiąc sumiennie łożę należną składkę i noszę ten śmieć wysyty na klapie. Damy opór systemowi od środka. Nie ma innego wyjścia.

– Zbyttnio się pani naraża, doktor Hotzfeld.

– Wiem. Trzeba ryzykować, ty to zrobiłaś, ale chodzi o to, by osiągnąć zyski, których to ryzyko jest warte. – Wstała energicznie. – Chodź, pokażę ci szpital. Załatwię wszystko, żebyś zaczęła jak najszybciej.

Berlin, 1934 roku

Zasada transpozycji

Obciążać przeciwnika własnymi błędami lub wadami, na atak reagując atakiem. Jeśli nie można zaprzeczyć złym informacjom, należy wymyślić inne, które odwrócą od nich uwagę.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Claudia od stycznia musiała leżeć, ponieważ na początku miesiąca pojawiły się komplikacje w przebiegu ciąży. Zbiegło się to z mianowaniem Ulricha von Schönberga na inspektora obozów koncentracyjnych otwieranych i uruchamianych we wszystkich zakątkach kraju, co zmuszało go do częstych wyjazdów. W tej sytuacji dziewczyna nie miała wyjścia i do czasu porodu musiała zamieszkać u matki.

Dla Kristy były to miesiące wytężonej pracy. Wiąż z Jurijem bardzo powoli się zacieśniała, czas i uczucia płynęły spokojnie, bez pośpiechu, osłaniane przez spokojną ochronę wspólnego mieszkania. Pani Metzger była wniebowzięta z powodu zarówno nieobecności irytujących sąsiadów z drugiego piętra, jak i związku ukochanej córki z Jurijem. Swojego lokatora kochała jak syna i była pewna, że jej mężowi spodobałby się jako zięć. Tak myślała, kiedy z zachwytem obserwowała, jak się śmieją, rozmawiają czy razem wychodzą. Jeśli chodzi o Kristę, w końcu znów była szczęśliwa, na nowo przejęta pracą i oddana miłości, jaką darzyła Jurija; życie się do niej uśmiechnęło i to matce w zupełności wystarczało, i niczego więcej nie oczekiwała.

W ciągu pierwszych miesięcy 1934 roku Jurij musiał odbyć wiele podróży na zlecenie Villanuevy i jego wspólnika Volkera Finckensteina, tajemniczego VKS, którego korespondencja docierała bezpośrednio do Villanuevy z pominięciem rejestru; Jurij zdążył go poznać. Na każdej podróży zarabiał pokaźną sumę, a sekretarz do spraw komunikacji ambasady był z jego efektywności bardzo zadowolony.

Z kolei Fritz Siegel rok rozpoczął założeniem własnej gazety. Dwa miesiące wcześniej został zwolniony po ataku na redakcję, spowodowanym treścią artykułu z jego podpisem. Analizował w nim ustawę o sterylizacji, która weszła w życie w styczniu i oznaczała kastrację czterystu tysięcy mężczyzn i kobiet dotkniętych jedną z dziewięciu chorób, które, zgodnie z kwalifikacją tego ponurego przepisu, mogły być przekazywane kolejnym pokoleniom. Dotyczyło to opóźnienia umysłowego, schizofrenii, epilepsji, psychozy maniako-depresyjnej, choroby Huntingtona, wrodzonej ślepoty, dziedzicznej głuchoty, wszelkich ułomności fizycznych i alkoholizmu.

Fritz, daleki od przygnębienia z powodu ataku i zwolnienia, rozpoczął realizację projektu, o którym myślał od lat: kierowanej przez siebie gazety. Zgromadził kilku kolegów zaangażowanych w prowadzenie batalii informacyjnej przeciwko straszliwej nazistowskiej maszynie propagandowej; przy pomocy figuranta nawiązał współpracę z drukarnią wydającą gazety partii nazistowskiej, dzięki czemu nie groziło jej zamknięcie, i w małym lokalu w północnym Berlinie zaczął wydawać dziennik o małym nakładzie, ale wystarczającym do rozprzestrzeniania wizji informacyjnej, dostarczającej społeczeństwu innego punktu widzenia od jedynie słusznego i oficjalnie narzucanego od miesięcy.

Dwaj przyjaciele wcześniej byli na piwie i postanowili wybrać się na spacer po Unter den Linden.

– Coraz więcej ludzi wyjeżdża – powiedział Jurij, który niedawno wywiózł za szwajcarską granicę pięcioosobową rodzinę żydowską. – To

wszystko wywołuje we mnie bardzo złe wspomnienia. Mam wrażenie, że Niemcy zmierzają prosto do przepaści, i dziwi mnie, że nikt w tej sprawie nic nie robi. Przecież to nie Rosja. Co się dzieje z Niemcami?

– Hitler nie przeprowadza brutalnej rewolucji, jak Lenin w Rosji, przynajmniej z pozoru. Nie wierzy w demokrację, ale bardzo umiejętnie wykorzystuje instrumenty, które daje mu konstytucja, żeby torować sobie drogę do zdobycia władzy absolutnej. Prawdę mówiąc, właściwie już ją ma; jedyną przeszkodą jest stary prezydent. W tej chwili powstrzymać go może tylko Hindenburg, jedynie on może pozbawić go stanowiska. Ale tego nie robi, jest zbyt zmęczony i tak rozczarowany, że nie jest w stanie zareagować albo zrobi to za późno.

– Kiedy Hindenburg umrze, odbędą się wybory i wyłoniony zostanie nowy prezydent Republiki. Może nadarzy się sposobność, żeby to wszystko zakończyć.

Fritz spojrzał na niego z rozczarowaniem w oczach.

– Jaka Republika? Odkąd w marcu weszła w życie ustawa, dzięki której Hitler skupia całą władzę, Republika to już tylko pozory. Poza tym po śmierci Hindenburga nie będzie miał już żadnej przeszkody. Jestem przekonany, że nie ogłosi wyborów, zostanie naczelnym wodzem i zdusi te mizerne pozostałości Republiki Weimarskiej i wszystko, co oznacza.

Przez chwilę szli bez słowa, w zadumie. W końcu odezwał się Jurij, marszcząc czoło, bo nic nie rozumiał:

– Najbardziej dziwi mnie to, że ludzie nie oburzają się na taką przesadę, że nikt nie protestuje. Nigdy bym nie pomyślał, że Niemcy mogą wpaść w taką pułapkę.

– Propaganda Goebbelsa działa doskonale. Wykreowali charyzmatycznego przywódcę, który stoi na czele milionów osób. Hitler mówi narodowi to, co ten chce usłyszeć, w swoich przemowach skupia się na frustracji, która dręczy ludzi od dekady, bardzo umiejętnie dotyka samego jądra uczuć i całą złość kieruje na najgorsze zło: Żydów.

– Nie rozumiem, skąd ta nienawiść do Żydów.

– Nie jest niczym nowym, przychodzi z daleka, a na naszą obronę muszę powiedzieć, że nie cechuje wyłącznie Niemców. Jak myślisz, dlaczego reszta Europy nie reaguje na tę lawinę ustaw przeciwko nim? Bo nic ich nie obchodzi – orzekł Fritz. – Anglia i Francja też są niesłuchanie antysemickie; ogromna różnica w tym, że tutaj przywódca ma władzę i siłę, żeby przeprowadzić swój zamysł, a jest nim pozbycie się ich z Niemiec. Żydom zarzuca się, że to oni są źródłem wszelkich problemów, przyczyną wszelkich nieszczęść, a przeciwności, z jakimi mierzą się Niemcy, wynikają ze złośliwości i chciwości Żydów. Dla Hitlera i nazistów Hebrajczycy i komuniści to takie same śmieci, uznają ich za istoty niższe, uważają za obywateli drugiej kategorii, bez praw obywatelskich, za to wymagają od nich wypełniania wszystkich bez wyjątku obowiązków narzuconych prawem, czasem niesprawiedliwie. A wszyscy inni odwracają głowę.

– Wszyscy prócz ciebie – sprostował Jurij.

– Nie mogę odwracać głowy, zwymiotowałbym, gdybym miał się tak zachowywać.

– A Nicole? Nie wierzę, że nie liczysz się z jej uczuciami. Krista mi powiedziała, że się bardzo martwi, że już nie tylko dostajecie anonimy, ale jesteś śledzony na ulicy, a parę dni temu ktoś ci groził.

– Ech, te kobiety, nie potrafią utrzymać języka za zębami – wymruczał z lekkim uśmiechem, westchnął i spuścił głowę. – Wczoraj ją zwolnili.

– Nie wiedziałem.

– To była kwestia czasu. Na jej stanowisko zatrudnią Niemca. Usiłuję ją namówić, żeby wyjechała do Ameryki, przynajmniej na jakiś czas. Tu nie jest bezpieczna.

– Wiesz, że bez ciebie nie pojedzie. Grozi ci niebezpieczeństwo, Fritz.

– Wszystkim nam grozi – odparł. – Moje miejsce jest tutaj. Muszę zrobić coś, żeby powstrzymać tę jedną wielką pomyłkę. Czułbym się jak tchórz. Gdybym wyjechał, przyznałbym im rację...

– A co twoim zdaniem można zrobić? Można z tym jakoś walczyć?

– Dobre pytanie... – wymruczał z namysłem. – Ale bardzo trudno na nie odpowiedzieć. Problem w tym, że pozwalamy sobie zabrać wszelkie instrumenty, dzięki którym można to osiągnąć. Wymazano opozycję, krytykę, oponentów; propaganda podbija nawet najbystrzejsze umysły poprzez monotonne, proste, uporczywe przesłanie, doprowadzając do całkowitej obojętności, a nawet niebezpiecznego braku wrażliwości, kiedy normalną reakcją byłyby odraza i bunt.

– Więc w takim razie co niby możesz zrobić w tym kraju, skoro twoim zdaniem nie ma na to rady? Wyjedź, a wtedy przynajmniej się uratujesz.

Fritz ze swojej skórzanej aktówki wyciągnął książkę i podał Jurijowi. Ten wziął ją do rąk.

– Przyjaciele Voltaire’a – przeczytał na głos. – Evelyn Beatrice Hall.

– To moja najnowsza lektura, moje wielkie odkrycie. – Fritz odebrał książkę do rąk, otworzył ją na jednej ze stron i pokazał podkreślone zdanie. Przeczytał je poważnym tonem, powoli, najpierw po angielsku: „I disapprove of what you say, but I will defend to the death your right to say it”, później po niemiecku: „Nie zgadzam się z tym, co mówisz, ale oddam życie, abys miał prawo to powiedzieć”. Masz pojęcie, co to znaczy? Autorka trafia w samo sedno, to właśnie kwintesencja wolności wypowiedzi i to powinienem, i chcę robić, takie mam aspiracje. Ograniczenia powinny istnieć wyłącznie w przypadku nawoływania do nienawiści i dyskryminacji, a to właśnie robią ci, którzy chcą mnie uciszyć. To mój kraj, Jurij, mimo wszystkiego, co się tu dzieje, kocham Niemcy, w sercu czuję się Niemcem. Wielu Niemców otrzymało nagrodę Nobla, najlepsi muzycy w historii byli Niemcami! Naród niemiecki jest wykształcony, a kultura powinna być tarczą przeciwko perwersji polityki, a przede wszystkim takiej, jaka uprawiana jest obecnie... – Pokręcił głową. – Nie zamierzam pogodzić się z tym, że ci, którzy chcą nam odebrać wolność myślenia, mieliby wygrać bitwę. – Głos Fritza był stanowczy, lecz cichy. Nie było obok nich nikogo, kto mógłby usłyszeć, o czym rozmawiają, tego pilnowali już obaj.

– Jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie, ten kraj w obecnym stanie nie zasługuje na twoją obecność. Ludzie tacy jak ty są potrzebni, Fritz. Mógłbyś odegrać ważną rolę poza granicami Niemiec, ostrzec kraje, które w tej chwili błędnie postrzegają postać Hitlera i jego politykę. Mógłbyś robić wiele, nie narażając się przy tym.

Fritz posłał przyjacielowi szczerzy, przelotny uśmiech.

– Możliwe, że cię posłucham i wszystko przemyślę jeszcze raz. To, czy wyjadę z kraju, czy nie, będzie zależeć od tego, czy zmienią się pewne okoliczności.

– A można wiedzieć, o jakich okolicznościach mowa?

– To jeszcze nic pewnego, ale... – Fritz zarzucił mu rękę na ramię w przyjacielskim geście. – Mam nadzieję, że tym razem się uda. – Jego oczy lśniły z przejęcia. – Nicole jest w ciąży. Będę ojcem, Jurij. Tym razem zanoszą się na to, że się uda.

Wiosna wybuchła z całą siłą wraz z nadejściem maja. Wieczory zachęcały do spacerów. Jurij i Krista wracali do domu powoli i w chwili, kiedy zbliżali się do klatki, dostrzegli wyłaniający się z bramy wózek dziecięcy z wielkimi niebieskimi wstęgami po obu stronach, pchany przez niańkę; za nią wyłoniła się Claudia Kahler. Wtedy po raz pierwszy od Bożego Narodzenia minęli się ze świeżo upieczoną mamą. Krista podeszła do Claudii, żeby zapytać o poród, jak dochodzi do siebie, jak się odnalazła w roli matki i czy karmi piersią. Odpowiadała z radością. Kiedy Krista pochyliła się do wózka, żeby poznać małego Hansa, Claudia wbiła wzrok w Jurija, który tylko ukłonił się jej z daleka.

– Ale piękne dziecko. – Krista zachwycała się pulchnym bobasem ubranym w białe śpiochy, który spoglądał szeroko otwartymi oczami na świat, na którym niedawno się pojawił. – Ma sporo włosów – zauważyła z uśmiechem. Spojrzała przelotnie na matkę i znów skupiła się na dziecku.

Claudia nie odrywała wzroku od Jurija, patrzyli na siebie w pełnym napięcia pojedynku.

– Owszem – przyznała Claudia. – Sporo włosów i ciemną cerę. Nie wiem, po kim.

Jurij natychmiast odwrócił wzrok, ale te oczy przyciągały go niczym magnes. Ona się uśmiechała. Jej miłość do niego była tak żywa jak wcześniej. Dlatego nie mogła znieść świadomości, że jest w ramionach innej, upaja się zapachem innej; trawiła ją zazdrość i musiała się powstrzymać, żeby nie skoczyć do gardła tej obłudnicy, która kradła jej to, co według niej było jej własnością.

Krista w tym czasie zabawiała malucha i mówiła, jakby szukała wyjaśnienia małego aryjskiego wyglądu noworodka.

– Dzieci bardzo się zmieniają w tych pierwszych miesiącach. Na pewno z czasem włosy mu zjaśnieją, a może wyszły mu geny po którymś z dziadków. Jest śliczny i widać, że zdrowy – dodała, przyglądając się mu z zachwytem.

Jurij nie mógł oderwać wzroku od Claudii. Macierzyństwo bardzo dobrze jej zrobiło. Poród nie odebrał jej zmysłowości, a wręcz ją wzmocnił; miała na sobie jasną sukienkę, dekolt w serek podkreślał jędrne piersi pod tkaniną, a wąska talia jeszcze bardziej uwydatniała idealne krągłości jej bioder. Na głowie miała elegancki kapelusz z tasiemką w kolorze sukienki. Podkreślone szminką wargi kontrastowały z białą, lśniącą skórą. Jej urodę szpeciła jedynie broszka przypięta na piersi, swastyka oprawiona jak biżuteria.

– Chodź, Krista – odezwał się Jurij, starając się zachować pozory uprzejmości. – Pozwólmy pani von Schönberg pójść na spacer z dzieckiem.

– Zawsze mówiliśmy sobie na ty, Jurij. – Ton Claudii był słodki. – Zachowajmy stare zwyczaje. To, że zostałam matką, w niczym mnie nie odmieniło.

Powiedziała to z lekką drwiną, która zirytowała Jurija, ale nie odpowiedział; chwycił Kristę za rękę i delikatnie, zdobywając się na

uśmiech, wprowadził ją do klatki. Ruszyli po schodach.

– Nie cierpię jej – wymruczał, usiłując zdusić odruchy serca. – O wiele lepiej było bez niej.

– Jest niegroźna, Jurij. – Krista zbagatelizowała sprawę. – Bardzo po niej widać.

– Co? Zły charakter? – podpowiedział z ironią.

– Nie mów, że nie zauważyłeś, że jest w tobie zadurzona.

Jurij przystanął zaskoczony; nigdy nie rozmawiał z Kristą o związku z Claudią.

– Nie gadaj głupstw.

– Przecież to widać gołym okiem. Kiedy jej powiedziałam, że jestem w tobie zakochana, zupełnie się zmieniła. Unika mnie. Dzwoniłam kilka razy do jej matki zapytać, co u niej słychać, i nigdy nie podeszła do telefonu. Wyrzuciła mnie ze swojego życia – ściszyła głos i przysunęła się do niego z uśmiechem. – Daj spokój, Jurij, nie udawaj zaskoczonego. Nic dziwnego, że kobiety się w tobie zakochują. Ja się zakochałam od pierwszego wejrzenia.

– To mężatka – zaprotestował, unikając wzroku Kristy.

– I co z tego? Czyżby mężatki wyzbywały się uczuć? Jej mąż jest zimny jak lód, to widać jak na dłoni. Jest antypatyczny i chłodny. – Pocałowała go. Stała o stopień niżej niż on. – Ty to co innego, gorący, zabawny Hiszpan.

– Przypominam ci, że w moich żyłach płynie rosyjska krew – powiedział, patrząc jej prosto w oczy i obejmując ją w pasie, żeby przyciągnąć do siebie. – A Rosjanie zbyt gorący nie są. – Uniósł przekornie brwi. – Zabawni tym bardziej, chyba że wypiją dużo wódki, wtedy owszem, bywają tacy.

– Pani von Schönberg ma problem, bo całe ciasto dostało się mnie i nie mam zamiaru podzielić się z nią nawet kęsem.

Zarzuciła mu ręce na szyję i go pocałowała. Jurij jej na to pozwolił, poczuł jej czułe wargi. Zamknął oczy, ale nie potrafił przestać myśleć o Claudii. Wyprostował się i ku zaskoczeniu Kristy cofnął usta, ale

kobięcy głos z pierwszego piętra odwrócił ich uwagę. Spojrzeli w górę i ruszyli dalej po schodach, aż doszli na pierwsze piętro. Drzwi mieszkania Rothmanów były otwarte na oścież i Ernestine w niekulturalny sposób wydawała polecenia jednej z ekspedientek pracujących w cukierni. Sześć miesięcy temu państwo Rothmanowie się z nimi pożegnali i wyruszyli do Polski razem z Lotte, którą zaczęli traktować jak córkę. Od tamtej pory ich rodzona córka, Ernestine Rothman, została właścicielką cukierni i gospodynią w mieszkaniu rodziców, którym nie pozwoliła zabrać biżuterii ani żadnych cennych przedmiotów, jedynie ubrania i rzeczy osobiste pozbawione wartości innej niż sentymalna. Pieniądzy, które mieli odłożone w banku, nie mogli wypłacić, bo na rachunek – z niewiadomego powodu – nałożono blokadę. Musieliby zostać dłużej w kraju, żeby rozwiązać problem blokady oszczędności, a nie mieli na to czasu; musieli natychmiast wyjechać z Niemiec, bo Lilli groziło zatrzymanie, o czym poinformowała ją sama Ernestine, jakby robiła matce wielką przysługę, uprzedzając o czyhającym na nią zagrożeniu. Mimo ścisłego nadzoru, jaki córka sprawowała nad pakowaniem, udało im się w jednej z walizek ukryć gotówkę, którą przechowywali w domu; poza tym wystawili Jurijowi pełnomocnictwo, aby poprzez Volkera i Villanuevę mogli przelać oszczędności całego życia na rachunek w Szwajcarii, jak tylko zostanie zdjęta bankowa blokada. Wszystkie te formalności Rothmanowie załatwili za plecami Ernestine, zaślepionej potworną zawiścią wobec matki z powodu tego, że ukrywała przed rodziną informacje o żydowskich korzeniach jej dziadka, a tego nie mogła ani nie chciała wybaczyć, mając jej za złe cień, jaki ta okoliczność rzuciła na nią samą. Jednak jej narzeczony, Oskar Urlacher, dzięki stanowisku Sturmscharführera SS, załatwiał jej fałszywe zaświadczenie o aryjskim pochodzeniu poprzez zaufanego człowieka w ratuszu. W zamian za pewną kwotę był w stanie znaleźć Ernestine Rothman przodków o czystej, nieskazitelnej krwi, a nazwisko matki wymazać.

Ernestine odprawiła ekspedientkę dokładnie w chwili, kiedy Krista i Jurij wchodzili na piętro. Córka cukiernika zaszła im drogę z wymuszonym uśmiechem.

– Fräulein Metzger, właśnie się do pani wybierałam, żeby zaprosić panią na kawę jutro u mnie w mieszkaniu. Spotykamy się z przyjaciółmi i byłoby nam bardzo miło, gdyby pani do nas dołączyła.

Ernestine miała na sobie białą bluzkę i ciemną spódnicę, włosy związała w dwie kitki, które sięgały jej za ramiona, aż do biustu. Kołnierz ozdobiła broszka informująca o pracy na rzecz Rzeszy, a na piersi miała symbol partii ze swastyką.

Wzrok Kristy padł na broszkę. Ernestine to zauważyła i z dumą przytknęła palce do szyi.

– Od paru dni należę do Narodowosocjalistycznej Wspólnoty Kobiet. Zostałam przyjęta i bardzo się z tego cieszę, Fräulein Metzger. Właśnie z tej okazji organizuję spotkanie, chcę to uczcić. – Przez ramię spojrzała na Jurija, który bez zbytniego zainteresowania czekał na wyższym zabiegu schodów. Zwróciła się do niego, siląc się na uśmiech: – Pan też może przyjść, jeśli ma pan ochotę, ale będziemy rozmawiać o Niemczech i naszej przyszłości jako narodu, więc z pewnością będzie się pan nudził.

– Jestem tego samego zdania, Ernestine – potwierdził uprzejmie.

– Ale pani, Fräulein Metzger... – Zwróciła pełen entuzjazmu wzrok na Kristę. – Pani nie może mnie zawieźć.

– Przykro mi, Ernestine, jutro mam trudny dzień.

– Błagam, będzie dla mnie zaszczytem gościć panią u mnie w domu. – Zrobiła sztuczną zmartwioną minę. – Nie chcę myśleć, że unika mnie pani z powodu niezręcznej kwestii mojej matki. Nie wiem, czy pani wie, że robię wszystko, co możliwe, żeby naprawić tę ogromną szkodę. Proszę mnie zrozumieć, nie chcę być inna...

– Nie – przerwała jej Krista, oburzona. – To nie ma nic do rzeczy, jak możesz tak myśleć? Nie mam najmniejszego problemu z żydowskim pochodzeniem twojej matki.

– A powinna pani mieć – orzekła Ernestine, marszcząc brwi, jakby ją besztala. – Nie ma się co dziwić, że czysty Niemiec czuje odrazę do tych świń. Może być pani pewna, że ja ją czuję, skreślam ich i nienawidzę, są śmieciami...

– Nie powinnaś tak mówić.

– Niby dlaczego? To prawda. – Po paru sekundach konsternacji zmieniła front i próbowała się tłumaczyć: – Kwestia kobiety, która była moją matką, sprawiła mi nie lada problemy, które staram się rozwiązać najlepiej, jak umiem. W przyszłym miesiącu biorę ślub z moim narzeczonym i w końcu będę mogła spokojnie żyć. Mój przyszły mąż i ja zamieszkamy tutaj, w tej kamienicy, więc pozostaniemy sąsiadkami. Dlatego tak mi zależy, żeby przyszła pani na nasze spotkanie, Fräulein Metzger. Uczyniłaby mi pani wielką przyjemność... Proszę, błagam panią. Proszę przyjąć moje zaproszenie.

Krista spojrzała na Jurija, a on natychmiast odwrócił wzrok i wolnym krokiem zaczął pokonywać drewniane schody, oddalając się od kobiet.

– Dobrze – poddała się, bo nie potrafiła odmówić, choć właśnie na to miała ochotę. – Wpadnę na chwilę.

≈≈≈

Zasada jednomyślności

Przekonać wielu ludzi, że myślą „jak wszyscy”, tworząc wrażenie jednomyślności.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Następnego dnia, parę minut po siódmej wieczorem, Krista zapukała do drzwi mieszkania Ernestine Rothman. Żegnając się z Jurijem, obiecała, że wróci za godzinę. Umówili się z Nicole i Fritzem na wspólne wyjście do teatru i na kolację. Ernestine otworzyła i wpuściła ją do salonu, gdzie spotkała młodego mężczyznę w brudnym mundurze SA. W tej samej chwili pożałowała, że przyjęła zaproszenie. Gospodyni podeszła do

funkcjonariusza, okazując przesadną uprzejmość, która wyglądała na udawaną.

– Fräulein Metzger, proszę poznać Franza Kahlera, brata pani von Schönberg.

Franz podszedł do Kristy, bacznie się przyglądając. Delikatnie ujął jej dłoń i zdecydowanym ruchem podniósł do swoich warg szarmanckim gestem, zafascynowany oczami nowo przybyłej.

– Bardzo mi miło panią poznać, Fräulein Metzger. Czy mogę mówić pani „Krista”?

– Może pan mówić, jak pan ma ochotę, Herr Kahler.

– Franz, proszę mi mówić Franz.

Krista wyswobodziła dłoń. Czuła się niezręcznie.

– Reszta gości zjawi się lada moment. – Gospodyni zauważyła niechęć sąsiadki. – Proszę usiąść, Fräulein Metzger. Zostawiam panią w dobrym towarzystwie. Pójdę zaparzyć kawę, którą podam państwu z moimi najlepszymi ciastkami.

Krista spacerowała po salonie, nie wiedząc, co ze sobą zrobić ani co mówić. W tej samej chwili Claudia ukradkiem wchodziła na poddasze.

Zaproszenie do Ernestine Rothman było jej sprawką, ordynarną pułapką, żeby mieć okazję na spotkanie sam na sam z Jurijem. Claudia wiedziała, że mężczyzna w życiu nie wybierze się na zebranie nazistów, i też była przekonana, że Krista nie będzie mogła odrzucić zaproszenia, jeżeli nie będzie chciała, żeby przypisano jej uprzedzenia, których była pozbawiona. Doskonale wiedziała, że córka wdowy jest zbyt uczciwa, zbyt porządna i kieruje się niewzruszonymi zasadami. Z drugiej strony Claudia Kahler była dla Ernestine Rothman bóstwem, za to Claudia uważała ją za podatną na manipulacje idiotkę, doskonale nadającą się do wykorzystania do jej celów.

Jurij otworzył, przekonany, że Krista przemyślała sprawę i postanowiła jednak nie brać udziału w tym spotkaniu patriotów. Widok Claudii go zaskoczył.

– Czego chcesz? – spytał, nie ruszając się z progu.

– Pozwól mi wejść, proszę. Musimy porozmawiać.

– Idź sobie, Claudio. Ty i ja nie mamy sobie nic do powiedzenia... Już nie.

– Tylko na minutę, proszę, Jurij...

Wahał się. Bał się swojej reakcji i nie chciał wpaść w tę piękną pułapkę, ale obawiał się też, że w każdej chwili może zobaczyć ich wdowa, więc w końcu ustąpił i wpuścił ją do środka. Zamknął drzwi i zastąpił jej drogę w wejściu, żeby nie pozwolić jej zrobić ani kroku. Takim sposobem ich twarze znalazły się bardzo blisko, ale Jurij nie zrobił nic, żeby zmienić pozę, i trzymał rękę z dłonią na ścianie, ponad jej głową.

– Nie powinnaś tu przychodzić.

– Pomyliłam się. Powinnam była przyjąć twoją propozycję.

Jurij poczuł, jakby dostał cios w pierś. Wiedział, że nie może dać się ponieść porywowi, który wyzwalał jego najgłębsze uczucia, świadomy, że to, co czuje do tej kobiety, nie ma racji bytu, że to miłość nieosiągalna, bo żadne z nich nie było panem swojego losu; on w tej chwili także, oddany innej kobiecie, której był winien szacunek.

– Przepraszam, Claudio, na to już za późno.

– Przestałeś mnie kochać?

– To nie ja postanowiłem zniknąć.

– Byłam w ciąży – wytłumaczyła się, wiedząc, że to nie ciąża zmusiła ją do tego, by się od niego odsunąć.

– Postanowiłaś się ode mnie oddalić, Claudio, i uszanowałam twoją decyzję. Teraz ty musisz zaakceptować moją, bo wybieram Kristę.

– A pomyślałeś, że to może być twoje dziecko?

Jurij uniósł brwi, ale nawet nie mrugnął.

– A gdyby nawet, czy to by coś zmieniło? Oczekujesz, żebym je uznał? Jak sądzisz, jak przyjąłby to twój mąż? Mnie wysłałby do jednego z obozów, które nadzoruje... Pytanie, co zrobiłby z tobą i twoim dzieckiem.

– Mój mąż nie ma z nami nic wspólnego. To sprawa między mną a tobą. Nie mogę przestać o tobie myśleć i jestem pewna, że tobie też nie udało się o mnie zapomnieć.

– A jakie to ma znaczenie? To, co między nami było, skończyło się w chwili, gdy w moim życiu pojawiła się Krista. Naprawdę ją kocham.

– Nie wierzę ci.

– To, czy wierzysz, czy nie, niczego nie zmieni.

– Niemożliwe, żebyś zapomniał, jakim uczuciem się darzyliśmy. – Głos Claudii rozpływał się na jego wargach, słodki, błagalny.

Jurij poczuł, że jego stanowczość topnieje.

– Claudio... ty i ja... – Był skołowany, nie wiedział, jakich użyć słów, co powiedzieć, a co przemilczeć. Nie chciał jej skrzywdzić, ale nie mógł jej dać tego, o co go prosiła, nie teraz, kiedy w jego życiu była inna kobieta.

– Choćbym chciał, nie mógłbym... już nie... Pustkę, którą zostawiłaś, zapełniła Krista...

– Zrozum, Jurij: nikt nie będzie w stanie kochać cię tak jak ja. Może się w tobie zakocha, ale nie będzie czuć tego, co czuję do ciebie ja.

– Nie mogę cię mieć – zaprotestował z niepokojem. – Należysz do innego mężczyzny, żyjesz w świecie, który jest przeciwieństwem mojego. Nie mamy ze sobą nic wspólnego, jesteśmy różni jak noc i dzień.

– Noc i dzień się dopełniają, jedno i drugie jest potrzebne, jedno nie może istnieć bez drugiego, nie rozumiesz? Ja cię potrzebuję, a ty nie zdołasz się mnie pozbyć... Nigdy.

Jurij zamknął oczy. Trudno mu było walczyć z uczuciami, do których nie mógł i nie powinien się przyznawać. Ona wyczuła tę słabość i ją wykorzystała.

– Nie zostawiaj mnie, Jurij... Jesteś dla mnie wszystkim...

Jej błagalny ton pozbawił mężczyznę resztek sił. Poczuł, że puls gwałtownie mu przyspieszył, jakby ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Otworzył oczy, a jego głos był zaledwie cichym szeptem, który wymknął się z jego ust.

– Daj spokój, Claudio, proszę, daj spokój...

Ona wytrzymała jego spojrzenie.

– Nie zrezygnuję z ciebie, Jurij. Nie mogę.

Stali bez ruchu naprzeciwko siebie, ciało obok ciała, rozpaleni. Jurij czuł nieprzemienne pragnienie pocałowania jej, które rywalizowało z wewnętrznym głosem, który krzyczał, by tego nie robił, żeby uciekał, że jeszcze zdąży wyrzucić tę kotwicę, która w nieunikniony sposób ciągnęła go do głębokiej przepaści, z której trudno mu będzie się wydostać.

Ale syreni śpiew zdążył już zagościć w jego głowie, a Claudia zbliżyła wargi. Jak tylko jej pełne usta musnęły jego, w jego wnętrzu eksplodowała namiętność. Zamknął oczy, jakby chciał zgasić światło swojego sumienia. Ich języki się splotły, oddechy przyspieszyły w nierównym tempie, ciała zderzały się, próbując się odnaleźć, szukając się z szaleńczym pragnieniem. Znaleźli się na podłodze, ale kiedy położył się na niej, spojrzał na nią i zamarł. Przez kilka długich sekund przyglądali się sobie, jak w scenie zamrożonej w czasie. Poruszały się tylko ich piersi w rytmie przyspieszonych oddechów. Jurij usiadł obok niej i ukrył twarz w dłoniach, a potem wygładził zmierzwione włosy.

– Przepraszam... Przepraszam, Claudio, nie powinienem...
Przepraszam...

Zerwał się z podłogi. Ona leżała na puszystym wełnianym dywanie. Spoglądała na niego z osłupieniem i desperacją, oszołomiona, nie rozumiejąc, co się właściwie stało. Jurij patrzył na nią z fascynacją. Była taka piękna... Lekko zadarta spódnica odsłaniająca część ud, rozpięta bluzka – piersi, zmierzwione włosy. Wyciągnął do niej rękę, ale wstała bez jego pomocy. Pozapinała się, nie patrząc na niego. Poprawiła spódnicę, pasek do pończoch i pończochy, wygładziła włosy. Jej twarz wyrażała sprzeciw, niezrozumienie, wściekłość.

– Nie zamierzam odpuścić, Jurij. Nie zamierzam cię stracić. Przysięgam, że będę o ciebie walczyć wszystkimi dostępnymi sposobami.

– Nie rób tego, Claudio. To, co nas łączyło, było zbyt piękne, żeby zniszczyć wspomnienia czymś, o czym oboje wiemy, że jest rzeczą

niemożliwą. Próbuje robić to, o co mnie prosiłaś: zapomnieć o tym, co między nami było... Zapomnij o mnie, Claudio... Musisz to zrobić.

Ona wyciągnęła rękę i z uśmiechem pogłaskała go po policzku.

– Prosisz mnie o to, żebym przestała oddychać, a to oznacza śmierć. Nie rozumiesz?

– Odsuń się od nas... Daj nam spokojnie żyć.

Claudia się nie odezwała, spojrzała na niego przeciągle, z uśmiechem na ustach. W końcu otworzyła drzwi, wyszła na klatkę i na chwilę przystanęła. Czuła, jak za jej plecami drzwi powoli się zamykają. Po kilku sekundach wzięła głęboki oddech i ruszyła po schodach na pierwsze piętro.

Jurij stał, ściskając futrynę, i starał się uspokoić. Serce biło mu szybciej. Podniecenie zaprowadziło go do łazienki; przemył twarz zimną wodą. Widząc swoje odbicie w lustrze, pokręcił głową, wyrzucając sobie, że nie przerwał tego wcześniej. Z mokrą twarzą podszedł do fotela i opadł na niego przytłoczony.

Claudia w tym czasie dotarła na piętro Rothmanów. Wcisnęła dzwonek i czekała. Drzwi otworzyła sama Ernestine, która zasypała ją komplementami i pochlebstwami; Claudia praktycznie nie zwróciła na nią uwagi. Akurat w tej chwili zjawił się Oskar Urlacher, narzeczony gospodyni, w towarzystwie innych funkcjonariuszy SS, z którymi mężczyzna znał się od czasów szkolnych. Franz spoglądał na nich z zazdrością: pospolity brunatny mundur SA nie mógł się równać z szytym na miarę, eleganckim czarnym mundurem o nieskazitelnym kroju, jakie nosili funkcjonariusze SS. Jego celem było dostanie się do Schutzstaffel. Wspomniał już o tym swojemu szwagrowi Ulrichowi, ale ten poprosił go o cierpliwość.

Claudia weszła do salonu, w którym przebywali wszyscy goście, i posłała złośliwe spojrzenie Kriście. Nic nie mogła na to poradzić: czuła do niej irracjonalną złość. Jedyłą winą tej dziewczyny było to, że się zakochała. Krista zauważyła wyraźne oziębienie stosunków od dnia, kiedy Claudia zawiozła ją do Charité, i domyślała się, że jest zazdrosna

o jej związek z Jurijem; nie przejmowała się tym, ale nie miała wyjścia i musiała zgodzić się ze złymi opiniami na jej temat i na temat jej manier. Posłała jej uśmiech, a Claudia go odwzajemniła, upajając się smakiem warg Jurija na swoich.

Goście pozajmowali miejsca w fotelach i na krzesłach stojących dookoła stołu na środku pokoju, na którym gospodyni postawiła olbrzymią tacę z ciastkami z nadzieniem i drugą z biszkoptem z siekaną pomarańczą, i dla każdego po filiżance kawy. Piskliwym i, zdaniem Claudii, nieco za głośnym tonem Ernestine opowiadała, że ostatnio zauważyli braki w spółdzielni, w której zaopatrywała się w cukier i mąkę do swojej cukierni (wszystko już uważała za swoje: sklep, dom wraz z całym dobytkiem, jakby jej rodzice zniknęli, wyparowali, zmarli, a ona wszystko odziedziczyła), i że ceny są coraz wyższe.

– Okazuje się, że znakomita większość sprzedawców cukru i mąki to Żydzi – wyjaśniła, nalewając kawę. – To oni decydują o cenie. Zależy im tylko na własnym bogaceniu, nie myślą o dobru niemieckiego społeczeństwa. To oburzające.

– Zajmiemy się tym, nie musisz się martwić, Ernestine – zapewnił Franz. Ona spojrzała na niego z sympatią; samo to, że się do niej zwrócił, sprawiło, że poczuła się ważna. – Skończymy z całą tą nieznośną sytuacją i cukier, i mąka na wszystkie twoje ciasta znów wrócą na wolny rynek, uwolnione z brudnych żydowskich rąk.

Oskar, narzeczony pani domu, wtrącił dźwięcznie:

– Nie chodzi tylko o cukier, o wiele gorsze jest to, że w niepożądanych rękach pozostaje prasa i że pozwala się lżyć naszego Führera i szkalować naszą ojczyznę, i nikt z tym nic nie robi. Niedługo uda nam się cały ten margines, który judzi i sieje nienawiść wśród obywateli, na zawsze usunąć z naszego społeczeństwa. W tym kraju powinno się czytać tylko wspaniałe dzieło naszego Führera – dodał Sturmscharführer SS, który wyglądał na starszego. – Gdyby każdy porządny Niemiec przeczytał Mein Kampf, wiodłoby się nam o wiele lepiej.

– Ty przeczytałaś, Krista? – spytała Claudia z oczywistym zamiarem wsypania jej.

– Nie, nie miałam czasu – odpowiedziała swobodnie. – Jestem bardzo zajęta.

– Trzeba to zmienić, Fräulein Metzger – odparł Sturmscharführer. – Każdy szanujący się Niemiec powinien przeczytać ten skarb.

– Chyba nie ma pan na myśli stylu? – Krista nie była w stanie tego zmilczeć. – Bardzo czytani ludzie, z których opinią się liczę, ocenili, że jest fatalny.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na niej.

– Treści są zdecydowanie doskonalsze niż styl – przyznał podporucznik.

– Nie zaprzeczy pan, że nasz język zasługuje na najlepsze traktowanie, zwłaszcza przez kogoś, kto chce być przywódcą kraju takiego jak Niemcy.

Ponure miny zgromadzonych zaniepokoiły Kristę.

– Może więc, Fräulein Metzger, przedstawi nam pani powód, który doprowadził panią do takiego wniosku – odezwał się Oskar. Jego niegrzeczny ton miał ją onieśmielić. – Z chęcią wysłuchałbym pani opinii.

Krista powiedziała za dużo w obecności nieznanym ludzi. Ci mężczyźni mogli jej zrobić krzywdę, jeśli nie będzie działać ostrożnie. Postanowiła się wycofać.

– Na pewno nie mogę wyrazić opinii – powiedziała ze smutkiem, bo poczuła się jak tchórz. – Jak wspomniałam, nie miałam okazji przeczytać tej książki.

– A powinna pani – powtórzył butnie funkcjonariusz SS, przekonany, że ją złamali. – Zamiast dawać posłuch kłamstwom i pogłoskom wypuszczanym tylko po to, żeby zaszkodzić naszemu Führerowi, wielkiemu człowiekowi, czystemu i autentycznemu, naszemu wodzowi.

– Ideałowi, którego Bóg zesłał, żeby wybawić Niemcy – wtrąciła nedorzecznie Ernestine. – Dlatego trzeba go kochać. Dzięki naszemu Führerowi przyszłość w końcu jest w naszych rękach...

– Powinna pani staranniej dobierać sobie towarzystwo i uważać, czyich opinii słucha – przerwał Oskar, niezadowolony, że w centrum uwagi znalazła się jego narzeczona. – Jest pani aryjką, bardzo cenną dla naszej ojczyzny, nie powinna się pani kalać brudem wrogów narodu.

– Będę musiała znaleźć czas, żeby przeczytać książkę i samodzielnie wyrobić sobie opinię – oznajmiła Krista, czując w ustach gorzką ślinę.

Franz przyglądał się jej z zachwytem. Ta kobieta go oczarowała; szalenie pociągał go ten jej dziki, wolny charakter, był przekonany, że on byłby w stanie go złamać i sobie podporządkować. Postanowił sobie, że ją zdobędzie. Choć będzie musiał się wysilić.

– Fräulein Metzger, rozumiem, że ten zagraniczny lokator pani matki zaleca się do pani?

Krista spojrzała na Franza, nie skrywając skrępowania z powodu tego pytania.

– Zaczynam się czuć jak na przesłuchaniu – odpowiedziała z sardonicznym uśmiechem, odstawiając filiżankę na stół. – Pan wybaczy, Herr Kahler, ale nie sądzę, żebym musiała tłumaczyć się przed panem, z kim się zadaję. – Obrzuciła wszystkich wyzywającym spojrzeniem. – Żyjemy w wolnym kraju, prawda?

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi, bo rozległ się dźwięk dzwonka.

– Nie wiem, kto to może być. – Ernestine wstała. – Nikogo więcej się nie spodziewam.

W progu stał Jurij, chciał się widzieć z Kristą. Usłyszała jego głos z pokoju i wybiegła na korytarz.

– Krista, dzwoniła Nicole. Chodzi o Fritza.

Nicole była strzępkiem nerwów. Roztrzęsiona, bliska płaczu, wyjaśniła im, co zaszło.

– Zadzwoił do mnie kolega Fritza. Po południu ze dwudziestu mężczyzn wpadło do redakcji, brutalnie, i wszystkich zatrzymano. Jemu udało się uciec przez okno, ale obawia się o życie. Boję się, Jurij.

Powiedział, że pobili Fritza, że zabrali go zmalretowanego... Nie wiem, dokąd iść, co robić. – Rozpłakała się.

Krista ją objęła i próbowała pocieszyć, choć wiedziała, że na taką niepewność nie ma pociechy. Zaprowadziła ją do fotela i obie usiadły. Nicole położyła dłonie na brzuchu, już nieco wypukłym, jakby chciała chronić dziecko przed tą ponurą tragedią. Krista podała jej chusteczkę, żeby wytarła łzy.

Jurij, stojący na środku pokoju z jedną ręką w kieszeni, drugą na szyi, przyglądał się im, zamyślony, sparaliżowany, nie wiedząc, co robić. Myślał nad jakimś rozwiązaniem, nad tym, co robić, co powiedzieć. Z doświadczenia wiedział, że trudno zlokalizować zatrzymanego, tym bardziej jeśli aresztowania dokonało gestapo, a na to w tym przypadku wyglądało. Pomyślał o Villanuevie. Tylko on mógł mu pomóc.

Podszedł do telefonu i wykręcił jego numer, ale mimo kilku prób nikt nie odbierał.

– Pojadę do niego – oznajmił, odkładając słuchawkę. Odwrócił się do Kristy. – Zostań z nią.

Jurij jechał swoim fordem przez gwarne ulice Berlina do mieszkania Villanuevy przy Tiergartenstrasse. Był piątek i wiedział, że piątkowe popołudnia Erich na ogół spędzał w domu. Był zdenerwowany i bardzo zmartwiony; zawsze bał się tej chwili; aresztowanie Fritza od miesięcy nie było tylko odległym zagrożeniem, choć jakoś chronił się przed tym ciosem. Kiedy ciąża Nicole się potwierdziła, Fritz podjął w końcu decyzję o wyjeździe do Ameryki na początku sierpnia. Zamierzał osiąść w Waszyngtonie, rodzinnym mieście żony, z myślą, że walkę z nazizmem i wprowadzaną przez Hitlera polityką należy także toczyć za granicą. Zostały mu niecałe dwa miesiące pobytu w Berlinie. Ponieważ był mężem Amerykanki, nie miałby problemów z wjazdem do kraju, w którym pod koniec roku miało się urodzić jego pierwsze dziecko. Te plany, z których zostały tylko gruzy, krążyły w niespokojnym umyśle Jurija, kiedy dotarł do celu. Zaparkował pod samą bramą. Portier wspierał się o zawias okazałych drzwi. Zdziwił się na jego widok

i wyprostował się, jakby jego obecność, oprócz tego, że niespodziewana, była też niepożądana.

– Czy Herr Villanueva jest w domu? – spytał Jurij pospiesznie. – Muszę się z nim pilnie zobaczyć.

Portier, zakłopotany, mamrotał niepewnie:

– Tak... Owszem... Herr Villanueva jest w domu... ale... nie wiem, czy...

Jurij już go nie słuchał, zdążył już wpaść na klatkę, zignorował windę i zaczął wbiegać po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, aż z łomoczącym sercem dotarł na drugie piętro. Troska o los przyjaciela ciążyła mu na sumieniu niczym nagrobna płyta. Powinienem był go zmusić do wyjazdu z kraju dużo wcześniej, mówił sobie z powstrzymywaną wściekłością. Natarczywie zaczął dobijać się do drzwi, wciskając dzwonek i pukając jednocześnie, nagłaco. Przypuszczał, że Villanueva może spędzać czas w towarzystwie kobiety, którejś z przyjaciółek bywających z nim na przyjęciach i imprezach, zawsze młodych, zjawiskowo pięknych; nie wiedział, jak je sobie zjednuje (nigdy nie chciał mu zdradzić swojego sekretu), że takie kobiety chciały mu wisieć na ramieniu, pozwalając mu się nimi obnosić niczym z trofeum.

Gdy drzwi się otworzyły, Jurij pchnął je bez skrępowań i wpadł na korytarz, stając twarzą w twarz z Villanuewą, zdeorientowanym, bosym, ubranym w szlafrok z bordowego jedwabiu, rozwiązany, spod którego wystawała naga pierś i białe slipy, które miał na sobie. Przeczesał ręką zmierzwione włosy, jakby właśnie wstał z łóżka.

– Co się stało? – spytał nadąsanym tonem, którym Jurij w ogóle się nie przejął.

– Erich, potrzebuję pana pomocy. – Było słyhać, że jest zdenerwowany, mówił szybko. – Chodzi o mojego przyjaciela Fritza, dziennikarza. Zatrzymało go gestapo i jeżeli szybko czegoś nie zrobimy, obawiam się, że stanie się coś nieodwracalnego.

– A co, do cholery, ja mogę według ciebie zrobić? – Był oszołomiony i jeszcze bardziej rozżłoszczony.

– Zna pan prawnika – nie dawał za wygraną Jurij. – Kiedyś mi pan wspomniał, że zdołał pan uwolnić kilku socjalistycznych polityków.

– Twój przyjaciel Fritz nie jest politykiem socjalistą.

– Erich, mam tylko pana. Nie wiem, do kogo się zwrócić. Proszę, niech mi pan da jakiś kontakt...

Zamilkł, bo w tej chwili rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Obaj skierowali wzrok na ciągnący się od przestronnej sieni korytarz; Jurij spojrzał ponad ramieniem Villanuevy, a ten odwrócił głowę w tę samą stronę. Na korytarzu, na palcach, niczym uciekające z kryjówki dziecko, przemykał zaledwie dwudziestoletni chłopak, całkiem nagi, bardzo jasny blondyn, o jasnej karnacji i zupełnie niewinnym wyglądzie, szczupły i muskularny. Kiedy się zorientował, że na niego patrzą, zatrzymał się na kilka sekund, jedną dłonią zakrył członek, a później rozchylił cienkie wargi w porozumiewawczym uśmiechu i uniósł drugą dłoń, pomachał nią żartobliwie i frywolnie, po czym zniknął w jednym z pokoiów.

Jurij patrzył na Villanuewę, którego wzrok nadal utkwiony był w pustym już korytarzu, aż w końcu spojrzał Jurijowi w oczy z przeciągłym, głębokim westchnieniem, jakby pozbywał się skrywanego balastu. Z poważną miną wskazał drzwi do gabinetu.

– Lepiej wejdz. – Złożył na siebie poły szlafroka i przewiązał go w pasie. – Jestem ci winien wyjaśnienie.

– Nie musi pan nic wyjaśniać. Ta kwestia mnie nie dotyczy – odparł Jurij, zakłopotany.

– Ale chcę to zrobić. Pora, żebyś się dowiedział, jaki naprawdę jestem.

Wolnym krokiem, jakby nie nagliła ich żadna pilna sprawa, która utknęła w dziwnej pajęczynie zamieszania, weszli do przestronnego gabinetu. Gospodarz zamknął drzwi i poprosił Jurija, żeby usiadł na jednym z krzeseł przed biurkiem.

Podszedł do antycznego drewnianego barku, napełnił dwie szklanki absyntem i przyniósł po jednej w każdej dłoni. Gdy Jurij wypił łyk; skrzywił się, czując pierwszy smak mocnego alkoholu. Villanueva odstawił swoją szklankę na stół, nawet nie próbując alkoholu, jakby

chciał zachować świeży umysł. Później zajął miejsce w drugim solidnym fotelu tak, że siedzieli twarzą w twarz. Jurij miał przed sobą jego nagie nogi, kościste kolana, pokryte jasnymi włoskami. Mężczyzna miał bose stopy głęboko zanurzone w puszystym dywanie, jakby dotyk wełny sprawiał mu przyjemność. Santacruz nigdy wcześniej nie widział go takiego.

Villanueva przyznał mu się do homoseksualizmu, który czuł od młodości i który usiłował zagłuszyć do tego stopnia, że wziął nawet ślub, bojąc się, że inaczej prawda wyjdzie na jaw.

– Przez pierwsze lata małżeństwa miałem wrażenie, że w mojej głowie się uspokoiło, wydawało mi się, że życie mam uporządkowane w pozornie normalnej rodzinie. Ale urodził się syn i w sposób nieunikniony oddaliliśmy się z żoną od siebie, łączyło nas tak niewiele... Zacząłem bywać w lokalach, gdzie pojawiali się mężczyźni tacy jak ja... – Rozłożył ręce i zaczął gestykulować dłońmi w powietrzu, jakby szukał odpowiednich słów. – Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... To pragnienie było niepohamowane, jakaś część mnie odrzucała moje preferencje seksualne, ale inna, silniejsza, buntowała się przeciwko temu zaprzeczeniu rzeczywistości, moim prawdziwym uczuciom. Podobają mi się faceci, Jurij – wyznał, jakby odczytywał wyrok. – Oczywiście, nie wszyscy – sprostował. – Tak jak tobie podobają się kobiety, ale nie każdą zabrałbyś do łóżka. Miłość jest nieprzewidywalna. Doszedłem do wniosku, że tak już jest, a jeśli z tym walczysz, to walczysz z własną naturą.

Jurij przyglądał się mu w skupieniu. Ciekawość zdołała stłumić niepokój, który go tu przywiódł. Villanueva domagał się prawa do wyjaśnienia i czuł się w obowiązku to zrobić, a on pragnął zrozumieć, co znajduje się za fasadą, którą zbudował ten człowiek, którego podziwiał i traktował niemal jak swojego dobroczyńcę.

– Z czasem odnowiłem więź z mężczyzną, którego zostawiłem po to, żeby się ożenić, a którego nigdy nie przestałem kochać – ciągnął Villanueva łagodnym tonem. – Wszystko układało się w miarę dobrze;

prowadziłem podwójne życie: dla świata żona, dziecko, rodzina. W skrytości miłość, prawdziwa miłość... Ale coś poszło nie tak, popełniliśmy błąd, poczuliśmy się zbyt pewnie i moja żona nas odkryła. Najgorsze ze wszystkiego było to, że powiedziała o tym mojemu synowi. – Siedział ze spuszczoną głową, a gdy ją podniosł, Jurij wzdrygnął się na widok grymasu goryczy na twarzy swojego przełożonego. – Nie masz pojęcia, jak mi było wstyd, jak podle się poczułem... Pamiętam wzrok mojego syna... Nigdy nie będę w stanie zapomnieć jego odrazy, tego obrzydzenia wobec mnie, jakby stał naprzeciwko trędowatego pokrytego ranami i krostami. Był mały i nie rozumiał, co się dzieje, ale ona zwróciła go przeciwko mnie w bezlitosnej zemście. – Znow przykleił brodę do piersi i przez kilka sekund siedział w milczeniu; okiełznał emocje i mówił dalej: – Moja żona złożyła mi propozycję, dokładniej mówiąc, był to szantaż, który mój syn bez kwestionowania zaakceptował, gdy podrósł. W zamian za milczenie, żeby uniknąć skandalu, rozwiedliśmy się w pokojowy sposób, a oni wyjechali z Berlina, żeby ode mnie uciec i nie musieć mnie widywać. Od tamtej pory mieszkają w Hamburgu, to już wiesz, w domu, który im opłacam, do tego dochodzi kwota na utrzymanie, którą co miesiąc punktualnie płacę. – Nagle roześmiał się nieszczerym śmiechem. – Najbardziej bolesne jest to, że moja żona od pięciu lat mieszka z innym mężczyzną w domu, za który płacę ja, i żyje wystawnie za pieniądze, które jej przekazuję.

– A tamten mężczyzna? – Jurij usłyszał swój głos i się zarumienił, jakby niechcący wymknęła mu się myśl z półotwartych ust.

– Zmarł... – Głos Villanuevy nabrał głębi. – Odebrał sobie życie... Nie mógł znieść presji... Nie mógł... To cena tego, jaki jestem, mojego „odrażającego, brudnego defektu”, jak nazwała to moja żona. Gdybym ją zdradził z setką kobiet, nie zabolałoby jej tak, ale to... Nie mogła tego znieść, jak twierdziła... i nadal twierdzi, choć nie widziałem jej ponad dziesięć lat; jeśli do mnie dzwoni, to tylko dlatego, że coś ode mnie chce, i zawsze kończy, sącząc ten sam jad: że jestem odrażający, zboczony, zepsuty.

Jurij usiłował przyswoić to, czego się dowiedział. Nigdy nie podejrzewał o to Ericha Villanuevy, stąd jego zaskoczenie.

– Ja... – wymamrotał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. – Bardzo mi przykro... – Zapadła między nimi pełna zrozumienia cisza. Jurij wyciągnął rękę i machnął nią w powietrzu z zadumą. – Pomyślał pan, że ten skandal odbiłby się też na nich?

– W Niemczech homoseksualizm to przestępstwo, za które grozi więzienie i utrata praw obywatelskich. Zawsze tak było, choć w większości przypadków przymykano oko, pod warunkiem że człowiek się z tym zbytnio nie obnosił. Ale odkąd rządzi banda tych czarnych wron, mój homoseksualizm nie tylko byłby przestępstwem, ale mógłbym go przypłacić życiem. Oni nie są tylko przeciwko Żydom czy komunistom; homoseksualiści też mieszczą się w nazistowskim worku śmieci. Nie chcą splamionego ideału męskości aryjskiego mężczyzny. Tyle w tym hipokryzji... Zdziwiłbyś się, kto w tym siedzi... Wielu z nich to ci sami, którzy później brutalnie nas tępią... Co za paradoks. – Zamilkł na chwilę z ponurą miną. – Mój syn wstąpił do SS; latem dostałem list własnoręcznie przez niego napisany, w którym domagał się opłaty wyłącznie dla siebie. Oczywiście się zgodziłem i płacę mu prawie dwa razy tyle, co jego matce. Zagrożenie jest teraz bardziej realne niż przed rokiem. – Roześmiał się posepnie. – Trafili mi się bardzo wyrachowani.

– Utrzymywanie takiej sytuacji przez długi czas bardzo źle o nich świadczy.

– Prawdę mówiąc, oboje niewiele mnie obchodzą. Gdybym minął się z synem, nawet bym go nie rozpoznał – przyznał z makiaweliczną miną. – Myślą, że wszystko, co im płacę, pochodzi z mojej pensji z ambasady i sporadycznych interesów, które czasami się nadarzą; dlatego mnie przyciskają, ale nie duszą. Nie wiedzą, że kwoty, które im płacę, to jałmużna w stosunku do tego, czego mogliby ode mnie żądać... Ech, gdyby wiedzieli! – Uniósł brwi i po raz pierwszy okazał lekką radość. – Dzięki temu rodzinnemu szantażowi i z powodu przemożnej potrzeby znalezienia dodatkowych źródeł dochodu poznałem Volkera i wszedłem

w interesy, które przyniosły mi dużo pieniędzy, z których, mogę cię zapewnić, nie zobaczą ani jednej marki. Jestem bogaty, a mając pieniądze, mój drogi Juriju, można prawie wszystko, nawet jeśli się ma rodzinę sępów.

Wziął szklanekę z absyntem i wypił do dna. Przez kilka sekund upajał się smakiem, jakby alkohol oczyścił jego sumienie.

– Aż takie dochodowe są te podróże do Szwecji? – spytał Jurij, nie mogąc uwierzyć.

Villanueva parsknął śmiechem.

– To tylko jeden z interesów, który rozwinął się ostatnio. Może kiedyś opowiem ci o wszystkim, czym się zajmuję. Byłbyś zaskoczony, choć nie wiem, czy mile. Ale domyślam się, że teraz ważniejsze są losy twojego przyjaciela.

– Pomoże mi pan w sprawie Fritza?

– Dziennikarze, którzy, jak twój przyjaciel, ośmielają się mówić prawdę w kraju, w którym zakazana, karana i prześladowana jest wolność słowa, nie są bohaterami, lecz raczej samobójcami. Nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakim jest stryczek, aż w końcu węzeł zaciska się im na szyi i już nie mogą oddychać.

Villanueva siedział nieruchomo w swoim gabinecie, zamyślony. Miał do Jurija pełne zaufanie i bardzo go polubił; był lojalny, dyskretny i zachował swoje ideały, dlatego nigdy nie powiedziała mu całej prawdy o niektórych swoich interesach, tych najbrudniejszych, najbardziej żalonych, kryjących się pod ostentacyjnym luksusem, kawiolem, światłami, muzyką, perfumami i etykietą. Wykorzystywanie najniższych instynktów i perwersji bez zahamowań zapewniało mu wielkie dochody, choć musiał zatykać nos, żeby chronić się przed bijącym od tego smrodem. Był przekonany, że Jurij zrozumiał i przyjął do wiadomości jego słabość, jego ułomność, jego wadę, krótko mówiąc, jego uczucia, ale nigdy nie przyznałby się mu do najbrudniejszej części swoich interesów, powtórzył w myślach, bo nie było to coś, czym mógłby się chwalić.

Od tej strony znał go tylko Volker Finckenstein. Wiele zawdzięczał temu człowiekowi.

Erich Villanueva poznał go pod koniec 1922 roku, kilka miesięcy po rozwodzie. Galopująca dewaluacja niemieckiej marki wpędziła go w poważne finansowe tarapaty, jak większość Niemców, których pieniądze nadawały się jedynie na podpałkę. Ci w najgorszym położeniu zaczęli inwestować w akcje, bo jedynie dzięki nim można było uciec przed galopującą inflacją. Niemcy z rozmaitych środowisk z dnia na dzień zostali akcjonariuszami. Zarabiali ogromne sumy w bardzo krótkim czasie i w ten sam sposób mogli je stracić – w ciągu kilku minut. Ale ci, którzy trafili z inwestycją, stawali się milionerami. Niektórzy umieli utrzymać i chronić swój majątek, choć wielu nowych bogaczy – głównie młodych żółtodziobów bez wizji na przyszłość – rzuciło się do wydawania tego, co zarobili bez najmniejszego wysiłku. Zaczęto wydawać pieniądze bez żadnych zahamowań. Berlin stał się podatnym gruntem dla hedonizmu i dzikich zabaw; w dodatku starano się żyć terażniejszością, nie myśląc o tak niepewnej przyszłości. Ludzie chcieli wychodzić, tańczyć, korzystać z życia, więc w mieście namnożyło się barów, klubów, kasyn, kawiarni, sal tanecznych, kabaretów dla mężczyzn, kobiet i transwestytów, jak słynnych pięć lokali Eldorado, w których bywały najznamienitsze osobistości, od dowódcy SA Ernsta Röhma po Marlene Dietrich. Wszystko było dopuszczalne, wszystko było interesem, interesem ulotnej przyjemności. Żyło się zgodnie z powiedzeniem „żyj i pozwól żyć”. Wspomnienie wojny z całym cierpieniem i stratami, jakie spowodowała, trudna sytuacja gospodarcza, społeczna i polityczna kolejnych lat spotęgowała w ludziach wrażenie niepewnej terażniejszości, w której życie znaczy niewiele lub nic. Villanueva zaliczał się do tych, którzy szybko zarobili na giełdzie, ale bał się, że straci pieniądze, więc szukał pewniejszej formy na zainwestowanie zgromadzonego na rachunku bankowym kapitału. To

wtedy na jego drodze stanął Volker Finckenstein. Villanuevie ten mężczyzna, nieco od niego młodszy, elegancki, z wielką klasą i ogładą większą, niż miał on sam, od razu przypadł do gustu. Znał kilka języków i miał wyjątkowy urok. Pochodził ze Szwajcarii, ale od niedawna mieszkał w Berlinie. Wywodził się z majątnej genewskiej rodziny. Nie ukrywał przed Villanuewą niczego i od razu postawił sprawę jasno: wskutek poważnych scysji z ojcem został wykluczony z rodzinnej firmy i został bez pracy, bez pieniędzy, za to miał wiele pomysłów, które chciał zrealizować w tym świecie możliwości, jaki otworzył się w Niemczech. Dostał propozycję przejęcia jednego z najbardziej prestiżowych i słynnych kabaretów w mieście, ale nie miał kapitału. Miał go za to Villanueva. Zaproponował, że umożliwi mu kupno interesu. Przez pierwszy rok miał tylko pokrywać koszty jego utrzymania, a jeśli wszystko by wypaliło tak, jak przewidywał, zostałby współnikiem równoprawnym pod względem wydatków i zarobków. Villanueva się zgodził, ale postawił kategoriyczny warunek: dla opinii publicznej, dla świata, jedynym właścicielem wszystkiego, co otworzą, będzie Volker Finckenstein. On sam miał nie być wymieniany jako właściciel lokali, nawet w oficjalnych rejestrach. Zawarli między sobą prywatną umowę, opartą na wzajemnej lojalności i uczciwości. Volker również postawił mu warunek: od czasu do czasu będzie potrzebował przewieźć dokumenty z Niemiec do Szwajcarii; jeśli Villanueva mu pomoże, ukrywając je w walizce dyplomatycznej, zarobi niezłą sumkę, ale: żadnych pytań. Erich Villanueva się zgodził i mężczyźni uścisnęli sobie dłoń, przypieczętowując umowę. W ten sposób rozpoczęła się ścisła i owocna współpraca biznesowa i osobista.

Spółka działała tak prężnie, że w ciągu dwóch lat otworzyli trzy kolejne kabarety, dwie kawiarnie i restaurację w najlepszych dzielnicach miasta. Okazało się, że Volker ma dryg do inwestycji, wiedział, w jakich polach się poruszać, a jakich unikać; miał takie wyczucie giełdy, że sprzedał wszystkie swoje akcje sześć miesięcy przed krachem na Wall Street w październiku 1929 roku, chroniąc siebie i Villanuewę przed

katastrofą i ruiną. Ich interesy, jako jedne z niewielu w Niemczech, nie poniosły strat; wręcz przeciwnie, rozwijały się i przynosiły obu coraz większe zyski. Do prowadzenia księgowości zatrudnili Benjamina Neumana, Węgra żydowskiego pochodzenia mieszkającego w Berlinie, bystrego, lojalnego i dyskretnego. Trzy lata wcześniej załatwili mu niewielką zmianę nazwiska, zgodnie z propozycją Volkera, przewidującego problemy, jakich przybierający na sile narodowy socjalizm mógł przysporzyć Żydom w przypadku dojścia do władzy. Zrobiono z niego Benjamina Newmana, a z oficjalnych rejestrów zniknęli wszyscy jego żydowscy przodkowie. Wszyscy trzej stanowili zgrany zespół. O tym wszystkim myślał Villanueva, kiedy drzwi się otworzyły i do środka, z szerokim uśmiechem, zajrzał blondyn, który wcześniej przechodził przez korytarz.

– Tęsknię za tobą... Przyjdiesz?

Villanueva uśmiechnął się i wstał.

Martin Ritter miał biuro przy Wilhelmstrasse, niedaleko Kancelarii Trzeciej Rzeszy, oddalone zaledwie pięć minut samochodem od mieszkania Villanuevy. Od dwóch lat należał do partii nazistowskiej i miał przyjaciół wśród wysoko postawionych osób, liczących się w kręgach Hitlera. Z pozoru bezkrytycznie popierał politykę Führera, ale przede wszystkim był adwokatem i zamierzał wykonywać swój zawód, choć jego obrona w niektórych sprawach obierała kierunek, który niezbyt podobał się na pewnych partyjnych szczeblach, doszło nawet do tego, że dostał kilka poważnych ostrzeżeń. Jednak Ritter rościł sobie prawo do wykonywania swojego zawodu, a jako adwokat musiał występować w obronie klientów, którzy płacili mu za to sowite honoraria. Udało mu się doprowadzić do uwolnienia połowy setki socjalistów aresztowanych w pierwszych miesiącach po tym, jak Kancelarię zajął Hitler; niektórzy nie przetrwali złych warunków, w jakich wracali na wolność, większość zdecydowała się na emigrację.

W gruncie rzeczy poparcie Martina Rittera dla narodowego socjalizmu i jego głębokie rozczarowanie niewłaściwym kierunkiem, w jakim zmierzała szalona polityka Führera i jego rządu, tak naprawdę skłaniały go do tego, żeby nadal starać się ratować niewinnych, którzy dostawali się do niszczycielskiej maszyny, w jaką zamienił się nazizm. Od jakiegoś czasu chodziła mu po głowie myśl o wyjeździe z kraju, o tym, żeby zniknąć na trochę i poczekać, aż sytuacja się uspokoi, ale za każdym razem, gdy to rozważał, ze szponów zła trzeba było ratować kolejną ofiarę.

I właśnie to przyniosła mu wizyta Jurija Santacruza. Adwokat przyglądał się mu, siedząc za masywnym mahoniowym biurkiem. Jedynym oświetleniem była stojąca na biurku lampa, dlatego większą część pomieszczenia spowijał lekki półmrok.

Ritter był drobny, prawie łysy, miał spojrzenie kruka zza szkieł okularów w ciemnej rogowej oprawie, które sztucznie powiększały jego małe i bardzo szare oczy; miał jasną karnację i był tak chudy, że wydawało się, że węzeł krawatu tańczy wokół jego szyi. Mówił, marszcząc czoło, skrzepowany, pozbawiony serdeczności.

– Uprzedzam, że przyjmuję pana tylko ze względu na szacunek wobec Villanuevy. Nie jest to odpowiednia pora ani chwila. Słucham. – Odchylił się i położył kark na oparciu fotela.

Jurij siedział na krawędzi krzesła.

– Dziękuję, Herr Ritter – powiedział, a później ze szczegółami opowiedział o przyczynie, która go tu przywiodła.

– Słyszałem o tym Siegelu, przekroczył zbyt wiele czerwonych linii, Herr Santacruz. Trzeba wiedzieć, kiedy się zatrzymać i dokąd można się posunąć.

– Fritz Siegel jest dziennikarzem. Jego obowiązkiem jest informowanie w sposób rzetelny, i zawsze to robił.

– Myśli pan, że ludzi obchodzi prawda?

– Powinna.

Adwokat przyglądał mu się badawczo przez kilka sekund. Pokręcił głową i przemówił stanowczym tonem:

– Przykro mi, nie mogę panu pomóc. To poza moim zasięgiem.

– Villanueva mi powiedział...

– Nie obchodzi mnie, co powiedział panu Villanueva. Nie mogę nic zrobić dla pańskiego przyjaciela; mało tego, nikt nie może nic dla niego zrobić. Fritz Siegel doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że trzyma palec na spuście, i sam go nacisnął. To koniec.

– Zapłacę każdą kwotę – nalegał Jurij. – Ile będzie trzeba.

– Przykro mi. Nie ma ceny, która pokryłaby ryzyko, na jakie bym się naraził.

– Proszę podać cenę... Proszę podać jakąkolwiek cenę, zapłacę, ale niech mi pan pomoże uwolnić Fritza Siegela.

Prawnik zacisnął wargi i uniósł dłoń do ust, jakby chciał ukryć zamyślenie widoczne na jego twarzy. W końcu wziął kartkę i zapisał na niej liczbę. Było słychać draśnięcia pióra na papierze. Później dwoma palcami przesunął go po blacie biurka, aż znalazł się w zasięgu wzroku Jurija, który przeniósł spojrzenie z Rittera na kartkę. Adwokat ani na chwilę nie wypuścił zapisanej kartki, a Jurij jej nie dotknął. Liczba była bardzo wysoka, pięćset marek.

– Zapłacę panu, jeśli uwolni pan mojego przyjaciela.

Prawnik pokręcił głową i cofnął kartkę, przesuając ją do siebie. Zakrył ją dłonią.

– Nie zobowiązuję się do zadowalającego pana rezultatu. Tą sumą opłaci pan dochodzenie, żeby dowiedzieć się, gdzie przebywa i jak wygląda jego sytuacja; ewentualne uwolnienie będzie zależało od tych okoliczności, a wtedy trzeba będzie ponownie zapłacić podobną lub większą kwotę.

Jurij zastanawiał się przez kilka sekund. Chodziło o duże pieniądze, ale innego wyjścia nie było.

– W porządku. Proszę się dowiedzieć, gdzie przetrzymują Fritza Siegela.

– Płatność z góry. Jutro, tutaj, w gotówce.

Jurij kiwnął głową. Wstał, nie odrywając wzroku od adwokata.

– Jutro z samego rana będzie pan miał pieniądze.

Poszedł do mieszkania Fritza. Czekwały na niego dwie zniecierpliwione kobiety. Jurij opowiedział im rozmowę z prawnikiem.

– Nie mam takiej kwoty! – krzyknęła zrozpaczona Nicole. – Może moi rodzice...

– Nie ma czasu, Nicole, wpłacić trzeba jutro. Nie martw się, mam pieniądze. Zaniosę mu. Ale dobrze by było, żebyś porozmawiała z rodzicami, bo obawiam się, że będziemy potrzebować ich więcej, jeśli chcemy uwolnić Fritza.

– Ile będzie trzeba, Jurij, zapłacę, ile będzie trzeba, ale niech mi oddadzą Fritza... Potrzebuję go, żeby żyć.

Rozpłakała się i Jurij ją objął. Krista przyglądała się im oczami pełnymi łez, z zaciśniętą z wściekłości szczęką i dłońmi bezradnie skulonymi w pięści. Jak to możliwe, że coś takiego miało miejsce? Okrucieństwo i bezprawie powoli traktowano jak normę wpisaną w funkcjonowanie Trzeciej Rzeszy. Wstydziała się tego, że jest Niemką, i bolało ją z tego powodu serce.

Następnego dnia przed pójściem do ambasady Jurij zaniósł Martinowi Ritterowi pięćset marek w gotówce. Adwokat odmówił wydania pokwitowania.

– Będzie musiał mi pan zaufać. Proszę czekać na mój telefon. Proszę się ze mną nie kontaktować, a już na pewno nie telefonicznie. Wszystko podsłuchują – poinformował z poważną miną. Proszę pozwolić mi działać po swojemu. Proszę się nie wtrącać. Aha, i niech pan uprzedzi żonę Siegela, żeby nie szła na komisariat. To pogorszyłoby sprawę.

Czas zaczął płynąć rozpaczliwie wolno, szczególnie dla Nicole. Prawie nie jadła i nie mogła spać, czuwała przy telefonie, przerażona każdym

dzwonkiem do drzwi. Krista postanowiła zamieszkać u niej, żeby przynajmniej w nocy kobieta nie była sama.

Minęło dziesięć długich dni od czasu zatrzymania Fritza, kiedy Jurij dostał telefon od Rittera. Czekał na niego w swoim gabinecie punktualnie o szóstej. Nie powiedział nic Nicole, żeby nie robić jej fałszywych nadziei. Wolał się najpierw dowiedzieć, jakie informacje poda mu adwokat.

Otworzył asystent, który od razu wpuścił go do gabinetu. Martin Ritter stał w koszuli przed oknem i patrzył na ulicę. Marynarka wraz z kapeluszem z ciemnego filcu wisiała z boku na drewnianym wieszaku. Rękawy koszuli miał podwinięte do połowy przedramienia, a krawat poluzowany; flanelowe spodnie dobrej jakości zdawały się zsuwać z jego słabowitego ciała, przytrzymywane jedynie paskiem w szczupłym pasie. Wyglądał na zmęczonego, jakby miał za sobą wiele godzin pracy. W dłoni trzymał papierosa i od czasu do czasu wkładał go do ust, drugi był schowany w kieszeni spodni.

Jurij doszedł na środek gabinetu i stał spokojnie, wyczekująco.

– Proszę siadać – powiedział Ritter, kierując się do fotela przy biurku.

– Są jakieś informacje na temat Fritza Siegela? – spytał zniecierpliwiony Jurij.

– Tak – odpowiedział, wbijając w niego wzrok. – Przebywa w więzieniu Moabit, a właściwie: przebywał, przynajmniej do wczoraj. Wygląda na to, że dziś rano przewieźli go do Dachau, tę wiadomość otrzymałem zaledwie przed półgodziną. Najprawdopodobniej to wskutek moich zapytań wywieziono go z Berlina.

– W jakim jest stanie? – dopytywał Jurij.

– Herr Santacruz, będę z panem szczery: sytuacja pańskiego przyjaciela jest bardzo trudna. Jest oskarżony o szerzenie kłamstw na temat Rzeszy w swoich artykułach, a co najgorsze, o szkalowanie Führera.

– Mówiłem panu, że Fritz jest dziennikarzem. Jego obowiązkiem jest informowanie, choćby te informacje były dla władzy niewygodne.

Obywatel ma prawo wiedzieć i ma swój rozum, żeby wyciągać wnioski.

Ritter przyglądał mu się z grymasem na twarzy.

– Herr Santacruz, w tym kraju robi się, mówi i myśli to, co każe Rzesza, czyli dokładnie to, co myśli Führer. Te zasady obowiązują tutejszych i przyjezdnych. Jeśli się panu nie podobają, radzę, żeby jak najszybciej wyjechał pan z Niemiec, bo pański status obcokrajowca nie zwalnia pana z przestrzegania wprowadzonych zasad.

– Proszę mówić jaśniej, Herr Ritter.

– Mówię o łapówce dla funkcjonariusza SS. Poza tym, że igram z ogniem, takie opłaty nie są niskie, proszę to zrozumieć...

– Ile? – nalegał Jurij, nie skrywając zniecierpliwienia.

Ritter nie odwracał wzroku przez długie sekundy, niewzruszony. Wyglądało to tak, jakby chciał doprowadzić Jurija na skraj wytrzymałości jego zniecierpliwionej duszy. Wiedział o tym i to wykorzystywał.

– Trzy tysiące marek – powiedział stanowczym tonem. – Być może będę musiał poprosić o więcej... Jest wielu pośredników, których trzeba zadowolić, żeby dotrzeć do ostatecznego celu.

– Zdoła pan go uwolnić? – spytał Jurij.

– Mogę tylko obiecać, że się postaram, jedynie do tego mogę się zobowiązać, na razie. Jestem z panem całkowicie szczery.

Jurij nabrał powietrza i wypuścił je w głębokim westchnieniu. Kiwnął głową, zanim się odezwał.

– W porządku. Przyniosę pieniądze jutro z samego rana.

– Muszę je mieć dzisiaj. Dziś wieczorem wyjeżdżam do Monachium w innych sprawach. Wykorzystam tę podróż, żeby spróbować uwolnić pańskiego przyjaciela.

– Nie mam takiej kwoty w domu. Muszę pójść do banku.

– Dziś wieczorem przed dziesiątą... Jeśli nie, proszę zapomnieć o sprawie.

Jurij wyszedł niemalże bez pożegnania. Jemu również zależało na tym, żeby działać szybko, ale ten pośpiech Rittera, żeby wziąć pieniądze

i wyjechać z Berlina niezwłocznie, wzbudzał w nim podejrzliwość.

Nie miał jednak wyjścia i musiał zaufać temu typowi. Tylko tego mógł się uchwycić.

Zatrzymał się przy budce telefonicznej i zadzwonił do Nicole. Odebrała Krista; powiedział jej, że Fritz przebywa w obozie koncentracyjnym w Dachau i że przyjdzie do nich, kiedy zanieśli pieniądze adwokatowi. Później zadzwonił do Villanuevy. Tylko do niego mógł się zwrócić z prośbą o pożyczkę takiej kwoty do następnego dnia, kiedy wstąpi do banku i opróżni własny rachunek.

Po godzinie Jurij zaniósł do gabinetu Rittera trzy tysiące marek w gotówce; tym razem też nie otrzymał pokwitowania. Wtedy po raz ostatni widział Martina Rittera. Następnego dnia obudził go telefon Villanuevy.

– Słyszałeś?

– Co się stało? – spytał Jurij ochryplym głosem.

– Zatrzymali Rittera. Wczoraj wieczorem na dworcu, kiedy miał wsiadać do pociągu jadącego do Polski.

– Do Polski? A to łajdak! Powiedział mi, że jedzie do Monachium, do Dachau...

– Zamierzał uciec z pieniędzmi twoimi i kilku innych osób, które zaufały mu podobnie jak ty. – Zamilkł na kilka sekund. Jurij słyszał jego ciężki oddech. – Przepraszam, Jurij, żałuję, że cię do niego skierowałem. Jest oskarżony o oszustwo i łapówkarstwo. A co najciekawsze, okazało się, że jest Żydem. Tego nie wiedziałem nawet ja. Ten człowiek wykopał sobie grób.

Desperacja Jurija rosła, nie wiedział, co robić. Chwycił słuchawkę i usiadł na łóżku, z bosymi stopami na drewnianej podłodze, miał na sobie spodnie od piżamy i koszulkę, bo czerwcowe noce były upalne. Przez kilka chwil siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w horyzont rozciągający się za otwartym oknem. Niedawno wstał dzień i słońce zaczynało zalewać całe poddasze. Spojrzał na zegarek na stoliku. Zastanawiał się, jak powiedzieć o tym Nicole. Myślał o tym bez przerwy.

Fritz przebywał w areszcie od czterdziestu pięciu dni, kiedy w nocy z trzydziestego czerwca na pierwszego lipca członkowie SS zatrzymali przywódców SA w całym kraju. Wiadomość o ich zamordowaniu była bardzo niepokojąca. Dużo się mówiło o przyczynach tej masowej obławy i stawało się rzeczą coraz bardziej oczywistą, że chodziło o czystkę wśród „elementów” konkurencyjnych zbyt niewygodnych dla aspiracji Führera. Nicole była bliska zaśnięcia ze zwykłego wyczerpania. Parę godzin wcześniej zadzwoniła Krista, żeby ją uprzedzić, że się spóźni, bo w ostatniej chwili przywieźli pierworódkę i musiała poczekać do przyjścia ginekologa, który prowadził tę pacjentkę. Nicole była jej wdzięczna za troskę, ale z każdym dniem popadała w coraz bardziej bolesną i większą niepewność, bo od bardzo dawna nie miała żadnych wieści o Fritzu.

Czuła się osłabiona, a na duchu podtrzymywał ją jedynie rosnący brzuch, który, od czasu do czasu, na dowód swojego cudownego istnienia, dawał wyraźne sygnały życia z jego wnętrza.

Dzwonek wytrącił ją z czujnego półsnu. Otworzyła oczy, nie bardzo wiedząc, czy coś jej się śniło, czy rzeczywiście ktoś dzwoni do drzwi. Po kilku sekundach bezruchu dzwonek znów wdarł się do wszystkich jej rozbudzonych już zmysłów. Pomyślała, że to Krista, i z trudem wstała. Nogi jej spuchły z braku ruchu i ze zmartwienia. Kostki miała jak cementowe bloki. Przeczłapała przez korytarz do wejścia i szybko spojrzała przez wizjer. Na klatce stali dwaj mężczyźni w garniturach. Uchyliła drzwi na tyle, żeby się wychylić.

– Jest pani żoną Fritza Siegela? – spytał jeden.

Otworzyła drzwi szerzej, czując przyływ nadziei, który trwał tylko do chwili jej odpowiedzi.

– Tak... To ja.

– Z przykrością informujemy, że pani mąż zmarł na atak serca. Tutaj ma pani adres, pod którym może pani odebrać jego prochy. – Z niewzruszoną miną jeden podał jej zaklejoną kopertę.

Nicole patrzyła na nich, nie reagując, bo nie była w stanie zrozumieć tego, co do niej mówili, jej mózg nie chciał przyswoić prawdziwego znaczenia tych zdań.

– Prochy? – spytała zdezorientowana. – Dlaczego go... – Przełknęła ślinę, bo nie mogła wymówić tego słowa. – Kto wyraził zgodę na...?

Znów zamilkła, przepelniona niedowierzaniem. Oniemiała patrzyła na stojących przed nią mężczyzn. Żaden nie okazał ani cienia współczucia, nie złożył kondolencji; stali w kapeluszach na głowie, ze znudzoną miną, jakby usiłowali jej sprzedawać piecyk na zimę i niewiele im już brakowało do wyrobienia miesięcznej normy sprzedaży.

– Nie mogę pani na to odpowiedzieć, Frau Siegel. My wykonujemy konkretne rozkazy: powiadomić panią o zgonie, o miejscu, w którym znajdują się szczątki nieboszczyka, i poinformować, że musi je pani odebrać dziś; to ważne, bo inaczej zostanie pochowany bez pani obecności. Należy wnieść opłatę na pokrycie kosztów jego utrzymania, opieki medycznej i kremacji. W kopercie ma pani wszystkie szczegóły. Wszystko załatwi pani pod jednym adresem. Tam przekażą pani także osobiste rzeczy zmarłego. Wszystko jasne?

Nicole patrzyła na niego jak na zjawę. Mężczyzna najwyraźniej uznał, że wszystko zrozumiała. Jakby spieszo im było do wyjścia, mężczyzna uniósł dłoń do runda kapelusza, lekko go dotknął i niemal niezauważalnie skłonił głowę, odwrócił się i zaczął schodzić, a za nim drugi, który tylko na nią spojrzał i nie powiedział ani słowa na odchodne.

Nicole stała spokojnie w progu z kopertą w dłoni, ze wzrokiem wbitym w puste schody, z których zniknęli dwaj mężczyźni; nie była zdolna do reakcji, stała nieruchomo jak słup soli. Po paru długich, intensywnych sekundach zaczęła poruszać ustami jak pozbawiona wody ryba; brakowało jej powietrza. Zachwiała się, najpierw ugięły się pod nią kolana i uklękła na podłodze; później czołem dotknęła płytek na klatce i rozległ się rozdzierający krzyk.

W tej chwili na klatkę weszła Krista. Na ulicy minęła się z dwoma mężczyznami. Zaalarmowana wrzaskiem, wbiegła po schodach na piętro, gdzie leżała Nicole i zanosila się niepoohamowanym płaczem, zawodząc, jakby odzierano ją ze skóry. Krista zauważyła, że są obserwowane z sąsiednich drzwi. Nikt jednak nie wyszedł jej pomóc. Mimo rozdierających krzyków słyhać było tylko odgłos otwieranych drzwi, które po chwili się zamykały. Bezlitosna i nieludzka nieufność zakorzeniła się w ludzkich duszach.

Z wielkim wysiłkiem i cierpliwością Krista zdołała podnieść Nicole i wejść z nią do domu. Wśród szlochów powtarzała dwa słowa: „nie żyje... nie żyje...”. Krista chwyciła kopertę bez oznaczenia nadawcy i odbiorcy; białą kopertę, w której znajdowała się kartka z adresem zakładu pogrzebowego i faktura opiewająca na dwieście osiemdziesiąt marek. Kiedy w końcu Nicole przestała płakać, pojechały taksówką do zakładu pogrzebowego. Wchodząc do budynku, Krista musiała trzymać pod rękę słaniającą się na nogach koleżankę. Przyjęła je kobieta o zimnym spojrzeniu, obcesowa, niewzruszona dramatem, którego codziennie była świadkiem. Nicole musiała się wylegitymować i opłacić wskazane na fakturze koszty. Dopiero wtedy kobieta wyciągnęła urnę pogrzebową i postawiła ją na ladzie, jakby stawiała świeżo odrestaurowany chiński wazon. Nicole miała wrażenie, że zemdleje, ale z całej siły uchwyciła się ramienia Kristy i wysiliła się, żeby zachować spokój. Złożyła sobie solenną obietnicę, że nie rozpłacze się przed tą kobietą, która traktowała ją z taką obojętnością, jakby oddawała jej w chemicznej pralni czysty garnitur. Dała jej też grubego pakuneka. Nicole wzięła urnę i przytuliła ją do piersi, a Krista zabrała paczkę, i wyszły razem z budynku.

W mieszkaniu Nicole postawiła urnę na ławie w salonie, na której Fritz kładł swoje wielkie stopy, a ona zawsze go besztala, żeby je zdjął, bo niszczy lakier na drewnie. Wspomnienie tych codziennych scen wywołało lekki uśmiech na jej wargach, który po chwili znikł, gdy zrozumiała, że już nigdy nie będzie mogła go za to zganić, że wszystko to

należy do przeszłości, która nigdy nie wróci, bo jej ukochanego męża już nie było, ani jego wielkich stóp z żylastymi palcami, ani długich, chudych nóg; zostały z niego tylko popioły w tej dostojnej urnie. Dowody tej potwornej rzeczywistości spadały na nią niczym wielkie cegły, przygniatając ją coraz bardziej. Wzięła głęboki oddech pod baczny spojrzeniem Kristy, która położyła pakunek obok urny, żeby Nicole go otworzyła. Owinięty był w brązowy papier bez sznurka.

Rozwinęła opakowanie i ujrzała część ubrania, które Fritz miał na sobie w dniu zatrzymania: koszula, marynarka, spodnie; brakowało butów, paska, jedwabnego krawatu, który podarowała mu na ostatnie urodziny; także zegarka na metalowej bransolecie i nowego skórzanego portfela, choć nie brakowało jego dokumentów i legitymacji dziennikarskiej. Nicole wzięła koszulę i rozłożyła ją ze ściśniętym gardłem, przypominając sobie, jak po raz ostatni ją prasowała. Materiał był poprzecierany, gdzieś rozdarty, osmolony i sztywny od brudu, jakby nie zdejmował koszuli przez te wszystkie tygodnie. Wzięła spodnie i zrobiła to samo, rozłożyła je i przez kilka sekund przyglądała się części rozdartej nogawki; tkanina w dotyku wydawała się lepka od zakumulowanego brudu. Przytuliła do piersi marynarkę i powąchała tkaninę, usiłując odnaleźć wśród takiej ilości brudu zapach Fritza, woń jego skóry, którym zawsze przenikały jego ubrania. Wyczuła coś w jednej z kieszeni. Włożyła do niej dłoń i wyciągnęła okrągłe okulary w twardej oprawie. Były umazane zaschniętą krwią – krwią, która potwierdzała okrutną prawdę, że jego śmierć wcale nie była spokojna.

Minęło sześć miesięcy od śmierci Fritza. Czuć było atmosferę nadchodzących świąt Bożego Narodzenia, ludzie wydawali się weselsi, bardziej serdeczni, otwarci. Ale Jurij nadal odczuwał ogromną pustkę po przyjacielu. Ciągle się dziwił, że życie toczy się dalej, jakby nic się nie stało, jakby ta olbrzymia strata nie była wyraźnym ostrzeżeniem o zbliżającym się niebezpieczeństwie dla wszystkich tych uśmiechniętych

tworzy, które miały, ludzi niosących prezenty i najwyraźniej szczęśliwych.

Jak tylko dotarł do ambasady, czekała na niego wiadomość od Villanuevy, żeby natychmiast stawił się w jego gabinecie.

– To dla ciebie. – Rzucił kopertę na biurko. – Od Vadima Sokołowa.

– No, wreszcie. Myślałem, że o mnie zapomniał. – Wziął kopertę.

– W Rosji każda rzecz, nawet błaha, zabiera całą wieczność.

Jurij wyciągnął ze środka kartkę. Zaskoczony zobaczył pieczęć ZSRR, swoje nazwisko, imię i nazwisko rodowe zapisane cyrylicą.

– Co to jest? – Podniósł wzrok na Villanuewę.

– Powinieneś wiedzieć lepiej ode mnie. Moja znajomość rosyjskiego ogranicza się do „spasiba”, „pażałsta” i niewiele więcej.

Jurij przeczytał tekst napisany niezgrabnie na maszynie.

– Proszę, żebym pojechał do Moskwy – odezwał się, nie odrywając wzroku od dokumentu. – Właściwie nie proszę: wzywają mnie do jak najszybszego stawiennictwa w Łubiance.

– Co zamierzasz zrobić?

– A pana zdaniem, co powinienem zrobić? – spytał zaskoczony Jurij. – Od lat na to czekam.

– Wiem, ale jeśli mam być z tobą szczery, wydaje mi się to podejrzane.

Jurij przyglądał mu się, przygnębiony, przez kilka minut.

– Podejrzane? – spytał, patrząc na papier, jakby nie rozumiał jego nieufności. – To wiza. W końcu pozwalają mi na wjazd do Rosji, będę mógł się dowiedzieć czegoś na temat losów matki i brata. W czym problem?

– Wiesz, co to Łubianka?

– Nie poznałem Moskwy – odparł Jurij, kręcąc głową.

– To główna siedziba tajnej policji. – Rozłożył ręce dla podkreślenia tych słów. – Nie rozumiesz? Każą ci się stawić w NKWD.

Jurij wzruszył ramionami, zastanawiając się.

– Może chcą się wszystkiego o mnie dowiedzieć, zanim pozwolą mi się poruszać po Rosji, przyznać mi paszport; domyślam się, że należy go

mieć, żeby podróżować po Związku Radzieckim. – Widząc poważną minę Villanuevy, uśmiechnął się, próbując nadać sprawie normalny wydźwięk. – Nie ma nic do ukrycia, nie zrobiłem nic przeciwko Rosji, w pewnym sensie jestem obywatelem rosyjskim, a wie pan, jak działają ci bolszewicy, nie umieją o nic prosić, tylko rozkazują. Doskonale znam ten sposób działania.

Villanueva przyglądał mu się, nie skrywając zaniepokojenia.

– Jurij. – Postarał się, żeby jego głos brzmiał ciepło. – Rozumiem twoje pragnienie odnalezienia matki i brata. Ale moim zdaniem to nie najlepsza pora.

– Rozumiem... – wyszeptał, nie kryjąc rozczarowania tym, że nie może liczyć na wsparcie swojego przełożonego. – W Rosji nigdy nie ma dobrej pory.

– Docierają do mnie niepokojące informacje o sytuacji w Rosji. Zabójstwo Kirowa, samego sekretarza Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej, dało początek brutalnej kampanii przeciw opozycji. Stalin rozpoczął masowe czystki, w których życie tracą tysiące ludzi; osoby z jego najbliższego kręgu znikają bez śladu... Ulatniają się bez żadnego wyjaśnienia i słuch po nich ginie. Powinieneś to przemyśleć, Jurij. To zbyt wielkie ryzyko.

– Stalin nie ma nic przeciwko mnie. Nie jestem dla niego zagrożeniem. Co mógłby mi zrobić?

– Chyba zapomniałeś, że już sam pobyt w Rosji jest niebezpieczny.

Jurij jeszcze raz przeczytał kartkę, którą trzymał w dłoniach.

– Ta wiza jest ważna przez miesiąc – powiedział, podnosząc wzrok na Villanuewę. – Odrzuciłbym jedyną możliwość, jaką miałem, odkąd ich straciłem. Wiem, jak trudno ją uzyskać, i jestem przekonany, że kolejnej szansy mieć nie będę.

Villanueva się nie poddawał i wytoczył kolejne argumenty.

– A pomyślałeś o tym, że jeśli wyjedziesz z Rosji bez szwanku, problem pojawi się na granicy niemieckiej?

– Niby dlaczego? Gdybym był problemem dla nazistów, wyrzuciliby mnie dawno temu, doskonale pan o tym wie.

– Wiem, i jeśli mam być z tobą szczery, nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze tego nie zrobili...

– Co pan chce przez to powiedzieć? – dopytywał, marszcząc brwi.

– Jurij, Jurij... – powiedział Villanueva, jakby go beształ, starając się zachować spokój. – Śledzą cię od miesiący. Jesteś zaręczony z Niemką aryjskiej rasy, która miała lepsze i gorsze chwile z systemem, masz rosyjskie pochodzenie, wystąpiłeś w obronie komunisty, krążą słuchy, że go ukrywałeś i pomogłeś mu uciec z kraju, miałeś romans z żoną Ulricha von Schönberga...

– Skąd pan to wszystko wie? – przerwał mu zdumiony.

– Mam swoje źródła. Wiem o tobie wszystko od czasu twojego przyjazdu. Martwię się o ciebie.

– Powinien był mi pan o tym powiedzieć – odezwał się Jurij poważnym tonem, wysilając się, żeby przyswoić to, co usłyszał.

– Teraz już wiesz – podsumował Villanueva. Patrzyli sobie w oczy, aż w końcu Villanueva westchnął i odezwał się do Jurija ciepłym tonem: – Muszę ci się przyznać, że miałem wielkie wątpliwości, czy przekazać ci tę kopertę.

– Nie rozumiem dlaczego.

– Bo mi na tobie zależy, do cholery! – krzyknął, uderzając pięścią w stół. Później złagodził nieco ton. – I martwię się, że możesz nie wrócić.

Jurij dostrzegł w jego spojrzeniu cień powściąganej czułości, i to nim wstrząsnęło.

– Panie Villanueva... – wymruczał zakłopotany. – Dziękuję za troskę, ale zapewniam, że nie mam najmniejszego zamiaru tam zostawać.

– Przypominam ci, że w Rosji osobiste zamiary nie istnieją. – Poruszył się niespokojnie, zawzięty, żeby odwieść go od pomysłu tej samobójczej wyprawy. – Jurij, jest w tym coś, co mi się nie podoba, nie potrafię tego wyjaśnić, wiem tylko, że nie powinieneś jechać do Moskwy.

– To pan mnie poznał z Sokołowem – upierał się, jakby usiłował go przekonać, choć i on zaczynał nabierać wątpliwości.

– Dlatego nie pasuje mi ta forma. – Villanueva zamknął oczy, jakby ta rozmowa go wyczerpywała. – Przepraszam, Jurij, to... przecucie... Wiem, że to, co czuję, niewiele cię obchodzi, ale zrób to dla Kristy. Zapomnij raz na zawsze to, co zostawiłeś w Rosji, i skup się na niej... Teraz ona jest dla ciebie najważniejsza.

Jurij zdobył się na uśmiech.

– To prawda, że Krista jest dla mnie bardzo ważna... Ale ważny jest również pan.

Villanueva spojrział na niego z zadowoleniem.

– Proszę cię tylko, żebyś przed podjęciem decyzji dobrze się zastanowił. Czasami trzeba zrzucić balast przeszłości, żeby zadbać o teraźniejszość, a przede wszystkim o przyszłość. Inaczej ryzykujesz, że stracisz wszystko... – Villanueva zamilkł na chwilę i bacznie mu się przyglądał.

– Jurij, twoja matka i twój brat są tą niepewną przeszłością, Krista to twoje dziś i twoje jutro. Nie wyrzucaj wszystkiego za burtę, bo najprawdopodobniej nie warto.

Jurija ogarnęła tkliwość z powodu tego pragnienia, by go chronić.

– Obiecuję, że to przemyślę – powiedział z wdzięcznością na twarzy.

– To mi wystarczy. – Villanueva odsunął się z lekkim, triumfalnym uśmiechem. – Jeszcze jedno – powiedział, gdy Jurij wstał do wyjścia. – Uważaj na tę kobietę.

– Jaką?

– Na Claudię Kahler. Z tego, co wiem, za bardzo interesuje się wszystkim, co robisz.

Jurij po kilku sekundach kiwnął głową, wziął kopertę z wizą i skołowany opuścił gabinet Villanuevy. Nie wiedział, co robić. Możliwość wjazdu do Rosji go kusiła. Pragnienie podróży było ciągle żywe, ale sytuacja się zmieniła. Słowa Villanuevy znacznie utrudniły mu decyzję. Myśl o tym, że miałby zostawić Kristę, skłaniała go do rezygnacji z tej tak upragnionej podróży; bał się wziąć na siebie ryzyko, że nie będzie

mógł wrócić do Niemiec. Ta perspektywa niepokoiła go znacznie bardziej niż zagrożenia w Rosji.

Po powrocie do domu jeszcze raz przeczytał dokument przekazany przez Sokołowa i po długim namyśle bardzo powoli przedarł papier na pół. Później rozdarł go jeszcze raz i następny, aż kartka zamieniła się w małe skrawki, które wrzucił do pieca.

Berlin, lata 1936–1939

Krista czytała list, który przyszedł z Waszyngtonu. W liście Nicole przysłała jej zdjęcie małego Fritza, który rósł zdrowy i wesoły, nieświadomy tragedii, jaka wydarzyła się kilka miesięcy przed jego narodzinami. Gdy pochowali prochy Fritza, Nicole wyjechała z Niemiec. Nie miała zamiaru zostać ani minuty dłużej w kraju, który pozwalał, żeby śmierć jej męża uszła bezkarnie, przekonana, że został zamordowany. Jako obywatelka Stanów Zjednoczonych zwróciła się do amerykańskiej ambasady w Berlinie z prośbą o zbadanie okoliczności śmierci jej męża; ambasador odpowiedział jej uprzejmie, obiecał, że zrobi, co w jego mocy, aby ustalić prawdziwą przyczynę zgonu. Odpowiedź nadeszła, kiedy przedstawiono oświadczenie podpisane przez samego Fritza Siegela, w którym stwierdzał, że z powodu bólu w piersi wyraża zgodę na leczenie przez lekarzy w obozie dolegliwości, która wyglądała na problemy sercowe; jednocześnie oświadczał, że „jest traktowany z należnym szacunkiem i najwyższą uwagą”, i jest z tego powodu „bardzo wdzięczny personelowi KL Dachau”. Wobec takiego dowodu przekazanego ambasadorowi przez samiuskiego dowódcę gestapo, Reinharda Heydricha, zamknięto sprawę dotyczącą śmierci Fritza Siegela. Ten dokument sprawił Nicole przykrość, był zwieńczeniem serii trudnych do zniesienia upokorzeń. Wiedziała, że dopóki Hitler będzie przy władzy, nie uda jej się poznać okoliczności śmierci męża. W dodatku z powodu wygodnej kremacji zwłok nie było możliwości poznania prawdy na temat ostatnich dni życia Fritza, co się

stało i jak zmarł. Nie pozwolono jej nawet przewieźć prochów do Stanów Zjednoczonych, wniosek odrzucono bez żadnego uzasadnienia.

Nicole pisała co miesiąc; zdawała relację ze swojego nowego życia w Waszyngtonie. Parę miesięcy po przyjeździe dostała pracę w prestiżowym czasopiśmie modowym. Dzięki temu, że na nowo wzięła do ręki aparat fotograficzny, poczuła, że znów żyje. Obserwowała, jak rośnie jej mały Fritz, a patrząc na jego twarz, jak pisała w liście, mogła na zawsze zachować żywe wspomnienie jego ojca, miłości jej życia.

Krista z kolei ukończyła specjalizację. Praca w szpitalu pochłaniała większość jej czasu. Kilka tygodni po przyjęciu ustaw norymberskich we wrześniu 1935 roku – ustanawiających kategorie czystości rasy i zakaz mieszania ras – Szpital Miłosierdzia otrzymał pismo z ministerstwa w sprawie doniesienia, w którym informowano, że na oddziale ginekologii nadal przyjmowano żydowskie pacjentki. Żądano, aby ośrodek zaprzestał tych praktyk, grożąc cofnięciem dotacji, a nawet definitywnym zamknięciem szpitala oraz stosownymi konsekwencjami dla całego personelu. Doktor Hotzfeld musiała tłumaczyć się dyrektorowi z powodu tego doniesienia; nie miała wyjścia i musiała zastosować się do rozporządzeń i przestać udzielać porad ginekologicznych żydowskim pacjentkom, jak również pół-Żydówkom (z dwoma żydowskimi dziadkami), które wyznają judaizm, lub aryjkom, których mężowie są pełnymi Żydami. Wszystkie je odsyłała do innych szpitali czy prywatnych przychodni, starając się, żeby żadna nie została bez pomocy stosownej do jej zdrowotnych potrzeb.

Claudia w tym czasie wiodła życie coraz bardziej błahe i puste. Ciągła nieobecność męża z powodów zawodowych zmuszała ją do samotności, do której zdążyła się przyzwyczaić i z której właściwie się cieszyła. Jedynie wychowywanie małego Hansa wprowadzało ją w dobre samopoczucie i sprawiało, że czuła się potrzebna, choć przybyło jej obowiązków wynikających z roli członka partii nazistowskiej i żony funkcjonariusza SS, które nie pozwalały jej spędzać z dzieckiem tyle czasu, ile by chciała. Prawie codziennie, pod wpływem nalegań matki, musiała uczestniczyć

w spotkaniach, wydarzeniach i kursach dotyczących propagandy i nazistowskiego prozelityzmu, skierowanych do aryjskich kobiet. Claudia była posłuszna matce właściwie bez słowa protestu. Wyszkolono ją w podstawach nazizmu: powinna nienawidzić Żydów, komunistów, Cyganów czy homoseksualistów i odrzucać bez żadnych półśrodków wszystkich, którzy w taki czy inny sposób czynią odstępstwa od reguł ustanowionych przez Rzeszę. Jednak odkąd do jej życia wkroczył Jurij Santacruz, w jej wnętrzu rozpętał się prawdziwy huragan uczuć; właściwie bezwiednie, jakby wiedziona niewidzialną nicią, na nowo przemyślała pewne sprawy, które wcześniej przyjmowała za niepodważalne i oczywiste. Zadawała sobie pytanie, dlaczego krzywdzić ludzi, którzy nie zrobili nic złego, za to tylko, że są Żydami, dlaczego ich upokarzać, wyrzucać z pracy, a nawet z domów. Pewne rzeczy zaczęły ją razić i coraz mniej była przekonana o tych dobrach, które w tak przytłaczający sposób zalewały nowe Niemcy. Ta niechęć ją niepokoiła, bo nie mogła się z niej nikomu zwierzyć, świadoma, że przysporzyłaby sobie problemów. Zazdrościła Kriście pracy i niezależności jej stylu życia i tego, że nie dawała się porwać tak wychwalanemu nazizmowi. Denerwowała ją jej uprzejmość, uczynność i empatia. Ale to zazdrość ją rozsadzała na widok jej i Jurija trzymających się za ręce, idących razem, śmiejących się; nie mogła znieść widoku ich szczęścia i zakochania. Była przekonana, że Jurij nadal jest w niej zakochany. Takiej miłości nie da się zapomnieć, była tego pewna.

Claudia nie zaszła ponownie w ciążę, choć Ulrich niecierpliwie wyczekiwał kolejnej, która, ku jego rozczarowaniu, nie nadchodziła. Ona wiedziała, że to niemożliwe, bo znała sekret swojego męża, o którym nie miał pojęcia sam zainteresowany. Odkryła go, kiedy była w ciąży z Hansem. Kilka dni po uroczystym ogłoszeniu nowiny, już w letnim domu teściów w Szwarzwaldzie, przeżyła dziwne spotkanie z teściem.

– Friedrich, co za niespodzianka, nie spodziewaliśmy się pana. – Czytała w ogrodzie, gdy spostrzegła, że podchodzi, i wstała, by go powitać. – Hildy nie ma – oznajmiła, mając na myśli jego żonę. –

Wyjechała rano z kierowcą. Musiała wrócić do Berlina załatwić pilną sprawę wymagającą jej obecności. Musieli się państwo minąć.

Teść stanął przed nią z ponurą miną. Był w cywilu, w ciemnym garniturze, jak zwykle nieskazitelnym, i kapeluszu, którego rondo zasłaniało mu oczy.

– Wiem. Przyjechałem do ciebie. Nie zabiorę ci dużo czasu.

Obecność tego mężczyzny zawsze wzbudzała w niej niepokój, wprawiała ją w zakłopotanie. Nie wiedziała, jak się zachować, czy z powrotem usiąść, czy też stać. W końcu usiadła na krawędzi krzesła i oparła łokieć na stole.

– Słucham – powiedziała wyczekująco.

Friedrich von Schönberg patrzył na nią z góry.

– Wiadomość o twojej ciąży była wielkim zaskoczeniem.

– Staraliśmy się o nią od samego początku – odparła z uśmiechem, kładąc dłoń na brzuchu. – Ulrich chciał zostać ojcem i jego marzenie w końcu się spełniło.

– Problem w tym, że to niemożliwe, żeby ojcem był Ulrich – oznajmił bez ogródek.

Claudii odjęło mowę.

– Co... co pan ma na myśli? – wymamrotała, właściwie bez sił. – Nie rozumiem, co...

Ostre spojrzenie teścia kazało jej zamilknąć.

– W wieku piętnastu lat Ulrich przeszedł świnkę, która zostawiła po sobie ślady. Najpoważniejszym jest niepłodność.

– To niemożliwe... Ulrich...

– Ulrich o tym nie wie, ani on, ani nikt inny. Lekarz, który się nim zajmował i ja postanowiliśmy ukryć przed nim tę nieprzyjemną okoliczność. Ta wiedza wtedy nie była mu potrzebna i sądzę, że nie jest mu potrzebna teraz. Tamten lekarz zginął w nieszczęśliwym wypadku, dlatego jedyną osobą, która o tym wie, jestem ja. – Spojrzał na nią z nieprzyjemną stanowczością. – I teraz także ty.

Claudia nie wierzyła w to, co słyszy. Czuła się oszukana i jednocześnie uwikłana w wielkie kłamstwo.

Zakłopotana otworzyła usta, ale z powrotem je zamknęła, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Poczowała panikę: została nakryta i nie знаła konsekwencji tej rozmowy. Czekwała na ostateczny wyrok teścia, który stał przed nią butnie. Te jego oczy ją przerażały.

– Nie wiem, czyj jest ten bękart, którego nosisz w brzuchu; mam jedynie nadzieję, że mężczyzna, z którym zdradzasz mojego syna, jest czystej krwi Niemcem. Jeśli tak, zaakceptuję dziecko jako mojego wnuka i mój syn nigdy się nie dowie, że jego żona jest dziwką.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym sypiała z innym?

– Nie moja sprawa, co robisz ze swoim ciałem. Ważne jest, żeby to, co poczniesz, było Aryjczykiem – zaakcentował każdą sylabę, każde słowo, bardzo powoli. Później, nie spuszczać z niej wzroku, powiedział stanowczym głosem: – Führer potrzebuje nowych pokoleń, które za nim pójdą i będą mu służyć w przyszłości. To obowiązek kobiet takich jak ty i wypełnisz go bez względu na cenę.

– Nie sądzi pan, że Ulrich ma prawo wiedzieć?

Spojrzenie teścia ją zmroziło.

– Jeśli mój syn dowie się o tej nieszczęśliwej okoliczności, skończę z tobą i twoim bękartem. Zrozumiano?

Od tej chwili żądania seksu ze strony Ulricha po to tylko, żeby zaszła w ciążę, stawały się coraz bardziej żałosne, tym bardziej kiedy się wściekał na wiadomość, że znów dostała okres, obwiniając zawsze ją o to, co uważał za kolejną porażkę.

– Uspokój się, Ulrich, mamy już Hansa – powtarzała, próbując złagodzić frustrację męża. – Może natura nie chce nam dać więcej dzieci...

– Nie! – przerywał jej z wściekłością. Później milkł i przyglądał się dziecku z rozczarowaniem. – Jest zbyt śniady... i te ciemne włosy...

Nie po raz pierwszy komentował niezbyt aryjski wygląd malucha; ona oburzała się na niego za to dość pogardliwe podejście do dziecka.

– To nasz syn! – odpowiadała. – Hitler też ma ciemne włosy, a chyba nie kwestionujesz rasy Führera.

Krzywe spojrzenie Ulricha ją niepokoiło, ale zachowywała zimną krew.

– To nasza powinność wobec Rzeszy i Führera: chcę dzieci z jasnymi włosami, jasną karnacją, niebieskimi oczami, aryjskich, takich chcę i takie masz mi dać.

– Czasem mam wrażenie, że ta powinność cię zaślepia, Ulrich. Mówisz o psach, a nie o dzieciach.

– Będziemy próbować – obruszał się. – Aż do obrzydzenia, a jak będzie trzeba, zamieszkaż ze mną w Dachau, aż zajdziesz w ciążę. Skoro udało mi się zapłodnić cię raz, zrobię to drugi i trzeci...

Wizja przeprowadzki do obozu koncentracyjnego, o której wspomniał jej mąż, przestraszyła ją, tym bardziej kiedy ta propozycja dotarła do uszu jej matki, która uznała to za doskonałe rozwiązanie, ponieważ częsta nieobecność Ulricha w małżeńskim łóżu, jej zdaniem, przeszkadzała w zajściu w ciążę.

W końcu Claudia nie miała wyjścia i musiała pojechać z mężem do obozu w Dachau. Ulrich nie zgodził się, żeby pojechało z nimi dziecko, argumentując, że dom nie jest duży i nie spełnia odpowiednich wymogów. Poza tym, choć miał dopiero dwa lata, Hans rozpoczął naukę w ekskluzywnej szkole, do której uczęszczały dzieci wysoko postawionych funkcjonariuszy SS, a plany były takie, że po ukończeniu dziesięciu lat wstąpi do jednej z najlepszych elitarnych szkół Napola, kształcących przyszłych przywódców wspaniałej Rzeszy. Ojciec zapisał go wbrew woli Claudii, która uważała, że syn jest za mały, żeby przebywać w takim miejscu. Jednak Ulrich twierdził, że dzieci aryjskiej rasy należą do Führera i od najmłodszych lat powinny się uczyć dyscypliny, zdrowego życia i tego, by być „szybkimi jak chart, wytrzymałymi jak skóra i twardymi jak stal Kruppa”, mówił, cytując zdanie Hitlera na temat tego, jak powinny wyglądać edukacja i przygotowanie niemieckich dzieci. Życie z dala od matczynego fartucha miało mu pomóc wykształcić silnego aryjskiego ducha.

Podczas nieobecności Claudii dzieckiem miała się zajmować jej matka. Claudia bardzo źle znosiła tę rozłąkę, nie tylko z synem, ale ze wszystkim, co było jej codziennością: z domem, otoczeniem, Berlinem, a nawet obecnością Jurija, choć prowadzał pod rękę inną.

Wkrótce po wyjeździe Claudii Kahler, latem 1936 roku, Krista odebrała w przychodni dziwny telefon.

– Doktor Krista Metzger? – spytał męski głos.

– Tak, przy telefonie, kto mówi?

– Czy w listopadzie trzydziestego czwartego przyjęła pani Ilse Kube?

Krista zmarszczyła czoło. Ilse była córką Brendy. Przed dwoma laty zjawiła się w jej gabinecie, domagając się, żeby lekarka pomogła jej dokonać aborcji. Zaszła w ciążę z żonatym mężczyzną i bała się reakcji matki. Krista kategorycznie odmówiła; w tym szpitalu nie przeprowadzano tego rodzaju zabiegów, jedynie w bardzo wyjątkowych przypadkach i na podstawie opinii kilku lekarzy. Pamiętała, że Ilse była bardzo zdenerwowana, a ona usiłowała ją uspokoić, przemówić jej do rozsądku. Rozumiała, że dziewczyna znalazła się w bardzo skomplikowanej sytuacji, ale próbowała ją przekonać, żeby zrezygnowała z tego pomysłu, bo może skończyć w więzieniu, ona i lekarz, który wykona zabieg. Zbyt duże ryzyko dla tak młodej dziewczyny. Wyglądało na to, że Ilse zrozumiała, w każdym razie takie wrażenie odniosła Krista. Przed wyjściem ciężarna kazała jej przysiąc na największe świętości, że nigdy nie powie nic jej matce, błagała ją z płaczem, więc lekarka ją zapewniła, że Brenda nigdy się nie dowie od niej o jej problemie i że ona zawsze będzie gotowa jej pomóc, i jeszcze raz poprosiła, żeby nie popełniła żadnego szaleństwa. Ilse wyszła z gabinetu i Krista więcej jej nie widziała ani nie dowiedziała się, jak potoczyły się losy tej ciąży.

– Z kim rozmawiam? – spytała ponownie.

– Policja kryminalna. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, doktor Metzger.

– Przykro mi, ale proszę mnie pan o informacje objęte tajemnicą lekarską. Nie jestem upoważniona do udzielania takich informacji przez telefon.

– Mogę po panią wysłać ludzi.

To zdanie zabrzmiało Kriście jak groźba.

– Proszę robić to, co uważa pan za stosowne, ja muszę wypełniać moje obowiązki i dlatego nie udzielię panu informacji, o którą mnie pan prosi.

– Po drugiej stronie zapadła cisza. Krista skorzystała z okazji. – Czego pan właściwie ode mnie chce? – spytała.

– Wystawiła pani Ilse Kube zaświadczenie o wskazaniu do aborcji. Jutro o dziesiątej proszę się stawić na komendzie policji przy Alexanderplatz, wydział do spraw aborcji. Proszę zabrać ze sobą dokumentację medyczną i wszelkie informacje dotyczące tej sprawy.

Odkładała słuchawkę drżącą dłonią. Po plecach spływał jej zimny pot. W tej chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich doktor Hotzfeld.

– Pani Merkel będzie rodzić szybciej... – Widząc minę Kristy, przerwała, weszła do gabinetu, zamknęła drzwi i podeszła do niej. Młoda lekarka nawet na nią nie spojrzała, jakby w ogóle jej nie zauważyła. – Krista, stało się coś?

Dopiero wtedy skierowała na nią wzrok, z trudem przełykając ślinę.

– Dzwonili do mnie z gestapo...

Opowiedziała, co się wydarzyło. Doktor Hotzfeld, gdy tego wysłuchała, opadła na krzesło.

– Ktoś na ciebie doniósł. Jesteś pewna, że nie podpisałaś tego zaświadczenia?

Wątpliwość zanurzyła się w otwartej ranie. Krista poczuła silny ból w piersi.

– Nie, nie – zaprzeczyła kilka razy. – Nie zrobiłam tego. Nie przyszłoby mi to do głowy.

– W porządku, uspokój się, wierzę ci, musiałam cię zapytać, ale ci wierzę. Prawdopodobnie sfałszowali zaświadczenie z twoim podpisem. Święty Boże, mamy problem. Mogą cię wsadzić do więzienia bez przesłuchania.

– Nigdy nie przeprowadziłam aborcji i nigdy nie podpisałam zaświadczenia o wskazaniu do jej przeprowadzenia. Nawet nie mam dokumentacji medycznej Ilse, jedynie wizytę w kalendarzu.

– Nie zostawię cię samej, słyszysz? – Wyciągnęła rękę ponad stołem. – Pójdę z tobą.

– Nie. – Krista pokręciła głową. – Jestem pani bardzo wdzięczna, ale to by pogorszyło sprawę. Nie chcę w to wciągać ani pani, ani szpitala. Pójdę sama.

Tego popołudnia wróciła do domu z zamiarem, że nie powie o niczym matce, przynajmniej dopóki się nie dowie, o co chodzi, nie chciała jej martwić. Jednakże na jej widok nie zdołała powstrzymać płaczu i nie była w stanie tego przed nią ukryć. Wiedziała, że takie oskarżenie może skończyć się dla niej wieloletnim więzieniem. Doktor Hotzfeld poinformowała ją o tym, żeby miała pojęcie, z czym się mierzy, bo coś takiego wydarzyło się nie po raz pierwszy. Wytworzyła się niezdrowa atmosfera, w której brak skrupułów pozwalał ludziom wymierzać sprawiedliwość na własną rękę; nagromadzonym z czasem zazdrości, zawiści, urazie, wszelkiej chęci zemsty można było dać ujście poprzez zwykłe doniesienie.

Kiedy Jurij wrócił z ambasady, przeanalizowali sytuację. Mógł ją wywieźć z kraju jeszcze tej samej nocy, być może byłoby lepiej, żeby na jakiś czas przeprowadziła się do Szwajcarii, dopóki nie wyjaśni się, co właściwie zaszło. Matka natychmiast przyklasnęła takiemu rozwiązaniu, za wszelką cenę chciała oddalić córkę od szponów gestapo.

– Jeżeli wyjadę, to tak, jakbym przyznała im rację – powiedziała Krista. – Rozeszłoby się, że jestem winna, i moja kariera skończyłaby się bezpowrotnie. Nie wyjadę. Jutro tam pójdę i powiem prawdę.

Nie dało się jej odwieść od tego pomysłu. Zamierzała stawić czoła sytuacji, bo upierała się, że nie zrobiła nic złego. Pozwoliła, żeby poszedł z nią Jurij, dzięki czemu matka miała zostać w domu. Wszystko zostało postanowione. Usiedli do kolacji, ale właściwie nie tknęli jedzenia. Głębokie zaniepokojenie dręczyło ich umysły niczym ostre szpilki.

Następnego ranka Krista zjawiała się punktualnie przed szarym, żółtym budynkiem przy Alexanderplatz. Na duchu podtrzymywała ją jedynie ciepła ręka Jurija, obejmująca jej dłoń, zimną jak lód, choć był koniec lipca i wcale nie było chłodno.

Krista podeszła do policjanta stojącego za ladą naprzeciwko wejścia.

– Dzień dobry.

Mężczyzna nawet nie mrugnął, nie oderwał wzroku od dokumentu, na którym coś pisał.

– Wezwano mnie tutaj na dziesiątą – ściszyła głos i przysunęła się lekko do mężczyzny. – Do wydziału do spraw aborcji.

Policjant podniósł głowę i spojrzał na nią jak na skazaną.

– Musi się pani udać do wydziału kryminalnego.

Inny policjant zaprowadził ich do pustego korytarza. Przez ponad godzinę siedzieli na drewnianej ławce i nikt się nimi nie zainteresował. Z każdą minutą Krista była coraz bardziej zdenerwowana. Jurij próbował ją uspokoić. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie z przyjaznym uśmiechem. Spojrzała mu w oczy.

– Jurij, obiecaj mi jedno. Gdyby... Jeśli coś mi się stanie, obiecaj, że zaopiekujesz się moją matką... – Łzy przesłoniły jej twarz ukochanego. – Nie zniesie samotności, proszę, zatroszcz się o nią.

Rozplakała się, a on wziął ją w objęcia. Był wściekły na to wszystko, kiedy pomyślał o konsekwencjach. Rozmawiał o tej sprawie z Villanuevą, który próbował go uspokoić. „Może skończy się na niczym”, powiedział. „Donosy muszą się opierać na jakichś dowodach, powinieneś

zachować spokój”, twierdził. „Trzymać się prawdy i nie dać się złapać w ich pułapki”, polecał.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich policjant, który wyczytał pełne imię i nazwisko Kristy. Wstała i ścisnęła dłoń Jurija.

– Będę tu na ciebie czekał – obiecał z gardłem tak ściśniętym, że ledwie mógł oddychać. – Krista... – dodał, zatrzymując ją na chwilę. – Kocham cię...

Na jej twarzy odmalowała się czułość. Wypuściła jego dłoń i ruszyła w stronę czekającego na nią policjanta. Drzwi się zamknęły i Jurij został sam w przeraźliwej ciszy. Paraliżowała go myśl, że Kriście mogłoby się stać coś złego. Poszedłby w jej miejsce, gdyby tylko mógł, bolało go jej cierpienie, jej niepokój był dla niego torturą.

Minęły dwie długie godziny, kiedy usłyszał echo obcasów w głębi korytarza. Dostrzegł zmierzającą w jego stronę doktor Hotzfeld i wstał na powitanie.

– Jeszcze nie wyszła – poinformował zaniepokojony. – Siedzi tam całą wieczność.

Anna Hotzfeld patrzyła na niego poruszona.

– Jurij, Krista została aresztowana. Ponad godzinę temu przewieźli ją do Columbia-Haus.

Jej słowa były dla mężczyzny niczym brutalny kopniak w brzuch. Przejęty opadł na ławkę.

– Niemożliwe... – wymamrotał. – Ona nic nie zrobiła...

– My o tym wiemy i oni pewnie też to widzą. Spróbuję się dowiedzieć, kto złożył donos. Udało mi się porozmawiać z tą dziewczyną. Ilse Kube potwierdziła mi, że Krista nie ma z tym nic wspólnego. – Lekarka usiadła obok Jurija. – Wyznała mi, że dokonała aborcji potajemnie i że przypłaca to życiem. Do dziś s płaca dług zaciągnięty u położnej, która wykonała zabieg... Jej rodzice myślą, że pracuje w fabryce jedwabiu, a tymczasem jest w burdelu na przedmieściach Berlina.

– Kto mógł coś takiego zrobić?

– Pomyśl o kimś, kto życzył jej źle, i z pewnością zgadniesz.

Jurij natychmiast pomyślał o Claudii, a nikczemna i brutalna świadomość zazdrości wobec jego narzeczonej spadła na jego barki niczym ciężka belka. Przytłaczała go ta myśl i serce mu pękało, gdy wyobrażał sobie Kristę zamkniętą w odrażającej celi.

– Idź do domu – poleciła doktor Hotzfeld. – Tu nic nie zdziałasz. I łagodnie przekaz tę informację matce Kristy, ma słabe serce. Ja zrobię wszystko, żeby ją wyciągnąć.

Jurij pojechał do ambasady i odszukał numer telefonu do obozu koncentracyjnego w Dachau. Wykręcił go bez wahania. W słuchawce odezwał się męski głos.

– Muszę rozmawiać z panią von Schönberg. Pilnie.

– Kto mówi?

– Sprawa prywatna.

– Nie mogę pana połączyć. Przekazę wiadomość, panie...

– Proszę powiedzieć, żeby natychmiast skontaktowała się z ambasadą Hiszpanii.

Rozłączył się. Nie mógł podać swojego nazwiska, bo wpędziłby się w kłopoty. Czekał przy biurku, nie odrywając wzroku od aparatu. Wiedział, że jeśli otrzyma wiadomość, zadzwoni. A jeżeli tego nie zrobi, był gotów jechać do Dachau i zażądać wyjaśnień. Nie minęło pół godziny, kiedy zadzwonił telefon i po drugiej stronie rozległ się słodki głos Claudii.

– Aresztowali Kristę. – Jurij przerwał zdanie, które kobieta ledwie zaczęła wypowiadać.

– Dlatego do mnie dzwonisz? Co ja mam z tym wspólnego?

– Wiem, że to twoja sprawka. – Był wściekły, chciał znaleźć winnego, a wszystkie jego podejrzenia skupiały się na niej.

– Naprawdę oskarżasz mnie o to, że doniosłam na Kristę? Jak możesz myśleć, że mogłabym się posunąć do czegoś takiego?

– Bo wiem, że jej nienawidzisz.

– Mylisz się co do mnie, Jurij. Nie darzę Kristy nienawiścią, jedynie zazdrozczę jej ciebie... Ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy coś takiego.

– Już raz to zrobiłaś, z Axelem Lauferem – skwitował.
– Chroniłam mojego brata! – zaprotestowała urażonym tonem. –
I przypominam ci, że ukryłam go we własnym mieszkaniu,
zaryzykowałam, bo mnie o to poprosiłeś.

– Zrobisz wszystko, co możesz, żeby pozbyć się Kristy.

– Nigdy niczego nie rozumiałaś.

Na linii na kilka sekund zapadła cisza, którą w końcu przerwał
wściekły, pełen złości głos Jurija.

– Jeśli coś jej się stanie... Claudia... jeśli Kriście coś zrobią,
przysięgam ci, że...

Rozłączyła się, zostawiając go z niedokończonym zdaniem.

On odłożył słuchawkę z taką furią, że mało nie połamał widełek. Dusił
się w tym małym gabinecie, brakowało mu tlenu. Wsunął palec pod
kołnierzyk koszuli, żeby poluzować krawat. Mocno się pocił.
W ambasadzie panował ruch, było słychać kroki, głosy, ludzie chodzili
tam i z powrotem, wykonując swoją pracę albo prosząc o załatwienie
formalności. Wstał, poszedł do gabinetu Villanuevy i otworzył drzwi bez
pukania. Erich rozmawiał przez telefon i spojrzał na niego z wyrzutem.
Jurij poczekał w progu, aż Villanueva uniósł dłoń i wskazał mu, żeby
wszedł i usiadł.

Nie rozłączał się przez długą chwilę. Mówił monosylabami, krótkimi,
bezpośrednimi zdaniami, marszcząc czoło, wyraźnie zmartwiony. Kiedy
w końcu odłożył słuchawkę, zdjął okulary, zamknął oczy i potarł palcami
grzbiet nosa.

– Co za paskudny dzień... – podsumował, nie otwierając oczu.

Jurij przerwał mu zdenerwowany.

– Chciałem pana prosić, żeby pozwolił mi pan pójść do domu.

– Nie, Jurij, nie możesz wyjść.

– Aresztowali Kristę.

– Bardzo mi przykro – odpowiedział zirytowany Villanueva. – I mam
nadzieję, że sprawa się szybko rozwiąże, ale akurat dziś cię tutaj
potrzebuję. W piątek miał miejsce przewrót w Hiszpanii.

- Co się stało? – zaniepokoił się Jurij.
- Niewiele wiemy, informacje są jeszcze bardzo niejasne. Zbuntowało się wojsko w Maroku, a na półwyspie do przewrotu przyłączyło się kilka garnizonów. Pierwsza była Sewilla, ale w jej ślady idą inne w całym kraju.
- A w Madrycie?
- Madryt to absurd. Rząd Casaresa Quirogi podał się do dymisji już w sobotę, bo nie zamierzał dać broni ludziom. Zastąpił go Martínez Barrio, ale po kilku godzinach też się podał do dymisji. José Giral uległ i rozdał broń związkowcom i organizacjom robotniczym. Wiemy tylko, że wczoraj rano zaatakowali kwaterę główną, której garnizon przyłączył się do buntowników, i na ulicach panuje teraz chaos.
- Muszę zadzwonić do siostry – mruknął zaniepokojony Jurij.
- Masz wieści o ojcu? Jak się czuje?
- Dostałem list od Katii pod koniec czerwca. Wybierałem się do nich na parę dni w sierpniu. Z ojcem coraz gorzej. O cokolwiek go zapytać, odpowiedź jest jedna: „Weronika”, jakby tylko to słowo pozostało w jego świadomości. – Jego głos był miękki; nie mógł się uwolnić od ciężaru wyrzutów sumienia, bo w Madrycie nie był od trzech lat. – Nikogo już nie poznaje, nawet Swiety, która z nim mieszka. Nie mówi, prawie się nie porusza, zapomina jeść, jeśli się go nie nakarmi... Tak, jakby jakieś przekleństwo powoli odbierało mu pamięć.
- Rozmawiałem ze znajomym neurologiem, powiedział, że to objawy neurodegeneracyjnej choroby nazywanej Alzheimerem, od nazwiska lekarza, który ją odkrył.
- Jest na nią jakieś lekarstwo?
- Villanueva pokręcił głową.
- Ten rodzaj demencji został odkryty zaledwie trzy dekady temu i nie są jeszcze znane wszystkie przyczyny wywołujące zanik pamięci. Choroba może postępować bardzo szybko.
- I tak właśnie jest. Moja siostra mówi, że nie poznałbym ojca, a przecież nie ma jeszcze sześćdziesięciu lat, a wygląda jak

osiemdziesięcioletni staruszek. – Cmoknął i zagryzł wargę. – Powiniennem jechać...

– Teraz to niemożliwe – przerwał stanowczo Villanueva. – Poza tym: po co? Skoro nie poznaje twojej siostry, nie pozna też ciebie. Byłaby to bezsensowna i niebezpieczna podróż, a ja cię potrzebuję tutaj bardziej niż kiedykolwiek, Jurij. Jeśli buntownikom się nie powiedzie, polecą wiele głów, pierwsza ambasadora. Tutaj większość poszła za jego przykładem i odrzuca rząd republikański. Trzeba być w pogotowiu.

– Mogę zapytać, jakie pan zajmuje stanowisko?

– Jeśli mam być szczery, to, co się dzieje w Hiszpanii, jest mi obojętne. Biorąc pod uwagę okoliczności, zadeklarowałem pełną współpracę z ambasadorem.

– A co mam zrobić ja?

– Jurij, ciebie i mnie polityka powinna interesować tylko o tyle, o ile jest nam to na rękę. – Założył okulary, dając znak, że uznaje rozmowę za zakończoną. – Wracaj na swoje miejsce. Czekam na coś ważnego, musisz być czujny. Aha, a w sprawie Kristy zobaczymy, co się da zrobić, jak tylko sytuacja się trochę uspokoi...

Jurij kiwnął głową i wrócił do swojego gabinetu. Kiedy po południu wchodził do bramy, miał wrażenie, że cała kamienica wali mu się na głowę. Nie wiedział, co robić. Zapukał do drzwi pani Metzger. Zadzwoił do niej wcześniej, żeby poinformować ją, co się stało, odpowiedziała mu głucha cisza przez kilka sekund, a później kliknięcie oznajmiające, że się rozłączyła.

Otworzyła Sarah; po jej czerwonych oczach było widać, że płakała.

– Pani jest w bibliotece – poinformowała przygnębiona. – Nie chciałam wychodzić przed pana powrotem. Bałam się zostawić ją samą.

Pani Metzger siedziała w swoim ulubionym fotelu, w którym całymi godzinami czytała lub szyła. Tym razem siedziała przy oknie bezczynnie, z dłońmi na podolku. Jurij podszedł do niej powoli. Nie poruszyła się, gdy wyczuła jego obecność. Dalej wpatrywała się w okno.

– Jakies nowe wieści? – spytał.

Pokręciła głową.

– Moja biedna córeczka – wyszeptała płaczliwie. – Co z nią będzie, Jurij? Moja kochana córeczka...

Przez chwilę stał obok niej, z tym samym bólem i bezradnością. Sarah miała wychodzić, gdy usłyszeli dzwonek. Wdowa i Jurij spojrzeli na siebie zdziwieni.

– Jejku, jejku, jejku! – Krzyki Sarah ich przestraszyły. – Proszę pani, proszę pani! Jest! Panna Krista wróciła...

Przy ostatnim zdaniu Jurij biegł korytarzem, a za nim wdowa, która zareagowała chwilę później. Gdy dotarł do drzwi, zobaczył Kristę z doktor Hotzfeld. Zatrzymał się przed nią na kilka sekund, patrzyli sobie w oczy.

– Jak się czujesz? – spytał, powstrzymując wzruszenie.

Kiwnęła głową i przytuliła się do niego, a on z czułością wziął ją w ramiona. Matka także domagała się uścisku. Krista była bardzo zmęczona. Sarah przygotowała jej kąpiel.

Gdy się myła i przebierała, w salonie, z filiżanką herbaty w dłoni, doktor Hotzfeld opowiedziała Jurijowi i pani Metzger, jak udało jej się dotrzeć do osoby – znanego adwokata – który mógł interweniować i doprowadzić do anulowania donosu na podstawie braku dowodów.

– Wie pani, kto złożył donos? – spytał Jurij.

– Podpisała się pod nim niejaka Ernestine Urlacher. Zrobiła to jako świadek zdarzenia, o które oskarżono Kristę. Twierdzi, że jest przyjaciółką Ilse Kube.

– Ernestine Rothman... – wyszeptała wdowa z przerażoną miną.

– Znają ją państwo? – zaciekawiała się doktor Hotzfeld.

Pani Metzger kiwnęła głową. Córka cukierników przyjęła przy ślubie nazwisko męża, Oskara. Dążenie do tego, by uchodzić za większą nazistkę niż ktokolwiek inny, wpędzało ją w stan ostrego delirium.

Doktor Hotzfeld mówiła dalej:

– Dyrektorka organizacji, do której należy, zapewniła mnie, że przeprowadzi postępowanie dyscyplinarne za złożenie fałszywego

donosu. Na razie tylko tyle można zrobić.

– Ale dlaczego? – dziwiła się wdowa. – Co ją do tego skłoniło? Moja niewinna córka mogła spędzić w więzieniu długie miesiące.

– Proszę nie szukać zdrowego rozsądku tam, gdzie jest tylko nienawiść, pani Metzger. Ta cała Ernestine to przodująca aktywistka, tyle mi powiedziano. Lepiej tego nie roztrząsać. Już po wszystkim. Krista jest w domu, wolna od wszelkich podejrzeń. A my powinniśmy o wszystkim zapomnieć.

– Zapomnieć? – spytała matka. – Jak można zapomnieć tyle cierpienia z ostatnich godzin?

– Pani Metzger, rozumiem pani wzburzenie, ale tak będzie lepiej. Muszę iść. Proszę powiedzieć Kriście, że jeśli chce, może wziąć kilka dni wolnego.

Jurij odprowadził lekarkę do drzwi i podziękował za pomoc.

– Byłam to Kriście winna – oznajmiła Anna Hotzfeld. – Ona codziennie dla mnie ryzykuje. Dbaj o nią, Jurij, to wyjątkowa kobieta.

Jurij był przygnębiony. Niesłusznie oskarżył Claudię. Usłyszał głos Kristy i wrócił do salonu, starając się wymazać z myśli swój poważny błąd.

Krista wróciła do pracy następnego dnia. Zamierzała zażądać wyjaśnień od Ernestine Rothman w sprawie fałszywego donosu, ale nie mogła tego zrobić, bo dziewczyna zniknęła z kamienicy i nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziała. Po jakimś czasie okazało się, że przeprowadziła się na pewien czas do teściów. Wiedziała, że została nakryta, i bała się zmierzyć z sąsiadkami.

Minęły ponad dwa tygodnie od tamtego zdarzenia; było sobotnie wczesne popołudnie. Jurij był sam na poddaszu, bo Kriście przypadł dyżur w szpitalu i miała wrócić dopiero następnego ranka. Villanueva zaproponował mu wyjście na kolację, a później na drinka, ale odrzucił

zaproszenie. Był bardzo zmęczony, chciał się wcześniej położyć; obiecał Kriście, że niedzielę spędzą za miastem.

Jurij czytał najnowsze wiadomości na temat olimpiady, która rozpoczęła się pięć dni wcześniej przybyciem znicza olimpijskiego wśród swastyk i sterowca Hindenburg latającego po berlińskim niebie. Zawstydzenie budziła służalcza akceptacja większości krajów, które, z wyjątkami takimi jak Hiszpania, uległy propagandowej machinie uruchomionej przez Hitlera w celu uzyskania poparcia dla swojej polityki antysemickiej, na czas igrzysk umiejętnie zakamuflowanej, żeby „nie przeszkadzała” zagranicznym gościom.

Tego dnia nagłówki wszystkich gazet informowały o trzecim złotym medalu dla Jesse'a Owensa, czarnoskórego północnoamerykańskiego biegacza, któremu, jak Jurij dowiedział się w ambasadzie, Hitler okazał pogardę, opuszczając trybunę, kiedy zaproszono na nią medalistę, żeby nie musiał uścisnąć mu ręki. Jurij za paradoks uznał to, że domniemaną wyższość rasową niemieckich sportowców zanegował nie kto inny, tylko czarnoskóry atleta.

Z lektury wyrwał go dzwonek telefonu. Niechętnie podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

– Jurij, tu Claudia.

Na dźwięk jej głosu wyprostował się w fotelu tak szybko, że gazeta spadła na podłogę.

– Claudia, czego chcesz?

– Jestem w domu, jutro wyjeżdżam.

– I po to do mnie dzwonisz?

– Jesteś mi winien przeprosiny... Oskarżyłeś mnie o coś bardzo poważnego. A okazało się, że pomyliłeś się co do mnie.

Zapadła cisza. Czekala, aż Jurij coś powie.

– W porządku. Pomyliłem się, przepraszam.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Nie, Claudia, nie mamy o czym rozmawiać.

– O czymś, co cię zainteresuje.

- Żadna z twoich spraw mnie nie interesuje.
- Nie musisz być dla mnie taki oschły... Nie zasługuję na to.

Cisza wstrząsnęła Jurijem. Odezwał się łagodnie, próbując przekonać kobietę:

– Przykro mi, Claudia, ale dla obojga jest lepiej, żebyśmy się nie widzieli.

– Nie chcesz się dowiedzieć, jak zginął twój przyjaciel Fritz Siegel?

To pytanie było jak zdradziecki cios w szczękę.

Jurij nie musiał dzwonić do drzwi Claudii: czekała na niego za nimi i gdy zszedł na jej piętro, otworzyła je cicho. Gdy wszedł, przekręciła zamek, odwróciła się i stanęła przodem do mężczyzny, patrząc na niego w lekkim półmroku korytarza.

– Mam nadzieję, że to prawda, co mówisz...

Przerwała mu, kładąc palec na jego wargach, żeby go uciszyć. Chwyliła go za rękę i zaprowadziła w głąb mieszkania. Poszedł za nią, wiedziony makabryczną ciekawością, czy rzeczywiście mówiła prawdę, czy była to jedynie przynęta. Przy szczelnie zamkniętych oknach w domu było bardzo gorąco. Domyślił się, że są sami. Zaniepokoił się, że wszystko to było pułapką. Dotarli do małżeńskiej sypialni, którą już znał, oświetlonej jedynie lampką na jednej z nocnych szafek. Wyszarpnął dłoń i zatrzymał się w progu, nie chciał wejść do pokoju. Ona podeszła do łóżka. W tej chwili zorientował się, że była boso. Na narzucie z adamaszku leżała mała otwarta walizka z idealnie ułożonymi ubraniami. Claudia się pochyliła i spomiędzy poskładanych części garderoby wyciągnęła teczkę w kolorze sepia. Dopiero wtedy się do niego odwróciła, pokazując mu ją.

– To teczka twojego przyjaciela Fritza Siegela. Tutaj jest spisane wszystko, przez co przeszedł od dnia zatrzymania, każde przesłuchanie, jego zeznania, każdy dzień aż do chwili śmierci i późniejszej kremacji. Pojawia się też twoje nazwisko.

Jurij się wzdrygnął. Kuszące było poznanie prawdy na temat ostatnich tygodni życia Fritza, dowiedzenie się, jak zmarł, kto się przyczynił do jego śmierci i jakimi kryteriami kierowało się wobec niego gestapo.

Można byłoby wszcząć postępowanie sądowe przeciwko winnym, choćby na poziomie informacyjnym, wywieźć te informacje z kraju i wykorzystać je do uderzenia przeciwko nazizmowi i jego metodom. To byłby dobry materiał dla zagranicznych dziennikarzy. Zaślepiiony ciekawością zrobił w jej stronę kilka kroków, przyciągany tą teczką, która mogła przynieść mu odpowiedzi na tyle niewyjaśnionych kwestii. Kiedy chciał ją chwycić, Claudia opuściła rękę i schowała ją za plecami. Spojrzała na niego z przebiegłym uśmiechem.

– Nie tak szybko, Jurij... Mocno ryzykowałam. Jeśli się dowiedzą, że ją wzięłam, jestem skończona.

Jurij patrzył jej w oczy. Była bardzo blisko, czuł ten jej zapach, który pozbawiał go silnej woli. Ona wyprężyła ciało. Jurij nie mógł się powstrzymać, jego wzrok powędrował do jej ust, które uśmiechnęły się zmysłowo, i nie był w stanie powstrzymać pragnienia, żeby spojrzeć niżej, na jej kuszący dekolt, który był zapowiedzią obfitego biustu. Zamknął oczy, próbując odzyskać utracone już panowanie nad sobą, i z przyspieszonym oddechem pokręcił głową.

– To niemożliwe, Claudio... Proszę, nie możesz mnie o to prosić.

– Potrzebuję cię, Jurij, duszę się bez ciebie, umieram z tęsknoty...

– Nie, nie, nie... – protestował z zamkniętymi oczami, bojąc się je otworzyć, żeby nie spaść w rozpościerającą się pod stopami przepaść. – Nie mogę jej tego zrobić, to by było nie w porządku...

– Ona ma cię zawsze, Jurij. – Jej głos był cichym, błagalnym szeptem. – Ja cię tylko proszę o parę okruchów miłości, coś twojego, dzięki czemu poczuję, że żyję... Tylko o to cię proszę, Jurij, tylko o to...

Poczuł dotyk jej dłoni na twarzy i ciepło jej miękkich warg muskających jego usta. Krew dudniła mu w żyłach, umysł krzyczał, żeby się zatrzymał, żeby uciekał przed tą pokusą; ale jego ciało już nie reagowało, tak jakby te mięsiste wargi wywołały zwarcie w jego woli, pozbawiły go zdolności decydowania.

Szybko, gorączkowo, nie odrywając się od siebie, zdjęli sobie nawzajem ubrania i przez długą chwilę ich ciała poruszały się jak szalone

w niepohamowanej namiętności. To kształtne ciało ocierało się o niego niczym pyton zamierzający go połknąć. Jurij nie był w stanie walczyć z taką pokusą, rzucił się na nią, aż w końcu oboje wyczerpani leżeli na łóżku, z przyspieszonym oddechem, spoceni. Walizka spadła na podłogę i ubrania wysypały się na dywan.

Oderwał się od jej nagiego ciała i leżał w milczeniu, patrząc w sufit, próbując zapanować nad nierównym oddechem. Ona leżała obok. Nie odzywali się do siebie przez długą chwilę, aż Jurij usiadł na krawędzi łóżka. Rozejrzał się za teczką i znalazł ją na podłodze, ale była pusta. Wstał i zaczął nią wymachiwać jak szpadą.

– Jesteś kłamczuchą!

Claudia podparła się w porozrzucanej pościeli, z uśmiechem na ustach, łokciem wbitym w materac i głową wspartą na dłoni, pokazując jędrną, aksamitną skórę i swoje idealne krągłości.

– Postąpiłaś ze mną haniebnie...

– Nie oszukałam cię, Jurij. W tej teczce było wszystko, co przydarzyło się twojemu przyjacielowi. Wszystko ma swoją cenę, a ja musiałam zadbać o to, żebym dostała zapłatę.

Jurij rzucił w nią teczką, a ona bez mrugnięcia powieką ją złapała.

– Ty kurwo! – wrzasnął z wściekłością.

Zaczął się ubierać. Był wściekły na nią i na samego siebie o to, że dał się omamić.

– Znów się co do mnie mylisz. – Jej ton był łagodny, co jeszcze bardziej go rozwścieczało. – Kurwa nie czułaby tego, co ja czuję do ciebie...

– Zamknij się! – przerwał jej, podnosząc głos. – Do nikogo nigdy nie czułem nienawiści, ale to, co mi zrobiłaś...

– Ja dotrzymuję danego słowa. – Wyprężyła się i sięgnęła do nocnej szafki po drugiej stronie łóżka, otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej gruby plik zapisanych na maszynie kartek. – Tutaj masz wszystkie dokumenty dotyczące Fritza Siegela. – Położyła je na łóżku, owinęła się kołdrą i wzięła paczkę papierosów z nocnej szafki. Zapaliła i oparła się plecami o zagłówek. Zaciągnęła się, nie odrywając od niego wzroku.

Jurij znieruchomiał na widok papierów w pomiętej pościeli. Pozapinał do końca spodnie i wziął plik kartek; usiadł na łóżku i zaczął je przeglądać. Było w nich wszystko od czasów sprzed zatrzymania: jego spotkania z Fritzem, nakaz aresztowania i wszystko, co wydarzyło się później. Serce mu zamierało przy każdej czytanej linijce, każdym napisanym zdaniu, każdym pytaniu, na które Fritz udzielił odpowiedzi. W myślach słyszał łamiący się głos przyjaciela, jakby przemawiał do niego tymi wystukanymi na maszynie zdaniami. Wzdrygnął się na widok podpisu Fritza, koślawych linii, z pewnością wymuszonych. Pod każdym przesłuchaniem widniała ranga i nazwisko funkcjonariusza. Na ostatniej karcie ze wszelkimi szczegółami opisano przyczynę śmierci: rozległe obrażenia po ciężkim przesłuchaniu, po którym z zadanych ciosów i tortur nie dało się go uratować; na końcu widniała przerażająca informacja: „Oficjalna przyczyna śmierci: rozległy zawał mięśnia sercowego”. Obok nazwiska Ulricha von Schönberga i jego stanowiska widniał jego podpis, z rozkazem natychmiastowej kremacji i zażądania od wdowy pokrycia wszelkich kosztów.

Kiedy w końcu oderwał wzrok od tych kart, poczuł na żołądku gorycz, jakby z każdą linijką przełykał gorzką miksturę.

Claudia przez cały czas siedziała za jego plecami, nie zmieniając wcześniejszej pozycji, przyglądała się mu. Podniosła się i oplotła go rękami, nagim ciałem przywierając do niego. Odezwała się ze skrucą, świadoma, że figuruje tam nazwisko jej męża, że to on jest odpowiedzialny za wszystko, co dzieje się w Dachau, także za brutalną śmierć Fritza Siegela:

– Przykro mi, kochanie... Przysięgam, że bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego. Gdybym mogła jakoś złagodzić twój ból...

Te słowa stały się preludium do pieszczot i pocałunków, którymi usiłowała zagłuszyć ból z powodu takiej podłości. Jurij położył się i pozwolił jej na wszystko, znów się jej oddając, świadomy, że posiadając jej ciało, w pewien sposób plami honor Ulricha von Schönberga. Zasnęli w objęciach, upojeni zmysłowością i zalewem miłości, wyłączeni

z rzeczywistości poza tym łóżkiem, poza tą sypialnią, nim i nią, jedynymi na świecie.

Kiedy Jurij otworzył oczy, szczeliny pomiędzy zasłonami zaczynały jaśnieć. Spojrzał na Claudię. Blond włosy rozrzucone na poduszce, łagodna twarz, jej wargi, jej ciało chłonna życie. Delikatnie odgarnął kosmyk, który opadł jej na twarz. Wstał bardzo powoli, żeby jej nie obudzić. Podniósł spodnie, a kiedy je zakładał, usłyszał za plecami słodki głos.

– Dziękuję za to...

– Claudio, proszę... Krista nie może się dowiedzieć...

– Niczego się nie dowie – przerwała mu z uśmiechem. – To będzie tylko nasze.

On kończył się ubierać, a Claudia pozbierała kartki i schowała je do teczki. Jurij wziął marynarkę, ale jej nie włożył. Ona znów usiadła i oparła się o zagłówek, z dokumentami obok.

– Chciałbym wziąć tę teczkę – oznajmił, wyciągając rękę.

– Nie możesz jej zabrać. Muszę ją odłożyć na miejsce. Przyjechałam do Berlina tylko po to, żeby ci ją pokazać, ale dużo ryzykuję, Jurij, i robię to dla ciebie. Mój mąż nie wie, że tu jestem. Wyjechał z obozu na trzy dni, a ja wykorzystałam okazję i przyjechałam, ale jeszcze dziś wracam, żeby odłożyć to na miejsce; inaczej czeka mnie ten sam los, co twojego przyjaciela Fritza, a nie możesz mi życzyć czegoś takiego.

Jurij przyglądał jej się przez kilka sekund. Z nagimi ramionami i rozpuszczonymi włosami była nieziemsko piękna i przyciągała go niczym potężny magnes. Zapragnął znów znaleźć się w jej ramionach, ale cofnął wzrok, odwrócił się powoli i skierował do drzwi. W progu zatrzymał się na kilka sekund.

– Dziękuję, Claudio... I przykro mi, że ty i ja... – Zacisnęła wargi i pokręcił głową z czułością. – Naprawdę mi przykro.

Ona obdarzyła go nieskończenie czułym uśmiechem i kiwnęła z wdzięcznością głową.

Jurij odwrócił się i szybkim krokiem pokonał korytarz, uwolniony od jej zniewalającego spojrzenia. Na klatce, za drzwiami mieszkania zamkniętymi za plecami, stał bez ruchu, ze spuszczoną głową, przytłoczony, jakby ciążyło mu sumienie. Zmęczonym ruchem włożył marynarkę, a kiedy podniósł wzrok, napotkał inny, obserwujący go w zdumieniu, nieruchomy.

– Krista...

Dopiero po tygodniu udało mu się z nią porozmawiać. Krista nie chciała go widzieć. Kiedy Jurij wchodził do mieszkania na śniadanie lub na kolację, ona już zdążyła wyjść albo chowała się w swoim pokoju i zamykała drzwi na klucz. Jurij był zrozpaczony, poczucie winy go przygniatało. Pani Metzger się nie odzywała, nie wyrażała zdania ani o nic nie pytała, nie wtrącała się i nie stawała po stronie żadnego z nich, usunęła się całkiem na bok i czekała z nadzieją, że kiedyś w końcu wyjaśni sobie to, co tak zraniło jej córkę. Cierpiała z powodu obojga.

Jurij nie mógł wytrzymać już dłużej, musiał jej to wyznać, prosić o przebaczenie, wyjaśnić to, czego wyjaśnić się nie dało. Któregoś popołudnia postanowił usiąść na schodach przy drzwiach pani Metzger i czekać na powrót Kristy. Upłynęły ponad dwie godziny, zanim w bramie rozległo się powolne stukanie obcasów, przybliżające się stopień po stopniu. Wstał i wychylił się poza poręcz, żeby sprawdzić, czy to ona. Czekał na nią, stojąc. Kiedy dotarła na koniec ostatniego zabiegu schodów, podniosła głowę i go dostrzegła. Bez ruchu przyglądała mu się przez kilka długich sekund. Nie odezwała się; znów spuściła wzrok i zaczęła pokonywać ostatnie dzielące ją od drzwi mieszkania stopnie. Kiedy znalazła się przed nim, musiała się zatrzymać, bo Jurij zaszedł jej drogę.

– Krista, błagam cię, pozwól mi wytłumaczyć.

– Nie ma czego tłumaczyć, Jurij. Ta kobieta zwyciężyła.

– Nie, nieprawda. Nie zwyciężyła, bo nie rywalizuje. Tylko ty się dla mnie liczysz. Musisz mnie wysłuchać, proszę cię... Chcę ci opowiedzieć, co się stało.

– Nie chcę tego słuchać. Nie rozumiesz? Boli mnie sama myśl o tym...

Stali bardzo blisko siebie, on – stopień wyżej od niej.

– Krista, błagam cię, pozwól, żebym uleczył twoje rany... – Jego błagalny ton był właściwie szeptem. Bardzo powolnym, wyważonym ruchem dotknął jej włosów, a ona go nie odrzuciła. Jurij zorientował się, że jest bliska płaczu, z grymasem na twarzy, z cierpieniem, które bolało go tak, jakby miał w duszy płonące węgle. – Proszę, Krista, pozwól mi wytłumaczyć...

Po kilku sekundach zgodziła się wejść na poddasze. Szli powoli, stopień za stopniem, jakby się bali, że zniszczą coś cennego, jeśli się potkną. Poprosił, żeby usiadła, ale ona pozostała na środku pokoju, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby było jej zimno mimo panującego upału, jakby nie była pewna gruntu, po którym stąpała. Jurij patrzył na nią z dłońmi w kieszeniach spodni, zgarbiony. Zaczął mówić czystym, opanowanym głosem. Opowiedział, jak się pomylił, dzwoniąc do Dachau i oskarżając o donos Claudię, o propozycji przejrzania dokumentów dotyczących Fritza, ze szczegółami przytoczył jej ich treść, jak zmarł Fritz i kto ponosił za to bezpośrednią odpowiedzialność. Ona mu się przyglądała. Nie przerywała mu, jakby czekała na prawdziwe wyjaśnienie. Jurij zauważył to oczekiwanie. Odwlekał to, aż nie miał wyjścia i musiał wyznać jej całą prawdę na temat związku, który łączył go z Claudią, zanim poznał Kristę.

– Teraz wszystko rozumiem – wyszeptała z poważną miną.

– Przyrzekam, że to wszystko skończone.

– Przecież spędziłeś z nią noc.

Jurij odwrócił wzrok.

– Przepraszam... – wybełkotał zawstydzony. – Przepraszam...

Przepraszam...

– Ciągłe jesteś w niej zakochany?

Teraz szybko spojrział w jej źrenice, żeby prawdę powiedzieć jej prosto w oczy.

– Krista, ty jesteś jedyną kobietą mojego życia, jedyną, która się dla mnie liczy...

– Ona jest ciągle w tobie zakochana – odparła, nie wierząc w jego słowa.

– To nie mój problem – przerwał jej. – To nie nasz problem, Krista. Ja kocham tylko ciebie. Szaleję za tobą.

– Jak mam ci wierzyć, Jurij? Jak mam wierzyć, że mnie kochasz, skoro przespałeś się z tą kobietą? Jak, twoim zdaniem, mam z tym żyć?

– Wyjdź za mnie, Krista, pobierzmy się... Chcę resztę życia spędzić przy tobie... Nie marzę o niczym innym, jak o tym, żeby cię uszczęśliwić.

Patrzyła na niego wyczerpana. Kręciło jej się w głowie. Była bardzo zmęczona. Sytuacja w szpitalu coraz mocniej się komplikowała, z każdym dniem rosła presja i nieufność, strach przed zrobieniem fałszywego kroku i upadkiem w niebezpieczną przepaść. Wszędzie było pełno szpiegów, konfidentów, nawet dzieci szpiegowały rodziców i na nich donosiły. Chciała wierzyć temu mężczyźnie, kochała go całym sercem, bolała ją zdrada, ale była przekonana, że nie jest w stanie przeżyć tego wszystkiego bez niego.

Jurij przysunął się do niej. Nie dotykając jej, powtórzył pytanie:

– Krista, chcesz za mnie wyjść?

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Zrobiła krok w jego stronę, objęła go i przytuliła twarz do jego piersi.

– Jurij, tak cię kocham... – powiedziała drżącym głosem. – Tak, chcę... Kochany mój, chcę...

Po czułym spotkaniu z Jurijem Claudia jeszcze tego samego ranka, bardzo wczesnie i ostrożnie, wyjechała do ciemnego i bezdusznego domu w obozie w Dachau, w którym nieziemsko się nudziła. Była w nim sama przez cały dzień, czekając na powrót Ulricha, który zwykle przychodził

bardzo późno, często pijany i w ordynarny sposób zmuszał ją do kontaktów szybkich, bolesnych i upokarzających. Ostatnimi czasy Ulrich zgorzkniał, pił i jadł za dużo i prawie nie spał; stał się wybuchowy, brutalniejszy. Odłożyła do archiwum teczkę z dokumentami Fritza Siegela tak, żeby nikt się nie zorientował. Jednak po powrocie męża jego osobisty asystent poinformował go o niespodziewanej dwudniowej nieobecności żony w obozie, której prawdziwego powodu nie znał. Ulrich nic jej nie powiedział. Chciał przeprowadzić własne dochodzenie i zadzwonił do teściowej, żeby spytać, czy Claudia odwiedziła dziecko; wykluczenie jedyne dopuszczalnego powodu go rozwścieczyło. Kiedy wrócił z kolacji z kilkoma funkcjonariuszami SS, Claudia zauważyła, że jest bardziej agresywny niż zwykle: nie chciał seksu, zachowywał się inaczej i to wzbudziło jej czujność. Zażądał wyjaśnień, których nie była w stanie mu udzielić. Tamtego wieczoru się na nią wściekł; pobił ją do nieprzytomności. Całą noc leżała na podłodze, a on odsypiał pijaństwo w łóżku. Kiedy odzyskała przytomność, miała rozciętą wargę i opuchnięte oko, które zaczęło już sinieć. Zbadał ją lekarz, nikt nic nie powiedział, ona też nie.

Kilka tygodni później usłyszała to, na co tak czekała: znów była w ciąży. Mogła wrócić do Berlina, do swojego mieszkania, uciec od mężczyzny, którego coraz bardziej nienawidziła. Dzięki ciąży odzyskała władzę nad mężem. Zachowanie Ulricha się zmieniło; znów hołubił ją jak królową, dbał o nią z przejęciem. Claudia wydobrzała i znów stała się taka, jak zwykle, bardziej wyniosła, bardziej nazistowska, bardziej nieprzystępna niż wcześniej, a dzięki tej fasadzie mogła znosić ukłucie na widok Jurija obok Kristy, zwłaszcza kiedy wśród sąsiadów rozniosła się wiadomość o zaręczynach. Claudia zwróciła się po pomoc do swojego brata Franza, teraz już członka SS. Od katastrofy latem 1934 roku, kiedy zatrzymano i stracono wszystkich dowódców SA uważanych za wrogów Hitlera, pozycja Franza w tej grupie szturmowej zdeprecjonowanej przez partię nazistowską stała się jednym z najważniejszych zmartwień matki Claudii, która rozpoczęła krucjatę

we wszystkich dostępnych jej instancjach, żeby załatwić Franzowi przyjęcie do Schutzstaffel, SS, oddziału ochronnego, który Führer darzył coraz większą estymą i która znacznie poszerzyła swoje wpływy na wszystkich płaszczyznach.

Sam Ulrich pomógł Franzowi napisać lebenslauf, życiorys niezbędny do wniosku o przyjęcie. Na zapisanej odręcznie po obu stronach kartce mężczyzna wyłuszczał, drobnym, niepewnym pismem, powody, dla których SS powinna go przyjąć w swoje szeregi. Po kilku miesiącach raportów i rozmów, dzięki uporowi Eriki Kahler, połączonej z idealną genealogią, Franzowi Kahlerowi udało się wstąpić do SS.

– Trzeba zapobiec temu małżeństwu za wszelką cenę – oznajmiła Claudia bratu podczas jednej z jego wizyt. Mówiła z wściekłością, wiedząc, że tylko w ten sposób może wyładować frustrację.

– Niczego bardziej bym nie chciał, siostrzyczko – zapewnił Claudię brat, gdy któregoś dnia ją odwiedził. – Ta kobieta doprowadza mnie do szaleństwa, zdobyłbym ją, gdyby nie to, że jest ogłupiona z powodu tego cudzoziemca. Głupia nie wie, co traci; gdyby wybrała mnie... – powiedział zarozumiale.

– Nie! To nie ona traci! Nie rozumiesz? – Podeszła do niego i palcem wskazującym zaczęła uderzać go w pierś wraz z każdym wypowiedzianym słowem. – Tracisz ty i tracą Niemcy! Ta kobieta nie może się związać z tym Jurijem Santacruzem... Nie powinna. Jest Niemką, czystą Aryjką, która powinna dać dzieci Trzeciej Rzeszy. – Claudia doskonale знаła odpowiednie argumenty, żeby skłonić brata do realizacji jej planu. – Czystość naszej rasy jest ważniejsza niż wszystko inne, nawet to, co jej się może wydawać miłością. Pozwolilibyśmy, żeby wyszła za Żyda? A pozwolimy, żeby wzięła ślub z jakimś obcokrajowcem? Prawo jest po naszej stronie. Zrób wszystko, co będzie trzeba, żeby nie dopuścić do tego, żeby ta kobieta się zmarnowała przy nie-Aryjczyku.

Franz zastanowił się nad jej słowami. Krista nadal go pociągała, była jak szalejące źrebię, a jego podniecała myśl o tym, że miałby ją okiełznać.

– Mogę kazać aresztować tego kretyna – powiedział. – Mógłbym załatwić, żeby go wyrzucili z kraju. Mamy do tego podstawy prawne.

– Niech ci to nawet nie przyjdzie do głowy. Nie chcemy problemów z hiszpańską ambasadą. Poza tym kto ci zagwarantuje, że ona nie poleci za nim jak suka w rui? – Konflikty dyplomatyczne były Claudii obojętne. Wiedziała, że nie chce, żeby Jurij był daleko, tylko z dala od Kristy. – Posłuchaj mnie uważnie, Franz, chcesz tej kobiety. Walcz o nią, musi być twoja. Masz do tego prawo.

– Powiedz mi w końcu, o co ci chodzi. Jeśli będę mógł, na pewno to zrobię.

– Nie chcę, żeby Jurij Santacruz wyjechał – powiedziała ściszym tonem, jakby myśli wymknęły jej się z ust. – Chcę, żeby Krista Metzger wyszła za ciebie. Rozumiesz?

– Rozumiem, siostrzyczko... Doskonale rozumiem.

Kiwnęła głową, spokojniejsza. Myślała o nich dzień i noc, szpiegowała, kiedy wychodzili i wracali, wyobrażała ich sobie kilka metrów nad nią, w objęciach, dzielących życie. Czasami budziła się z przerażeniem, kiedy w snach usiłowała go dosięgnąć, i gdy była o krok, on oddalał się coraz bardziej, aż w końcu zniknął, a ona spadała w głęboką i ciemną przepaść.

Tę drugą ciężę znosiła o wiele lepiej niż wcześniejszą; pozwalała jej prowadzić normalne życie, uczestniczyć w zebraniach, spotykać się w stowarzyszeniach, do których należała, pojawiać się na pełnych przepychu przyjęciach pod rękę z mężem. Mogło się wydawać, że jest wpływową panią świata, ale ten jej świat był pusty, bo nie miała mężczyzny, którego kochała.

Pod koniec kwietnia 1937 roku Claudia wydała na świat piękną dziewczynkę, blondynkę o białej skórze i z jasnymi oczami, dokładnie taką jak ona sama, kiedy się urodziła, jak stwierdziła szczęśliwa babcia od strony matki.

Dali jej na imię Jenell.

Państwo w coraz bardziej dokuczliwy sposób wtrącało się w codzienne życie obywateli, a mimo to większość społeczeństwa godziła się z tym właściwie bez słowa skargi, tłumacząc sobie, że jest dobrze: jest praca, porządek społeczny, zniknęła niestabilność polityczna, choć równowagę sił wprowadzono przy pomocy jednoosobowego przywództwa. Hitler wyrósł na Führera Niemiec dzierżące władzę absolutną, cieszącego się niepodważalnym autorytetem, uważanego za człowieka nieomylnego, który osobiście podejmuje najbardziej kluczowe decyzje rządowe.

Myśl, że nielojalni Niemcy mogliby wszcząć spontaniczną rewolucję, która definitywnie pozbawiłaby władzy nazistów, z czasem przekształciła się w nieosiągalną mrzonkę. Machina strachu działała bardzo skutecznie i tłumiła wszelkie żądania czy bunty. Jednak pewne ledwie zauważalne rysy dowodziły, że, choć z pozoru nikt na nic nie reagował, miał miejsce przepływ tajnych informacji, od anonimowego powiadomienia, jakie otrzymywał ten, kto miał być zatrzymany, aby dać mu czas na ucieczkę, po rozmaite tajne szlaki biegnące przez kraj, z których często korzystał Jurij, na zlecenie Villanuevy wywożąc ludzi, pieniądze, wiadomości i wrażliwe dokumenty. O tych rysach wiedział także Himmler, dyrektor czarnej gwardii SS, i martwiąc się o bezpieczeństwo i zaciekle dążąc do wyeliminowania wszelkiej opozycji, powziął środki, aby wzmocnić i chronić państwowe struktury. Uruchomiono kolejne obozy koncentracyjne, a więźniów zaczęto traktować w sposób zdecydowanie gorszy, rozwinęła się sztuka szpiegowania, zwiększyła się liczba donosów wśród lojalnego społeczeństwa, utworzono straż, która kontrolowała budynki i bramy, wzrosła liczba wyroków śmierci przy użyciu brutalnych metod, takich jak dekapitacja, na podstawie niedorzecznych i niesprawdzonych oskarżeń.

Krista zaliczała się do grupy milczących buntowników, próbujących po cichu podkopywać masowo wprowadzane nowe przepisy, opierając się ingerencji w najbardziej intymne sprawy, jak na przykład ustanowienie podatku dla nieżonatych i niezamężnych Aryjczyków i innego dla

małżeństw bezdzietnych; forma ukarania tego, co uważano za obrzydliwy egoizm mężczyzn i kobiet pozostających w stanie wolnym lub już po ślubie decydujących się na bezdzietność. Dla Rzeszy takie podejście oznaczało kompletną pogardę dla solidarności narodowej. To wszystko denerwowało Kristę.

– Usiłują nam dyktować nawet to, czy mamy mieć dzieci – powiedziała znad gazety pozostawionej przez matkę. – Nie mogę uwierzyć, dokąd zabrnęliśmy i na co my, Niemcy, się zgadzamy.

– Ciebie na pewno ukażą za to, że jesteś panną – dodała matka, podając kawę.

– Chcę wyjść za mąż, mam, ale wygląda na to, że to niewykonalne. – Westchnęła. – Na każdym kroku kłody pod nogi.

– Nie załatwisz niczego, jeżeli ciągle będziesz się opierać przed załatwieniem Ahnenpass.

– Nikomu nie muszę udowadniać aryjskiego pochodzenia.

– Owszem, musisz – odparła matka. – Czy ci się to podoba, czy nie, Krista, przepisy to przepisy, a bez tego zaświadczenia nie dość, że nie weźmiesz ślubu, to w końcu wyrzucą cię z pracy – dodała stanowczo, ścisząc głos.

– To wszystko jest nie do zniesienia. – Krista spojrzała w sufit.

– Mów ciszej.

– Mam mówić ciszej? – spytała oburzona, lekceważąc ostrzeżenie matki. – Od kiedy tak żyjemy? Kiedy odebrano nam wolność mówienia we własnym domu?

Matka przyglądała jej się z niepokojem na twarzy.

– Krista, na litość boską, mów ciszej. – Wstała zdenerwowana i przeszła na drugi koniec pokoju, żeby przykryć telefon poduszką, po czym wróciła do stołu. – Podobno podsłuchują wszystko przez telefon – wyszeptała pani Metzger, gdy już usiadła. – Nawet nieużywany. Trzeba zachować ostrożność, córko, nie chcę kłopotów.

– To istna groteska – skwitowała Krista, wściekła z powodu postawy matki.

Przez kilka sekund milczała, zaciskając szczękę, jakby powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć. Nagle wstała i podeszła do szuflady szafki; wyciągnęła mosiężną szkatułkę i zaniósła ją na stół, żeby pokazać matce. Był w niej tuzin nazistowskich symboli.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego trzymasz te śmieci?

Matka zaczerwieniła się, zawstydzona jak dziecko przyłapane na złym postępku; rzuciła okiem na plakietki w różnych kształtach, ale wszystkie ze swastyką.

– To datki – wyszeptała.

– Przekazujesz datki na wspieranie tego szaleństwa, mamó? – Krista nie była w stanie zapanować nad wzburzeniem.

Spojrzenie matki było odbiciem jej upokorzenia.

– W kamienicy o tobie gadają, że chcesz wyjść za cudzoziemca, że nie należysz do partii, wszyscy wiedzą, że nie popierasz Hitlera... – Pokręciła głową. – I wielu nie może ci tego wybaczyć...

– A ty, mamó? Ty mi wybaczasz?

Matka uniosła brwi z melancholijną miną, jakby nagle poczuła się bardzo zmęczona.

– Jesteś moją córką, nie mam ci czego wybaczać. Ale dzięki tym plakietkom na klapie idę po ulicy z podniesioną głową, ludzie się ze mną witają, unikam przykrości: nie odwracają się ode mnie, nie wyrzucają ze sklepów i nie patrzą jak na trędowatą. Żeby tego wszystkiego uniknąć, nie mam wyjścia i muszę nosić te znaczki.

Krista wysłuchiwała słów matki ze zdumieniem.

– Mamó... Nie wiedziałam... Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– A co ci miałam powiedzieć? Że ludzie gadają? Jesteś moją córką i jeśli muszę wpłacać darowizny, żeby zamknąć ludziom usta, to będę je płacić choćby i samiuśkiemu diabłu. – Spojrzała na stertę plakietek w skrzynce i z hukiem zamknęła wieczko, jakby ich widok ranił jej oczy. – Nie przeżyłabym, gdyby coś ci się stało.

Krista czuła, jak cierpienie matki przenika jej sumienie niczym grot żelaznej strzały. Od czasu aresztowania żyła w ciągłym napięciu,

nieustannie się o nią bojąc, niespokojna za każdym razem, gdy wychodziła z domu, aż do jej powrotu, nie mogła spać i miała podkrążone oczy. Ze smutkiem patrzyła, jak gaśnie wigor matki i jej siła ducha, które zawsze ją cechowały. Nawet śmierć ojca nie doprowadziła do takiego załamania jak ta dziwna sytuacja panująca w Niemczech.

Chciała okazać jej czułość i żal, że na nią naskoczyła. Wyciągnęła rękę i z uśmiechem chwyciła jej dłoń.

– Nie martw się, mamó, jestem bardzo ostrożna. Ale ty... Przykro mi, że musisz to wszystko znosić. Przeze mnie.

– Nie, córeczko, nie obwiniaj się. Coraz trudniej trzymać się z boku. Osaczają nas, Krista... I nie mamy dokąd uciec.

Spuściła wzrok i jakby miała pokazać jej coś złego, wsunęła dłoń do kieszeni i wyciągnęła z niej kartkę z oficjalną pieczęcią; podała ją córce po chwili wahania.

– Dostałam dwa dni temu... – załamał się jej głos. – Nie wiem, co robić...

Krista przeczytała: „Zgodnie z ustawą o rentach wdowich wzywa się panią do odpowiedzi na poniższe pytania w sposób szczegółowy i zgodny z prawdą...”.

Poniżej widniała długa lista pytań, w większości podchwytliwych i z politycznym podtekstem.

– Co to jest? – spytała zdumiona.

– Widzisz, ankieta, którą muszę wypełnić.

Na końcu kwestionariusza, niczym posłowie do litanii pytań, zamieszczono tekst, w którym za rzecz oczywistą przyjmowano poparcie zainteresowanej dla rządu Trzeciej Rzeszy oraz absolutną lojalność wobec Führera, Adolfa Hitlera.

– Zamierzasz odpowiedzieć? Nie możesz dać się wciągnąć w ich grę...

– Jeśli tego nie zrobią, zabiorą mi rentę. I obie znajdziemy się w niebezpieczeństwie.

Kriście pękało serce na widok matki w takim położeniu. Buzowała w niej wściekłość. Z trudem znosiła ten cios poniżej pasa.

– To wszystko jest takie chore...

Pocałowała matkę w rękę i pogłaskała nią swój policzek, wywołując na jej twarzy uśmiech, który zdołał zatrzeć gorycz. Złożyła kartkę i oddała matce.

– Jeśli chcesz, pomogę ci przy odpowiedziach.

Pani Metzger uśmiechnęła się ze smutkiem, chowając pismo do kieszeni. Przysunęła stojący na stole talerz z biszkoptem.

– Zjedz coś, córeczko, jesteś strasznie chuda. – Podała kawałek ciasta na talerzyku.

Krista wzięła go niechętnie do ust i przeżuwała.

– Ale mi brakuje ciast Lilli Rothman...

W tej chwili weszła Sarah z kolejną kawiarką z gorącą kawą i postawiła ją na stole.

– A właśnie – powiedziała ostrożnie gospoia, jakby prosiła o pozwolenie, żeby coś powiedzieć. – Wróciła Ernestine Rothman. Widziałam ją dziś wczesnie rano, jak wychodziła sama szybkim krokiem. Bardzo przytyła i chyba urodziła dziecko, bo z mieszkania dochodził płacz niemowlęcia.

Pani Metzger spojrzała na córkę.

– Nic jej nie mów, Krista, błagam cię, zostaw tę sprawę w spokoju. Nie warto.

– Masz rację, mamó. – Wysiliła się na uśmiech. – Nie warto.

Odkąd przeszła przez lochy gestapo, Krista żyła w ciągłym napięciu, każdy dzwonek telefonu i każdy otrzymywany w szpitalu list z ministerstwa przyprawiał ją mimowolnie o dreszcz. Żyła w ciągłej opresji, strachu i czujności, a oddychała dzięki Jurijowi.

Kiedy listonosz dostarczył telegram od jego siostry, Katii, Jurij wiedział, że przynosi złe wieści. Jego ojciec zmarł, ale nie wskutek choroby, która trawiła go w ostatnich latach, lecz zmiądzony przez bombę. Nie zginął sam, towarzyszyła mu stara Swieta. Miguel Santacruz miał trudności

w chodzeniu, co nie pozwoliło im opuścić mieszkania na tyle szybko, żeby zdążyli zejść do schronu. Dosięgła ich bomba zrzucona przez niemieckie junkersy, które od miesięcy wspomagały i wspierały zbuntowaną armię, tę samą, której broniła większość jego kolegów pracujących w ambasadzie pod wodzą ambasadora Agramonte.

Przeczytał ten kawałek kartki kilka razy, dwa urywane zdania niosły smutną wiadomość: o śmierci dwóch osób i jednej brutalnej ich przyczynie. Nagle zalała go lawina sprzecznych odczuć. Poczucie winy, które starał się wypierać przez wszystkie te lata obojętności, runęło na jego sumienie, ciężkie niczym ołów. Poczł silny ucisk w piersi, wylewające się emocje. Czuł, że się dusi. Odwrócił się, żeby spojrzeć na zdjęcie matki i brata; gorzki płacz jeszcze bardziej rozmazał ich nieostry obraz. Opadł na fotel, wsparł łokcie na kolanach, ukrył twarz w dłoniach i łapczywie nabierał powietrza. Z jego umysłu wypływały tysiące pytań bez odpowiedzi, nagromadzonych przez lata milczenia; pytań, które pozostaną zagadką na zawsze.

Po chwili, gdy lekko ochłonał, rozejrzał się wokół siebie, jakby znajdował się w obcym miejscu. „Powinienem tam być”, wyszeptał, „gdybym był z nim, nie zachorowałby; gdybym został przy nim, może zdołałbym go uratować; powinienem tam być”, niczym mantrę szeptał te słowa przez zaciśnięte zęby. W końcu otarł łzy i zadzwonił do Villanuevy, żeby przekazać mu wiadomość.

– Bardzo mi przykro, Jurij. Coś takiego miało prawo się wydarzyć. – Zamilkł na chwilę. – Chyba nie myślisz o podróży do Madrytu? – Nie czekając na odpowiedź, zaczął myśleć o argumentach, by go od tego odwieść. – Miasto od miesięcy jest oblężone przez oddziały Franco.

– Powinienem pojechać dawno temu... – przerwał mu Jurij, z wargami przyklejonymi do słuchawki.

– Jurij, twój ojciec był dobrym człowiekiem. Niech ci to wystarczy. Nic już dla niego nie możesz zrobić.

Santacruz zamknął oczy i odchylił głowę ze zboląłą miną, jakby rozpadał się od środka.

– Czuję się podle... – Było słyhać, że jest wyczerpany. – Jestem podły... Powinienem tam być.

– Obwinianiem się teraz nic nie zmienisz. – Villanueva z niepokojem wyczekiwał odpowiedzi po drugiej stronie słuchawki. Tego ranka był bardziej niż zwykle zdenerwowany, gestapo nękało kilku pracowników jego lokali, doszło do aresztowań i Volker się bał. – Jurij, Jurij. – W jego tonie pobrzmiwały niecierpliwość i strach. – Posłuchaj mnie. Twój ojciec był chory od jakiegoś czasu, rozmawialiśmy o tym wiele razy. Może wyda ci się brutalne to, co powiem, ale moim zdaniem to najlepsze, co się mogło stać; konsekwencje tej choroby są druzgocące dla niego i dla tych, którzy są blisko.

– Nie dla mnie. Ja nigdy nie byłem blisko niego. Odsunąłem się i obwiniłem go o wszystko.

Zapadła głęboka cisza. Villanueva westchnął.

– Chyba nadeszła pora, żebyś poznał prawdziwy powód, dla którego twój ojciec nie chciał słyseć o twojej matce ani o Rosji.

W tej chwili usłyszeli dzwonek.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Co pan wie o moim ojcu?

– Opowiem ci, jak przyjdiesz.

Villanueva się rozłączył, a on stał bez ruchu ze słuchawką przyklejoną do ucha, czekając bezsensownie, aż natarczywy dzwonek rozbrzmiał ponownie. Wtórowało mu niecierpliwe pukanie.

Jurij w końcu odłożył słuchawkę, wziął głęboki oddech i podszedł do drzwi.

– Dzień dobry, towarzyszu Juriju Michajłowiczu.

Minęły cztery lata od ich pierwszego i jedyne go spotkania. Obraz Vadima Sokołowa, jaki zachował Jurij, zdecydowanie odbiegał od widoku mężczyzny, którego miał przed sobą, szczuplejszego, z nieco wyostrzonymi rysami, ubranego w garnitur z taniej flaneli, koszulę z przetartym kołnierzykiem i kapelusz z plamami od potu. Bez porównania z eleganckim smokingiem, w którym brylował na przyjęciu u von Schönbergów w marcu 1933 roku.

– Przychodzę nie w porę, towarzyszu? – spytał Rosjanin, widząc zdumienie Jurija.

– Właśnie dostałem złe wieści z Hiszpanii...

Sokołow dotknął róna kapelusza, odchylając go lekko, a później przesunął z powrotem w poprzednie miejsce. Uniósł brwi, nim się odezwał:

– Złe czasy dla Hiszpanii i Hiszpanów. – Wobec milczenia i bezruchu Jurija Sokołow gestem wskazał wótrze poddasza. – Mogę?

Jurij wpuścił go i zamknął drzwi. Stojąc nieruchomo, obserwował Rosjanina, który wolnym krokiem wszedł do mansardy, rozglądając się z zaciekawieniem i bez najmniejszego skrępowania. Odwrócił się i z zadowoleniem kiwnął głową.

– Macie bardzo wygodny i ciepły dom, towarzyszu. Gratuluję.

– Dziękuję, Sokołow. Proszę powiedzieć, co pana sprowadza. Ma pan jakieś wieści o mojej matce?

– O niej nie – odpowiedział ze złośliwym uśmieszkiem. – Ale o waszym bracie.

Jurij podszedł do niego z nadzieją i niepokojem na twarzy.

– Kolia! Wie pan coś o nim? Czego się pan dowiedział?

– Wszystko w swoim czasie, towarzyszu, wszystko w swoim czasie.

Jurija denerwowało, że nazywa go „towarzyszem”, a w zakłopotanie wprawiało go przede wszystkim to, że zwracał się do niego w drugiej osobie liczby mnogiej – za tą bolszewicką taktyką wymuszonej zażyłości kryła się jedna z wielu metod podporządkowania; mimo to nie zaprotestował. Rosjanin odwrócił się do niego plecami i kontynuował beczelną inspekcję jego mieszkania, zajrzał nawet do sypialni. Jurij domyślił się, że sprawdza, czy w domu nie ma nikogo poza nimi. Sokołow podszedł do radia na komodzie, wcisnął guzik i wszystko spowił głos Brigitte Horney śpiewającej *So oder so ist das Leben*. Odwrócił się do niego z uśmiechem.

– Dzięki temu nikt nas nie usłyszy. – Podszedł i stanął tuż przed nim, z ostrym, badawczym spojrzeniem. Jego oddech cuchnął alkoholem.

– Zastanawiam się, dlaczego nie przyjechaliście do Moskwy, kiedy was zaproszono.

– Nie powiedziałbym, żeby to było zaproszenie, raczej rozkaz.

– A rozkazy się wykonuje – skwitował Rosjanin.

– Nie jestem zatrudniony w Łubiance, nie mam żadnych zobowiązań ani wobec nich, ani wobec pana.

Sokołow nie dawał za wygraną.

– Jest jakiś ważny powód, dla którego nie wybraliście się w tę podróż?

– Dlaczego miałbym się panu tłumaczyć? – odparł Jurij, parszcząc niespokojnym śmiechem.

– Bo byłoby to wskazane? – spytał Rosjanin ze wzrokiem tryskającym złościwością. – Wasza matka, wasz brat... Czy to dla was wystarczający powód?

Jurijowi uśmiech zamarł na twarzy. Przez kilka sekund zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu postanowił powiedzieć prawdę.

– Szczerze mówiąc, byłem nieufny.

Sokołow przyglądał mu się, patrząc karcącym wzrokiem.

– Powinniście to zrobić. Jeżeli chcecie poznać losy rodziny, nie macie wyjścia, musicie mi zaufać.

– Co pan o nich wie? – spytał ponownie.

Sokołow wykrzywił wargi w grymasie i kiwnął głową.

– Informacje sporo mnie kosztowały.

– Ile pan chce? Powiedziałem, że zapłacę, ile będzie trzeba.

– A ja wam powiedziałem, że nie chodzi o pieniądze.

– Czego pan ode mnie chce?

– Proste. Informacja w zamian za informację.

– Nie wiem, jakie informacje mógłbym panu przekazać.

– Towarzyszu Juriju Michajłowiczu, nie doceniacie się. Pracujecie w ambasadzie Hiszpanii i, jak dobrze wiecie, ambasador opowiedział się po stronie zbuntowanej armii Franco, nawiązując kontakty z nazistami i dając im wszelkie informacje, dzięki którym zabijają Hiszpanów takich jak wasz ojciec.

– Skąd pan wie o śmierci mojego ojca? – spytał Jurij, nie dowierzając temu, co usłyszał.

Sokołow, z przebiegłym uśmiechem, rozpostarł dłonie, jakby chodziło o coś oczywistego.

– Złe wieści z Hiszpanii... – powtórzył powoli z ironiczną miną. – Nietrudno się domyślić. Nie trzeba być wielce przebiegłym. – Zmienił wyraz twarzy na nieco bardziej neutralny, szukając argumentów, które przekonałyby Jurija. – Towarzyszu Juriju Michajłowiczu, sądzę, że się nie mylę, biorąc was za mężczyznę prawego, i wątpię, żebyście się zgadzali z tym, że ambasador, który zdradził Republikę i rząd, który go mianował, pozwala teraz, żeby naziści wykorzystywali wojnę w Hiszpanii jako poligon ćwiczebny dla własnej broni. Ciekawe, że Hiszpania zapewnia konflikt, pieniądze, terytorium i ponosi ofiary... Trzeba przyznać, że naziści umieją wykorzystać sytuację. Wojna w Hiszpanii spadła Hitlerowi z nieba. A co wy o tym wszystkim sądzicie?

– Od dawna trzymam się z dala od polityki, nie jestem ani za nazistami, ani za bolszewikami.

– Nikt nie jest z dala od polityki, nie da się od niej uciec; ustawy, które porządkują nasze życie, przepisy organizujące współistnienie, sprawiedliwość, która nas chroni, każdy stawiany przez nas krok wynika z polityki. Nie możecie siedzieć z założonymi rękami, kiedy nazistowskie junkersy zabijają waszą rodzinę w Hiszpanii. Chyba że tamci mniej się dla was liczą niż ci z Rosji.

– Przepraszam, ale ta sprawa pana nie dotyczy.

Jurij czuł się dotknięty, bo ten mężczyzna miał rację, trafił w samo sedno jego najskrytszych obaw: tyle czasu poświęconego na szukanie tych, którzy pozostali w Rosji, a przy okazji porzucenie tych, którzy zostali w Hiszpanii, którym oprócz niewielu listów poświęcił tylko jedną kilkudniową wizytę. Teraz już było za późno. Ojciec zmarł i nie było szans na naprawienie tego, co powinien naprawić dawno temu.

– Zrobimy jedną rzecz, towarzyszu Juriju Michajłowiczu: zdobędziecie informacje z ambasady i w zamian za to będziecie mieli szansę spotkać się z bratem Kolią.

– A co z moją matką?

– Po kolei, towarzyszu. Wasz brat mieszka w Moskwie. Stał się ważnym członkiem Partii Komunistycznej i cieszy się uznaniem. Żyje z kobietą, ma pięcioletnią córkę i o ile wiem, niedawno urodziło mu się kolejne dziecko. Zmienił nazwisko, teraz to Nikołaj Fiodorowicz Smelow.

Jurij zmarszczył czoło, zdziwiony.

– Dlaczego Smelow? Skąd nazwisko rodowe Fiodorowicz? Mój ojciec miał na imię Miguel.

– Będziecie musieli zapytać o to jego.

– A moja matka? – powtórzył.

– Na razie przekazuję tyle informacji. Teraz pora, żebyście wy dali mi coś w zamian. Tak nakazuje sprawiedliwość.

– Naprawdę chce pan, żebym szpiegował w mojej ambasadzie? – spytał, nie dowierzając.

– Chcę, żebyście wyostrzyli wszystkie zmysły i informowali mnie, co tam się knuje. To proste, wystarczy, żebyście zachowali czujność, obserwowali, z kim się spotyka ambasador, starali się uzyskać informacje z rozmów; sekretarki zwykle mają doskonałą pamięć, kiedy mężczyzna tak przystojny jak ty lekko je zachęci. Jak będziecie mieć coś ciekawego, sporządźcie notatkę i zostawcie ją w miejscu i w sposób wskazany przeze mnie. To wszystko. Możecie żyć normalnie, nie będzie to wielki wysiłek, na pewno łatwiejsze niż współpraca przy ryzykownych interesach Ericha Villanuevy... – celowo zawiesił głos. – Obrotny facet... bardzo obrotny.

Jurij patrzył na niego z przejęciem, wstrzymując oddech. W końcu wypuścił powietrze z płuc i zaśmiał się sceptycznie.

– Nigdy nie byłem szpiegiem. Nie wiedziałbym, jak zacząć. Zdemaskowaliby mnie przy pierwszej lepszej okazji.

– Towarzyszu Juriju Michajłowiczu, kiedy gra idzie o życie, człowiek nabiera bystrości.

– To brzmi jak groźba.

– Nie przesadzajcie – rzucił od niechcienia. – Ja wam daję to, co chcecie, a wy mi dajecie to, co chcę ja. Taka była umowa.

– A jeśli odmówię? Jeśli nie chcę wejść w tę grę?

Sokołow pokręcił głową, po czym przybliżył się do twarzy Jurija, wpatrując się w niego swoimi złośliwymi oczami.

– Na to już za późno. Zdążyłem wykonać swoją pracę. Chyba nie chcecie mnie odesłać z pustymi rękami? – Sokołow celowo przeniósł wzrok na stojącą na komodzie fotografię. Odsunął się od Jurija i chwycił zdjęcie. – Zaskakujące podobieństwo pomiędzy waszym bratem Kolią a synem sąsiadki z drugiego piętra, pani von Schönberg. – Odwrócił się do niego z ironiczną miną. – Zważywszy, że Kolia jest tysiące kilometrów stąd... A kierując się zasadami genetyki, można by pomyśleć, że mały Hans jest waszym synem.

Jurij podszedł do niego i wyrwał mu zdjęcie z rąk. Sokołow przyparł frontalny atak i wiedział, że jego rozmówca jest na granicy wytrzymałości i niewiele brakuje, żeby pozbawić go odwagi.

– Nie wiem, co o tym wszystkim pomyśli ta piękna Niemka, z którą zamierzacie się ożenić. Krista jej chyba na imię, zgadza się?

– Jej proszę do tego wszystkiego nie mieszać.

– To zależy od was, towarzyszu.

Jurij nabrał powietrza, zacisnął wargi, żeby powstrzymać wściekłość, i kiwnął głową.

– Zrobię w ambasadzie, co będę mógł. Do niczego więcej się nie zobowiązuję.

Sokołow roześmiał się chytrze, zadowolony, że zdołał trafić do celu.

– Będziecie musieli się postarać, towarzyszu, od was zależy życie wielu osób.

– Jest pan kanalią.

– Dostaniecie wskazówki, jak i gdzie zostawić informację. – Sokołow odwrócił się do niego plecami i wolnym krokiem skierował w stronę drzwi. – Nie rozmawiajcie o tym z nikim, ani z Villanuewą, ani z narzeczoną. Niepotrzebnie narazilibyście ich na niebezpieczeństwo. – Uniósł dłoń, żeby uciszyć Jurija, który chciał mu odpowiedzieć. – A, i jeśli pozwolicie, dam wam radę jak towarzyszyć towarzyszowi: uważajcie na matkę waszych dzieci... Nie można jej ufać... Od jakiegoś czasu śledzi każdy wasz ruch, a co gorsza, także Kristy. – Cmoknął z przebiegłą miną. – Zazdrosna kobieta walczy ostro, a Claudię Kahler otaczają w dodatku bardzo wpływowi mężczyźni.

Jurij nie wiedział, co powiedzieć, słowa ugrzęzły mu w gardle.

– I pamiętajcie, Rosja zawsze odbiera należne jej przysługi, choćby za cenę życia... Nie waszego, ale tych, którzy są dla was najważniejsi. Nigdy o tym nie zapominajcie.

Wyszedł i zamknął drzwi, zostawiając Jurija obezwładnionego zalewem uczuć. Spojrzał na zdjęcie matki i brata. Przyjrzał się Kologii. Mały Hans von Schönberg miał trzy lata, tyle samo, ile Kolia na zdjęciu... Te same bursztynowe oczy, tak wyjątkowe i tajemnicze, te same ciemne, kręcone włosy, te same wydatne wargi... Ten sam dziecięcy uśmiech. Wstrząśnięty odstawił zdjęcie na miejsce.

Zaraz po wyjściu Rosjanina Jurij ubrał się i omijając mieszkanie pani Metzger, wyruszył z kamienicy wprost do ambasady. Kiedy wszedł do gabinetu Villanuevy, ten wstał, podszedł do niego ze współczuciem na twarzy i go uściskał. Jurij pozwolił na czułość, bo ta pociecha łagodziła ból.

Gdy wyswobodzili się z uścisku, Villanueva zaprowadził go za rękę do foteli, i usiedli obaj. Jurij westchnął ciężko z poważną miną.

– Panie Villanueva... Błagam pana, niech mi pan powie, dlaczego mój ojciec zrezygnował z mamy... Co się stało w czasie tamtej jego podróży do Rosji?

Jego złamany głos wstrząsnął Villanuewą. Patrzył na niego i zastanawiał się, jakich użyć słów, żeby zbytnio go nie zranić.

– Twojego ojca zatrzymali, jak tylko stanął na rosyjskiej ziemi. Czekali na niego... Obsesyjnie chciał wyciągnąć twoją matkę z tego przekłętego kraju, popadał w szaleństwo. Nie widziałem nikogo, kto kochałby kobietę tak bardzo, jak on twoją matkę... – Villanueva z posępną miną obserwował Jurija, zdając sobie sprawę z tego, jak wielkie cierpienie sprawiają mu jego słowa, ale wiedział też, że nie może już dłużej go przed tym chronić. – Wcześniej próbował się skontaktować ze swoim przyjacielem, Smelowem, ale na próżno. Aż pewnego dnia postanowił posłużyć się paszportem dyplomatycznym, i to był błąd, duży błąd... Siedział w celi przez cały ten czas, aż w końcu wręczyli mu odręcznie zapisaną kartkę, podpisaną przez twoją matkę. – Nie odrywał wzroku od oczu Jurija, w milczeniu wyczekującego na jego słowa. – W tym liście twoja matka mówiła, że wszystko u niej w porządku, że z nim nie wyjedzie, że cały ten plan był obmyślony od początku po to, żeby zmusić go do wyjazdu z Rosji i odsunąć go od niej. Twierdziła, że nigdy nie porzuci swojej ojczyzny. Błagała go, żeby więcej jej nie szukał, bo jej tym zaszkodzi.

– Ale to niemożliwe. Matka chciała wyjechać z Rosji, wiem na pewno, chciała...

Villanueva wahał się, czy mówić dalej, ale doszedł do wniosku, że Jurij ma prawo wiedzieć.

– Jurij, twoja matka przestała kochać twojego ojca; w liście wyznała mu, że od jakiegoś czasu jej serce zajmuje inny mężczyzna...

– Kto? Co to za mężczyzna?

– Piotr Smelow.

– Pietia... – wyszeptał imię lekarza, najlepszego przyjaciela jego ojca. Mężczyzna, który pomógł mu przyjść na świat i leczył wszystkie choroby, był kochankiem jego matki. Słowa z trudem wychodziły z jego ust. – To niemożliwe... Niemożliwe...

– Potem go uwolnili i wrócił do Berlina doszczętnie przybity, złamany bólem.

Jurij poczuł eksplozję, silną falę, wstecznym prądem wciągającą go w głąb ciemnego, głębokiego morza. Doskonale pamiętał ojca po tej przekłętej podróży, kiedy wysiadł sam z tamtej taksówki, z nieobecnym spojrzeniem, przygnębioną miną.

– To nieprawda... Wierutne kłamstwo... – W płucach brakowało mu powietrza, czuł oszalałe bicie serca.

– Miałem okazję przeczytać ten list, zanim twój ojciec wrzucił go do ognia. On sam mi potwierdził, że to pismo i podpis twojej matki... Kazał mi później przysiąc, że nic wam nie powiem, chciał, żebyście zachowali niesplamiony obraz matki, takiej, jaką zapamiętaliście. Uważał, że tak będzie lepiej, że już dużo wycierpieliście. W pewnym sensie osiągnął cel. Zachowałeś nietkniętą pamięć o matce.

Ciężar tych słów był nie do zniesienia. Jurij czuł się zraniony, rozdarty od środka. Darzył matkę czcią, a teraz ten uwielbiany obraz rozpadał się w jego rozdartym sumieniu na tysiąc kawałków. Gardził ojcem, obwiniał go o całe zło, oskarżał o zapomnienie, a tymczasem on w ten sposób okazywał miłość jej i swojemu synowi.

– Naprawdę mi przykro, Jurij.

Villanueva poczęstował go papierosem, ale on nawet się nie ruszył, pogrążony w rozmyślaniach. Erich zapalił, zaciągnął się i bardzo powoli wypuścił dym, dając mu czas, żeby wszystko przyswoił.

Jurij po chwili podniósł głowę. Zrozumiał, że musi się spotkać z bratem. Ojca już nie było, żeby mógł z nim porozmawiać i odkryć błędy przeszłości, ale Sokołow dawał mu szansę na spotkanie z Kolią i wyjaśnienie tego, co naprawdę wydarzyło się wtedy na dworcu i w dniach po jego wyjeździe. Tylko on mógł wyjaśnić cały ten przekłęty galimatias jego przeszłości.

– Wiem, że Kolia żyje – oznajmił po prostu.

– Skąd wiesz?

– Dostałem list od Sokołowa – skłamał. Nie chciał mówić, że się z nim widział.

– To zły moment na kontakty z Rosjanami. Wojna nie idzie tak, jak chciałby Franco. Madryt się opiera dzięki pomocy, jakiej republikanom udzielił Stalin. Ambasador uważa, że wszystkie depozyty złota Banku Hiszpanii trafiły do skarbców w Moskwie. Jak można było przypuszczać, wojsko Franco ma problem. Stalin nie przepuści okazji, żeby na tej wojnie skorzystać.

– A Hitler co mówi?

– Niemcy uznają rząd Franco jako jedyny legalny. Nic dziwnego. Od lata wysyłają mu broń i oddziały. To bardzo niepewny moment, szala może się przechylić na jedną albo na drugą stronę, w zależności od zewnętrznego wsparcia. Wojna w Hiszpanii zamieniła się w rywalizację pomiędzy Hitlerem a Stalinem. Od wielu miesięcy ten budynek przypomina filię wydziału obrony Führera. Jest nerwowo i nikt tutaj nie spojrzy dobrze na to, że spotykałeś się z Rosjanami, nie mówiąc już o pomyśle wyjazdu do Rosji. Jeśli mam być z tobą szczerzy, wpędziłbyś mnie w poważne kłopoty. Odsuń się od Sokołowa, dla dobra własnego i wszystkich innych.

Jurij, rzecz jasna, nie wspomniał mi słowem o potwornym szantażu Sokołowa. Bał się reperkusji, przede wszystkim bał się o Kristę, ale także o Villanuewę. Wpadł w pułapkę i wiedział, że nie będzie łatwo mu się z niej wydostać, więc postanowił zrobić to, czego żądał Sokołow, próbując ugrać przy tym coś dla siebie.

– Powiedział mi tylko, że mieszka w Moskwie – zbagatelizował temat.

– I że nazywa się Kolia Fiodorowicz Smelow – dodał z gorzkim, ironicznym uśmiechem. – Smelow, no jasne...

Villanueva roześmiał się sarkastycznie.

– Domyślam się, że twoja matka zmieniła mu je od razu. Nie ma się co dziwić. Wyobraź sobie, że w Związku Radzieckim pokrewieństwo z cudzoziemcem urosło do rangi przestępstwa, a bycie dzieckiem

obcokrajowca oznacza co najmniej dziesięć lat w jakimś obozie, do których trafiają wrogowie ludu, za Uralem, na Syberii.

– Chciałbym zaoferować współpracę w ambasadzie na rzecz narodowców. Nie chcę, żeby w Hiszpanii doszedł do władzy rząd bolszewicki, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby temu zapobiec.

Villanueva przyglądał mu się przez chwilę. Uniósł brwi i z satysfakcją kiwnął głową.

– Doskonale rozumiem, co czujesz, i sędzę, że to słuszna decyzja. Jesteś jedynym zaufanym człowiekiem, który zna rosyjski, więc twoja pomoc będzie mile widziana. Powiadomię o twojej decyzji ambasadora, z pewnością się ucieszy.

Przez wiele miesięcy Jurij przekazywał Sowiecom informacje o porozumieniach i umowach zawieranych w ambasadzie. Sprawa okazała się o wiele łatwiejsza, niż się spodziewał. Nowy ambasador, Antonio Magaz (arystokrata, żołnierz hiszpańskiej marynarki wojennej, mianowany przez Franco, który zyskał już rangę generalissimo z władzą nad całym terytorium kraju), jak również attaché do spraw zagranicznych darzyli go takim zaufaniem, że wiedział o spotkaniach, rozmowach, podejmowanych decyzjach i ustaleniach pomiędzy rządami Hitlera i Franco, i miał dostęp do raportów z tych spotkań.

Sokołow przekazał mu bardzo dokładne instrukcje, gdzie ma zostawiać koperty z informacją. Na miejsce wybrał Cmentarz Inwalidów. Punktem orientacyjnym był grób Margi von Etdorf, pierwszej kobiety, która odbyła samotny lot z Europy do Japonii. Była ona symbolem niemieckiej obsesji na punkcie techniki i popełniła samobójstwo cztery lata wcześniej. Obok jej grobu, tuż przy stuletnim dębie, znajdował się mały nagrobek Anity Wolf, trzyletniej dziewczynki zmarłej przed ponad stu laty. W dolnej części pomnika była szczelina i to w niej Jurij miał zostawiać raporty. Za każdym razem, gdy to robił, rysował kredą pojedynczą kreskę na górnej krawędzi płyty nagrobnej. Jeśli napotkałby

rysunek iksa, miał się oddalić, niczego nie zostawiając, bo byłby to znak, że miejsce jest obserwowane.

Przez cały ten czas Jurij ani razu nie zobaczył iksa. Na cmentarzu bywał mniej więcej raz w miesiącu, na ogół o zmierzchu, i udawał, że przechadza się spokojnie między grobami. Sokołowa zobaczył rok później. Wyglądało jak przypadkowe spotkanie na ulicy, wpadł na niego, jakby z roztargnienia, ale nie przywitał się z nim i udał, że go nie zna, przeprosił i szedł dalej. Jurij też nie dał nic po sobie znać. Zdziwiony szedł dalej, a kiedy włożył rękę do kieszeni płaszcza, coś wyczuł. Nie wyciągnął dłoni, zachował spokój, dopóki nie wszedł do domu. Kiedy zamknął drzwi na klucz, zobaczył, że to biała koperta bez adresata i nadawcy. W środku był list od Kolii, napisany ręcznie po rosyjsku. Rozłożył kartkę i przyglądał się pismu, zaokrąglonym, odrębnym literom; przebiegł go dreszcz na wspomnienie, z jaką cierpliwością matka uczyła Kolię poprawnie pisać. List był chłodny i krótki, tak powściągliwy, że sprawiał wrażenie pisanego pod przymusem. Brat wyrażał radość z wieści, że u Jurija wszystko w porządku, i dawał do zrozumienia, że wie, ile Jurij robi dla dobra Związku Radzieckiego. Kiedy skończył czytać ostatnie słowo pożegnania, odwrócił kartkę. Druga strona była czysta, znów niczego się nie dowiedział na temat matki, ani jednej wzmianki o niej, żadnego zainteresowania ojcem i siostrą, zaledwie pięć linijek chwalaących jego „pracę”. Ogarnęło go wielkie rozczarowanie, gorzka pustka.

Mimo wszystko nadal prowadził potajemne dochodzenie w ambasadzie. Miesiące płynęły, a szala zwycięstwa przechylała się na stronę buntowników. Villanueva czuł wielką satysfakcję, że stanął po stronie wygranych.

≈≈≈

Zasada wpajania

Propaganda zawsze korzysta z istniejącego podłoża – narodowego mitu bądź zakorzenionych uprzedzeń i nienawiści; należy rozpowszechniać argumenty odwołujące się do pierwotnych instynktów.

Zasady propagandy JOSEPHA GOEBBELSA

Marzenia Kristy o tym, by zostać żoną Jurija Santacruza, musiały czekać, bo raz po raz napotykali na biurokratyczne przeszkody. Jedna z urzędniczek stanu cywilnego wyznała jej nawet, że otrzymali ściśle polecenie, żeby nie wydawać jej dokumentacji niezbędnej do zawarcia związku małżeńskiego. Na te administracyjne utrudnienia nie mogli nic poradzić, ale nikt nie był w stanie zakazać im trwania w niezłomnej miłości.

Praca w szpitalu pochłaniała dużo czasu, a tę resztę, którą miała do dyspozycji, poświęcała na potajemne wizyty u żydowskich pacjentek. Jurij nie wyrażał na nie zgody, bo się o nią bał, ale Krista była uparta i czuła się pewnie pod skrzydłami doktor Anny Hotzfeld. Mimo coraz bardziej nerwowej atmosfery w Niemczech, napięć w pracy i przeszkód w wykonywaniu zawodu tylko z tego powodu, że była kobietą, czuła się bezgranicznie szczęśliwa, mając u boku mężczyznę takiego jak Jurij, i czuła, że z każdym dniem kocha go coraz mocniej.

Dziewiątego listopada 1938 roku kończyła dwadzieścia dziewięć lat. Od jakiegoś czasu Jurij uczył ją rosyjskiego; lubiła te lekcje, sprawiały jej przyjemność i nauka przychodziła jej z łatwością. Podarował jej specjalne wydanie Anny Kareniny w ojczystym języku Tołstoja i słownik rosyjskiego. A z okazji urodzin chciał ją zaprosić do jednej z najbardziej luksusowych restauracji w mieście, położonej przy Kurfürstendamm. Włożył najlepszy garnitur, zawiązał krawat przed lustrem, wziął kapelusz i zszedł na trzecie piętro. Z mieszkania wychodzili właśnie państwo Bauerowie z córką Evą i jej pięciorgiem dzieci. Przywitali się serdecznie.

– Idziemy do kina – oznajmiła z radością najmłodsza z dziewczynek, która ścisnęła dziadka za rękę. – A później babcia kupi mi loda.

Jurij uśmiechnął się do małej przyjaźnie. W tej chwili Krista otworzyła drzwi.

– Zaczekaj, wezmę torebkę.

Wróciła do mieszkania, a Jurij, wychylając się poza poręcz, obserwował schodzącą rodzinę Bauerów. Starsze dzieci z werwą zbiegły po schodach, a staruszkowie powoli pokonywali stopień po stopniu, w czujnym towarzystwie córki Evy, która dostosowała się do ich kroku, i wnuczki niewypuszczającej dłoni dziadka.

– Już jestem – oznajmiła Krista zza jego pleców.

Odwrócił się i zmierzył ją z zachwytem od stóp do głów.

– Pięknie wyglądasz.

Wyciągnęła prawą rękę i pokazała nadgarstek.

– Zobacz, co dostałam od mamy. Złoty łańcuszek do zegarka, który należał do taty; przerobiła go dla mnie na bransoletkę.

– Piękna – powiedział z podziwem. Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. – Mojemu prezentowi do tego daleko.

Krista chciała odpowiedzieć, lecz nagle od bramy dobiegły ich krzyki i szczekanie. Zaalarmowani zeszli szybko po schodach, a kiedy byli już na ulicy, zobaczyli Evę Bauer na kolanach obok ojca, pobitego i powalonego na ziemię, wśród wnuków oblegających babcie, która usiłowała je chronić, wstrząśnięta, nie spuszczać wzroku z męża; przerażone twarze Bauerów i złowieszczą obecność Ulricha von Schönberga obok Claudii, jej brata Fritza – w nietypowym, cywilnym stroju, choć na ogół nie rozstawał się ze swoim eleganckim garniturem – i mężczyznę z SS z dobermanem, który jak oszalały szarpał się na smyczy i szczekał na staruszkę.

– Co się stało? – spytała Krista, gdy wyszła na ulicę.

Ulrich von Schönberg spojrział na nią z pogardą i bez odpowiedzi przeszedł obok niej tak blisko, że musiała się odsunąć, żeby jej nie

potrącił. Krista go zignorowała i podeszła natychmiast do pana Bauera, żeby go opatrzyć.

Jurij obserwował, jak patrzy na nią Franz. Jakiś czas temu dowiedział się od niej, że się do niej zaleca, ale poprosiła, żeby się nie wtrącał, bo pogorszy sprawę. Była przekonana, że spięcie przysporzy problemów im, nie Franzowi, i zapewniła, że panuje nad sytuacją i nie potrzebuje, żeby przychodził jej z pomocą jak bohater z bajek.

Jurij minął się z Ulrichem i z idącym za nim Franzem, który obrzucił go krzywym spojrzeniem. Claudia zatrzymała się przed nim na krótką chwilę. Spojrzeli sobie w oczy, aż w końcu ona odwróciła wzrok i weszła na klatkę w towarzystwie męża i brata.

Esesman z psem oddalił się i stanął przy zaparkowanym niedaleko służbowym samochodzie. Szczekanie nie ustawało, wyraźnie pełniło rolę groźby.

– Kanalie, obrzydliwe kanalie – mruzczała bezradna i wściekła Eva Bauer, podtrzymując na kolanach głowę ojca.

Pan Bauer był przytomny, choć skarżył się, obolały. Po wyjściu na ulicę rodzina spotkała Ulricha von Schönberga i pan Bauer w roztargnieniu rzucił do niego „dzień dobry”. Na co Ulrich i Franz wyreżyserowanym ruchem unieśli ręce i prawie jednym głosem krzyknęli „Heil Hitler!”. Staruszek nawet na nich nie spojrzał, skupiony całkowicie na tym, co opowiadała mu mała wnuczka. Ulrich von Schönberg zażądał od niego nazistowskiego pozdrowienia, ale mężczyzna powtórzył powściągliwie, uprzejmie „dzień dobry”. Na co Ulrich, bez słowa, wymierzył mu potężny cios, od którego ten się zachwiał, podtrzymywany jedynie słabym ramieniem pięcioletniej wnuczki, aż w końcu upadł na ziemię.

– Chyba złamał biodro – oceniła Krista. – Trzeba wezwać pogotowie.

Poczekali na przyjazd pomocy, zabrano pana Bauera do szpitala, a rodzina została w całkowitej rozsypce. Jurij i Krista z wielkim niesmakiem wsiedli do samochodu i pojechali na kolację. Była środa, sklepy były już pozamykane, gdy wyszli z lokalu. Stojący przy drzwiach

portier ostrzegł ich, żeby uważali, bo od jakiegoś czasu w okolicy trwały zamieszki.

– Co się dzieje? – Krista obserwowała ulicę pełną ludzi, którzy rozbijali sklepowe witryny, znów z hasłami przeciwko Żydom.

– Nie wiem – odpowiedział mężczyzna. – To samo stało się kilka dni temu w Paryżu i rozpętało Judenkoller.

– A co mają do tego żydowskie sklepiki?

– Widocznie mają, zdaje mi się. Skoro ludzie reagują w ten sposób, pewnie mają powód. Wiadomo, winni są zawsze Żydzi.

Jurij i Krista spojrzeli na siebie zaniepokojeni. Dwa dni temu siedemnastoletni polski Żyd strzelił do sekretarza ambasady. Oficjalnym powodem agresji była desperacja chłopaka z powodu sytuacji rodziców, od tygodni uwięzionych na granicy niemiecko-polskiej; jednak krążyły plotki, że chodziło o zbrodnię w afekcie z powodu prawdopodobnego związku pomiędzy tymi mężczyznami. Konsekwencje w każdym razie okazały się tragiczne: Ernst von Rath zmarł tego samego ranka, a antyżydowska wściekłość podsycana przez najbardziej radykalnych nazistów stała się przyczyną aktu zemsty na wielką skalę.

Zakochani wsiedli do samochodu i ruszyli, unikając tłumu, który walił w drzwi sklepów, rozbijał kamieniami sklepowe witryny i wywlekał towar na ulicę, a chmara ludzi wszelkiej maści i pokroju – mężczyzn, kobiet, młodych, starych, od szaraków po ważniaków – rzucała się do plądrowania z taką zaciekłością, z jaką człowiek głodny rzuca się na kawałek chleba. Po grabieży artykułów ze sklepu napastnicy wrzucali do pomieszczeń płonące pochodnie zamoczone w benzynie, wywołując pożary na całej ulicy, na której znajdowało się wiele sklepików i dużych sklepów prowadzonych przez Żydów. Napastnicy oszczędzali lokale Aryjczyków. Z odróżnieniem ich nie mieli problemu, bo od jakiegoś czasu wszyscy żydowscy właściciele sklepów mieli prawny obowiązek umieszczenia takiej informacji na fasadzie lokali, podobnie wpisywano im żydowskie pochodzenie do paszportu i wszelkich innych dokumentów

państwowych i prywatnych. Oznaczeni, żeby ich rozpoznać. Dlatego też ataki były celne i wybiórcze.

Kiedy auto znalazło się na wysokości lokalu należącego do pani Metzger, Krista dostrzegła pana Rossa, najemcę matki, próbującego zapobiec, żeby tuzin mężczyzn (w większości w brunatnych mundurach, ale byli też ludzie w cywilu) nie splądrował mu sklepu. Ross & Company stał się jednym z najbardziej eleganckich sklepów w Berlinie; arystokracja i najzamożniejsi mieszkańcy miasta chętnie umawiali się na wizytę u wytwornego Rossa, aby uszył im modne garnitury o idealnym kroju, zawsze z tkanin najlepszej jakości, koszule nienagannie wykonane i krawaty, i paski z ekskluzywnej kolekcji zgodnej z najnowszymi trendami. Gustav Ross, od wielu lat wdowiec, bezdzietny, był niski, bardzo szczupły, zawsze elegancko ubrany, dystyngowany, dobrze wychowany, wykształcony i kulturalny; przez lata dorobił się renomy, która przyciągała do jego sklepu wielu hierarchów partii nazistowskiej, a przede wszystkim wielu dowódców SS, dla których szył cywilne garnitury.

– Stój! – krzyknęła Krista na widok starego Rossa wymachującego rękami przed mężczyzną w brunatnym mundurze, który brutalnie go popychał. – Jurij, zatrzymaj samochód!

Wcisnął hamulec, a ona szybko wysiadła i pobiegła do Rossa, którego do walki popychała bardziej wściekłość niż siła.

– Zostaw go w spokoju! – rozkazała funkcjonariuszowi SA, stając między mężczyznami; krawiec znalazł się za jej plecami.

– Jak pani śmie bronić tej żydowskiej świni? – zarzucił jej z pogardą mundurowy.

– To przyzwoity człowiek! – odparła wzburzona.

– To śmieć! – odpowiedział członek SA.

Krista czuła za sobą lament krawca, który uchwycił się jej ramienia. Czuła jego strach.

Mundurowy nie miał zamiaru pozwolić uciec ofierze. Próbował pozbyć się Kristy, chwycił ją za rękę i szarpnął.

– Proszę wracać do domu!

– Niech pan ją natychmiast wypuści! – Krzyk Jurija odwrócił uwagę drugiego mężczyzny. Wypuścił ją, wściekły.

– Bronienie takich śmieci ma swoje konsekwencje i stawia państwa na tym samym poziomie.

Jurij nie chciał się wdawać z tym typem w dyskusje, więc kiedy Krista została wyswobodzona, pociągnął ich do samochodu.

– Mój sklep... mój sklep... – pochlipywał krawiec, kurczowo trzymając się ręki Kristy, zastraszonego i roztrzęsionego. – Mam tylko to...

Szyby chrzęściły pod ich stopami. Byli już blisko auta, kiedy niespodziewanie Jurij został mocno pchnięty, a kiedy się odwrócił, cios powalił go na ziemię i przez parę chwil leżał znokautowany. Ból w ustach był tak silny, jakby w twarz miał wbite gorące żelazo. Zamroczone bólem słyszał krzyki Kristy, usiłującej wyzwolić się z rąk dwóch mężczyzn, którzy ciągnęli ją do furgonetki. Usiłował się podnieść, ale sparaliżował go kopniak w brzuch. Z ustami przy zimnym chodniku widział zmaganie Kristy, szarpiącej się z całych sił. Jeden z mężczyzn spoliczkował ją tak mocno, że zgięła się w pół i wtedy wciągnęli ją do furgonetki, w której kilku innych mężczyzn czekało, by zamknąć drzwi. Jurij obrócił się i w końcu udało mu się wstać; roztrzęsiony ruszył w stronę furgonetki. Wtedy dostrzegł Franza Kahlera w tym samym cywilnym garniturze, w jakim był kilka godzin temu, rozmawiającego z pilnującymi zatrzymanych. Wykonał autorytarny gest i mężczyzna kiwnął na Kristę, żeby wysiadła. Zrobiła to, wspomagana dłonią Franza. Zaprowadził ją do Jurija.

– Zabieraj ją stąd! – rozkazał ostro. – Nie powinniście się wtrącać w te sprawy.

Krista zignorowała obu mężczyzn i pobiegła do pana Rossa; oni stali i toczyli pojedynek na spojrzenia niczym w niemej walce kogutów.

Franz, wyzywający i prowokujący, wycelował palec wskazujący w twarz Jurija, ze wzrokiem najwyższej pogardy.

– Za cienki z ciebie facet, żeby ją chronić, jak należy.

Jurij, ugodzony do żywego, odepchnął go z wściekłością.

– Zostaw ją w spokoju, słyszysz?! – krzyknął. – Nie sięgasz jej do pięt. To kobieta nie dla ciebie.

Krista zorientowała się, co się dzieje, i ruszyła, żeby rozdzielić mężczyzn.

– Dość! – Chwyciła Jurija za rękę, żeby wycofał się z tego absurdałnego pojedynku. – Dość tego. Chodźmy. Jurij, proszę.

Żaden z mężczyzn nie odwrócił wzroku, stali naprzeciw siebie i nie dawali za wygraną, ale Krista ciągnęła za rękę narzeczonego, ponaglając go, żeby odeszli.

– Zostaw ją w spokoju – powtórzył Jurij, celując palcem w przeciwnika.

– Załatwię cię, gówniany Rusku, wywalę cię z mojego kraju. Niepotrzebne nam takie śmieci jak ty.

Krista w końcu dopięła swego i Jurij odwrócił się od Franza, i ruszyli do samochodu. Krawiec zdążył już usiąść z tyłu.

Wsiedli w milczeniu. Jurij uruchomił silnik i delikatnie wcisnął pedał gazu. Na jezdni było mnóstwo ludzi, przeszkód, między którymi musiał lawirować. Dopiero kiedy odjechali, Krista wybuchła.

– Oszalałeś? Co ci przyszło do głowy, żeby go obrażać? Mógł cię zatrzymać!

– Jeszcze tego brakowało, żebym dziękował temu parszywemu naziście – odparł szorstko.

– Ten parszywy nazista może wykończyć ciebie i mnie...

– Ten parszywy nazista uraził moją męskość, a na to nie pozwolę.

– Pięknie! – skwitowała sarkastycznie. – Więc chodzi o męskie popisy.

– A twoim zdaniem powinienem dać się zdeptać jak śmieć? Nikt nie będzie wątpił w to, że potrafię cię chronić.

– Nie potrzebuję niczyjej ochrony, Jurij, radzę sobie sama.

Zacisnął wargi i milczał. Jeszcze się w nim gotowało. O wiele bardziej bolały go obraźliwe słowa Franza niż rozcięta warga. Prowadził auto, wymijając awanturników. W końcu nie wytrzymał.

– Niemcy to jakaś dzicz! – wybuchnął, jakby wraz ze słowami wypływał ból swojej niechlubnej potyczki. – Jak to możliwe, żeby coś takiego działo się w kraju, który szczyci się najlepszymi muzykami, najslawniejszymi naukowcami, najpoczytniejszymi i najslawniejszymi pisarzami? Dicz zamiast kultury. Święty Boże... Co za kraj!

– Może lepsza jest Hiszpania ze swoją okrutną wojną? – oburzyła się Krista, obrażona niespodziewanym atakiem. – A może Rosja ze swoją rewolucją i czystkami? I ty, Rosjanin i Hiszpan, uważasz się za lepszego od Niemców?

Lament pana Rossa zamknął im usta niczym wyrzut sumienia, ostrzegając ich, żeby nie wpadli w tę niedorzeczną pułapkę.

Spowiała ich krępująca cisza. Jurij był zirytowany i zbolały. Ona zauważyła krwawiącą wargę, wyciągnęła chusteczkę i mu ją podała. Wziął ją i popatrzył przez chwilę na Kristę, aż w końcu przyłożył chustkę do skaleczonej wargi.

– Przepraszam, Krista – powiedział w końcu łagodnie.

Nie odpowiedziała. Za szybą grupa fanatyków, pochylając się na wystawie sklepu muzycznego Weilla, niszczyła pianina, bechsteiny, które zapewne kosztowały fortunę. Przyglądała im się bezradnie, tej zupełnie bezsensownej profanacji, słysząc z tyłu szloch pana Rossa. Ona też była obolała, jej piękna sukienka się podarła, zgubiła jeden but, a kiedy dotknęła nadgarstka, zorientowała się, że czegoś jej brakuje.

– Moja bransoletka... Zgubiłam złoty łańcuszek po tacie...

Wtedy rozplakała się z rozpaczą.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Wieczorną ciemność rozświetlał gdzieś tam blask pożarów, którymi skropione było całe miasto niczym piekielnym hyzopem z rąk jakiegoś rozwścieczonego boga. Domyślili się, że doszło do nich nie tylko w Kurfürstendamm; barbarzyństwo i wandalizm zbierały żniwo w całym mieście. Kiedy dotarli na swoją ulicę, zastali przed bramą liczną grupę.

Krista, zdziwiona, wysiadła z auta i podeszła do zbiorowiska. Była bosa, rozczochrana, pod oczami miała strugi rozmazanego od płaczu tuszu do rzęs.

Ludzie wznosili okrzyki przeciwko Żydom. Krista nic nie rozumiała. Zdenerwowana przecisnęła się przez tłum, weszła do kamienicy i ruszyła na górę, zerkając przez poręcz w kierunku swojego piętra. Zauważyła kilka ciekawskich głów. Na drugim piętrze Claudia i Ernestine zawzięcie plotkowały. Na jej widok zamilkły i Ernestine usunęła się na bok. Claudia za to stanęła z nią twarzą w twarz.

– Powiedz twojej matce, że musi wyrzucić tę rodzinę. Ściąga na nas wszystkich zagrożenie. Nie chcemy w kamienicy Żydów. Jasne?

Krista zatrzymała się tylko na chwilę, nic nie rozumiała, oszołomiona napastliwością Claudii; na tę bojowniczą postawę zareagowała milczącą biernością. Wyminęła ją i szła dalej po schodach, do mieszkania matki. Zapukała natarczywie, a drzwi otworzyła Sarah, z przestraszoną miną i w płaszczu.

– Sarah! Co tu robisz? – spytała zaskoczona, widząc ją w domu o tej porze, ale nie czekała na odpowiedź. – Gdzie mama?

– Wszyscy są w salonie.

W pokoju zastała matkę przy oknie, obserwującą to, co się dzieje na ulicy; ale nie była sama, jak spodziewała się Krista. Z foteli i krzeseł z przerażeniem na twarzach patrzyli na nią kobieta i pięcioro nastolatków.

Krista, nic nie rozumiejąc, podeszła do matki, która spojrzała na nią przestraszona.

– Córeczko... co ci się stało?

– Nic, mamó, później ci opowiem. Co tu się dzieje?

– To rodzina Sarah, przyszli się tu schronić. Ta cała Ernestine z piekła rodem widziała, jak wchodzą, i podniosła alarm, żeby ich wyrzucić. – Przynęła się do niej i ściszyła głos. – Ojca Sarah zabrali, podpalili im dom, wszystko stracili. – Wzruszyła ramionami, patrząc na córkę. – Co innego mogłam zrobić? Przed chwilą weszła tu ta kobieta, Claudia,

rozwścieczona, i kazała mi ich wyrzucić. – Z litością spoglądała na eksmitowaną rodzinę. – Jak mam im powiedzieć, żeby sobie poszli? Nie mają dokąd...

– Postąpiłaś słusznie. My nie jesteśmy takie jak oni.

Jurij w tym czasie powoli pokonywał schody, dostosowując tempo do pana Rossa, którego trzymał pod rękę. Na widok Claudii przyspieszył kroku, nie przestając na nią patrzeć. Gustav Ross kroczył swoją niełatwą drogą, nawet nie spoglądając na młodą kobietę, przytrzymując się poręczy, pozbawiony podpory Jurija, który stanął przed Claudią ze śmiertelną powagą. Spojrzała na jego spuchniętą wargę i się wzdrygnęła, jakby zabolęła ją ta rana. Uniosła dłoń do jego twarzy, ale on odepchnął ją obcesowym ruchem.

– Nie waż się mnie dotykać – mówił cicho, lecz stanowczo, jakby wypowiadając te słowa zionął jadem. – Pewnie jesteś zadowolona z wyczynów twoich ludzi. Gratulacje. Możecie odpocząć i poklepać się po plecach za tę świetną robotę.

– Jurij, ja... – wybełkotała speszona, bliska płaczu.

– Milcz, Claudio... – przerwał jej i spojrzał na nią z taką pogardą, że to spojrzenie zabolęło ją tak, jakby wymierzył jej policzek. – Nic nie mów...

Odwrócił się do niej i ruszył dalej, żeby dogonić Gustava Rossa. Kiedy weszli do salonu, wdowa przestraszyła się na ich widok.

Krista przyglądała się tej scenie.

– Święty Boże... – wyszeptała zaniepokojona. – Co my teraz zrobimy?

W następnych dniach dowiedzieli się, jak potworną skalę miały tamte wydarzenia, które prasa nazwała „nocą kryształową”, Kristallnacht, ponieważ ulice zostały usłane odłamkami szkła. W całym kraju, a także w Austrii (przyłączonej do Trzeciej Rzeszy w marcu tego roku), podpalono i obrócono w gruzy tysiące synagog, spalono święte księgi i modlitewniki, Biblie, archiwa, obrazy i wyposażenie; splądrowano i zniszczono większość sklepów i lokali prowadzonych przez Żydów bądź

jeszcze do nich należących, złupiono przychodnie lekarskie, kancelarie adwokackie i różne inne firmy prowadzone przez Żydów.

Pan Ross musiał pokryć koszty napraw w sklepie, bo ubezpieczalnia odmówiła wypłacenia odszkodowania. Mógłby ją pozwać, ale adwokaci, do których się zwrócił, odmówili zajęcia się sprawą. Za pośrednictwem jedynej żydowskiej organizacji, której wolno było działać w Rzeszy, załatwił sobie wyjazd do Palestyny i niecałe dwa miesiące później, po wydaniu niemal całego swojego majątku na zapłacenie za naprawę szkód, podatków i opłat (nawet za własny dobytek, który zamierzał wywieźć), na zawsze opuścił kraj, w którym się urodził, swój naród, ziemię, w której spoczywały szczątki jego ukochanej żony, wyrwany z łona ojczyzny. Wsiadł do pociągu z oczami pełnymi łez, nie pojmując tego wszystkiego.

Pan Bauer zmarł kilka dni po makabrycznym zajściu z Ulrichem von Schönbergiem wskutek komplikacji po złamaniu biodra, do których przyczynił się zaawansowany wiek.

Sarah z rodziną zamieszkali u pani Metzger.

Jak ostrzegła Claudia, wdowę spotkało wiele nieprzyjemności z powodu przyjęcia w mieszkaniu siedmiorga Żydów. Kilka dzielnicowych sklepów zabroniło jej wstępu, na ulicy obrzucali ją najróżniejszymi wyzwiskami i obelgami. Żyli w ciągłym strachu.

Tydzień po wydarzeniach pamiętnej nocy do drzwi mieszkania na trzecim piętrze zadzwonił mężczyzna.

– Dzień dobry pani, muszę porozmawiać z Frau Stein.

– Tutaj nie mieszka żadna pani Stein – odparła wdowa, próbując zamknąć drzwi, ale mężczyzna zdążył wsunąć stopę i jej to uniemożliwił.

– Jestem policjantem – powiedział szeptem. – Pracuję w policji kryminalnej i przynoszę jej wiadomości o panu Stein.

Nim Theresa Metzger zdążyła zareagować, pojawiła się Regina, matka Sarah.

– Co pan wie o moim mężu? – spytała niecierpliwie.

– Proszę mnie wpuścić, a wszystko opowiem. Ryzykuję, przychodząc do pani. – Widząc, że kobiety się wahają, dodał: – Zapewniam, że moim jedynym zamiarem jest pomoc pani mężowi.

Regina Stein dała znak wdowie, ale ta nie ustąpiła.

– Proszę powiedzieć, co pan wie, i sobie iść – ponagliła.

Mężczyzna był niespokojny, co chwilę nerwowo oglądał się przez ramię.

– Muszą mi panie dać słowo honoru, że zachowają w tajemnicy wszystko, co tu zostanie powiedziane. Robię coś, co może mnie bardzo drogo kosztować.

Kobiety spojrzały po sobie.

– Ma pan moje słowo honoru – zapewniła Regina.

Mężczyzna zerknął na panią Metzger, oczekując tego samego.

– Gdzie jest pan Stein? – spytała wdowa, nie reagując na jego wcześniejszą prośbę. Nie ufała mu.

– W więzieniu w Tegel – wyznał w końcu. – Oskarżony na podstawie donosu złożonego przez kolegę z pracy. Znam tego typu, zemścił się na nim.

Regina Stein słuchała oniemiała. Jej mąż od trzech lat zajmował się czyszczeniem kanałów. Tylko na taką pracę mógł liczyć, gdy został wyrzucony z przedsiębiorstwa komunikacji tramwajowej.

– Za co się mści? – spytała z przerażeniem. – O kogo chodzi?

– Wygląda na to, że pani mąż zajął stanowisko, które tamten praktycznie miał w garści.

– Żartuje pan sobie? Mój mąż czyści kanały.

– Nie chodzi o tę pracę, tylko o poprzednią. Kiedy pracował jako motorniczy.

Regina przypomniała sobie zaciętą rywalizację z dwoma pozostałymi kandydatami do sterów tramwaju, którą jej mąż wygrał w najczystszy sposób.

– Przecież to się działo ponad osiem lat temu... – przypomniała niepokieszona.

– Frau Stein, zemsta to danie serwowane na zimno. Dzięki mojemu stanowisku udało mi się dotrzeć do donosu. Mam go tutaj. – Zanurzył dłoń w kieszeni kurtki. – Nie mogę go pani pokazać, i tak już wystarczająco ryzykuję; gdyby pani poznała szczegóły donosu, mogłaby pani wystąpić przeciwko składającemu doniesienie, a wtedy powiązano by fakty i zostałbym oskarżony o wyjawianie poufnych informacji.

– Więc czego pan chce?

Pani Metzger przyglądała się mężczyźnie o lichym wyglądzie, szczupłemu, z rzadkimi włosami, w starym ciemnym garniturze, źle wyprasowanym i nieco wysłużonym, z przykrótkimi rękawami i nogawkami. Małe, jasne oczy, ostre rysy twarzy, wąskie i bardzo blade wargi – wszystko to sprawiało, że przypominał kruka.

– Trzeba działać szybko – oznajmił szorstkim tonem. – Mam dwa wyjścia: odłożyć ten donos do archiwum, a wtedy sprawy potoczą się swoim torem i pani mąż może spędzić w więzieniu dziesięć lat, albo mogę sprawić, że zniknie... Jeśli nie ma donosu, nie ma sprawy...

– Żąda pan pieniędzy? – spytała wdowa, wyczuwając podstęp. Słyszała od Jurija, że dochodzi do takich szantaży: nachodzono przerażonych Żydów, podając się za wpływowych funkcjonariuszy, żeby wymusić od nich pieniądze, biżuterię czy inne wartościowe przedmioty.

– Ryzykuję, drogie panie, należy mi się w zamian rekompensata.

– Nie mam pieniędzy... – wyszeptała Regina.

– Mnie pani nie oszuka, Frau Stein – naciskał coraz bardziej obcesowo.

– Wiem, że była pani w banku.

Tego dnia, bardzo wczesnym rankiem, wdowa wybrała się z Reginą do banku, żeby wypłacić zaoszczędzone pięćset marek na załatwienie formalności, dzięki którym mogliby wyjechać z kraju. Chcieli pojechać na południe Anglii, gdzie mieszkała kuzynka Reginy, która opuściła Niemcy z rodziną wiosną 1933 roku. Ten mężczyzna próbował wykorzystać ich wyjątkowo trudną sytuację.

– Jest pan podły – zganiła go oburzona pani Metzger.

– Jak brzmi odpowiedź? – spytał, ignorując obelgę.

Przerażona Regina weszła do mieszkania. Wdowa ruszyła za nią.

– Niech pani tego nie robi, to oszustwo, nic pani z tego nie przyjdzie.

– A jeśli to prawda? – Otworzyła torebkę i wyciągnęła kopertę z pieniędzmi. – A jeżeli może sprawić, żeby donos zniknął? Muszę mu wierzyć, pani Metzger, muszę. Chodzi o mojego męża, ojca moich dzieci... Co my bez niego zrobimy?

Regina Stein wręczyła mu pieniądze. Z wymalowaną na twarzy chciwością mężczyzna schował je do kieszeni. Bez słowa się odwrócił i ruszył schodami w dół. Kobiety obserwowały go, aż zniknął im z oczu. Nigdy więcej nie zobaczyły tego samozwańczego policjanta.

Pod koniec listopada z telefonu od mężczyzny, który dzielił celę z mężem Reginy i właśnie wyszedł na wolność, dowiedziały się, że pan Stein żyje: przesyłał im pozdrowienia. To pomogło Reginie zebrać dość sił na rozpoczęcie załatwiania formalności wymaganych od każdego Żyda, który zamierzał opuścić kraj, proces żmudny i skomplikowany.

Na początku października wprowadzono ustawę, która unieważniała paszporty niemieckich Żydów i zobowiązywała do oddania ich władzom w celu autoryzacji. Paszporty wydawano jedynie w wyjątkowych okolicznościach, ostemplowane literą „J”. Formalności stały się długie, uciążliwe i bardzo kosztowne, bo za wszystko trzeba było płacić; mimo to Regina każdego ranka stawiała się w angielskiej ambasadzie. Nie ona jedna. Dziesiątki Żydów tłoczyły się przy wejściu do konsulatu w tym samym celu – żeby ich przyjęto i obsłużono. Robiła to przez prawie dwa tygodnie: stała w kolejce od świtu do zmierzchu; w pierwszym tygodniu nie zdołała nawet wejść do budynku. Kiedy okazała oświadczenie, w którym kuzynka Reginy zobowiązywała się do pokrycia wszelkich kosztów rodziny Stein, przyjęte i podstemplowane przez konsula, mogła zacząć ubiegać się o pozwolenie na wyjazd z Niemiec i przeniosła się do kolejki przed komisariatem, gdzie należało pobrać zaświadczenia o dobrym sprawowaniu, do kolejki przed urzędem skarbowym, żeby

zapłacić wymagane podatki, do kolejki w urzędzie celnym, żeby uzyskać pozwolenie na przewiezienie przez granicę niewielkiego dobytku... Całe dni spędzała pod gołym niebem, stojąc potulnie w kolejce wśród setek innych Żydów z podobnymi zamiarami. Sarah nadal zajmowała się domem, a pani Metzger podjęła się nauczania młodszego rodzeństwa, bo sześć dni po nocy kryształowej ministerstwo edukacji wyrzuciło z państwowych szkół wszystkie żydowskie dzieci.

Regina zamierzała załatwić formalności i czekać na powrót męża, bo za rzecz oczywistą przyjmowała, że bez niego nie wyjedzie. Żyli w ciągłym strachu nie tylko o to, jaki los może spotkać pana Steina, ale także z powodu nieustannie ogłaszanych nowych ustaw, które coraz bardziej ograniczały Żydom swobodę poruszania się. To szaleństwo szargało nerwy nawet najbardziej opanowanym.

Pewnego mroźnego popołudnia pod koniec stycznia w mieszkaniu wdowy rozległ się dzwonek. Otworzyła drzwi i widok tak ją poraził, że oniemiała. Pan Stein wyglądał przerażająco. Brakowało mu kilku zębów, dłonie miał zniszczone, pełne odcisków, i ledwie szedł, bo nie miał paru paznokci u stóp, do ran wdało się zakażenie, a jego bujne czarne włosy stały się białe jak śnieg. Poprosił żonę, żeby o nic nie pytała.

Już trzy dni później rodzina wsiadła do pociągu do Bremerhaven, a stamtąd popłynęła statkiem do Anglii.

Po zamieszkach, jakie miały miejsce w nocy z dziewiątego na dziesiątego listopada, ambasada hiszpańska powtarzała opinię Franco, pochwalając słuszną wściekłość Niemców, którym, według przychyłnej prasy, skończyła się cierpliwość wobec żydowsko-masońskich konfabulacji szerzonych po świecie. W ten sposób tłumaczono przy okazji wygnanie Żydów z Półwyspu Iberyjskiego pięć wieków wcześniej.

Wyjazd rodziny Stein dla pani Metzger, a także dla Kristy, oznaczał nieco więcej spokoju, bo presja sąsiadów domagających się, żeby pozbyła się lokatorów, była nie do zniesienia.

Miesiąc później, w lutym 1939 roku, niespodziewaną wizytę złożył Jurijowi Sokołow. Czekał na niego w kącie przed wejściem na poddasze. Jurij przestraszył się na jego widok, ale żaden z mężczyzn nie odezwał się słowem. Weszli do domu i jak tylko drzwi się zamknęły, Rosjanin odezwał się z pretensją w głosie:

– Od trzech miesięcy nie pojawiaacie się na cmentarzu. W Moskwie się denerwują, a za ten ich niepokój płacę ja.

– Wojna jest przegrana – odparł Jurij. – Chyba że towarzysz Stalin jeszcze się nie zorientował? Barcelona upadła, a zaraz podda się Madryt. Republikanie zostali pokonani, na nic im się zdała pomoc z Rosji. – Jego wargi uniosły się w sarkastycznym uśmiechu. – O czym mam informować, o radości, jaka panuje w ambasadzie?

– Wiem, że nie przekazaliście pewnych istotnych informacji...

– Będziemy się rachować? – spytał zirytowany Jurij. – Od lat czekam na wiadomości o mojej matce, a jedyne, co dostałem, to pięć wyrazów na krzyż napisanych ponoć przez mojego brata, który chwali mnie, że świetnie wykonuję pańską pracę – zaakcentował słowo „pańską”, z furią celując palcem w pierś gościa. – Jak zwykle, Rosja nigdy nie dotrzymuje niczego innego niż pogróżki, o tym nie zapomina nigdy...

– Towarzysz Juriju Michajłowiczu...

– Niech pan przestanie nazywać mnie towarzyszem! – rozkazał kategorycznie, nie podnosząc głosu. – Nie jestem pańskim towarzyszem i nigdy nim nie będę.

Sokołow patrzył mu w oczy. Kiwnął głową.

– Macie rację, towarzysz, nadeszła pora, żebyście dostali zapłatę za waszą pracę. – Wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni kurtki, a Jurij przyglądał mu się z niepokojem. Wyjął pogniecioną kopertę i mu ją podał.

– Co to jest? – spytał spokojnie.

– Wiza do Związku Radzieckiego, wydana i podpisana przez twojego brata.

Jurij wziął kopertę, otworzył ją i wyjął złożoną na pół kartkę. Rozłożył ją i przeczytał. Był to oficjalny dokument, z wyglądu autentyczny, z pieczęcią i czytelnym, wyraźnym podpisem Kolii Fiodorowicza Smelowa, tym samym, jaki widniał na jedynym ręcznie sporządzonym piśmie, jakim od niego miał. Przyjrzał się dacie wydania wizy.

– To papier sprzed ponad dwóch lat – zauważył rozgniewany.

Sokołow wzruszył pojednawczo ramionami.

– Wojna w Hiszpanii się przeciągała. Potrzebowaliśmy cię tutaj.

Cios padł zupełnie zniemacka i powalił Sokołowa na podłogę.

– Skurwysynu! – ryknął Jurij. Czuł ból pięści.

Sokołow z grymasem na twarzy dotykał szczęki, jakby na nowo ją składał. Podniósł się powoli i stanął przed Santacruzem, nie tracąc rezonu.

– O waszej matce niczego się nie dowiedziałem. Jakby zapadła się pod ziemię.

Jurij nie wiedział, co powiedzieć. Rosjanin włożył wełnianą czapkę, którą wyciągnął z torby.

– Muszę iść – dodał z wyraźnym niepokojem w ponurym głosie. Zamierzał coś powiedzieć, ale zacisnął wargi, jakby się rozmyślił. Podeszedł do drzwi i stał kilka chwil, tyłem do Jurija, wahając się. Odwrócił się do niego, nie wypuszczając klamki, jakby chciał mieć przygotowaną drogę ucieczki. Jego głos zabrzmiał gromko. – Juriju Michajłowiczu, macie już to, czego chcieliście, dotrzymałem słowa, ale jeśli pozwolicie, dam wam radę: nie jedźcie do Rosji... Nie wróćcie stamtąd żywi.

Otworzył drzwi i ruszył biegiem po schodach. Jurij zareagował dopiero, gdy było już za późno, żeby pobiec za nim niepostrzeżenie.

Początek maja był deszczowy, chłodny i brzydki. Ten poranek nie należał do wyjątków i Kriście nie udało się nie zamoczyć butów i pończoch, choć pojechała tramwajem. Przed drzwiami szpitala stały służbowe

samochody. Zdziwił ją widok funkcjonariuszy SS przy wejściu; pomyślała, że być może żona jakiegoś wysokiego rangą esesmana wymagała pilnej wizyty w szpitalu. Skierowała się do swojego gabinetu. Poczekalnia pękała w szwach. Zapinając fartuch, poprosiła pielęgniarkę, żeby wezwała pierwszą pacjentkę, ale nim zdążyła wyjść, odezwał się stojący na biurku telefon. Podniosła słuchawkę i po drugiej stronie linii usłyszała głos doktor Hotzfeld.

– Krista, przyjdź szybko do mojego gabinetu.

– Dzień dobry, pani Anno. – Zaskoczył ją bezpośredni ton polecenia, nietypowy dla doktor Hotzfeld. – Mam w poczekalni pacjentów...

– Natychmiast, Krista! – rzuciła zniecierpliwiona przełożona. – Masz przyjść natychmiast.

Zaniepokojona kobieta odłożyła słuchawkę. Ton był alarmujący: stało się coś poważnego, jej przełożona inaczej nigdy nie przerwałaby jej pracy.

Wydała pielęgniarce nowe polecenia, kazała przeprosić czekające pacjentki i weszła po schodach do gabinetu Anny Hotzfeld. Idąc korytarzem, zauważyła w drzwiach dwóch członków SS. Przestraszona zwolniła kroku i wzięła głęboki oddech. Jeden z mężczyzn otworzył jej drzwi. W gabinecie, naprzeciwko siedzącej przy biurku lekarki, zobaczyła Sturmbannführera SS Ulricha von Schönberga, męża Claudii, który zajmował jeden z foteli, oraz Franza Kahlera, stojącego obok w eleganckim czarnym mundurze SS.

Von Schönberg wstał na widok Kristy, stanął na baczność i zaszalutował. Franz zrobił to samo: wyciągając rękę wyrecytował wojowniczo „Heil Hitler!”.

Anna przyglądała się jej z poważną miną.

Krista zareagowała dopiero po chwili – zrobiła krok do środka, niemrawo podniosła rękę i bez entuzjazmu wypowiedziała nazistowskie pozdrowienie, zakłopotana nieoczekiwaną sytuacją.

– Dzień dobry, doktor Metzger – zwrócił się do niej Ulrich z przyjaznym uśmiechem. – Przedstawić się nie musimy, więc proszę usiąść.

Ten mężczyzna ją irytował. Mundur miał nieskazitelny, ale twarz odrażającą i oczy jak lód. Krista usiadła powoli, sztywna.

Ulrich również zajął miejsce, naprzeciw niej.

– Doktor Hotzfeld opowiada mi o pani same pochlebne rzeczy.

Krista kątem oka spoglądała na Annę, która siedziała spięta.

– Rozmawialiśmy o pani przyszłości. Świetnie pani rokuje.

Przez kilka długich minut opowiadał o jej aktach osobowych, planach Rzeszy na rozwój medycyny, badań. Krista nic z tego nie rozumiała. Zerkała na lekarkę, ale z jej twarzy mogła wyczytać jedynie głęboki niepokój.

– Wybacz pan, Herr Sturmbannführer von Schönberg – przerwała zniecierpliwiona po chwili. – Czekają na mnie pacjenci, muszę się nimi zająć. Prosiłabym, żeby pan powiedział, czego ode mnie chce.

Ulrich zacisnął wargi, wysilił się na sztuczny uśmiech i kiwnął głową.

– Ma pani rację, przejdźmy do rzeczy. Doktor Metzger, Niemcy potrzebują pani w nowym miejscu poza Berlinem.

– Ale ja pracuję tutaj – zaoponowała Krista, starając się, żeby jej słowa zabrzmiały spokojnie. – Nie chcę się przenosić. Mam wiele pacjentek i one też potrzebują mojej opieki.

– O pacjentki proszę się nie martwić. Tę sprawę załatwiliśmy już z doktor Hotzfeld. Wszystkie otrzymają należną pomoc u pani kolegów.

– A jeśli odmówię? – spytała butnie.

Ulrich von Schönberg spojrzał na nią ostro. Później zerknął na lekarkę, dając miną znać, że traci cierpliwość, a wtedy, po raz pierwszy, Anna Hotzfeld wtrąciła się do rozmowy.

– Kristo, w tym zawodzie musimy być tam, gdzie nas potrzebują – odezwała się chłodnym tonem. – Nie masz wpływu na tę decyzję.

Kobiety patrzyły na siebie przez chwilę. Krista dostrzegła w jej oczach błysk napięcia.

– Zaczyna pani od zaraz – dodał Ulrich, pieczętując wyrok.

– Proszę mi przynajmniej powiedzieć, dokąd mnie państwo wysyłają.

– Przykro mi, Fräulein Metzger, miejsce pani przeznaczenia jest objęte tajemnicą. Nie będzie mogła się pani z nikim porozumiewać ani otrzymywać żadnych listów i telefonów.

– A co mam powiedzieć matce? Będzie pytać.

– Że wyjeżdża pani na jakiś czas dla dobra Trzeciej Rzeszy. Pani matka z pewnością to zrozumie.

Wstał i włożył czapkę. Krista podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Nie wstała z obawy, że nie utrzyma się na nogach.

Zdawało się, że esesman wyjdzie, ale stał i jej się przyglądał, jakby analizował jej wygląd.

– Ile ma pani lat, Fräulein Metzger?

– Dwadzieścia dziewięć – odpowiedziała.

– W pani wieku powinna być już pani mężatką z gromadką dzieci... – Protekcyjnie zmarszczył czoło. – Proszę zbyt długo nie zwlekać, ale niech pani dokona dobrego wyboru, proszę się nie pomylić. – Skierował wzrok na Franza Kahlera. – O ile mi wiadomo pewien niemiecki kawaler z bardzo porządnej rodziny od jakiegoś czasu zabiega o pani względy.

– Herr Sturmbannführer, nie sędzę, żeby pana sprawą było to, kto zabiega o moje względy.

– Jest pani Niemką, Fräulein Metzger. – Przysunął się do niej, jakby zamierzał powiedzieć jej coś poufnego. – Dam pani radę: proszę spełnić swój obowiązek jako kobiety i wyjść za tego chłopaka. – Lekko kiwnął głową w kierunku Franza. – Proszę tylko pomyśleć, żona funkcjonariusza SS, z obiecującą przyszłością, mogę zagwarantować.

Krista musiała zacisnąć wargi i szczękę, żeby nie wyrzucić z siebie lawiny słów, które cisnęły jej się na język.

– Proszę to przemyśleć – powtórzył Ulrich. – To dla pani wielka szansa.

– Wyciągnął rękę w nazistowskim geście i wyszedł z gabinetu, a echo jego kroków niosło się po korytarzu. Po kilku sekundach niepokojącej ciszy Krista odezwała się do doktor Hotzfeld, ale Franz bezceremonialnie jej przerwał:

– Przykro mi, Krista, nie wolno ci z nią rozmawiać. Jedziemy do domu po twoje rzeczy. Przed nami długa droga.

– Jestem aresztowana? – spytała.

– Ależ skąd. Państwo wyznaczyło ci zadanie i musisz je wykonać. Każdy z nas ma obowiązki do wypełnienia. Nie musisz się martwić, będę cały czas przy tobie i zadbam, żebyś była zadowolona. Wrócisz ani się obejrzysz. Chodźmy po twoje rzeczy. Robi się późno.

Pani Metzger osłupiała, widząc córkę wracającą z pracy tak wcześnie w towarzystwie Franza Kahlera i innego funkcjonariusza SS. Krista musiała się spakować w obecności obu mężczyzn. Matka jej pomagała, nic nie rozumiejąc. Powiedzieli jej tylko, że na jakiś czas wyjeżdża, ale nie jest aresztowana, co Franz wyraźnie podkreślił. Nadmierna uprzejmość tego mężczyzny dziwiła nie tylko Kristę, ale też jej matkę.

– Zapewniam panią, pani Metzger, że to tylko zmiana miejsca pracy.

– Więc dlaczego nie mogę się dowiedzieć, dokąd ją panowie zabierają? – dopytywała wdowa.

– Nie wolno mi udzielić tej informacji. Ale ja będę się troszczyć o to, żeby Kriście niczego nie brakowało. Może mi pani zaufać.

Dziewczyna zamarła, słysząc te słowa, jakby nogi wrosły jej w podłogę.

– Tobie zaufać? – spytała z przekąsem.

– Krista, błagam cię. – Wykonał lekki gest w stronę czekającego w korytarzu esesmana. – Nie utrudniaj sprawy. Zapewniam cię, że nigdy nie dopuściłbym do tego, żeby coś ci się stało.

Matka i córka patrzyły na niego podejrzliwie, ale rozpaczliwie chciały się czegoś uchwycić, choćby tym niepewnym zapewnieniem, które im składał. Krista zamknęła spakowaną walizkę. Kiedy miała ją podnieść, Franz doskoczył, żeby jej pomóc.

– Poradzę sobie – wycedziła cierpko.

– Nie wątpię – odpowiedział, patrząc na nią z tak bliska, że poczuła jego ciepły oddech. – Mimo wszystko poniosę ją ja. – Nie przestając

patrzeć jej w oczy, chwycił walizkę.

Krista opierała się przez kilka sekund, aż w końcu poluzowała uścisk i wypuściła uchwyt.

– Musimy iść. – Franz oddalił się o parę kroków. – Pożegnaj się.

Krista odwróciła się do matki, która była bliska płaczu.

– Wszystko będzie dobrze, słyszysz? Nic mi się nie stanie. Napiszę do ciebie, jak tylko będę mogła.

Padły sobie w ramiona i trwały w długim uścisku, a Krista wykorzystwała okazję i wyszeptała matce do ucha nazwisko Ulricha von Schönberga. Franz tego nie usłyszał, ale się zniecierpliwił.

– Krista, proszę... – ponaglił ją.

Kobieta wyswobodziła się z objęć matki i chwyciła ją za ramiona, żeby skupiła na niej całą swoją uwagę.

– Powiedz Jurijowi, że kocham go całym sercem. – Nie zdołała powstrzymać płaczu. – Że wrócę, jak tylko będę mogła. Powiesz mu?

– I niech mu pani też powie, żeby nie próbował jej szukać – dodał Franz z nieprzyjemnie chłodną miną. – Każdy jego ruch może paniom zaszkodzić. – Przystanął na chwilę, jakby dla podkreślenia wagi swoich słów. – Obu.

Matka i córka spojrzały na niego, ale oczy wdowy natychmiast powędrowały z powrotem do córki.

– Oczywiście, córeczko, powiem mu. Uważaj na siebie i jedz, jesteś bardzo chuda...

Musiała zamilknąć, bo głos jej się łamał. Krista pocałowała ją w czoło. Szybkiem wyszła z mieszkania, a za nią dwaj mężczyźni. Matka wyjrzała przez okno. Krista wyszła na ulicę, podniosła głowę, uśmiechnęła się do matki i jej pomachała, ale zamarła, gdy w oknie piętro niżej zauważyła twarz Claudii, obserwującej ją zza szyby. Patrzyły na siebie przez kilka pełnych napięcia sekund, aż w końcu Krista odwróciła wzrok i wsiadła do samochodu. Głuchy dźwięk zatraskiwanych kolejno drzwi było słychać na całej ulicy. Zdruzgotana wdowa przyglądała się z góry odjeżdżającemu autu, aż znikło za rogiem.

Czuła na piersiach ciężar, który nie pozwalał jej się rozplakać; odsunęła się od okna, brakowało jej powietrza, otwierała usta, ale ledwie mogła oddychać, aż w końcu niepokój, który ją dusił, znalazł ujście w rozdzierającym krzyku. Płakała chwilę, bezradna, bo nie miała się do kogo zwrócić. Rano Jurij bardzo wcześnie wyjechał w jedną ze swoich podróży. Miał wrócić dopiero następnego dnia, a wtedy, pomyślała, może być już za późno.

Przez całą drogę towarzyszył im ulewny deszcz. Tylne szyby były zasłonięte ciemną ceratą i okolicę Krista widziała jedynie przez przednią szybę, choć strugi deszczu i nieustannie poruszające się wycieraczki z jednej strony na drugą utrudniały widzenie. Obok kierowcy siedział drugi esesman, Franz z tyłu z Kristą. Przez ponad trzy godziny jechali na północ. W pewnej chwili auto zjechało na boczną drogę, ale pokonało nią tylko kilka kilometrów. Krista od czasu do czasu spoglądała na zegarek, żeby obliczyć czas i odległość. Przez całą drogę nikt nie odezwał się słowem. Samochód zwolnił i skręcił w prawo na gruntową ścieżkę wchodzącą do gęstego lasu bukowego – miała wrażenie, że ich pożera. Jechali bardzo wolno, omijając dziury, ze stukotem, który odbijał się w jej żołądku. Po kilku minutach jazdy jej oczom ukazał się mur kilkumetrowej wysokości, wykończony u góry drutem kolczastym. Samochód podjechał do bramy pilnowanej przez umundurowanych strażników, uzbrojonych, trzymających rozwścieczone psy, które na widok przybyszów z całej siły szarpały się na smyczy. Kierowca zwolnił i się zatrzymał.

Franz wysiadł i podszedł do grupy strażników. Pokazał im coś i chwilę rozmawiali. Krista obserwowała wszystko z tylnego siedzenia z wielkim niepokojem. Nigdy nie była w obozie koncentracyjnym, ale to miejsce wyglądało właśnie jak jeden z obozów, o których tyle słyszała. Wzdrygnęła się na samą myśl.

– Gdzie jesteście, Franz? – spytała, kiedy znów usiadł obok niej. – Dokąd mnie wieziecie?

– Uspokój się, Krista. Zaraz się wszystkiego dowiesz.

Samochód przejechał przez wielką żelazną bramę otwartą na oścież i pojechał dalej, aż stanął znowu przed piętrowym budynkiem. W tej chwili pojawił się rząd około dwudziestu kobiet w fartuchach w białoniebieskie pasy. Większość miała na głowie chustkę. Szły parami, pilnowane przez trzy inne kobiety w szarych mundurach, z pałkami w rękach.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Franz, siląc się na uprzejmość.

Jadący z przodu esesman wysiadł szybko i otworzył drzwi Kriście. Poruszyła się dopiero po paru sekundach, a Franz w tym czasie obszedł samochód i stanął przed nią. Podał jej rękę, a ona ją chwyciła i w końcu wysiadła. Esesman osłonił ją parasolem, a czapka i marynarka munduru Franza zaczęły ciemnieć od deszczu. Była bardzo blisko niego, uśmiechniętego, lekko mrugającego, kiedy krople deszczu kapały z daszku czapki na oczy. Czowała zapach wilgotnego materiału jego munduru. Weszła za nim do inspektoratu. Wszędzie wisiały flagi ze swastyką i portrety Hitlera dla przypomnienia, że jego oko wszystko widzi, jego ucho wszystko słyszy, a umysł o wszystkim decyduje.

W przedsionku czekała na nich kobieta.

– Kristo, poznaj Fräulein Langefeld. Jest strażniczką w obozie w Ravensbrück.

– Dzień dobry, doktor Metzger – odezwała się chłodno strażniczka.

– Co to ma znaczyć? – zwróciła się Krista do Franza.

– Proszę za mną – rzuciła kobieta. – Pokażę pani szpital.

To ją uspokoiło. Franz dodał jej otuchy uśmiechem.

– Idź z nią. Pacjenci potrzebują twojej pomocy. Zobaczymy się później.

Obóz w Ravensbrück uruchomiono zaledwie kilka tygodni wcześniej z przeznaczeniem wyłącznie dla kobiet. Codziennie zjeżdżały tu ciężarówki pełne więźniarek z innych obozów i więzień z terenu całego kraju: Cyganki, prostytutki, świadkowie Jehowy, kobiety bez pracy

i domu, inne uznane za opozycjonistki tylko dlatego, że opowiedziały dowcip o Hitlerze albo zakwestionowały któreś z posunięć Rzeszy. Wszystkie rozlokowywano w niedawno zbudowanych barakach.

Zaraz po wejściu do szpitalnego baraku kazano jej zdjąć ubranie i wręczono jej pasiasty strój, taki sam, jaki nosiły pozostałe więźniarki. Był czysty, ale szorstka tkanina była niewygodna. Dali jej też biały fartuch do noszenia w szpitalu. Pielęgniarki i salowe na pasiastych uniformach nosiły fartuszek, a na głowach wszystkie miały apaszkę. Ona też ją dostała i zaczęła przyjmować czekających pacjentów.

Po skończonym dniu pracy zaprowadzono ją do budynku tuż przy infirmerii. Była to kwatera znacznie wygodniejsza niż reszta baraków, z pięćdziesięcioma pojedynczymi łózkami dla kobiet obsługujących kuchnię i szpital.

Krista usiadła na przydzielonym jej łóżku. Była wyczerpana. Zobaczyła idącą do niej dziewczynę, powłóczącą nogami, która patrzyła na nią pewnym wzrokiem.

– Dzień dobry, Fräulein Metzger – odezwała się, stając przed nią. – Nie pamięta mnie pani?

Lekarka wstała powoli, zaskoczona. Prawie nic nie zostało z dziewczyny, którą miała w pamięci.

– Ilse... Co ty tu robisz?

– Codziennie zadaję sobie to pytanie – odparła zrezygnowana.

Krista nie widziała córki Brendy od pięciu lat, odkąd zjawiała się w jej gabinecie z lękiem na twarzy, prosząc o pomoc w pozbyciu się dziecka, które w sobie nosiła. Tamte sińce pod oczami wywołane zmartwieniem z powody niechcianej ciąży zrobiły się większe i ciemniejsze, wyryte w skórze na zawsze. Znikła jej piękna, bujna czupryna w odcieniu ciemnego blondu, a zgolone włosy podkreślały ostre rysy.

– Źle zabrzmiało to, co ci powiem, ale... – Krista uniosła ramiona, uśmiechając się serdecznie, z lekkim wzruszeniem – ...cieszę się, że cię widzę.

– A w pani przypadku co wymyślili, że się pani tu znalazła?

– Nie wiem... Powiedzieli, że nie jestem aresztowana, ale przywieźli mnie tu pod przymusem, ubrali w ten strój i nie pozwalają wrócić do domu. Nic nie rozumiem...

– Niech pani nie próbuje zrozumieć, pani doktor. Tu się jest w grupie prześladowanych albo prześladujących. Pani w tej chwili jest w grupie prześladowanych.

Milczały obie. Ilse usiadła na łóżku, wyciągnęła bardzo drogiego papierosa i poczęstowała nim Kristę. Ta wzięła go i usiadła obok.

– Można tu zdobyć takie rzeczy? – spytała zdziwiona.

– Jak się wie, do których drzwi zapukać, można zdobyć prawie wszystko.

Krista oddała dziewczynie papierosa.

– Nie palę, dziękuję.

– Ja też nie paliłam; właściwie od jakiegoś czasu robię rzeczy, które nigdy nie przyszłyby mi na myśl. – Zapaliła, zaciągnęła się i powoli wypuszczała dym spomiędzy warg. Zadarła głowę ze smutną miną. – Pani Kristo, wiem, że Ernestine wpędziła panią w kłopoty z mojego powodu. Chcę pani powiedzieć, że nie miałam z tym donosem nic wspólnego.

– Wiem. Powinnam była ci pomóc, zamiast cię odsyłać.

Ilse znów wzięła papierosa do ust.

– Poza panią powiedziałam o tym tylko Ernestine Rothman... To ona skontaktowała mnie z kobietą od aborcji. Moim wielkim błędem było to, że jej zaufałam. To wcielony diabeł... Od rozmowy z nią moje życie to dramat.

Krista chwyciła ją za rękę i ścisnęła, żeby dodać jej otuchy, ale dziewczyna cofnęła ją z dziwną nieufnością; nie była przyzwyczajona do czułości.

– Twoja matka wie, że tu jesteś? – spytała Krista.

Na twarzy Ilse pojawił się grymas rozczarowania.

– Jestem tu przez nią. Ta jędza stała się zagorzałą nazistką, tak samo jak mój brat Rudi. Dowiedziała się, że pracuję w burdelu, żeby spłacić

dług za aborcję, i zjawiała się tam w obstawie grupy SA. Sama mnie wskazała. – Spojrzała na nią z głębokim smutkiem, ale bez łez, jakby jej oczy wyschły na dobre. – Pani widziała narodziny tylu dzieci, widziała pani matki znoszące bóle porodowe, ich szczęśliwe twarze na widok dziecka po takim cierpieniu... Jak to możliwe, żeby matka patrzyła na córkę z taką nienawiścią?

– Ilse... Przykro mi.

Dziewczyna posłała jej gorzki uśmiech.

– Ponad dwa lata byłam w Sachsenhausen. To piekło. Tutaj jest o wiele lepiej, przynajmniej na razie. Reichsführer SS Himmler uważa nas za słabą płęć i wydał rozkaz, żeby nie maltretować jak mężczyzn. Jedzenie jest lepsze i jest go więcej, często zmieniają nam ubrania, mniej biją, praca nie jest aż taka ciężka, a zanim dadzą nam jakąś karę, muszą to zgłosić samiuśkiemu Himmlerowi. To on decyduje, czy ją zastosować, czy nie. Teraz jestem w kuchni i dobrze mnie traktują. Reaguję pewnie jak bity pies: jak w końcu ktoś okaże mu trochę czułości, czuje się pępkim świata.

Rozległa się pierwsza zapowiedź, że za minutę zgasną światła. Ilse ostrożnie zdusiła żar papierosa i schowała niedopałek do kieszeni, a potem wstała.

– Ja śpię tam, przy wejściu. – Uśmiechnęła się do lekarki. – Doktor Metzger, wiem, że nie ugięła się pani wobec nazizmu i dlatego mam do pani wielki szacunek. Dopilnuję, żeby wszystkie się o tym dowiedziały. Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, proszę mi powiedzieć.

Pani Metzger cały dzień spędziła sama, roztrzęsiona. Nie wiedziała, do kogo się zwrócić. Bała się wszystkiego i wszystkich. Pozostawało jej tylko oczekiwanie na powrót Jurija. Jedyłą osobą, do której odważyła się zadzwonić niemal natychmiast, była doktor Hotzfeld, ale jej chłodna i bezduszna odpowiedź tylko pogorszyła jej samopoczucie. Cały dzień spędziła w oknie, wypatrując powrotu Jurija, choć wiedziała, że tego

dnia nie wróci. Prawie nie spała, zdrzemnęła się tylko w fotelu przy drzwiach balkonowych niespokojnym snem, na który nakładało się niepokojące odczucie, że odebrano jej ukochaną córkę. Następnego dnia zaczęło się ściemniać, kiedy w końcu w silnej ulewie dostrzegła nadjeżdżający samochód Jurija. Wychyliła się z okna, choć deszcz moczył jej twarz i włosy, i patrzyła, jak wysiada z auta z małą walizką i biegnie do klatki. Poszła do wejścia, wycierając dłońmi mokrą twarz; wyszła na klatkę i wychyliła się przez poręcz.

– Jurij! – krzyknęła, nie mogąc się go doczekać. – Chodź, szybko... Chodź...

Jurij podniósł głowę, zorientował się, że coś się stało, i ruszył biegiem na górę.

– Co się stało? – spytał, stając przed nią zdyszany.

– Wejdz – poleciła wdowa z przygnębioną miną. – Chodzi o Kristę. Zabrali ją wczoraj, chwilę po twoim wyjeździe.

– Dokąd ją zabrali?

– Nie wiem... Zadzwoiłam do doktor Hotzfeld, ale powiedziała, że nie może mi pomóc, że powinnam zachować spokój i czekać na wiadomości – mówiła z trudem, usiłując sobie przypomnieć każdy szczegół w nadziei, że Jurij wszystko załatwi. – Pojechał z nią brat tej nazistki z drugiego piętra.

– Franz Kahler? – spytał zdziwiony.

Wdowa kiwnęła głową i opowiedziała, że Kristę zabrali ze szpitala i przywieźli stamtąd tylko po to, żeby spakowała walizkę pod czujnym okiem esesmanów.

– Przed wyjściem powiedziała mi nazwisko tego wyniosłego męża. Na pewno ma z tym coś wspólnego.

Jurij wykręcił numer doktor Hotzfeld, ale pielęgniarka powiedziała, że ma pacjenta. Zadzwoił więc do Claudii. Odebrała.

– Jesteś sama?

– Nie – odpowiedziała stanowczo. – Jest mój mąż. Czego chcesz?

– Muszę z tobą porozmawiać. Wejź do mieszkania pani Metzger, proszę...

– Jeśli zamierzasz mnie pytać o Kristę, to z góry ci powiem, że nie wiem, gdzie jest.

– Pojechała z twoim bratem.

– Też nie wiem, gdzie jest – mówiła szeptem.

– Claudio, proszę...

– Przykro mi, Jurij. Nie mogę ci pomóc. – Rozłączyła się.

Zdziwiony Santacruz patrzył na słuchawkę, jakby czegoś takiego się nie spodziewał. Zastanawiał się przez kilka chwil, aż w końcu podszedł do drzwi.

– Jadę do szpitala, rozmawiam z doktor Hotzfeld.

– Jadę z tobą – oznajmiła wdowa.

– Nie – zaprotestował. – Zostanie pani tutaj, Frau Metzger.

– Chodzi o moją córkę...

– Pani Thereso... – Jurij starał się, żeby w jego słowach było słycać pewność. – Choćby wywieźli ją na koniec świata, znajdę ją i przywiozę z powrotem. Niech mi pani uwierzy, dobrze?

Zszedł po schodach i wyszedł na ulicę. Zanim wsiadł do auta, spojrzął w okno na drugim piętrze: twarz Claudii zdawała się rozmywać za mokrą od deszczu szybą. Patrzyli na siebie przez kilka chwil, aż w końcu Jurij wsiadł do forda. Światło zmierzchu pochłaniały ciężkie, ciemne chmury, a od przemokniętego bruku wstawała biała mgła. Zaparkował przed szpitalem i postanowił poczekać na lekarkę, bo nie chciał, żeby widziano, jak wchodzi. Kilka miesięcy wcześniej Krista go uprzedziła, że Annę Hotzfeld śledzi gestapo. Co prawda nie przestała się cieszyć zaufaniem partii, ale niektórzy mieli co do niej coraz większe wątpliwości.

Siedział w samochodzie ponad godzinę, nie spuszczać wzroku z drzwi, którymi zwykle wychodził personel, coraz bardziej obawiając się, że doktor Hotzfeld opuściła Szpital Miłosierdzia innym wyjściem albo jeszcze przed jego przyjazdem. Już miał odjeżdżać, gdy ją zauważył.

Była sama, bez parasola; rozejrzała się w obie strony, postawiła kołnierz płaszcza, schowała torebkę pod ramię i ruszyła w przeciwnym do Jurija kierunku. On uruchomił silnik i jechał za nią w pewnej odległości, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi. Ulice były opustoszałe, z rzadka mijał ją jakiś przechodzień pod parasolem albo w kapeluszu, obchodząc kałuże. Kiedy Anna Hotzfeld skręciła w zaułek, przyspieszył, żeby ją dogonić. Opuścił szybę. Lekarka się przestraszyła, kiedy się zorientowała, że zatrzymał się przy niej samochód, a gdy go zobaczyła, przyspieszyła kroku. Jurij pojechał za nią.

– Doktor Hotzfeld, proszę, muszę z panią porozmawiać.

– Nie ma o czym, przykro mi.

Szybko skręciła w wąską uliczkę. Jurij zatrzymał samochód i pobiegł za nią. Dogonił ją, zaszedł jej drogę. Stali twarzą w twarz i patrzyli na siebie. Zdawało się, że pochłania ich mglisty, wilgotny cień. Deszcz spływał im po twarzach.

– Gdzie jest Krista? Proszę mi powiedzieć, dokąd ją zabrano.

– Nie wiem i nie kłamię. – Jej smutny głos brzmiał łagodnie i szczerze.

– Proszę, doktor Hotzfeld, nie może nam pani tego zrobić.

– Z Kristą wszystko w porządku, Jurij, ale co do was... Wiem, co do niej czujesz i jak bardzo ona kocha ciebie. – Spuściła wzrok i pokręciła głową. – Wasza sytuacja staje się bardzo trudna. Powinieneś o niej zapomnieć. Dla jej dobra powinieneś zapomnieć o Kriście.

Słowa doktor Hotzfeld spadały na niego niczym ciosy.

– Posłuchaj mnie dobrze, Jurij: Krista będzie ich albo niczyja. Musisz z niej zrezygnować... Jeśli tego nie zrobisz, zginie.

Ta pewność spadła na Jurija brutalnie i na kilka sekund, które wydawały się wiecznością, wszystko wokół się zatrzymało: spojrzenie Anny, wilgotne powietrze, dudnienie deszczu, bicie serca... Wszystko stało w przytłaczającej ciszy. Oszołomiona kobieta powoli odwróciła się od Jurija i ruszyła w swoją stronę. On stał oniemiały, jakby jego stopy wrosły w mokrą ziemię, i nie docierało do niego to, co właśnie usłyszał.

Gdy się ocknął, doktor Hotzfeld już nie było.

W kolejnych dniach w obozie w Ravensbrück Krista nie miała wyjścia, musiała skupić się na pracy. Była jedyną lekarką i na niej spoczywał obowiązek zajmowania się wszystkimi dolegliwościami. Raz w tygodniu przyjeżdżał lekarz SS, który nadzorował zaordynowane przez nią leczenie, ale spędzał w obozie zaledwie kilka godzin i nie przyjmował Żydówek. Był srogi i zimny. Po jego wyjeździe atmosfera się rozluźniała.

Pewnego dnia, kiedy Krista kończyła swój długi dzień pracy, przyszła do niej jedna ze szpitalnych strażniczek.

– Doktor Metzger, proszę pójść ze mną. Przydzielono pani inny pokój.

Krista ruszyła za nią bez słowa. Herta miała ze dwadzieścia lat, blond włosy i uśmiech na twarzy, choć szara marynarka dodawała jej surowości. Dotarły do osiedla mieszkań zajmowanych przez esesmanów, którzy pilnowali obozu. Były to domy dla rodzin, przytulne, z oknami ozdobionymi doniczkami z kolorowymi roślinami. Idąc tutejszymi uliczkami, nikt by nie pomyślał, że zaledwie kilkanaście metrów dalej setki kobiet w różnym wieku tłoczą się w ciasnych barakach.

Dotarły do jednego z najmniejszych domków, parterowego, z pięknym wejściem ozdobionym po bokach kwietnikami w żółtych, zielonych, czerwonych i białych odcieniach. Weszły do przestronnego pomieszczenia, pełniącego funkcję jadalni i kuchni. Umeblowanie było skromne i surowe, ale w mieszkaniu panował porządek. Na stole stał wielki bukiet czerwonych róż z liścikiem.

Herta weszła i otworzyła jedno z dwóch par drzwi.

– To jest sypialnia, a tutaj jest łazienka, z wanną i wszystkim.

Krista weszła powoli dalej, rozglądając się dookoła, nieufna wobec tej dziwnej odmiany. Zajrzała do sypialni i zdziwiła się na widok swojej walizki przy łóżku. Nie widziała jej od przyjazdu.

– Mam nadzieję, że będzie tu pani przyjemnie – powiedziała dziewczyna, widząc obojętność Kristy. – Mieszkała tu komendantka. –

Wzruszyła ramionami i machnęła ręką. – Nawet sobie pani nie wyobraża, jaka jest wściekła – powiedziała poufnym tonem.

– Z jakiego powodu mnie tu przenoszą? – spytała Krista.

– To polecenie Scharführera SS Kahlera – odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem. – Kwiaty są dla pani. Zamówił je w najlepszej kwiaciarni w Berlinie.

Krista podeszła do bukietu i przeczytała liścik z lakonicznym: „Mam nadzieję, że będzie Ci wygodnie”, podpisany przez Franza. Nie dotknęła kwiatów.

– Kazał mnie tu umieścić Franz Kahler?

– A dziś wieczorem zaprasza panią na kolację. Przyjedzie po panią za godzinę. – Herta spojrzała na nią wymownie. – Jest bardzo przystojny, Scharführer SS. Ma pani wielkie szczęście.

– Niby dlaczego? – spytała Krista, wyraźnie zdziwiona.

Strażniczka znów wzruszyła ramionami z głupkowskim uśmiechem.

– Plotki się szybko rozchodzą, ludzie gadają, krążą słuchy... – Czekwała na reakcję Kristy, ale widząc jej obojętną minę, ciągnęła z pewną uciechą: – Niech pani nie udaje głupiej, pani doktor, to tajemnica poliszynela.

– Nie wiem, co ma pani na myśli. – Odpowiedź Kristy była tak zimna, że strażniczka poczuła się nieswojo.

– A co mogę mieć na myśli: że pani i Scharführer SS jesteście parą i że dziś wieczorem poprosi panią o rękę. Słyszałam, że pierścionek zaręczynowy to cacko... – Uniosła dłoń do ust, jakby nagle się wystraszyła. – Oj, nie powinnam była tego mówić, to miała być niespodzianka. Mam nadzieję, że rzeczywiście nią będzie.

Krista wytrzeszczyła oczy. Zaczynała rozumieć co nieco z tego, co się wokół niej działo. Bez słowa wyszła z domu i ruszyła w kierunku baraków, tak rozgniewana, że spod jej stóp, zdawało się, wzbijał się obłok wściekłości.

Herta pobiegła za nią co tchu.

– Pani Metzger, proszę zaczekać! – krzyknęła, doganiając ją. – Dokąd pani idzie?

– Do mojego baraku.

– Jest pani umówiona...

Krista stanęła i spojrzała dziewczynie w oczy.

– Z nikim nie jestem umówiona. Proszę powiedzieć Scharführerowi SS Kahlerowi, że wolę umrzeć, niż usiąść z nim przy jednym stole; i proszę mu oddać kwiaty. Nienawidzę róż!

Ruszyła dalej, a Herta stała i przyglądała jej się, nic nie rozumiejąc. Znów wzruszyła ramionami i poszła z powrotem, żeby zamknąć dom.

– To się komendantka ucieszy, jak się dowie – wymruczała, przekręcając klucz.

Trzy tygodnie po zejściu z domem i kwiatami Kristę spotkała niespodzianka.

– Pani Metzger, ma pani gościa – oznajmiła strażniczka.

– Gościa? – spytała zaskoczona. – Kto to?

– Proszę ze mną – odezwała się z typowym dla siebie chłodem.

Krista zdjęła fartuch, powiesiła go przy wejściu i poszła za kobietą do budynku inspektoratu. Po drodze zastanawiała się, kto też mógł przyjechać odwiedzić ją w takim miejscu. Miała nadzieję, że matka albo może Jurij.

Strażniczka zatrzymała się przed drzwiami, otworzyła i przesunęła się, żeby ją wpuścić. Na widok doktor Hotzfeld Krista poczuła dziwną mieszaninę radości, strachu i rozczarowania. Anna stała przy oknie i odwróciła się do niej z uśmiechem.

– Mają panie piętnaście minut – poinformowała strażniczka. – Ani minuty więcej. – Zamknęła drzwi i zostawiła je same.

Przyglądały się sobie przez chwilę, aż w końcu podeszły i się uściskały.

– Ale miło cię widzieć, Kristo, bardzo się cieszę – powiedziała wzruszona Anna. – Jak się czujesz?

– Dobrze, na ile można się tutaj czuć dobrze. Co u mojej mamy? I u Jurija?

– Twoja mama czuje się dobrze. Wpadłam do niej wczoraj, żeby jej powiedzieć, że jadę cię odwiedzić. Marzy, żebyś wróciła.

– A kiedy będę mogła wrócić? – spytała z niepokojem w oczach.

– Krista, usiądźmy – zaproponowała Anna obcesowo. – Musimy porozmawiać, a nie mamy zbyt dużo czasu.

Usiadły na dwóch jedynych krzesłach znajdujących się w pomieszczeniu.

– O co chodzi, pani Anno? – spytała, dostrzegając posępność w spojrzeniu swojej szefowej.

– Krista, tylko od ciebie zależy, kiedy stąd wyjdiesz.

– A co powinnam zrobić? – dopytywała poirytowana.

– Powinnaś przyjąć propozycję małżeństwa z Franzem Kahlerem.

Krista odchyliła się gwałtownie, jakby widok tej kobiety wzbudził w niej nagłą odrazę.

– Chyba nie mówi pani poważnie? Przecież wie pani, że kocham innego mężczyznę, jestem zaręczona z Jurijem...

– Tu nie chodzi o miłość, Kristo – przerwała jej. Czuła się niezręcznie w sytuacji, do której została zmuszona, i nie wiedziała, jak się w niej odnaleźć. Postawiono jej ultimatum, którego nie mogła ani nie chciała zlekceważyć. Doskonale знаła metody, jakimi posługiwali się, żeby kogoś do czegoś nakłonić, i wołała sama nakłonić Kristę, zanim zrobi to ktoś inny. – Chodzi o życie.

– Nie... Nie zrobię tego... – Wstała tak szybko, że krzesło przewróciło się z hukiem w pustym pokoju. Podeszła do okna i stanęła tyłem do doktor Hotzfeld. – Nie wyjdę za tego mężczyznę. Przenigdy... Rozmawiamy o moim życiu. Nie możecie mnie zmusić. – Z każdym słowem podnosiła pełen wściekłości głos. – Zostanę tu na zawsze, umrę, jeśli będzie trzeba, ale nie zgodzę się na ten szantaż... Nigdy.

Anna Hotzfeld pozwoliła jej się wyładować, rozumiejąc tę naturalną reakcję.

– Kristo, zapłacisz za to nie tylko ty... Jeśli się nie zgodzisz, aresztują i zamkną twoją matkę. Narazisz też Jurija.

Krista odwróciła się do niej. Jej oczy błyszczały z przerażenia. Te słowa na wskroś przeszły jej świadomość. Ta krzywda zdawała jej się nie do zniesienia, nie mogła pojąć, że coś takiego może się dziać.

– Nie mogą tego zrobić. – To zdanie zabrzmiało w jej ustach jak zdławiony szept. – Nie mają nic na moją matkę.

– Powód znajdzie się zawsze. Nie rozumiesz? Oni mają władzę i mogą robić, co chcą. To oni ustalają zasady. Jeśli się nie zgodzisz, będziesz musiała ponieść konsekwencje.

– To jakiś nonsens – wycedziła Krista. – Straszny nonsens...

Anna Hotzfeld wstała i podeszła do niej. Położyła dłoń na jej ramieniu i próbowała spojrzeć jej w oczy, ale Krista odwróciła głowę.

– Jeśli zgodzisz się wyjść za Franza, za kilka dni będziesz z powrotem w Berlinie, z matką.

Dopiero w tej chwili wzrok Kristy, pełen wyrzutu, utkwił w oczach doktor Hotzfeld.

– Wysłali panią nazistowscy przyjaciele, żeby mnie pani do tego nakłoniła? Po to pani tu przyjechała, prawda? Musi pani dopilnować, żeby ważna dla sprawy aryjska kobieta się nie zmarnowała – cedziła słowa. – Najważniejsze, żeby zachować czystość rasy...

– Najważniejsze, żebyś zachowała życie, Kristo. Wszystko inne się nie liczy. Na co by się zdała twoja śmierć? Na co miałyby się zdać narażanie na niebezpieczeństwo twojej matki? Nie rozumiesz, że nigdy nie pozwolą ci się pobrać z Jurijem? Prędzej cię zniszczą albo zniszczą was oboje...

– Wyjedziemy, uciekniemy z tego kraju – mówiła Krista, patrząc nieobecny wzrokiem, skupiona na szalonych myślach tłukących się w jej skołowanej głowie. – Mam do tego prawo, jestem niemiecką obywatelką, mam prawo wyjechać z Niemiec i nie muszę się nikomu tłumaczyć...

– Na to już za późno, Kristo... Dla ciebie też już za późno.

Krista zbladła. Uciekła przed spojrzeniem Anny, odwracając się do niej tyłem. Miała wrażenie, że się dusi, jakby nagle całe powietrze z tego pomieszczenia wyparowało.

– Jurij o tym wie? – spytała po chwili.

– Co nieco mu wspomniałam. Jeśli przyjmiesz oświadczyzny, postaram się wyjaśnić mu sytuację przed twoim powrotem do Berlina. Kristo, pomyśl, jeśli przeżyjecie, być może życie da wam jeszcze jedną szansę. A jeśli zostaniesz w Ravensbrück, umrzesz, i twoja matka też.

– Co za podłość... – wyszeptała ponuro Krista.

W tej chwili otworzyły się drzwi i stanęła w nich strażniczka.

– Czas minął.

Anna Hotzfeld wyciągnęła z torebki kartkę, rozłożyła ją i przesunęła Kriście przed oczy. Drżała jej ręka.

– Musisz mi odpowiedzieć w tej chwili – ponagliła Kristę. – Jeśli wrócę do Berlina bez podpisu na tym zobowiązaniu, jeszcze dziś aresztują twoją matkę.

Krista spojrzała na kartkę, a później na swoją szefową. Wzięła dokument. Przeczytała tekst pod czujnym okiem Anny Hotzfeld i strażniczki, która czekała w progu. Zobowiązywała się nie tylko do zawarcia małżeństwa z Franzem Kahlerem, ale miała przysiąc, że nie będzie utrzymywać żadnych kontaktów z Jurijem Santacruzem. Miała też dotrzymać obietnicy ślubu i od tej pory występować jako narzeczona Franza Kahlera, okazując narzeczonemu i jego rodzinie należyty szacunek, uczestniczyć w uroczystościach i wydarzeniach przed ślubem, którego datę wyznaczono na 3 września 1939 roku.

Gdy skończyła czytać, Anna podała jej swoje pióro Montblanc. Krista je wzięła, zdjęła skuwkę i położyła dokument na jednym z dwóch krzeseł, żeby go podpisać, a później oddała kartkę i pióro.

Za dziesięć szóstą rano Krista była gotowa, w tym samym ubraniu, w jakim przyjechała dwa miesiące wcześniej. Poprzedniego wieczoru, tuż

przed zgaszeniem świateł, w baraku, w który pełnił rolę sypialni dla ponad setki kobiet, zjawiała się strażniczka, wręczyła jej ubranie i poinformowała, że punktualnie o szóstej rano następnego dnia ma się stawić w inspektoracie. Przed wyjściem Johanna Langefeld zwróciła się krzykiem do wszystkich więźniarek i ogłosiła, napawając się satysfakcją, że doktor Metzger opuszcza obóz i wyjdzie za mąż za funkcjonariusza SS. Kristę okrywała od tej chwili zasłona milczenia. Prawie nie zmrużyła oka, bo czuła wokół siebie zimny cień odrzucenia.

Przed pójściem do inspektoratu postanowiła zajrzeć do szpitalnego baraku, żeby pożegnać się z pielęgniarkami, salowymi i pacjentami. Jak tylko weszła, poczuła na sobie potępiające spojrzenia, a w drodze przez główny korytarz towarzyszyła jej lodowata cisza. Gdy podchodziła do którejś z pacjentek, ta odwracała głowę albo drogę zachodziły jej pielęgniarki i ostentacyjnie odwracały się do niej plecami. Tylko Ilse wyszła jej na spotkanie i stanęła z nią twarzą w twarz.

– Pomyliłam się co do pani, myślałam, że pani jest inna, ale jest pani z tej samej gliny co oni. – Splunęła, a gęsta ślina trafiła na policzek Kristy.

Krista nie była w stanie zareagować na taką pogardę. Oszołomiona, nie przestając patrzeć w te oczy tak pełne nienawiści, która przepełniała dziewczynę, wytarła dłonią twarz. Poczuła między palcami lepką wilgoć odrazy, odwróciła się i ruszyła w stronę inspektoratu. Za jej plecami dało się słyszeć najpierw jedną obelgę, do niej dołączyły kolejne, aż utworzył się chór wyzwisk, krzyków i drwin, które odprowadziły ją aż na miejsce, gdzie przy samochodzie czekał na nią Franz.

Na jej widok wyrzucił papierosa i odruchowo stanął na baczność.

– Jesteś gotowa? – spytał uprzejmie. – Twoja walizka jest już w samochodzie.

Krista odwróciła się w stronę baraków, gdzie setki kobiet w pasiakach krążyły w tę i z powrotem, smutne, gotowe zmierzyć się z kolejnym bezsensownym dniem, dniem wielu godzin pracy w zamian za miskę zupy.

Franz i Krista wsiedli do samochodu, którym kierował esesman, i od razu wyruszyli w powrotną drogę do Berlina.

– Bardzo się cieszę, że się zgodziłaś, Krista. Jestem przekonany, że wszystko będzie dobrze.

– Nic nie mów, Franz, proszę cię. Jestem bardzo zmęczona i marzę tylko o to, żeby wrócić do domu i uściskać mamę.

– To nie będzie możliwe. Przykro mi. Nie mogę pozwolić, żeby moja narzeczona mieszkała pod jednym dachem z mężczyzną, który o nią zabiega.

– Jurij o mnie nie zabiega – odparła z pogardą, po czym odezwała się do niego, dając ujście całej skumulowanej wściekłości: – Franz, chcę postawić sprawę jasno: Jurij Santacruz jest mężczyzną, którego kocham, jedynym, którego kocham.

W tej chwili wzrok Franza skrzyżował się ze spojrzeniem esesmana we wstecznym lusterku. Mężczyzna odwrócił wzrok i skierował go na drogę.

– Jeszcze nie jestem twoją żoną – ciągnęła Krista, nieświadoma tych spojrzeń. – I do tego czasu domagam się mieszkania w domu mojej matki.

Franz był wyraźnie niezrażony. Spodziewał się po niej tej buntowniczej postawy. Nie przejmował się nią. Osiągnął to, co chciał. Będzie miał czas, żeby nauczyć ją pokory. Teraz zamierzał pozbyć się jedynej przeszkody, która ją od niego dzieliła. Gdyby ten cudzoziemiec zniknął, z Kristą poszłoby mu o wiele łatwiej. Próbował się go pozbyć, ale szwagier go ostrzegł, że działania przeciwko niemu mogą doprowadzić do konfliktu z ambasadą Hiszpanii, a to nie było rozsądne. Wszystko w swoim czasie, myślał.

– Kristo, może uda nam się to załatwić. Do dnia ślubu, jeśli chcesz mieszkać u matki, mieszkanie będzie musiało się znajdować pod całodobową ochroną strażników SS. Z zakazem wejścia dla tego mężczyzny.

– Nie zamierzam się zgodzić na to, żeby śledził nas jakiś esesman.

– Tak myślałem – mruknął z ironią. – Trzeba przyznać, że może być niezbyt wygodnie mieć dwóch mężczyzn przy wejściu dzień i noc. Dlatego pomyślałem o propozycji, która może się okazać dogodna dla wszystkich. Możesz zamieszkać w apartamencie hotelu Adlon. Twoja matka będzie mogła cię odwiedzać, kiedy tylko będzie chciała. Dzięki temu wszyscy będziemy zadowoleni i spokojni.

– Nadal będę pracować w szpitalu – oznajmiła. Chciała wyjaśnić wszystko na samym początku. – Nie zrezygnuję z zawodu.

– Nie ma problemu – powiedział Franz. – Cięży ci w życiu nie zabraknie.

– Nie chcę dzieci... – odparła, starając się, żeby jej wypowiedź zabrzmiała kategorycznie.

Franz nie zareagował. Jego matka, Erika Kahler, specjalistka w mówieniu jednego, a po chwili, bez najmniejszego skrępowania, rzeczy zupełnie odwrotnych, udzieliła mu kilku wskazówek co do tego, jak powinien się zachować wobec spodziewanych oporów Kristy. Powinien dać jej czas na pogodzenie się z nową sytuacją. „Poluźnij postronek”, powiedziała. „Nie ciągnij od razu, jeszcze zdążysz narzucić swoją wolę. Kiedy już zostanie twoją żoną, będzie musiała chodzić, jak jej każesz. Bądź cierpliwy”.

Wsunął dłoń do kieszeni. Skórzane obicie tylnej kanapy zaskrzypiało pod jego ciężarem. Wyciągnął woreczek z tkaniny i wytrząsnął zawartość na swoją rozpostartą dłoń.

– To chyba twoje. – Pokazał jej przedmiot.

Kriście serce podskoczyło z radości na widok bransoletki po ojcu. Zanim ją wzięła, przysunęła się lekko, żeby się upewnić, że wzrok jej nie zwodzi.

– Franz... – Uśmiechnęła się mimowolnie. – Moja bransoletka. Myślałam, że ją zgubiłam...

– Założę ci ją – zaproponował.

Złota bransoletka podarowana przez matkę znów lśniła na jej nadgarstku i Krista, chcąc nie chcąc, poczuła wdzięczność. Była to

osłoda po pełnym goryczy dniu.

Dzięki Annie Hotzfeld pani Metzger wiedziała zarówno o powrocie Kristy, jak i jego przyczynie. Więc jak tylko córka zadzwoniła do niej, prosząc o przyście do apartamentu, w którym ją zakwaterowano, wyszła z domu na spotkanie. Musiała błagać Jurija, żeby za nią nie szedł i poczekał na jej powrót. Był zdruzgotany z powodu niemoralnego, niegodziwego szantażu, jaki zastosowano wobec Kristy, ale nie miał wyjścia i musiał zrobić to, o co prosiła wdowa.

Matka i córka uściskały się mocno, przyjrzały się sobie, jedna drugą spytała, jak się ma, później znów padły sobie w objęcia, z uśmiechem, szczęśliwe, że znów się widzą, że żyją, że mogą ze sobą rozmawiać. Usiadły na dwóch fotelach luksusowego pokoju.

– Wiem o wszystkim od doktor Hotzfeld – powiedziała matka, ciągle przejęta spotkaniem. – Jurij też.

– Jak on się czuje?

– A jak może się czuć? Źle, bardzo źle. Jest zdruzgotany, musi się ciebie wyrzec i ma złamane serce. Biedak.

– Mamo, muszę się z nim zobaczyć.

– Nie, Krista. – Matka starała się nadać swoim słowom władczy ton. – Nie pozwolę, żebyś po raz kolejny się narażała. Ostrzegala mnie bardzo poważnie doktor Hotzfeld. Jeśli odkryją, że utrzymujesz z nim jakiegokolwiek kontakty, nie będzie odwrotu. A są zdolni do wszystkiego i dobrze o tym wiesz. – Pochyliła się i ścisnęła dłoń córki, nie spuszczać z niej wzroku, z niepokojem, potwornym strachem na twarzy. – Córeczko, najważniejsze, że żyjesz, tylko to się liczy. Reszta ułoży się z czasem.

– Zadaję sobie pytanie, mamo, co to za życie, skoro do końca moich dni mam być z człowiekiem, którego nienawidzę.

– Ja kocham twojego ojca, mimo że odebrała mi go śmierć. Wiem, że nigdy nie odzyskam jego obecności ani uścisków, nigdy nie usłyszę jego

głosu... Ale to wcale nie przeszkadza mi go kochać każdego dnia, nosić go w myślach w każdej sekundzie. Nawet śmierć nie była w stanie przerwać tej miłości. – Wpatrywała się w córkę oczami pełnymi czułości. Twoje uczucia do Jurija należą tylko do ciebie i ani Franz, ani esesmani, ani nawet samiuśki Hitler nie mogą ich wydrzeć z twojego serca. Twoja miłość do niego zależy tylko od ciebie, tylko ty jesteś panią tych uczuć. Jeśli teraz pochopnie rzucisz się mu potajemnie w objęcia, ryzykujesz, że stracisz wszystko, że zrobią krzywdę tobie albo jemu. Nie pozwól odebrać sobie tej resztki wolności, jaka ci została.

Krista przyglądała się matce ze smutkiem. Zorientowała się, że podobnie jak jej zagrożono, że zrobią krzywdę matce, jeśli nie przystanie na ich propozycję, matkę ostrzegli o konieczności wybicia córce z głowy jakiegokolwiek głupoty i namówienia jej do tego małżeństwa, dzięki czemu miała uniknąć ponownego uwięzienia w obozie, z dala od niej.

– Mamo... tak się boję...

– Ja też. Ale pomyśl, że to się dzieje dzisiaj, a kto wie, co przyniesie nam jutro. Sytuacja może się odmienić w jednej chwili, a dopóki żyjesz, możesz reagować. Ale za murami tego obozu koncentracyjnego albo jeszcze gorzej, nieżywa... Wtedy już niczego nie można ocalić.

Krista słuchała i rozumiała obawy matki.

– Mamo, nie mogę do niego napisać, bo pewnie cię sprawdzą, jak będziesz stąd wychodzić. – Teraz to ona chwyciła dłonie matki i czule je pogłaskała. – Ale musisz mu powiedzieć, że go Kocham, że będę go kochać zawsze... I że nie wiem jak, ale do niego wrócę, jeżeli będzie umiał na mnie zaczekać.

Pani Metzger patrzyła na córkę uszczęśliwiona, oceniając te słowa, wysłuchane i zrozumiane, aż jej wargi się rozchyliły i roześmiała się z zadowoleniem.

– Jakże bezsensowne jest ograniczanie i podporządkowywanie zakochanej osoby – wyszeptała, jakby wymknęły jej się myśli. – Siła miłości jest niepowstrzymana. – Cmoknęła z zadowoloną miną, wyswobodziła dłonie ze słodkiego uścisku, zdjęła prawy but i poszperała

pod wewnętrzną skórzaną wyściółką, czemu przyglądała się zdziwiona Krista. Podniosła wkładkę, wyciągnęła kilkakrotnie złożoną kartkę i jej podała.

– Krista, błagam cię, bądź bardzo ostrożna. Tylko ty mi zostałeś na tym świecie. Gdyby coś ci się stało... – Zamilkła. – Nie zniosłabym tego.

Po wyjściu matki Krista przeczytała list od Jurija. Była to mała karteczka zapisana drobnym maczkiem, żeby pomieścić wszystkie uczucia. Przeczytała ją kilka razy, próbując wyobrazić sobie jego dłonie na papierze, jego czuły dotyk, głębokie spojrzenie, czułość wymalowaną na wargach. Prosił ją w nim, żeby nie narażała się na niebezpieczeństwo, że potrzebuje jej żywej, że kocha ją ponad wszelkie zobowiązania, okoliczności czy przeciwności, jak ta, którą zmuszeni są znieść; twierdził, że choć nie wie jak, będzie o nią walczył.

Choć nie będziesz mnie widzieć, będę blisko Ciebie. Twoje wspomnienie będzie moją siłą, odzyskanie Ciebie będzie moim jedynym celem.

Przycisnęła kartkę do piersi, bezgranicznie wzruszona. Zadawała sobie pytanie, jak zdoła znieść ramiona innego, jak zdoła przyjąć pocałunki innych warg, jak zdoła znieść to, że dotykać ją będą inne dłonie.

Villanueva palił jedno ze swoich kubańskich cygar, a jego wzrok wędrował po rozmaitych krajowych i zagranicznych gazetach leżących na biurku. We wszystkich tytułach bez wyjątku na pierwszej stronie widniał artykuł, który można było streścić w słowach: „Hitler i Stalin podpisują pakt o nieagresji”. Większość zdjęć ilustrujących informację ukazywała Mołotowa, który kieruje polityką zagraniczną Związku Radzieckiego, siedzącego tuż przed podpisaniem paktu, i stojącego za jego plecami jego niemieckiego odpowiednika, Ribbentropa, a obok nich Stalina, przyglądającego się temu z satysfakcją. Nad ich głowami oprawiona fotografia Lenina.

– Jeszcze parę dni temu Niemcy pertraktowały z Wielką Brytanią, a teraz wyskakują z tym paktem z diabłem – skwitował Villanueva. – Poważny błąd Chamberlaina, okazał się naiwniakiem. Hitler zostawił piłkę w rękach Zachodu, doskonale wie, że ani Anglicy, ani tym bardziej Francuzi nie zaangażują się natychmiast w konflikt zbrojny.

– Naród niemiecki tego nie zrozumie. Układy z komunizmem; trudno im będzie to pojąć.

– E tam. Hitler może sobie na to pozwolić. Cieszy się ogromnym poparciem. Niemcy nie zaprotestują ani słowem, choć będą zdumieni, tak jak reszta świata. Wystarczy przeczytać gazety: już usprawiedliwiają, wychwalają niezwykle wydarzenie, od sześciu lat podporządkowują sobie ludzi, więc naród to przełknie bez protestów.

– A Hiszpania? Gdzie my teraz jesteśmy? – spytał Jurij ironicznie. – Franco musi być w szoku. Jestem ciekaw, co teraz zrobi ze swoją krucjatą przeciw komunistom, skoro jego największy sprzymierzeniec zjednoczył się z bolszewikami, wrogiem, którego najbardziej się obawia.

– Wygląda na to, że nie może wyjść ze zdumienia – roześmiał się Villanueva. – Ale Franco nic nie zrobi, nie będzie krytykował otwarcie, niepokojenie Niemców nie leży w jego interesie. Gdyby nie naziści, nie byłby tu, gdzie jest. Wiele im zawdzięcza.

– A ambasador co o tym wszystkim myśli?

– Magaz milczy. To sprawa terytorialna i równowagi sił. Stalin wysłał do Niemiec surowce, a Hitler mu płaci w wygodnych ratach. Ta cała „nieagresja” to tylko przykrywka, ale jestem przekonany, że za tym kryje się coś więcej, o czym nie wiemy... A może ty mógłbyś mi wyjaśnić to, co pod tym paktem widnieje drobnym druczkiem?

Jurij podniósł głowę i napotkał inkwizytorskie spojrzenie Villanuevy.

– Co pan ma na myśli?

Villanueva wziął do ust cygaro i się zaciągnął, przedłużając oczekiwanie Jurija, którego mina zdradzała zniecierpliwienie.

– Wiem wszystko, Jurij, wiem od samego początku.

– Co pan wie?

– O twoich układach z Sokołowem. Że wynosiłeś informacje z ambasady i przekazywałeś je Rosjanom. – Pokręcił głową z sarkastycznym uśmiechem. – Obawiałem się tego i nie mam do ciebie pretensji. Jesteś idealnym celem dla rosyjskich planów.

Jurij nie spuszczał z niego wzroku z niewzruszoną miną.

– Dlaczego pan na mnie nie doniósł?

– Pewnie się starzeję. – Grymas zmazał uśmiech z jego twarzy. – Jesteś dla mnie ważniejszy, niż mam odwagę przyznać. – Podniósł rękę, jakby się usprawiedliwiał. – Nie w tym sensie, o jakim myślisz, ale jak syn... Domyślam się, że bolszewicy dali ci coś w zamian. Mam tylko nadzieję, że ci się to opłaciło.

– Jest plan zajęcia Polski – oznajmił Jurij opanowanym tonem. – Rosja i Niemcy zamierzają podzielić jej terytorium. To ten drobny druczek.

– Tak przypuszczałem... – wyszeptał Villanueva. – Będą musieli użyć siły, bo Polska nie ma zamiaru się poddać, tak jak zrobiły to Austria i Czechosłowacja.

– Hitler chce zrobić z Polski teren eksperymentalny dla Wermachtu i SS – powiedział Jurij. – Wojna w Hiszpanii wyszła mu znakomicie. Wypróbował broń, czołgi, samoloty, taktykę...

– Jasne – wszedł mu w słowo Villanueva ze skupieniem na twarzy, jakby porządkował trudny do opanowania chaos. – Wielka Brytania i Francja nie kiwną palcem przeciwko sojuszowi Niemiec i Rosji. Dzięki temu zerwane zostaną więzi pomiędzy Rosją i Anglikami, a ci zachowają neutralność, kiedy Hitler postanowi rozpocząć wielką kampanię rosyjską, która jest jedną z wielu jego obsesji.

Po chwili milczenia Jurij zmienił pozycję na krześle i się pochylił.

– Panie Villanueva, zastanawiam się nad podróżą do Rosji. Chyba nadeszła pora zmierzyć się z przeszłością.

– Zatem domyślam się, że to ryzyko, które przez cały czas ponosiłeś, ci się opłaciło.

– Tu mnie już nic nie trzyma.

– A Krista?

Wzruszył ramionami zrezygnowany i pokręcił głową.

– Ślub w przyszłym tygodniu. Nic nie mogę zrobić. Moja obecność w Berlinie może jej tylko zaszkodzić, mnie też. Nie chcę jej zrobić krzywdy... Nie powinienem.

– Myślisz, że pozwolą ci wyjechać z kraju bez problemów?

Jurij parsknął śmiechem.

– Marzą, żebym zniknął. Mogą jeszcze przypadkiem zorganizować orkiestrę i rozłożyć przede mną czerwony dywan aż do granicy.

Zapadła między nimi dziwna cisza, zwiastująca pożegnanie.

– Potrzebujesz czegoś ode mnie? – spytał po chwili Villanueva.

Jurij silił się, żeby zapanować nad ściskającym go za gardło wzruszeniem. Przełknął ślinę.

– Wiele już pan dla mnie zrobił, za wiele... – odezwał się ze smutkiem.

– Mam tylko jedną prośbę: niech się pan o nią troszczy... Proszę... Niech się pan zatroszczy o Kristę.

Jurij wyszedł z pałacyku ambasady ze ściśniętym sercem. Przez te wszystkie lata Villanueva stał się dla niego kimś bliskim, substytutem ojca, którego on sam tak niesprawiedliwie wyrugował ze swojego życia. Nie wiedział, czy to pożegnanie będzie pożegnaniem na zawsze, nic go już w Berlinie nie trzymało. Wszystko się dla niego skończyło w tym mieście, które tyle mu ofiarowało, a teraz tyle mu zabierało.

Zamierzał pojechać pociągiem do granicy z Polską. Stamtąd chciał dostać się na terytorium Związku Radzieckiego i dotrzeć do Moskwy.

Słońce wisiało tuż nad horyzontem. Sierpniowe popołudnie zaczynało chylić się ku końcowi. Było jeszcze gorąco, ale lekki wiatr zachęcał do spaceru. Przemierzał ulice wolnym krokiem, przyglądając się ludziom, biegowi ich codziennego życia, spokojnego, bez świadomości tego, co planuje się na najwyższych szczeblach rządu.

Miał czas, żeby dotrzeć do celu o ustalonej porze, ani wcześniej, ani później. Od powrotu Kristy z Ravensbrück każdego piątkowego

popołudnia chodził w miejsce, w którym kiedyś spotykali się z Fritzem i Nicole. Wspomniał o tym półsłówkami pani Metzger, żeby przekazała Kriście, z nadzieją, że któregoś dnia, jeśli nadarzy jej się okazja, przyjdzie do piwiarni. Teraz była na to ostatnia szansa.

Ale wiedział też, że wdowa jest wobec niego nieufna. Prawie jej nie widywał: śniadania i obiady jadł na mieście, żeby nie narzucać jej swojej obecności. Poza tym bardzo subtelnie i z wielkim bólem zasugerowała mu, że byłoby lepiej, gdyby się wyprowadził z poddasza, bo wtedy córka mogłaby ją odwiedzać. Między innymi to przyczyniło się do podjęcia decyzji o wyjeździe; oczy pani Metzger błagające o życie dla jej jedynej córki rozdzierały mu serce.

Musiał się oddalić dla dobra Kristy, wiedział, że powinien wyjechać z Berlina.

W lokalu było gwarno. Przeszedł w głąb pomiędzy stolikami, wśród stłoczonych mężczyzn, którzy pili, śpiewali, śmiali się, krzyczeli i kołysali kuflami pełnymi spienionego piwa. W końcu sali, obok parkietu, na którym zwykle odbywały się tańce, stał stół, przy którym kiedyś spotykali się z przyjaciółmi. Znajdował się nieco na uboczu, dlatego prawie nigdy nie był zajęty. Usiadł, zamówił piwo i zaczął się rozglądać za ukochanymi rysami, ale dookoła miał same obce twarze. Siedział dłużej niż zwykle, chcąc do końca wykorzystać tę ostatnią szansę. Wstając, poczuł się lekko oszołomiony alkoholem. Chciał się przewietrzyć. Zapłacił i wyszedł z piwiarni.

Miał wrażenie, że pokonał przepaść pomiędzy duchotą i gwarem lokalu a tym spokojem wiszącym w czystym powietrzu, które zachłannie wdychał. Ruszył wyludnioną ulicą przy akompaniamencie echa własnych kroków w nocnej pustce. Za plecami usłyszał pospieszne stukanie obcasów. Odwrócił się – i była. Zatrzymała się zaledwie kilka metrów dalej. Na nogach jak z ołowiu i z łomoczącym sercem.

– Jurij... Kochany mój...

Ten głos był siłą, która pchnęła go do działania. Podeszedł do niej i ją objął, ale Krista natychmiast wyswobodziła się z uścisku, zaniepokojona,

rozglądając się wokół siebie, przestraszona, że ktoś ich zobaczy. Chwycił ją za rękę i zaprowadził do długiej, ciemnej bramy, którą przeszli aż na wewnętrzny dziedziniec. Zupełnie jakby miał wszystko zaplanowane, wsunął się w puste miejsce pod schodami, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Dopiero tam znów padli sobie w objęcia.

Jurij ujął jej twarz w obie dłonie i w mroku odnalazł jej oczy.

– Wiedziałem, że w końcu przyjdiesz – wyszeptał. – Jak się czujesz?

– Teraz dobrze...

Znów wziął ją w ramiona, ona wtuliła twarz w jego pierś, a on upajał się zapachem jej włosów. Usiedli na drewnianych skrzynkach, trzymając się za ręce, ciało przy ciele, i w ciemności obsypywali się pieśczołami; wiedzieli, że czasu mają mało, więc mówili szybko, ściszym głosem, prawie szeptem, bojąc się, żeby ktoś nie usłyszał.

Kres tej magii położyło bicie kościelnych dzwonów.

– Muszę iść. – Wstała przestraszona.

– Krista... – Jurij chwycił ją za rękę, żeby ją zatrzymać. – Wyjeżdżam z Berlina.

– Wiem... Dzwonił do mnie Villanueva.

– Co za wspaniały człowiek – wyszeptał z uśmiechem.

– Jurij, posłuchaj mnie uważnie: cokolwiek się stanie, moja miłość do ciebie pozostanie niewzruszona. Proszę cię tylko, żebyś o mnie nie zapomniał... Obiecuj mi, że nie zapomnisz.

– Nie mógłbym, nawet gdybym chciał – zapewnił żarliwie, podnosząc nieco głos. – Wrócę po ciebie, Krista, przysięgam, że wyciągnę cię z tego piekła.

Czule pogłaskała go po głowie. Poprawiła kapelusz i wzięła torebkę. A później pochyliła się do niego i wyszeptała:

– Będę cię kochać do końca życia.

Przysunęła się do niego i go pocałowała. Jurij zamknął oczy, żeby zatrzymać smak jej warg, jej zapach, zapisać to wszystko w pamięci. Kiedy Krista się odsunęła, Jurijowi zakręciło się w głowie, jakby nagle znalazł się na skraju przepaści i nie miał się czego chwycić.

– Zaczekaj kilka minut, zanim wyjdiesz – poprosiła.

Zrobiła krok, z dłońmi splecionymi z palcami Jurija, starając się zatrzymać tę chwilę. Wyswobodziła się, odwróciła i ruszyła. Jurij obserwował jej postać okoloną lekkim blaskiem księżyca, który zakradał się za próg szerokiego korytarza. Wpatrywał się w nią, aż wyszła na ulicę i znikła, ale wsłuchiwał się później w stukanie jej obcasów, coraz cichszych, które w końcu zamilkło zupełnie. Oparł się o ścianę i zapalił papierosa. Czuł się jak tchórz, zostawiając ją w ramionach innego mężczyzny, choć mógł ją chwycić za rękę i zabrać z dala od prześladowców. Torturowała go myśl, że coś mogłoby pójść nie tak i naraziłby ją na niebezpieczeństwo. Poza tym wiedział, że Krista zrezygnowałaby ze wszystkiego ze względu na bezpieczeństwo matki. Musiał się oddalić, miał nadzieję, że odległość ukoji ten rozdzierający ból, który pożerał go od środka. Paradoksalnie potworna historia się powtarzała, kolejny raz musiał wyjechać, zostawiając to, co kocha najbardziej, kolejne bolesne rozstanie, kolejny raz rozdzierające poczucie czyjejs nieobecności.

Znów usłyszał powolne bicie dzwonów rozbrzmiewające w powietrzu. Wyrzucił pet na ziemię, włożył kapelusz i wyszedł ze swojej kryjówki, zamierzając wrócić do domu. Jak tylko stanął na ulicy, usłyszał za sobą kroki i bez żadnego ostrzeżenia został pchnięty z taką siłą, że upadł twarzą na asfalt.

– Sukinsynu, wiedziałem.

Odwrócił się i zobaczył Franza celującego do niego z pistoletu. Jurij leżał bez ruchu, na przegranej pozycji, rozciągnięty na chodniku.

– Najwyższa pora, żebyś się tobą zajął, Juriju Santacruzcie.

Franz zrobił krok i stanął tuż przy stopach leżącego.

– Osiągnąłeś to, co chciałeś – odezwał się Jurij, próbując zyskać na czasie, zanim usłyszy strzał, który go zabije. – W plugawy sposób, ale osiągnąłeś. Proszę cię jedynie o to, żebyś ją dobrze traktował.

– Tej dziwce potrzebny facet, który ją poskromi i przywoła do porządku...

W tej chwili szybkim ruchem Jurij kopnął Niemca między nogi, a ten zgiął się wpół, dzięki czemu zyskał czas, by się na niego rzucić. Pchnięty Franz wypuścił pistolet. Szamotali się, żeby dosięgnąć broni, bezskutecznie. Esesman nieoczekiwanie się odwrócił i usiadł na Juriju okrakiem, chcąc go unieruchomić. Był silny i wytrenowany. Chwytał go za szyję i ścisnął z całej siły, z wściekłością, nienawiścią w oczach, cedząc bez przerwy przez zęby: „Zabiję cię”, jakby sam zagrzewał się do tego, żeby coraz mocniej zaciskać dłonie na delikatnej szyi. Jurij szarpał się zaciekle, ale nie był w stanie wyzwolić się z uścisku. Kiedy poczuł, że siły zaczynają go opuszczać, usłyszał strzał; zabójcze dłonie się rozluźniły, a ciało Niemca, przeszyte wstrząsem, opadło na niego. Szybko zrzucił go z siebie na bok. Przez chwilę widział w jego oczach błysk zdziwienia, konsternacji, że przecież miał zabić, a nie zginąć; po chwili spojrzenie stało się puste, bez życia, a w rozchylnych wargach zamarło zdanie, które przerwała śmierć. Jurij, wstając, natknął się na okrytą rękawiczką dłoń, którą wyciągał do niego jakiś mężczyzna. Podniósł wzrok zdziwiony, że ktoś nosi rękawiczki o tej porze roku. W drugiej dłoni trzymał pistolet, z którego przed chwilą oddał strzał. Skołowany, z uczuciem duszności w gardle, skorzystał z pomocy i wstał.

– Niech pan znika – nakazał mężczyzna, dotykając szyi Franza, żeby sprawdzić, czy wyczuje puls. Wyprostował się i schował pistolet.

– Dlaczego pan to zrobił? – spytał osłupiały Jurij.

– Niech pan podziękuje swojemu aniołowi stróżowi. Villanueva ochrania pana od jakiegoś czasu. Jeśli nie chce pan kolejnych problemów, proszę stąd odejść i spróbować się ukryć. Polują na pana. Na razie im się nie udało, więc spróbują znowu. Niech pan jak najszybciej wyjedzie z Berlina.

Nieznajomy oddalił się szybkim krokiem, zostawiając mówiącego Jurija. Jego pytania zawisły w powietrzu. Nie uzyskawszy odpowiedzi, ruszył w przeciwną stronę, ale po zaledwie kilku krokach natknął się na mężczyznę, który zaszedł mu drogę, jakby na niego czekał.

– Wszystko widziałem... Widziałem, jak zabiliście tego człowieka.

Jurij patrzył na niego oniemiały. Próbował go wyminąć, ale nieznajomy chwycił go i zaczął krzyczeć:

– Policja! Na pomoc! Policja!

Jurij wyrwał mu się, popychając go z całej siły, i puścił się biegiem. Krzyki wzywające policję zlewały się z rytmem jego oddechów i echem kroków.

Na poddasze dotarł mokry od potu. Musiał wyjechać z Berlina, z Niemiec, teraz już nie było odwrotu. Spakował najpotrzebniejsze rzeczy, wziął paszport i podpisaną przez brata wizę i schował je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął z ramki zdjęcie matki i brata i wsunął je obok paszportu. Sprawdził, ile ma gotówki: zaledwie dwadzieścia marek, z taką kwotą nigdzie nie dojedzie. Pomyślał, żeby zadzwonić do Villanuevy. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer; przez kilka sekund słuchał sygnału, ale nikt nie odebrał telefonu. O tej porze najprawdopodobniej je kolację w którejś z luksusowych restauracji i pewnie wróci późno. Postanowił poczekać, musiał mu powiedzieć, co się wydarzyło, żeby powiadomił Kristę. On był zbyt skołowany, żeby trzeźwo myśleć, był pewien, że Villanueva będzie wiedział, co robić. Czuł się wyczerpany. Padł na łóżko, stopy zostawiając na dywanie, jakby nie chciał tracić kontaktu z rzeczywistością. Nieuchronnie zapadł w półsen, aż nagle z drzemki wyrwało go łomotanie do drzwi. Otworzył oczy, ale się nie poruszył, wstrzymał oddech, czekając, aż usłyszy głosy policji żądającej, żeby otworzył, a tymczasem usłyszał nagłą głos Claudii. Otworzył i nie zdążył się odezwać, bo weszła i zamknęła drzwi. Mówiła szybko, niespokojna, bardzo zdenerwowana:

– Idą po ciebie. Aresztują cię. Musisz wyjechać, natychmiast!

– Skąd wiesz?

– Przed chwilą dzwonił Ulrich. Jest poza Berlinem, ale mnie uprzedził, że w drodze jest gestapo, mają cię zatrzymać... Jesteś oskarżony o zabicie Franza. Musisz wyjechać z kraju. Zawiozę cię moim autem do granicy z Polską.

Jurij patrzył na nią przez kilka chwil z niedowierzaniem i niepokojem.

– Wiedząc, o co mnie oskarżają, przychodzisz mnie ostrzec? – Rozłożył ręce skonsternowany. – Dlaczego miałbym ci wierzyć?

Przysunęła się i spojrzała na niego.

– Bo twoje życie jest dla mnie o wiele ważniejsze niż życie mojego brata.

Przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Owszem, potrzebujesz – zaprotestowała z miążdzącą pewnością. – Sam nic nie zrobisz, dopadną cię, jak tylko wyjdiesz z mieszkania. – Znów się do niego przysunęła z niepokojem na twarzy. – Jurij, jeśli cię zatrzymają, nie przeżyjesz... Musisz mi zaufać.

– Muszę powiadomić Kristę. Sytuacja się zmieniła, teraz już nie jest...

– Nie ma czasu, Jurij. Ja z nią porozmawiam.

– Nie wierzę ci.

– Martwy na nic jej się nie zdasz.

Jurij stał przez chwilę niepewny, aż w końcu poszedł po walizkę.

– Nie, walizkę zostaw. Jeżeli nie będzie twoich rzeczy, domyślą się, że uciekłeś, i wzmocnią patrole na granicach. Weź tylko paszport. – Widząc, że Jurij stoi bez ruchu, wpadła w desperację i krzyknęła na niego z błagalną miną: – Musimy iść!

Jurij poszedł z nią do jej mieszkania; otworzyła i kazała mu wejść.

Pojawiła się Mina, niania, która mieszkała z nimi od narodzin małej Jenell. Niosła przewieszony przez ramię garnitur owinięty tkaniną, który podała Claudii.

– Nikomu nie otwieraj i nie odbieraj telefonu. – Claudia wzięła torebkę, paszport i kluczyki do samochodu. – Nic nie widziałaś, niczego nie wiesz. Jasne?

Dziewczyna kiwała głową przerażona, jakby od tego zajścia zależało jej życie. Claudia otworzyła drzwi i wyjrzała na klatkę. Odwróciła się do Jurija.

– Szybko! Wychodzimy stąd!

Puścili się biegiem po schodach i wsiedli do samochodu. Claudia ruszyła i od razu przyspieszyła. Kiedy mieli skręcić, minęły ich dwa pędzące samochody gestapo, które zatrzymały się przed bramą. Jurij był wstrząśnięty. Claudia naprawdę pomagała mu w ucieczce.

– Przebierz się – poleciła. – Na kilka godzin, dopóki jesteś w Niemczech, wcielisz się w Ulricha von Schönberga. Z tyłu masz mundur. Macie prawie taki sam rozmiar. Problemem będą włosy, za długie i ciemne. Będziesz musiał porządnie je ukryć pod czapką.

Jurij z tylnej kanapy wziął pakunek, który niania przyniosła Claudii. Był to kompletny mundur SS. Przebrał się, choć nie było to łatwe w tak ciasnej przestrzeni. Gdy zapinał czarną marynarkę, zdążyli już wyjechać z miasta. Czapkę położył na kolanach. Czuł się skrępowany w tym stroju przesiąkniętym zapachem Ulricha. Claudia zdjęła jedną dłoń z kierownicy i wsunęła ją do torebki, nie spuszczać wzroku z drogi. Wyciągnęła paszport i mu go podała.

– To paszport Ulricha. Przejedziemy przez polską granicę. Wiem, że Ulrich od miesięcy jeździ tą trasą na spotkania z polską dziwką, którą odwiedza bez żadnych zahamowań. Na granicy będziesz prowadził ty. Musisz się zachowywać jak esesman, być arogancki i wyniosły, z autorytetem. Jak sprawdzą, kim jesteś, przepuszczą cię.

– A ty?

– Ja jestem żoną Ulricha. Na mnie nie zwrócą uwagi.

– Nie boisz się, że niania wszystko wyda?

– Nie piśnie słowem.

– Skąd ta pewność? W tym kraju jest pełno donosicieli.

– To Żydówka.

– Zatrudniasz u siebie Żydówkę? – spytał zaskoczony.

– Nikt o tym nie wie. Ja też nie wiedziałam, odkryłam to przez przypadek, całkiem niedawno. Ma sfałszowane papiery. Odgrywa inną postać. Nic nie powie, jestem jej całkowicie pewna.

– Jak to możliwe, że tak zaciekle nazistka jak ty, pozwala, żeby Żydówka opiekowała się jej dziećmi?

- To także twoje dzieci.
- Nie zaczynaj.
- Mam je z tobą, Jurij. Mój mąż nie może mieć dzieci. Jest bezpłodny, ale o tym nie wie. Wyznał mi to mój teść. Są twoje – oznajmiła.

Jurij patrzył na nią ogłuszony tym wyznaniem. Przemknęło mu przez myśl, że może być ojcem starszego, ale zawsze ją przeganiał, tłumacząc sobie, że to niemożliwe, albo dlatego że zwyczajnie nie chciał o tym myśleć.

- To prawda, co mówisz? Dzieci są moje?
- Przysięgam ci na największe świętości. Nie było w moim życiu żadnego innego mężczyzny poza tobą i Ulrichem, oczywiście.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle ściśniętym nagłym wzruszeniem. Potwierdzenie, że jest ojcem dzieci Claudii wywołało w nim niepokój i zadowolenie jednocześnie, z którymi nie mógł sobie poradzić. Przez długą chwilę jechali w ciszy. Jurij próbował rozwikłać tę łamigłówkę. Claudia o tym wiedziała i dała mu czas. W końcu odezwał się cicho:

- Za bardzo ryzykujesz.
- Chcę to zrobić.
- Dlaczego?
- Przecież wiesz. – Zerknęła na niego przelotnie. Wahala się chwilę, ale w końcu zadała pytanie, obawiając się odpowiedzi, którą uważała za pewnik. – Naprawdę zabiłeś mojego brata?
- Twój ludzie mnie o to oskarżają, więc jestem skazany. Co za różnica, jak było naprawdę?
- Zrobiłeś to czy nie? – nie dawała za wygraną.
- Zasługiwał na to. Był podły. Ale nie, nie zrobiłem tego, chociaż nie miałbym oporów, żeby z nim skończyć. Gdyby ktoś do niego nie strzelił, zabiłby mnie; taki miał zamiar i niewiele brakowało i by go zrealizował.
- Położył dłoń na szyi. – Teraz przynajmniej Krista nie będzie musiała przeżywać tego, co na niej wymógł szantażem... Jak można być taką kanalią? Oby zgnił w piekle.

– Jurij, przykro mi z powodu wszystkiego, co się wydarzyło... Czasami... – Zdjęła jedną dłoń z kierownicy i machnęła nią w powietrzu, jakby szukała słów, żeby wyrazić to, co czuła. – Człowiekowi się zdaje, że robi coś z miłości, a tymczasem to czysty egoizm.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Westchnęła, ściskając mocno kierownicę, jakby się bała, że spadnie w przepaść.

– Zachęciłam mojego brata, żeby zdobył Kristę. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

– Nie chcesz mi powiedzieć, że uknułaś całe to gówno – powiedział z wyrzutem i rozczarowaniem.

– Przysięgam ci na wszystkie świętości, że w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że posunie się do czegoś takiego jak Ravensbrück, nie sądziłam, że sprawy przyjmą taki obrót.

– Jak mam ci wierzyć, Claudio? To był twój brat...

– Wiem, przykro mi... – Jej ton brzmiał błagalnie. – Ale przysięgam ci na moje dzieci, że mówię prawdę. Nie miałam pojęcia o jego zamiarach.

– Pojąć nie mogę, co wy, naziści, macie w głowach! – ryknął Jurij, nie mogąc powstrzymać złości, bo w głębi duszy chciał jej wierzyć. – Jesteście pełni nienawiści... Nienawiści do innych, do tych, którzy myślą inaczej niż wy, nienawiści do osoby, która staje wam na drodze w kwestiach tak delikatnych, jak miłość...

Claudia nie odpowiedziała od razu. Myślała nad argumentami, którymi odparłaby słuszne ataki Jurija.

– Mam wrażenie, że pomyliłam się prawie we wszystkim – wyszeptała ze smutkiem. – Ale największym błędem mojego życia było to, że nie uciekłam z tobą, kiedy poprosiłeś.

Zerknął na nią kątem oka.

– To już przeszłość, Claudio. – Jego ton złagodniał. – Nie ma sensu do tego wracać...

– Nie mogłam tego zrobić, Jurij – przerwała mu gwałtownie. – Musiałam cię chronić.

– Chronić? Przed czym? Twój wygodny i bezpieczny świat był o wiele bardziej pociągający niż szalona miłość u mojego boku. Taka jest prawda i nie mam ci tego za złe, nigdy nie miałem, choć stałem się mimowolną ofiarą twojego wyboru.

– Znów się co do mnie mylisz – skwitowała melancholijnie. – Jurij, tamtego popołudnia... Kiedy wróciliśmy z naszej wyprawy... Postanowiłam, że to zrobię, że wszystko zostawię i wyjadę z tobą, ale do mojego męża dotarły plotki, że spotykam się z jakimś mężczyzną. – Otaczał ich głuchy szmer opon na asfalcie. – Gdyby miał zabić tylko mnie, nie przejęłabym się, ale zagroził, że docieknie, kto to jest, i się go pozbędzie, i wiem, że zrobiłby to, gdybym się ciebie nie wyrzekła... A gdyby stało ci się coś z mojej winy, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Dlatego się od ciebie odsunęłam...

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – spytał wstrząśnięty Jurij.

– A co by to dało? Nigdy nie naraziłabym cię na niebezpieczeństwo.

Przez długą chwilę milczeli, spowici ciemnością, czując swoją obecność, ze wzrokiem skupionym na pasie jezdni oświetlonym latarniami. Po dwóch godzinach drogi Claudia zatrzymała auto na poboczu.

– Usiądź za kierownicą. Do granicy już bardzo niedaleko. Pamiętaj, kim jesteś, nie patrz na nich, okazuj zniecierpliwienie i irytację, jakby wszystko zbyt długo trwało. I załóż czapkę, mam nadzieję, że nie zwrócą uwagi na włosy.

Zamienili się miejscami, ale zanim ruszyli, Jurij odwrócił się do niej.

– Claudia, gdyby nam się nie udało... Gdyby coś poszło nie tak... – Jego poważny ton podkreślało skupienie na twarzy. – Chcę, żebyś wiedziała, że jestem ci wdzięczny za to, co robisz.

Kiwnęła głową, uśmiechając się do niego. Chwyliła go za rękę i lekko ścisnęła.

– Wszystko będzie dobrze... – wyszeptała. – Jedźmy...

Na widok szlabanów przejścia granicznego Jurij poczuł, że puls mu przyspiesza. Zatrzymał samochód przed dwoma strażnikami. Kiedy podeszli i zobaczyli pagony i runy na marynarce, stanęli na baczność.

Jurij lekko opuścił szybę i przez szparę podał dwa paszporty; jeden z funkcjonariuszy sprawdził najpierw dokument Claudii, zaledwie lekko się pochylił i szybko rzucił na nią okiem; zaraz potem otworzył paszport Ulricha. Drugi strażnik stał w odległości kilku metrów, zupełnie niezainteresowany samochodem. Ten, który sprawdzał paszport, zamknął go, ale zauważył wystające spod czapki włosy. Jurij się zorientował i wstrzymał oddech. W tej chwili podjechał następny samochód i zatrzymał się za nimi. Podeszedł do niego drugi strażnik. Po kilku sekundach zawołał kolegę stojącego przy Juriju, który jeszcze raz spojrzął na zdjęcie. Mężczyzna przez kilka sekund stał z dokumentami w dłoni.

– Jakiś problem, sierzancie? – spytał w końcu Jurij, zdobywając się na odwagę i tak władczy ton, jaki był w stanie z siebie wykrzesać.

– Żadnego, Herr Sturmbannführer – odpowiedział funkcjonariusz, oddając paszporty. – Można jechać dalej. – Cofnął się o krok, podniósł rękę i wypowiedział głośno: – Heil Hitler!

Jurij z oporami odpowiedział nazistowskim pozdrowieniem, uruchomił silnik i podjechał do szlabanu, który zaczynał się podnosić. Dopiero gdy znaleźli się za nim, wypuścili wstrzymywane powietrze. Po kilku kilometrach dotarli na obrzeża jakiegoś miasta. Claudia kazała mu zjechać na pobocze.

– Możesz się już przebrać i znów być sobą – powiedziała. – Idź prosto i dojdiesz na dworzec. Stamtąd będziesz mógł pojechać pociągiem do Warszawy.

Wysiedli z samochodu. Jurij zdjął ubranie, a gdy ubrał się w swój garnitur, Claudia starannie złożyła mundur męża i położyła go na tylnej kanapie. Później otworzyła schowek w samochodzie, wyciągnęła kopertę i podała Jurijowi.

– Będą ci potrzebne.

Jurij zajrzał do środka i zmarszczył czoło.

– To dużo pieniędzy – chciał odmówić.

- Kiedyś mi oddasz – rzuciła z uśmiechem, zmuszając go, by je przyjął.
- Musimy się pożegnać, Jurij. Powinnam wracać do Berlina.
- Jak? Poznają samochód i zdziwią się, że nie ma z tobą Ulricha.
- O mnie się nie martw. Poradzę sobie. Wiesz, że ze mnie kobieta zaradna.

Uśmiechnęła się, wdzięczna, że się tym zainteresował. Otworzyła drzwi samochodu.

- Claudio... – Jurij przełknął ślinę, nie wiedząc, czy się odezwać, czy milczeć. – Przykro mi...

Położyła dłoń na jego ustach, żeby zamilkł.

- Nic nie mów, Jurij. To już nieważne. Będę cię kochać zawsze, choćby twoje serce zajmowała Krista. To wyjątkowa kobieta, godna twojej miłości.

Ujął dłonie Claudii w swoje. Były zmarznięte.

- Claudio, powiedz jej, że ja tego nie zrobiłem. I, proszę cię, zatroszcz się o nią. Zrobisz to?

– Wydaje mi się, że gdyby usłyszała to Krista, oburzyłaby się na ciebie. Sama potrafi się o siebie zatroszczyć.

– Zrób to dla mnie.

– Odkąd cię poznałam, wszystko robię dla ciebie. Raz lepiej, raz gorzej, ale całym moim życiem byłeś i jesteś ty.

W tej cichej nocnej pustce czuli się tak, jakby byli sami na świecie. Stali przy samochodzie spowici mrokiem, w świetle zapalonych latarni. Jurij nie mógł i nie chciał się opierać – podszedł i czule pocałował ją w usta. Ona się poddała, wtulając się w jego ramiona.

Claudia pierwsza oderwała wargi.

– Zrób coś dla mnie – wyszeptała, ciągle w jego objęciach, patrząc mu w oczy.

– Powiedz tylko co.

– Przeżyj...

Moskwa, wrzesień 1939 roku

Jeden i ten sam człowiek bywa w różnych epokach swego życia i w różnych życiowych sytuacjach – zupełnie odmienną istotą. Raz bliżej mu do szatana, innym razem – nawet do świętego. Imię zaś nie ulega zmianom i wszystko przypisujemy jednej i tej samej osobie.

ALEKSANDR SOŁŻENICYN, Archipelag Gułag

...Tak, tak, my nie mamy problemu z wolnością, bo jeśli o nią chodzi, zawsze pytamy: w jakim celu ta wolność?

Odpowiedź Lenina w wywiadzie z FERNANDEM DE LOS RÍOS URRUTI,

Moja podróż do sowieckiej Rosji

I

Kolia Fiodorowicz Smełow stał przy oknie swojego majestatycznego gabinetu na drugim piętrze Łubianki i dobrą chwilę obserwował ludzi idących przez rozległy plac. Wzrok miał skierowany w stronę alei, przy której, w odległości zaledwie czterystu metrów, znajdował się hotel Metropol, od paru dni goszczący jego brata Jurija. Trudno mu było przyznać, że ta wizyta, na którą tak czekał i której tak się obawiał, zrobiła wyłom w jego sercu, twardym jak skała po latach tresury i katechizacji w śmiertelnej nienawiści do rodziny, która go porzuciła; szczelinę, przez którą docierało do niego mgliste i ukryte pragnienie ponownego z nim spotkania. Tak bardzo go kochał, tak bardzo za nim

tęsknił, tak bardzo cierpiał z powodu rozłąki, że bolesne były nawet wspomnienia tamtych dni.

W jego skołowanych myślach kiełkowało kłujące wspomnienie tamtego popołudnia na dworcu Finlandia w Sankt Petersburgu. Strzępy wspomnień, zniszczonych dojmującym bólem porzucenia, tego poczucia samotności i odrzucenia, jakie wyrosło w nim od chwili, gdy pobiegł za matką, której nigdy nie dogonił, wchłoniętej przez rozszalały, konwulsyjny tłum, który brutalnie go miażdżył i oszołomił na tyle, że w tym czasie stracił wszystko: kontakt z ojcem, matkę sprzed oczu, możliwość ich odzyskania.

Szukał ich rozpaczliwie, nie mogąc pojąć, jak mogli go zostawić, pozbawić swojej troski i opieki. Krążył bezradnie po dworcu przez kilka dni i nocy, chodził pomiędzy ludźmi z nadzieją, że trafi na znajomą twarz, która przywróci go do rzeczywistości, do jego rzeczywistości. Żywił się tym, co znalazł w śmieciach albo dostał od kogoś napotkanego z litościwym sercem. Pamiętał przenikające ciało przeraźliwe zimno, które w końcu go sparaliżowało, uczucie osierocenia doskwierające coraz bardziej z każdą chwilą, niepohamowany płacz, kiedy siedział skulony w kącie, nic nie rozumiejąc.

Tydzień później, kiedy głód zmusił go do kradzieży jabłka, został zatrzymany i przewieziony na komisariat. Tam dostał pierwsze ciosy, pierwsze uderzenia bez powodu i uzasadnienia, przed niekończącymi się pytaniami na temat ojca i po nich, lawinę oskarżeń zrzuconych na ramiona ukochanej matki, tam usłyszał srogie głosy domagające się wyjaśnień, których nie znał. Zamknięty w celi z mężczyznami podobnie jak on skołowanymi i przerażonymi, po raz pierwszy poczuł pragnienie śmierci. Przestał mówić, poprzysiągłszy sobie milczenie. Przestał jeść pomyje, którymi ich karmiono. Przestał się poruszać – leżał na zimnej podłodze, skulony, coraz słabszy, coraz bliższy obranego celu, na oczach wszystkich, którym przerażenie nie pozwalało na nic innego niż patrzenie, przyglądanie się bezgranicznej rozpacz tego jedenastoletniego dziecka.

Aż pewnego dnia zjawił się jego anioł stróż, kobieta, która wyciągnęła go z tego piekła i ze szponów śmierci, które już się w niego wbiły. Jej imię zapamiętał na zawsze. Jewgienija Fiodorowna, jedna ze strażniczek tej nory, która postanowiła się nim zaopiekować, wyciągnęła go stamtąd, zabrała do siebie, do małego pokoiku o powierzchni zaledwie siedmiu metrów kwadratowych, w którym mieszkała sama.

Przez ponad miesiąc Kolia nie wstawał z łóżka, nie miał nawet siły otworzyć oczu. Jewgienija zmuszała go do jedzenia, myła go codziennie jak niemowlę, przebierała i śpiewała słodkim głosem, żeby ukołysać go do snu, zawsze niespokojnego. On jej na wszystko pozwalał, patrząc w pustkę, z poczuciem smutku tak ciężkim, jakby zamiast duszy miał ołów. Przypomniawszy sobie moment, kiedy na nią spojrzał, i po raz pierwszy był w stanie się do niej uśmiechnąć. Jewgienija leżała obok niego i nuciła kołysankę, którą śpiewała mu mama. Poczuł, że serce na nowo mu się otworzyło, i uśmiech sam pojawił się na jego wargach. Ona zamilkła, zaskoczona tym przejawem życia, który przyjęła jako wzruszający dowód wdzięczności. Żadne z nich się nie odezwało. Kiedy wydobrzeał i mógł wyjść z mieszkania, zaczęły się kłopoty. Sąsiadka doniosła na Jewgieniję, bo zakwaterowała chłopca w budynku, nie zgłaszając tego, gdzie trzeba. Zanim po niego przyszli, żeby zabrać go do szkoły leśnej, Jewgienija poradziła mu, żeby zmienił nazwisko: miał zapomnieć, że jest synem cudzoziemca, bo to tylko naraziłoby go na niebezpieczeństwo.

– Nigdy nie wypowiadaj nazwiska twojego ojca ani nie mów, kim był, matki też nie. Wymyśl inne nazwiska, powiedz, że jesteś niczyj, że twoi rodzice umarli, że zostałeś sam, powiedz, co chcesz, ale nigdy, słyszysz, nigdy nie mów, że jesteś synem cudzoziemca. Zrobisz to dla mnie?

Kolia wspomniawszy błagalne spojrzenie Jewgieniji Fiodorowny, które go przenikało w chwili, gdy go od niej zabierali, kiedy znów poczuł ból samotności, wykorzenia, braku przynależności do czegoś i do kogoś, nieistnienia, zaledwie oddychania. Od tej chwili zaczął się posługiwać

nazwiskiem Smelów i odojcowskim Fiodorowicz, na cześć swojej wybawicielki.

Kiedy po kilku latach opuścił szkołę, wrócił, by ją odnaleźć, ale jej pokój zajmowała czteroosobowa rodzina. Nikt nie wiedział, gdzie jest ani co się z nią stało. Jewgienija Fiodorowna wyparowała tak, jak zniknął obraz jego rodziców i rodzeństwa, których twarze, głos, czuły dotyk ich uścisków zacierały się w jego pamięci. Stopniowo nabierał przekonania, że go porzucili, i nienawiść wobec nich, podsycana przemowami szkoleniowymi wszystkich, którzy go otaczali, pozostawiła nienaprawialną rysę na jego sercu, twardym jak kamień. Ten brat, tak ukochany, a później tak przeklinany, zjawił się w jego życiu niczym przybysz z przeszłości.

Z rozmyślań wyrwało go pukanie do drzwi. Nie drgnął. Po chwili rozległ się ochrypły głos sekretarki.

– Towarzyszu kapitanie, przyszedł towarzysz Sokołow.

Kolia stał bez ruchu, z dłońmi splecionymi za plecami, a kobieta czekała na polecenia, trzymając za klamkę.

– Niech wejście – powiedział w końcu i podszedł do biurka.

Kobieta zniknęła. Kolia usiadł i przez kilka sekund przeglądał dokumenty brata, które dostarczył mu Sokołow przed swoim przyjazdem. Patrzył na jego zdjęcie, zrobione potajemnie, gdy wychodził z ambasady, i starał się dojrzeć oczy, za którymi tak tęsknił.

Chropawy głos Sokołowa kazał mu podnieść głowę.

– Proszę, proszę... – Minę miał zdziwioną, jakby nie wierzył w majestatyczność tego gabinetu. – Towarzysz kapitan, ni mniej, ni więcej... Widzę, że całkiem nieźle sobie poradziliście pod moją nieobecność.

Kolia przyglądał mu się bez słowa. Przez ostatnie dwa lata spektakularnie awansował w hierarchii, natomiast z powodu przeprowadzonych czystek, po usunięciu wrogów ludu, sabotażystów i zdrajców sprawy Stalina, zaufany personel partii został bardzo uszczuplony. Stąd jego mianowanie mimo młodego wieku.

Sokołow z drwiącym uśmiezkiem podszedł do imponującego biurka z litego drewna. Kolia przyglądał się walizce, którą trzymał w prawej dłoni; wyglądała na ciężką.

– Kiedy przyjechaliście? – spytał.

– Przed godziną. – Postawił walizkę na biurku, nie spuszczać wzroku z Kologii, i usiadł w jednym z foteli po drugiej stronie. – Cudem się uwolniłem. Słyszeliście informacje? Hitler to zrobił. Wkroczył do Polski. Nie ma hamulców.

– Rosja jest jego hamulcem – skwitował Kolia i zakończył temat. – Co przywozicie?

Sokołow z szelmowskim uśmiezkiem położył dłoń na torbie.

– Osobiste zlecenie komisarza Berii. – Otworzył walizkę i zaprezentował zawartość. – Dziesięć pistoletów Walther. Świetna broń niemieckiej produkcji.

– Wiadomo, po co mu one?

Sokołow pokręcił głową.

– Towarzyszu kapitanie, ja tylko wykonuję rozkazy. – Zamknął walizkę i zapalił papierosa. Kolia nie skorzystał z poczęstunku.

– Jurij Michajłowicz tu jest – powiedział Kolia ściszone głosem.

– Ostrzegałem go, żeby nie przyjeżdżał. Chyba wpakował się w kłopoty. Jest oskarżony o zabójstwo funkcjonariusza SS. Niejasne porachunki z zazdrością w tle. – Pokręcił głową. – Wydanie mu wizy było błędem.

Kolia przesunął się do przodu, z łokciami na blacie, jakby chciał mu powiedzieć coś w zaufaniu. Odkąd Sokołow przekazał mu informację, że poszukuje go brat, jego losy nieodwracalnie się z nim związały.

– Sokołow, jeśli ktoś się dowie, że Jurij jest moim bratem, jestem skończony.

Vadim przez chwilę przyglądał mu się nieruchomo.

– Wiem... – przyznał w końcu poważnym tonem. – Widzieliście się z nim?

Kolia zaprzeczył.

– Zamierzacie się z nim spotkać? – ciągnął Sokołow.

– Myślicie, że powinienem?

Sokołow westchnął z zamyśloną miną.

– Jeśli się z nim nie spotkacie, zdenerwuje się. Jak zacznie za bardzo wypytywać, może was wpędzić w kłopoty.

– Macie rację... – Kolia się zastanawiał. – Tak czy siak, jego obecność tutaj stanowi dla mnie zagrożenie. Tylko wy znacie prawdę na temat mojej przeszłości. – Nie potrafił ukryć zaniepokojenia. – A to oznacza, że jestem w waszych rękach.

Sokołow patrzył mu w oczy z aroganckim wyrazem twarzy i zgryźliwym uśmiechem.

– Możecie mi ufać, towarzyszu kapitanie, jestem przekonany, że w stosownej chwili wynagrodzicie mi moją dyskrecję.

– Możecie być tego pewni.

II

Życie stało się lepsze, towarzysze; życie stało się weselsze.

Propagandowe stwierdzenie JÓZEFA STALINA

Po obudzeniu Jurij potrzebował paru chwil, żeby się zorientować, gdzie jest: leżał w miękkim łóżku w luksusowym apartamencie, do którego zaprowadzili go dwaj mężczyźni czekający na niego na dworcu, nie dali mu wyboru. Do Moskwy przyjechał przed tygodniem. Od tamtej pory jego życie ograniczało się do tych czterech ścian. Nie mógł oprzeć się poczuciu, że jest więźniem w tej złotej klatce. Pozwalali mu wyjść, ale zawsze w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy dzień i noc stali przy drzwiach i mówili mu, dokąd może pójść, a dokąd nie. Pozostałą część dnia przebywał w swoim pokoju. Czas spędził na lekturze kilku książek Stefana Zweiga, które kupił w Warszawie, zaopatrzył się tam również w ubrania i walizkę; przeglądał gazetę przynieszoną do śniadania, świadomy, że jedyną niepodważalną prawdą była jej nazwa – „Prawda”,

a informacje publikowane na jej stronach były jedynymi dopuszczalnymi w Związku Radzieckim; pisał listy do Kristy (a także do Villanuevy), które przekazywał swoim strażnikom, aby je opieczetowali i wrzucili do skrzynki, ale nie był pewien, czy je wysyłają, czy wyrzucają do kosza na śmieci jeszcze przed wyjściem z hotelu. Poza tym usiłował uporządkować swoje plany na najbliższą przyszłość.

Była czwarta nad ranem, a on nie mógł zasnąć. Próbował zaradzić bezsenności, czytając, aż nagle usłyszał dwukrotne głośne pukanie do drzwi. Zdziwiony wizytą o takiej porze otworzył i zobaczył Sokołowa, który wszedł do pokoju, nie czekając na zaproszenie. Jurij wyjrzał na korytarz; po strażniku, który zwykle pilnował wejścia, nie było śladu. Zamknął drzwi i bez słowa odwrócił się do gościa.

– Widzę, że nie posłuchaliście mojej rady, towarzyszu Juriju Michajłowiczu. – Sokołow zdążył usiąść na jednym z dwóch foteli przy oknie.

Jurij podszedł do niego powoli. Bosy, z dłońmi w kieszeniach góry od piżamy, zaczął go wypytywać spokojnym tonem, bez złości:

– Jak wygląda moja sytuacja? Dlaczego trzymają mnie tu w zamknięciu? Siedzę w Moskwie od tygodnia i nikt mi nic nie powiedział. Gdzie jest Kolia? Nie chce się ze mną widzieć? To niech powie, a ja z miejsca wyjadę z kraju.

– Cierpliwość to szlachetna cecha i nigdy nie należy jej tracić, towarzyszu. – Sokołow wyciągnął papierosa i zapalił go zapałką. Mówił dalej z półprzymkniętymi oczami i papierosem w ustach. – W Berlinie jesteście poszukiwani. Poruszają niebo i ziemię, żeby was znaleźć. Niezłego piwa nawarzyliście – dodał drwiąco, wyciągając z ust papierosa.

– Będę mógł się zobaczyć z bratem? – Jurij nie dawał za wygraną.

– Radzę, żebyście przestali nazywać go swoim bratem.

– Minęło dużo czasu i posługuje się innym nazwiskiem i innym imieniem ojcowskim, ale nie przestanie być moim bratem.

– Juriju Michajłowiczu, wbijcie sobie coś do głowy. – Sokołow podkreślił ponurą minę, celując w niego wyprostowanym palcem. – Kolia

Fiodorowicz Smelow nie ma rodzeństwa. I lepiej, żebyście tym razem posłuchali mojej rady, bo zapłacicie za to życiem... Obaj. – Włożył papierosa do ust, zaciągnął się i wypuścił dym, nie spuszczać wzroku z Jurija, jakby analizował jego zaniepokojenie, upajał się jego dezorientacją i zniecierpliwieniem. Rozłożył ręce z nowym nastawieniem, z uśmiechem. – Musicie zrozumieć, towarzyszu, na wszystko potrzeba czasu, a wasz w końcu nadszedł.

– Co to ma znaczyć? – spytał Jurij z niepokojem.

– Nadszedł ten dzień, towarzysz kapitan postanowił się z wami spotkać. Dlatego tu jestem.

– Chodzi o mojego...? – Zamilkł i się poprawił: – O Kolię? Gość przytaknął.

– Teraz? – spytał zaskoczony.

– Towarzysz kapitan jest człowiekiem bardzo zajęтым.

– Jest czwarta w nocy – podkreślił Jurij.

– Chcecie się spotkać z Kolią czy nie chcecie?

Jurij szybko się umył i ubrał. Założył marynarkę, wziął zdjęcie brata i matki i schował je do kieszeni. Za ledwie pół godziny po przybyciu Sokołowa wyszli razem z hotelu i wsiedli do lincolna z kierowcą, który czekał na nich przed wejściem. Jechali pustymi ulicami śpiącego miasta. Jurij był zdenerwowany, choć nie chciał się do tego przyznać. Dostrzegł czerwone mury Kremla, a gdy tylko przejechali przez Bolszoi Kamiennyj Most nad czarnymi wodami rzeki Moskwy, samochód zwolnił i zatrzymał się przed gigantyczną szarą budowlą składającą się z dwóch wież i dziewięciu pięter z fasadą przeładowaną oknami, połączonych monumentalnymi prostymi arkadami, które nadawały jej wygląd twierdzy. Dwaj mężczyźni wysiedli i Jurij ruszył za Sokołowem. Weszli do imponującej, dobrze oświetlonej klatki. Wyszedł im na spotkanie senny konsjerż w uniformie ze złotymi lamówkami i spytał, do kogo się udają. Sokołow wyciągnął wizytówkę i mu ją pokazał, i właściwie nie dając mu czasu, żeby się jej przyjrzał, ruszył w kierunku windy, wszedł do środka, a za nim Jurij. Wjechali na dziewiąte piętro. Gdy wysiedli,

Rosjanin skierował się do jednego z wejść i zapukał tylko raz. Otworzyła im służąca w uniformie, zaprowadziła ich do pokoju i poprosiła, żeby poczekali, a sama zniknęła. Panowała kompletna cisza, mieszkanie pogrążone było w spokojnym śnie. Jurij przyglądał się wszystkiemu ze zdziwieniem. Mieszkanie było przestronne, z niewielką liczbą dobrej jakości mebli: cztery bogato zdobione, tapicerowane krzesła stały dookoła zabytkowego stołu; parkiet przykrywał miękki dywan. Jurij podszedł do biblioteki wypełnionej książkami.

– Wygląda na to, że towarzyszowi Kologii Fiodorowiczowi Smełowowi powodzi się całkiem nieźle – skomentował, przeglądając tytuły.

– Partia dba o swoich ludzi, zwłaszcza tych lojalnych. A towarzysz Fiodorowicz jest jednym z najbardziej oddanych sprawie Stalina, rewolucji i ojczyźnie. Ale nie ulegajcie złudnemu wrażeniu, nic z tych rzeczy nie jest jego własnością. W Rosji wszystko należy do rządu. – Machnął ręką w ironicznym geście. – Dziś daje, jutro może odebrać.

Jurij odwrócił się do niego zamyślony. Nie zgadzało mu się to wszystko, nie mógł uwierzyć, że jego ukochany brat rzucił się w ramiona tych, którzy tak brutalnie rozbili ich rodzinę.

– Poczęstuje mnie pan? – spytał na widok paczki papierosów w dłoni Sokołowa.

Rosjanin wyciągnął rękę i zapalili obaj. Sokołow usiadł, ale Jurij spacerował jak lew w klatce, próbując okiełznać zdenerwowanie. Za szybą wielkiego okna zaczynało się rozjaśniać nad ciemnym zakolem rzeki Moskwy, Kremlem i złotymi kopułami katedry Chrystusa Zbawiciela. Po półgodzinie czekania drzwi znów się otworzyły i w progu stanęła służąca.

– Towarzysz kapitan czeka na pana – zwróciła się do Jurija.

Sokołow zerwał się na równe nogi.

– Nadeszła pora. Powodzenia, towarzyszu.

– Pan wychodzi? – spytał Jurij, nieco zbity z tropu.

– Ta chwila jest tylko wasza – odparł Rosjanin z uśmiechem. – Powodzenia, towarzyszu. – Wyszedł na klatkę dość pospiesznie i zniknął.

Kobieta cierpliwie czekała na Jurija. Zgasił papierosa i ruszył za nią po drewnianej podłodze długiego, szerokiego korytarza. Ściany były niemal gołe. Kobieta zatrzymała się przed jednymi drzwiami, delikatnie zapukała dwa razy i, nie czekając, otworzyła i wpuściła Jurija do środka. Zajrzał do środka ostrożnie, jak ktoś, kto pochyła się nad przepaścią. Pokój oświetlała zaledwie jedna lampa. Dostrzegł postać mężczyzny zwróconego do niego tyłem, stojącego przy oknie, przez które było widać pierwsze oznaki świtu. Jak tylko Jurij wszedł, drzwi za jego plecami się zamknęły. Dopiero wtedy Kolia się odwrócił. Jego sylwetka na tle łuny wstającego dnia wydała się Jurijowi jakby nie z tego świata. Puls mu przyspieszył i poczuł bezgraniczne wzruszenie. Patrzyli na siebie z daleka, przyglądali się sobie.

– Cześć, Jurij – odezwał się w końcu Kolia.

– Kolia... – wyszeptał przejęty Santacruz. – Nie masz pojęcia, ile razy marzyłem o tej chwili, ile razy ją sobie wyobrażałem... Nie masz pojęcia.

Na Jurija wylała się głucha cisza niczym dzban lodowatej wody. Przełknął ślinę i spróbował nad sobą zapanować.

– Jak się miewasz? – spytał, żeby przełamać to lodowate milczenie.

Kolia bez odpowiedzi, z chłodną miną podszedł do niego powoli i stanął przed nim. Słabe światło lampy pozwoliło im się sobie przyjrzeć po tak długim czasie. Jurij czuł, że za gardło ściska go głębokie wzruszenie. Rozpoznał jego oczy, spojrzenie, włosy; podobieństwo do ojca, które było u niego widać w dzieciństwie, jeszcze się spotęgowało. Był nieco od niego niższy, wysportowany i barczysty; rysy dorosłego mężczyzny się wyostrzyły, jego oczy o tym wyjątkowym odcieniu bursztynu, identyczne jak oczy ojca, okalały bardzo wyraźne zmarszczki. Miał na sobie rosyjską koszulę z perkalu i marynarkę z lustry. Dłonie trzymał w kieszeniach, sprawiał wrażenie nieobecnego.

Jurij miał ochotę go uściskać, ale kiedy spróbował, Kolia lekko zeszywniał i to ledwie wyczuwalne odrzucenie nagle zniszczyło magię tego spotkania po latach.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – spytał zdziwiony Jurij.

– Zbyt wiele się wydarzyło. Już nie jestem tym dzieckiem, które bezlitośnie porzuciliście.

– Dlaczego mówisz, że cię porzuciliśmy? Zgubiliśmy cię! Zniknąłeś w tłumie. Nie mogliśmy nic zrobić...

– Nie mogliście nic zrobić? – podniósł lekko głos, wyraźnie zirytowany.

– Wsiedliście sobie do pociągu i odjechaliście, wiedząc, że zostawiacie mnie samego, i nie obchodziło was nic poza tym, żeby ratować siebie.

– Wcale tak nie było... Tata chciał wysiąść z pociągu, ale mu nie pozwolili...

– Nie powinien w ogóle wsiadać. – Kolia minę miał wściekłą, przepełnioną bólem i urazą, noszonymi zbyt długo. – Twój ojciec wsiadł do tego pociągu i odjechał jak tchórz.

Jurij usiłował zrozumieć tę kompletnie nieoczekiwaną reakcję. Jego wyobrażenia o tym spotkaniu po latach rozbiły się w drobny mak.

– To był też twój ojciec...

– Od osiemnastu lat nie mam rodziny: ani ojca, ani matki, ani rodzeństwa... Nikt się mną nie zainteresował! Nikt mnie nie szukał! Zostałem sam...

– Tata ryzykował życiem, żeby przyjechać cię szukać – odparł Jurij, coraz bardziej przerażony.

– Ryzykowała dla mnie tylko kobieta, która mnie przygarnęła i uratowała przed śmiercią z głodu i z żalu. Słono za tę pomoc zapłaciła.

– Rozłożył ręce, jakby próbował wyrazić ból, jakiego doświadczył. – Jak to możliwe, żeby ojciec porzucił syna? Jak mógł wsiąść do tego pociągu, a mnie zostawić na tym przeklętym dworcu? Porzuciliście mnie i nie obchodziło was, co się ze mną stanie!

– To nieprawda! – wybuchnął rozzłoszczony Jurij. – To niesprawiedliwe... – Powiedział to z żalem, bo ciążyła mu świadomość, że sam przez lata niewłaściwie oceniał ojca, obwiniając go o wszystko. – Tata próbował...

Zamilkł, bo drzwi się nagle otworzyły. Do środka zajrzała młoda kobieta, z nieco potarganymi włosami, z miną zdziwioną i przestraszoną.

– Coś się stało? – spytała prawie szeptem.

Kolia podszedł do niej skruszony.

– Sonia, kochana, przepraszam, że cię obudziłem. Wracaj do łóżka, obiecuję, że więcej nie będę ci przeszkadzał. – Pocałował ją w czoło.

Ona uśmiechnęła się bez słowa i spojrzała na stojącego na środku pokoju gościa. Jurij odwrócił wzrok, zawstydzony, że podniósł głos, i zasmucony z powodu ataków brata, bo dotarło do niego, że żył w przeświadczeniu, że chroni go miłość matki, i nigdy nie przemknęło mu przez myśl, co wycierpiał i jakiego dojmującego poczucia odrzucenia doświadczył. To emocjonalne rozbicie odcisnęło na nim piętno, runęły wszystkie jego wyobrażenia na temat tego spotkania.

Gdy zostali sami, trwali w milczeniu, jakby ta krótka przerwa zdołała złagodzić napięcie, jakie między nimi narosło.

– To twoja żona? – spytał Jurij uprzejmie.

Kolia poprosił brata, żeby usiadł w jednym z dwóch skórzanych foteli przy oknie; on sam zajął drugi.

– Jesteśmy ze sobą od dziesięciu lat. Mamy dwoje dzieci.

– Więc mam bratową i bratanków.

– A ty? Sokołow mi mówił, że zamierzasz się ożenić.

– Próbowałem, ale ślub jest w Niemczech rzeczą dość skomplikowaną, jeśli zamierzasz go wziąć z Niemką.

– Więc nie masz dzieci.

– Z tego, co wiem, mam dwoje... z inną kobietą.

– Z tego, co wiesz? – powtórzył zaciekawiony Kolia. – Więc nie jesteś pewien, czy jesteś ojcem?

Jurij wyciągnął zdjęcie, które towarzyszyło mu przez te wszystkie lata i położył je na stojącej przed nimi ławie, w zasięgu wzroku Kologii.

– Nie mam żadnych wątpliwości. Starszy to cały ty.

Kolia, bez ruchu, długo przyglądał się zdjęciu.

– Co się stało?

– Jest mężatką. Zakochałem się w kobiecie dla mnie nieosiągalnej.

– I, z tego, co widzę, ciągle jesteś w niej zakochany...

Jurij chciał zaprotestować, ale pomyślał, że przed nim nie musi ukrywać swoich zawyłych uczuć. Pokręcił głową.

– Moje serce jest teraz zajęte przez inną – powiedział, kiwając dłonią, żeby odpuścić ten temat i nie rozdrapywać ran.

Dopiero wtedy Kolia wziął zdjęcie z poważną miną i wzrokiem utkwionym w dwóch postaciach. Po chwili rzucił je na ławę, jakby go parzyło. Nie chciał mierzyć się z przeszłością, bo wiedział, że sprawi mu ból i rozedrze ranę ostrzem nieznannej rzeczywistości.

– Co się stało z resztą? – odważył się spytać.

– Tatę trzy lata temu podczas wojny domowej zabiła bomba w Madrycie, umarł razem ze Swietą, która się nim opiekowała. Przyznaję, że byłem wobec niego bardzo niesprawiedliwy, tak samo jak ty teraz. Wszystkie te lata były dla niego torturą, bardzo cierpiał, stracił nawet pamięć... Wydaje mi się, że tego chciał: zapomnieć, żeby przestać cierpieć.

– Na szczęście mógł sobie na to pozwolić.

Jurija bulwersowała obojętność i dystans, jakie były od Kolii.

– Katii nie widziałem od sześciu lat. Mieszka z rozwiedzionym prawnikiem i ma czteroletniego synka. Wiem niewiele więcej. Jej listy były bardzo lakoniczne, zaledwie parę linijek; ja też za bardzo się nie wysilałem, żeby się dowiadywać, co u niej słychać. Przyznaję, że nie pochwalałem tego, żeby zamieszkała z mężczyzną bez ślubu. Mój błąd, jeden z wielu.

– A Sasza? – spytał Kolia ostrożnie. – Wyzdrowiał?

Jurij ze smutkiem pokręcił głową.

– Zmarł w pociągu, kilka dni po tym, jak wyruszyliśmy w tę przeklętą podróż.

Kolia milczał. Patrzył na zdjęcie nadal leżące na stole. Spojrzeniem beznamiętnym i chłodnym. Jurij przyglądał mu się z uczuciem głębokiej frustracji. Nigdy nie pomyślałby, że spotkanie z bratem przebiegnie w ten sposób, wśród takiego chłodu, jakby ostatnie lata życia streszczali sobie dwaj obcy ludzie. Czuł pustkę.

Kolia nagle wstał i podszedł do mebla z tacą.

– Muszę się napić – oznajmił, starając się zdusić emocje, które w sposób niekontrolowany ścisnęły go za gardło. – Masz ochotę na wódkę?

– Dobrze mi robi.

Podał mu kieliszek i usiadł. Jurij wypił długi łyk. Poczł przyplłw ciepła w żołądku. Chciał zebrać w sobie dość siły, żeby wypowiedzieć pytanie, którego bał się zadać, bo obawiał się odpowiedzi. Toczył ze sobą tak zaciętą wewnętrzną walkę, że z powodu napięcia całe ciało wydawało mu się obolałe.

– Kolia... Co wiesz o mamie?

Przerwała mu lawina dziecięcych krzyków i śmiechów, drzwi się otworzyły i do pokoju wbiegł czteroletni chłopiec, domagający się uwagi ojca. Był w piżamie, rozczochrany i bosy. Wdrapał się na kolana Kologii, śmiejąc się, jakby ukrył się przed swoją prześladowczynią, nieco starszą dziewczynką, która przybiegła za nim i stanęła jak wryta w progu, czując, że znajduje się na wyłącznie męskim terytorium.

– Sasza, chodź tutaj – rozkazała dziecinnie władcym tonem. – Mama powiedziała, żebyśmy nie przeszkadzali tacie.

Chłopczyk zdążył się umościć na kolanach ojca i przyglądał się Jurijowi, który mimowolnie pomyślał o Hansie, synu Claudii. Nie ulegało wątpliwości, że to on był ojcem dziecka. Ujrzał swoje geny w postaci syna brata. Podobieństwo między dziećmi było tak wyraźne, że przerażało.

– Tato, kto to?

– Kolega – odparł Kolia. – Nazywa się Jurij Michajłowicz.

Dziewczynka ponownie ponagliła brata, żeby wyszedł z pokoju. Wzbudziła w Juriju sympatię. Miała z dziewięć lat i włosy takie same jak jego siostra Katia. Kolia ostrożnie postawił synka na dywanie, pocałował go w policzek i pchnął go w stronę wyjścia.

– Idź z siostrą.

Maluch go posłuchał i wybiegł, wymijając dziewczynkę, która zamknęła drzwi i zostawiła ich samych.

– Twój syn ma na imię Sasza? – spytał wzruszony Jurij.

– Imię wybrała jego siostra Larisa – odpowiedział Kolia. Po czym, próbując zatrzeć wszelkie ślady czułości, dodał posępnym tonem: – Twoja matka zmarła jakiś czas temu.

Ta niechęć uderzyła Jurija z taką siłą, że przez kilka sekund siedział oniemiały. Miał wrażenie, że brakuje mu tlenu; wstał i podszedł do okna. Dzień już wstał. Słońce barwiło na różowo poszarpane chmury rozciągnięte na niebie. Dziewięć pięter niżej miasto zaczynało budzić się do życia, w rzece Moskwie odbijały się pierwsze światła poranka, a przed jego oczami prezentował się majestatyczny Kreml. Nabrał powietrza i wypuścił je, wzdychając głęboko.

– Jaka była?

– Nie wiem... Nigdy jej nie widziałem – odparł Kolia za jego plecami.

Jurij odwrócił się do niego zaskoczony.

– Jak to?

– Nie miałem pojęcia, że ona została. Dopiero kilka lat temu się dowiedziałem, że nie wsiadła do tego przeklętego pociągu.

– A Pietia Smelów? Ten lekarz, przyjaciel taty, wiesz coś o nim? – Chciał się zorientować, czy Kolia zna historię matki i Smelowa.

– Jest jednym z lekarzy Kremla.

– Masz z nim kontakt? W końcu nosisz jego nazwisko.

– Nazwisko jak każde inne, takie akurat wybrałem. Widziałem go na jakimś przyjęciu, ale nie wie, kim jestem, nie ma pojęcia o moim istnieniu i tak powinno pozostać.

Jurij domyślił się, że Kolia nic nie wie o więzi, jaka łączyła Pietię Smelowa i ich matkę, przez którą ojciec na zawsze zerwał ze wszystkim, co miało związek z Rosją, także z Kolią, zaginionym synem, niezdolny o niego walczyć. Zastanawiał się, czy powinien mu o tym powiedzieć, ale doszedł do wniosku, że lepiej nie. Był przekonany, że pod tą skorupą nienawiści i pretensji tliła się jeszcze jakaś iskra miłości do matki i nie

chciał jej zdusić prawdą, która niczego by nie naprawiła, a wiele zniszczyła.

– Teraz zaczynam rozumieć... – wyszeptał Jurij właściwie bezwiednie, jakby wymknęły mu się z ust słowa zaledwie pomyślane.

– Moje życie nie było łatwe, odkąd zostałem sam... Musiałem się nauczyć sobie radzić, żeby przeżyć. – Z jego oczu bił głęboki żal. – Od dawna nie nazywam się Santacruz, stałem się kimś innym; gdybym tego nie zrobił, nie odnalazłbyś mnie, bo byłbym martwy. W Rosji nikt nie wie, kim jestem naprawdę, oprócz Sonii i, dzięki tobie, także Sokołowa. – Rozłożył ręce. – Jeśli kiedyś się ktoś dowie, kim byli moi rodzice, będę skończony, i nie tylko ja, Sonia i dzieci też za to zapłacą.

Jurij słuchał go w skupieniu.

– Więc jaki sens ma moja wiza na wjazd do Rosji?

– Sokołow wpadł na świetny pomysł, żeby wykorzystać cię jako szpiega. Poważny błąd, który może nas sporo kosztować.

– Rozumiem... – Jurij przyglądał mu się przez kilka sekund. – Widziałeś ją kiedyś? Mamę... Widziałeś ją?

Spojrzenie Kologii spochmurniało; pokręcił głową. Okłamywał go, bo nie cierpiał o niej mówić. Jego wzrok padł na zdjęcie, uśmiechniętą twarz matki; ten wizerunek obudził w nim wszystkie jego obawy, najboleśniej, najbardziej jaskrawe wspomnienia najpotworniejszych przeżyć, które rozdzierały go od środka niczym nikczemne zbiorowisko zła i podłości nagromadzonych z upływem czasu.

III

Leśna szkoła, w której Kolia uczył się do szesnastego roku życia, ukształtowała go na człowieka chłodnego, niewzruszonego, górę lodu nieuchwytną i nieufną. Czułość, którą niegdyś nosił w sercu, została z niego wyrwana przy pomocy bicia i maltretowania, krzyków, chłodu i głodu. Jediną ostoją, jaką odnalazł w tym piekle, w jakie zamieniło się

jego życie, był jego kolega, Ljowka Wasiljewicz, wysoki i ciężki Gruzin, silny jak dąb, o przytłaczającej osobowości, rok od niego starszy, który postanowił go chronić, kiedy Kolia nie wydał bezwzględnej wychowawczyni, że to on ukradł bochenek chleba, i sam poniósł niesprawiedliwą karę za milczenie. Od tej pory Ljowka i Kolia stali się przyjaciółmi i nierozłącznymi sojusznikami. Kiedy Gruzin wyszedł z tego zakładu dla nieletnich, Kolia poszedł z nim. Przejechali pociągiem cały kraj, z północy na południe.

Ljowka traktował go jak brata, przygarnął go do swojego domu w Tbilisi, gdzie mieszkał z matką i siostrą, Sonią Wasiljewną, która po latach została jego żoną i matką jego dzieci. Ljowka był dobrym chłopakiem, dobrym uczniem, dobrym synem i bratem; do tego poprawczaka wysłano go za karę za niestosowne zachowanie wobec dwóch kolegów, choć rzeczywistość wyglądała zgoła inaczej, bo to ci dwaj donosiciele, chcąc mu zaszkodzić i pozbyć się go z Tbilisi, zastawili na niego pułapkę, w którą naiwnie wpadł.

Ljowka Wasiljewicz był sąsiadem Berii, mężczyzny o nijakim wyglądzie i surowym wyrazie twarzy, który po wojnie domowej został szefem gruzińskiej Czeki, przebiegłym i bezwzględnym; jego bezlitosnej władzy bali się wszyscy. Przed zdradą, która oddaliła go od matki i siostry na ponad cztery lata, Ljowka nieufnie przyglądał się ciemnym sprawkom NKWD – Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, tajnej policji, na czele której w Tbilisi stał Beria. Po powrocie bez wahania zapisał się do Komsomołu, ciągnąc ze sobą przyjaciela. Od tej pory Kolia na dobre wsiąkł w szeregi organizacji Partii Komunistycznej. Kiedy w 1934 roku Beria został nominowany członkiem Komitetu Centralnego, więcej czasu zaczął spędzać w Moskwie niż w Tbilisi. Zabrał ze sobą Ljowkę i Kolię, których uważał za swoich zaufanych ludzi. Wtedy Kolia był już od czterech lat mężem Soni, a ich córeczka skończyła trzy lata. Zamieszkali we czworo w sześciopiętrowym bloku, w ciemnym i dusznym pokoju z dwoma łóżkami: w większym spało małżeństwo z córeczką, a mniejsze

zajmował Ljowka. Było im dość ciasno, ale cieszyli się, że łazienkę i kuchnię dzielą z mieszkańcami tylko trzech innych pokoi.

Posłuszny radzie wybawczyni, Jewgieniji Fiodorownej, Kolia ukrywał swoje pochodzenie i rodzinną przeszłość. Dzięki dyskrecji, bezwarunkowemu oddaniu i prozelickiej lojalności komisarz Ławrientij Beria zwrócił na niego uwagę. Wkrótce po przyjeździe do Moskwy mianował go śledczym i wysłał do więzienia Butyrki, by tam uczył się od Wasilija Błochina, jednego z najzuchwalszych, najokrutniejszych i najbardziej nieludzkich śledczych, największego znawcy rozmaitych sposobów traktowania aresztowanych tak, aby wydobyć od nich wszelkie potrzebne informacje w jak najkrótszym czasie. Przez kilka miesięcy Kolia brał udział w przesłuchaniach prowadzonych przez towarzysza Błochina. Z początku tylko go obserwował, w niczym nie uczestnicząc, skupiony na niespotykanych sposobach swojego nauczyciela, ale z czasem zaproszono go do czynnego udziału w tych naukach; gorliwie stosował przyswojone sadystyczne metody, pripraviające przesłuchiwanego o dozowane cierpienie, dopasowywane w każdej sekundzie, z torturami obliczonymi na cierpienie największe bez przekraczania ostatecznej granicy, nigdy albo prawie nigdy.

Kolia bardzo często musiał wstawać o świcie, żeby na odpowiednią godzinę dotrzeć do więzienia Butyrki: jechał autobusem, a później musiał pokonywać piechotą długi odcinek do celu. Jednak pewnego styczniowego ranka 1935 roku, gdy wyszedł na ulicę, zobaczył czekającego przed budynkiem czarnego forda. Funkcjonariusz w wojskowej czapce i cywilnym płaszczu powiedział mu, że na rozkaz towarzysza Berii ma go zawieźć do Łubianki. Przerażony Kolia wsiadł do samochodu, nie oponując. Oddech tworzył na mrozie małe obłoki. Całą noc padał śnieg i biały puch pokrywał ulice niczym zimna pierzyna, rozjeżdżony miejscami przez samochody, tramwaje i trolejbusy oraz rozdeptany przez brudne buty przechodniów. Niebo przykrywały ołowiane chmury, które wyglądały tak, jakby zaraz miały spaść na miasto. Samochód wjechał na plac Łubianki i zatrzymał się przed

budynkiem w stylu fin de siècle, wzniesionym czterdzieści lat wcześniej jako siedziba pokojowego towarzystwa ubezpieczeniowego; od czasu rewolucji bolszewickiej przeprowadzano w nim aresztowania tysięcy osób, tutaj decydowały się ich losy – ulotna wolność w najlepszym przypadku, ale najczęściej kara więzienia, banicji czy też śmierci szybkiej lub powolnej agonii, w grupie albo wyjątkowo zaszczytnie przez powieszenie albo rozstrzelanie w samotności.

Wszedł do przytłaczającego holu, w którym królował olbrzymi portret Lenina i drugi, nieco większy, Stalina, obok wielkiej czerwonej flagi Związku Radzieckiego z żółtym sierpem i młotem. W drzwiach czekał na niego strażnik. Wypełnił przepustkę, wpisując godzinę wejścia, miejsce na wpisanie czasu wyjścia pozostawił puste, i majestatycznymi schodami zaprowadził Kolię do dźwigu okrężnego, nazywanego „paternoster” z powodu skojarzenia z różańcem; pokonali nim kilka pięter. Wyszli na pusty, słabo oświetlony korytarz z licznymi drzwiami po obu stronach. Strażnik szedł pewnym krokiem metr przed Kolią, który podążał za nim, przyglądając się wszystkiemu z zaciekawieniem i lekkim strachem. Z pomieszczeń dobiegał stukot klawiszy maszyn do pisania. Przewodnik zatrzymał się na końcu korytarza, przed dwuskrzydłowymi drzwiami, zupełnie innymi od pozostałych. Zapukał dwa razy, otworzył i zajrzał do środka, po czym odwrócił się do Kologii i wskazał, żeby wszedł.

Znalazł się w jasnym, wysokim gabinecie. Przy oknie, przez które było widać rozległy dziedziniec Łubianki, a na horyzoncie wieże Kremla, stali trzech umundurowani mężczyźni. Podeszedł do niego tylko Beria, przyjaźnie się uśmiechając.

– Towarzyszu Kolio Fiodorowiczu, cieszę się, że was widzę. Mam nadzieję, że żona i córka mają się dobrze. Poinformowano mnie, że mieszkacie z Ljowką Wasiljewiczem i że stanowi to pewną uciążliwość dla tak młodego małżeństwa, które potrzebuje intymności. Proszę was o nieco cierpliwości; wkrótce wasze warunki znacząco się poprawią. Zostanie wam przyznane w domu rządowym największe mieszkanie, odpowiednie do wychowywania waszej córki. Wiem poza tym, że Sonia

Wasiljewna musiała zrezygnować z pracy w Tbilisi, żeby przeprowadzić się z wami do Moskwy. Wiem, jakie ma wykształcenie, i jestem pewien, że nie ma ochoty być zwykłą kurą domową, zajmującą się wyłącznie sprawami życia codziennego. – Spojrzał na zegarek. – Powiedzcie jej, że jutro o tej godzinie przyjedzie po nią samochód, żeby mogła tu dotrzeć, by omówić tę kwestię. Osobiście dopilnuję, żeby dostała posadę, która pozwoli jej na niezależność i własne zarobki; oczywiście będziecie potrzebować gosposi, która zajmie się domem. Załatwimy wszystko od razu. – Nie czekał na odpowiedź, za oczywistość przyjmował zgodę Kologii na wszystko, co mówił.

Ten słuchał, od czasu do czasu potakując z tchórzliwym uśmiechem.

Beria zaprowadził go do biurka, pięknego mebla z litego drewna, z blatem obitym zieloną skórą, z miedzianymi okuciami. Pozostali dwaj mężczyźni przyglądali się wszystkiemu w milczeniu. Gruzin wziął teczkę i otworzył ją z wyraźnym zadowoleniem.

– Mam tutaj raport sporządzony przez towarzysza instruktora Wasilija Błochina. Sprawdziliście się wzorowo, zdaliście egzamin z wyróżnieniem. Nadeszła pora, żebyście dostali niezależną posadę i samodzielnie prowadzili sprawy. Zostaniecie więc śledczym, a awans będzie miał odzwierciedlenie w waszej pensji. Za każdego przesłuchanego aresztowanego będziecie otrzymywać dodatek, za każdą karę podwójne wynagrodzenie, a za każdy wyrok śmierci wysoką premię. Trzeba oczyścić naród z przestępców, zniszczyć wrogów ludu, którzy na nas czatują i usiłują zaszkodzić naszemu ojcu Stalinowi. Należy z nimi skończyć bez skrupułów, kategorycznie, tak żeby wszyscy wiedzieli, że za zdradę Rosji słono się płaci. W ostatnich miesiącach mogliście się przekonać, że wielu z tych nikczemnych spiskowców próbowało zmiękczyć was łzami i błaganiem, ale towarzysz Błochin pokazał wam, że ci są najgorsi, którzy najwięcej ukrywają, najgroźniejsi, i trzeba na nich bardzo uważać. Teraz wy macie stanąć w pierwszym szeregu i podjąć się trudnego zadania zduszenia i rozbrojenia wszelkiego zagrożenia. Jesteście na to gotowi?

– Oczywiście, towarzyszu sekretarzu generalny – odpowiedział natychmiast Kolia, nauczony wykonywania rozkazów bez zastanawiania się nad celowością, ich powagą czy skutkami. Należy je wykonywać, żeby przetrwać. – Zrobię, co będzie trzeba.

Beria kiwnął protekcyjnie głową, patrząc na niego tymi swoimi szklistymi, powiększonymi przez okrągłe szkła okularów oczami.

– Za to was cenię, towarzyszu śledczy. Możecie być pewni, że wasza lojalność wobec partii zostanie nagrodzona, a im bardziej ślepa, tym sowitsza nagroda.

Kolia wzdrygnął się mimowolnie, czując na sobie przeszywające spojrzenie.

– Zaczniecie od zaraz – oznajmił autorytarnie Beria. – Niech przyprowadzą pierwszego więźnia.

Jeden z funkcjonariuszy stojących przy oknie wyszedł na korytarz i po chwili wrócił z kobietą w ciemnej garsonce; usiadła przy maszynie do pisania stojącej na stoliku przy biurku. Przyniosła ze sobą teczkę.

Kolia się odwrócił i podszedł do okna, zostawiając za plecami wszystko, co działo się w pomieszczeniu. Nauczył się, żeby nie patrzeć więźniowi w oczy przed rozpoczęciem przesłuchania, nie dać się zwieść twarzy pełnej przerażenia, błagalnemu spojrzeniu przygaszonemu przez paraliżujący strach, zachować zimną krew, widzieć w tych mężczyznach i kobietach, starszych i młodszych, wszystkich tych, którzy przez lata wyrządzili mu krzywdę, którzy go bili lub upokarzali, którzy kradli mu tę niewielką ilość jedzenia, jaką miał, wyładować całą złość na tych zgnębionych twarzach, lęk siadających przed nim przesłuchiwanym zamienić w zawziętość i awersję wobec nich, ich przerażenie zamienić w swoją wściekłość.

Pogrążony w myślach przyglądał się prośącemu śniegowi, przygotowując duszę na wykonanie sadystycznego zadania.

Z rozmyślań wyrwał go chytry głos Berii:

– Towarzyszko Pulkerio Raskolnikowa, powiedzcie nam, kogo dziś mamy.

Odpowiedź maszynistki okazała się brutalnym ciosem dla sumienia Kolia.

– Stawia się wróg narodu, obywatelka Filatowa, Weronika Olegowna. Lat czterdzieści pięć. Oskarżona o niezadenuncjowanie wroga narodu, przestępstwo z punktu osiemnastego artykułu pięćdziesiątego ósmego Kodeksu Karnego oraz dodatkowo o utrzymywanie w przeszłości związków z obcokrajowcami i uczenie języków obcych potencjalnych szpiegów.

Kolia odwrócił się z przerażeniem i zobaczył bezbronną matkę siedzącą na krześle na środku pokoju. Dwaj funkcjonariusze stali po obu jej stronach, upajając się władzą, jakby nękali ofiarę. Siedziała ze spuszczoną głową, zgarbiona. Miała na sobie podarte futro z nutrii i stare filcowe kozaki, a włosy skrywały się pod wełnianą czapką. Zdawało się, że jej drżące ciało lada moment się rozpadnie. Kolia poczuł, że traci siły, że nogi się pod nim uginają. Więc była tutaj, w Rosji. Przez cały ten czas myślał, że jest sam; tymczasem okazało się, że ona nie zdołała wsiąść do tego przekłętego pociągu i nie wyjechała z kraju. Cierpiał na myśl, że przez cały ten czas musieli być tak blisko siebie i o tym nie wiedzieli. Nie mógł w to uwierzyć, po czternastu latach spotykał swoją ukochaną matkę, ale nie po to, żeby ją uściskać, pocałować jej dłonie, nie po to, żeby pogłaskać ją po głowie, żeby czule spojrzeć jej w oczy i usłyszeć jej ciepły głos. Miał ją osądzić, torturować, wykazać się wobec niej bezwzględny okrucieństwem, aby zmusić ją do wyznania oczekiwanej przez jego zwierzchników zgody na ich oskarżenia, choćby nieprawdziwej. Czuł się zdruzgotany: jeśli okazałby jej miłość i odkryliby ich pokrewieństwo, skazaliby ich oboje natychmiast i w brutalny sposób. Wiedział, że powinien się powstrzymać, teraz, kiedy ją odnalazł, kiedy wiedział, że jest tutaj, powinien ją uratować, ale w tym celu najpierw musiał wystąpić wobec niej w roli kata.

Napotkał spojrzenie Berii, który przyglądał mu się z szatańską miną. Powoli, trzymając dłonie za plecami, Beria podszedł do aresztowanej

i stanął za nią, żeby móc patrzeć Kologii w twarz, gdy będzie ją przesłuchiwał.

– Towarzyszu Kolia – odezwał się władcym tonem, zdejmując z głowy czapkę i odsłaniając siwawe potargane włosy. – Pora zaczynać.

Słyszając imię, Weronika podniosła głowę. Jej oczy przyglądały się chłopakowi, szukając twarzy ukochanego syna, próbując się przebić przez skorupę nieruchomego oblicza, przedrzeć się przez mur nienawiści i rozgoryczenia i dotrzeć do głębi jego duszy, w potwornym wysiłku, na jaki jest się w stanie zdobyć tylko matka. Przełknęła ślinę, żeby zdusić wzruszenie, a przez jej twarz jedynie przemknął cień szczęścia na widok syna żyjącego, stojącego tak blisko, choć w takim piekle.

Na kilka chwil matkę i syna przygniotła przytłaczająca, niema lawina boleśnie intensywnych uczuć. Kolia, z sercem otwartym na oścież, był bliski temu, żeby dać za wygraną, rzucić się w czułe objęcia matki, choćby miał zapłacić za to życiem. Przyjemna śmierć, pomyślał. Jednak Weronika, wyczuwając jego pragnienie, spuściła wzrok na niespokojne dłonie i zerwała magiczną, rozciągniętą między nimi nić, kuląc się, jakby zamykała się w sobie, dając mu znać, by tego nie robił, błagając go bez słów, żeby trzymał się od niej z daleka, bo musi żyć, bo życie syna było dla niej najważniejsze.

IV

Nim zaczął, wypił spory łyk wódki tylko po to, żeby zagłuszyć sumienie, zatrzeć świadomość tego, że jest synem, i wcielić się w skórę Lewiatana, zamienić się w diabła. Oskarżenia wobec matki były błahe i groteskowe. Zarzucano jej, że nie doniosła na sąsiadkę skazaną kilka tygodni wcześniej. Zakładano, że Weronika wiedziała o konspiracyjnych działaniach tej kobiety i że uczestniczyła we wszystkich potajemnych spotkaniach, knując opozycyjne intrygi. Było to dalekie od prawdy: jego matka nigdy nie interesowała się polityką, nie należała do żadnej partii

ani organizacji, i, rzecz jasna, nie konspirowała przeciwko niczemu ani nikomu. Ale to nie miało najmniejszego znaczenia; koniec końców sąsiadka została skazana, a wszyscy jej znajomi, wśród nich Weronika, podpadali pod artykuł pięćdziesiąty ósmy Kodeksu Karnego, na podstawie którego oskarżono ich o działalność antyrewolucyjną, zostali tak zwanymi „wrogami narodu”.

Przesłuchanie rozpoczęło się pod baczny, ostrym okiem Berii. Kolia jedynie zadawał pytania, stojąc przed aresztowaną niczym bierny obserwator jej męki. Sprawiała wrażenie wyczerpanej. Zanosilo się na to, że będzie ją czekać metoda konwejera, polegająca na przesłuchaniu, które mogło się ciągnąć przez wiele dni i nocy bez pożywienia i przerwy na sen w celu złamania oporu aresztowanego.

Beria po chwili podszedł do biurka i położył na blacie kawałek papieru z białym proszkiem ułożonym w dwie równe linie i scyzoryk. Odwrócił się do Kolii.

– To ci doda odwagi do wykonania zadania. – Kiwnął na niego z ponurym spojrzeniem i grymasem na twarzy, a później zwrócił się do mężczyzn stojących obok Weroniki. – Zabrać jej krzesło. Jest jej za wygodnie i to daje jej siłę.

Kolia wytrzymał spojrzenie Berii. Za plecami czuł oddech udręczonej matki. Przysunął twarz do kartki, zakrył jedno nozdrze i wciągnął powietrze, później zrobił to samo z drugim. Wyprostował się szybko, zamknął oczy i położył dłoń na grzbiecie nosa, czując, jak kokaina przemieszcza się do gardła, drażniąc jamę nosową. Nie pierwszy raz wciągał to gówno, nie lubił tego robić, ale nieprzyjęcie propozycji Berii było ryzykowne.

Po kilku sekundach, podczas których padały bezlitosne, nieustępliwe pytania, Kolia się odwrócił i już bez skrupułów przyłączył do makabrycznego tańca tortur, z duszą ogołoconą ze współczucia, pozbawiony resztek człowieczeństwa; przestał być synem, a stał się brutalnym potworem, upojony najbardziej nikczemnym okrucieństwem, zapalczywym, bezlitosnym Mefistofelem.

Ona starała się, żeby jej oczy nie spotkały się z oczami udręczonego syna. Kiedy ugiwały się pod nią kolana, dwaj strażnicy chwyтали ją za ręce, nie dając jej upaść, zmuszając, żeby nadal stała. Skołowana i wyczerpana odpowiadała monosylabami i chaotycznymi zdaniami, ledwie słyszalnym głosem. Kiedy Beria wydał rozkaz, żeby ją zabrano, Weronika, niemal szeptem, zanuciła Kalinkę, okazując przebaczenie synowi-katowi, tę piosenkę, którą tyle razy wspólnie śpiewali, dając mu rozgrzeszenie.

Weronika Olegowna Filatowa została uznana za winną i skazano ją na pięć lat pozbawienia wolności, którą miała odbyć w więzieniu Butyrki, w izolacji i bez prawa do korespondencji.

To przesłuchanie otworzyło nieuleczalną ranę na sumieniu Kolia, kolejny wyrzut, potworna tortura, która towarzyszyła mu od tamtej pory dniem i nocą niczym ponury cień.

Po powrocie w ramiona żony był niczym żywy trup, zostały z niego tylko szczątki. Jego szwagra Ljowki nie było w pokoju, a córka spała. Nieprzerywanym, powolnym szeptem Kolia wyjawiał Soni do ucha całą swoją przeszłość, prawdziwe nazwisko, opowiedział o szczęśliwym dzieciństwie, końcu jego świata, tamtym dworcu, matce, nierozważnym impulsie, żeby za nią pójść, poczuciu porzucenia przez rodzinę, samotności, pustce, potwornym spotkaniu z matką w Łubiance, udręczeniu matki... jego matki... jego ukochanej matki, której przy pomocy razów wydzierano duszę z ciała... Dojmujące poczucie parszywego, przesiąkniętego złem życia. Sonia słuchała, tuląc go z miłością na kolanach. Nic nie powiedziała, nie zrobiła ani jednego wyrzutu, nadal go kochała, zalała pieścotami i czułością, i tej przeklętej nocy poczęli małego Saszę.

W Europie trwała bezlitosna wojna. Po trzech dniach od brutalnej, niespodziewanej napaści Niemiec na Polskę najpierw Wielka Brytania, a po niej Francja, Australia i Nowa Zelandia wypowiedziały wojnę Hitlerowi. Wkrótce dołączyła do nich Kanada. W połowie września terytorium wschodniej Polski zaatakował Związek Radziecki, a w listopadzie Stalin zrobił to samo z Finlandią. Po zaledwie dwudziestu latach świat znów uruchomił bezlitosną wojenną maszynę.

Po przykrym spotkaniu z bratem Jurij podjął stanowczą decyzję o wyjeździe z Rosji. Nic go tu nie trzymało. Zabrnął w ślepy zaułek.

Marzenie o powrocie do Berlina, do Krysty, zdawało się niemożliwe do zrealizowania, bo nadal był poszukiwany za zabójstwo Franza Kahlera. Przez Sokołowa udało mu się nawiązać kontakt z Villanuevą, żeby znaleźć jedyne rozsądne rozwiązanie, a było nim posłużenie się fałszywym paszportem. Villanueva usiłował mu uświadomić, jakie ryzyko wiąże się z jego powrotem do Niemiec, nawet pod fałszywym nazwiskiem, ale upór Jurija, który nie chciał zrezygnować ze spotkania z Krystą, kazał Erichowi działać, bo wiedział, że jeśli on nie przekaże Jurijowi dokumentów, ten będzie próbował je zdobyć innymi, mniej bezpiecznymi sposobami. Obiecał więc, że mu je załatwi, ale poprosił o cierpliwość, bo w czasie wojny niełatwo było zdobyć takie papiery.

W czasie oczekiwania nadal mieszkał w luksusowym apartamencie Metropolu. Wszystkie koszty pokrył Kolia. Nadzór nad Jurijem, z jakim spotkał się w pierwszych tygodniach, był coraz mniej rygorystyczny, przynajmniej z pozoru. Nikt już nie stał na korytarzu, a kiedy wychodził z hotelu, czasem zauważał, że ktoś go śledzi, ale nikt go nie niepokoił, nikt mu nie mówił, dokąd pójść może, a dokąd nie, z pełną swobodą jeździł tramwajem albo metrem, którego stacje nazywano „podziemnym pałacem”.

Sokołow zaprosił go do teatru i na kolację do Domu Gribojedowa, dawnego pałacu arystokraty z czasów przedrewolucyjnych, gdzie na srebrnej tacy zaserwowano im jesiotra ze szczypcami kraba i świeżym kawiolem, a także kotleciki z kosa z truflami wśród innych delikatesów,

a do tego butelkę wody mineralnej. W miejscach takich jak to mogło się zdawać, że przekłęta rewolucja wcale nie miała miejsca. Dla odmiany zaskakiwały go powszechne kolejki przed wszystkimi sklepami.

– Po co przychodzić z takim wyprzedzeniem? – spytał Jurij Sokołowa na widok około pięćdziesięciu osób stojących przed sklepem na trzy czy cztery godziny przed otwarciem, cierpliwie znosząc przeraźliwe zimno i wilgoć. – Bezsensownie czekają tyle czasu.

– Mają swoje powody – odparł Sokołow, starając się rzecz tak absurdalną przedstawić jako coś normalnego. – Tylko pierwsi zdobędą to, czego chcą. Jest wielu chętnych, niewiele towaru. Popyt zdecydowanie przewyższa podaż i nikt nie daje sobie z tym rady.

Po sześciu latach mieszkania w Berlinie i prawie dwudziestu latach poza granicami Rosji Jurijowi wydawało się dziwne zwykłe życie tak wycofane, przywykłe do ciągłego czekania, do oferty brzydkich towarów, pozbawionych wszelkiej atrakcyjności; wszystko było ordynarne, odarte z jakości. Miał dużo czasu na obserwacje, rozmyślenia o skutkach tego, co przeżył i wycierpiał wraz ze swoją rodziną, próbował zrozumieć skutki zniszczenia wszystkiego w celu zbudowania nowego systemu opartego na szczęściu wynikającym z nadziei, obojętnej akceptacji. Duch narodu, który przy pomocy rewolucji usiłowano wyzwolić z opresji, został ukształtowany w taki sposób, że jego konformizm zdawał się czymś naturalnym, niemal bezwarunkowym. Pod wpływem ignorancji stawali się hardzi, nikt nie miał dostępu do świata na zewnątrz, nikt nie wiedział, jak się żyje i co się dzieje poza granicami wielkiego Związku Radzieckiego, wpatrzeni byli nieustannie w swój kraj, wychwalali, co swoje, szkalowali i gardzili wszystkim, co nie było rosyjskie. Całe pokolenie nie znało już nic innego poza konsekwencjami rewolucji, nie mieli porównania, nie mieli odniesienia, żeby dokonywać porównań, o wyborach nie mówiąc. Wszystko, co mieli lub otrzymywali, było przyznane przez troskliwe państwo.

Sonia, która od razu zorientowała się, że Kolia i Jurij są braćmi, dzwoniła do niego, żeby zaprosić go do domu na obiad lub na kolację,

a on te zaproszenia przyjmował, choć Kolia nigdy nie ukrywał, że czuje się skrępowany w jego obecności.

Jurij nadal pisał do Kristy, ale listy wrzucała teraz do skrzynki jego bratowa, a żeby nie przechwyciło ich gestapo, kierował je bez oznaczenia nadawcy na domowy adres Villanuevy: on bezpiecznie dostarczał korespondencję. Ją z kolei poprosił, aby listy adresowała na nazwisko Soni Wasiljewny i na jej adres, w miejscu nadawcy wpisując tylko inicjały KM. Dzięki temu będzie wiedziała, że są od niej. Mimo wszystko Jurij nigdy nie otrzymał odpowiedzi.

Przez te miesiące dzieci go polubiły; opowiadał im bajki, grał z Larisą w szachy, z małym Saszą turlał się po podłodze i uczył ich tradycyjnych rosyjskich piosenek. Larisa miała bardzo ładny głos i lubiła tańczyć. Sonia traktowała go serdecznie i cieszyła się, widząc roześmiane dzieci. Nigdy nie byli w domu sami, pilnowała ich Jewdokia Tiwiercyna, gosposia przysłana przez Berię, gdy wprowadzili się do tego mieszkania, sroga i opryskliwa Ukrainka ściągnięta z kolchozu, która poza tym, że zajmowała się domem, śledziła i informowała o wszystkim, o czym się w nim mówiło i co się w nim działo.

Sonia była gruzińską piękną, brunetką o jasnych oczach, wysoką i zgrabną. Ubierała się w stroje w zachodnim stylu, podkreślające kształty, zupełnie inne od ubrań o prostym, męskim kroju, które narzucono kobietom na początku rewolucji pod wodzą Lenina. Jurijowi zdawała się nieobecna, a z jej oczu bił głęboki smutek, nawet gdy się uśmiechała.

Rodzinnie wiodło się doskonale; należeli do uprzywilejowanej elity, korzystającej z tego wszystkiego, czego nie mieli zwykli ludzie. Oni stanowili „awangardę” lepszej przyszłości dla wszystkich, udało im się i żyli w dostatku, a to oznaczało, że cały ten dobrobyt, z jakiego korzystała garstka wybrańców, z czasem dotrze do innych obywateli; to była obietnica i stąd brała się naturalna nadzieja zasiana w powszechnej świadomości. Jednak przynależność do tej wybranej mniejszości nie była darmowa. Cena, jaką musieli zapłacić, okazała się bardzo wysoka:

zaprzedali duszę diabłu. Ale Jurij nie miał o tym pojęcia, oczarowany wygodnym życiem swojej rodziny.

Kolia na ogół bronił bolszewickiej polityki, wychwalał komunizm i „wspaniałe” cechy wodza narodu, usprawiedliwiając wady i niegodziwości rosyjskiego systemu. Jurij słuchał go i ze smutkiem myślał, że ten człowiek, który przemawiał do niego z zapalczywością, a nawet z pogardą, nie miał nic wspólnego z tym, którego przez te wszystkie lata pragnął odnaleźć, wyzbytego wszelkiej czułości, łagodności i wrażliwości, jakie nosił w swoim dziecięcym sercu. Nigdy nie reagował na te wywody. Sonia uprzedziła go już pierwszego dnia, że gosposia, Jewdokia, na wszystko zwracała uwagę, i gdyby usłyszała coś niestosownego, mogłaby im zaszkodzić. Więc Jurij ograniczał się do słuchania, cierpiąc z powodu moralnego zepsucia brata.

Czas płynął, a obiecany przez Villanuevę paszport nie nadchodził. Z Berlina proszono go o cierpliwość. Wojna spowalniała i utrudniała nie tylko wszelkie podróże po Europie, ale także biurokratyczne procedury.

Tak nadeszło Boże Narodzenie i nowy rok, a w lodowatej, biało-szarej Moskwie, w której powietrze zdawało się gęste, ciągnęła się zima. Pod koniec marca 1940 roku Sokołow w końcu wręczył mu fałszywy paszport.

– Jesteście mi winni przysługę, towarzyszu. Tym razem dla was ryzykowałem.

Jurij uśmiechnął się do niego z wdzięcznością, ale kiedy otworzył dokument, zorientował się, że wiza pozwalająca przekroczyć granicę jest ważna tylko miesiąc. Minęło już prawie dwadzieścia dni, a formalności ze zdobyciem biletu na pociąg do Mińska miałyby potrwać co najmniej trzy dni. Mimo wszystko rozpoczął starania i napisał ostatni list do Kristy, informując ją o swoim przyjeździe.

Po południu w dniu wyjazdu, gdy już wszystko miał przygotowane, Jurij poszedł się pożegnać z rodziną, wiedząc, że widzi ich po raz ostatni. Zauważył, że brat jest zmęczony, wręcz wyczerpany, o wiele bardziej zamyślony niż zwykle. W ostatnich tygodniach był poza domem, więc Jurij się z nim nie widział. Wrócił poprzedniego dnia. Santacruz

pomyślał, że więcej go nie zobaczy. Pożegnanie przebiegło w napiętej atmosferze, dzieci były smutne, a Sonia nieswoja. Sprawiała wrażenie niespokojnej. Kiedy podawała mu płaszcz, dostrzegł w jej spojrzeniu jakiś niepokój, którego w tej chwili nie rozumiał. Później, taktownie, wyszła z dziećmi i zostawiła braci samych.

Kolia podszedł do biurka i wysunął szufladę. Wyciągnął pistolet i mu go wręczył.

– Weź go ze sobą, czasy są złe, może ci się przydać.

– Może będzie potrzebny tobie.

– Weź, mam drugi.

Jurij wziął pistolet, niemiecki walther, z pełnym magazynkiem.

– Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś – powiedział, chowając broń do kieszeni.

– Żałuję, że przyjechałeś. Powroty do przeszłości nie zawsze są dobre, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi tyle cierpienia.

Ta obojętność bardzo Jurija zabolala. Włożył płaszcz i wyciągnął rękę do brata.

– Powodzenia, Kolia.

Ten nie zareagował na wyciągniętą dłoń brata. Po kilku pełnych napięcia sekundach Jurij ją cofnął i z żalem się odwrócił. Z ciężkim sercem szedł w zimnym, uporczywym wiosennym deszczu. Zadawał sobie pytanie, czy warto było przez tyle lat nosić wspomnienie brata. Być może ojciec miał rację: powinien zapomnieć, powinien położyć kres ciągłemu przywoływaniu przeszłości, podsycaniu tęsknoty za czasami, które nigdy nie wrócą, zaprzepaszczonymi na zawsze, przygaszonymi w lukach pamięci.

Po powrocie do hotelu spojrzął na zegarek. Jego pociąg odjeżdżał za godzinę, akurat tyle potrzebował, żeby dotrzeć na dworzec. Schował pistolet do walizki, ukrywając go pomiędzy ubraniami, i zamknął torbę. Upewnił się, że ma dokumenty, i schował wszystko do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wziął walizkę i po raz ostatni rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, czy wszystko zabrał. Instynktownie wolną dłoń wsunął

do kieszeni płaszcza i wyczuł kartkę. Wyciągnął ją i zobaczył złożony na czworo liścik. Postawił walizkę na podłodze, rozłożył papier i jego oczom ukazało się kanciaste i staranne pismo Soni. Musiał usiąść, gdy czytał, bo drżały mu nogi.

VI

Jurij szybko zszedł do recepcji. Tam wpadł na Sokołowa. Zdziwiła go jego obecność.

– Co pan tu robi?

– Odprowadzę was na dworzec.

– Skąd pan się dowiedział, że wyjeżdżam akurat dzisiaj?

– W Rosji wie się wszystko – odparł Sokołow sarkastycznie.

– Nie musi pan mnie odprowadzać. Pojadę taksówką.

Chciał go wyminąć, ale Sokołow był szybszy i zaszedł mu drogę.

– Towarzyszu Juriju Michajłowiczu, mam rozkaz dopilnować, żebyś wsiadł do pociągu.

– A co skłania pana do myślenia, że miałbym ochotę zostać w tym kraju choćby minutę dłużej niż to konieczne?

– Ja nie myślę, towarzyszu, ja wypełniam rozkazy.

– Przysłał pana Kolia?

– Nie ma znaczenia, kto wydaje rozkazy, należy je wypełnić. – Kiwnął głową w stronę ulicy. – Powinniśmy ruszać. Jest późno i nie wybaczyłbym sobie, gdybyśmy nie zdążyli.

Zaskoczony tym, że musi zmienić plany, Jurij wsiadł do samochodu czekającego na nich przed hotelem. Przez całą drogę milczał, rozmyślając o tym, co napisała Sonia. Nie mógł wsiąść do tego pociągu, jeszcze nie teraz.

Dotarli na gwarny Dworzec Białoruski. Jurij niósł w ręce walizkę. Weszli na hol budynku i pochłonął ich ogłuszający zgiew pasażerów przemieszczających się we wszystkie strony. Poszukali peronu, z którego

odjeżdżał pociąg do Mińska. Trudno było się przemieszczać, trzeba było się przeciskać pomiędzy grupkami żegnających się ludzi i tragarzami, nieustannie krążącymi z wózkami pełnymi koszy, waliz i pakunków. Przed wagonem Jurij przystanął i odwrócił się do Sokołowa.

– Pan nie wsiada?

Sokołow pokręcił głową i odezwał się do niego z wyraźnym wyrzutem:

– Nie powinniście byli wracać do Rosji.

Jurij bez słowa odwrócił się do niego tyłem, chwycił się poręczy i wsiadł do pociągu. Sokołow zapalał na peronie papierosa wśród tłumu ludzi, którzy go wymijali. Santacruz usiadł w wygodnym fotelu pierwszej klasy. Skorzystał z tego, że w przedziale był sam: otworzył walizkę, wyciągnął pistolet i schował go do kieszeni spodni, po czym zamknął torbę i położył ją obok siebie. W tej samej chwili w drzwiach przedziału stanął pulchny mężczyzna, który przywitał się z nim uprzejmie; pospiesznie zdjął kozuch z owczej skóry i wełnianą czapkę, położył je na swoim fotelu i wrócił na korytarz. Jurij obserwował, jak przez otwarte okno mężczyzna żegna się z żoną i dwojgiem dzieci, trzymając ich za ręce; ona miała łzy w oczach, on jej mówił czułe słowa. Zdenerwowany, z przyspieszonym pulsem spojrzał na płaszcz na siedzeniu naprzeciwko. Znowu wychylił się na korytarz. Sokołow z ożywieniem rozmawiał z kimś na peronie, a podróżny, zwrócony do niego tyłem, celebrował ceremonię pożegnania z najbliższymi. W tej chwili rozległ się donośny gwizd zwiastujący rychły odjazd. Jurij, niewiele myśląc, chwycił czapkę i kozuch, wyszedł z przedziału i szybkim krokiem przemierzył korytarz aż do platformy dzielącej go od wagonu drugiej klasy. Odwrócił się, żeby się upewnić, czy mężczyzna nadal jest skupiony na tych, którzy zostają, i nie zorientował się, że zniknęło jego ubranie. Ze wzrokiem skierowanym na peron i Sokołowa, który stał do niego tyłem, naciągnął wełnianą czapkę aż na brwi, zdjął swój płaszcz, cisnął go w kąt i założył ten, który zabrał, i w chwili, kiedy skład drgnął i zadudnił, wyskoczył na peron. Z nisko pochyloną głową szybkim krokiem wmieszał się w tłum.

Nagle przypomniał sobie, że w walizce zostawił zdjęcie. Ogarnął go głęboki żal: stracił coś cennego, niepowtarzalnego.

Zacisnął pięści z wściekłości i wyszedł na ulicę. Złapał taksówkę. Podał adres zapisany przez Sonię w liściku.

– To godzinę drogi od miasta – uprzedził kierowca opieszale.

– Zapłacę panu. – Jurij wyjął szybko z kieszeni pięć rubli i mu je wręczył. – Jak dojedziemy na miejsce, dam panu jeszcze pięć. Dalej, niech pan rusza.

Nie przestawał oglądać się za siebie, obawiając się, że nagle wyłoni się Sokołow i go dogoni, ale go nie zobaczył. Kiedy auto oddaliło się od dworca, zdjął czapkę, zamknął oczy i westchnął; zdołał mu się wymknąć. Jednak nie mógł się uspokoić. Z marynarki wyciągnął napisany przez bratową list i jeszcze raz go przeczytał. „Jurij, twoja matka żyje, a przynajmniej żyła, kiedy ostatnio ją widziałam kilka miesięcy temu...” Podawała adres, pod którym mógł ją znaleźć, a na końcu napisała zdanie, które napawało go niepokojem: „Błagam cię, nie obwiniaj Kologii... Ona mu wybaczyła, chociaż on nie jest w stanie sobie wybaczyć”. Kończyła ostrzeżeniem, żeby bardzo uważał, bo prawdopodobnie jest śledzony.

Taksówka przez ulice i dzielnice Moskwy wywiozła go na przedmieścia. Był środek nocy, kiedy kierowca zwolnił i zatrzymał się przed jednym z bloków. Jurij zapłacił taksówkarzowi, dając sowity napiwek. Wysiadł i poczuł dreszcz na widok szarej fasady upstrzonej okienkami na wzór olbrzymiego ula jednego z niedawno wybudowanych bloków z komunałkami – wspólnymi mieszkaniami właściwie pozbawionych przestrzeni prywatnej, w których wszystko należało do wszystkich, a raczej nic nie należało do nikogo.

Spojrzał na list Soni, żeby sprawdzić, do której klatki ma się udać, i wszedł pod wskazany numer. Było wąsko, ściany pokaleczone z ciągnącymi się od ziemi plamami wilgoci sprawiały, że miejsce dawało wrażenie ciemnego, zatęchłego i zaniedbanego.

Dotarł do windy, ale kartka na drzwiach informowała, że jest nieczynna. Podniósł wzrok, żeby spojrzeć w górę na klatkę schodową, smętną spiralę wznoszącą się nad jego głową. Miał wejść na szóste piętro. Ruszył powoli, zastanawiając się nad tym, co zastanie.

Nie brał w ogóle pod uwagę, że jej tu nie będzie, pragnął ją zobaczyć, porozmawiać z nią, zrozumieć, co pchnęło ją do tego, żeby zrobić coś takiego ojcu i im, odsunąć ich od siebie i rzucić się w ramiona innemu mężczyźnie. Chciał odpowiedzi, myślał przy każdym stopniu, który przybliżał go do przeznaczenia tak długo wyczekiwanego.

Kiedy dotarł na szóste piętro, puls miał przyspieszony, a po plecach ciekł mu pot. Kozuch zabrany tamtemu podróżnemu był bardzo porządny. Drzwi mieszkania były półotwarte, a ze środka dobiegały głosy kłócących się kobiet. Otworzył drzwi i uderzyła go duchota, zapach potu i natury. Od małego przedsionka ciągnął się długi korytarz z drzwiami po jednej i po drugiej stronie. Dźwięki kłótni słychać było z jednego z pierwszych pomieszczeń.

Jurij poszedł dalej i zajrzał do czegoś, co, jak się okazało, było wspólną kuchnią. Trzy starsze kobiety, rozczochrane i rozwścieczone, wyłóżliwiały się nad bardzo młodą dziewczyną, która jak mogła, broniła się przed wyzwiskami, obelgami i groźbami. Jedna z nich zauważyła Jurija i zamilkła, w ślad za nią ucichły pozostałe i wszystkie trzy, zaskoczone, patrzyły na nieznanego.

– Dzień dobry – zagadnął Jurij. – Szukam Weroniki Olegowny.

– Nowy alfons do tej dziwki... – burknęła najstarsza.

Dziewczyna zareagowała w mgnieniu oka. Rzuciła się na kobietę, która to powiedziała, złapała ją za włosy i z całej siły pociągnęła, łząc ją, jakby diabeł ją opętał. Jurij miał interweniować, ale zdołały je rozdzielić dwie pozostałe kobiety. Kuchnią znów zawładnęły krzyki, aż w końcu trzy kobiety wyszły, jedna za drugą, nie przestając wrzeszczeć na dziewczynę, która ani na chwilę się nie speszyła i z wściekłością odpowiadała na ataki.

– Ja tego tak nie zostawię, Mario Petrowna – ostrzegła ją najstarsza kobieta. – Doprowadzę do tego, że wylecicie na ulicę, tam, gdzie wasze miejsce. – Splunęła w stronę dziewczyny. – Nie chcemy tu śmieci.

Mijając Jurija, kobiety obrzuciły go pogardliwym spojrzeniem. Musiał wstrzymać oddech z powodu bijącego od ich fetoru ciał. Rozeszły się do swoich pokojów, z hukiem zamykając drzwi. Nagle zapadła cisza. Jurij i dziewczyna stali do siebie twarzą w twarz. Przyglądała mu się nieufnie. Jurij pomyślał, że jest bardzo ładną nastolatką o rysach zmęczonych walką o przetrwanie. Była ubrana w podartą suknię dorosłej kobiety, za dużą, i wełniany sweter, stopy osłaniały grube skarpety, a włosy miała zaplecione w warkocz.

– Możesz mi pomóc? – spytał Jurij, przerywając tę krepującą ciszę. – Wiesz, gdzie znajdę Weronikę Olegownę Filatową?

– Dlaczego jej szukasz? – wypaliła bez ogródek.

Jurij przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, zdobył się na lekki uśmiech i z jego warg wydobył się cichy głos:

– To moja matka...

Dziewczyna przyglądała mu się, jakby nie mogła pojąć tych słów.

– Jesteś Jurij? – spytała w końcu ledwie słyszalnym szeptem.

Kiwnął głową.

Dziewczyna bez słowa, nie przestając mu się przyglądać, jakby miała objawienie i bała się go stracić z oczu, gdy odwróci wzrok, wyszła na korytarz, dając mu znać, żeby poszedł za nią. Doszli do drzwi. Dziewczyna przystanąła, wsunęła klucz do zamka i odwróciła się do Jurija. Patrzyła na niego z żywym zaciekawieniem, wbijając wzrok w jego oczy, jakby chciała się przedrzeć aż do jego duszy. Uśmiechnęła się, otworzyła i weszła. Jurij czuł, że puls mu przyspiesza. Wnętrze było częściowo pograżone w rozproszonym mroku. Dziewczyna weszła do pokoju, zapaliła zapałkę, a od niej – świecę. Migoczący płomień zaledwie rozjaśnił ciemność w uporządkowanym pomieszczeniu z szafą, małym stołem, fotelem, półką pełną książek i łóżkiem, na którym dostrzegł

leżące pod kilkoma kocami ciało, które poruszyło się z jękiem na widok światła.

– To ona... – usłyszał głos dziewczyny. – To twoja matka...

Wstrząśnięty Jurij bardzo powoli podszedł do łóżka. Kobieta patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, sięgając do najgłębszych zakamarków pamięci.

– Jura?

Jej słodki, słaby głos wywołał w Juriju intensywne, sprzeczne emocje: oniemiał, gdy rozpoznał matkę i zobaczył jej nędzny, przygnębiający stan. Nie zostało nic z tej wyjątkowej urody, którą zachował w pamięci dzięki fotografii przechowywanej przez tyle lat. Nie mógł uwierzyć, że ta kobieta jest jego matką; miał przed sobą zniekształcony obraz półzywej staruszki z trupałą twarzą, oczami zapadniętymi w ciemnych oczodołach. Jej długie, gęste włosy straciły swój blask i zamieniły się w suche i siwe piórka.

– Mamoczka... – Słowo to wydobyło się z jego ust niczym gwizd.

Ona wyciągnęła do niego roztrzęsione ręce, przywołując, by do niej podszedł.

– Jura... Jura... Mój misiu, moje słoneczko, moja radość, mój synek. – Ledwie słyszalnym, drżącym głosem wypowiadała wszystkie zdrobnienia typowe dla rosyjskiej matki w chwili głębokiego wzruszenia. – To naprawdę ty?

Jurij pochylił się nad nią, chwycił wyciągnięte dłonie i poczuł, że są kruche i kościste; padł na kolana, zamknął oczy, uniósł dłonie matki do ust i obsypał je pocałunkami, nie mogąc powstrzymać łez.

– Mama... Mamoczka... Moja kochana mamoczka...

Weronika pozwoliła na pieszczoty i przyglądała się synowi z rozczuleniem.

– Mój aniołek... Moje złotko... Mój Jura... Wiedziałam, że wrócisz, wiedziałam, byłam pewna, że ty się nie poddasz... Jura, mój kochany Jura...

Dziewczyna, obejmując nogi, siedziała na fotelu w głębi pokoju i przyglądała się tej scenie ze wzruszeniem, z zadowoleniem na twarzy, a z jej oczu bił wyjątkowy blask.

Kiedy Jurij w końcu miał siłę się odezwać, skierował wzrok na dziewczynę.

– Chciałbym zostać sam z moją matką – oznajmił uprzejmie.

– To także moja matka. – Jej ton był bardzo słodki, miły i radosny. – Jestem twoją siostrą, a raczej przyrodnią siostrą. Moim ojcem jest Pietia Smełow.

Jurij spojrział na matkę zaskoczony. Słowa z trudem wydobywały się z jego ust, wypychane z udręczonej świadomości.

– Mamo... tata umarł z żalu, bo ty... – Przełknął ślinę. Trudno mu było wymówić przy niej słowo „zdrada”. Zdobył się na odwagę i wypalił: – Ty go zdradziłaś... A ja... mammo... muszę zrozumieć, dlaczego to zrobiłaś...

Weronika ścisnęła jego dłoń i przyciągnęła ją do serca.

– Mój kochany Jura, przysięgam ci na największe świętości, że ani na jedną chwilę w życiu nie przestałam kochać twojego ojca, ani na chwilę. Od tamtego dnia, kiedy straszny los mnie z wami rozdzielił, ciągle o was myślałam.

– Ale ty... Smełow i ty... – Dysząc, niezdolny objąć rozumem tych wszystkich sprzeczności zalewających mu umysł, spojrział na dziewczynę, czujną, ale zachowującą dystans. – Ona jest dowodem twojego grzechu...

Weronika odwróciła się do dziewczyny i spojrzały na siebie porozumiewawczo.

– Maria jest moją córką i twoją siostrą, kocham ją całym sercem; gdyby nie ona, dawno odebrałabym sobie życie. Ale nie jest owocem miłości, jak wy wszyscy. Pietia Smełow okazał się łajdakiem, kanalią, wobec mnie, twojego ojca, a nawet własnej córki...

– Ale powiedziałaś... W liście napisałaś, że jesteś w nim zakochana, że wszystko to było zaplanowane, żeby się nas pozbyć i zostać z nim...

– Tak... tak... – przerwała mu, machając ręką na znak zniecierpliwienia. – Ten przeklęty list... – Zamknęła oczy na kilka

długich sekund, jakby rozdzierano jej wnętrzności. Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze z głośnym westchnieniem. Odszukała jego oczy i wyznała prawdę: – Ten parszywy list napisałam własnoręcznie, a zrobiłam to dlatego, że tylko w ten sposób mogłam uratować twojemu ojcu życie. Wiedziałam, że trzymają go w więzieniu. Pietia mi zagroził, gdybym nie napisała, gdybym nie przekonała twojego ojca, że już go nie kocham, że od jakiegoś czasu życie z nim było farsą i że wszystko, co wydarzyło się na dworcu, uknuliśmy wspólnie, żeby definitywnie pozbyć się was z Rosji... Gdybym tego nie zrobiła... – powtórzyła przygnębiona. – Zabiłby go natychmiast, bez litości. Jakie miałam wyjście? – spytała nerwowo ze wzrokiem wbitym w syna, licząc na to, że zrozumie. – Nie mogłam ryzykować. Zdawałam sobie sprawę z tego, jaki ból sprawię jedynemu mężczyźnie, którego kochałam całym sercem, ale ciążyło mi matczyne sumienie. Gdyby Pietia spełnił groźby, co by się stało z wami? Z moim małym Saszą, Katią, z tobą... – Zasmucona spuściła wzrok. – Mój biedny Kolia, gdybym wiedziała, że nie wsiadł do tego pociągu, szukałabym go w samym piekle... – Z nieobecnym wzrokiem pomyślała o jakimś zdarzeniu z przeszłości. – Dlatego napisałam ten podły list, choć wiedziałam, że złamie mu serce; tylko dzięki temu mogliście mieć szansę na życie z ojcem. Z tą myślą go napisałam, w nadziei, że gdy już się zdomowicie w Madrycie, twój ojciec znajdzie kobietę, która go pokocha i będzie o niego dbała do śmierci, może nie tak, jak przez te wszystkie lata kochałam go ja, ale przynajmniej będzie mógł rozpocząć życie na nowo, znów zaznać szczęścia. To mi wystarczało.

Przejęty słowami matki Jurij poczuł na całym ciele dreszcz i zimny pot. Wszystko okazało się jednym wielkim kłamstwem, ogromne cierpienie ojca, które znosił przez lata i które spowodowało gwałtowną zapaść na zdrowiu, było bezsensowne: matka nadal go kochała, a on nigdy nie zdołał ułożyć sobie na nowo wywróconego do góry nogami życia, zniszczonego przez ten kłamliwy, podły list, stworzony nie dłonią kobiety, która go napisała, ale przez tę kanałkę, który zmusił ją do niktzemności. Wrogość, jaką żywił do ojca, okazała się karą bezpodstawną. Tyle czasu

zmarnowanego na surowe wyrzuty, niesprawiedliwe oskarżenia, kolejne tortury dołożone do takich cierpień.

Jurij w skrócie opowiedział o ich podróży do Madrytu, o Katii, która dla matki na zawsze miała pozostać siedmioletnią dziewczynką, którą do siebie tuliła, opowiedział jej wszystko, przez co przeszedł ojciec z powodu jej nieobecności, nie ukrył przed nią swojego egoistycznego zachowania względem niego, wyrażając przed matką skruchę; opowiedział, jak ojciec powoli gasł i jak zginął.

Matka słuchała, a gdy skończył, z jej ust wyrwał się smutny lament.

– Co za nieszczęście... – wyszeptała. – Moje maluchy...

Jurij nagle uświadomił sobie, że zjawił się u niej niczym wysłannik z antycznych tragedii. Nie wiedział, jak jej powiedzieć o śmierci małego Saszy. Spuścił wzrok.

– Mamoczka, musisz wiedzieć... – zaczął łamiącym się z żalu głosem, czule głaszcząc ją po rękach. Przełknął podchodzącą do gardła gorycz. – Naszemu małemu Saszy nie udało się przeżyć...

Wzrok zbolącej Weroniki utkwiał w oczach Jurija, jakby wyobrażenia budowane przez tyle czasu – w których widziała, jak kończy pięć, sześć, dziesięć lat, staje się mężczyzną – wyparowały, zmiecione przez silny podmuch wiatru. Skuliła się, przygnieciona bólem, a gdy się odezwała, łamał jej się głos.

– Jak to możliwe, żeby matka opłakiwała syna dziewiętnaście lat po jego stracie? Mój Boże... Jestem strasznie zmęczona.

Jęcząc z wyczerpania, Weronika powoli opadła na poduszkę. Zamknęła oczy i leżała w milczeniu. Wszystko pogrążyło się w dramatycznej ciszy, przerywanej jedynie głosami przenikającymi przez ściany z innych pokojów.

VII

Jurij i Maria nie ruszali się przez długą chwilę, siedzieli razem przy zmalretowanej matce. Widok napawał smutkiem. Jurij przyglądał się wszystkiemu dookoła. W pokoju było bardzo zimno. Jego wzrok napotkał spojrzenie Marii, która lustrowała go z dziwną fascynacją.

– Od kiedy tu mieszkacie? – spytał cicho.

– Odkąd mamoczka wyszła z więzienia.

– Siedziała w więzieniu? – dociekał Jurij przestraszony i zaskoczony. – Za co? Co złego mogła zrobić mama?

Mimowolnie podniósł głos i Maria miną poprosiła, żeby zamilkł. Wstała i wskazała, żeby wyszli. Nim to zrobili, popatrzyli na twarz matki. Maria starannie przykryła Weronikę i podeszła do drzwi.

– Wszystko ci opowiem, ale wyjdźmy z pokoju – wyszeptała. – Dajmy jej odpocząć. Na pewno jest wyczerpana. To były dla niej bardzo silne przeżycia.

Jurij poszedł za siostrą, nie przestając patrzeć na leżące bezwładnie ciało matki.

– Zostawimy ją samą? – spytał już na korytarzu, kiedy Maria zamykała drzwi na klucz.

– Większość czasu spędza sama.

Nie zatrzymując się, przeszła przez korytarz. Wyszła na klatkę, prawie zupełnie ciemną; pokonała jeden odcinek schodów i wąskim korytarzem przeszła na specyficzny wąski balkon, szeroki na nieco ponad metr i na dwa metry długi, z barierką z zardzewiałego żelaza, przez którą można było przejść do przyległego budynku. Uderzył w nich podmuch wilgotnego, mroźnego wiatru. Maria się skupiła i założyła ręce na piersiach. Odwróciła się do niego. Widzieli się dzięki światłu w oknie obok.

– Opiekuję się nią tylko ja. Całymi dniami drzemie, jest bardzo słaba, właściwie nie mam jej co dać do zjedzenia. Sytuacja jest bardzo trudna – mówiła, jakby usprawiedliwiała stan matki. – Nie mogę zrobić nic więcej, nie mogę...

Jurij zorientował się, że Maria szczęka zębami, a wargi posiniały jej z zimna. Zdjął kozuch i zarzucił jej na ramiona. Niewiele myśląc, wziął ją w ramiona, a ona pozwoliła mu się przytulić w ciszy smaganej przez wiatr.

– Nie martw się, Mario, wyciągnę was stąd. Zabiorę was w przyzwoite miejsce, mam pieniądze.

Wyswobodziła się z uścisku z przerażoną miną.

– Nie możemy stąd wyjechać, byłoby o wiele gorzej. Jesteśmy banitkami. Mamoczki nie powinno tu być, zamienili jej ostatni rok więzienia na karę „zakazu dwunastu”, zabraniającą osiedlenia się w najważniejszych miastach Związku Radzieckiego, także Moskwy. Ale chciała mnie odszukać, zaryzykowała, posługując się paszportem kobiety, która zmarła w jakiejś z mijanych wiosek... – Nagle zamilkła. Silny wiatr wywiał z warkocza kosmyki, które teraz kłębiły się wokół jej nastoletniej twarzy.

– Co się stało, Mario? Dlaczego ją aresztowali?

– Nie wiesz, że w Rosji nie potrzeba powodu, żeby kogoś zatrzymać? Popadasz w niełaskę i wystarczy, to dostateczny powód. To się przydarzyło naszej mamoczce.

Na chwilę zapatrzyła się w nieprzyjemny, bezgwiezdny czarny horyzont. Jurij czuł, że jest coraz bardziej przemarznięty, jednak ciepły głos siostry, o której istnieniu dopiero się dowiedział, pozwalał mu zapomnieć o chłodzie.

– To się stało w Boże Narodzenie trzydziestego czwartego roku. Mieszkałyśmy w Leningradzie. Spałyśmy, czekał na ogół działają w nocy, wrywają człowieka ze snu, dzięki czemu oszołomiony nie stawia oporu ani nie robi zamieszania. Do drzwi zadzwonili dwaj mężczyźni, kazali jej się ubrać i z nimi pójść. – Dziewczyna spojrzała na Jurija z głębokim smutkiem. – Zobaczyłam ją dopiero rok temu. Pozbawione rodziców dzieci oddawane są do specjalnej szkoły, gdzie przy pomocy bicia piorą im mózgi. Mamoczka ostrzegała mnie wiele razy, że gdyby ją zabrali, mam natychmiast uciekać, jechać do Moskwy i odszukać Tanię

Karlowną, która ochroniła naszą mamę w Leningradzie. Tak zrobiłam. Przyjechałam tutaj. Karlowna przygarnęła mnie do pokoju, który zajmujemy teraz, aż któregoś dnia przyszła... – Odszukała wzrok brata. – Gdybyś ją widział, Jurij... Gdybyś wiedział, ile wycierpiała.

– A twój ojciec? Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Pietia Smelów? Dlaczego mamie nie pomógł?

Maria westchnęła ciężko i pokręciła głową.

– O tym musiałyby ci opowiedzieć ona sama. Ja wiem tylko, że jest moim ojcem i że zadał jej dużo cierpienia... Ale nigdy mi nie wyjawiała, co się wydarzyło po waszym wyjeździe ani dlaczego przyszłam na świat. Tę tajemnicę zachowuje dla siebie.

– Co mogę zrobić, Mario? Powiedz, jak mogę wam pomóc?

– Jeśli opuścimy pokój, odbiorą go Tani Karlownej, a nie możemy jej tego zrobić. Są tu wszystkie jej rzeczy, wszystko, co widziałeś, należy do niej.

– Gdzie ona jest?

– Zabrali ją kilka miesięcy temu. Dzięki Soni uniknęliśmy aresztowania, w porę nas uprzedziła, udało nam się uciec i ukryć.

– Sonia Wasiljewna? Żona Koli?

Maria ze smutkiem kiwnęła głową.

– Nie wiem, jak nas znalazła, ale zjawiała się u nas pewnego dnia. Była dla nas bardzo dobra. Przynosiła nam jedzenie, mydło, ubrania. – Wzruszyła ramionami. – Ale nie widziałyśmy jej od czasu zatrzymania Tani Karlowny. Mamoczka się boi, że coś ją spotkało za to, że nam pomagała.

– Nie... U Soni wszystko w porządku. – Jurij przypomniał sobie chłodne rozmowy z bratem i milczenie bratowej. – To ona mi powiedziała, gdzie was znaję.

– Cieszę się. Mimo wszystko to dobra kobieta...

– Mimo wszystko?

Milczenie Marii otworzyło mu oczy na to, czego do tej pory nie chciał widzieć, z własnej woli ślepy na to, czym zajmuje się ukochany brat;

nagle dotarło do niego, że w jego chłodnym spojrzeniu odbijało się brutalne, wyuczone okrucieństwo.

– A Kolia? – spytał zapalczywie. – Dlaczego was stąd nie wyciągnął? Dlaczego wam nie pomógł? – Myśli kotłowały się w jego skołowanej głowie. – Dlaczego mi powiedział, że mama nie żyje?

Maria z posępną miną wbiła wzrok w oczy brata.

– To Kolia ją przesłuchiwał, to on wydał wyrok i skazał ją na pięć lat więzienia... Kolia torturował naszą mamę własnymi rękami.

VIII

Sokołow wszedł do gabinetu z zadowoloną miną. Kolia podniósł wzrok znad biurka i z obojętnością ponownie skupił się na leżących przed nim dokumentach.

– Zrobiłem swoje, towarzyszu kapitanie – pochwalił się. – Towarzysz Jurij Michajłowicz wsiadł do pociągu i jedzie do Mińska. Za kilka godzin opuści terytorium Związku Radzieckiego. – Sprawa załatwiona.

Kolia milczał, co Sokołowowi wydało się dziwne, ale przypisał to nadmiarowi pracy. Było widać, że tak wielka odpowiedzialność go przerasta. Stanowisko, do jakiego doszedł ten smarkacz, było przeznaczone dla niego. Beria kilka razy mu je obiecywał. Ten nieśmiały i milczący chłopak stał się jednym z najbardziej bezlitosnych, okrutnych i pozbawionych wrażliwości śledczych, przy okazji także jednym z najskuteczniejszych dla NKWD pod kierownictwem barbarzyńskiego Berii. Nie wziął mu za złe tej obojętności, bo prawdę mówiąc, zdążył go polubić. Wiedział, że Kolia jest wrażliwy, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Rozsiadł się na jedynym krześle stojącym po drugiej stronie biurka, gotowy odebrać wynagrodzenie za wykonaną pracę.

– Towarzyszu kapitanie, skoro pozbyliśmy się waszego brata, powinniśmy wrócić do mojej sprawy.

– Jakiej sprawy? – Kolia znów podniósł wzrok.

– Wiecie, towarzyszu kapitanie – odpowiedział swobodnie. – Od dziesięciu lat działam poza granicami Rosji, robiąc to, o co prosi mnie partia; zdobyłem wielce użyteczne informacje; udało mi się przekonać Jurija Michajłowicza... – tym razem nie ośmielił się użyć słowa „brat” – ...do przekazywania informacji z ambasady hiszpańskiej; pilnowałem go, śledziłem i informowałem o każdym jego ruchu przez te wszystkie miesiące, a przed chwilą odprowadziłem go na dworzec, wypełniając wasze polecenie, towarzyszu kapitanie. Jeśli mam być z wami szczery, jestem zmęczony ciągłym samotnym błąkaniem się to tu, to tam – ciągnął łagodnie. – Żony nie widziałem prawie od dekady, odkąd wyjechałem z Kijowa, żeby świadczyć usługi dla kontrwywiadu Kominternu. Chciałbym wrócić do mojego miasta, do rodziny. Nie proszę o wiele: mała dacha dla mnie i moich bliskich, spokojne stanowisko w partii na Ukrainie, samochód, dobra pensja i przywileje, jakie należą się porządnemu bolszewikowi, takiemu jak ja.

Kolia słuchał niewzruszony.

– Będę miał na względzie waszą prośbę – oznajmił chłodno.

– Obiecał mi pan to, kiedy zaczynałem całą tę działalność – odparł butnie Sokołow. – Wiecie, towarzyszu kapitanie, rozmawialiśmy na ten temat wiele razy, zanim objęliście to jakże zasłużone stanowisko. – Wargi lekko mu zadrżały. – Różnica w tym, że teraz decyzja jest w waszych rękach.

– Jesteście nam tu jeszcze potrzebni, towarzyszu Sokołow. Nie możemy wierzyć, że Niemcy dotrzymają słowa i nie zaatakują Związku Radzieckiego. Do czasu wygaśnięcia zagrożenia potrzebujemy w Berlinie wpływowych ludzi.

Sokołow kręcił głową, słuchając słów Kolii.

– Nie, nie, towarzyszu kapitanie, za parę miesięcy kończę pięćdziesiąt lat, jestem zmęczony, moja decyzja jest kategoryczna: chcę wrócić do domu.

Kolia wbił łokcie w blat biurka, splótł palce i przyglądał mu się z namysłem.

– W porządku – powiedział w końcu. – Rozumiem. Proszę was tylko o jedną ostatnią rzecz. Potrzebuję waszego udziału w misji, którą zlecił nam sam Stalin i którą kieruje Beria. Wasza współpraca będzie oznaczała większy dom, lepszy samochód, wyższą pensję i wypoczynek w najlepszych warunkach dla was i waszej rodziny. Przemyślcie to, możecie nieźle na tym wyjść; misję prowadzi wasz przyjaciel Wasilij Błochin.

Sokołow parsknął sarkastycznym śmiechem.

– Raczej nie biorę sobie diabła za przyjaciela – odparł. – Wiadomo, że skoro uczestniczy w tym ten rzeźnik, mówimy o czymś okrutnym.

– Sprawa jest delikatna – uprzedził Kolia, próbując go namówić. – Będzie nas niewielu, potrzebuję zaufanych ludzi, a wy do nich należycie.

– Można wiedzieć, o co chodzi?

– Musimy zlikwidować paru więźniów na Białorusi, dość niewygodnych polskich oficerów. To kwestia kilku tygodni. Rekompensata będzie warta wysiłku.

Sokołow namyślał się przez kilka sekund, aż w końcu pokręcił głową.

– Nie lubię się prowadzić w złym towarzystwie. Błochin jest niebezpieczny i wiele razy wam o tym mówiłem. Uważajcie na niego: jak tylko odwrócicie się do niego plecami, wbije wam w nie nóż, i nie będziecie pierwszymi. Wiecie, jak działa.

– Mam rozumieć, że odrzucacie moją propozycję?

Sokołow wstał i z wyniosłą miną nałożył na głowę czapkę.

– Nigdzie się z wami nie wybieram, towarzyszu Fiodorowicz. – Już samo pozbawienie go tytułu kapitana było ujmą. – A już na pewno nie w takim towarzystwie. Na tym kończę działalność. Jeśli nie wyślecie mnie natychmiast do Kijowa, powiem Berii wszystko, co o was wiem.

Twarz Kolia złagodniała i kiwnął spokojnie głową.

– W porządku, rozumiem, towarzyszu, nie ma sprawy. Jeszcze dziś wydam rozkaz załatwienia waszego przeniesienia do Kijowa. Otrzymacie waszą rekompensatę, zasłużyliście sobie.

Sokołow kiwnął głową z satysfakcją, odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

Kolia wcisnął dzwonek pod biurkiem. Po kilku sekundach pojawili się dwaj groźnie wyglądający mężczyźni w grubych skórzanych kurtkach.

– Załatwcie go – rozkazał, po czym dodał autorytarnym tonem: – Tak, żeby nie został ślad.

Czekiści kiwnęli głowami i ruszyli za swoją ofiarą.

IX

Delikatne płatki śniegu tańczyły przed jego oczami niczym natarczywe białe muchy; Maria i Jurij, przemarznięci, postanowili zejść z balkonu, a gdy wrócili do budynku, przyłapali dwie kobiety, które wcześniej lżyły Marię w kuchni, z uchem przy drzwiach ich pokoju, szepczące coś do siebie. W pierwszym odruchu Maria, wściekła, chciała do nich podejść, ale Jurij chwycił ją za rękę i starał się ją uspokoić.

– Wynocha stąd, jędze! – krzyknęła do nich, idąc do drzwi.

Kobiety spieszyły się, że zostały przyłapane na gorącym uczynku, ale natychmiast się pozbierały i zaczęły wykrzykiwać litanie obelg. Jurij stanął za Marią, która otwierała drzwi, nie przestając reagować na każdy docinek. Gdy weszli do pokoju, głosy na korytarzu zamilkły. Matka nadal spała, otulona kocami, oddychając nierówno. Rodzeństwo po cichu podeszło do okna. Jurij usiadł na solidnej drewnianej skrzyni, a Maria w fotelu. Siedzieli naprzeciwko siebie i rozmawiali szeptem, żeby nie zakłócać matce snu.

– Dlaczego tak się do ciebie odnoszą? – spytał Jurij.

– Chcą nas stąd wykurzyć. Mają chrapkę na ten pokój i całą jego zawartość. Jeśli jeszcze na nas nie doniosły, to tylko dzięki odwiedzinom Soni Wasiljewny. Wiedzą, że jest żoną ważnego członka NKWD. Sama Sonia im zagroziła, że jeśli coś nam się stanie, obwini je i słono za to zapłaci, choć tak naprawdę chroni nas to, że bez zapowiedzi parę miesięcy temu odwiedził nas Kolia.

– Kolia tu był?

– Jeden jedyny raz... – odpowiedziała Maria z powściągliwą miną. – Bardzo długo rozmawiał z mamoczką. Przebaczyła mu, ale od tamtej pory więcej się nie pokazał.

Jurij nagle zrozumiał słowa bratowej z liściku: „Błagam cię, nie obwiniaj Kolii... Ona mu wybaczyła, chociaż on nie jest w stanie sobie wybaczyć”. Zrozumiał jej milczenie, unikanie wzroku, gdy kiedyś spytał ją, czy miała okazję poznać teściową. Sonia zawsze uśmiechała się ze smutkiem i płochliwie kręciła głową. Jurij ani przez chwilę nie domyślał się prawdy skrywanej pod zimnym i ponurym spojrzeniem brata, prawdy, która nagle nabrała sensu.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego Kolia odmówił mi możliwości spotkania z naszą mamą.

– Nie chciał, żebyś znał prawdę. Wstydził się tego, co zrobił.

– Teraz zaczynam tyle rozumieć... – wyszeptał wstrząśnięty.

– Jurij, tak się cieszę, że przyjechałeś... Zostało jej tak niewiele czasu...

– Co masz na myśli?

– Mama umiera, Jurij. Rak zajął całe ciało. Nie mam pojęcia, jak wytrzyma... Coś niezwykłego, zdaje się, że przez cały ten czas na ciebie czekała. Piętro wyżej mieszka lekarz; ma dobre serce, od czasu do czasu przychodzi ją zbadać. Na początku stycznia, dosłownie kilka dni przed wizytą Kolii, stwierdził, że przeżyje najwyżej tydzień. Przy każdej wizycie ten dobry lekarz twierdzi, że to cud, że jeszcze żyje, cud – powtórzyła zamyślona. – Kiedy z pokoju wyszedł Kolia, powiedziała mi, że odwiedzisz ją jeszcze ty, była tego pewna, przecucie twojego przyjazdu utrzymało ją przy życiu do tej pory.

Jurij nie odrywał wzroku od matki, słuchając słów siostry, o której istnieniu dopiero się dowiedział. Wstał i podszedł powoli do łóżka, ostrożnie usiadł przy nieruchomym ciele, ujął dłoń matki, uniósł do ust i obsypał pocałunkami. Weronika otworzyła oczy i, nadal bez ruchu, uśmiechnęła się.

– Mój synuś, mój kochany Jura... – Jej głos był łagodny i cichy. – Tyle mam ci do powiedzenia... Ale najpierw musisz mi coś obiecać.

– Zrobię wszystko, o co poprosisz, mamó.

– Nie chcę, żeby twoje dobre serce przesiąkło nienawiścią, jak serce Kologii. Musisz mi obiecać, że wyjedziesz stąd z duszą wolną od urazy i że nie będziesz się kierował żądzą zemsty.

Jurij spuścił wzrok, pokręcił głową i zacisnął wargi.

– Nie mogę obiecać czegoś, co ode mnie niezależne, mamó. – Jurij wiedział, że wściekłość, nienawiść, rozgoryczenie, podobnie jak miłość, to impulsy nie do powstrzymania, gdy wydostaną się z serca; gdy ta puszka Pandory się otworzy, nic i nikt nie jest w stanie ich okiełznać. – Skłamałbym, gdybym powiedział coś innego, a za nic na świecie nie chciałbym złamać danego ci słowa.

Matka się uśmiechnęła, zamknęła oczy i kiwnęła głową.

– Masz rację, synku, ale obiecaj mi przynajmniej, że przebacysz. To, czy udzielisz przebaczenia, czy nie, jest kwestią woli. Było kwestią mojej: zdołałam wybaczyć wszystkim, którzy wyrządzili mi tyle zła, wszystkim, którzy sprawili mi tyle cierpienia, i dzięki temu moja dusza uwolniła się od ogromnego ciężaru, który właściwie nie pozwalał mi oddychać. Za żadne skarby nie chcę, żebyś przeżywał takie katusze, mój kochany Juro. Już raczej wolałabym, żebyś żył w nieświadomości.

– Postaram się, mamoczka, obiecuję, że postaram się wybaczyć, tylko tyle mogę przyrzec. Błagam cię, opowiedz mi wszystko, muszę wiedzieć. Nie możesz mi nie wyjawić tego, co się stało, to byłaby kara o wiele za ciężka, niesprawiedliwa. Mam prawo wiedzieć, co się wydarzyło przez te wszystkie lata.

Nie spuszczając wzroku z syna, kiwnęła głową i na kilka chwil zamknęła oczy, aż w końcu bardzo cichym, wyraźnym głosem, z nieobecny spojrzeniem, tylko od czasu do czasu kierowanym na oczy ukochanego syna, którego los oddał jej po tylu latach, Weronika Olegowna Filatowa bardzo powoli zaczęła wyłuskiwać wszystkie swoje

wspomnienia, począwszy od tego feralnego dnia, który definitywnie rozdzielił ją z dziećmi i Miguelem Santacruzem, miłością jej życia.

– Kiedy się od was oddaliłam, zaraz spotkałam Pietię. Czekał na mnie... Wtedy się nie zorientowałam, ale później zrozumiałam... Doskonale wiedział, że nie będę mogła wsiąść do pociągu, wiedział od samego początku, ale pozwolił, żebyśmy przeszli całą tę mękę z kontrolą wiz. Moją matkę wsadził do pociągu, tak mi powiedział. Po czasie się dowiedziałam, jaki smutny los spotkał twoją babcię, zatrzymaną tego samego dnia, kiedy my usiłowaliśmy wsiąść do pociągu, oskarżoną o konspirację i szpiegostwo, skazaną i zesłaną na Syberię. Wiem tylko, że zginęła, podobnie jak twój dziadek, zamordowana przez rozszalały tłum, który spalił ją żywcem razem z innymi w jednym z biur w Rostowie nad Donem. – Jej oczy zasnuł potworny smutek. – Powiedział mi o tym sam Pietia, kiedy nareszcie skończył się nasz burzliwy związek...

– Więc z nim byłaś?

Podniosła dłoń, żeby go uciszyć.

– Nie przerywaj mi, Jura, błagam. Wiem, że masz prawo się dowiedzieć, ale przywoływanie tego wszystkiego jest dla mnie bardzo bolesne.

Kiwnął głową, uniósł dłoń matki do ust i pocałował, jakby ją przeproszał. Weronika nabrała powietrza, wypuściła je z drżącym westchnieniem i mówiła dalej:

– Przez rok mieszkałam u Pietii. Pierwsze tygodnie to były same uprzejmości, życzliwość, a towarzystwo jego żony, mojej kochanej przyjaciółki Nadii Galaktionowej, łagodziło mój ból po waszym wyjeździe. Pietia mnie zapewniał, że przyspiesza procedury, żebym mogła wyjechać z Rosji, przekonywał, że jest w kontakcie z twoim ojcem, mówił, żebym się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze i że wkrótce do was dołączę. Z początku wszystko wyglądało normalnie, ale jego zachowanie wobec mnie stopniowo się zmieniało, pojawiły się ledwo zauważalne gesty: jakaś pieszczota, gdy przechodziłam, zabłąkany

pocałunek tak niedaleko ust, że czułam się skrepowana, dwuznaczne, niestosowne słowa. Moja ukochana Nadia to zauważyła i zwróciła mu uwagę. – Zamilkła na chwilę, jakby czuła odrazę na samą myśl o tym, że ma o tym opowiedzieć. – Jego reakcja zaskoczyła nas obie: zaczął ją bić, obrażać, poniżać... Następnego dnia zabrali ją siłą jacyś mężczyźni... Pietii nie było. A ja... nie mogłam nic zrobić... – Przełknęła gorycz tego wspomnienia. – Nigdy się nie dowiedziałam, co się z nią stało. Zniknęła. Od tej chwili Pietia pokazywał swoje prawdziwe oblicze, swoje niegodziwe zamiary i wyszedł z niego diabeł. To wtedy zmusił mnie do napisania tego przekłętą listu do twojego ojca. Wydarzenia tamtych miesięcy przelewają się w mojej pamięci jak lepka maź, skisła i zimna. Wszystko stało się tak nieoczekiwanie, było takim zaskoczeniem, że nie miałam siły zareagować. Trzymał mnie w zamknięciu w części mieszkania, do której tylko on miał wstęp. Z początku działał jak zakochany szaleniec, błagał mnie, żebym go kochała; prosił, żebym dała mu szansę, a on mnie uszczęśliwi; przysięgał, że spełni wszystkie moje zachcianki, że jeśli zostanę jego kochanką, znów będę opływać w luksusy, w jakich żyłam przed rewolucją. Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. Odrzucałam go, błagałam, żeby pozwolił mi odejść, przekonywałam, że będę kochać tylko twojego ojca, że moje serce na zawsze należy do niego i że nie wyrzeknę się tej miłości, prędzej odbiorę sobie życie. – W tym miejscu Weronika zamilkła, zacisnęła wargi, żeby powstrzymać słowa. Nie była w stanie opowiedzieć synowi o całej brutalności, z jaką traktował ją Pietia Smelów od dnia, gdy zgwałcił ją po raz pierwszy. Od tamtej pory znosiła prawdziwe męki. Nie mogła opowiedzieć synowi, że w końcu zaczęła oddawać się Pietii bez protestów, żeby uniknąć razów albo żeby nie pozbawiał jej wody do picia na wiele godzin, albo nie trzymał zamkniętej, nie pozwalając wyjść nawet do łazienki, przez co musiała się załatwiać w kącie, a później znosić bicie za to, że nabrudziła i nie miała czym po sobie posprzątać. Nie mogła opowiedzieć mu tego wszystkiego, nie mogła obciążyć go tym potwornym wstydem, który nieuchronnie na zawsze zapisałby się w jego duszy. Nie,

nie uważała tego za konieczne, pozostawiła to dla siebie jako jedyny swój sekret, który zabierze do grobu, żeby nikogo niepotrzebnie nie krzywdzić.

– Sprawy się skomplikowały, kiedy mu powiedziałam, że jestem w ciąży – podjęła wątek po chwili. – To wtedy powiedział mi o śmierci moich rodziców; zrobił to w sposób tak okrutny, że cierpię na samo wspomnienie. Później wyrzucił mnie z domu... Uwolnił mnie, żebym umarła z głodu, tak mi powiedział.

Nie mogła wyjawić synowi także tego, że wtedy wyrzekła się swojej kobiecej godności, wiedzona matczynym instynktem, który kazał jej chronić rozwijające się w niej życie, nie chciała mu mówić, że padła na kolana przed swoim oprawcą i błagała o litość i dach nad głową. Na nic jej się to zdało, bo znalazła się na ulicy. W styczniu tak zimnym jak dusza tego mężczyzny. Nie miała się gdzie schronić, nie miała co jeść ani w co się ubrać. Pietia Smełow wiedział, że skazuje ją na pewną śmierć, ją i dziecko, które miało przyjść na świat.

W dalszej części opowieści Weronika pominęła te przygnębiające wspomnienia.

– Przez kilka dni stałam przed wejściem do Gostinyjego Dworu, wielkiego domu towarowego, i całymi godzinami śpiewałam, żeby wyżebrać coś do zjedzenia. Twoja babcia mawiała, że każdy z nas ma anioła stróża, który nad nami czuwa. Mój objawił się w osobie świętej kobiety, Tani Karłownej. Spodobał jej się mój głos, zlitowała się nade mną i zabrała do siebie. Mieszkała w niewielkim drewnianym domku, bardzo przytulnym, czystym i ciepłym, godzinę drogi od śródmieścia Leningradu. Zapropnowała mi dach nad głową w zamian za lekcje śpiewu dla kobiet z wioski. Zgodziłam się i dzięki niej mogłam urodzić Marię i wychowywać ją bez większych zmartwień. To były spokojne i prawie szczęśliwe czasy, aż Tania musiała wyjechać do Moskwy. Zostałyśmy z Marią w jej domu... Ale kilka miesięcy po wyjeździe Tani zostałam aresztowana.

– Co się stało, mamó? Wiem, że Kolia... – zawahał się. – Wiem wszystko.

– Biedny Kolia... – wyszeptała Weronika, a jej twarz przesłonił woal smutku. – Tak cierpiałam na jego widok... Miałam mojego ukochanego syna, miałam go przed sobą, a nie mogłam go dotknąć ani przytulić, ani pocałować... Nie mogłam nawet spojrzeć mu w przerażone oczy, żeby głos mu nie zadrżał. Nie miał wyjścia, musiał wypełnić swój okrutny obowiązek.

– Skazał cię – zaprotestował oburzony Jurij. – Jak syn może skazać własną matkę? Musi mieć serce przeżarte złem, skoro czegoś takiego się dopuścił.

Weronika z bólem przypomniwała sobie razy otrzymane z ręki Kolii, jedyne, które ją bolały, innych nawet nie poczuła, tylko te zadawane przez syna. To także przemilczała.

– To prawda, serce ma zatrute nienawiścią i samotnością. Ale wydaje mi się, że to on w jakiś sposób doprowadził do tego, że wypuszczono mnie rok wcześniej, niż przewidywał wyrok. Nie powinniśmy go osądzać, Kolia bardzo wiele przeszedł.

– Wszyscy bardzo wiele przeszliśmy! – wykrzyknął Jurij z wściekłością. – Ty, ja, tata, Katia... A nikt z nas nigdy nie był tak okrutny wobec bliskiej osoby...

Zamknął oczy, bo te słowa obróciły się przeciwko niemu i poraziły niczym silny cios. Obwiniął brata, a przecież sam traktował ojca okrutnie, z niezrozumieniem i pogardą, odciął się od niego na zawsze. Zanim ojca pochłoneła przepaść zapomnienia, Katia w listach wspominała, że za nim płacze, że wypytuje o niego dzień i noc; jednak on nigdy nie ustąpił, nigdy nie okazał mu choć odrobiny uczucia, nie dał możliwości odkupienia win.

Wziął głęboki oddech i przeprosił matkę, która zdążyła zamknąć oczy, jakby te gwałtowne słowa dotknęły także ją.

– Wszystko już wiesz – zakończyła opowieść. – Teraz musisz z tym żyć. Ale pamiętaj, w tej rodzinie padło już zbyt wiele trupów i nie chcę, żebyś

ty do nich dołączył.

X

Przez ponad miesiąc Jurij mieszkał w tym maleńkim pokoju z matką i siostrą. Prawie nie wychodził. Nie wiedział, czy go poszukują, czy myślą, że wyjechał z Rosji, i przestał stanowić zagrożenie; dlatego starał się nie narażać na to, że zostanie odkryty. Dał Marii pieniądze, a ona kupiła dla niego materac, a dla siebie ubranie, koce i jedzenie. Znosiła wszystko na raty, żeby nie wzbudzać zazdrości wśród sąsiadów, zawsze czujna. W tych dniach Jurijowi w nieunikniony sposób przypomniały się czasy nędzy, jakich zaznał w ostatnich latach w Sankt Petersburgu. Dwie dekady później dla większości ludzi nic się nie zmieniło: nadal znosili głód i niedostatek; z ciężkim sercem patrzył na biedę, jaką klepała większość społeczeństwa, która takie nadzieje pokładała najpierw w Leninie, a później w Stalinie.

Trzydziestego kwietnia 1940 roku, trzydzieści osiem dni po spotkaniu matki i syna, Weronika Olegowna zamknęła oczy i już nigdy ich nie otworzyła. Oddychała coraz wolniej, aż w końcu wydała ostatnie tchnienie i jej życie dobiegło końca, a Jurija przytłoczyło ciężkie niczym ołów poczucie osierocenia.

Pochowali ją w słoneczny ranek pierwszego maja, w wielkie robotnicze święto narodowe obchodzone w całym Związku Radzieckim z dźwięcznym biciem dzwonów niosącym się na wietrze jak Rosja długa i szeroka i z pochodami w każdym mieście, miasteczku i w najodleglejszych wioskach. Echa tych hucznych obchodów docierały nawet na opustoszały cmentarz. Za trumną w milczeniu szło dwoje dzieci, Maria i Jurij, i lekarz, który przychodził do matki w ostatnich miesiącach. Jurij zadbał o godny pochówek, a pokazując, że ma pieniądze, wzbudził podejrzliwość w sąsiedztwie. Stosunki z innymi mieszkańcami stawały się coraz bardziej skomplikowane; śmierć matki

i nieobecność Tani Karłowny, właścicielki pokoju, nie pozwoliły Marii nadal w nim mieszkać. Po długich namysłach Jurij postanowił odwiedzić Kolię i poprosić go, żeby zapewnił Marii Petrownej dach nad głową.

Do śródmieścia pojechał tramwajem. Do mieszkania brata poszedł piechotą, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo ryzykuje, ponieważ na terytorium Związku Radzieckiego przebywał nielegalnie, posługiwał się sfałszowanym paszportem, a jego wiza straciła ważność. Bez niczyjej pomocy, nawet Kologii, musiałby się gęsto tłumaczyć, gdyby zażądano od niego dokumentów. Na wszelki wypadek wziął ze sobą pistolet. Wczesnym popołudniem, z duszą na ramieniu, zadzwonił do drzwi mieszkania brata. Otworzyła mu Sonia. Na jego widok przeraziła się, jakby zobaczyła ducha; pokazała mu, żeby się nie odzywał, i wpuściła go do pokoiku zabaw tuż przy wejściu.

– Zaczekaj tutaj – wyszeptała. – Wróć, jak Jewdokia Tiwiercyna pójdzie spać.

Przez ponad trzy godziny Jurij siedział niczym przyczajony złodziej, słyszał, jak bratankowie rozmawiają z matką, jak się śmieją, z kuchni dobiegał go łoskot garnków i zapach gotowanej na kolację kapusty. Odgłosy stopniowo milkły, aż w końcu mieszkaniem zawładnęła cisza. Drzwi otworzyły się bardzo powoli. Sonia weszła, zamknęła je ostrożnie i z uśmiechem na ustach podeszła i usiadła obok niego. Po raz pierwszy byli sami, tak blisko.

– Widziałeś się z nią? – spytała szeptem.

Jurij kiwnął głową z uśmiechem.

– Zmarła tydzień temu... Dziękuję, Sonia. Gdyby nie ty, nie mógłbym się z nią pożegnać. Mam wobec ciebie dług.

– Musiałam tak postąpić. Twój brat zakazał mi tobie o niej wspominać. Bał się, że poznasz prawdę na jego temat.

– W głowie mi się nie mieści, jak to możliwe, że stał się tak bezwzględny.

– Nie powinieneś go potępiać, Jurij. Twój brat nie jest zły – broniła go łagodnym tonem. – Tak go ukształtowały potworne okoliczności, z jakimi

musiał się zmierzyć.

– Soniu, otwórz oczy. Kolia to potwór.

– Ten potwór skrywa dobre serce, serce mężczyzny, którego bezgranicznie kocham, ojca moich dzieci; jest dobrym mężem i czułym ojcem. Wierzę, że miłością mogę go uratować, uratować go od tej trucizny, w jakiej żyje. Będę o niego walczyć do samego końca.

Jurij spuścił głowę z uśmiechem.

– Miłość bywa niesamowita...

– À propos miłości... – Sonia podchwyciła wątek. – Mam dobrą i złą wiadomość. Dobra jest taka, że przyszedł list od Kristy. Dostałam go kilka dni po twoim wyjeździe i schowałam na wypadek, gdybyś wrócił. Zła jest taka, że już go nie mam. Nie miałam wyjścia, musiałam się go pozbyć. Przyłapałam tę ukraińską jędzę, jak szpera w moich szufladach. Już się z tym nie kryje. Mam wroga we własnym domu.

– Nic się nie stało, Sonia, dość dla mnie zrobiłaś. Wystarczy mi świadomość, że Krista napisała. Może odpowiedziała na list, w którym jej napisałem, że wracam do Niemiec pod fałszywym nazwiskiem. Później wysłałem jeszcze jeden, z informacją, że odnalazłem mamę, i w związku z tym nie spotkamy się tak szybko, jak planowałem. Wrzuciłem ten list do skrzynki, ale nie mam pojęcia, czy do niej dotarł, czy skończył na jakimś rosyjskim śmietniku. – Jego głos przybrał melancholijny ton.

– Tak bardzo za nią tęsknię...

– Chciałabym ją poznać.

– Na pewno byś ją polubiła. To wyjątkowa kobieta.

Przez chwilę milczeli. W kompletnej ciszy mieli wrażenie, że są całkiem sami w tym pełnym chaosu wszechświecie.

Na korytarzu Jewdokia Tiwiercyna, ukraińska gosposia, z uchem przy drzwiach wstrzymywała oddech wobec tej ciszy, nasłuchując wszystkiego, co robią i mówią.

– Co cię sprowadza? – spytała Sonia. – To bardzo niebezpieczne.

– Chciałem porozmawiać z bratem, ale nie musisz się obawiać, że będę mu robił wyrzuty, nie; obiecałem to matce i słowa dotrzymam.

Potrzebuję pomocy dla Marii Pietrowny. Została całkiem sama i boję się, że wkrótce wyrzucą ją na ulicę. Nie ma dokąd pójść. Potrzebuje miejsca, gdzie będzie bezpieczna.

– W Rosji nikt nie jest bezpieczny, Jurij, nawet my. Mój brat Ljowka Wasiljewicz powiedział, że w Łubiance sytuacja jest napięta. Zajmują się jakąś bardzo mętną sprawą, chodzi o polskich więźniów w Katyniu, niedaleko Smoleńska.

– Koło Smoleńska? Co tam robi Kolia?

Sonia spojrzała szwagrowi w oczy.

– To, czego go nauczyli... Zabija. – Jej głos był zimny, ochryply niczym krakanie kruk.

XI

Jurij wyszedł z mieszkania brata z obietnicą, że Sonia postara się porozmawiać z Kolią na temat przyszłości Marii. Jego wizyty nie były bezpieczne, więc miał poczekać na wieści w pokoju, w którym mieszkał z siostrą.

Wysiadł z tramwaju i spokojnym krokiem ruszył w stronę bloku, ale gdy skręcił za róg, stanął jak wryty. Przed klatką stał elegancki czarny rolls-royce Komisarjatu Ludowego; umundurowany kierowca, oparty o karoserię, palił papierosa ze znudzoną miną. Najwyraźniej na kogoś czekał, z pewnością na jakiegoś ważnego członka partii. Na wszelki wypadek postanowił obserwować, żeby zobaczyć, o kogo chodzi. Usiadł na stopniu sąsiedniego bloku, skąd miał widok na wejście. Mimowolnie pomacał pistolet za paskiem z tyłu. Temperatura była przyjemna, ale w powietrzu czuło się już wieczorną wilgoć. Spojrzał w niebo usiane gwiazdami i wziął głęboki oddech, żeby napełnić płuca tym świeżym wiosennym powietrzem. Myślał o swoim bracie, o tym, co powiedziała o nim Sonia, o ślepej miłości, jaką go darzyła, i zastanawiał się, czy Kolia kocha tę kobietę równie mocno, jak ona jego.

Z rozmyślań wyrwały go krzyki i wstał przestraszony. Kierowca też się poderwał i szybko otworzył drzwi samochodu. Z klatki wyszła Maria, prowadzona przez korpulentnego mężczyznę, który trzymając ją mocno za rękę, niemal ją ciągnął. Opierała się, krzyczała, szarpała, żeby się uwolnić, ale mężczyzna był silniejszy niż jej upór. Pędem ruszył siostrze na pomoc. Gdy mężczyzna miał ją wepchnąć do samochodu, Maria dostrzegła go i się odwróciła.

– Nie, Jurij! Nie podchodź, uciekaj!

Jurij stanął jak wryty na widok twarzy mężczyzny trzymającego jego siostrę. Rozpoznał go od razu.

Mimo upływu lat Pietia Smelów niewiele się zmienił, miał nieco mniej włosów i był bardziej siwy i gruby, ale jego oczy się nie zmieniły, to spojrzenie, które zmroziło w odległości kilku metrów. W jego przejętym umyśle mimowolnie pojawiło się bolesne wspomnienie ojca obok tego człowieka, ich zażyłość, śmiech, przyjacielskie zwierzenia, obrazy, które pojawiły się zaledwie na ułamek sekundy, mgliste i odrażające.

Pietia też go rozpoznał, gdy usłyszał jego imię wypowiedziane przez Marię. Nie wypuszczając jej z uścisku, udał, że lekko się wysiła, żeby go sobie przypomnieć, po czym zwrócił się do niego aroganckim tonem:

– Proszę, proszę, Jurij Michajłowicz Santacruz. A więc to prawda, że tu jesteś. Kiedy się dowiedziałem, że wróciłeś do Rosji, nie mogłem w to uwierzyć.

– Ja pan śmie się tutaj zjawiać?

– Przychodzę po swoje – odparł z wyższością.

– Tu nie ma nic pańskiego.

– Maria Petrowna jest moją córką i pojedzie ze mną, czy tego chce, czy nie.

Brat i siostra spojrzeli na siebie. Wzdrygnął się na widok przerażenia na twarzy Marii. Usiłowała się wyswobodzić, ale uścisk Smelowa jej to uniemożliwiał.

– Dotąd pana nie obchodziła. Nie przejałby się pan, gdyby umarła. Dlaczego akurat teraz? O co panu chodzi?! – Jurij właściwie nie mówił,

lecz krzyczał rozgniewany. – Nie sądzi pan, że dość cierpienia zadał mojej rodzinie?!

– Twojej rodzinie... – syknął Smelów z nieprzyjemną miną. – Twojej niesamowitej, idealnej rodzinie...

– Niech ją pan zostawi. Nie chce mieć z panem nic wspólnego.

– Zabieram ją, żeby uchronić ją przed aresztowaniem. Wyświadczam jej przysługę.

– To nieprawda, Jurij! – zaprotestowała Maria drżącym głosem. – Zabiera mnie do poprawczaka... – Szarpnęła się wściekle. – Nie chcę jechać.

– Słyszał pan – powiedział Jurij. – Ona nie chce z panem jechać. Niech ją pan wypuści!

Smelów, nic sobie nie robiąc z tego rozkazu, pociągnął Marię z całej siły i wepchnął ją do auta tak brutalnie, że Jurij wpadł w szal. Sięgnął do paska i wyciągnął pistolet.

– Wypuść ją! – krzyknął, mierząc do niego i podtrzymując nadgarstek.

Kierowca na widok broni schował się poza zasięgiem pocisku. Smelów obserwował Jurija z niedowierzaniem i zaskoczeniem.

– Zabijesz mnie? – spytał drwiąco, z pogardliwą miną.

Santacruz odpowiedział mu powoli, ważąc każde słowo, nie przestając celować do człowieka, który zadał jego najbliższemu tyle cierpienia.

– Obiecałem mojej matce, że nie będę próbował się mścić za wszystko, co przez pana wycierpiała. – Jego głos stał się donośny i ostry. – Ale bez wahania złamię tę obietnicę dla samej przyjemności wpakowania panu kulki w głowę, żebym mógł patrzeć, jak pada pan u moich stóp.

– Jesteś tchórzem, jak ta kurwa, twoja matka.

Huk wystrzału poniósł się echem po ulicy. Smelów zgiął się, z osłupieniem i bólem na twarzy. W ostatniej chwili, nie zamierzając go zabić, a tylko przestraszyć, Jurij opuścił pistolet i kula trafiła w udo. Ranny Smelów obrócił się lekko i wyciągnął pistolet, ale kiedy chciał strzelić, spust się zaciął i Jurij zdążył strzelić ponownie. Tym razem kula trafiła w dolną część pleców i Smelów bezwładnie runął na ziemię.

– Chodź, Maria! Szybko!

Dziewczyna wyskoczyła z samochodu, podbiegła do brata i stanęła za nim. Smelow wzywał pomocy, czołgając się po chodniku jak wąż; takie skojarzenie miał Jurij, gdy na niego patrzył.

Jurij niechcący wypuścił pistolet z ręki. Rozejrzał się pospiesznie, szukając wzrokiem świadków zdarzenia, ale ulica była pusta, a okna się zamykały, żeby nie widzieć, nie komplikować sobie życia. Kierowca uciekł przed pierwszym strzałem. Jurij cofnął się o kilka kroków, chwycił siostrę za rękę i zmusił do biegu. Biegli długo pustymi ulicami, bez celu i odpoczynku, aż Maria zatrzymała się, wyczerpana, z pulsem tak przyspieszonym, że musiała zgiąć się wpół, bo nie mogła złapać tchu. Jurij z łomoczącym sercem wziął głęboki oddech. Zauważył otwartą, pustą bramę i postanowił się w niej ukryć i pomyśleć, co dalej.

XII

Komisarzowi Ławrientijowi Berii towarzyszyło w gabinecie kilku członków zespołu. Nadzorowani przez portrety Stalina i Lenina stali na perskim dywanie.

Niedawno weszło słońce i jego pierwsze promienie zaczęły wdzierać się do pomieszczenia oświetlonego jeszcze wielkim żyrandolem. Za chwilę, jak zwykle, mieli zacząć jedno ze spotkań, ale do środka wpadł nagle asystent Berii i z zaniepokojoną miną podszedł do komisarza.

– Przepraszam, towarzyszu komisarzu generalny... – Głos mu drżał. – Właśnie dostałem informację o napadzie na przedmieściach. Chodzi o towarzysza Pietię Smelowa, osobistego lekarza naszego ojca Stalina. Jego stan jest krytyczny. Przewieziono go do szpitala na Kremlu.

W imponującym gabinecie zapadła pełna napięcia cisza.

– Wiadomo, kto to zrobił? – spytał po chwili Beria.

Stojący w milczeniu asystent zerknął szybko na zgromadzonych. Beria nakazał im wyjść. Wszyscy pospiesznie wykonali rozkaz.

– Oddano do niego dwa strzały z niemieckiego pistoletu, walthera – poinformował asystent, jękając się, gdy zostali sami. – Znaleźli go obok rannego. Towarzysz Smelów wie, kim był napastnik. Chodzi o cudzoziemca. – Odczytał notatkę, którą trzymał w dłoni. – Jurij Michajłowicz Santacruz.

Beria bacznie mu się przyglądał. Te oczy o kocim spojrzeniu budziły lęk.

– Kto jeszcze o tym wie? – Wyciągnął mu kartkę z dłoni.

Asystent drżał przerażony; wiedział, że z powodu tak wrażliwych informacji grozi mu niebezpieczeństwo. Powinien od razu przekazać telefon sekretarzowi generalnemu, ale ponieważ miał zebranie, nie chciał mu przeszkadzać i tym sposobem został mu powierzony sekret, którego nigdy nie powinien usłyszeć.

– Tylko lekarz, który się nim zajmował – odpowiedział, starając się zachować spokój, który ulatniał się z każdym wypowiedzianym słowem. – To on zadzwonił, żeby o wszystkim poinformować.

– To znaczy tożsamość napastnika znasz ty i ten lekarz.

– Tak jest, towarzyszu komisarzu generalny.

Spojrzenie Berii potwierdziło, że wydał na niego wyrok.

– Kto ma tę broń? – spytał tubalnym głosem.

– Przed chwilą przyniosła ją tajna policja. Leży na moim biurku, towarzyszu komisarzu.

– Przynieś ją natychmiast. I chcę w Łubiance lekarza, który do ciebie dzwonił. Dopilnuj, żeby z nikim nie rozmawiał, jasne? Z nikim – podkreślił te słowa tonem pogroźki.

Asystent kiwnął głową, wyszedł i po chwili wrócił z pakunkiem w rękach. Podał go swojemu szefowi i natychmiast opuścił gabinet. Beria otworzył brązową kopertę z pistoletem, z którego Jurij strzelił do Pietii Smelowa. Był to jeden z tych, które kazał sprowadzić z Niemiec agentowi Sokołowowi (zlikwidowanemu na bezpośredni rozkaz Kologii Fiodorowicza za zdradę, jak twierdził), do których dołożono broń z dużą ilością amunicji, podarowaną przez Niemców Armii Czerwonej w czasie

inwazji na Polskę. Przez cały kwiecień niewielka grupa jego najlepszych ludzi, wśród których znajdował się Kolia Fiodorowicz, używał tych pistoletów do egzekucji tysięcy polskich jeńców, w większości oficerów zatrzymanych w czasie sowieckiej inwazji na wschód Polski, i pochowanych w Lesie Katyńskim. Ponownie wezwał przerażonego asystenta.

– Skontaktuj się z Ljowką Wasiljewiczem i Wasilijem Błochinem. Mają się natychmiast stawić w moim biurze – rozkazał.

Ci dwaj mężczyźni doskonale nadawali się do wykonania makiawelicznego planu, jaki rodził się w głowie komisarza Berii. Odłożył małego walthera na biurko i czekał. Myślał o Kologii: od jakiegoś czasu wiedział o nim wszystko; miał świadomość jego fałszywego nazwiska, zmyślonej przeszłości, znał tożsamość jego ojca, Miguela Santacruza, burżuaja, który uciekł z Rosji, na pastwę losu pozostawiając piękną żonę, w której zadurzył się ten głupi i arogancki lekarz Smełow. Pięć lat wcześniej Kolia został poddany próbie lojalności, kiedy kazano mu przeprowadzić śledztwo w sprawie własnej matki, obywatelki Weroniki Olegowny, i bez mrugnięcia okiem wydał wyrok więzienia. Kilka tygodni temu, dzięki informacji od ukraińskiej gosposi podstawionej do mieszkania Kologii, dowiedział się, że w Moskwie przebywa starszy brat Kologii, Jurij Michajłowicz, sprawca napadu. Jednak największym błędem, jaki popełnił towarzysz kapitan Kolia Fiodorowicz (którego prawdziwe imię odojcowskie brzmiało Michajłowicz), było to, że zabrał ten pistolet, a co gorzej – dał go bratu. Złamał kategoryczny rozkaz przeznaczenia całej niemieckiej broni na operację katyńską i pozbycie się jej w całości, bez wyjątku, po wykonaniu zadania. Zlecił to jemu osobiście: kontrolę i zniszczenie wszystkich niemieckich pistoletów, jedyne dowodu okrutnej zbrodni.

Pierwszy przybył Błochin. Wyglądał ordynarnie w kurtce z wielkimi kieszeniami, bryczesach i kozakach; był prostacki, grubiański, radykalny i brutalny, zupełnie inny od kulturalnego Kologii, spokojniejszego, skuteczniejszego i bardziej zorganizowanego w pracy;

swoim uprzejmym podejściem peszył zatrzymanych i wprawiał ich w jeszcze większe zdenerwowanie.

Kiedy do gabinetu wszedł Ljowka Wasiljewicz, Beria usiadł przy swoim biurku. Dwaj mężczyźni zajęli miejsca po drugiej stronie. Ljowka wyciągnął paczkę papierosów, poczęstował pozostałych, ale żaden z nich nie skorzystał; zapalił i wypuścił kłęb białawego dymu.

– Strzelono do Pietii Smełowa z jednego z naszych pistoletów używanych w operacji katyńskiej! – ryknął rozsierdzony Beria i zacisnął szczękę. Jego rysy wyostrzyły się w przypływie wściekłości. – Trzeba zlikwidować wszystkich świadków, wszystkich! – Dla podkreślenia słów uderzył pięścią w blat biurka. – Tych, którzy strzelali, tych, którzy przewozili, kierowców, kwatermistrzów, każdego, kto może wiedzieć albo domyślać się czegoś w związku z tą sprawą, należy natychmiast wyeliminować. – Zwrócił się do Błochina: – Pokierujecie tą operacją. Zajmijcie się tym natychmiast i zacznijcie od mojego asystenta.

Błochin się podniósł, stanął na baczność i wyszedł z gabinetu. Ljowka patrzył na Berię spokojnie, czekając na konkretne rozkazy. Beria na kilka długich sekund utkwiał w nim swoje lodowate spojrzenie. Brat Soni nie dawał się zastraszyć, wytrzymał jego spojrzenie ze spokojem, niemal z wyższością. Nie bał się tego człowieka, który u innych wzbudzał takie przerażenie.

– Dla was, Ljowko Wasiljewiczu, mam specjalną misję.

Po raz pierwszy te oczy czarne jak smoła wzbudziły w Ljowce strach.

XIII

Jurij siedział bardzo spokojnie, żeby nie obudzić Marii, która zasnęła na jego piersi. Od paru godzin ukrywali się w tej bramie, czekając, by coś zrobić. Dziewczyna twierdziła, że jeśli ktoś ich zobaczy spacerujących po mieście w środku nocy, od razu nabierze podejrzeń. Lepiej było poczekać do świtu i wtopić się w tłum ludzi idących do fabryk i miejsc pracy, do

szkoły czy do swoich zajęć. W tym mrowiu ludzi powinno im się udać dotrzeć do mieszkania Kolii bez zwracania na siebie uwagi. Jurij musiał zostawić siostrę pod opieką Kolii i Soni. Sam zamierzał spróbować wyjechać z kraju. Nie wiedział jak, ale zbytnio się tym nie przejmował. Najważniejsza w tej chwili była dla niego Maria.

Niebo zaczęło się rozjaśniać i miasto ożyło. Oni wtopili się w rytm przechodniów spieszących do miejsc swojego przeznaczenia.

Kiedy dotarli przed Dom na nabrzeżnej, zatrzymali się, żeby sprawdzić, czy teren jest czysty. Mieszkańcy wychodzili z bloku jakby nigdy nic. Jurij i Maria przeszli przez ulicę i weszli do klatki Kolii, ruszyli po schodach na górę, wymijając schodzących pospiesznie sąsiadów, a kiedy dotarli na dziewiąte piętro, zadzwonili do drzwi. Kiedy czekali, Maria chwyciła brata za rękę. Popatrzyli na siebie, a Jurij uśmiechnął się do niej, chcąc dodać jej otuchy. Po drugiej stronie drzwi rozległ się chrzęst; osłona wizjera się przesunęła i Sonia natychmiast im otworzyła. Była ubrana do wyjścia. Wpuściła ich szybko do środka i bardzo cichym tonem zaczęła mówić, rozgorączkowana, nie dając im dojść do słowa.

– Właśnie miałam do was iść. – Za jej plecami pojawiły się dzieci, również wyjściowo ubrane, uczesane, w lekkich rozpiętych płaszczkach. Larisa trzymała w ręczce małą walizkę. – Musicie zabrać dzieci...

– Sonia, Sonia – przerwał jej Jurij, starając się spojrzeć jej w oczy, żeby go wysłuchała. – Nie możemy tego zrobić.

– Musisz – błagała. Wsunęła dłoń do kieszeni, wyciągnęła zwitek banknotów i wcisnęła go Jurijowi. – Weź, idź na Dworzec Saratowski, za godzinę odjeżdża stamtąd pociąg do Gruzji. Akurat zdążycie. Jak przyjedziecie do Tbilisi, znajdźcie Simuszkę Nikolajewną. – Znów zanurzyła dłoń w kieszeni i wyciągnęła zapisaną kartkę. – Tu macie adres. Ona wychowała mnie i mojego brata. Opowiedzcie jej wszystko, zajmie się dziećmi i nie będzie o nic pytać. Później możesz robić, co zechcesz.

– Nie mogę tego zrobić – powtórzył zakłopotany Jurij.

– Musisz mi pomóc, Jurij – domagała się Sonia. – Jesteś mi to winien.

– Nie chodzi o to, Sonia. Postrzeliłem mężczyznę, uciekam. – Zerknął na Marię, która przyglądała się wszystkiemu skulona, z rękami skrzyżowanymi na piersi. – Chciałem u was ją zostawić, żebyście dali jej dach nad głową. Jej ojciec, mężczyzna, do którego strzeliłem, chciał ją wysłać do zakładu poprawczego, żeby się jej pozbyć. Musisz ją ochronić.

Sonia patrzyła na Jurija, nie reagując, oddychała szybko, serce jej łomotało, nie wiedziała, co robić, co powiedzieć, i jakby nagle coś zrozumiała, chwyciła dzieci i pchnęła je do Jurija.

– Zabierzcie je, błagam. – Pchała je coraz dalej, nie zdając sobie sprawy z tego, jak gwałtowna jest wobec dzieci. – Idźcie we czwórkę, błagam was, zabierz je.

Chłopiec zaczął płakać, a siostra objęła go, żeby go pocieszyć.

– Więc jedź z nami – zaproponował Jurij. – Nie zostawię cię tu samej...

– Nie! – przerwała mu Sonia z gorączkową irytacją. – Nie, Jurij, nie mogę. Jeśli mnie zatrzymają, zatrzymają i was. Musisz uratować moje dzieci; jeśli znajdą je przy mnie, oddadzą je do jednej z tych szkół specjalnych dla dzieci więźniów.

– Skąd wiesz, że po ciebie przyjdą? Przecież nie popełniłaś żadnego przestępstwa.

– Jurij, w Rosji przestępstwem może być samo oddychanie. Tak tu wszystko funkcjonuje. Ukrainka wyprowadziła się o świcie, zadzwonili do niej. To znak, że prędzej czy później po mnie przyjdą.

– A co z Kolią? – dopytywał Jurij, zdezorientowany z powodu całego zamieszania. – Gdzie on jest? Jesteś jego żoną, chyba ma coś do powiedzenia?

– Twojego brata aresztowali pół godziny temu... – Spuściła głowę z udręczoną miną, jakby na jej szyi zaciskał się sznur; zdawało się, że krzywi się z bólu. – Przyszedł po niego mój brat Ljowka. – Odszukała wzrok Jurija. – Robią z nich potwory, Jurij, nie rozumiesz? Zabierz moje dzieci, uratuj je. Nie pozwól, żeby zrobili z nich to samo, co z mojego

męża i brata, bezduszne, krwiożercze, pozbawione uczuć istoty... Zabierz je, błagam cię. Ocal je przed tymi szponami.

XIV

Jurij niósł na rękach małego Saszę. Szedł szybko w stronę dworca. Maria i Larisa podążały krok za nim, prawie biegiem. Maria wzięła walizkę dzieci. Pożegnanie Soni z dziećmi było pełne emocji, szybkie i bolesne, musieli się namęczyć, żeby wyrwać Saszę z ramion matki. Jurij wziął go na ręce wśród błagań Soni, żeby wychodzili, z grymasem na twarzy, świadomej, że być może widzi swoje dzieci po raz ostatni.

Jurij zbiegł po schodach z chłopcem, który obejmował go rączkami za szyję i trzymał się go z tytaniczną siłą, czując w piersi przyspieszone bicie małego przestraszonego serduszka. Jurijowi mimowolnie stanął przed oczami obraz ojca sprzed dwudziestu lat, z małym Saszą na rękach; ta sama atmosfera ucieczki, ta sama panika, powtarzająca się raz po raz odyseja z nowymi aktorami, niewinnymi, przerażonymi, pozostawiającymi za sobą całe życie, żeby znaleźć sposób na przetrwanie.

Na Dworcu Saratowskim panował zwyczajny zgiełk. Jurij szedł z przodu, torując drogę idącym tuż za nim Marii i Larisie, które trzymały się za rękę, żeby się nie zgubić.

Zatrzymał się, odwrócił i podał chłopca siostrze.

– Zaczekajcie tutaj. Pójdę kupić bilety. Nie ruszajcie się stąd, jasne?

Wszyscy troje z niepokojem patrzyli, jak się oddala, jakby z każdym jego krokiem czuli się coraz bardziej bezradni i bezbronni. Nie tracili go z oczu ani na chwilę. Jurij ustawił się w kolejce, ściskając w dłoni pieniądze. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, starał się zachować spokój, choć wcale go nie czuł. Był zmęczony i bardzo przytłoczony troską nie tyle o własne bezpieczeństwo, co o to, żeby uchronić przed złem dzieci i swoją siostrę Marię. Kiedy nadeszła jego kolej, pochylił się do okienka i poprosił o cztery bilety drugiej klasy do Krasnodaru; tam mieli się

przesiąść do Tbilisi, jak wyjaśniła mu Sonia. Kasjerka nawet na niego nie spojrzała, wydając mu bilety. Zapłacił, a gdy w końcu ruszył w stronę dzieci, uświadomił sobie, że przez cały czas wstrzymywał oddech, i wypuścił powietrze jak po wyjściu z głębokiej studni. Odnaleźli pociąg, weszli do właściwego wagonu, znaleźli swój przedział i posadzili dzieci. Sasza zasnął ze zmęczenia, a Larisa siedziała obok niego. Jurij i Maria wyszli na korytarz i obserwowali gwarne peron.

Do odjazdu zostało kilka minut.

– Dziękuję, Jurij – powiedziała nagle Maria.

– Za co mi dziękujesz? Wszystko zrobiłem źle, skomplikowałem wszystkim życie... Nie powinienem był przyjeżdżać, popełniłem błąd.

– Mamoczką umarła spokojnie, bo z nią byłeś; i gdyby nie ty, to nie wiem, co by się ze mną stało... – Zamilkła na widok zaniepokojonej twarzy brata, który uważnie patrzył przez okno na coś, co działo się na dworcu. Ledwie zdążyła się obrócić, gdy kazał jej wejść do środka.

– Wejdz do przedziału, Mario. – Nie spuszczał wzroku z peronu i tuzina umundurowanych mężczyzn, którzy, jak się zdawało, szybko rewidowali pociąg, wsiadając do kolejnych wagonów. Włożył rękę do kieszeni, wyciągnął zwitek banknotów i liścik, który dała mu Sonia, i wręczył je Marii. – Dobrze je schowaj. Na jakiś czas wam wystarczy.

– A ty?

Jurij ją uściskał i wepchnął do przedziału.

– Siedźcie tu cicho – powtórzył przed zamknięciem drzwi. – Cokolwiek by się działo, nie wychodźcie, jasne?

Larisa płakała przestraszona, ale Maria usiadła przy niej i objęła ją opiekuńczo. Jurij zamknął drzwi, ostrożnie wyjrzał przez okno i zobaczył, że mężczyźni są już prawie na jego wysokości. Przeszedł korytarzem, czując, że puls mu przyspiesza; wszedł do następnego wagonu, później do kolejnego, aż doszedł do wagonu przy lokomotywie. Odwrócił się i zobaczył, że dwóch funkcjonariuszy go namierzyło i szło za nim. Ścigali go.

Wyskoczył na peron, ale gdy chciał puścić się biegiem, został otoczony; wiedziony bezcelowym instynktem próbował im uciec, ale obezwładnili go mocnym ciosem w brzuch, od którego zgiął się wpół. Od tej chwili dał się ciągnąć. Głośny gwizd obwieścił odjazd i pociąg natychmiast zaczął się toczyć. Mijając wagon, w którym jechała jego siostra i bratankowie, zerknął na niego przelotnie i z pewnym spokojem pomyślał, że przynajmniej oni zdołali się uratować.

XV

Kroczyli przez dworzec niczym przeklęty orszak. Jurij szedł w środku, otoczony przez mężczyzn w granatowych czapkach z czerwoną gwiazdą, czarnych kozakach i szarych płaszczach zapiętych po samą szyję. Ludzie schodzili im z drogi, odwracając wzrok od zatrzymanego: lepiej było nie patrzeć, żeby nie stać się świadkiem czy też uniknąć napotkania znajomej twarzy, przyjaciela, sąsiada, krewnego.

Po wyjściu ze stacji wsadzili go do granatowej furgonetki. Jeszcze o tym nie wiedział, ale takie pojazdy używane do przewozu więźniów nazywano „czarnymi krukami”. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak samochód dostawczy rozwożący chleb, mleko czy owoce; jednak jego wnętrze było podzielone na małe kabiny w dwóch rzędach oddzielonych wąskim korytarzem, w którym siedzieli strażnicy pilnujący zatrzymanych. Jurija zmuszono do wejścia do jednej z takich kabin; musiał się schylić, żeby to zrobić. Gdy drzwi się zamknęły, utonął w kompletnej ciemności. Mógł tylko siedzieć. Próbował się uspokoić. Zamknął oczy i nabrał powietrza, jakby chciał je zmagazynować w płucach, ale nie udało mu się przezwyciężyć duszności – czuł się tak, jakby pochowano go żywcem pod ziemią. Kilka razy kopnął drzwi, żeby rozładować napięcie, aż nagle usłyszał dźwięk dobiegający z sąsiedniej kabiny.

– Kto tam? – spytał kobiecy głos.

– A kto mówi? – odpowiedział zaniepokojony, wyęzając słuch. Głos wydał mu się znajomy.

– Jurij, to ty, Jurij? To ja, Sonia. Jurij... Mój Boże...

Zapomniał o wszystkim, co czuje, i skupił się na niej.

– Sonia, wszystko w porządku?

– Co z dziećmi? – podniosła ton. – Złapali je? Jurij, powiedz, gdzie moje...?

Przerwało jej silne uderzenie strażnika siedzącego na korytarzu.

– Cisza! – krzyknął donośnie. – Zatrzymanym nie wolno rozmawiać.

Na kilka sekund zapadła pełna przerażenia cisza. Jurij wyczuwał, że Sonia za wszelką cenę chce się dowiedzieć, co się stało z dziećmi, ale bał się odezwać, żeby nie dotknęły jej konsekwencje. Warkot uruchamianego silnika przerwał tę napiętą ciszę, a kiedy auto ruszyło, przysunął twarz do ściany, za którą wyczuwał obecność bratowej i odezwał się wyraźnie, ale bardzo cicho.

– Dzieci są bezpieczne, jadą z Marią do lepszego życia. Słyszysz mnie?

– Wyęzzył słuch, czekając na odpowiedź. – Sonia, stuknij, jeśli mnie zrozumiałaś. – Zamiast odpowiedzi przez chwilę słyszał hałas silnika. Siedział z szeroko otwartymi oczami, próbując dostrzec coś w tej absolutnej ciemności, nasłuchując potwierdzenia, że kobieta otrzymała upragnioną wiadomość.

Nagle usłyszał ciche stuknięcie, a później kolejne, i kolejne, ledwie słyszalne, ale wyraźne. Jurij wzruszył się, gdy wyczuł płacz bratowej i jej pełne przejęcia podziękowanie.

– Wytrzymaj, Sonia... Musisz to zrobić dla nich...

Te słowa ugrzęzły mu w gardle, bo silne uderzenie zmusiło go, by zamilkł.

Więcej się do siebie nie odezwali. Dzięki świadomości, że obok jest ktoś znajomy, spłynęło na niego fałszywe poczucie spokoju. Zamknął oczy i dał się kołysać jadącej furgonetce. Brak świeżego powietrza, ciemność i wdychanie ostrego zapachu nafty, którą próbowano uszczelnić to maleńkie pomieszczenie, wpędziły go w półsen.

Kiedy auto się zatrzymało, Jurij był zamroczony. Usłyszał chrzęst zamków i poczuł silny zapach amoniaku. Drzwiczki się otworzyły, a on wciągnął do płuc drażniącą woń, która powędrowała przez nozdrza, przywracając mu przytomność. Otworzył oczy i zobaczył mężczyznę w białym kitlu, wychodzącego ze swojej klatki ze słoikiem w jednej dłoni i chusteczką w drugiej. Gdy otrzeźwiono wszystkich zatrzymanych, każąc im wachać amoniak, rozkazano im wysiąść z furgonetki. Razem było pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Wtedy zobaczył bratową. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a ona zdobyła się na uśmiech. Popchnięto ją brutalnie w stronę grupy innych kobiet przed drzwiami i stracił ją z oczu.

Jurij nie wiedział, że są w Łubiance, miejscu, w którym do tej pory pracował jego brat Kolia, w którym kilka lat temu przez kilka miesięcy przetrzymywano w areszcie jego matkę, przesłuchiwaną przez własnego syna, jej małego Kolię zamienionego w kata.

Dostrzegł inne furgonetki wypływające ze swoich trzewi mężczyzn i kobiety równie oszołomionych, jak on, drżących, zdezorientowanych, zaganianych, podobnie jak on, do paszczy tego złowrogiego budynku. Jak tylko wszedł, strażnik wywołał jego nazwisko, oddzielono go od pozostałych i pociągnięto schodami w dół; nie miał pojęcia, jak długo schodził, ale miał wrażenie, że zmierza do samego piekła. Powietrze stawało się coraz gęstsze, coraz bardziej wilgotne. Dotarli do wąskiego, niskiego korytarza, marnie oświetlonego, z drewnianymi drzwiami z wielkim rygłem po obu stronach. Otworzyli jedne i wepchnęli go do środka, po czym zamknęli je za jego plecami.

Trudno było oddychać w tej duchocie, powietrzem przesiąkniętym fetorem potu, moczu i pleśni. W półmroku i niemal absolutnej ciszy pomyślał, że jest sam, ale gdy jego wzrok zaczął się oswajać w gęstej szarości, zorientował się, że przyglądają mu się dziesiątki oczu, zaciekawionych, nieruchomych jak oczy dzikich zwierząt gotowych do ataku. Więźniowie zajmowali piętrowe łóżka, pomiędzy którymi prawie nie było miejsca.

Jurij się nie ruszył, nie miał odwagi, nie wiedział, co powiedzieć czy zrobić, aż w końcu z głębi ciemnej celi rozległ się uprzejmy głos:

– Tu jest miejsce, podejdź.

Dni mijały i nic się nie wydarzyło. Innych więźniów nieustannie przesłuchiowano: w jeden wieczór tych, w kolejny – innych; jedni wracali zmaltretowani, wyczerpani, posiniaczeni, inni już nie wracali, ale jego nigdy nie wezwano, jakby świat o nim zapomniał.

Przez te tygodnie zaprzyjaźnił się z posiadaczem tego głosu, który zaproponował mu miejsce, gdy zjawił się w celi. Był to polski inżynier, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, Żarek Szymański. Do Moskwy przyjechał niemal równocześnie z Jurijem, kilka dni po inwazji na Polskę. Zatrudnił go Wydział Fizyki Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego, na którym przez semestr miał prowadzić zajęcia, ale zaledwie po miesiącu, w październiku 1939 roku, gdy wychodził z uniwersytetu, czekiści zatrzymali go pod zarzutem szpiegostwa. Etap przesłuchań miał już za sobą, teraz czekał na wyrok, na pewno skazujący. Jak mówił Jurijowi: z tych lochów nikt nie wychodził bez szwanku, nieznany był tylko okres i rodzaj kary – przymusowe roboty, więzienie czy, w najgorszym przypadku, kara śmierci przez powieszenie. Kiedy wypowiadał to ostatnie, głos mu zadrżał, jakby na samą wzmiankę poczuł na szyi zaciskającą się pętlę.

Po miesiącu spędzonym w zamknięciu drzwi się otworzyły i Jurij usłyszał swoje nazwisko. Nie zareagował natychmiast. Strażnik krzyknął ponownie:

– Jurij Michajłowicz Santacruz!

W końcu wstał. Stary inżynier odprowadził go do progu.

– Będę na ciebie czekał – powiedział z serdecznym uśmiechem.

Jurij wyszedł na korytarz i poprowadzono go na górę do gabinetu, w którym za biurkiem siedziało czterech mężczyzn występujących w roli sędziów. Jeden z nich wstał, nie patrząc na niego, i z największą pogardą zaczął czytać na głos. Lista przestępstw, o jakie go oskarżano, była tak długa, że można by myśleć, że z zimną krwią zabił tysiące osób.

Wyrok spadł na niego niczym bomba: kara śmierci. Jego zablokowany umysł nie przyjmował tych dwóch słów. Zaszło mu w ustach.

Przełknął ślinę i słuchał kolejnych słów mężczyzny o głosie szorstkim i aroganckim. Karę przesunięto w czasie o pięć lat, w czasie których, na pisemny rozkaz stosownych władz „skazany powinien za swoje przestępstwo wobec Związku Radzieckiego zadośćuczynić pracą w kopalniach na Kołymie. Po upływie tego czasu wykona się powieszenie o świcie dnia 5 czerwca 1945 roku”. W tych latach łaski więzień nie mógł otrzymywać korespondencji ani żadnych przywilejów w obozie pracy. Znów sprowadzili go do piwnic; był tak przytłoczony, że nie zorientował się, że wtrącają go do innej celi, o wiele mniejszej i ciemniejszej, wąskiej, z drewnianym podestem z boku. Po czarnych ścianach ciekła woda. Poczul się jak w lodowatym kamiennym grobowcu. Nagle przestraszył go cichy głos.

– Jurij? Jurij... To ty?

– Kolia... – wyszeptał na widok podchodzącego do niego brata.

Kolia patrzył na niego z uśmiechem, jakby stanął przez bogiem, który zstąpił z nieba.

– Jurij... – wyszeptał z powstrzymywanym wzruszeniem. – Ale miło cię widzieć...

Kolia niespodziewanie rzucił się bratu w ramiona, ale ten gest tak zaskoczył Santacruza, że nie wiedział, jak zareagować, a Kolia, który wyczuł ten chłód, natychmiast się wycofał ze spuszczoną głową; uśmiech znikł z jego warg. Jurij przyglądał mu się w osłupieniu, usiłując pomieścić w umyśle swoją karę i niespodziewane spotkanie z bratem.

Ten zaproponował, żeby usiedli i zajęli miejsca naprzeciwko siebie, jeden na jednej pryczy, drugi – na drugiej. Ich twarze znajdowały się blisko siebie, oświetlone słabym światłem żarówki wiszącej pod sufitem. Wtedy Jurij zauważył, że brat ma na twarzy stare sińce. Ciemne cienie pod oczami przydawały im smutku.

– Co ci zrobili, Kolia?

– Nieważne. Co ty tu robisz? Myślałem, że wróciłeś do Niemiec.

– Nie wyjechałem z Rosji. Byłem z mamą aż do jej śmierci... Sonia w ostatniej chwili dała mi adres.

Kolia wzdrygnął się na wzmiankę o matce, przepełniony poczuciem winy, nad którym trudno mu było zapanować. Zacisnął wargi i pokręcił głową.

– Wiedziałem, że znajdzie sposób, żeby ci o niej powiedzieć. Nie popierała mojego stanowiska, że lepiej oszczędzić ci przykrego widoku matki w takim stanie. Kobiety odczuwają inaczej niż mężczyźni.

– Decyzja o tym, czy się z nią spotkać, należała do mnie, nie do ciebie – odparł surowo.

– Może masz rację. Pomyliłem się, ale mój błąd naprawiła moja dobra żona, wszystko dzięki mojej dobrej żonie. Choć gdyby umiała siedzieć cicho, jak ją prosiłem, mamoczka by umarła...

Jurij zauważył, że pierwszy raz, odkąd się spotkali, brat użył tego zdrobnienia.

– ...a ty nie siedziałbyś w więzieniu. Aresztowali cię zapewne dlatego, że odkryli, że jesteś moim bratem.

– Strzeliłem do Pietii Smelowa... – wypalił Jurij. – Z pistoletu, który mi dałeś... Chciał wywieźć Marię do jednej z tych organizacji, gdzie zrobiliby z niej porządną komunistkę, choć zaczynam wątpić, czy wśród komunistów jest ktoś porządny – dodał prawie szeptem, jakby ta myśl nieopatrznie wymknęła mu się z ust.

– Teraz wszystko rozumiem – skwitował Kolia zamyślony, jakby mówił do siebie. – Cholerny pistolet... Wszystko przez ten cholerny pistolet.

– Przykro mi, Kolia... Mój przyjazd do Rosji ściągnął na ciebie problemy.

Kolia machnął ręką, bagatelizując wyrzuty sumienia Jurija.

– Jak nie ty, zrobiłby to ktoś inny. W tym przeklętym systemie nikt nie jest bezpieczny. – W jego oczach było widać poważną troskę. – Boję się o Sonię, moją kochaną, dobrą żonę... Dała mi tyle miłości... Zasługiwała na lepszy los... Przeraza mnie myśl, że coś może stać się jej i dzieciom.

Wiem, co ich czeka, jeśli ją też aresztują. Syberia to nie miejsce dla dzieci.

– Widziałem się z nimi. Nic im nie jest. – Jurij w ostatniej chwili postanowił okłamać brata. – Udało im się uciec pociągiem do Tbilisi; mają się schronić u kobiety, która opiekowała się Sonią. Jest z nimi Maria Pietrowna.

Kolia słuchał go z przejęciem.

– Mówisz prawdę?

– Przysięgam. – Jurij znów skłamał z największym przekonaniem, na jakie go było stać.

– Choć jedna radość wśród tego całego smutku – wyszeptał z osobliwą miną Kolia, zrezygnowany i zadowolony jednocześnie. – Dzięki mojej śmierci wyzwolą się od niegodnego ojca i męża. Zapomną o mnie i będą żyć szczęśliwie...

– Nie umrzesz – odparł pewnie Jurij. – Jesteś dla partii ważny. Nie mogą się ciebie pozbyć.

– Mój drogi bracie, siedzimy w lochach Łubianki. Dziś rano poinformowali mnie o karze śmierci. Zabiją mnie. Tak to działa. Nie myśl, że się zmartwiłem, wręcz przeciwnie, na wieść o wyroku poczułem ulgę, lepszy okrutny koniec niż okrucieństwo bez końca. Miałeś szczęście, że dwadzieścia lat temu wsiadłeś do tego pociągu, a ja, głupek, się od was oddaliłem. Szedłem szukać mamy... Ale jej nie znalazłem... – Spuścił oczy, a jego twarz spochmurniała, jakby pod wpływem dojmującego bólu. – Ani wtedy, ani w następnych latach... Nie miałem pojęcia, że jest tak blisko... Gdybym wiedział... Kiedy zobaczyłem ją ponownie, nie miałem już duszy, zdążyłem zamienić się w potwora, nie został we mnie ani okrucieństwa, zamiast serca miałem kamień. – Wbił łokcie w uda i wsparł twarz na rękach. Później przejechał dłońmi po niej, jakby ją wycierał, z obrzydzeniem, jakby jego skórę pokrywała lepka maź. Głos mu posmutniał. – Byłem elementem systemu, który teraz mnie skazuje. Jeszcze miesiąc temu w tym samym budynku prowadziłem niezliczoną liczbę przesłuchań, torturowałem

i zadawałem niepotrzebne cierpienie wielu niewinnym ludziom, żeby wymusić na nich przyznanie się do winy, choć wiedziałem, że nie są winni, ale chciałem wyrobić dzienny limit kar... – Zamilkł, przypominając sobie przesłuchanie matki. – Nie wyobrażasz sobie, jakich okrucieństw się dopuszczałem, nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić, Jurij.

– Nie musisz nic mówić, Kolia, wszystko wiem. Mamoczka mi powiedziała. Ona wiedziała, że nie miałeś wyjścia i musiałeś zrobić to, co zrobiłeś. Przestań się zadręczać, mama ci wszystko wybaczyła.

– A ty? – zwrócił się do niego z błyskiem w niespokojnych oczach. – Wybaczasz mi to, co zrobiłem?

– Nie mnie ciebie sądzić, bracie.

– Jak żyć, kiedy zrobiło się coś tak potwornego własnej matce?

– Mama umarła spokojna. Miłość matki jest bezgraniczna.

Kolia znów spojrzał na niego ze smutkiem.

– Od jakiegoś czasu nie mogę spać. Zawsze, gdy zamykam oczy, mam wrażenie, że wpadam do ciemnej studni, a wciągają mnie do niej wszyscy, których torturowałem, ciągną mnie na dno. Wszyscy, których zabiłem moimi rękami. – Z odrazą popatrzył na rozpostarte dłonie, po czym spojrzał na brata. Wzrok miał pusty, nieobecny, zatopiony w ponurych wspomnieniach.

– Pamiętasz, jak jako dzieci byliśmy niegrzeczni? – zagadnął Jurij z czułym uśmiechem. – Mama nas wtedy uczyła, że żal i przeprosiny są czynami równie zamierzonymi jak zło, które się wyrządziło, z tym że zarówno żal, jak i przeprosiny mają magiczną moc uleczenia zranionej duszy.

– Pewnie, że pamiętam – odpowiedział z lekkim uśmiechem. – Mówiła, że trzeba wyznać grzech, okazać skruchę z powodu złego zachowania i poprosić skrzywdzonego o wybaczenie. – W jego głosie słychać było rozpacz. – Jak prosić o wybaczenie tak wielu? Nieżyjących, ich żony, matki, dzieci... Jak w ogóle mógłbym liczyć na to, że choć ułamek tego,

co zrobiłem, naprawię wyznaniem winy? Kto mnie wysłucha? Kto by chciał słuchać o tak wielkim bezwzględny okrucieństwie?

– Ja cię wysłucham – powiedział Jurij.

– Nie wiesz, co mówisz.

– Mów, Kolia... Muszę cię wysłuchać, żebym mógł ci wybaczyć.

Kolia wpatrywał się w nicość spojrzeniem, w którym odbijało się zastygłe w jego wnętrzu przerażenie. Zaczął mówić głosem, który jakby dobiegał z grobu.

– Przez cały miesiąc zabijałem niewinnych mężczyzn, w różnym wieku, starych i młodych, z przerażonymi twarzami, ze zdumieniem w oczach, idących chwiejnym krokiem, kiedy pojmowali, że ich koniec jest bliski, koniec nieludzki, okrutny... W tych ostatnich chwilach, gdy rzucono ich przede mną na kolana i kazano pochylić głowę, wielu się modliło... Ja celowałem w tył głowy, a oni się modlili... „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...” Wypowiadali modlitwę szybko, żeby zdążyć ją dokończyć. Ale żaden nie dotarł do słów: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, bo ten winowajca naciskał spust, a oni milkli i upadali przede mną, i wrzucano ich do dołu wykopanego w trzewiach ziemi, i padali na swoich martwych kolegów. To była ostatnia rzecz, jaką widzieli, śmierć na twarzach towarzyszy, przyjaciół, porządnych mężczyzn, winnych jedynie tego, że urodzili się Polakami. To było ich jedyne przewinienie – że byli Polakami... Zabiłem za to z zimną krwią setki bezbronnych mężczyzn, jednego za drugim, jednego za drugim, stawiali ich przede mną, a ja strzelałem, raz za razem, raz za razem... – Podniósł głowę i spojrzał na brata. Chłód tego spojrzenia przyprawił Jurija o dreszcz. – Las katyński... Nigdy o nim nie zapomnij. Brałem udział w tej masakrze, Jurij. Nie ma dla mnie przebaczenia. Zasługuję na wieczne potępienie. Marzę o tej chwili, kiedy strzelą mi w tył głowy. Może wtedy skończą się moje męki, a może moja dusza będzie się wiecznie smażyć w piekle.

Jurij czuł, że wszystko wokół niego staje, ulatuje z tej równoległej rzeczywistości, w której obaj się znajdowali. Przełknął ślinę i chcąc ukoić

znękaną duszę brata, spróbował złagodzić ton.

– Kolia, masz moje przebaczenie. Nic więcej nie mogę ci dać.

Napięcie na twarzy brata lekko złagodniało, ale w tej chwili drzwi się otworzyły i strażnik wywołał Kolię po nazwisku. Tym razem prawdziwym.

– Nikołaj Michajłowicz Santacruz!

– Nadeszła pora... – Kolia spojrzał na brata.

Wstali i razem podeszli do drzwi. Jurij z czułością położył dłoń na jego ramieniu.

– Bracie, chcę, żebyś wiedział, że zawsze będę cię nosił w sercu.

Rysy twarzy Kologii złagodniały ze wzruszenia, a jego oczy napełniły się łzami. Rzucił się bratu w objęcia. O takim uścisku Jurij marzył przez prawie dwie dekady, jedynym i ostatnim uścisku swojego ukochanego młodszego brata. Gdy tak trwali objęci, zdawało się, że zatrzymał się czas i oddech, nawet strażnik przy drzwiach czekał z szacunkiem. Kiedy wyswobodzili się z uścisku, Kolia spojrzał bratu w oczy i się uśmiechnął.

– Jeśli naprawdę jest dla mnie miejsce w twoim sercu, to jest jeszcze dla mnie ratunek...

Wyszedł z celi. Drzwi zamknęły się z hukiem. I wszystko pograżyło się w grobowej ciszy.

Kołyma, gułag (sowiecki obóz pracy przymusowej), Rosja Wschodnia, Syberia, lata 1943–1944

Tylko ten, kto nie jest z niczym związany, nie musi liczyć się z niczym[2].

STEFAN ZWEIG,
Świat wczorajszy. Wspomnienia pewnego Europejczyka

I

Słyszał szepty, które przenikały do jego skołowanego umysłu, puste głosy, które nic dla niego nie znaczyły. Nie zwracał na nie uwagi, bo nie miał na to siły. Ciągła gorączka powyżej czterdziestu stopni zmuszała go do leżenia z zamkniętymi oczami. Czuł, że się dusi, jakby pierś przygniatała mu płyta nagrobna. Skupiał się na tym, żeby oddychać, nabierać powietrza, napełniać płuca i robić wydech, oddychać raz po raz, pod wpływem zaciętego uporu serca, które chciało dalej bić, wbrew jego woli – wyczerpanego, pokonanego.

Do jego otumanionej świadomości dotarł dość wyraźny słodki kobiecy głos. Otworzył oczy i zobaczył przy sobie czystą, uśmiechniętą twarz, niemal anielską.

– No, w końcu otworzyłeś oczy – odezwał się ten anioł, nie przestając się uśmiechać. – Nazywam się Angelina Malskaja, jestem lekarką. Opiekuję się tobą od ponad dwóch tygodni. Byłeś w bardzo ciężkim stanie, ledwie zdołałam cię odratować, ale ty jesteś młody, a ja bardzo

uparta, więc możesz być pewien, że wyzdrowiejesz. Teraz powoli zaczniesz dostawać pokarmy stałe, to cię wzmocni i poczujesz się lepiej. Oszczędzaj się, nie wysilaj za bardzo.

Jurij znów zamknął oczy. Jaki pożytek z życia dla skazanego na śmierć? Tyle razy zadawał sobie to pytanie, odkąd został wrzucony do tego mroźnego piekła... Był zbyt zmęczony, żeby myśleć. Zmarszczył czoło i znów usłyszał słodki głos lekarki.

– Musisz żyć...

To zdanie wzbudziło w nim gniew. Nie chciał żyć, nie zamierzał ciągnąć tej farsy i domagał się od serca, żeby przestało bić, żeby zatrzymało się raz na zawsze i dało mu odpocząć. Chciał jej to powiedzieć, żeby zostawiła go w spokoju, żeby się dla niego nie wysilała, ale nie mógł wypowiedzieć słowa, był słaby i odrętwiały. Próbował wytworzyć ślinę, poruszając wargami i językiem, zdrętwiałym w suchych jak oset ustach. Przełknął ślinę, a żeby to zrobić, musiał znów zamknąć oczy, choć stracił przy tym widok tej anielskiej twarzy.

– Jestem skazany na śmierć – zdołał powiedzieć niewyraźnie.

– Jak wszyscy – skwitowała. – Rodzimy się, żeby umrzeć, jedni wcześniej, drudzy później, ale wszystkich nas bez wyjątku czeka taki los. Dopóki trwa życie, jest nadzieja.

– Mnie nadzieję odebrano dawno temu. – Jurij mówił prawie szeptem, z trudem wydobywając słowa tylko po to, żeby przekonać ją, żeby pozwoliła mu odejść. – Dla nikogo nie ma znaczenia, czy żyję, czy umrę. Nikt na mnie nie czeka, nikt nic o mnie nie wie...

– Nie jestem pewna, czy ta kobieta, którą tak wzywałeś w majakach, przyznałaby ci rację. – Podeszła bliżej, przemawiając do niego z serdeczną miną. – Najprawdopodobniej ta Claudia na ciebie czeka, może myśli o tobie codziennie i trzyma się nadziei, że wrócisz w jej ramiona. Widać, że jest dla ciebie ważna, więc staraj się przeżyć, choćby tylko dla niej.

Jurij znów otworzył oczy, słysząc imię Claudii. Natychmiast, jakby jego sumienie chciało naprawić błąd, przywołał na myśl imię Kristy.

Zastanawiał się, czy zdołała o nim zapomnieć. Poprosił ją to trzy lata wcześniej, w dziwny sposób, jak wszystko, co działo się w tej zapomnianej części świata. Wyrokiem zakazano mu wysyłania i otrzymywania korespondencji, ale jeden ze strażników litewskiego pochodzenia, którego poznał zaraz po przyjeździe do tego przekłętego miejsca, powiedział, że w zamian za jego buty może dostarczyć list, do kogo tylko będzie chciał go wysłać. Nie zastanawiał się długo; chciał napisać ten list, pragnął to zrobić, więc się zgodził i oddał buty. Litwin dał mu jedną kartkę i ołówek i uprzedził, że jeśli mu je zabiorą albo je zgubi, nowych nie dostanie. Jurij długo się namyślał, co napisać. Jak powiedzieć kobiecie, która była dla niego najważniejsza, że musi o nim zapomnieć; jak przekazać jej wszystko, co przeżywał, żeby ją przekonać, że powinna wyrzucić go ze swojego życia i rozpocząć nową historię miłosną z innym mężczyzną, niewikłanym w sieci egzystencji tak żalosalnej, jak jego; jak jej powiedzieć, żeby na niego nie czekała, bo jego życie zakończy się na tej zmarzniętej kołymskiej ziemi?

Ogarniał go niepokój na myśl o tym, co poczuje Krista, gdy przeczyta, w jaki koszmar zamieniło się jego życie, bolała go dusza na samą myśl o tym. Bał się cierpienia, jakie mógł jej przynieść ten list, ale mimo wszystko wiedział, że powinien to zrobić, bo Krista miała prawo, żeby ułożyć sobie życie. Wiedział też, że to, co napisze, okaże się definitywne, nie będzie odwrotu, nie będzie mógł tego wymazać ani zacząć od początku. Tym sposobem po długich namysłach postanowił skierować ten list do Ericha Villanuevy. On na pewno będzie wiedział, jak jej opowiedzieć o jego tragedii, znajdzie odpowiednie słowa, żeby ją przekonać, że historia ich miłości nieuchronnie dobiegła końca. Podobne jak w przypadku listów wysłanych wcześniej, w czasie pobytu w Moskwie, nie wiedział, czy ten dotarł do adresata i czy Villanuevie wystarczy wrażliwości i odwagi, żeby przekazać treść listu Kriście, ale na to liczył. Kochał ją za mocno, żeby czekała na jego niemożliwy powrót.

Słyszając z ust lekarki imię Claudii, uśmiechnął się mimowolnie. Nie mógł uwierzyć, że w majakach w gorączce to właśnie ona stała się

najważniejsza. Ta kobieta niepokoiła go, nawet gdy był nieprzytomny.

– To mi się podoba – rzuciła doktor Malskaja, widząc uśmiech na jego twarzy. – Musisz się wysilić. Nie poddawaj się. Wszystko będzie dobrze.

Jurij nie mógł się nadziwić temu uprzejmemu traktowaniu, o którym już prawie zapomniał.

– Chce mi się pić – zdołał powiedzieć.

Lekarka przywołała pielęgniarkę, a ta natychmiast podeszła. We dwie uniosły go na tyle, żeby mógł się napić z kubka. Jurij miał wrażenie, że płyn zalewa mu usta i gardło, jak woda wsiąkająca w spieczoną ziemię. Łapczywe przelknięcie sprawiało mu ból, ale pragnienie było silniejsze niż cierpienie.

– Powoli – powtarzała lekarka. – Nie ma pośpiechu. Mamy cały dzień i wody pod dostatkiem.

Gdy już zaspokoił pragnienie, znów zamknął oczy, wyczerpany tak, jakby wykonał nieprawdopodobny wysiłek. Z pomocą kobiet z powrotem położył głowę na miękkiej poduszce i wtedy zwrócił uwagę na ten szczegół, na miękkość, prawie zapomniane uczucie dotyku czystej pościeli, sterylного powietrza, jakim oddychał. Pomyślał, że to miejsce jest na pewno przedsionkiem raj.

Po chwili znów otworzył oczy. Kobieta w białym kitlu i z blond włosami zaplecionymi w gruby warkocz stała już nie przy nim, ale u stóp łóżka, pojedynczego, drewnianego, z wełnianym materacem. Od trzech lat nie spał sam, w dodatku tego, na czym sypiał, nie można było nazwać łóżkiem. Lekarka rozmawiała z mężczyzną w skórzanej czapce z czerwoną gwiazdą i rozmaitymi insygniami wszytymi w klapy. Był to komisarz ludowy. Jurij często widywał ich w obozie. Przeprowadzali kontrole, inspekcje, sporządzali raporty na temat nieprawidłowości, przekraczania uprawnień przez strażników, jak również o poważnych brakach, jakie znosili więźniowie. Po kilku dniach ci komisarze znikali, zabierając ze sobą swoje raporty, przed odjazdem wydając polecenia poprawy higieny więźniów, zwiększenia racji chleba i kaszy, a także godzin snu, argumentując, że niedożywieni i wyczerpani nie będą

dostatecznie wydajni i ucierpi na tym produkcja. Ale jak tylko kontrola dobiegała końca, strażnicy wracali do swoich zasad i wszystko toczyło się tak samo albo gorzej. Na tym odludziu nic się nigdy nie zmieniało, nadużycia trwały; korupcja, poniżenie, ograniczenia, niedostatek. Utrzymywały się te same nieludzkie warunki, wywołujące cierpienie, choroby i śmierć.

Lekarka rozmawiała z komisarzem szeptem, głowa przy głowie, poufnie. Jurij nie był w stanie usłyszeć, co mówili, ale nie ulegało wątpliwości, że rozmawiali o nim. Mężczyzna spoglądał na niego kątem oka, słuchając wyjaśnień lekarki. Jurij zapadł w niespokojny sen. Bolał go każdy centymetr ciała. Kiedy się obudził, przy łóżku nie było nikogo. Nie wiedział, ile czasu upłynęło, odkąd widział lekarkę, ale światło w pomieszczeniu się zmieniło; była ciemna noc, musiało minąć dużo godzin. Wokół niego stało wiele łóżek takich jak jego, ustawionych w dwóch długich rzędach, oddzielonych przejściami. Znajdował się w baraku wykorzystywanym jako szpital, zupełnie innym od tego, który od trzech lat był jego mieszkaniem, pełnego mężczyzn przygnębionych tak jak on, głodnych jak on, pogrążonych w dokuczliwym fetorze ludzkiego potu, w wiecznie przemoczonych ubraniach, w brudzie i stęchliźnie. Szpital był całkiem inny, niczym ostoja spokoju w szalejącej burzy.

Od tamtego dnia Jurij zaczął jeść i wracać do zdrowia. Nie rozumiał, dlaczego lekarka traktuje go tak łaskawie, i był podejrzliwy wobec okazywanego mu zainteresowania. Nieufne spojrzenia pozostałych pacjentów wprawiały go w zakłopotanie i zmuszały do ciągłej czujności.

W łóżku obok leżał mężczyzna o ordynarnym wyglądzie, zwykły przestępca, nie polityczny, który trafił do szpitala z odmrożonymi stopami i któremu musieli amputować palce prawej stopy.

– Szykują cię jak ciele na rzeź – powiedział mu pewnego dnia, gdy oprócz serwowanej zwykle papki przyniesiono mu do łóżka danie z kurczaka. – Nie rób sobie złudnych nadziei: leczą cię, żebyś znów mógł zejść pod ziemię i kopać złoto. Jesteśmy na wojnie, a ty jesteś jej

szczególną ofiarą prześlągalną, oddaną zabójczej kopalni, pożerającej mężczyzn takich jak ty.

Śmiał się do rozpuku, kiedy to mówił, teatralnym, sztucznym tonem. Jurij go zignorował i jadał dalej. Nauczył się być oszczędnym w słowach, nie rzucać się w oczy i unikać typów takich jak ten. Wraz z utrzymywaniem higieny, żeby czuć się jak człowiek, były to cztery zasady przeżycia, których nauczył go poczciwy Żarek Szymański, polski wykładowca poznany trzy lata wcześniej w Łubiance, z którym spotkał się ponownie w bydłącym wagonie, który przywiózł ich na ten koniec świata. Tego samego dnia, kiedy odczytano mu wyrok, Żarek usłyszał swój: oskarżony o szpiegostwo został skazany na dziesięć lat przymusowych robót. Stary Żarek zmarł mu na rękach trzy miesiące po przyjeździe na Kołymę. Jurij wiedział, że nigdy nie zapomni słów, jakie usłyszał od niego przed śmiercią: „Żyj, Jurij, spróbuj przetrwać w tym plugastwie, walcz, żeby wrócić tam, gdzie jeszcze mieszkają ludzie, tam, gdzie dadzą ci szczęście tutaj skradzione”. Utkwił wzrok w oczach Jurija we wzruszającym ojcowskim uczuciu, jakie wobec niego żywił. Ta magia prysła nagle, gdy strażnicy popchnęli go do pracy. Ciało Żarka wypadło z jego ramion. Nie przestając patrzeć mu w twarz, kiedy obracał się po kilof, w jego zimnych źrenicach zobaczył, że jego przyjaciel oddał się śmierci. Zdruzgotany z powodu tej straty, podjął decyzję, że czas odbywania kary przeżyje w samotności, bez nawiązywania serdecznych więzi, żeby uniknąć niepotrzebnego cierpienia.

Dostrzegł, że idzie do niego lekarka z blond warkoczem.

- Jak się czujesz, Juriju Michajłowiczu?
- Biorąc pod uwagę okoliczności, pytanie wydaje się absurdalne.
- Masz szczęście – ciągnęła, ignorując jego cierpką uwagę. – Zostaniesz przeniesiony do nowego baraku.
- A co to oznacza?
- Że nie zjedziesz więcej do kopalni. Od tej pory będziesz pracował w kuchni przy wydawaniu jedzenia. Myślisz, że dasz radę utrzymać się na nogach?

Jurij kiwnął głową. Więzień z sąsiedniego łóżka obrzucił go złośliwym, wrogim spojrzeniem. Przy pomocy lekarki Santacruz z trudem wstał i zaprowadzono go do baraku pracowników kuchni. Zupełnie nie przypominał tego, w którym spędził ostatnie trzy lata – wielkiej hali z pryzkami na czterech wysokościach, przydzielonymi więźniom według hierarchii: od najsilniejszych i z największą władzą na górze po legowiska na poziomie podłogi, zajmowane przez najsłabszych, starych i chorych. To nowe lokum było mniejsze, czystsze, z łózkami pojedynczymi, choć ściśniętymi, niektóre z materacem, wiele miało poduszki i kolorowe koce. Na środku stał stół z krzesłami, gdzie więźniowie mogli usiąść do posiłku, żeby porozmawiać albo zagrać w karty. Wnętrze ogrzewał piec na drewno, a zamiast klepiska była drewniana podłoga.

Dali mu jedno z łóżek najbliżej pieca, dostał też skórzane buty i wełniane skarpety. Odkąd oddał swoje buty Litwinowi w zamian za papier do napisania listu, musiał się przyzwyczaić do chodzenia w kaloszach, które były na niego za duże i obcierały ciągle mokre i zmarznięte stopy. Kiedy założył skarpety, ogarnęło go tak przyjemne uczucie, że nie mógł powstrzymać emocji, ale radość trwała krótko. Następnego ranka jego skarpety spodobały się kierownikowi rozdzielającemu zadania więźniom i mu je zabrał. Jurij znów musiał owinać sobie stopy kawałkami tkaniny (nauczył się to robić tak umiejętnie, że nie rozwiązywały się przez cały dzień), które dzięki butom przynajmniej były suche. Strażnik, który zabrał mu skarpety, przydzielił mu miejsce w kuchni, przy ciepłych palnikach, z możliwością jedzenia wraz z pierwszymi, bez konieczności czekania ponad godzinę na mrozie, żeby napełnić miskę. Przyjął to jako swoistą rekompensatę za to, co stracił.

Stale zadawał sobie pytanie, co takiego się wydarzyło, że zabrali go z kopalni, i towarzyszyła mu ciągła obawa, że znów go wyślą na te niekończące się dniówki i pochłonie go ziemia, niczym żywego trupa, dając przedsmak coraz bardziej zbliżającego się grobu. Słońca nie

widział całymimi miesiącami, bo schodził i wychodził po ciemku. Ten brak słońca, wyczerpanie i niedożywienie skończyły się tamtego listopada bardzo ciężkim zapaleniem płuc, które pozbawiło go przytomności. Przeniesiono go w beznadziejnym stanie do szpitalnego baraku, gdzie obudził się w obecności doktor Malskajej. W obozie pracy każda zmiana warunków jednego z więźniów wzbudzała wśród pozostałych podejrzenia, złośliwości i plotki, przekazywane z ust do ust, z baraku do baraku.

Fakt, że Jurij był więźniem uważanym za „przeciwnika rewolucji”, skazanym na śmierć za napaść na ważnego członka partii, nie tylko nie pomagał, lecz dolewał oliwy do ognia nienawiści i bezsensownej chęci zemsty, których więźniowie chwyтали się niczym specyficznej formy przetrwania, jakby z powietrza, którym oddychał jeden, zostali okradzeni pozostali.

Jurij doświadczył napaści, poniżenia, obelg, kradzieży jedzenia na oczach wszystkich, ale rzecz jasna, nikt tego nie zgłaszał, nawet on sam. Wiedział, że musi wytrzymać i znosić to wszystko do czasu, kiedy jego oprawcy się przekonają, że nie jest żadnym kapusiem ani podstawionym szpiegiem, który ma donosić o będącej na porządku dziennym korupcji, albo do czasu, kiedy znudzą się znęcaniem nad nim czy też swoją okrutną uwagę zwrócą na innego nieszczęśnika.

Ataki trwały sześć miesięcy, do chwili, kiedy wyznaczono mu nowe zajęcie i wyciągnięto go z ciepłej kuchni. Od tamtej pory przestali go dręczyć, a zaczęli ignorować.

II

Życie w tamtej dziczy było bardzo trudne. Po kilku miesiącach w kuchni wysłano Jurija do pracy przy budowie niekończącej się drogi donikąd. Pracował na świeżym powietrzu, ale nie można było powiedzieć, że to lepsze niż kopalniane ciemności. Kiedy ciepłe borealne lato zaczynało

roztapiać śniegi i lody, ziemia w tundrze zamieniała się w gęste, śliskie błoto, potwornie utrudniające chodzenie. Poza tym wysokie temperatury w palącym słońcu zwiększały ryzyko odwodnienia i więźniowie czasami padali i nie dało się ich odratować. A tych, którzy trwali, nękały tysiące komarów, przedostających się pod ubranie, do oczu, do ust, do nosa; piły krew i bezlitośnie cięły jego chude ciało, pozostawiając opuchnięte ślady po ukąszeniach; a kiedy serwowano im w miskach owsiankę, pokrywała ją ciemna, ruszająca się masa, jeszcze zanim zdążyli wziąć do ust pierwszą łyżkę zupy. Nowicjusze na początku wymachiwali nerwowo rękami, usiłując je przegonić, aż docierało do nich, że to wszystko na nic, i w końcu się przyzwyczajali, połykali je nawet z zupą, czując słodki posmak krwi ich ofiar.

Jurij robił, co mógł, żeby przetrwać w srogich warunkach pod gołym niebem. Popijał wodę, którą dawano im, żeby się nawadniali, i walczył z atakami owadów, wieszając na szyi kawałek bukowej kory, otrzymany od jednej z więźniarek, z którą wcześniej pracował w kuchni. Syberyjskie lato było gorące, ale zbyt krótkie i na srogą zimę nie trzeba było długo czekać. Na początku września temperatury gwałtownie spadały, pojawiały się deszcze i gęste mgły, zaczynał padać uporczywy śnieg, który przykrywał wszystko warstwą trwałego lodu na dziesięć długich miesięcy. Na mrozie trzeba było się nieustannie poruszać, żeby uniknąć odmrożeń. Zdarzało się, że w czasie pracy zaskakiwała ich burza śnieżna. Zadyмки bywały tak silne, że trudno było utrzymać się na nogach, ale najgorsza była furia zamieci, tworzących w powietrzu śnieżne wiry; wtedy nie było wyjścia – należało położyć się na ziemi i przeczekać. Miał wrażenie, że wszystko wokół niego, otulone gęstą, białą mgłą, znika, nawet pracujący obok koledzy. Doznawał wtedy wrażenia samotności i bezgranicznego odosobnienia, nie widząc ani nie słysząc nic poza przeraźliwym skowytom wiatru, pozbawiającym tchu. Nikt nie ruszał się ze swojego miejsca, a kiedy dźwięk syreny wzywał do powrotu do obozu, stawali w rzędzie, mocno trzymając się tego, kogo mieli przed sobą, żeby nie zgubić drogi – plecy idącego z przodu stawały

się wybawieniem albo zgubą, jeśli ten odłączył się od tego, kto szedł z przodu. To był łańcuch życia lub śmierci.

Tamtego drugiego dnia listopada 1944 roku przez kilka godzin świeciło słońce, ale w siarczystym mrozie kostniały mięśnie i zamarzało nawet wydechane powietrze. Po powrocie do obozu Jurij, wyczerpany i sztywny z zimna, zjadł w samotności zupę na kolację i się położył. Wiedział, że ma zaledwie cztery godziny snu do chwili, gdy przekłęta syrena wezwie ich do ustawienia się na dziedzińcu, gdzie odbędzie się liczenie więźniów, po którym wyruszą w długą, ponaddwugodzinną drogę do pracy przy budowie szosy. Wokół niego ci sami co zwykle męczyciele, najwyraźniej odporni na senność i zmęczenie, grali w karty, krzyczeli, śmiali się albo kłócili, ale Jurjowi hałas nie przeszkadzał; zapadał w lekki sen, jak tylko przyłożył głowę do poduszki. Kiedy zaczął odpływać, nagle poczuł, że ktoś szarpie go za ramię. Podniósł głowę ze złością.

– Czekają na ciebie przed barakiem – poinformował go kierownik, Kazach o śniadej karnacji i szerokiej twarzy, skazany na dziesięć lat za zabójstwo żony i dzieci.

– Zostaw mnie w spokoju – zaprotestował rozeźlony Jurij i z powrotem położył głowę na twardej poduszce.

– Masz natychmiast wyjść – rozkazał mu Kazach autorytarnym tonem.

– Kto o tej godzinie może ode mnie czegoś chcieć?

– Nie wiem. Rusz się wreszcie i wyjdź.

Jurij niechętnie wykonał polecenie, włożył buty i zapiął watowaną kurtkę, wziął czapkę i wyszedł, powłócząc nogami. Był tak zmęczony, że mógłby zasnąć na stojąco. Lodowaty wiatr przenikał go do szpiku kości. Kazach kazał mu wsiąść do rozklekotanego amerykańskiego samochodu terenowego zaparkowanego kawałek dalej. Wykonał polecenie, usiadł obok kierowcy, który bez słowa uruchomił silnik i wcisnął pedał gazu. Także Jurij milczał. Marzył jedynie o tym, żeby zamknąć oczy i zasnąć, więc jak tylko samochód ruszył, położył głowę na oparciu fotela i zasnął. Musieli się namęczyć, żeby go obudzić. Zaspany i zły wysiadł z auta i rozejrzał się dookoła. Choć był środek nocy, miał wrażenie, że

rozpoznaje obóz przejściowy w Madaganie, do którego przyjechał cztery lata wcześniej razem ze starym Żarkiem Szymańskim.

Strażnik zapytał go o nazwisko i kazał mu pójść za nim. Weszli do jakiegoś budynku i długim korytarzem przeszli do małego pokoju, w którym jedynym meblem była drewniana ławka pod ścianą. Tam zostawił go samego. Jurij usiadł i znów zamknął oczy. Po kilku minutach drzwi się otworzyły i w progu stanął mężczyzna w solidnym czarnym płaszczu, na głowie miał ciepłą uszankę z futra wilka z wyszytą na środku czerwoną gwiazdą. Jurij wstał ostrożnie. Mężczyzna zamknął drzwi, stanął przed nim i spojrzał mu prosto w oczy. Zdjął czapkę, a jego oczy uśmiechały się do niego, jakby mu się przedstawiał.

– Cześć, Jurij, nie poznajesz mnie?

Nie skojarzył od razu. Szukał w myślach, gdzie mógł widzieć tę twarz, próbując dokopać się do wspomnień pod gruzami wszystkich nieszczęść, przeciwności i smutków, jakich zaznał przez ostatnie lata.

Nagle odnalazł w pamięci to oblicze. Patrzył na nie zaskoczony. Nie mógł w to uwierzyć. Bardzo się zmienił, pozostało ledwie podobieństwo w spojrzeniu i uśmiechu tego młodego chłopaka, który jako dojrzały mężczyzna stał teraz przed nim. Jurij parsknął śmiechem, wypuszczając z płuc wstrzymywane do tej pory powietrze.

– Święty Boże... Axel Laufer... Co ty tu robisz, u licha?

– Długo by mówić. – Podszedł do niego. – Jurij, nazywam się teraz Alexander Kryłow – poinformował poufnym tonem. – Odkąd naziści zaatakowali Związek Radziecki, wszystko, co ma związek z Niemcami, jest podejrzane.

– Nawet tak zadeklarowany komunista jak ty?

– Lepiej być ostrożnym – oznajmił z przekonaniem. – Przynajmniej dopóki Armia Czerwona definitywnie nie zmiążdży Hitlera. – Zamilkł i podszedł jeszcze bliżej. – Nikt nie powinien się dowiedzieć, że znamy się z dawnych czasów, zrozumiałeś? Nikt.

Jurij kiwnął głową ze zdumioną miną, ale zaskoczenie na widok chłopaka, który któremu jedenaście lat wcześniej pomógł się wyrwać ze

szpon gestapo, prędko zamieniło się w niepewność.

– Chyba nie przyjechałeś mi pomóc?

– Ty mi pomogłeś – odparł grzecznie Axel.

– Jestem ci wdzięczny, Axel, ale nie ma sensu, żebyś się dla mnie narażał.

– Jurij, jest wojna, narażamy się samym oddychaniem. – Poruszył się i z powrotem założył czapkę. – Chodźmy stąd. Przeniesiemy się do mnie. Tam będziemy mogli spokojnie pogadać.

Wyszli z budynku. Śnieg chrząścił pod ich stopami jak kora, a wiatr smagał policzki. Obóz zaczynał się budzić. Więźniowie dopiero przybyli z różnych więzień na terenie całego Związku Radzieckiego, których tutaj rejestrowano, a następnie przewożono do nowego zakładu karnego. Mieszali się tutaj z tymi, którzy już odbyli karę i czekali na poprawę pogody, żeby wsiąść na statek do Władywostoku i wyruszyć w drogę powrotną na Zachód, do swoich domów, rodzin, o ile z tych domów coś pozostało i przy życiu ostał się ktoś z bliskich.

Szli do wyjścia z obozu, komisarz ludowy krok z przodu. Nikt ich nie zatrzymywał, autorytet komisarza pozwalał przemieszczać się z całkowitą swobodą, w towarzystwie tego, kogo uzna za stosowne. Dotarli do osiedla surowych domów, które służyły strażnikom za mieszkanie, a także za lokum dla przedstawicieli władz i komisarzy partii wizytujących obóz.

Mieszkanko Axela Laufera było małe, ale bardzo przytulne. Było widać, że to miejsce tymczasowe. Tylko jeden pokój z niewielką liczbą topornych mebli – stołem z trzema krzesłami, łóżkiem z miękkim materacem, kocami w nieładzie i kolorową kapą. W kominku płonął ogień, a obok niego stał niewielki kredens z talerzami, kubkami i niedużą ilością produktów spożywczych. Axel zdjął futrzaną czapkę i płaszcz, podszedł do starego samowara, stojącego na półce po drugiej stronie kominka. Wziął dwa kubki i wlał do nich bursztynowy, parujący płyn. Postawił kubki na stole i odwrócił się, żeby wziąć kawałek chleba i talerzyk z masłem. W powietrzu unosiła się przyjemna woń herbaty.

Jurij stał i obserwował go w milczeniu. Jego pusty żołądek skręcił się z głodu na widok miękkiego białego chleba i kostki aksamitnego masła.

– Usiądź i zjedz coś – zaproponował Axel. – Musimy porozmawiać.

Jurij podszedł do stołu ze wzrokiem utkwionym w postawionych przed nim delicjach. Z pewnym wahaniem i niedowierzaniem wziął chleb, jakby brał do ręki niezwykle skarby; odgryzł pierwszy kęs i zamknął oczy, delektując się jego smakiem. A później, zupełnie zapominając o zasadach dobrego wychowania, jak wąż połykał kromki posmarowane grubą jak palec warstwą masła i wypił całą herbatę, choć była gorąca.

Axel w milczeniu przyglądał mu się z zadowoloną miną. Od czasu do czasu wypijał łyk ze swojego kubka. Zapalił papierosa, a paczkę odłożył na stół. Kiedy Jurij opróżnił swój kubek, Axel wstał i na nowo go napełnił. Gdy Santacruz w końcu się najadł, Axel poczęstował go papierosem, ale podziękował mu i objął dłońmi kubek, upajając się ciepłem ceramiki. Pozostał mu w ustach smak chleba i masła, który przypominał o lepszych czasach, kiedy dostatek był czymś zwyczajnym. Już dawno nie czuł się tak najedzony. Spojrzał na Axela z ironiczną miną.

– A więc zostałeś komisarzem ludowym NKWD. – Zaciśnął szczękę i unióś brwi. – Ni mniej, ni więcej... Co za rozczarowanie.

– Służę mojej partii – oznajmił Axel ze spokojem. – Komunizmowi, w który wierzę, i krajowi, który mnie przygarnął, kiedy mój własny potraktował mnie jak psa.

– Przyznaję, że nie było ci łatwo. Jednak nie jestem przekonany, czy dokonałeś słusznego wyboru.

– Sowiecki komunizm jako jedyny był w stanie stawić czoło groźbie nazizmu Hitlera i faszyzmu Mussoliniego – dodał Axel, jakby recytował wyrytą w pamięci formułę. – Gdyby Stalin nie postąpił tak, jak postąpił, obecnie ci pajace rządiliby większą częścią Europy.

– A więc uważasz Stalina za męża stanu – podsumował Jurij z przekąsem.

– Bo nim jest i to udowadnia; co nie znaczy, że jest nieomylny. Tej wojny nie wywołała Rosja ani komuniści, tylko naziści z ich zapędami do przejęcia i kontrolowania wszystkiego, z marzeniem o tym, żeby pod ich panowaniem znalazł się cały świat.

– W głowie mi się nie mieści, że jesteś aż tak naiwny. Nikt, kto ma odrobinę szacunku do siebie samego, nie może być trybikiem tego nikczemnego systemu. Szkoda, że postawiłeś na tę przeklętą ideologię... I pomyśleć, że dla ciebie ryzykowałem.

– Wolałbyś, żebym wpadł w ręce gestapo?

– Nie, pewnie, że nie – zapewnił z przekonaniem. – Ale zostać oprawcą z tajnej policji to naprawdę dno, Axel. – W krępującej ciszy patrzyli na siebie przez kilka długich sekund. – Nie moja sprawa, twój wybór, ale mogę powiedzieć tylko, że tego nie rozumiem... Te przeklęte systemy, nacjonalizm czy bolszewicki komunizm – jedno zło...

– Nie porównuj ich, bo to dwie różne rzeczy.

– Podstawy są te same, Axel. Oba utrzymują się u władzy dzięki zastraszeniu, każdy na swój sposób, ale z jednakowym skutkiem: setki tysięcy niewinnych ofiar, które miały nieszczęście żyć w bezlitosnym miejscu i czasie. Ale przyznaję ci rację, te dwa systemy w najbliższej przyszłości będą traktowane zupełnie inaczej – mówił bez krzty gwałtowności, jakby głośno wyrażał swoje myśli. – Chodzą słuchy, że Armia Czerwona miażdży Niemców, a jeśli tak jest i Niemcy przegrają wojnę, świat będzie obwinał nazizm o potworne zbrodnie, będzie ścigał winnych, Hitler zostanie osądzony i skazany za to, że pogrążył świat w straszliwej wojnie. Na niego spadnie całe odium i jemu zostanie przypisana rola potwornego złooczyńcy, jakim był przez te wszystkie lata. Jego nazwisko zostanie zapisane na najbardziej haniebnym kartach historii. A co z przestępstwami, jakich dopuszcza się twój nieomylny Stalin? – Jurij nie czekał na odpowiedź i mówił dalej, a jego głos nabrał siły: – Znajdzie się w gronie zwycięzców i dzięki temu wszystkie jego okrucieństwa zostaną usprawiedliwione, obozy śmierci będą postrzegane jako nieuchronna cena uprzemysłowienia i postępu Związku

Radzieckiego; ci, którzy umrą tutaj z głodu, wyczerpania, z zimna, będą po prostu zmarłymi, zbyteczną statystyką, nikt się o nich nie upomni, nikt nie będzie się domagał sprawiedliwości za całe to cierpienie. Jestem przekonany, że świat przymknie oko na sprawki Stalina, zbagatelizuje wszystkie jego zbrodnie, tak wielkie, jak zbrodnie popełnione przez Hitlera, albo i większe – ocenił z goryczą.

– Nie zgadzam się z tym, że komunizm ma coś wspólnego z nazizmem – odparł Axel spokojnym tonem. – Związek Radziecki stał u bram wielkiego rozwoju gospodarki, która w końcu stałaby się alternatywą dla kapitalizmu, który jest źródłem wszelkiego zła w naszym społeczeństwie i na całym świecie. Hitler, z jego chorą obsesją na punkcie podbicia rosyjskiego terytorium, wszystko zepsuł.

Jurij sposepniał. Wyidealizowane spojrzenie Axela na Stalina i jego politykę sprawiało mu ból.

– Naprawdę wierzysz w to, co mówisz? – Czuł się bezradny wobec tak wielkiej pomyłki. – Od jakiegoś czasu mieszkam z ludźmi takimi jak ty, żyjącymi obietnicami społecznego raj, których realizacja jest wiecznie odsuwana w czasie, i doszedłem do wniosku, że wy, komuniści, macie niewiarygodną wyobraźnię, skoro bez końca potraficie wymyślać usprawiedliwienia dla niespełnionych postulatów rewolucji i ewidentnych błędów partii, której tak bronicie.

– Nie przeczę, że doszło tutaj do nadużyć, ale daleko im do tego, co wyczyniają naziści w imię wojny, którą sami wywołali. Nie poznaję Niemiec, w których się urodziłem. Sama nienawiść i zgnilizna.

– Widać, że nie spędzasz tu zbyt wiele czasu. Inaczej wiedziałbyś o wszystkim, co się dzieje zaledwie kilka kilometrów od tego ciepłego mieszkania.

Axel spoglądał na niego z głębokim smutkiem. W końcu zawiesił wzrok w próżni, pochłonięty bolesnymi wspomnieniami.

– Wracam z okolic Smoleńska. Rok temu odkryto doły z tysiącami mężczyzn zabitych przez nazistów, bez litości, strzałem w potylicę; oficerów wojska polskiego, inteligentów, najbardziej wykształconą polską

elitę. Wszyscy zginęli i pochowano ich w przepastnych dołach wykopanych w lesie.

Jurij słuchał go z rosnącą wściekłością. Przypomnił sobie ostatnią rozmowę z bratem.

– Mówisz o lesie katyńskim?

– Skąd wiesz? – Zdziwiony Axel zmarszczył czoło.

– Wiem, i już. Ale nie daj się zwieść, nie zrobili tego Niemcy. Ta zbrodnia była dziełem twoich towarzyszy z NKWD i miała miejsce w czterdziestym roku, kiedy te tereny okupowali Rosjanie.

Axel był wyraźnie wzburzony.

– Naziści chcą zrzucić na Rosję winę za odrażającą zbrodnię, która wstrząsa całym światem, ale ta sztuczka im się nie uda. Ustalono, że rany postrzałowe we wszystkich czaszkach spowodowały niemieckie walthery PPK. Dowody są niepodważalne. Nie ma wątpliwości. To oni, naziści, musieli zrealizować ten makabryczny plan po lecie czterdziestego pierwszego roku, kiedy zaatakowali Związek Radziecki.

– Nie, Axel. To, że pistolety były niemieckie, wcale nie oznacza, że na spust naciskały niemieckie palce. Tego mordu dokonano na rozkaz samego Stalina, twojego najwyższego wodza, a przeprowadził go jego człowiek, Beria.

– Nie wiesz, co mówisz – odparł Axel protekcyjnym tonem.

– Wiem doskonale. Mój brat Kolia był jednym z katów, którzy posługiwali się tą niemiecką bronią i strzelali w potylicę tych bezbronnych mężczyzn, raz za razem... raz za razem... – Ostatnie słowa wypowiedział szeptem, z przygnębieniem w oczach na wspomnienie tego bolesnego wyznania brata.

Axel zaciągnął się papierosem i odezwał się, nie patrząc na niego, ze wzrokiem utkwionym w żarzącym się papierosie, wypuszczając duży kłąb dymu:

– Nie wierzę ci.

– Mówię prawdę.

Axel mimowolnie uniósł brwi. Jego niedowierzanie wobec pewności, z jaką mówił Jurij, zaczynało się kruszyć.

– Prawda jest rzeczą względną, Jurij. Czas pokaże, kto poniesie odpowiedzialność za tę potworną zbrodnię.

– Łatwo to przewidzieć: ten, kto przegra wojnę. Jeśli Niemcy zostaną pokonane, Stalin zrzuci na nazistów winę za zbrodnię, której sam dokonał.

Axel poruszył się niespokojnie. Zgasił papierosa i splótł dłonie na stole.

– Lepiej zostawmy ten temat i porozmawiajmy o tobie.

– Nie bardzo jest o czym... – powiedział Jurij ze zmęczeniem.

– Rok temu trafiłem na ciebie przypadkiem, kiedy leżałeś w szpitalu. Od tamtej pory próbowałem dociec, z jakiego powodu się tu znalazłeś.

Jurij nagle zrozumiał przyczynę wszystkich dobrodziejstw, jakie spotkały go w ciągu minionego roku, od dnia, kiedy zobaczył go u stóp łóżka, jak rozmawiał z lekarką – uwolnienie z kopalni, pracę w kuchni, nowe buty, zmianę baraku na ten, w którym miał lepsze warunki i znośniejsze towarzystwo. Wszystko zawdzięczał wstawiennictwu Axela Laufera. Chciał mu za to podziękować, powinien to zrobić, pomyślał, ale nie mógł się na to zdobyć, nie mógł znaleźć słów, którymi miałyby dziękować za godność należną mu prawem.

– Mogłeś mnie zapytać, opowiedziałbym ci ze szczegółami.

– Wiesz, że twój brat umarł?

– Mojego brata zamordowali twoi przyjaciele z NKWD – podkreślił Jurij zimnym tonem.

Axel milczał przez chwilę z poważną miną; nie chciał reagować na to stwierdzenie.

– Spust nacisnął jego szwagier, Ljowka Wasiljewicz. Następnego dnia popełnił samobójstwo.

Na wzmiankę o Ljowce Jurij pomyślał o bratowej.

– A co z Sonią? – zapytał, chcąc się dowiedzieć, jaki spotkał ją los. – Z żoną Kolii, wiesz coś o niej?

– Sonia Wasiljewna została zwolniona wkrótce po zatrzymaniu. Poznałem ją kilka miesięcy temu w Tbilisi. Mieszka tam z dwojgiem swoich dzieci i Marią Petrowną. Wszystko u nich w porządku.

Jurij słuchał jego słów z uśmiechem na ustach. Wypił łyk herbaty.

– Już zapomniałem, jak brzmią dobre wieści...

– Jest ci niewypowiedziane wdzięczna. To były jej słowa, kiedy się dowiedziała, że jadę się z tobą spotkać, i poprosiła mnie, żebym ci przekazał, że nigdy cię nie zapomnę.

Mężczyźni milczeli przez chwilę, chłonąc dziwne poczucie spokoju, jakie wśród tylu nieszczęść niosły te miłe słowa. W końcu Jurij spojrzał na Axela, jakby nagle powrócił do rzeczywistości.

– Skoro wiesz o mnie wszystko, to zapewne wiadomo ci też, że jestem skazany na śmierć.

– Wiem. I że odroczenie wykonania kary nastąpiło na pisemny wniosek doktora Pietii Smełowa. Nie zmarł. Przez twój strzał skończył na wózku, jest sparaliżowany od szyi w dół.

Twarz Jurija wykrzywił sarkastyczny grymas.

– Nie wiem, czy się cieszyć – wyszeptał. – Wolałbym, żeby umarł.

– Gdyby zmarł, ty też byś nie żył, straciliby cię w Moskwie.

– Więc mam mu być wdzięczny za tych pięć lat łaski. – Z twarzy Jurija nie ustępowało zdumienie, obojętne spojrzenie, ironiczna mina. – Co za padalec... Doskonale wiedział, co robi, odsuwając w czasie moją śmierć. Wymyślił tę torturę, bo doskonale wiedział, ile cierpienia mi przysporzy. Pięć lat ze świadomością, że każdy dzień przybliża do końca. – Ze smutkiem podniósł wzrok. – Każdego z nas czeka śmierć, ale nie wyobrażasz sobie, jak druzgocąca jest pewność, że zbliża się dzień twojej zagłady.

– Na tym świecie nic nie jest pewne, nawet twój koniec. – Axel pochylił się, oparł łokcie na blacie, żeby się do niego przysunąć, i patrzył przed siebie, szukając jego spojrzenia. – Jurij, jest tylko jeden sposób, żeby cię uratować. Znasz kilka języków, a Armia Czerwona szuka tłumaczy.

Jurij uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Proponujesz mi współpracę z Armią Czerwoną?
– Marszałek Żukow poprosił nas o ludzi, którzy znają niemiecki. To twoja jedyna szansa.

Jurij milczał przez kilka sekund.

– Za żadne skarby świata nie mógłbym przyjąć twojej propozycji. – Pokręcił głową. – Siedzę tu ponad cztery lata. Zostało mi dwieście piętnaście dni... Nie ruszę się stąd.

– Przynajmniej się nad tym zastanów.

Jurij popatrzył na niego długo, doceniając szlachetne intencje Axela; zachował się wobec niego bohatersko.

– Axel, jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko, co próbujesz dla mnie zrobić, ale nie mógłbym stać się częścią reżimu, który zniszczył moją rodzinę, maltretował i torturował moją matkę aż do śmierci, a mojego brata Kolię zamienił w potwora. Nie zrobię tego nigdy i boli mnie, że ty się w to zaangażowałeś. Gdybym wiedział, że przyłączysz się do tego brutalnego systemu, pozwoliłbym, żeby wykończyli cię naziści; przynajmniej nie miałbyś na sumieniu całego tego okrucieństwa, cierpienia wyrządzonego niewinnym, tak samo niewinnym jak ty, kiedy pomogłem ci w Berlinie. – Podniósł się, ale nie odszedł. – Lepiej dla nas obu, żebyśmy z tym skończyli.

Axel słuchał go z kamienną twarzą, tak srogą, jakby od dawna się nie uśmiechała.

– Rozumiem twoje powody – stwierdził spokojnie po chwili. – Może dzięki temu zmienisz zdanie.

Wsunął dłoń do wnętrza marynarki i wyciągnął wymęczoną, otwartą kopertę, która bez wątpienia przeszła przez wiele par dłoni. Położył ją na stole. Jurij poczuł, że serce mu podskoczyło, gdy rozpoznał pismo Kristy. Wziął ją do ręki, nie wierząc własnym oczom.

– Skąd to masz?

– Przyszedł na ostatni adres, pod którym mieszkał twój brat z Sonią. Nowi lokatorzy oddali list do Łubianki. Był w twoich aktach razem z pięcioma innymi listami, ale nie mogłem wyciągnąć wszystkich, to

byłoby zbyt niebezpieczne. Ryzykowałem, żeby ci go przywieźć. – Wstał, założył płaszcz, wziął czapkę, podszedł do Jurija i w serdecznym geście położył dłoń na jego ramieniu. – Zostawiam cię, żebyś mógł go w spokoju przeczytać. Wrócę za chwilę. Jeśli wtedy postanowisz zostać i wypełnić przeznaczenie, które wytyczył ci Smełow, wydam polecenie, żeby odwieziono cię do łagru, i nigdy więcej o mnie nie usłyszysz.

Ruszył do drzwi, gotowy do wyjścia, ale powstrzymał go głos Jurija.

– Axel... – Nie odrywał wzroku od listu, który trzymał w dłoniach. – Dziękuję.

Axel uśmiechnął się do niego i wyszedł.

Jurij powoli opadł na krzesło ze wzrokiem wbitym w ten list z nazwiskiem i adresem jego bratowej Soni, która figurowała jako adresat, i z inicjałami KM w miejscu nadawcy, tak jak poprosił w listach wysłanych do niej, zanim go skazano. Wzruszał się na samą myśl o tym, że tę kopertę trzymała w dłoniach jego ukochana Krista. Kiedy przywołał w myślach jej obraz, doświadczył burzy sprzecznych uczuć, bolesnych i wzruszających jednocześnie. Drżącymi dłońmi wyciągnął dwie kartki zapisane drobnym pismem. Na papierze były ślady brudnych palców, które bezkarnie naruszyły tajemnicę korespondencji. Zirykowało go to pogwałcenie jego prywatności.

W nagłówku figurowała data: Berlin, 23 września 1940 roku. Minęły cztery lata, odkąd Krista napisała ten list. Jak tylko zaczął czytać, przeżył bolesny wstrząs. Krista informowała go o śmierci swojej matki: pani Metzger zmarła pod koniec sierpnia we śnie; odeszła spokojnie, trzymając za rękę córkę, która spała obok i po obudzeniu poczuła, że matka jest zimna. Opisała mu, że przez długą chwilę leżała obok niej i podziwiała spokój na jej twarzy, wspominając szczęśliwe chwile dzieciństwa; niezdolna jeszcze do płaczu, przyswajała prawdę o swoim definitywnym sieroctwie, do ogromnego smutku dodając poczucie dojmującej samotności. Jurij czytał dalej ze ściśniętym sercem:

Od wielu miesięcy mam nadzieję, że lada moment znów Cię zobaczę. Villanueva mi powiedział, że przekazał Ci fałszywy paszport, żebyś mógł wrócić do Niemiec. Od tamtej pory szukam Twojej twarzy wśród nieznanomych ludzi, których mijam po drodze, marzę, że za zakrętem napotkam Twoje spojrzenie, Twój tak upragniony uśmiech, ale czas płynie, a Ciebie nie ma. Wiem, że coś się stało, bo Villanueva od marca, kiedy wysłał Ci dokumenty, nie ma od Ciebie żadnych wieści. Doradza mi cierpliwość, więc się w nią uzbrajam.

Przez cały ten rok dostałam od Ciebie dwa listy, ostatni ze stycznia. Przypuszczam, że było ich więcej, ale do mnie nie dotarły.

Erich Villanueva (znów on, mówię Ci, że gdyby nie ten człowiek, Twoja nieobecność przyprawiłaby mnie o szaleństwo) potwierdził mi, że moje pierwsze listy do Ciebie nie doszły i że bardzo możliwe, że nie otrzymasz żadnego, bo je konfiskują albo niszczą, mimo że są adresowane na Sonię, albo giną, nim do Ciebie dojdą. Ale nie przestanę próbować i w każdym będę Ci streszczać najważniejsze wydarzenia z mojego życia, bo może jednak jakimś cudem te słowa trafią w Twoje ręce.

Od czasu Twojego nagłego wyjazdu moje życie zboczyło z kursu i wpadło w rozszalały wir, a na powierzchni, co ciekawe, utrzymuję się dzięki Claudii Kahler. Kobieta, wobec której byłam tak nieufna, teraz mi pomaga i w pewnym sensie mnie chroni. Musisz wiedzieć, że opowiedziała mi, że zawiozła Cię na granicę i uratowała Ci życie. Potwierdziła, że to nie Ty strzeliłeś do Franza, i ostrzegła, żebym była czujna, bo idą dla mnie trudne czasy. I rzeczywiście, kilka dni później gestapo aresztowało mnie i mamę. Ją wypuścili następnego dnia; ja spędziłam tydzień w areszcie w głównej siedzibie gestapo przy Prinz-Albrecht-Strasse. Wypytywali mnie o Ciebie, pewni, że to ja Cię ukrywam. W końcu mnie wypuścili, ale dotknęły nas konsekwencje śmierci Franza, tak jak uprzedziła Claudia.

Zwolnili mnie ze szpitala i dostałam całkowity zakaz wykonywania zawodu, i publicznie, i prywatnie; ale nie tylko ja. Doktor Annę Hotzfeld również usunięto ze stanowiska i musiała wyjechać z Berlina. Wiem

o niej tylko tyle, że pojechała do miejscowości pod Monachium, w której mieszkała jej matka, że jej mąż zmarł na początku roku, a ona utrzymuje się z porad w gabinecie, co jej pozwala jakoś związać koniec z końcem. Ale najbardziej bolesne było to, co zrobiono z mamą: oprócz tego, że spędziła kilka godzin w więzieniu, zabrali jej emeryturę i pozbawili całego dobytku, włącznie z mieszkaniem, nie wiadomo na podstawie jakiego naruszenia, jakiego przepisu... To wszystko było dla niej tak traumatyczne... Jestem przeświadczona, że te wszystkie przeżycia osłabiły jej serce, aż nie było w stanie już dalej bić, i zmarła.

Pozwolili nam zająć kawalerkę, w której mieszkałem, ale żyję w ciągłym strachu, że w każdej chwili mogę się znaleźć na ulicy. Twoje rzeczy przechowuję jak największy skarb, który pomaga wierzyć, że wrócisz. Mieszkanie mojej matki, dom, w którym się wychowałam, z którym związane są moje najpiękniejsze wspomnienia, od sześciu miesięcy zajmują Wittowie. Pan Witt jest urzędnikiem, a jego żona przyjaźni się z Eriką Kahler, matką Claudii; mają trzynastoletnią córkę. Wszyscy troje są nie do zniesienia – fanatycy partii nazistowskiej, uwielbiają Hitlera, jakby był Bogiem i na całej klatce schodowej wywiesili flagi i jego portrety. Mam wrażenie, że mnie śledzą. Ich obecność mnie przytłacza, spotykam ich na każdym kroku, jak ponury cień.

Od kilku miesięcy pracuję w cukierni, która wcześniej należała do Rothmanów. Zarządzana jest teraz silną ręką nazistki Ernestine. Z początku kategorycznie odmówiła, nie chciała mnie w swoim sklepie, bo obarcza mnie winą za śmierć Franza Kahlera, ale Claudia z nią porozmawiała i zdołała ją przekonać. Może przypomniała sobie, że jest mi coś winna w związku ze sprawą Ilse Kube. Zajmuję się wszystkim po trochu, pensję dostaję minimalną, ale przynajmniej nie głoduję.

Zimą w Berlinie właściwie nie czuło się, że jest wojna, jeśli nie liczyć tego, że wszystko jest reglamentowane i trzeba stać w długich kolejkach do większości sklepów. Nawet żeby się wykąpać, trzeba stać w kolejce. Pod koniec sierpnia Anglicy zbombardowali Berlin. Zdaje się, że ich nowy premier, Churchill, o którym tyle się ostatnio mówi, uwierzył, że

wszyscy Niemcy uwielbiają potwora Hitlera: zrzucają na nas bomby, zamiast nas ratować. Musieliśmy się chować w piwnicy. To było straszne, Jurij. Jenell, córka Claudii, była tak przestraszona, że cały czas płakała i ścisnęła matkę za szyję; co za bezradność patrzeć na przerażoną twarzątkę tej zaledwie trzyletniej dziewczynki. To samo Hans, ma sześć lat i starał się być dzielny, ale za każdym razem, kiedy wybuch wstrząsał budynkiem, biedak wtulał się w matkę, trzęsąc się ze strachu. One są takie malutkie, kruche i bezbronne... Dzieci nie powinny doświadczać wojny. Przyprawia mnie o dreszcz ten niepokój na twarzy Claudii, ta chęć chronienia ich za wszelką cenę, rozpacz, że nie może oszczędzić im strachu. I wyznam Ci, że w głębi duszy się cieszę, że nie wydałam na świat dziecka i nie muszę przechodzić tego, co ta kobieta.

Mój Kochany, nie wyobrażasz sobie, jak za Tobą tęsknię. Jeśli ta przeklęta wojna pozwoli nam ujść z życiem, wyjedziemy razem gdzieś daleko stąd i tam zbudujemy naszą wspólną przyszłość.

Nic mnie nie trzyma w tym mieście ani w tym kraju. Przepęlnia mnie ogromny smutek. Straciłam wszystko, Jurij. Ciebie, mamę, mieszkanie, pracę, źródło utrzymania, nie mam już nawet godności.

Została mi tylko miłość, jaką do Ciebie czuję, i nadzieja, że do mnie wrócisz.

Kochany mój, wróć do mnie. Będę na Ciebie czekać.

Jurij wzdrygnął się na myśl o czarnej przyszłości tego oczekiwania, świadomy, że nigdy więcej nie zobaczy Kristy. Poczul się potwornie rozdarty i gorzko zapłakał.

Przed powrotem Axela zdążył podjąć decyzję.

[2] Stefan Zweig, Świat wczorajszy. Wspomnienia pewnego Europejczyka, tłum. Maria Wisłowska, Warszawa 1958, s. 6.

Berlin, Führerbunker

Poniedziałek, 30 kwietnia 1945 roku, 15.30

Tchórzostwo jest matką okrucieństwa.

MICHEL MONTAIGNE

Oskar Urlacher oparł się o mur przy wyjściu awaryjnym z bunkru Führera. Atmosfera w schronie była coraz bardziej nie do zniesienia. Od stycznia mieszkał tu Hitler ze swoim sztabem i nierozłączną Evą Braun, z którą dzień wcześniej zawarł małżeństwo podczas cywilnej ceremonii, kameralnej i skromnej. Na głębokości dwunastu metrów, poza zasięgiem niszycielskiej siły rosyjskich pocisków artyleryjskich, pesymizm, niczym ponura trucizna, obejmował umysły mieszkańców, coraz bardziej świadomych tego, że koniec jest bliski.

Oskar zdjął zatłuszczone opakowanie kanapki przygotowanej przez Ernestine. Odgryzł kęs chleba, przeżuł kilka razy i wypluł, po czym całą resztę wyrzucił na podłogę. Z pogardą myślał o swojej żonie. Nigdy nie zdołała dorównać Lilli Rothman, która wyczarowywała prawdziwe delicje. Ernestine była tępa, brudna i przytyła tak, jakby pochłaniała wszystkie te niejadalne ciasta, których nie udało jej się sprzedać. Plan na przejęcie cukierni dzięki wyciągnięciu wstydliwych żydowskich korzeni pani Rothman powiódł się znakomicie – został jedynym właścicielem piekarni i domu i nie kosztowało go to ani feniga. Popełnił jednak wielki błąd, wiążąc się z tą głupią córką właścicieli. Zadał się z nią i nim się połapał, było za późno. Porzuciłby ją już dawno, gdyby nie lojalność wobec Führera, który nie pochwalał tego, żeby jego ludzie

zostawiali żony. Mógł się przekonać, jak potraktował Josepha i Magdę Goebbelsów, kiedy chcieli się rozwieść. Więc był z nią tylko z tego względu, choć coraz bardziej jej nie trawił – stała się głupią maniaczką, która nadal zachowywała się tak, jakby wojna jej nie dotyczyła tylko dlatego, że jest żoną Hauptscharführera SS.

Zadawał sobie pytanie, na co mu cztery gwiazdki na patkach kołnierza. Od wielu dni beczynnie siedział w bunkrze. Armia Czerwona była coraz bliżej, a oni grali w karty, pili i czekali ze świadomością, że wisi nad nimi nieunikniony koniec. Hitler poinformował krąg najbliższych mu zaufanych osób, że woli odebrać sobie życie, niż wpaść w ręce Rosjan.

W sobotę dotarli do Berlina bardzo niepokojące wieści o śmierci Mussoliniego i jego kochanki: ich zbezczeszczone ciała powieszono w sobotę głowami w dół na ulicy, wystawiono je na widok rozjuszonego tłumu. Oskar miał wątpliwości, czy jego Führer byłby zdolny do samobójstwa. Stanowiłoby to trudny do przyjęcia paradoks, zdradę zasad wpajanych przez lata, w myśl których wymagał od narodu walki do ostatniej kropli krwi, co miało być wyrazem lojalności wobec jego osoby. On sam od dwudziestu lat popierał go z prawdziwą gorliwością, odnalazł w nim silnego przywódcę, niezłomnego wodza, który miał doprowadzić Niemcy do zdobycia zasłużonej chwały na przyszłe wieki. „Kiedy Führer mówi, my słuchamy aż do śmierci” – powtarzał tę mantrę setki razy, nigdy w to nie wątpiąc, wierząc w każde słowo; wierność i posłuszeństwo do samego końca.

Jednak po prawie sześciu latach wojny zaczęły go nachodzić niespodziewane wątpliwości wobec człowieka, którego wynieśli do rangi Boga. Przerazała go wizja końca tego wszystkiego, bo wiedział, że jeśli Sowieci wygrają wojnę, wszyscy ci Niemcy, którzy zdołają przeżyć rosyjskie bombardowania, zostaną deportowani na Syberię jako więźniowie Stalina.

Nie brakowało takich, którzy uważali, że jedynym wybawieniem są dla nich Amerykanie. Poddanie się mogło wyzwolić Niemcy ze szponów bolszewizmu, których uścisk stawał się coraz silniejszy. Docierały do

nich niepokojące wiadomości o bestialstwie armii sowieckiej w czasie zajmowania Prus Zachodnich; panika powodowała więcej zgonów niż bomby. Cywile, a także dezercerzy ryzykowali i kierowali się na Zachód z zamiarem przejścia przez Elbę i oddania się w ręce Amerykanów, uciekając przed siejącymi postrach bolszewikami, ale wielu z nich spotykała śmierć z rąk współobywateli obstających przy tym, by stawiać samobójczy opór.

Zmrużonymi oczami spojrzął w niebo przesłonięte szarą, gęstą chmurą powstałą z dymu pożarów. Powietrzem, kleistym i dusznym, nie dało się oddychać, dostawało się do ust, w których pozostał smak zjełczałego masła z kanapki. Nie wiedział, która jest godzina. Wyciągnął papierosa, a kiedy miał go zapalić, z wnętrza bunkru usłyszał krzyki. Zajrzał do środka i na schodach zobaczył dwóch mężczyzn niosących owinięte kocem ciało. Kiedy go mijali, z przerażeniem zobaczył, że to sam Führer. Krew zastygła mu w żyłach.

– Przynieś kanistry z benzyną – rozkazał mu Otto Günsche, osobisty asystent Hitlera, który towarzyszył tragarzom.

Oskar schował papierosa i pobiegł po kanistry zgromadzone z boku zeszłego popołudnia. Kiedy wrócił z dwoma, ciało leżało już przy wieży strażniczej, w kraterze wybitym przez jedną z wielu bomb zrzuconych przez lotnictwo wroga. Podszedł do krawędzi, żeby się upewnić, czy dobrze widział: rzeczywiście, w tym prowizorycznym grobie leżały zwłoki Adolfa Hitlera. Ubrane były w czarne spodnie, szarozieloną wojskową marynarkę, białą koszulę i czarny krawat, który wyróżniał go spośród najbliższych współpracowników. Miał ranę postrzałową w prawej skroni, po której spływała cienka strużka krwi. Oskara ogarnęło głębokie rozczarowanie. Nie spuszczać wzroku z ciała, pomyślał, że ten, którego uważali niemal za bóstwo, okazał się zwykłym człowiekiem, którego śmierć odarła z wszelkiego dostojeństwa.

Jego wzrok padł na nadgarstek upadłego Führera – z zegarkiem, cennym złotym Lange Söhne. Rozejrzał się i nikogo nie zobaczył. Nie zastanawiał się; zszedł do ciała i drżącymi palcami, starając się nie

patrzeć zmarłemu w twarz, rozpiął skórzany pasek i schował zegarek do kieszeni, a później wy dostał się z dołu z sercem w gardle i mokry od zimnego potu. W tej samej chwili powrócili dwaj mężczyźni z kolejnym ciałem. Tym razem była to Eva Braun, w ciemnej sukni z wyszywanymi na piersi różowymi kwiatami, w której Oskar widział ją tego ranka. Nie było widać, żeby została postrzelona, najprawdopodobniej połknęła zawartość ampulek z cyjankiem, które w ostatnich dniach krążyły w bunkrze z ręk do rąk. Jej umalowane szminką wargi kontrastowały z bladą twarzą. Ci, którzy ją nieśli, sapiąc z wysiłku, dość bezceremonialnie wrzucili ciało do krateru obok zwłok świeżo poślubionego męża. Razem do wieczności, pomyślał Oskar. O ile ta wieczność istnieje. Asystent Führera wziął jeden z kanistrów, odkręcił i zaczął polewać ciała benzyną. Oskar stał bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami, w kompletnym osłupieniu.

– Co stoisz jak słup soli? – krzyknął do niego Otto Günsche, gdy go zauważył. – Przynieś więcej kanistrów, szybko!

Oskar przyniósł jeszcze sześć pojemników, których zawartość została wylana na zwłoki. Stos pogrzebowy zapłonął od razu, a w czarnym dymie, który zaczął się unosić, Oskar widział cierpiącą duszę człowieka, którego tak podziwiał i który dopuścił się tylu złych rzeczy. Zapach płonących ciał przyprawił go o mdłości. Oszołomiony pomyślał, że wszystko się skończyło. Adolf Hitler był martwy. Zaledwie dwieście metrów dzieliło ten bunkier od dawnej Kancelarii, z której tamtej nocy dwanaście lat wcześniej Hitler obserwował rozemocjonowane tłumy z pochodniami. Niemal to samo miejsce, ten sam kolor płomieni. Wszystko inne się różniło.

W tej chwili bombardowania przybrały na sile i świadkowie kremacji rozpierzchli się i pospiesznie ukryli w bunkrze, wcześniej po raz ostatni salutując swojego wodzowi.

Oskar wykorzystał zamieszanie i wymknął się niezauważony. Było słychać ciągle świst pocisków z przeklętych rosyjskich katuszy, które nie przestawały wypluwać swojego śmiercionośnego ładunku nieprzerwanie

dwadzieścia cztery godziny na dobę. Z pistoletem maszynowym na plecach szedł zamyślony pomiędzy ruinami budynków, aż dotarł do piekarni opatrzonej nadal szyldem z nazwiskiem Rothmanów wypisanym złotymi literami. Zobaczył długą kolejkę ludzi z kartkami żywnościowymi w ręce i z ponurymi twarzami, zupełnie niezrażonych hukiem haubic całkiem niedaleko. Wszedł tylnymi drzwiami. Na zapleczu zastał Kristę Metzger, z zapalem mieszającą dłońmi jakąś masę. Włosy miała związane w kucyk, ciało osłonięte fartuchem, a na policzkach – resztki mąki. Choć nie chciał, patrzył na nią pożądliwie. Ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa, ale nie miał odwagi jej tego okazać ze strachu, że Ernestine się zorientuje i wyrzuci ją z piekarni. Krista spojrzała na niego bez słowa, nie przestając ugniatać ciasta. Oskar usiadł przy niej.

– Hitler nie żyje... – oznajmił podniosłym tonem.

Krista znieruchomiała ze sparaliżowanymi rękami, bezwładnymi dłońmi i uważnie patrzyła na Oskara.

– To prawda? – zdołała z siebie wyrzucić.

– Przed chwilą do siebie strzelił, a Eva Braun połknęła truciznę. Właśnie płoną razem niczym święta pochodnia... Albo przeklęta, nie wiem – wyszeptał, a jego wzrok utonął w nicości, po której błąkały się jego myśli.

W tej chwili na zapleczu weszła Ernestine i usłyszała słowa męża, które spadły na nią jak grom z jasnego nieba.

– Co ty mówisz? – wyszeptała zrozpaczona. – To niemożliwe... Niemożliwe, Führer nie może... On nie... – Zdawało się, że słowa zamierają na jej wargach. – Kto się teraz o nas zatroszczy?

Krista zdjęła fartuch i ruszyła do drzwi z zamiarem odejścia. Ernestine to zobaczyła i zareagowała; najwyraźniej zdążyła już ochłonąć po chwilowym załamaniu.

– A ty gdzie się wybierasz? – krzyknęła skrzekliwym głosem przypominającym gdakanie kury.

Krista się zatrzymała, odwróciła i uśmiechnęła się lekko.

– Hitler nie żyje... Skończyło się... Wreszcie wszystko się skończy...

Wyszła z cukierni wśród histerycznych krzyków Ernestine, rozkazującej jej, że ma wracać i brać się do roboty, aż w końcu Oskar tubalnym głosem kazał jej się zamknąć.

Krista ruszyła chodnikiem, dziurawym i wyszczerbionym, wymijając tych, którzy czekali w kolejce na swoją rację chleba. Ogarnęło ją dziwne wzruszenie. Poczowała łzy na policzkach. Bała się ponownej frustracji, tej samej, jaką poczuła rok wcześniej, po nieudanym zamachu na Hitlera, który nie tylko nie zginął, ale jeszcze wzmocnił swój przekaz i uznał się za wybrańca niebios, istotę właściwie nieśmiertelną. „Tym razem się udało, tym razem się udało”, powtarzała sobie, chcąc w ten sposób przywołać tak upragnioną rzeczywistość.

Szła tuż przy budynkach, absurdalnie próbując się chronić przed kulami. Kiedy dotarła na skrzyżowanie z Wilhelmstrasse, napotkała oddział partyzanckich brygad zmierzających w kierunku Reichstagu. Przesunęła się na bok, żeby zrobić miejsce grupie nieszczęśników prowadzonych na śmierć, zaniedbanych, brudnych, zmęczonych. Należeli do Volkssturmu, tak zwanego „szturmu ludowego”, formacji tworzonej przez kombatantów poprzedniej wojny. Mieli na sobie rozmaite stare mundury, niektórzy byli w cywilu z naramiennikami; za nimi szło ze dwudziestu chłopaków, z których większość miała nie więcej niż piętnaście lat – w mundurach Wehrmachtu, za dużych na ich nastoletnie ciała. Niektórzy w czapkach, inni na małych głowach mieli żelazne hełmy, które wyraźnie ich przygniatały, na ramieniu nieśli granatniki albo karabiny, niczym śmiertelne zabawki. Szli do walki, gotowi złożyć w ofierze swoje krótkie życie, nakłonieni do tego przez człowieka, którego ciało płonęło niedaleko stąd, tchórza, który w ostatniej chwili pozostawił na pastwę losu tych, którzy jeszcze szli za nim z gorliwym oddaniem, czy to z powodu buntowniczego zaślepienia, czy też pod wpływem panicznego strachu przed zakończeniem życia na latarni jako potępieni na zawsze zdrajcy narodu.

Po przejściu tych nieszczęsnych żołdaków Krista ruszyła dalej wśród odgłosów walki, trwającej nieprzerwanie od dwóch tygodni. Mieszkańcy byli coraz bardziej osaczeni, coraz bardziej zmęczeni, coraz głodniejsi, coraz bardziej otumanieni. Teraz, po śmierci sprawcy całej tej tragedii, może uda się zawrzeć pokój. Krista była przekonana, że jego śmierć otwiera drzwi nadziei.

Gdy weszła do klatki, zauważyła jeden z wielu portretów Hitlera, które Gerda Witt zawzięcie wieszła, odkąd się wprowadziła pięć lat temu. Zerwała go z wściekłością i roztrzaskała o podłogę. Co sił w nogach wbiegła na piętro i zapukała do obu mieszkań. Dzwonek nie działał. Drzwi pani Blumenfeld pozostały zamknięte, ale te od mieszkania naprzeciwko się otworzyły, a w progu stała mała Jenell.

– Gdzie mama? – spytała dziewczynkę Krista.

– W Kancelarii, poszła się zobaczyć z babcią Eriką.

Krista znów zapukała do drzwi naprzeciwko.

– Pani Blumenfeld przed chwilą wyszła – poinformowała Jenell.

Rozległy się czyjeś kroki. Krista i Jenell wychyliły się poza poręcz.

Po schodach powoli wchodziła Claudia z plecakiem.

– Krista, co tu robisz? – Była zaskoczona, widząc ją na klatce. – Stało się coś w piekarni?

– Hitler nie żyje... – oznajmiła drżącym głosem, jakby się bała, że coś lub ktoś zaneguje tę wiadomość. – Popęłił samobójstwo.

– Skąd wiesz? – spytała zdziwiona Claudia.

– Do cukierni przyszedł Oskar. Widział go na własne oczy. Mówi, że strzelił sobie w głowę i że podpalili zwłoki. To koniec...

– Święty Boże... – wyszeptała Claudia, wyraźnie zmartwiona. – Co teraz będzie?

– Będą musieli negocjować. Nie będą mieli wyjścia. To początek końca...

– Tak... Jasne – skwitowała przejęta Claudia. – Wejdz do domu.

Wszystkie trzy poszły do kuchni. Claudia ściągnęła plecak i położyła go na stole. W tej chwili zjawił się Hans, ciekawy, jakie skarby przyniosła

matka. Żywności coraz bardziej brakowało; od wielu dni nie było prądu ani bieżącej wody, a opał (wszystko, co dało się podpalić) był na wagę złota. Matka Claudii mogła ją jeszcze zaopatrzyć w produkty, które zabierała z kancelaryjnej kuchni. Przez lata jej więź z Magdą Goebbels znacznie się zacieśniła. Kiedy żona ministra propagandy przeprowadziła się z sześciorgiem dzieci do bunkra Kancelarii – połączonego klatką schodową z bunkrem Hitlera – Erika Kahler wraz z mężem zrobiła to samo. Claudia odmówiła pójścia w ślady matki, choć oboje rodzice nalegali, by to zrobiła, dla jej i dzieci bezpieczeństwa. Wobec uporczywych odmów jej matka mruczała: „Szkoda, że nie ma Ulricha...”, ale Ulricha nie było, a Claudia nie chciała mieć do czynienia z tymi ludźmi. Jakiś czas temu wyzbyła się wszelkiej wiary w ideały nacjonalistycznego socjalizmu Hitlera, a w miarę jak wojna trwała, czuła coraz większe rozczarowanie, choć starała się go nie okazywać, żeby nie narażać na niebezpieczeństwo siebie ani dzieci. Tak jej poleciła matka, rozgoryczona postawą córki. Erika, dla odmiany, niezmiennie darzyła służalczym podziwem panią Goebbels, która zrobiła sobie z niej chusteczkę do ocierania łez i worek, do którego wrzucała wszystkie swoje frustracje. Jednak uprzywilejowana pozycja przydawała się Ericie Kahler – dzięki niej miała to, czego w Berlinie brakowało: konserwy mięsne, masło, konfitury, makaron, warzywa czy ser ze spiżarni Führera, do tego świece i naftę do lamp oraz alkohol do kuchenki, na której gotowała.

Dzieci zaczęły wyciągać z plecaka produkty, zafascynowane nowościami, w które zaopatrywała je babcia, a Claudia i Krista usiadły naprzeciwko siebie.

- Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć – powiedziała Claudia.
- Trzeba będzie się poddać. Jestem tego pewna – odezwała się Krista.
- Nie będą mieli wyjścia. Sprawy zabrnęły za daleko i przyjdzie nam za to zapłacić.
- Więc stanie się to, co w osiemnastym roku. Historia się powtórzy. – Myśli Claudii gubiły się w jej niepokojach. – Tyle zmarnowanego czasu.

Hans, który skończył już jedenaście lat, przestał myszkować w plecaku i patrzył na kobiety z dziecięcym przejęciem.

– Niemcy nigdy się nie poddadzą – oznajmił z przekonaniem. – To niemożliwe.

– To ty nie chcesz, żeby wojna się skończyła?! – krzyknęła na niego rozwścieczona matka. Nie mogła znieść tego, że ktoś broni domniemanej wyższości Niemiec. – Chcesz znosić głód i strach? I żeby ten koszmar się ciągnął?

– Niemcy się nie poddadzą! – powtórzył chłopiec z wściekłością, zaciskając pięści przyklejone do spiętego ciała. – Führer nas doprowadzi do zwycięskiego końca. Musimy za nim iść.

– Führer nie żyje! – wrzasnęła zirytowana Claudia. – Strzelił sobie w łeb! – Jej ton złagodniał, a miejsce furii zajął głęboki smutek. – Przeklęty... Oby zgnił w piekle.

– To nieprawda! – krzyknął wściekły Hans. – Nasz Führer nigdy by tego nie zrobił. Zginie w bohaterskiej walce z bolszewikami i wszystkimi wrogami narodu. – Odwrócił się i wybiegł z kuchni.

– Hans, wracaj! – Claudia wstała, żeby za nim pobiec, ale na dźwięk zatrzasniętych drzwi zamarła i podparła się o stół, jakby się bała, że straci równowagę. Zakryła dłonią usta, patrząc na korytarz, którym przed chwilą szedł jej syn. W końcu znów opadła na krzesło. – Święty Boże, Krista, wyobrażasz sobie, że gdyby miał tylko kilka lat więcej, walczyłby jak dorosły? Okradliśmy go z dzieciństwa... Mój synek... Nie wiem, czy zdołam go odzyskać. Nie powinnam pozwolić, żeby ci fanatycy zatruwali go swoją chorą ideologią. – Przełknęła ślinę, spuściła wzrok i pokręciła głową. – Ależ byłam głupia... Ale głupia... Jak go teraz przekonać, że wszystko było oszustwem? Marzenia o narodowym socjalizmie, ułuda, która przyniosła nam tylko śmierć i szaleństwo... Święty Boże... Co my teraz zrobimy? – Do jej oczu napłynęły łzy, a na jej twarzy pojawił się grymas bólu. Jenell obserwowała matkę, przejęta jej smutkiem.

– Nie płacz, mamusiu...

Claudia wzięła ją na kolana i zaczęła kołysać po matczynemu, w uścisku córki próbując odnaleźć pociechę. Kriście ze wzruszenia popłynęły łzy.

Nagle przestraszyło ich pukanie do drzwi. Krista poszła otworzyć i zobaczyła Angelę Blumenfeld, sąsiadkę.

– O, Kristo, tu jesteś – odezwała się na jej widok. – Idę z piwnicy. Powinnaś zejść. Jesteś tam potrzebna. Przynieśli kolejnych rannych.

Krista pomagała mieszkającemu w kamienicy naprzeciwko emerytowanemu lekarzowi, który wraz z dwiema również emerytowanymi pielęgniarkami z tej samej ulicy stworzył w małej piwnicy szpital polowy. Jakiś czas temu poprosiła Ernestine, żeby pozwałała jej wychodzić z pracy trochę wcześniej, żeby mogła im pomagać, ale córka Rothmanów odmówiła, tłumacząc się nawałem pracy. Jednakże Krista schodziła do piwnicy, kiedy tylko mogła, bo gdyby zrezygnowała z etatu w piekarni, straciłaby jedyne źródło utrzymania.

Było już ciemno, kiedy wchodziła po schodach po wielu godzinach spędzonych w prowizorycznym szpitalu, gdzie asystowała przy trudnej operacji szesnastolatka, któremu musieli obciąć nogę. Chłopak pochodził z Poczdamu i pięć dni temu przyłączył się do obrony Berlina przed Sowietami. Był tak poważnie ranny, że tylko cud mógł sprawić, że przeżyje.

Na schodach wpadła na Claudię, która schodziła szybkim krokiem.

– Gdzie idziesz? – spytała. – Jest ciemno, niebezpiecznie...

– Szukać Hansa – odpowiedziała zmartwiona. – Poszłam po wodę, a on w tym czasie wszedł do domu i ubrał się w ten przeklęty mundur Hitlerjugend, a potem wyszedł, oznajmiając, że zamierza wypełnić przysięgę złożoną Führerowi. – Zamilkła na chwilę, jakby to ostatnie słowo uwięzło jej w gardle. – Powiedziała mi o tym Jenell. Idę po niego, wydaje mi się, że wiem, gdzie go znajdę.

– Pójdę z tobą.

– Nie, Kristo – odparła Claudia, chwytając ją za rękę. – Przypilnuj małej, proszę. Zostawiłam ją u pani Blumenfeld. Gdybym długo nie wracała, idź z nimi do schronu. Nie dowierzam tej Angeli, ostatnio jest jakaś niezdarna i nie widzi dobrze. – W jej oczach pojawił się błysk niepokoju. – Zrobisz to dla mnie? – Przyjaciółka kiwnęła głową, a Claudia posłała jej porozumiewawczy uśmiech. – Do zobaczenia w domu.

– Uważaj na siebie – poprosiła Krista, kiedy Claudia zbiegała po schodach w poszukiwaniu swojego małego żołnierza.

Krista wchodziła dalej w coraz gęstszej ciemności. Wiedziała, że za kilka minut budynek pogrąży się w zupełnym mroku, ledwie rozświetlonym przez liczne pożary na horyzoncie miasta. Chciała się umyć i zabrać parę rzeczy, szykując się na spędzenie kolejnej długiej nocy we wnętrznościach ziemi, ukrywając się przed bombami i ogniem.

Kiedy weszła na poddasze, zorientowała się, że panuje dziwny spokój. Dobrą chwilę temu ustał huk bombardowań. Doskonale wiedziała, że nie należy się cieszyć tym pozornym pokojem, bo zawsze okazywało się, że trwał krótko. W każdej chwili mogła się rozpocząć nowa ofensywa, zawsze bardziej niszcząca i agresywna od poprzednich. Miasto było pogrążone w szaleństwie. Armia Radziecka znajdowała się jakieś czterysta metrów od Reichstagu, budynku niemieckiego parlamentu nieużywanego od czasu pożaru w lutym 1933 roku, podczas którego spłonęła kopuła i sala obrad, i którego zajęcie stanowiło dla Stalina symbol. Mówiło się, że Rosjanie chcą do niego wejść następnego dnia, pierwszego maja, w dzień ich narodowego święta, żeby w ten sposób zademonstrować symboliczne zwycięstwo Związku Radzieckiego nad nazizmem. Nic nie było wiadomo na pewno, krążyły jedynie plotki. Z powodu braku prądu od wielu dni nie działało radio, nie nadawano już nawet nawiedzonych tyrad Führera ani makiawelicznych proklamacji jego ministra propagandy, Josepha Goebbelsa; gazety trafiały tylko do wybrańców; telefon działał z przerwami, ale dzięki niemu można się było skontaktować z rodziną i przyjaciółmi z innych dzielnic, żeby się czegoś

dowiedzieć – nie tylko tego, czy są cali i zdrowi, ale także tego, jak wyglądają postępy Armii Czerwonej. Czasami zamiast ukochanej osoby, w słuchawce odzywał się po rosyjsku donośny głos; wtedy było wiadomo, że iwany tam dotarły.

Przegrana stawiała się kwestią coraz bardziej oczywistą, mimo tytanicznego oporu, bardziej niż heroicznego, samobójczego, niemieckiej armii we wszystkich jej formacjach: od zawodowych żołnierzy Wehrmachtu, członków Waffen-SS, Hitlerjugend, a nawet wysłużonego Volkssturmu. Krista była świadoma tego, że za kilka dni, a może godzin, ulice, którymi się poruszała, będą pełne Sowietów. Dlatego zaczęła powtarzać rosyjski, którego uczył ją Jurij. Pogłoski o bolszewickiej brutalności potęgowały strach związany z ich przybyciem. Mimo wszystko wielu ludzi pragnęło końca, jakikolwiek by był, tego straszliwego piekła, w jakie zamieniło się miasto, bombardowane dzień i noc, bez przerwy, w którym mieszkańcy prowadzili życie pod ziemią, pochowani jak przestraszone zwierzęta w ciemnych piwnicach i schronach, i czekali, aż wszystko przeminie, oddychając strachem – własnym i tych, którzy tłoczyli się obok.

Krista szybko umyła się na tyle, na ile mogła, wykorzystując dwa ostatnie kubki wody, które jej zostały. Od jakiegoś czasu nie było bieżącej wody i nie mogła przywyknąć do tego, że nie może o siebie zadbać, jak należy, pozbawiona mydła, bez możliwości umycia włosów i prawie bez bielizny po pięciu latach wojny z minimalnymi dochodami, wystarczającymi zaledwie na zakup żywności. Miała wrażenie, że się lepi, i czuła się nieswojo.

Myślała o tym wszystkim, przeglądając się w lustrze, kiedy wycierała ręce. Włożyła koszulę i grubą wełnianą marynarkę i zaczęła pakować do kartonu rzeczy, które chciała zabrać do schronu: słoik konfitury otrzymany od Claudii, kawałek chleba, który został jej z poprzedniego dnia (rację z tego dnia straciła, ponieważ odeszła z pracy), kawałek czekolady dla Jenell, tubkę skondensowanego mleka, słownik rosyjski z ołówkiem i notesem, świeczkę i mały koc. Kiedy przykrywała to

wszystko poduszką, przestraszył ją głośny wybuch, zbyt bliski, który wybił resztę szyb do tej pory nietkniętych, a po nim, niemal natychmiast, dał się słyszeć świst drugiego pocisku. Zdążyła tylko paść na podłogę i przykryć głowę poduszką i w tej właśnie chwili wstrząsnął nią potężny huk i wydało jej się, że wszystko dookoła wali się na jej ciało niczym pod wpływem niszycielskiej trąby powietrznej. Leżała ogłuszona w grobowej ciszy. Nie ruszała się przez chwilę, próbując poczuć każdą część ciała, żeby sprawdzić, czy nie ma załamania ani poważnych obrażeń. Bolały ją plecy i prawa łydka. W nosie piekło ją od ostrego zapachu prochu. Otworzyła oczy i spróbowała się poruszyć. Poczula ciężar gruzu na poduszce i na plecach. Sądząc po wielkości odłamków, które na nią spadły, wiedziała, że gdyby nie ochrona pierza poduszki, zmiażdżyłyby jej głowę i straciłaby życie. Jej uszy zaczęły wyłapywać krzyki, płacz, odległe hałasy. Wszystko spowijała chmura pyłu i gipsu, przesłaniająca niemal cały widok. Czuła zapach spalenizny i ciepło płomieni.

– Krista! Krista! Gdzie jesteś? – dobiegło do niej rozpaczliwe wołanie Claudii.

– Tutaj – odpowiedziała, podnosząc się z trudem, i poczuła, jak z jej ciała ześlizguje się gruz.

Zobaczyła idącą do niej koleżankę, balansującą na gruzowisku utworzonym przez część dachu, który zawalił się, pozostawiając dziurę o średnicy ponad metra. Wiedziała, że poddasze zamieniło się w ruinę.

– Jesteś ranna? – spytała Claudia, gdy do niej podeszła.

– Chyba nie... – odpowiedziała oszołomiona Krista.

– Musimy stąd wyjść. Tu jest niebezpiecznie. Szybko, Krista, daj mi rękę.

Kobieta uchwyciła się dłoni, które wyciągała do niej Claudia, i wstała; czuła, że trzęsą jej się nogi. Szły powoli, chwiejnym krokiem i niemal po omacku, aż dotarły do zniszczonych drzwi mieszkania. Krista zgubiła buty i czuła każde ukłucie na bosych stopach, osłoniętych jedynie pończochami. Zeszły po schodach oświetlonych blaskiem pożaru, który

pierwsza bomba wzniciła w mieszkaniu pani Blumenfeld. Na jego widok Krista stanęła jak wryta.

– Święty Boże... Co z Jenell?

– Czeka ją na ulicy – odpowiedziała Claudia, nie zatrzymując się, i pociągnęła Kristę za rękę, badając stopą każdy stopień, żeby się nie przewrócić. – Przyszły do naszego mieszkania po lalkę, którą jej dałaś, i wtedy wybuchła bomba, i zniszczyła mieszkanie pani Blumenfeld. Gdyby nie ta lalka...

Ta piękna lalka z biskwitową głową należała do Kristy; dostała ją od ojca, zanim wyruszył walczyć w wielkiej wojnie. Kiedy musiała opróżnić mieszkanie matki, podarowała ją Jenell. Od tego dnia dziewczynka się z nią nie rozstawała.

Wyszły z klatki i zobaczyły Jenell ściskającą dłoń Angeli Blumenfeld; panika przesłoniła słodycz jej buźki. Szybko, w milczeniu, weszły do klatki budynku po drugiej stronie ulicy, gdzie znajdował się schron wyznaczony przez władze dla mieszkańców tego odcinka ulicy. Przeszły przez wewnętrzne dziedzińce, sienie i wąskie korytarze, oświetlając sobie drogę lampą naftową niesioną przez starą panią Blumenfeld. Krista cierpiała, stawiając kroki.

Schron pękał w szwach. Miejsce, w którym zwykle siedziały, zajmowali nowi sąsiedzi z innych budynków, dzisiaj tu również skierowani. Nikt się nie ruszył. Nie miały wyjścia, musiały usiąść na podłodze.

Delikatne światło świec rzucało długie, niepokojące cienie. Rozstawiono je na podłodze, bo zdaniem pewnego profesora fizyki, mieszkającego w tej norze, płomień miał wskazywać ilość tlenu w powietrzu i ostrzec, gdyby zaczynało go brakować, chroniąc w ten sposób przed śmiercią przez uduszenie.

Krista na prawej łydce miała rozcięcie spowodowane przez kawałek szkła. Miała dużo szczęścia: poza tą raną jedynymi konsekwencjami wybuchu były obolałe ciało, siniaki i zadrapania. Z pomocą Claudii zabandażowała skaleczenie kawałkiem materiału, który ktoś jej dał.

– Dziękuję, że po mnie przyszedłaś – powiedziała Krista.

Claudia podniosła na chwilę głowę, po czym znów spuściła wzrok na bandaż.

– Usłyszałam wybuch niedaleko domu i przerażona wróciłam po Jenell. Zdążyły wyjść z panią Blumenfeld na ulicę. Ciebie nie widziałam, więc po ciebie weszłam.

– Wiesz coś o Hansie? – spytała Krista, usiłując palcami rozczesać włosy, posklejane od gipsu i kurzu.

Claudia pokręciła głową, usiadła obok niej i pogłaskała Jenell po jasnowłosej głowie, opierającej się na kolanach pani Blumenfeld. Powietrze było ciężkie od dymu lamp i świec. Unosił się w nim ledwie słyszalny szept wypowiedzianych na ucho słów, który sprawiał, że to miejsce przypominało świętą katakumbę.

Naprzeciwko nich, na zniesionym materacu, który zajmował zbyt dużo miejsca, polegiwali Gerda Witt, jej mąż i córka Rita, która skończyła osiemnaście lat dwudziestego kwietnia, w dniu urodzin Führera, z czego cała rodzina była niesłychanie dumna. Dziewczyna była niezbyt urodziwa, pulchna i z dużym biustem, na który opadały grube blond warkocze. Wittowie byli nieuprzejmi i zarozumiali, uważali się za wybrańców lepszych od zwykłych śmiertelników. Niczym trzy kruki wlepiali krępujące spojrzenie w Kristę i Claudię, przykryci grubym, ciepłym kocem; z ich czarnych oczu biła niezrozumiała i prymitywna nienawiść.

Gerda Witt po chwili wyciągnęła kosz z kanapkami z serem i podała je mężowi i córce. Ludzie wokół również oddali się dziwnej rutynie szykowania kolacji w tej kryjówce. Ani Claudia, ani Krista, ani stara Angela Blumenfeld nie zdołały nic przynieść tego wieczoru. Miały tylko to, co na sobie, i nic, co mogłyby włożyć do ust.

Jenell, nie spuszczać wzroku z kanapki, którą Rita łapczywie pochłaniała, przysunęła się do matki i powiedziała do niej cichutko:

– Mamo, jestem głodna.

Pani Blumenfeld to usłyszała i, nie mogąc się powstrzymać, zwróciła się do Gerdy Witt:

– Pani Witt, nie miałyby pani może kanapki dla tej małej? Przez ten wybuch nic nie zabrałyśmy.

– Niestety, pani Blumenfeld, ale nie mam już więcej – odpowiedziała z irytującą wyższością, po czym odgryzła spory kęs chleba i zaczęła zajadać ze smakiem, nie przestając patrzeć na Claudię i Kristę, jakby występowała w cyrkowym pokazie.

Siedzący obok nich mężczyzna podał Jenell talerz z gniecionymi ziemniakami, które przed chwilą podgrzał w piecyku.

– Masz, bardzo dobre – powiedział z uśmiechem. – Specjalność mojej żony.

Mała spojrzała na matkę. Claudia wzięła talerz, podziękowała i podała go Jenell. Po chwili jakaś kobieta dała im otwartą puszkę mięsnej konserwy, którą zjadły we trzy. Kiedy rodzina Wittów skończyła swoje kanapki, Gerda wyjęła tabliczkę czekolady, podzieliła tak, jak wcześniej chleb, i zjedli ją z przyjemnością. W końcu zasnęli z głowami opartymi o siebie nawzajem, w nedorzecznej pozie, podskakując od czasu do czasu, gdy ktoś chrapnął. Ten obrazek wyglądał jak groteskowa fotografia.

≈≈≈

Nie wystarczy wygrać wojnę, należy jeszcze przywrócić pokój.

Cytat przypisywany ARYSTOTELESOWI

O wschodzie słońca schron zaczął pustoszeć i ludzie najbardziej zahartowani zaczęli wychodzić do swoich domów.

Krista z trudem podniosła się z ziemi. Była przemarznięta od wilgoci i niskiej temperatury panującej w tej głębokiej, wąskiej piwnicy. Angela Blumenfeld starannie składała koc, który pożyczyła im jedna z kobiet i którym przykryła się ona i mała. Zdawała sobie sprawę z tego, że uratowała się cudem, ale bardzo chciała zobaczyć, w jakim stanie znajdowało się jej mieszkanie.

Na ulicy część sąsiadów odgruzowywała chodnik, zamiatała i robiła przejście do bram – odprawiali ten rytuał od paru tygodni, próbując ocalić normalność. Claudia weszła do mieszkania i położyła Jenell do łóżka; mała była tak wyczerpana, że natychmiast zasnęła. Dała Kriście buty, choć były na nią nieco za duże. Później zeszła z Angelą Blumenfeld do jej mieszkania, żeby ocenić straty wywołane przez bombę zapalającą, od której spłonęła znaczna część lokum. Claudia zaoferowała sąsiadce, że może zamieszkać u niej razem z Kristą. W całym budynku unosił się silny zapach spalenizny.

Również Krista poszła do siebie, na poddasze, żeby sprawdzić, co może uratować z katastrofy. Po schodach wchodziła przed nią rodzina Wittów. Dotarli na swoje piętro, otworzyli drzwi i weszli, ale Gerda Witt odwróciła się jeszcze do niej ze złośliwą miną, po czym trzasnęła drzwiami.

Kriście pękało serce na myśl, że ci ludzie bezprawnie korzystają z mieszkania, w którym spędziła dzieciństwo i młodość, używają ich mebli i wielu przedmiotów. Nie mogła się z tym oswoić. Choć minęło pięć lat, odkąd je przejęli, za każdym razem, kiedy mijała to piętro, miała wrażenie, że przedziera się przez gęstą mgłę goryczy. Jak zapomnieć płacz matki tego dnia, kiedy je eksmitowali, jej rozpacz spowodowaną tym, że nie wiedziała, co zabrać, a co zostawić, jej smutek z powodu tego, że musiała opuścić dom, w którym przeżyła całe życie; tę pogardę członków SS, którzy stanęli we wszystkich pokojach i obserwowali, co zabierają, kontrolując każdą książkę, każdy przedmiot osobisty; w głowie jej się nie mieścił ten brak człowieczeństwa. Wszystko, co matce i Kriście udało się zabrać, umieściły na poddaszu zamienionym teraz w ruiny, razem z rzeczami Jurija, które nadal trzymała.

Widok, jaki ujrzała w świetle dziennym, był przygnębiający. Wszystko pokrywała gruba warstwa białawego pyłu i pokruszonego gipsu w miejscach, gdzie nie spadł gruz. Zasłony w strzępach, goła cegła pod podartą tapetą. Przez dziurę w dachu wpadał do środka zimny wiatr. Opróżniła walizkę z ubrań matki i zapakowała do niej swoje i kilka

przedmiotów, które mogły jej się przydać. Pod stertą gruzu znalazła karton, który pakowała poprzedniego wieczoru przed zejściem do schronu, kiedy uderzył pocisk; wzięła koc, słownik, ołówek i zeszyt, i niewielką ilość żywności, jaka jej została. Znalazła też buty; włożyła je, a parę Claudii schowała, żeby jej oddać. Zauważyła stareńkie radio matki, zgniecione przez fragment dachu. Ze smutkiem przypomniła sobie, ile razy ono rozbrzmiewało w jej życiu.

Zrobiło jej się przykro, gdy zobaczyła, że mebel, na którym trzymała stare pudło po butach z pamiątkami i zdjęciami Jurija, doszczętnie się spaliło. Podeszła do niego ze ściśniętym sercem. Odsunęła spalone kawałki połamanego drewna i znalazła szczątki kartonu. Wszystko obrócone w proch, wszystko zniknęło, spopielone zdjęcia, dzięki którym zachowywała w pamięci świeży obraz Jurija. Przybita osunęła się na podłogę i wybuchła płaczem. Myślała o nim codziennie, w każdej minucie każdego dnia, nie wiedząc, czy jest żywy, czy martwy.

Nie dostała od niego żadnych wiadomości po jego wyjeździe, z wyjątkiem tych, które pewnego dnia przekazał jej Erich Villanueva. Słuch zaginął po nim nagle w marcu 1941 roku. Ta ciągła niepewność z czasem stała się dla niej druzgocąca.

Zniosła walizkę do mieszkania koleżanki. Pani Blumenfeld była w kuchni. Claudia wyszła szukać Hansa.

Krista wzięła dwa wiadra i poszła po wodę. W związku z ustawicznymi przerwami w jej dostawie mieszkańcom udostępniono stare pompy wodne, żeby zapewnić im dostęp do tego tak cennego dobra. W kolejce stało dużo ludzi. Ciężka dźwignia skrzypiała i trudno nią było poruszać, bo stawiała silny opór, dlatego napełnienie czegokolwiek trwało długą chwilę. Jednak wszyscy cierpliwie czekali na swoją kolej, nie tracąc czujności. Raz po raz rozlegał się w pobliżu świst, a po nim odgłos silnego wybuchu i coraz bliższy huk strzałów dobiegający od walk ulicznych. Owca

Kiedy nadeszła kolej Kristy, ostrzał artyleryjski przybrał na sile, ale nikt nie wyszedł z kolejki. Z dwoma pełnymi wiadrami ruszyła

z powrotem, ostrożnie, żeby nie rozlać wody. Szła, trzymając się bocznych ścian budynków, wśród kul obsypujących fasady niczym grad. Ziemia kołysała się pod jej stopami od silnych wstrząsów. Mijała ludzi, którzy, tak jak ona, przemieszczali się ostrożnie, z wymalowanym na twarzy niepokojem.

Na skrzyżowaniu Friedrichstrasse z Mohrenstrasse Krista zauważyła idącą środkiem chodnika Ernestine, jakby nic nie robiła sobie z ostrzału.

– Ernestine! – krzyknęła Krista. – Uważaj, schowaj się!

Ta jednak szła dalej z nieobecny spojrzeniem, nie zważając na ostrzeżenia. Krista się zawahała. Postawiła wiadra na boku i podbiegła do niej, chwyciła ją i siłą zatrzymała. Sprawiała wrażenie zdezorientowanej, jakby wracała z bitwy, którą przegrała.

– Musisz się schować – powtórzyła Krista, przejęta bombardowaniem.

– Złupili sklep – powiedziała szeptem. – Zabrali wszystko i zostawili po sobie gruzowisko. – Jej oczy, przesłonięte głębokim smutkiem, zwróciły się na Kristę. – Nic mi już nie zostało.

– A Oskar? Gdzie Oskar?

Jej wzrok znów odpłynął, gdy zanurzyła się w ponurych myślach.

– Odszedł. Powiedział, że mnie zostawia, że mnie nie kocha. – Spojrzała na sąsiadkę oczami pełnymi łez. – Że nigdy mnie nie kochał... Co teraz ze mną będzie?

– Masz syna.

– Mój mały Adler nie żyje... – W jej głosie pobrzmiwał przejmujący chłód. – Nie żyje...

Krista wzdrygnęła się, jakby przeszył ją lodowaty podmuch wiatru.

– Gdzie on jest? Ernestine, gdzie jest Adler?

– Pochował go jego ojciec w ogrodzie przed cukiernią.

– Ale... Co się stało?

– Został na ulicy, kiedy ja oglądałam zniszczenia w piekarni. Często tak robi, siada na stopniu przed drzwiami, lubi obserwować ludzi. – Do Ernestine najwyraźniej tragedia jeszcze nie docierała, była skołowana, przytłoczona potwornym cierpieniem, jakie na nią spadło. – Kiedy

wyszłam, miał w głowie kulę. Ojciec trzymał go na rękach, wyglądali jak marmurowa Pieta... Krzyczał na mnie, obrażał mnie, że zostawiłam go samego... – Przechyliła głowę na bok, bezwiednie. – Później go pochował, a na grobie zostawił krzyż zrobiony z dwóch desek, z wypisanym imieniem. Mój biedny maluch... Mój synek...

– Ernestine, bardzo mi przykro... – Krista zadrżała. – Chodź, odprowadzę cię do domu...

Ale kobieta się nie ruszyła. Spojrzała na nią z nieobecny wyrazem twarzy.

– Oskar, zanim odszedł, dał mi to. – Rozpostarła dłoń, pokazując męski zegarek. Podała go Kriście. – Weź, może ci się przyda...

Zdumiona wzięła zegarek, a Ernestine ruszyła przed siebie środkiem chodnika, bez celu, nie zatrzymując się przed swoją bramą. Krista obserwowała ją wstrząśnięta.

Zmiotł ją z oczu silny wybuch, deszcz gruzu i chmura szarego pyłu, która wszystko spowiła. Instynktownie rzuciła się na ziemię, żeby uniknąć odłamków. Po paru sekundach wstała i pobiegła się ukryć do miejsca, gdzie zostawiła wiadra. Ogarnęła ją rozpacz, gdy zobaczyła, że się przewróciły, a woda wylała się na skutek wstrząsu. Usiadła i oparła się plecami o ścianę; czuła, że bezradność rozpala krew w jej żyłach.

Podniosła głowę i po drugiej stronie ulicy zauważyła Claudię. Ona też widziała śmierć Ernestine. Kobiety, rozdzielone kilkoma metrami jezdni, które decydowały o życiu lub śmierci, przez chwilę patrzyły na siebie bez ruchu. Kiedy Claudii udało się przejść przez ulicę, w milczeniu poszły razem do domu. Przestraszyły się, jak tylko przekroczyły próg, bo w mieszkaniu śmierdziało spalenizną, a z kuchni wydostawał się dym. Zostały w niej Jenell zaabsorbowaną wyrywaniem kartek z egzemplarza Mein Kampf, a Angela Blumenfeld wkładała je do zlewu, w którym rozpałał stós – jego potężne płomienie wzniewały gęsty dym.

– Trzeba się tego wszystkiego pozbyć – oznajmiła staruszka, nim zdążyły się odezwać. – Zdjęcia twojego męża w mundurze, portretów Hitlera, flag, książek, musimy spalić wszystko, co nazistowskie. Zaraz

będą tu Rosjanie, a te rzeczy nas zdradzą. Powiedziała mi kuzynka Isabel, właśnie rozmawiałam z nią przez telefon; mieszka w dzielnicy Pankow, iwany przyszły tam cztery dni temu. Rozlokowali się na ulicach, w opuszczonych domach, zajmują wszystko. – Zamilkła na chwilę. – Musimy być przygotowane, nadchodzą bardzo trudne czasy dla kobiet – przestrzegła wyważonym tonem.

– Co gorszego może nam się stać? – obruszyła się Claudia, siadając na krześle z wyraźnie zmęczoną miną. – Całą wojnę jesteśmy same, staramy się przeżyć, i o to chodzi, o to, żeby przeżyć za wszelką cenę.

Pani Blumenfeld spojrzała na nią z politowaniem. Nie była w stanie przekazać jej potwornej prawdy, której dowiedziała się od kuzynki – na temat rzeczywistości, jakiej doświadczyły na własnej skórze.

– Moja matka już nic nie może mi dać – ciągnęła Claudia, patrząc na córkę, nadal wydzierającą kartki z luksusowego wydania książki, która była ślubnym prezentem od Hitlera, z jego własnoręczną dedykacją i z jego podpisem. – Powiedziała, że wystawne życie w Kancelarii się skończyło. Nie wiem, co zrobimy...

Milczały przez chwilę, pogrążone w rozmyślaniu, nieustannie trawiąc gorycz.

Krista opowiedziała pani Blumenfeld o tym, co spotkało Ernestine. Usiadła obok Claudii i położyła na stole zegarek. Ta spojrzała na niego ze zdziwieniem i wzięła go do ręki.

– Skąd go wzięłaś?

– Przed śmiercią dała mi go Ernestine.

– Wiesz, czyj to zegarek? – spytała Claudia, oglądając przedmiot.

– Pewnie Oskara, jak sądzę. – Krista wzruszyła ramionami.

– To zegarek Führera. Wiem, bo podarowali mu go na urodziny moi rodzice trzy lata temu. Ojciec miał bardzo podobny. Kupowałam go razem z mamą. Patrz, z tyłu ma wygrawerowaną datę i słowo „lojalność”.

Angela Blumenfeld wzięła go do ręki i obejrzała z zaciekawieniem.

– Na pewno jest bardzo cenny.

– To prawda – przyznała Claudia, oddając zegarek Kriście. – Dobrze go schowaj. Jeśli go sprzedasz, może ci pomóc stanąć na nogi.

Krista schowała zegarek do torebki. Claudia wstała i wyjrzała przez okno, w jedną i w drugą stronę. Powtarzała tę czynność co chwilę, wypatrując powrotu małego Hansa. Usiadła z powrotem ze zboląłą miną i szeptała coś pod nosem ze wzrokiem, w którym było widać strach o los syna. Oczy wyschły jej od ciągłego płaczu, a od jego zniknięcia czuła ucisk w piersiach i czasami miała wrażenie, że brakuje jej powietrza.

Angela Blumenfeld wyobrażała sobie, co przechodzi, i odezwała się do niej kojąco:

– Wróci. Hans to dobre dziecko. Przyjdzie, jak zgłodnieje, zobaczysz.

– Muszę znów iść po wodę, zanim zrobi się ciemno – powiedziała Krista.

– Pójdę z tobą.

Kiedy wróciły z wodą, zaczynało się ściemniać. Huk bomb nadal przepelniał powietrze w śmiertelnej symfonii. Gdy weszły za próg, podbiegła do nich Jenell.

– Przyszła babcia Erika – powiedziała bardzo cicho.

Na korytarz wyszła Angela Blumenfeld, drobnym, szybkim krokiem, zgarbiona, z ponurą miną.

– Jest w twoim pokoju – zwróciła się do Claudii. – Wygląda na przygnębioną.

Claudia postawiła wiadra z wodą i w tej chwili rozległy się syreny. Szybkim krokiem poszła do sypialni. Erika Kahler leżała na łóżku w ubraniu, zdjęła jedynie buty, które ustawiła równiutko przy nocnej szafce. Claudia miała wrażenie, że patrzy na ducha. Kobieta była bardzo blada, a pod suchymi oczami miała ciemne sińce.

– Mamo, musimy zejść do schronu.

Nawet nie odpowiedziała. Do sypialni zajrzała Krista, żeby je ponaglić. Echo bomb rozpoczynało swój ogłuszający rytuał. Ponieważ matka

kategorycznie nie chciała się ruszyć, Claudia poprosiła Kristę, żeby zeszła do schronu z jej córką. Kiedy zostały same, podeszła do łóżka i usiadła.

– Co z tatą?

– Popełnił samobójstwo... Podobnie jak twoi teściowie i wielu innych. – Odpowiedź tak zaskoczyła Claudię, że nie zareagowała. Wpatrywała się w ciemność, jakby ta straszna wiadomość do niej nie docierała. Erika Kahler mówiła dalej głosem osłabionym potworną beznadzieją: – Po śmierci naszego Führera nic nam nie zostało. Był naszą jedyną nadzieją. Tylko pod jego przywództwem istniała szansa na zwycięstwo Niemiec...

– Mamo, dość już! – zaprotestowała zirytowana Claudia. – To ten twój Führer doprowadził nas do tej katastrofy. To Hitler ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za ten cały horror, który teraz przeżywamy, a wy ponosicie winę za to, że wspieraliście tego szaleńca do samego końca.

Wściekłość mieszała się z bolesną świadomością śmierci ojca. Wszystko się waliło, jej dawny świat przestał istnieć. Była przy matce, nie wiedząc, czy ją kocha, czy nienawidzi, narażając się na to, że zgładzi ją bomba, wysłuchując demonicznych wywodów na temat tego nikczemnego Mefistofelesa, Hitlera.

Nagle Erika wybuchła płaczem tak rozpaczliwym, że Erika mimowolnie się wzruszyła.

– Mamo, nie płacz już, proszę. Nie wiem, jak, ale jakoś się z tego podźwigniemy.

Chciała chwycić matkę za rękę, ale ta cofnęła dłoń.

– Wszystko się skończyło. – Nagle przestała płakać. – Nic już mnie nie czeka... Życie straciło sens.

– A twoje wnuki? A ja? My dla ciebie nic nie znaczymy?

– Gdybyś wiedziała, Claudio, co ja widziałam, gdybyś wiedziała...

Monotonnym głosem Erika Kahler opowiedziała córce, jak po samobójstwie i kremacji Hitlera i jego żony dzień wcześniej wszystko zaczęło się walić, gdy fundamenty tego szaleństwa zamieniły się w lepkie błoto. W budynku Kancelarii i w jego piwnicach rozgrywał się

spektakl ze scenami iście dantejskimi: mnóstwo pijanych mężczyzn i kobiet, uprawiających seks byle gdzie na oczach wszystkich, swoista rozpusta w oczekiwaniu na koniec świata. Krążyły plotki o brutalności Rosjan i na przykładzie Führera wyciągano wnioski, że poniżenia można uniknąć jedynie, ratując się samobójstwem lub ucieczką. Wielu się zastrzeliło albo połknęło cyjanek. Część funkcjonariuszy przygotowywała się do ucieczki na Zachód z zamiarem oddania się w ręce aliantów. Nie chcieli wpaść w ręce bolszewików i zakończyć żywota na Syberii. Erika Kahler opowiedziała córce, że była przy tym, jak Goebbelsowie podjęli decyzję o zakończeniu życia własnego i sześciorga swoich dzieci.

– Nigdy nie sądziłam, że będzie w stanie zrobić coś takiego. Magda była wzorową matką, ale od wczoraj zachowywała się tak, jakby opętał ją diabeł, zimna i bezwzględna. Doktor Gebhardt usiłował przemówić do jej matczynego sumienia i starał się ją przekonać, żeby pozwoliła mu zabrać dzieci z bunkra, zapewniał, że osobiście przekaże je Czerwonemu Krzyżowi, ale Joseph oznajmił, że to jego dzieci i nie ma mowy, żeby pozostały przy życiu. – Zapadła wstrząsająca cisza, bomby zamilkły, jakby postanowiły uszanować bliskość matki i córki, otulonych ciemnością tej sypialni. – My, kobiety, nie jesteśmy stworzone do zabijania... – ciągnęła z nieobecnym wyrazem twarzy. – Wstrzyknęła im morfinę, żeby je uspić... A później... – Spojrzała na córkę, szukając oczu, w których mogłaby znaleźć ukojenie dla swojego sumienia. – Później Magda weszła sama do pokoju... Widziałam wszystko od progu. Wyciągała z kieszeni kapsułki z cyjankiem i po kolei otwierała im buzie, wkładała truciznę i zaciskała szczękę, aż fiolka pękała. Za każdym razem ich małe ciała drżały przez sekundę i zamierały. – Ponury ton Eriki sprawił, że Claudię przeszedł dreszcz. – Ostatnia była Helga, najstarsza; morfina nie podziałała na nią wystarczająco i jako jedyna się opierała... Ale matka chwyciła ją mocno, otworzyła usta i wcisnęła ostatnią z ampulek. – Na jej twarzy pojawił się grymas bólu. – Po wyjściu Magdy... Gdybyś widziała, Claudio, gdybyś widziała jej wzrok...

– Święty Boże... – wyszeptała Claudia z niedowierzaniem i przerażeniem. – Jak matka może się posunąć do takiego okrucieństwa... Nosiła je w brzuchu, urodziła je, wychowywała... Nie mieści mi się to w głowie. To nie ludzie, to potwory. Powinni zgnieć w piekle.

– Piekło przeżyli już na tym świecie. Teraz nic już nie jest ważne. Magda i Joseph Goebbelsowie popełnili samobójstwo... Nie żyją... Wszyscy nie żyją... – szeptała w zamyśleniu. – Chce mi się pić. Przyniosłabyś mi wody?

Claudia wstała i ruszyła chwiejnym krokiem, przytrzymując się ściany, żeby się nie potknąć. Myśli wirowały jej wokół sześciorga dzieci Goebbelsów; znała je wszystkie, była przy nich od czasu narodzin, trzymała je na rękach, wiele razy bawiły się z jej dziećmi, a teraz leżały martwe w otchłani bunkra zbudowanego, by chronić życie tych, którzy się w nim znajdowali. Jaki sens miała cała ta potworność; to były niewinne dzieci – najmłodsza córka miała cztery lata, najstarsza była o dwa lata starsza od Hansa – i nie zdawały sobie sprawy z milionów zbrodni, jakie historia miała przypisać ich ojcu.

Kiedy Claudia wróciła z wodą, matka miała zamknięte oczy. Postawiła szklankę na stoliku i delikatnie dotknęła jej ręki, przekonana, że śpi.

– Mamo, przyniosłam wodę.

Nie usłyszała odpowiedzi. Potrząsnęła nią lekko, ale kobieta nie zareagowała, głowę miała przechyloną, usta lekko otwarte. Szarpała nią coraz mocniej, z coraz większą wściekłością, aż huk bomby zapalnej, która wybuchła bardzo blisko, oświetlił pokój i Claudia dostrzegła coś obok sztywnej dłoni. Były to dwie części wydrążonego miedzianego cylindra. Puls jej przyspieszył, wsunęła palce do ust matki i od razu wyczuła drobne odłamki szkła. Zimny pot zalał jej kark i w jednej chwili zaschło jej w ustach. Wyrwał jej się cichy jęk, ale nic nie zrobiła. Nie poruszyła się. Resztę nocy przesiedziała na łóżku obok martwej matki. Nie płakała, nic nie czuła, miała wrażenie, że jest całkiem pusta. O poranku Krista zastała ją w tej samej pozycji, zdrętwiałą.

Erikę Kahler pochowali na dziedzińcu za kamienicą. Szczątki wielu mieszkańców Berlina nie spoczęły na cmentarzu, ale w przydomowych ogrodach, na dziedzińcach, w zaułkach, w dołach wyrwanych w ziemi przez bomby. Nie mieli pogrzebu ani modlitwy, ani nagrobka, ani nawet kwiatów. Na ciałach tych, którzy zginęli w wojennej zawierusze, miało odrodzić się życie.

Kiedy drugiego maja Claudia zostawiła matkę w miejscu jej ostatniego spoczynku, słońce zaczęło wyłaniać się spomiędzy szarych chmur, które zakrywały niebo. Zaczynał się nowy dzień i Rosjanie byli coraz bliżej.

Claudia wyglądała przez okno, obserwując kobiety w większości zaniedbane, utrudzone brakiem żywności, postarzałe z braku nadziei i od długotrwałego głodu; po ulicach krążyło bardzo niewiele mężczyzn – zdezorientowanych, zagubionych w mieście zrujnowanym nie do poznania.

Na drugim końcu ulicy dostrzegła chłopca biegnącego w jej kierunku. Wyprostowała się zaalarmowana. Serce podskoczyło jej w piersi. Zdenerwowana odwróciła się, wyszła na klatkę i pognąła na dół. Wyszła z klatki i znieruchomiała. Hansa dzieliło od niej pięćdziesiąt metrów i cały czas się do niej zbliżał, ze spuszczoną głową, biegnąc zmęczonym krokiem, jakby nogi mu ciążyły i każdy krok wiele go kosztował. Claudia stała bez ruchu, nie mogąc uwierzyć w powrót marnotrawnego syna po dwóch dniach i dwóch długich i pełnych strachu nocach nieobecności. Hans na widok matki stanął z wahaniem i czekał na jej reakcję. Claudia zrobiła kilka kroków w jego stronę ze stęsknioną miną i wyciągnęła do niego ręce. Mały żołnierz puścił się biegiem wprost w jej ramiona. Nie było wyrzutów ani pytań. Po wejściu do domu Hans od razu zdjął mundur, jakby brzydził się samym dotykaniem tkaniny na skórze. Umył się z pomocą matki i usiadł przy kuchennym stole. Był głodny i bardzo zmęczony. Pani Blumenfeld postawiła przed nim talerz kapuśniaku, który zdołała podgrzać na ledwie płonącym palniku kuchenki gazowej,

a Hans jadł zupę powoli, ze spuszoną głową, wiedząc, że spoczywa na nim uważne spojrzenie trzech kobiet. O nic go nie pytały. Przyglądały mu się tylko jak dobremu duchowi, zwłaszcza matka, która wpatrywała się w niego rozanielona z odzyskanym błyskiem w jasnych oczach.

Kiedy się najadł, po tej chwili oczekiwania i niepewności opowiedział im złamanym głosem, że przyłączył się do oddziału Volkssturmu, z którym spędził dwa dni ukryty wewnątrz Reichstagu, próbując bronić ruin niemieckiego parlamentu przed sowieckim atakiem. Jednak o świcie Rosjanom udało się wkroczyć do budynku, wejść na najwyższe piętro i zatknąć swoją czerwoną flagę. Jego oddział został rozwiązany, a on zdołał uciec przed iwanami dzięki stolarzowi, który wyprowadził go piwnicami na ulicę.

– Miał ponad sześćdziesiąt lat – opowiadał Hans w skupieniu, z ponurą miną. – Bardzo przypominał mi dziadka. – Spojrzał na matkę, jakby szukał jej aprobaty. – Dlatego z nim poszedłem. Był ubrany w mundur z poprzedniej wojny, bardzo podobny do tego, jaki ma dziadek. Myśleliśmy, że jesteśmy bezpieczni. Powiedział, że odprowadzi mnie do domu, że walka już się skończyła... Ale natknęliśmy się na patrol żandarmerii.

– Tych kretynów – wtrąciła Angela Blumenfeld ku zaskoczeniu wszystkich. – To ci z ryngrafami na szyi, mówią na nich „psy gończe”; pełnią rolę wojskowej policji, zajmują się ściganiem dezertersów i cywilów podejrzanych o ucieczkę. Widziałam, jak działają: są gorsi niż Rosjanie, polują na naszych mężczyzn zmęczonych wojną.

Krista i Claudia spojrzały na siebie zdziwione. Nigdy wcześniej nie słyszały, żeby sąsiadka mówiła w ten sposób. Po jej dygresji Hans opowiadał dalej.

– Poprosili nas o dokumenty. Stolarz ich nie miał, bo zostały w kurtce, którą dał zmarznętemu rannemu. – Hans z brodą przy piersi za wszelką cenę starał się powstrzymać łzy, które napływały mu do oczu. Nagle podniósł głowę, a na jego twarzy malowały się przerażenie, wściekłość, żal i ból. – Pobili, go, ciągnęli, kopali, rozebrali... Ja... – Głos

mu się załamał i z jego gardła wydostawał się drżący, dziecinny ton, który wzruszył Claudię. – Nie wiedziałem, co robić... Pomyślałem, że zaraz zajmą się mną... I się wystraszyłem... – Spojrzał na matkę, błagając ją o wyrozumiałość. – Uciekłem i go tam zostawiłem. Słyszałem, jak krzyczał i błagał o litość, aż... – Przełknął ślinę, jakby się nią dławził. – Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, jak wisi powieszony za szyję na płocie... Jego ciało dyndało w powietrzu... a ja... mu nie pomogłem... Zostawiłem go tam i mu nie pomogłem.

Claudia, przytłoczona cierpieniem syna, wstała, chwyciła go za głowę, przytuliła do piersi i zaczęła głaskać ciemne, kręcone włosy, delikatnie go kołysząc, tuliła swojego małego synka, starając się zdjąć z niego ciężar brutalnych przeżyć. Położyły go do łóżka i zasnął niespokojnie. Matka położyła się obok niego.

W południe do drzwi energicznie zapukał pan Witt. Otworzyła mu Krista.

– Trzeba schodzić do schronu! – krzyknął, nie zatrzymując się. – Rosjanie są już na Unter den Linden. Dotrą tu lada moment.

Zniknął na schodach. Z ulicy dobiegały krzyki.

– Claudio, pani Blumenfeld, musimy schodzić do schronu, szybko!

Wszyscy biegli ulicą przerażeni do wejścia prowadzącego do piwnicy, pod przelatującymi w górze rosyjskimi samolotami, uciekając przed strzałami, siłą i świstem bomb. W tej chwili toczyła się walka wręcz, dom za domem, zacięta, powolna i ciężka. Odgłosy pospiesznych kroków rozbrzmiewały na korytarzach, na schodach; długie przejście zaprowadziło je do miejsca, które uważały za bezpieczne. Kobiety, dzieci i staruszkowie wchodzili do niego całymi chmarami i znajdowali sobie miejsce w tym wąskim, wilgotnym pomieszczeniu, zapełniając ten wszechświat ciemności, przerażonych twarzy, lamentów, niespokojnych, szeroko otwartych oczu. Kiedy zamknięto drzwi, zapadła kompletna cisza. Większość słyszała, jak zachowywali się Rosjanie w dzielnicach, do których zdążyli już dotrzeć, więc najmłodsze dziewczęta pochowano pod kocami albo za drewnianymi ławkami. Ciszę przerwał płacz

niemowlęcia, które matka starała się uspokoić, nując mu kołysankę. Z głębi dobiegał żalony jęk.

Claudia siedziała z dziećmi na jednej z drewnianych ławek. Angela Blumenfeld obok małej Jenell, bardzo poważna; przy niej, w świetle lampy naftowej powieszanej pod sufitem nad jej głową, Krista powtarzała rosyjskie zdania, którymi mogłaby się zwrócić do Sowietów. Siedziało przed nią dwóch mężczyzn, bardzo blisko siebie, ubranych po cywilnemu w podarte tanie garnitury, całe w pyłe. Mieli około pięćdziesiątki, blade twarze i byli zgarbieni, przestraszeni, tak onieśmieleni, że Kriście zrobiło się ich żal.

– Podobno miasto poddało się Rosjanom – usłyszała czyjeś słowa. – To prawda? Ktoś coś wie?

Nikt nie odpowiedział.

– I podobno Führer zginął bohaterską śmiercią – odezwał się ktoś inny.

– Już po nas! – krzyknęła jedna z kobiet. – Chwała naszemu Führerowi!

Krista nie mogła znieść tych wszystkich idiotyzmów.

– Hitler popełnił samobójstwo jak tchórz! – wrzasnęła z wściekłością.

Po chwili ciszy pełnej zdumienia podniosły się szepty niczym olbrzymia fala głosów. Nikt nie odważył się zaprzeczyć słowom Kristy. Szepty powoli gasły, ustępując przygnębiającemu milczeniu.

Spędziły trzy godziny we względnym spokoju, skulone w tym podziemnym świecie, nie wiedząc, co dzieje się ponad ich głowami, za drzwiami, które chroniły ich przed niebezpieczeństwem. Właściwie bez ruchu nasłuchiwały dźwięków dobiegających z zewnątrz. Ryk silników wozów bojowych poinformował je, że już tu są. Rosjanie dotarli na Mohrenstrasse. Atmosfera wyraźnie gęstniała od ledwie powstrzymanej paniki. Dało się słyszeć ciężkie kroki, zdania wypowiedane po rosyjsku, aż w końcu stało się to, czego tak się bali. Drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna z wielką głową, w kozuchu i kozakach, z wielką latarką w dłoni. Zrobił dwa kroki wśród tłumu przerażonych oczu, które spoglądały na niego w słabym świetle

świec i lamp naftowych. Podszedł do jednej z kobiet, chwycił ją za brodę i zadarł jej twarz, oświetlając latarką. Za nim pojawili się kolejni. Przeszli do samego końca wśród wstrzymywanych oddechów, wypłoszonych twarzy, starających się nie zwracać uwagi tych intruzów, pozostać niezauważonymi. Jeden z nich krzyknął po rosyjsku, czy są tu niemieccy żołnierze. Nikt mu nie odpowiedział. Zrozumiała go jedynie Krista, ale miała ściśnięte gardło i nie mogła wymówić słowa.

– Tupoj – powiedział jeden z nich, wywołując śmiech pozostałych.

Krista zrozumiała: „tępi, głupi, idioci”; pogardliwy sposób oceny wystraszonej niemieckiej ludności cywilnej, patrzącej na nich w osłupieniu. Podobnie Niemcy rosyjskich żołnierzy określali pogardliwie „iwanami”, a ci z kolei Niemców nazywali „fritzami”, a niemieckie kobiety – „hildegardami”.

Żołnierz, który zadał pytanie, powtórzył je.

– Nie ma tu niemieckich żołnierzy – rozległ się głos Kristy, która jękając się, mówiła dalej po rosyjsku: – Wszyscy jesteśmy cywilami.

Zwróciła na siebie uwagę nie tylko trzech Rosjan, ale także całej reszty, którzy spoglądali na nią ze zdziwieniem i nadzieją. To, że ktoś jest w stanie się z nimi porozumieć, mogło podziałać na ich korzyść.

– Znasz rosyjski? – spytał ten, który wszedł pierwszy.

– Trochę – odpowiedziała ze strachem. Czuła, że drży na całym ciele.

– Gdzie jest wódka?

– Wódki nie ma – odparła, patrząc mu w oczy. – Tylko chleb – dodała, podając mu kawałek, który trzymała na podolku.

Nagle rozległ się pisk. Jeden z tych, którzy przeszli na sam koniec, ciągnął do wyjścia córkę Wittów. Rita krzyczała, opierała się, ale nic nie wskórała. Za nimi szła matka i rozpaczliwie wykrzykiwała, żeby ją wypuścili. Mijając Kristę, Gerda Witt zaczęła błagać, żeby jej pomogła.

– Powiedz im coś, proszę, zrób coś... Zabierają ją! – wrzasnęła przerażona.

Krista patrzyła na nią bez ruchu, gorączkowo się zastanawiając, w jaki sposób może zapobiec temu, co nieuniknione. Krzyki Rity brzmiały

rozdzierająco. Do tego, który ją schwytał, dołączył drugi, i razem wyprowadzili ją, biernie obserwowani przez pozostałych. Pierwszy, który wszedł i który wydawał się ich zwierzchnikiem, nie kiwnął palcem. Odwrócił się i ruszył za kolegami. Krista spojrzała na dwóch siedzących przed nią Niemców w cywilu, ale oni natychmiast odwrócili wzrok, spuścili głowy i z drżącymi dłońmi ignorowali to, na co nie mieli wpływu.

Gerda nie ustępowała, więc Krista w końcu wstała i wyszła za żołnierzami, którzy zdążyli już wyjść ze schronu, i próbowała wydusić coś z siebie po rosyjsku.

– Proszę... Proszę... – Jej głos zatrzymał mężczyzn, którzy odwrócili się do niej z zaskoczoną miną, raczej nie przywykli do tego, żeby ktoś występował w czyjejś obronie. – Niech ją panowie zostawią, proszę...

Rita szarpała się, trzymana mocno za ręce. Jeden z nich ją wypuścił i podszedł do Kristy z uśmiechem na ustach. Poczowała, że całe jej ciało sztywnieje.

– Masz męża? – spytał Rosjanin.

Wahała się chwilę, aż w końcu skłamała:

– Tak, jest Rosjaninem, stąd znam rosyjski.

Mężczyzna zmarszczył czoło. Czaszkę miał wydłużoną, włosy ciemne i sztywne, a małe oczy wyglądały jak oczy przyglądającego się czemuś szczone. Twarz miał naznaczoną bliznami po ospie. Choć był młody, jego szara, szorstka skóra przypominała masę papierową.

– Gdzie jest?

– Nie wiem. Jest wojna, rzadko która kobieta wie, gdzie jest jej mąż.

Rozpaczliwy płacz Rity mieszał się z błagalnymi krzykami matki za jej plecami.

– Niech ją panowie wypuszczą... Proszę... – powtórzyła, nieco ośmielona po tej krótkiej wymianie zdań. – Jest bardzo młoda...

W tej chwili Rita zdołała się wyrwać z uścisku drugiego Rosjanina i pobięła do schronu, mijając Kristę, ale kiedy ta chciała się odwrócić, żeby także wejść do środka, usłyszała głucho trzaśnięcie. Przerazona

pobiegła do drzwi i zaczęła w nie walić, krzycząc, aż czyjaś dłoń chwyciła ją za rękę i z całej siły szarpnęła.

– Nie obchodzi mnie twój mąż. Pójdiesz z nami. Chcemy tylko trochę miłości.

Pociągnęli ją na korytarz, oddalając od bezpiecznego schronienia. Krzyczała, opierała się, szarpała, ale najsilniejszy z mężczyzn trzymał ją za szyję, próbując ją uciszyć, i bała się, że ją udusi, więc w końcu się poddała. Była zdenerwowana, czuła dudnienie w skroniach. Prosiła ich o opanowanie, a oni parzyli na nią dobrodusznie, jakby to, co robili, było rzeczą naturalną, należnym łupem po ciężkiej walce.

Cisnęli ją w ciemny kąt. Wylądowała na małej kałuży i czuła, że ma mokre plecy. Jeden trzymał ją za ręce, a drugi rozpiął spodnie i opuścił je do kostek. Kiedy się do niej pochylił, Krista zamknęła oczy i zacisnęła uda. Poczowała, że rozdziera jej bieliznę i po chwili przytłoczył ją swoim ciężarem, jeszcze bardziej ją unieruchamiając. Szeptał słowa, których nie rozumiała, ale sam ich dźwięk wzbudzał w niej awersję.

Chciał ją pocałować, ale odsunęła twarz. Jego ciepły oddech miał koński zapach. Siłą wbił kolano pomiędzy jej uda i zdołał je rozdzielić, a Krista ugryzła go w policzek. Jej zęby poczuły miękkość brudnej, lepkiej skóry. Rosjanin krzyknął z bólu, po czym silny cios w policzek ją otumanił i obezwładnił. Wszystko czuła przez mgłę bólu, pozostawiona samej sobie, miała wrażenie, że zapada się w podłoże, zanurza się w zimnej ziemi.

Drugi był szybszy, ale bardziej brutalny. Czuła szczypanie i suchy ból. Nagle usłyszała zbliżające się rosyjskie głosy. Wystraszyła się, że do tej orgii przyłączą się kolejni. Wyczuła obecność grupy Rosjan, ich śmiech i wulgaryzmy. W końcu sobie poszli i zostawili ją na ziemi. Została sama, ale nie mogła się ruszyć. Otworzyła oczy i zobaczyła ciemny sufit pokryty wilgotnymi plamami. Policzek palił ją tak, jakby do skóry miała przyklejoną świeczkę, i czuła potworne pieczenie w intymnych miejscach. Zaczęła szlochać, zamknęła oczy, a jej udęczone ciało powoli zaczęło zwijać się w kłębek; leżała skulona i obejmowała przyciągnięte

do piersi nogi. Usłyszała pospieszne kroki, coraz bliższe, i zeszywniała w oczekiwaniu.

– Krista! Krista! – głos Claudii niósł się echem po czarnych zakamarkach.

Znalazła ją Angela Blumenfeld.

– Tutaj! – krzyknęła. – Jest tutaj.

Claudia podeszła i uklękła przy niej. Dopiero wtedy Krista otworzyła oczy, przytuliła się do niej i wybuchła płaczem.

– Tak mi przykro... tak mi przykro... – powtarzała Claudia ze łzami, łamiącym się głosem, wściekła, ostrożnie tuląc zmalretowane ciało. – Nie wypuścili mnie... Próbowałam otworzyć te przeklęte drzwi, ale te kanalie mi nie pozwoliły... Przykro mi, Krista, przepraszam...

Przez długą chwilę trwały w uścisku, łzami próbując przepędzić przerażenie. Angela Blumenfeld i dzieci, wstrząśnięci, przyglądali się tej scenie z boku.

Po powrocie do mieszkania Krista umyła się na tyle, na ile mogła, i zmieniła ubranie. Rosjanie podarli jej ostatni pas do pończoch. Pani Blumenfeld poszła do swojego zrujnowanego domu i wróciła z pudełkiem z przyborami do szycia i wazeliną.

– To złagodzi pieczenie – powiedziała, podając Kriście krem. – Daj mi ten pas, umiem szyć.

Kobieta wzięła od niej słoiczek z wazeliną i podziękowała. Claudia poszła po mąkę i mleko; rozeszły się wieści, że w jednym ze sklepów przy Karplatz rozdzielali te produkty. Nie było wyjścia, mimo wszystko trzeba było żyć dalej.

Kiedy Krista piła w kuchni kawę zbożową, Angela Blumenfeld opowiedziała jej o zacieklej walce, jaką Claudia stoczyła z Wittami i innymi sąsiadami, także z dwoma cywilami, którzy nie pozwolili jej opuścić schronu, żeby przyjść jej z pomocą. Napięcie było tak ogromne, że pan Witt z całej siły spoliczkował Claudię, a Hans, stając w obronie matki, pchnął sąsiada tak, że ten się zachwiał, przewrócił i nabił sobie guza na czole.

– Nie wyobrażasz sobie, jakie przedstawienie odstawiła ta głupia Gerda Witt – mówiła staruszka, zszywając bieliznę. – Co za wstrętna baba, przecież nie rozbił sobie głowy. – Cmoknęła, wyciągnęła szyję i zerknęła szybko na Kristę zza okularów. – Szkoda, że tego nie zrobił.

Krista się uśmiechnęła, co było pierwszym krokiem do pogodzenia się z tym, co ją spotkało. To wydarzenie było dopiero początkiem wielkiej tragedii. Przede wszystkim kobiet, które stały się swoistym łupem wojennym w szatańskim wyrównywaniu rachunków Rosjan, chcących pomścić okrucieństwa, jakich dopuścili się niemieccy żołnierze wobec ich kobiet – matek, sióstr, narzeczonych, żon, córek. Chęć zemsty spotęgowana rozgoryczeniem i potwornym zmęczeniem długą wojną, która cztery lata temu wyrwała tych mężczyzn z domów, bez ani jednego dnia przepustki.

Claudia wstała o świcie. Po raz pierwszy od tygodni spędziły noc nie w klaustrofobicznym schronie, lecz w wygodnych łózkach. Rozdzieliła pokoje: Krista spała z Jenell, a panią Blumenfeld ulokowała w sypialni zajmowanej wcześniej przez Minę, żydowską nianię, która towarzyszyła jej od narodzin córki do dnia, kiedy została aresztowana, już ponad dwa lata temu, gdy stała w kolejce do mleczarni. Od tamtej pory nie miała o niej żadnych wieści.

W mieszkaniu panowała przyjemna cisza. Claudia wychyliła się przez kuchenne okno bez szyb. Wiał lodowaty wiatr, a na niebie tworzyły się złowrogie chmurzyska. Chłód nie chciał ustąpić ciepłej wiośnie. Wojenny huragan zastąpiły krzyki kobiet zaciąganych w zaułki, napadanych przez jednego lub wielu rosyjskich żołnierzy, a ich wrzask kontrastował z przerażającym moralnym odrętwieniem reszty społeczeństwa; nikt nikogo nie bronił, wszyscy odwracali głowę z nieodpartym pragnieniem: „byle nie padło na mnie”. Ganiono nawet te, które się opierały, i nakazywano im uległość, żeby uchronić przed krzywdą pozostałe.

Każdy musiał troszczyć się o siebie sam, kierując się pierwotnym instynktem przetrwania.

Na skrzyżowaniu z Friedrichstrasse ulokował się batalion rosyjskich żołnierzy, jakieś sto pięćdziesiąt metrów od ich bramy. Mówiło się, że Berlin poddał się Sowiecom, i choć były to niepotwierdzone pogłoski, wyczerpana ludność cywilna się ich chwyciła.

Do kuchni weszła Angela Blumenfeld, upinając swoje rzadkie siwe włosy w niski kok. Przywitały się.

– Nie ma już ani kropli wody. – Sąsiadka zapaliła gazowy palnik kuchenki, żeby podgrzać kawę zbożową. – Wczoraj biedna Krista zużyła wszystko, co miałyśmy.

– Przyniosę. – Claudia już wkładała kurtkę.

– Uważaj na siebie.

– Będę uważać, a pani niech przypilnuje moich dzieci – odpowiedziała z uśmiechem.

Wzięła wiadra i wyszła na ulicę.

W południe wiosenne słońce zdołało przebić się przez warstwę szarych chmur i ogrzewało powietrze. Jenell bawiła się lalką w salonie, a Hans czytał bajkę.

Krista i Angela Blumenfeld były w kuchni. Krista usiłowała obrać kilka zgniłych ziemniaków, którymi w innych okolicznościach nie nakarmiono by nawet świń; pani Blumenfeld urabiała mąkę zdobytą przez Claudię poprzedniego dnia z zamiarem upieczenia chleba. Rozmawiały o rzeczach nieistotnych: o przeszłości pani Blumenfeld, o tym, dlaczego została starą panną. Nagle zamilkły, ujrzawszy Claudię w progu, jakby zobaczyły ducha. Poczuły się, jakby dostały obuchem w głowę. Długie włosy potargane, pończochy opuszczone do kostek, podarta spódnica i powyrywane guziki bluzki; kolana miała poranione, a górną wargę – rozciętą. Powieki miała spuchnięte i wysuszone od płaczu. W powietrzu zawisła dziwna cisza, a na ich głowy wylał się cień paraliżującego strachu.

– Zgubiłam wiadra – powiedziała Claudia, bliska łez.

Krista podeszła do niej, pomogła jej usiąść i odwróciła się do staruszki.

– Proszę się nią zająć, pani Blumenfeld.

– Dokąd idziesz? – spytała przestraszona staruszka.

– Po wodę, żeby mogła się umyć.

Krista wyszła na klatkę i weszła piętro wyżej. Zapukała kilka razy do drzwi i usłyszała ciche kroki po drugiej stronie.

– Pani Witt, niech mi pani otworzy. Pilnie potrzebuję trochę wody.

– Nie mamy wody! – odpowiedziała piskliwym głosem, nie otwierając Kriście.

– Wiem, że mają państwo wodę! Widziałam, jak przed chwilą wносиła pani dwa wiadra. Na pewno nie zdążyli jej państwo zużyć.

– Wiesz, gdzie jest. Idź sobie przynieś.

Krista z całej siły walnęła w drzwi.

– Oddam pani co do kropli, do cholery! – krzyknęła z wściekłością. – Potrzebuję wody, żeby Claudia mogła się umyć. – Nie mogła się zmusić, żeby powiedzieć ciąg dalszy. Przełknęła ślinę, a twarz jej stężała. – Zgwałcili ją i musi się umyć. My nie mamy ani kropli, a z wiadrami wrócę dopiero za kilka godzin. – Jej rozwścieczony głos łagodniał, czuła rezygnację wobec brutalnych faktów. Oparła czoło o drewniane drzwi, załamana, z zamkniętymi oczami starając się powstrzymać płacz. – Proszę mi dać trochę wody... – Głos jej się załamał. – Błagam panią... Choć odrobinę, żeby mogła się umyć.

Minęło kilka sekund. Gdy miała się poddać, usłyszała w środku głosy, ostrą kłótnię, po której rozległ się chrzęst zamka. Drzwi się otworzyły i stanął w nich pan Witt z napełnionym do połowy wiadrem. Czoło miał zabandażowane paskiem materiału, a jego oczy okalał siniec.

– Proszę mi później przynieść wiadro. – Podał jej je. – Mamy tylko dwa.

Krista chwyciła rączkę, kiwnęła głową i ze wzruszeniem wyszeptała:

– Dziękuję.

Gerda przyglądała jej się od progu ze złowrogą, antypatyczną miną, całkiem inną od smutnej twarzy pana Witta, który się odwrócił i wszedł do mieszkania.

Po powrocie do domu Krista zaprowadziła Claudię do łazienki i pomogła jej się rozebrać; szło jej to z trudem, bo jej przyjaciółka ciągle była zawstydzona i obolała.

– Dalej, Claudia, poczujesz się trochę lepiej, jak się umyjesz. – Krista przemawiała do niej delikatnie. – Wiem to z doświadczenia.

Claudia uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. Ostrożnie myła samą wodą zbrukaną część ciała; ostatnią kostkę mydła, otrzymaną jeszcze od matki, zużyły wiele dni temu.

Wróciły do kuchni, w której czekała na nie Angela Blumenfeld z dwiema filiżankami gorącej kawy i kawałkiem chleba z masłem, który posmarowała konfiturą malinową.

– A to skąd? – zdziwiła się Claudia. – Myślałam, że nic już nie mamy.

– Nie uwierzycie – odparła staruszka dość zadowolonym tonem. – Przyniosła córka Wittów. Wysłał ją ojciec. Powiedziała mi, że jej matka w żadnym razie nie może się o tym dowiedzieć. – Przerwała na chwilę, zastanawiając się, w jakie słowa ubrać najświeższe wiadomości. – Postanowiła znaleźć rozwiązanie: poszła na ulicę i wróciła z dowódcą. Od tamtej pory nikt ich nie niepokoi, są tylko dla oficerów, których przyprowadza dowódca. Znoszą tylko jednego. – Zamilkła znowu, jakby badała efekt swojej propozycji. – Rosjanie przynoszą im duże ilości jedzenia, świece, mydło. Powiedziała mi, że trzeba szukać oficerów; rozglądać się za takimi, którzy mają gwiazdy na czapce, chodzą w kozuchach i kozakach, ci są najczystszy i na ogół mają lepsze maniery, choć z tym różnie bywa – mówiła, jakby dawała im lekcję przetrwania, tonem spokojnym i pewnym, przekonana o słuszności swojej propozycji wobec zdumionego spojrzenia dwóch młodych kobiet. – Musimy znaleźć wilka, który zatroszczy się o stado. To właśnie trzeba zrobić.

– W głowie mi się nie mieści to, co pani mówi – oburzyła się zrozpaczona Claudia.

– Sugeruje pani, żebyśmy poszły i uwiodły rosyjskiego oficera? – spytała Krista z niedowierzaniem, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy płakać.

– Stać się dziwkami jakiegoś rosyjskiego oficera. Kurwami.

– Nie, Claudio, tu chodzi o przetrwanie. – Pani Blumenfeld zadarła brodę, jakby chciała podnieść autorytet swoich słów. Później zmieniła ton, usiłując zachować spokój. – Kuzynka mi powiedziała, że one zwlekały z decyzją trzy dni i w tym czasie ich noce były o wiele większym piekłem niż wszystkie bombardowania, jakie zniosłyśmy. Rosyjscy żołnierze przychodzili pijani, w grupach; wszystkie kobiety w domu były raz po raz gwałcone, aż przyszli ich dowódcy. Już nikt ich nie dręczy.

– Zamkniemy się na klucz – postanowiła wzburzona Claudia. – Zaryglujemy drzwi, zabarykadujemy się.

– Wyłamują zamki i wyważają drzwi – argumentowała spokojnie sąsiadka. – Zachowują się jak dzikie bestie. Jak wyruszą na poszukiwanie ofiary, to nikt się przed nimi nie ukryje.

Z ulicy dobiegły krzyki wzywającej pomocy dziewczyny i wtórujące im rozweselone rosyjskie głosy, dopełniające uwerturę tej tragedii. Angela Blumenfeld wychyliła się na chwilę przez okno i usiadła z powrotem z grymasem na twarzy.

– Jak to możliwe, że dzieją się takie rzeczy? – wyszeptała Krista.

– Żeby gwałcił nas tylko jeden. – W głosie Claudii pobrzmiewała ironia i przerażenie. – Święty Boże... Wszystko to zawdzięczamy Führerowi – podsumowała ostro, z uniesionymi brwiami, patrząc w oczy pozostałym kobietom. Uderzyła pięścią w stół i ryknęła z wściekłością: – To wszystko zawdzięczamy pieprzonemu Hitlerowi i wszystkim żalonym, kłamliwym głupkom, którym uwierzyliśmy! Gdzie są niemieccy mężczyźni?! Gdzie jest idealna aryjska rasa?! Co za skończona głupota! Co za pomyłka! Co za potworny błąd żeśmy popełnili!

Nikt nie odpowiedział. Krista po chwili się poruszyła, żeby przypomnieć o naglącej potrzebie.

– Trzeba iść po wodę. – Wstała, gotowa zmierzyć się z niebezpieczeństwem, z jakim wiązało się wyjście z domu.

– Ja pójdę. – Głos Hansa zaskoczył kobiety.

Stał w progu i przyglądał się matce z grymasem cierpienia na twarzy. Podeszedł do niej i pocałował ją w czoło. – Ja się tobą zaopiekuję.

Tego popołudnia Hans i Krista, zaopatrzeni w puszki, poszli do hydrantu nieco bliżej, w parku. Powiedziała im o nim jakaś kobieta na ulicy, widząc ich z puszkami, dodając, że jest o wiele szybszy niż ciężkie i powolne pompy wodne. Po powrocie do domu już więcej nie wychodzili. Wieczorem pozamykali wszystkie zamki. Claudia była przekonana, że drzwi wytrzymają każdy napór.

Krista przez dobrą chwilę wyglądała przez okno. Wszyscy już spali, ale ona nie mogła zmrużyć oka. Owiewało ją świeże powietrze, bardzo przyjemne. Znów można było patrzeć w rozgwieżdżone niebo. Mrok na ulicy rozpraszał blask ognisk rozpalonych przez rosyjskich żołnierzy na skrzyżowaniu z Friedrichstrasse. Krista obserwowała, jak jedzą i piją dookoła płomieni; niektórzy śpiewali i tańczyli w rytm dźwięków akordeonu i harmonijki, wypełniając noc zapachami, muzyką i radością.

Świętowali, że wygrali wojnę.

Bez radia, bez gazet, bez oficjalnego stanowiska Niemiec przedstawiającego stan faktyczny, nic nie było wiadomo na pewno, krążyły jedynie pogłoski, nie potwierdzono nawet śmierci Hitlera. Niektórzy w nią wierzyli, ale wielu twierdziło, że uciekł z bunkra, podawali najbardziej groteskowe sposoby. Panowała taka dezinformacja, że choć dowiedziała się o wszystkim z ust naocznego świadka, sama zaczęła wątpić, czy Oskar naprawdę widział zwłoki Führera, czy też, jak sugerowała pani Blumenfeld, jego śmierć sfingowano, wykorzystując ciało podobnego mężczyzny, żeby on sam mógł uciec i uniknąć odpowiedzialności za swoje zbrodnie.

Gdy o tym wszystkim rozmyślała, pod oknem usłyszała głos Rosjanina krzyczącego do niej po niemiecku prymitywne zdania wyuczone na pamięć.

– Kobieta, spać w twoim łóżku – mówił, wskazując siebie. – Ja ci jedzenie.

Obok niego paru innych, chwiejąc się, spoglądało w górę odurzonym wzrokiem z pijanym wyrazem twarzy.

Przerażona Krista cofnęła się i zamknęła okno. Przez kartony zajmujące miejsce szyb dobiegały z ulicy obsceniczne wrzaski mężczyzn. W ciemności wróciła do łóżka, w którym od dobrej chwili spokojnie spała Jenell. Bardzo ostrożnie, żeby jej nie obudzić, wsunęła się pod kołdrę i nakryła po samą głowę. Głosy nie milkły. Jej umysł powoli się wyłączał, odcinając się od zagrożenia na zewnątrz, ale tuż przed zaśnięciem usłyszała odgłos zbyt blisko. Otworzyła oczy, podniosła głowę i z przerażeniem zobaczyła w oknie dłoń, która od zewnątrz usiłowała przekręcić klamkę. Krista krzyknęła, usiadła i zaczęła szarpać córeczkę Claudii.

– Jenell, obudź się! Musimy uciekać, chodź.

Chwyła za rękę przestraszoną nagłą pobudką dziewczynkę. Wyciągnęła ją z łóżka i po ciemku, bosą, z duszą na ramieniu zaciągnęła ją do drzwi, w desperacji, po omacku szukając klamki, na którą nie mogła trafić, czując panikę wtulonej w nią Jenell. Zerknęła szybko w stronę kuchni i zobaczyła, że z gzymsu zeskakują Rosjanie, jeden za drugim. Bliska paniki słyszała skrzypienie drewna pod ciężarem ich butów, rosyjską mowę, śmiechy.

Kiedy zdołała otworzyć drzwi, pchnęła Jenell w stronę klatki, ale nim zdążyła przekroczyć próg, poczuła, że ktoś ją chwyta za włosy i ciągnie. Mała z krzykiem pobiegła szukać matki, a Krista leżała na podłodze, przygnieciona ciężkim, śmierdzącym ciałem.

Claudia wychodziła z pokoju w chwili, gdy dobiegała do niej Jenell. Wsunęła ją do pokoju. Hans szedł korytarzem i matka szybko zagoniła go do pokoju, do siostry. Widziała zbliżających się dwóch mężczyzn i chciała zamknąć drzwi, ale uniemożliwił jej to but jednego z nich. Pchnięcie przesunęło ją do środka i drzwi się otworzyły. Claudia krzyknęła i podbiegła do dzieci, chcąc się z nimi ukryć w ciemnym

pokoju. Mężczyzna przez chwilę obserwował mrok, aż w końcu oślepił ich snop białego światła latarki. Claudia osłaniała Jenell, a Hans stał obok niej – wszyscy troje kulili się w kącie. Jasną latarkę trzymał w ręce wysoki, korpulentny mężczyzna z wielką głową i prawie bez szyi, z nalaną twarzą i osmaloną skórą; szedł w rozkroku, w wysokich butach ubrudzonych końskim gnojem. Niczym groźny gigant zbliżał się do nich, pewien zwycięstwa. Chwycił za rękę Claudię, która próbowała się wyrwać. Jenell krzyczała przerażona; Hans okładał mężczyznę, żeby nie pozwolić mu odciągnąć matki, aż w końcu żołnierz z całej siły zdzielił go latarką w głowę i chłopiec, nieprzytomny, padł na podłogę. Claudia wszczęła alarm i skupiła się na synu, a Rosjanin wykorzystał okazję i pociągnął ją mocno za rękę, podniósł ją i cisnął na łóżko z tytaniczną siłą. Nim zdołała zareagować, klęknął na jej nogach i ją unieruchomił.

Claudii zabrakło tchu, kiedy zobaczyła minę przyklejonej do ściany córki, jej przerażony wzrok, histeryczny płacz, gdy żołnierz postawił latarkę na kołdrze i zaczął rozpinać spodnie. Próbowwała się wyswobodzić, ale nie dała rady. Gdy Rosjanin zamierzał się na nią rzucić, powstrzymał go donośny głos. Ktoś od progu wykrzykiwał coś po rosyjsku. Mężczyźni wymienili między sobą kilka zdań, jakby nowo przybyły ganił tego, który leżał na Claudii, a tamten się tłumaczył. Z głębi pokoju dobiegał histeryczny szloch Jenell. Stojący w drzwiach mężczyzna podszedł do łóżka, gwałtownie chwycił Samsona za kurtkę i niemal zawlókł go na korytarz, krzycząc na niego ze złością. Claudia była przekonana, że zaczną się o nią bić. Jak tylko zorientowała się, że jest wolna, wstała i pobiegła do córki, z przerażeniem spoglądając na nieprzytomnego Hansa. Rosjanin, który wyrzucił swojego towarzysza, wszedł z powrotem do pokoju i stanął, nie podszedł bliżej. Na łóżku nadal stała latarka. Mężczyzna zrobił kilka kroków, ale widząc przerażoną minę Claudii, podniósł rękę i odezwał się po niemiecku, spokojnym tonem:

– Proszę się uspokoić. Nikt wam nie robi krzywdy. Niech pani uspokoi córkę i zajmie się chłopcem.

Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Claudia stała bez ruchu, z wtuloną w nią Jenell. Mała przestała płakać; przejęta grozą trzęsła się w ramionach matki. Claudia chciała się od niej wyswobodzić, żeby zająć się Hansem, ale nie mogła, więc wzięła ją na ręce i uklękła przy synu, który zaczynał odzyskiwać przytomność. Na głowie miał niewielką ranę, która lekko krwawiła. Claudia wzięła chusteczkę i przyłożyła ją do rozcięcia, pytając syna, czy nic mu nie jest. Chłopak wstał i we troje schronili się w najdalszym kącie pokoju na podłodze. Wtulone w matkę dzieci próbowały odciąć się od krzyków, hałasów, uderzeń, śmiechów i kroków dobiegających zza drzwi, przerażone, że w każdej chwili mogą się otworzyć. Ale pozostały zamknięte.

Powoli robiło się cicho. Claudia nie miała pojęcia, jak długo tak siedzieli, gdy drzwi się otworzyły. Dzieci skuliły się, jakby chciały zniknąć, ale uspokoił je głos Kristy.

– Nic wam nie jest? – Podeszła do nich z zatroskaną miną.

Claudia kiwnęła głową bez słowa, nie wypuszczając z objęć dzieci; obejmowała je tak, jakby miały spaść w przepaść, gdyby je wypuściła.

– Niebezpieczeństwo minęło – poinformowała Krista z wyraźną ulgą. – Możecie wyjść. – Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Claudia wstała, ale Jenell trzymała ją z całej siły, nadal bardzo przestraszona.

– Zaczekajcie tutaj. – Matka spojrzała im w oczy. – Zaraz wrócę, dobrze?

Dzieci nie odpowiedziały. Przerażona Jenell znów zaczęła pochlipywać. Hans objął siostrę w zastępstwie matki, a Claudia z ogromną czułością odgarnęła mu grzywkę z czoła. Podeszła do drzwi i ostrożnie wyjrzała na korytarz. Kristy już nie było. Zaczęła nasłuchiwać odgłosów. Usłyszała lament Angeli Blumenfeld dobiegający z jej pokoju. Podeszła i zajrzała do sypialni. Staruszka siedziała na łóżku w długiej koszuli pozapinanej po samą szyję, z rozpuszczonymi, nieco potarganymi włosami, wzrokiem utkwionym w nadgarstek, który Krista bandażowała paskiem tkaniny.

Claudia nie miała odwagi wejść. Było jej wstyd, że ona się uchroniła. Angela dostrzegła ją w progu.

– Claudia – powiedziała z uśmiechem. – Nic wam nie jest? Nieźle nas te iwany nastraszyły. Niech ich wszystkich piekło pochłonie.

– Jak Jenell? – zapytała Krista. – Biedna, na pewno bardzo się bała.

– Jest przerażona... – weszła jej w słowo Claudia. – Hans ma rozciętą głowę.

– Już do niego idę.

– A wy? – spytała Claudia ze ściśniętym gardłem. – Ja... Przepraszam, że nie wyszłam, ale...

– Nie, Claudio – przerwała jej Krista. – Nie masz za co przepraszać, postąpiłaś słusznie, twoim obowiązkiem było chronić dzieci. Nie zamartwiaj się.

– Nie pojmuję, jak udało im się wejść...

– Przez okno – wyjaśniła Krista, opatrując rękę Angeli. – Weszli do sąsiedniego budynku, do opuszczonego mieszkania przylegającego do tego i po gzymsie dostali się do pokoju Jenell. To moja wina: zobaczyli mnie w oknie, naraziłam was na niebezpieczeństwo.

– Ale... was...?

Angela Blumenfeld i Krista popatrzyły na siebie przez chwilę i parsknęły idiotycznym śmiechem, który zamienił się w nieopanowany rechot. Claudia nic nie rozumiała.

– Do mnie próbował się dobrać pijany żółtodziób – zaczęła opowiadać Angela Blumenfeld. – Mówiłam mu, że jestem dla niego za stara, ale on po niemiecku mi powtarzał: „ty stara, ty zdrowa”. – Znów się roześmiała, z rezygnacją w oczach. – Jak tylko się na mnie położył, siły go opuściły, widocznie był w dużej potrzebie. Przed wyjściem mnie przeprosił i podziękował. – Spojrzała na zabandażowany nadgarstek i podniosła rękę, wyjaśniając przyczynę kontuzji. – Kiedy usłyszałam krzyki, wstałam po ciemku i się przewróciłam.

– To lekkie zwichnięcie – odezwała się Krista. – Ci, którzy weszli przez okno, otworzyli drzwi, żeby wpuścić pozostałych, dzięki czemu do środka

dostał się dowódca – wyjaśniła Claudii z uśmiechem. – Ten, który cię uratował. Siedzi w salonie. Pije herbatę.

– Przecież nie mamy herbaty – zauważyła zdziwiona Claudia.

– On przyniósł i sam zaparzył – wyjaśniła Krista.

Claudia nadal nic nie rozumiała.

– A ty? – odważyła się spytać Kristę. – Nic ci nie jest?

– Zaczepił mnie jeden i niewiele mógł zrobić – odpowiedziała zrezygnowana. – Za dużo wódki. Pozbyłam się go bez większego wysiłku. Najważniejsze, że małej nic się nie stało.

Mniejsze zło, pomyślała Claudia: kiedy wśród gruzów coś się ostatecznie, daje cię nadziei. Claudia o wiele bardziej bała się tego, że brutalna agresja może dotknąć córkę niż o swoje własne bezpieczeństwo... Wiedziała, że one to jakoś przeżyją.

Wróciła do pokoju, żeby uspokoić dzieci i położyć Jenell spać. Krista opatrzyła skaleczenie Hansa. Matka poprosiła go, żeby został z siostrą, a sama się ubrała, włożyła buty i poszła do salonu, w którym siedziały już Krista i Angela Blumenfeld z rosyjskim oficerem, który ocalił ją przed gwałtem na oczach dzieci. Rozmawiali uprzejmie, oświetleni łagodnym blaskiem stojącej na stole świecy; reszta pokoju tonęła w ciemności.

Krista uśmiechnęła się na jej widok. Ona również włożyła sukienkę. Pani Blumenfeld, dla odmiany, już uczesana, miała na sobie błękitny pikowany szlafrok.

– To porucznik Makarow – przedstawiła gościa Krista. – Mówi po niemiecku i jest Żydem – dodała, nie spuszczać z niej wzroku.

Siedzący przy stole mężczyzna czuł się w salonie jak u siebie w domu; w dłoni trzymał filiżankę herbaty. Był wysokim, bardzo jasnym blondynem – szczupły, ogolony, wyglądał na zadbanego. Na szarzielonej kurtce było widać złote epolety z czerwoną lamówką. Na mankietach miał wyhaftowaną czerwoną gwiazdę. Okazało się, że jest potomkiem niemieckich emigrantów. Niemiecki znał dzięki babce od strony matki.

– Z dziećmi wszystko w porządku? – spytał po niemiecku z silnym rosyjskim akcentem.

– Tak... – odpowiedziała Claudia zdławionym głosem. – W porządku...
Dziękuję.

– Bardzo przepraszam za agresywne zachowanie moich ludzi. Nie mają dobrych manier. Wojna ich spodliła.

– Pana nie – zauważyła pani Blumenfeld.

– Żyję poza domem od ponad trzech lat – ciągnął porucznik, wyraźnie przeciągając samogłoski. – Zostawiłem żonę i trzy małe córki. Nie chciałbym, żeby ktoś im zrobił krzywdę. Wojna nie powinna dotyczyć kobiet i dzieci.

– Wojny nie powinno w ogóle być.

Makarow z ukosa spojrział na staruszkę roztropnie.

– Ma pani rację. – Uniósł brwi i zmarszczył czoło. – Nim tu dotarłem, widziałem wasze miasteczka, gospodarstwa, wioski, porządne autostrady, drogi. Wszędzie, gdzie przejeżdżałem, widziałem wasze wygodne domy: z gazem, prądem, bieżącą wodą, łazienkami, czyste, uporządkowane. – Zamilkł na chwilę, jakby tych rzeczy, które mógł wymieniać, było bez liku. – Moi ludzie i ja nie przestajemy zadawać sobie pytania, czego Niemcy szukali u nas, mając to wszystko? – Rozłożył ręce wobec braku odpowiedzi. – Czego, u diabła, chcieli?

– Dobre pytanie... – podchwyciła Angela Blumenfeld z wyważoną miną. – Nas nikt nie zahipnotyzował, mogliśmy się przeciwstawić, ale tego nie zrobiliśmy. My wszyscy, którzy się z tym nie zgadzaliśmy, siedzieliśmy cicho i odwracaliśmy głowę; inni ze ślełą wiarą poszli za tym przeklętym wyniesionym do rangi bóstwa wodzem. – Pokręciła głową, patrząc przed siebie pustym wzrokiem i rozmyślając o całej niedoli. – Popadliśmy w dziwną moralną apatię i dlatego ponosimy winę, nikt nie jest niewinny.

– My też jesteśmy ofiarami wojny – zaprotestowała oburzona Krista. – Nie mają prawa mścić się na bezbronnych kobietach. To wszystko, co się w tej chwili dzieje, jest niesprawiedliwe... – Zamilkła, przytłoczona

wściekłością, jaką wzbudzała w niej ta rzeczywistość. Porucznik rozłożył ręce i odezwał się, nie tracąc nic ze swojego opanowania.

– Nie bronię tego ani, oczywiście, nie usprawiedliwiam, ale nie mogę temu zapobiec. Gdybym próbował, zostałbym oskarżony o wzniecanie litości wobec wroga. Takie są zasady i nie ja je ustanowiłem. Mogę jedynie zapewnić, że moi ludzie są zdrowi.

Krista i Claudia spojrzały na siebie, usiłując przełknąć te słowa. Co innego im zostało?

Rosyjski oficer sączył herbatę. Pani Blumenfeld, wyczuwając napięcie, przekonana, że ten porucznik jest ich jedyną nadzieją w tej dżungli, w jaką zamienił się Berlin, wstała i poprosiła, by na nią poczekali. Wyszła z salonu i po chwili wróciła z butelką burbonu w dłoni.

– Przechowuję ją od wybuchu wojny. Przetrwiała wszystkie bombardowania. Może to dobry moment na wzniesienie toastu. – Otworzyła butelkę, nalała whisky do szklanek, które Claudia wyjęła z kredensu, i wnieśli toast. Porucznik, w odpowiedzi na bezwstydną prośbę pani Blumenfeld, obiecał, że przyniesie im świece, mydło i coś do jedzenia.

Kolejne dni upłynęły spokojnie. Porucznik Makarow zwykle przychodził o zmierzchu, zawsze w asyście swojego podwładnego, Uzbeka, który zawsze milczał. Przynosili nie tylko świece i mydło, ale także masło, chleb, mięso, groszek, śledzie i inne świeże ryby. Kobiety cieszyły się z jego odwiedzin, bo, zgodnie z przewidywaniami Angeli Blumenfeld, dzięki ochronie oficera nikt ich więcej nie nękał, z wyjątkiem jednego wieczoru, kiedy przez chwilę żołnierze dobijali się do bramy, ale szybko sobie poszli. Wybite okno zastawiły szafą. Nie wiedziały, czy wytrzyma, ale przynajmniej miały pewność, że da im trochę czasu na reakcję.

Najważniejsze było to, że porucznik Makarow w zamian za ochronę i przynoszone produkty nie domagał się łóżka. Chciał jedynie usiąść przy stole, zjeść ciepły posiłek, ugotowany i podany przez kobietę,

porozmawiać w cywilizowany sposób o rzeczach trywialnych, o życiu, zainteresowaniach, o wszystkim, byle nie o wojnie i śmierci.

Z ust do ust krążyły pogłoski o kapitulacji Niemiec. Od czasu do czasu przejeżdżały rosyjskie samochody, nawołujące przez głośniki do poddania się tych, którzy – mimo wszystko – uparcie trwali w bezsensownym, samobójczym oporze: każdego, kto miał jakąkolwiek broń, wzywano do jej oddania. Przypominano o tym, że powracający do domów niemieccy żołnierze mają obowiązek stawić się natychmiast w dowództwie swojego rejonu, a za jego niedopełnienie grożą poważne kary.

Ale niemieckich mężczyzn prawie nie było widać – chowali się po piwnicach i w domach, bo bali się wszystkiego. To kobiety wychodziły po wodę, w poszukiwaniu jedzenia, gałęzi czy czegośkolwiek z drewna, co mogło się nadać na rozpalenie ognia. Niedostatek i głód siały spustoszenie w już i tak wychudzonych ciałach, tonących w za dużych, podartych ubraniach. Na grubych patrzono z odrazą, ponieważ ich tłuszcz był dowodem przynależności do partii nazistowskiej lub powiązań z kręgami, które do całkiem niedawna opływały w dostatek i przywileje.

Hordy rosyjskich żołnierzy, od których roило się na ulicach w pierwszych dniach, szabrujących niemieckie mieszkania (nie tylko z przedmiotów wartościowych, ale także z rzeczy codziennego użytku, których nigdy wcześniej nie widzieli i które przykuwały ich uwagę), powoli malały. Stacjonujący przy skrzyżowaniu oddział zeszłego popołudnia zaczął się zwijać. Majowe słońce w końcu ogrzewało pocerniałe ruiny miasta. Krista i Hans tuż po obudzeniu poszli do hydrantu po wodę, a gdy wrócili, zastali Angelę Blumenfeld strojącą się jak nigdy.

- Idę do kuzynki. Wrócę po południu.
- Ale pani Angelo, jak zamierza się pani do niej dostać? – spytała Krista. – Tramwaje ani metro nie kursują.
- Piechotą. Spacer dobrze mi robi, zażyję świeżego powietrza.

– Przecież Pankow jest bardzo daleko.

– E, nie tak znów daleko, mieszka na południu, przy Hallandstrasse. Nigdzie mi się nie spieszy. – Sąsiadka z uśmiechem wzięła torebkę. – Od miesięcy nie wychodziłam poza tę ulicę. Chcę zobaczyć, jak wygląda miasto. Muszę stąd wyjść.

– Mamo, ja też chcę iść – poprosiła Jenell przymilnym tonem. – Tutaj mi się nudzi.

Claudia sprzeciwiła się kategorycznie, ale staruszka się za nią wstawiła.

– Pozwól jej pójść, Claudio...

– Ja pójdę z nimi – zaoferował się Hans, dumnie wypinając pierś obrońcy.

Claudia się zgodziła i poszli we troje. Claudia i Krista postanowiły wykorzystać czas na generalne porządki w mieszkaniu. Przez cały ranek trudziły się, żeby zaprowadzić ład w pokojach, w kuchni i salonie, wyprały pościel i ręczniki; co rusz chodziły do hydrantu. Nadal nie miały prądu ani bieżącej wody, ale powoli zaczęła wracać specyficzna normalność – dzięki temu, że mogły spać we własnych łóżkach na czystej pościeli, nie musiały schodzić do schronu, nie było bombardowań... Koniec tego wszystkiego napawał je radością i wdzięcznością.

Kiedy skończyły, umyły się i usiadły na zasłużony odpoczynek. Claudia zaparzyła gorącej herbaty przyniesionej przez ich rosyjskiego opiekuna, a Krista wyciągnęła ostatni kawałek biszkoptu upieczonego zeszłego popołudnia przez panią Blumenfeld. Był środek dnia, słońce wpadało przez otwarte na oścież okna, w domu pachniało czystością, nie było słychać strzałów ani świstu bomb, ani huku wybuchów, ani krzyków, ani płaczu. Claudia i Krista upajały się tym niemal zapomnianym spokojem. Obie przez dłuższą chwilę milczały, nawzajem skrępowane swoją obecnością, jakby ten spokój odkrył głęboko zakorzenioną wrogość, która była między nimi w innych czasach, rywalizację o miłość mężczyzny, którego już nie było. Wojenny horror je zjednoczył, ale nigdy wcześniej nie przebywały same, twarzą w twarz, nie obawiając się niczego innego

poza konfrontacją, z filiżanką herbaty w dłoniach. Claudia pierwsza przełamała lody.

– Czym chciałabyś się zająć, jak to wszystko się skończy?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam – odparła Krista. – Wiem tylko, że żyję. A o to chodziło, o przeżycie, więc samo to powinno mi wystarczyć do szczęścia.

– A nie wystarcza?

Krista wzruszyła ramionami, a w jej oczach pojawił się głęboki smutek.

– Jestem sama, Claudio, nic mi nie zostało. Ty masz dzieci, twoim zadaniem jest je wychować. Na mnie nikt nie czeka.

– Nie wiesz nic o nim? – spytała Claudia łagodnym tonem, nieco speszonym.

Krista pokręciła głową, a z jej ust wymknęło się długie, pełne niepokoju westchnienie.

– Żadnej wiadomości od pięciu już lat. Ostatnia rzecz, jakiej się dowiedziałam, to taka, że miał wrócić do Niemiec na podstawie fałszywego paszportu. To było wiosną czterdziestego roku. Rok później, szóstego marca czterdziestego piątego, zadzwonił do mnie jego szef z ambasady, Erich Villanueva; zapamiętałam to, bo tego dnia Jurij kończył trzydzieści trzy lata. Villanueva poprosił mnie, żebym po południu przysłała do niego do domu, bo ma wiadomości o Juriju. Jednak gdy dotarłam na miejsce, nikt mi nie otworzył. Wydzwaniałam do niego przez kilka dni, ale nic nie wskórałam. Poszłam do ambasady; próbowałam się zorientować, czy ktoś coś o nim wie, ale nikt nie chciał mi nic powiedzieć, wszyscy mnie zbywali, jakbym pytała o trędowatego. Jedna z sekretarek powiedziała mi niemal po kryjomu, że Villanueva zniknął, wyparował i nikt się nim nie interesował... Do tamtej pory. Nie dowiedziałam się, jakie wiadomości miał dla mnie od Jurija... I tak żyję od tamtego czasu, marząc, żeby pewnego dnia wrócił, i boję się, że nie będę w stanie wyzwolić się z tego czekania. Przeraża mnie myśl, że ja nigdy nie przestanę czekać, a on nigdy się nie zjawi, że będę tkwiła zakorzeniona w niepewnej przeszłości, uwięziona, i nie będę mogła

oddychać. – Podniosła głowę, jakby brakowało jej powietrza, z niepokojem.

– Rozumiem cię... – wyszeptała Claudia.

Krista przyglądała jej się podejrzliwie. Nie bardzo wiedziała, co myśleć o tej kobiecie, żywiła wobec niej sprzeczne uczucia. Bez wątpienia pomogła jej po tym, jak Jurij musiał wyjechać z kraju, ale nie mogła wyzbyć się gorzkiego żalu z powodu tego, co uknuł jej brat Franz, i była pewna, że Claudia musiała mieć coś wspólnego z tym chorym szantażem. Jednak wszystko to wydawało się zupełnie banalne po tym, co razem przeszły...

– Nic mi po nim nie zostało – ciągnęła Krista powoli. – Ta wojna okradła mnie nawet ze wspomnień o nim, jego listów, zdjęć, wszystko zamieniło się w popiół. Boję się, że zapomnę jego twarz, że go nie rozpoznam, jeśli kiedyś... – Splotła palce, zdenerwowana, i zgarbiła się, jakby coś ją bolało. – Święty Boże...

Claudia bez słowa wstała i zostawiła ją samą. Krista podążyła za nią wzrokiem i mimowolnie poczuła niezadowolenie. Po chwili Claudia wróciła do salonu. Stała kilka sekund w progu, przyglądając się przyjaciółce, jakby rozważała to, co zamierza zrobić. Podeszła do niej powoli, usiadła naprzeciwko, położyła na stole zdjęcie i przytrzymując je palcami, przesunęła do Kristy.

– Zrobiłam mu je podczas naszego ostatniego wspólnego weekendu... Właściwie jedyne... – Zamilkła na chwilę ze wzrokiem utkwionym w ukochanej twarzy. – Weź je sobie.

Powściągliwie, jakby nie miała śmiałości, Krista wzięła zdjęcie i skupiła wzrok na portrecie Jurija na tle lasu, w jasnej koszuli, z przewieszoną przez ramię marynarką, którą przytrzymał jedną dłonią, i z lekko odchylnym do tyłu kapeluszem, z błogą miną. Na widok tych oczu patrzących na nią poczuła szybsze bicie serca. Zacisnęła wargi i oddała zdjęcie Claudii, kręcąc głową.

– Nie mogę go przyjąć, jest twoje. Ten Jurij należał jeszcze do ciebie.

– Posłuchaj mnie, weź je sobie. Ja cierpię za każdym razem, gdy na nie patrzę. Ciebie będzie uszczęśliwiać.

Zdjęcie znów znalazło się w zasięgu Kristy. Na dobrą chwilę obie pograżyły się w rozmyślaniach na temat swoich smutków, wspomnień, terażniejszości i niepewnej przyszłości.

– A ty wiesz coś o swoim mężu? – spytała w końcu Krista ciepłym tonem.

Twarz Claudii spochmurniała. Znów wstała i tym razem podeszła do kredensu, wyciągnęła dwa kieliszki i butelkę wódki przyniesioną przez Makarowa. Postawiła ją na stole i nalała do kieliszków.

– W przeciwieństwie do ciebie ja na nikogo nie czekam, a już na pewno nie na niego – wyszeptała i wypła duży łyk alkoholu. Zmarszczyła czoło, jakby ją poparzył. – Ulrich większą część wojny spędził w Paryżu, żył jak król, sypiał z uległymi Francuzkami, pił dobre wino, szampana, dobrze jadał i niczego mu nie brakowało. – Wzrok wbijała w kieliszek, który trzymała w dłoniach. – Mundur miał zawsze nieskazitelny, ale kiedy przyjeżdżał do domu na przepustkę, domagał się, żebyśmy traktowali go jak bohatera, walecznego wojownika, któremu należy się hołubienie i troska i którego trzeba wzmocnić przed walką. Nigdy nie przeszło mu przez myśl, że jest nam źle, nigdy nie pomyślał o dzieciach ani tym bardziej o mnie. To mężczyźni stawali do walki i cierpieli na wojnie, oni chronili nas przed całym złem, a my, kobiety, siedziałyśmy sobie wygodnie w ciepłych domach, spałyśmy we własnych wygodnych łóżkach; miałyśmy raj w porównaniu do piekła, jakie przeżywali mężczyźni na froncie. Ostatnio widziałam go w Boże Narodzenie. Zjawił się z górą prezentów niczym bóg Odyn, a po dwóch dniach wyjechał bez słowa. Od tamtej pory nie miałam od niego żadnych wieści, nie wiem, czy dzielny oficer Waffen-SS, dowódca Ulrich von Schönberg, w końcu zaznał ułamka tego, co przeżywało wielu innych żołnierzy. – Jej ton spoważniał. – Boję się jego powrotu. Nie chcę, żeby wrócił, i czuję się z tego powodu źle, choć tego nie rozumiem, bo nigdy go nie kochałam. Gdyby nie wrócił,

byłaby to jedyna pozytywna rzecz, jaką wyniosłabym z tej wojny: definitywne pozbycie się z życia tego mężczyzny.

– Mogłabyś go zostawić – zauważyła Krista. – Rozwieść się i zacząć od zera.

– Nie znasz Ulricha – odpowiedziała, kręcąc głową. – Nigdy nie pozwoliliby mi odejść, prędzej by ze mną skończył.

– Może wojna go zmieniła.

Claudia spojrzała na Kristę ze smutkiem.

– To potwór, Kristo. – Zamilkła na chwilę, jakby się zastanawiała, czy mówić dalej, czy lepiej zachować wszystko dla siebie. Spuściła wzrok, a z jej ust popłynęły słowa. – Pamiętasz tamto lato, kiedy pojechałam z nim i z dziećmi do Auschwitz w Polsce?

Krista przytaknęła: pamiętała tę jej ponadtrzymiesięczną nieobecność latem 1943 roku. Funkcjonowanie w cukierni z Ernestine stało się nie do zniesienia; wyzwolona spod nadzoru Claudii poczuła się ważna i Krista musiała znieść wiele upokarzających sytuacji, z agresją fizyczną włącznie. Dlatego powrót Claudii przyniósł jej wielką ulgę.

– Mieszkaliśmy w pięknym domku na osiedlu SS, dużym, przestronnym. Miał wielki ogród i mały basen. Dzieciom się tam bardzo podobało... Moje się śmiały i bawiły, a zaledwie sto metrów dalej, po drugiej stronie ogrodzenia pod napięciem, dzieci takie jak one cierpiały najgorsze męki. – Wykrzywiła się z odrazą. – W każdy kąt tego domu wdzierał się obrzydliwy, mdlący smród, przesiąkały nim ubrania, meble, wisiał w powietrzu. Ten smród... – Wbiła wzrok w Kristę z niepokojem na twarzy. – Wiedziałam, skąd pochodzi... Setki, tysiące ludzkich istnień puszczonych z dymem, zamienionych w popiół i wyrzuconych przez ogromne kominy, i osiadających wszędzie niczym śmiertelny, szary, zwarty koc... Kiedy spytałam Ulricha, powiedział mi, że to „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”, rozwiązanie definitywne, które miało unicestwić Żydów nie tylko z Niemiec, ale z całej Europy. Tak mi powiedział – powtórzyła. – Nasze wspaniałe wojsko, a w szczególności Waffen-SS, realizowało doskonały plan ich systemowej eksterminacji,

eliminacji tysięcy, milionów osób, stłoczonych jak zwierzęta w obozach koncentracyjnych podobnych do tego w Auschwitz, rozsianych na wszystkich podbitych terenach. Niewinni mężczyźni, kobiety i dzieci zagazowywani w publicznych łaźniach, a ich ciała palone w piecach krematoryjnych, żeby zatrzeć ślady tych zbrodni. – Jej wzrok zawisł w próżni. – A ja nic nie powiedziałam... Milczałam w obliczu takiego okrucieństwa, słuchałam tego i nie otworzyłam ust, nie zrobiłam mężowi ani jednej wymówki, kiedy z dumą opowiadał o tym dantejskim spektaklu... Hitlerowi udało się ukształtować ich na swój obraz i podobieństwo, zamienić w istoty bezduszne, wyrywając z ich sumienia wszelkie odruchy litości. „Jest wojna”, mówił, przeświadczony, że postępuje właściwie, w ogóle nie zastanawiając się nad tym, że sytuacja mogłaby wyglądać zupełnie inaczej, bez cienia wątpliwości czy wyrzutów sumienia, czarnego jak smoła... – Znów spojrzała w oczy Kriście, która słuchała, wstrząśnięta tym potwornym wyznaniem. – Mężczyzna, za którego wyszłam, jest współodpowiedzialny za wszystkie te okrucieństwa... Nie ma duszy, brakuje mu człowieczeństwa... Jest zabójcą... A ja byłam przy nim... i milczałam.

Claudia nabrała powietrza, jakby jej płuca stały się puste. Czuła przytłaczający ciężar własnej winy, wstyd z powodu uczestniczenia w tej bezsensownej nienawiści, od której wszystko się zaczęło; przygniatała ją własna odpowiedzialność, bierność, brak reakcji, współudział.

– Claudia, nie ma sensu, żebyś się obwiniała. – Krista próbowała znaleźć jakąś pociechę, widząc jej cierpienie, ale miała wrażenie, że słowa więzną jej w gardle. – Jeden odwracał głowę bardziej, inny mniej. Ja też ją odwracałam... Niewiele mogłaś zrobić.

– Nie, nie... – przerwała jej, jakby bolała ją ta próba usprawiedliwienia. – Nie zbuntowałam się, kiedy działy się te potworności, a one, prędzej czy później, dopadają, podgryzają duszę i trawią bez końca.

Spowiała je przeraźliwa cisza. Właściwie na siebie nie patrzyły.

– Nie mamy wyjścia, będziemy musiały z tym żyć – wyszeptała Krista.
– Będziemy żyć z tym wszyscy, każdy, kto zdołał przetrwać to zniszczenie.

– To wszystko jest jednym wielkim kłamstwem. Straszonym fałszem: nasze wojsko, siła naszych mężczyzn, wyższość rasy... Monumentalna farsa.

Po tych słowach Claudia wysunęła szufladę spod stołu, wyciągnęła niebiesko-biało-czerwoną fiolkę i położyła ją na blacie. Krista ją wzięła.

– Pervitin... – wyszeptała. – Claudio, chyba tego nie zażywasz? To bardzo niebezpieczne.

Claudia zaprzeczyła gwałtownie.

– Te tabletki to tajna broń naszych mężczyzn na froncie. Brali po kilka dziennie. Wszyscy. Dostarczano je oddziałom, żeby obywali się bez snu po kilka dni: pięć, sześć pełnych dób w walce. We śnie byli bezbronni. To jest ten wielki sekret wyższości aryjskiego mężczyzny. Nawet ten niezwyciężony Führer zażywał substancje psychotropowe, żeby radzić sobie z presją i niepokojem, a aplikował mu je jego lekarz, doktor Morell, najbrudniejszy i najbardziej śmierdzący mężczyzna, z jakim miałam w życiu do czynienia. Matka mi mówiła, że Hitler w ostatnich dniach brał ponad dwadzieścia tabletek dziennie, a do tego kilka zastrzyków. Wmawiał sobie, że to tylko witaminy, ale rzeczywistość wyglądała inaczej... Barbiturany, hormony, eukodal, uspokajające środki na sen i amfetamina, żeby się obudzić... Cierpiał na bezsenność i depresję. – Poszukała wzroku Kristy z bolesnym grymasem wywołanym przez wyrzuty sumienia. – Niemcy wybrały sobie na przywódcę kolosa na glinianych nogach.

Krista się nie odezwała. Wpatrywała się w tabletki, pochodną metamfetaminy.

– Mężczyźni mówią – ciągnęła pogrążona w żalu Claudia. – Bez skrupowania opowiadają o swoich nieszczęściach, przeżyciach, przemocy stosowanej wobec wroga bez najmniejszych skrępułów; oni są wojownikami, są stawiani jako przykład, zwycięscy czy pokonani, są

bohaterami. My, kobiety, chowamy się za naszymi odzyskanymi mężczyznami, ukrywamy nasze potworne przeżycia codziennej egzystencji, płacz naszych dzieci, które tej naszej przeszłości nie poznają, bo nikt im o niej nie opowie. Kiedy nasi żołnierze wrócą załamani, zrozpaczeni, my, kobiety, będziemy musiały ich pocieszać, wysłuchać, zrozumieć, podnieść na duchu, a same będziemy milczeć. Będziemy musiały ukrywać to, co przeżyliśmy, żeby nie zranić ich dumy, żeby nie poczuli się upokorzeni. To, co my czujemy, będzie nieważne, nie będziemy miały innego wyjścia niż zapomnieć, żeby dalej żyć, bo inaczej żaden mężczyzna nie będzie chciał nas dotknąć.

– Chciałabym wierzyć, że nie wszyscy są tacy – odparła Krista bardzo cichym głosem.

Claudia uśmiechnęła się z goryczą, podniosła szklanę i przełknęła szloch wraz z wódką. Przez chwilę milczały, słuchając odgłosów codzienności z ulicy. Krista zanim się odezwała, wypila pierwszy łyk alkoholu.

– Zawsze zadawałam sobie pytanie, dlaczego mi pomogłaś. Miałaś okazję się mnie pozbyć, skończyć ze mną raz na zawsze, dobić mnie na dobre. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Bo obiecałam to Jurijowi – oznajmiła Claudia.

– Ciągłe go kochasz?

Claudia przez kilka sekund zastanawiała się, co powiedzieć i jak to zrobić.

– Miłość, którą czuję do Jurija, nie może zgasnąć, to niemożliwe, noszę ją tu, w środku. – Położyła dłoń na piersi. – Jurij jest biciem mojego serca... – Jej twarz wykrzywił grymas. – Byłam kobietą uprzywilejowaną w uprzywilejowanym świecie. Miałam wszystko, czego może pragnąć dziewczyna. Ale kiedy zjawił się on... – Jej oczy rozbłysły niezwykłym blaskiem, który dostrzegła Krista, blaskiem przywróconej we wspomnieniach szczęśliwej przeszłości. – Połączyła nas miłość krótka, ale tak intensywna, tak piękna i równie niezwykła, co niemożliwa. On był taki czuły, tak wyjątkowy... – Uśmiechnęła się,

napawając się najpiękniejszymi wspomnieniami. – Co chwilę mi mówił, że mnie kocha, okazywał to tonem głosu, wzrokiem... Dłońmi... W ten nasz jedyny wspólny weekend czułam się z nim jak w raju, istnieliśmy tylko my dwoje, świat się zatrzymał i nie było nikogo prócz jego i mnie... Tamtego dnia mnie poprosił, żebym odeszła od Ulricha i wyjechała z nim, powiedział, że pojedziemy gdzieś daleko. Zachowałam się jak tchórz... Straciłam szansę na szczęście z miłością mojego życia... Popełniłam błąd i straciłam go na zawsze, gdy pojawiłaś się ty. Nienawidziłam cię, Krista, przez długi czas przeklinałam cię z całych sił; nie mogłam znieść widoku was razem, robiłam głupie rzeczy, próbowałam podkopać waszą miłość, chciałam cię od niego odsunąć... Zachowałam się wobec ciebie bardzo źle, byłam niesprawiedliwa, a teraz, po tym wszystkim, co się stało, mogę tylko powiedzieć, że bardzo tego żałuję, choć nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

– Chcę się dowiedzieć tylko jednej rzeczy, Claudia... Miałaś coś wspólnego z szantażem, jakim posłużył się wobec mnie twój brat?

Claudia pokręciła głową.

– Nie... Nie bezpośrednio. To był pomysł Franza. A właściwie Ulricha, ale ja zachęciłam mojego brata, żeby cię zdobył za wszelką cenę... W pewnym sensie też ponoszę za to winę. – Zamilkła i spojrzała na przyjaciółkę. – Przykro mi...

Krista odwróciła wzrok od Claudii i wypila łyk wódki.

– Jedno jest pewne, Krista: wygrałaś ty, skradłaś jego serce.

– Nie mogę uwierzyć, że ty i ja rozmawiamy o tym w ten sposób, w twoim salonie... Wojna zmienia sytuacje.

– I ludzi... Na lepszych albo gorszych, zmienia także nas.

Nagle przestraszył je rozziewający krzyk, po którym rozległ się głośny trzask na schodach. Szybkie kroki, głosy, wrzaski. Wstały i wyszły na klatkę. Z trzeciego piętra niepewnym krokiem schodził pan Witt w obstawie pół tuzina Rosjan, którzy prowadzili go na ulicę. Przeszli obok nich. Pan Witt spojrzał na nie i wbił wzrok w ziemię.

– Dlaczego go zabieracie? – spytała Krista ostatniego żołnierza, wysilając się, żeby znaleźć rosyjskie słowa.

– Ukrywał niemieckiego żołnierza. Zostanie natychmiast stracony. Takie są zasady.

Za nim szła Gerda Witt ze zgnębioną miną, prowadzona przez dwóch żołnierzy. Ona też minęła je bez słowa, patrząc na Kristę z przerażeniem i dezorientacją.

– Święty Boże – wyszeptała wstrząśnięta Claudia, wychylając się poza poręcz.

Krista spojrzała w dół. W wielkiej kałuży krwi na podłodze w bramie leżał mężczyzna. Nie ulegało wątpliwości, że ściągnęli go z trzeciego piętra. Skierowała wzrok ku górze i ruszyła po schodach.

– Krista! – krzyknęła za nią przestraszona Claudia. – Dokąd idziesz?

– Sprawdzić, w jakim stanie jest Rita.

Krista weszła na piętro Wittów. Drzwi były tylko przymknięte, a ze środka dobiegały śmiechy i głosy mówiące po rosyjsku. Wahala się, czy wejść, ale gdy usłyszała jęk Rity, rozpaczliwy krzyk, weszła do sieni i rozejrzała się za czymś nadającym się do ataku, a raczej do obrony. Dostrzegła figurę z brązu, która należała do babci od strony matki i stała tam od zawsze. Mocno chwyciła ją za podstawę i przeszła korytarzem do pokoju, który kiedyś był jej sypialnią – do miejsca, z którego dobiegały odgłosy. Serce biło jej tak mocno, że musiała wziąć głęboki oddech, żeby opanować puls. W tej chwili przypomniała sobie rozporządzenie wywieszone na wszystkich fasadach, ostrzegające, że jeśli coś złego stanie się Rosjaninowi w niemieckim domu, zapłacą za to życiem wszyscy mieszkańcy budynku. Zwolniła kroku przestraszona. Swoim działaniem naraziłaby na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale także Claudię i jej dzieci, i panią Blumenfeld. Stanęła, nogi miała jak z ołowiu.

Wstrzymując oddech, wyraźniej słyszała obsceniczne głosy, sapanie, a przede wszystkim żalospny płacz Rity Witt. Zamknęła oczy, odwróciła się i wyszła z mieszkania. Szybko zeszła do mieszkania, zamknęła drzwi

i oparła się o nie plecami. Na korytarzu zjawiała się Claudia i stanęła przed nią. Patrzyły na siebie bez słowa. Krista zorientowała się, że ciągle trzyma w dłoni anioła z brązu. Wypuściła go, powoli ugięła kolana i osunęła się na podłogę, jakby straciła siły, żeby utrzymać się na nogach. Chciała się wypłakać, ale nie mogła, z trudem oddychała, dusiła się. Claudia podeszła do niej i usiadła przed nią bez słowa, a Krista wybuchła płaczem z rozdzierającym krzykiem, jakby chciała otrząsnąć się z potwornego poczucia winy. Przez jakiś czas obie milczały, doskonale zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje w mieszkaniu nad nimi. Usłyszały odgłosy butów Rosjan schodzących do bramy. Śmiali się, rozmawiali, nie przejmując się dramatem, jaki wywołali w dziewiczym ciele zaledwie osiemnastoletniej dziewczyny.

Z ulicy dobiegł krzyk. Claudia wyciągnęła szyję, zaalarmowana, podbiegła do okna, wychyliła się i zobaczyła dwie kobiety zbliżające się do bramy, przerażone tym, co widziały. Na chodniku leżało nieruchome ciało Rity Witt, z nogami i rękami wybitymi jak z zepsutej lalki, z wykręconą głową w strumyku krwi płynącej powoli po bruku. Claudia wyczuła obok siebie obecność Kristy, również patrzącej na tę dantejską scenę. Nie odezwała się, milczała z nieobecny wzrokiem i twarzą przesłoniętą bezgranicznym smutkiem.

Kilka dni później zjawiała się Eva Bauer i wraz z dwiema córkami wprowadziła się do mieszkania, które należało do jej rodziców, pustego od śmierci matki tuż po wybuchu wojny. Obaj bracia Evy zginęli na froncie, podobnie jak jej mąż. Dwóch jej synów w lutym 1943 roku zwerbowano do 12 Dywizji Pancerniej Hitlerjugend, a najmłodszego zmuszono do wstąpienia do Volkssturmu w styczniu tego samego roku. O żadnym z całej trójki nie miała wiadomości.

Pani Blumenfeld zaczęła odgruzowywać i sprzątać zrujnowane mieszkanie przy pomocy przyjeżdżających z Pankowa krewnych.

Ponieważ mieszkanie zajmowane przez Wittów opustoszało, Krista zastanawiała się nad przeprowadzką do dawnego domu matki. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie sądziła, że ktoś by ją stamtąd wyrzucił, więc nie wahała się długo. Postanowiła chwycić byka za rogi i wysprzątała wszystko gruntownie, z wściekłością, obsesyjnie pozbywając się wszelkich śladów bytności obcych ludzi w mieszkaniu, które kiedyś było jej rodzinnym domem. Przedmioty należące do Wittów schowała w piwnicy na wypadek, gdyby upomniał się o nie jakiś krewny.

Niemal codzienne wizyty porucznika Makarowa w mieszkaniu Claudii zapewniały im produkty spożywcze w ilości wystarczającej na swobodne życie na tle niedostatku, w jakim pogrążone było miasto. Ale to źródło zbawiennej manny miało niebawem wyschnąć. Porucznik poinformował je, że skierowano go poza Berlin i że wkrótce wyjeżdża. Zaopatrzył je w świece, kilka pudełek zapalek, bardzo trudnych do zdobycia, dwie kostki mydła, wielki wór ziemniaków, sporą ilość masła, groszku, mąki, trzy paczki mąki, karton butelek wódki i whisky, piwo i parę kilo jabłek.

Wszystko zostało w spiżarni Claudii, bo, choć Krista nocowała już w odzyskanym mieszkaniu, posiłki nadal jadały wspólnie w kuchni Kahlerów.

– Nie wiem, co z nami będzie, jak nasz porucznik wyjedzie. – Smutna Angela Blumenfeld nie odrywała się od szycia. – Przykro wychodzić z domu, ludzie są tak wychudzeni, że ubrania na nich wiszą. A najgorszy jest widok wałęsających się wśród ruin dzieci, które przeszukują śmieci, rozglądając się za czymś, co może się przydać. Biedactwa... – mówiła do siebie, kręcąc głową. – Kartki żywnościowe nie wystarczają nawet na bułkę na śniadanie. Odkąd trafił do nas ten święty człowiek, przytyłam co najmniej z pięć kilo; co prawda wcześniej były ze mnie skóra i kości.

Mówiła, szyjąc przy oknie, gdzie miała lepsze światło. Claudia, dzieci i Krista siedziały przy stole i jadły jabłecznik z cukrem, który Angela Blumenfeld upiekła wczesnym rankiem. Od czasu do czasu podnosiła głowę i spoglądała na nie zza okularów, które cudem uchowały się całe

wśród gruzów. Była szczęśliwa, widząc, z jakim smakiem zajadały jej ciasto.

– Jest pyszne, pani Angelo – pochwaliła Claudia, wkładając do ust ostatni kęs. – Ma pani dobrą rękę. Przypomina mi delicje wypiekane przez Lilli Rothman.

– Od niej mam przepis. Zawsze powtarzała, że kluczem są dobrej jakości składniki i dużo serca. – Podniosła wzrok znad robótki i spojrzała przed siebie. – Biedna Lilli, co się mogło z nimi stać...

– Nie ma żadnych nowych informacji? – spytała Claudia.

– Ostatni list dostałam od niej na Boże Narodzenie w czterdziestym roku. Od tamtej pory nic. Nie wiem, co myśleć... Obawiam się najgorszego. Biedni ludzie. – Znów zwróciła wzrok na palce, w których trzymała poszewkę przerabianą na worek.

– Co pani robi? – zdziwiła się Krista.

– Porucznik Makarow poprosił mnie, żebym naszykowała dla niego paczkę, w którą spakuje wszystko, co zamierza wysłać do Rosji żonie i córkom. Nie wyobrażacie sobie, co chce nadać: kapelusze, pościel, biustonosze, koszulki, a przede wszystkim majtki. Na punkcie majtek ma obsesję. Gdybym miała męża i przysłałby mi używane majtki innej kobiety, choćby nie wiem, jak czystej hildegardy, z miejsca posłałabym go do diabła. – Wszystkich rozbawił dobry humor, który wrócił staruszcze. – A zegarki? Są kompletnie zwariowani na punkcie zegarków. Wysyła co najmniej dziesięć, różnego rodzaju i w różnych rozmiarach. Powiedziałam, że uszyję mu tobołek, ale nie odpowiadam za to, w jakim stanie dojdzie przesyłka.

– Muszę iść do ratusza. – Claudia wytarła wargi serwetką. – Trzeba się zapisać, żeby dostać pracę. Podobno wypłacają pensję.

– Ja zajrzę do doktor Hotzfeld, mojej byłej szefowej – oznajmiła Krista.

– Może już wróciła. W ostatnim liście pisała, że po powrocie chciałaby otworzyć poradnię i że na mnie liczy.

– Obawiam się, że przez najbliższe miesiące będziemy potrzebować wielu ginekologów – skwitowała pani Blumenfeld, wzdychając ciężko.

– Ja się uchroniłam – odezwała się Claudia z wyraźną ulgą. – Rano dostałam okres. Spóźniał się o tydzień, ale w końcu się doczekałam.

– Podobno kędy przelecą kopyta bojowego rumaka, trawa tam nie porośnie. – Angela Blumenfeld przytoczyła słowa Attyli, kątem zerkając na kobiety. – Ale nie zawsze tak bywa.

– Ja jeszcze nie dostałam – wyznała Krista z poważną miną. – Ale nie mam wątpliwości, co bym zrobiła w razie problemu...

Zgwałcone kobiety zaczynał ogarniać strach przed ciążą. W szpitalach utworzono poradnie, do których można było się zgłosić z niechcianym obciążeniem i skorzystać z możliwości dokonania aborcji, a także leczyć choroby weneryczne nabyte wskutek wielokrotnych gwałtów.

Doktor Hotzfeld przed wojną mieszkała w uroczym mieszkaniu przy Leibnizstrasse w dzielnicy Charlottenburg. Krista nie widziała się z nią od czasu pożegnania w 1939 roku, kiedy Anna Hotzfeld i jej mąż, zmuszeni przez okoliczności, wyjechali z Berlina. Korespondowała z nią przez całą wojnę i w ostatnim liście, który przyszedł pod koniec marca, pisała o tym, że zamierza wrócić do Berlina, jak tylko będzie mogła, i spróbować odbudować swoje życie osobiste i zawodowe; zamierzała otworzyć prywatną poradnię i, oczywiście, liczyła na swoją podopieczną przy realizacji tego pomysłu. Krista miała nadzieję, że Anna przyjedzie lada moment, choć docierały do niej informacje o poważnych problemach z przenosinami, ponieważ uchodźców, którzy – tak jak doktor Anna Hotzfeld – chcieli powrócić do swoich miast i domów i odbudować swoje życie, były setki tysięcy.

Choć wojna się skończyła, strach przed opuszczeniem mieszkania nie zniknął; strach przed Rosjanami, nadal panoszącymi się po mieście, jakby byli jego władcami, strach przed napastnikami, pijakami, ludźmi pozostawionymi samym sobie, strach przed zagrożeniem, które wyczuwało się na zrujnowanych ulicach, gdzie rządziło prawo silniejszego i żądza przetrwania.

Z tym strachem w sercu Krista kroczyła wśród ruin. Na chodnikach większości bulwarów i głównych alei powoli robiono przejście dla

pieszych wśród zwałów gruzu z do niedawna okazałych budynków. Na fasadach, które zdołały się ostać, w miejscu okien znajdowały się dziury otwarte niczym puste oczy zaglądające do wnętrza, ze zwisającymi poszewkami, ścierkami czy innymi kawałkami białego materiału na znak poddania się. Zaledwie kilka tygodni temu ten gest kapitulacji był absolutnie zakazany przez niemiecki rząd i oznaczałby dla mieszkańców karę śmierci. Krista dostrzegła kontrast pomiędzy tymi skromnymi, wołającymi o pokój flagami a wszechobecnymi czerwonymi sztandarami z nazistowską swastyką, do niedawna dumnie powiewającymi w każdym zakątku Niemiec, teraz w większości miejsc zastąpionymi flagami sowieckimi. W niektórych rejonach było widać ludzi z zapalem zmiatających chodniki albo rzędy kobiet, tworzące żywy łańcuch na stosach gruzów z wiadrami lub puszkami, które bez przerwy krążyły z rąk do rąk z samej góry aż do chodnika, gdzie inne wybierały cegły, oczyszczały je i układały do późniejszego wykorzystania. Na ulicach nadal głównie było widać kobiety, błąkały się w poszukiwaniu czegokolwiek, chodzeniem zabijając głód, niczym wychudzone zjawy.

Słońce mocno świeciło. Było gorąco. W drodze towarzyszyło jej nieustanne brzęczenie much – czarnych, zielonych lub niebieskich, w zależności od światła, zawsze tłustych, niespokojnych; panoszyły się wszędzie w powietrzu. Ulice oddalone od alei nadal były opustoszałe, jeszcze zbyt ciche i znacznie bardziej zaniedbane i zapuszczone. Przy każdym kroku wyczuwało się leżące w gruzach trupy, pokryte pyłem, kamuflującym ciała wśród ruin, które służyły za ponure łoże. Odrażający smród, jaki bił od tych zapomnianych zmarłych, zmusił ją do zakrycia ust chusteczką. Angela Blumenfeld uprzedziła ją, że ten fetor, gęsta masa gazu, osacza twarz, wdziera się do nozdrzy i w nich pozostaje, praktycznie uniemożliwiając normalne oddychanie.

Gdy dotarła na koniec ulicy, przy której kiedyś stał trzypiętrowy budynek z mieszkaniem doktor Hotzfeld, serce jej stanęło. Kamienica zniknęła z powierzchni ziemi, zniszczona przez bomby i strawiona przez płomień. Ostała się jedynie część głównej fasady; można było wejść

tędy na grożącą zawaleniem klatkę schodową, oprócz niej nie było nic, jedynie osmalone ruiny. Podeszła bliżej, żeby przyjrzeć się wojennym zniszczeniom.

Gruzy przeszukiwały trzy kobiety, stare i wysuszone, które próbowały odzyskać coś, z czego mogłyby mieć pożytek.

– Przepraszam! – zwróciła ich uwagę Krista. – Znają panie doktor Hotzfeld? Annę Hotzfeld. Mieszkała tu przed wojną. Wiedzą panie, czy wróciła?

Jedna z kobiet przerwała osobliwe poszukiwania i nieco zbliżyła się do Kristy. Była o wiele młodsza, niż wskazywał jej wygląd. Na głowie miała apaszkę, a jej twarz, dłonie i coś, co zapewne było piękną zieloną sukienką w kwiaty, pokrywała cienka warstwa białego pyłu.

– Doktor Hotzfeld jest tam.

Krista obróciła się w stronę miejsca, które wskazywała kobieta: niewielkiego parku widocznego wcześniej z okien mieszkania lekarki. Bardzo powoli podeszła do jego granic i z ożywieniem szukała jej wzrokiem wśród połamanych i zwęglonych drzew stojących obok tych, którym udało się uniknąć bomb. Za plecami odezwała się kobieta, która za nią poszła:

– Pochowaliśmy ją tutaj, pod tą lipą.

– Święty Boże... – Krista poczuła się tak, jakby dostała cios w brzuch.

– Co się stało?

– To się wydarzyło tydzień temu. Była tu od dwóch dni. Mieszkam w tym domu. – Wskazała przylegający zrujnowany budynek. – Znałam ją od jakiegoś czasu, trzymałyśmy się razem. – Wzruszyła ramionami, patrząc na park. – Ale przyszli Rosjanie... Dużo ich, za dużo... Jej trafił się wariat... Bił ją po głowie butelką, aż ją zabił. Tego dnia musiałyśmy pochować jeszcze trzy kobiety z tej ulicy. Jedną też zabili, dwie pozostałe nie były w stanie tego znieść.

Krista, porażona opowieścią, podeszła do skromnego kopca, w który wbito dwie związane na kształt prymitywnego krzyża deski. Na drewnianej tabliczce widniało nazwisko Anny Hotzfeld i data jej śmierci.

Nie była jedyną, obok jej grobu znajdował się tuzin innych prowizorycznych mogił z krzyżami i niezdarnie zapisanymi tabliczkami. Wróciły czasy prehistoryczne: ludzie chowali swoich zmarłych, gdzie popadnie. Krista nazrywała bukiet polnych kwiatów, które cudem ostały się wśród potwornego zniszczenia. Położyła je na grobie i pozwoliła sobie na długi, nieutulony szloch.

Po powrocie do domu spotkała Hansa i Jenell, siedzących na stopniu bramy z poważnymi, ponurymi minami.

– Co tu robicie? – spytała zdziwiona.

– Tata wrócił – odpowiedział Hans opieszale.

Krista nie wiedziała, co powiedzieć. A więc Ulrich von Schönberg wrócił. Wojna nie zechciała dać Claudii nawet chwili wytchnienia. Usiadła z nimi z poczuciem klęski. Była bardzo zmęczona.

– Nie cieszycie się, że przyjechał? – spytała po chwili.

Jenell milczała, wspierając jasną główkę na ramieniu brata, nieobecna, przytłoczona głębokim smutkiem. Hans wzruszył ramionami i spuścił brodę do piersi, jakby chciał zniknąć.

Obecność Ulricha von Schönberga położyła kres spokojnej wspólnej egzystencji trzech kobiet. Krista definitywnie przeniosła się na trzecie piętro i zaprosiła do siebie Angelę Blumenfeld, która kończyła przysposabiać do zamieszkania ruinę, w jaką zamieniono jej mieszkanie. Przez następne dwa dni nie widziały Claudii. Ulrich wrócił do Berlina przez Prusy Wschodnie, podając się za uchodźcę, przebrany za cywila, ze sfalszowaną tożsamością ofiary nazizmu. Od stycznia ukrywał się w opuszczonym pałacyku pod Kaliningradem. Sturmbannführer von Schönberg zdezerterował z Waffen-SS, pozostawiając na pastwę losu ludzi, którymi dowodził. Pałacyk, w którym przebywał, pozostał nietknięty, jakby wojna go ominęła. Tam znalazł cywilne ubranie, dokumenty i taką liczbę konserw, która pozwoliła mu przeżyć te miesiące.

Kilka dni po niespodziewanym powrocie Ulricha w mieszkaniu zjawił się znieńacka Makarow. Towarzyszył mu Uzbek obładowany różnymi dobrami. Drzwi otworzył Hans.

– Mamo! – krzyknął z przerażeniem na twarzy, nie spuszczać wzroku z porucznika, który, jak to miał w zwyczaju, starannie wycierał podeszwy butów w wycieraczkę przed drzwiami, nim wszedł do sieni. – Przyszedł porucznik Makarow!

Claudia, przestraszona, z duszą na ramieniu, weszła do pokoju, w którym Ulrich odsypiał zeszłodniowe pijaństwo. Szarpnęła nim, żeby go obudzić.

– Ulrich, zbudź się... Nie wychodź stąd – wyszeptała, kiedy w końcu otworzył przekrwione oczy. – Przyszedł rosyjski oficer. Nie wychodź, bo cię aresztuje, słyszysz?

– Mamo! – krzyknął ponownie Hans.

– Idę! – odpowiedziała, podnosząc głos, nie spuszczać wzroku z oszołomionego męża, do którego zaczęła docierać przyczyna całego zamieszania.

Odsunęła się od męża, kładąc dłoń na jego ustach, żeby nie robił hałasu. W końcu wyszła na korytarz i stanęła przed Rosjaninem, który przywitał ją, salutując z promiennym uśmiechem.

– Poruczniku... Nie spodziewaliśmy się pana.

– Obiecałem, że nie wyjadę bez pożegnania. Mój oddział w południe wyrusza do Rosji. Przyniosłem pani trochę rzeczy, które mogą się przydać.

Uzbek wypakowywał artykuły w kuchni.

– Napije się pan herbaty? – Składając tę propozycję, Claudia uświadomiła sobie swój błąd i wstrzymała oddech w obawie, że oficer z niej skorzysta.

– Dziękuję, ale musimy wyruszać. Jestem pani i pani sąsiadkom bardzo wdzięczny za gościnność. Bardzo było miło spędzić z paniami trochę czasu... – Porucznik podszedł do niej, chwycił ją za rękę

i pocałował grzbiet dłoni. – Zwłaszcza z panią, pani Claudio. Jest pani czarująca. Wystarczy spojrzeć pani w oczy, żeby się zakochać.

Claudia cofnęła gwałtownie dłoń, gdy za plecami Rosjanina dostrzegła świdrujące spojrzenie Ulricha, wstrząśnięta bijącą z jego oczu nienawiścią.

– Rosjanin umizgujący się do mojej żony w moim własnym domu... Nie do wiary.

Porucznik odwrócił się, zaskoczony głosem.

– Wynocha z mojego domu! – ryknął Ulrich, z nienawiścią wypluwając słowa.

Makarow obrzucił Claudię zimnym spojrzeniem.

– Panie poruczniku, proszę go nie wydawać... Błagam pana...

Oficer po chwili pochylił się nad nią lekko.

– Życzę pani szczęścia, Claudio. Będzie pani potrzebne.

Wyszedł z mieszkania z asystentem, nie zamykając drzwi.

Krista wracała z zakupów na kartki i zauważyła dwóch Rosjan wsiadających do dżipa, który na nich czekał. Samochód ruszył i zniknął jej z oczu. Zaniepokojona, czy porucznik widział Ulricha i tym, jakie mogłoby to mieć konsekwencje, wbiegła na drugie piętro. Drzwi były przyknięte. Pchnęła je ostrożnie i weszła do przedsionka, ale stanęła na widok Hansa i Jenell kryjących się w głębi korytarza, wtulonych w siebie, ze strachem na twarzach. Z salonu dobiegały podniesione głosy. Krista czuła, że małżonków dzieli przepaść nie do pokonania; z jednej strony była ona, z drugiej – dzieci. Hans patrzył na siostrę z poważną miną, zatroskany. Mała tuliła się do niego, osłaniana jego ramieniem.

W salonie Ulrich, bosy i w samej bieliźnie, wyglądał groteskowo. Stał bardzo blisko Claudii i przemawiał do niej z pogardą.

– Sypiałaś z brudnym bolszewikiem, kiedy ja ryzykowałem życiem, żeby ich wytępić.

– A myślisz, że ja nie ryzykowałam?

Cios jej nie zaskoczył, ale był tak silny, że powalił ją na podłogę. Skuliła się, przykładając czoło do dywanu, i przypominała sobie wszystko, co

wycierpiała, te wszystkie razy, kiedy jej ciało zostało zbezczeszczone, wszystko, co musiała znieść, i uświadomiła sobie, jak niesprawiedliwy był ten cios. Zbuntowała się z wściekłością.

– Przespałabym się z nim, gdyby mnie o to poprosił. Gwałcili nas, poniżali, wiele kobiet zabili, a mnóstwo innych nie potrafiło z tym żyć... A ty się zjawiasz jako obrażony mąż z urażoną godnością. Gdzie byłeś, kiedy mnie gwałcili? – podniosła głos z błyskiem pogardy w oczach. – Idź do diabła, Ulrich.

– Jesteś bezwstydną dziwką. Brzydzę się tobą.

– Nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz.

Rozwścieczony Ulrich ruszył do niej z podniesioną ręką, zamierzając ponownie ją uderzyć.

– Jeśli mnie tkniesz, doniosę na ciebie Rosjanom – zagroziła.

Ulrich stanął jak wryty, z ponurą miną i uniesioną groźnie ręką.

– Nie zrobisz tego – stwierdził, opuszczając rękę. – Nie pozbawiłabyś dzieci ojca.

– Nie jesteś ich ojcem, Ulrich. – Głos Claudii stał się melodyjny, upajała się tym, że w końcu może powiedzieć mu tę prawdę prosto w oczy. – Ty nie możesz mieć dzieci. Jesteś bezpłodny od piętnastego roku życia po śwince, którą wtedy przeszedłeś. Powiedział mi o tym twój ojciec, kiedy byłam w ciąży z Hansem.

Przez chwilę panowała przejmująca cisza. Krista przyglądała się wstrząśniętym dzieciom.

– Kłamiesz! – ryknął Ulrich na cały salon.

– Nie jesteś ich ojcem – powtórzyła z miażdżącą pewnością. – Nie widzisz? Żadne ani trochę nie jest do ciebie podobne. Są twoim całkowitym przeciwieństwem.

Krista czuła silne dudnienie w skroniach. Wstrzymywała oddech. Spojrzała na drugi koniec korytarza. Hans patrzył na nią, a ona ze zdumieniem odkryła w oczach chłopca spojrzenie Jurija; odwróciła wzrok, przestraszona twardą rzeczywistością. Odwróciła się, powoli podeszła do drzwi i poszła do swojego mieszkania.

Od tamtej pory sytuacja Claudii się pogorszyła. Ulrich zaczął przyjmować w domu dwóch kolegów z wojska, którzy, tak jak on, zdołali się wyrwać ze szpon bolszewików. Pili i jedli bez umiaru, jakby wszystkiego miało być wiecznie pod dostatkiem, a ona z przerażeniem patrzyła na to, jak szybko kurczą się zapasy, ale niewiele mogła zrobić, więc w milczeniu dla nich gotowała. Dzieci całe dni spędzały na dworze, w swoim pokoju albo szukały schronienia u Kristy. Matka nie chciała, żeby były świadkami gorszącego, wulgarnego zachowania trzech oficerów SS.

Dzień był gorący i zaczynało się ściemniać. Krista i Angela Blumenfeld przez chwilę siedziały w salonie. Mała Jenell bawiła się przy nich lalką. Z radia, które przyniosła od siebie Angela, rozbrzmiewała muzyka Bacha. Pani Blumenfeld szyla spódnice, a Krista usiłowała czytać książkę, ale nie mogła się skupić, bo od jakiegoś czasu przez otwarte na drugim piętrze okna dobiegały głosy i śpiewy świętujących w mieszkaniu pod nimi.

– Biedna Claudia – wyszeptała pani Blumenfeld tak, żeby Jenell nie usłyszała. – Nie wiem, co z nią będzie. Hans mi wczoraj powiedział, że całymi dniami płacze. – Spojrzała na małą, która sprawiała wrażenie pochłoniętej światem zabawek. – Te dzieci takie smutne... Nie mogę w to wszystko uwierzyć.

Nagle rozległy się krzyki i odgłosy uderzeń. Krista wychyliła się przez okno. Brak szyb pozbawiał domy intymności. Obelgi Ulricha niosły się na całą ulicę, akompaniował im przeraźliwy krzyk Claudii. Odwróciła się do Jenell, która patrzyła na nią ze strachem, bliska płaczu, tuląc do siebie lalkę.

Krista podeszła do drzwi.

– Nie wychodź! – odradziła jej Angela Blumenfeld, biegnąc za nią z przerażeniem. – Nie wtrącaj się, na wszystkie świętości, nie wtrącaj się...

Ale ona zdążyła już zejść i z całej siły zapukała.

– Claudia! Otwórz. Claudia!

Nie doczekała się reakcji, więc waliła dalej, aż w końcu drzwi się otworzyły. W progu stał Ulrich z przekrwionymi od alkoholu oczami, brudną, potarganą grzywką na czole, bez koszuli i z butelką wódki w dłoni.

– Następną dziwka – wybełkotał pijackim głosem. – Czego chcesz? Przyłączyć się do imprezy?

– Gdzie jest Claudia?

– Tam, gdzie powinna być. – W tej chwili rozległ się śmiech mężczyzn i jęk Claudii. Ulrich przechylił głowę na bok ze złośliwą miną. – Daje moim kumplom to samo, co dawała bolszewickim świniom. – Chwiał się z boku na bok. – Ty też masz doświadczenie. Jak chcesz, to zapraszam...

Krista bez wahania odważnie mu się przeciwstawiła.

– Ty skurwysynu! – Wycelowała w niego palcem wskazującym. – Doniosę na pana. Aresztują pana i zapłaci pan za swoje zbrodnie.

Ulrich chwycił ją brutalnie za szyję i przysunął się do niej na tyle, że poczuła jego cuchnący oddech.

– Tylko spróbuj, a ją zabiję... Ją i te jej bękarty.

Krista patrzyła w ziejące nienawiścią oczy, które potwierdzały, że spełni swoją groźbę. Wypuścił ją i wyrzucił na klatkę, po czym z hukiem zamknął drzwi.

Stała nieruchomo, słyszała odgłosy uderzeń, krzyki i śmiechy, których muzyka nie była w stanie zagłuszyć. Rozsadzała ją wściekłość. Zrozpaczona osunęła się na stopień. Zeszła do niej Angela Blumenfeld i usiadła obok niej. Chwyciła ją za rękę i czule gładziła jej dłoń.

– Dlaczego to zawsze na nas spada najgorsze?

Pani Blumenfeld objęła ją z uczuciem.

– Claudia jest o wiele silniejsza, niż myślimy. Podniesie się z tego.

Ze spuszczonej głowami wróciły na trzecie piętro, gdzie czekała na nie Jenell z lalką wiszącą w dłoni.

– Co z mamą? – spytała ze smutną miną.

– Niedługo ją zobaczysz, skarbie – zapewniła pani Blumenfeld i pocałowała ją w czoło. – A teraz upieczemy ciasto, które tak lubisz. Co ty na to? – Chwyliła małą za rękę i wprowadziła ją do mieszkania.

Zrozpaczona Krista przed wejściem wychyliła się ze schodów. Było już ciemno, gdy usłyszały, że goście wychodzą z imprezy. Krista wyjrzała przez okno. Dwaj mężczyźni oddalali się ulicą, pijani, chwiejnym krokiem, bez marynarek, z wystającymi ze spodni koszulami i śpiewali jakąś piosenkę, zawodząc niemiłosiernie.

Spojrzała na okna na drugim piętrze. Zdawało się, że w mieszkaniu zapanował spokój. Impreza się skończyła.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Krista pobiegła otworzyć, spodziewając się Claudii, ale w progu stał Hans, który przyszedł po siostrę.

– Z twoją mamą wszystko w porządku? – spytała zaniepokojona.

– Nie wiem – odpowiedział chłopiec z poważną miną. – Jeszcze jej nie widziałem.

Chwylił siostrę za rękę i razem poszli do domu.

Tuż przed północą, kiedy Krista zamierzała się położyć, usłyszała głośne pukanie do drzwi. Otworzyła i zobaczyła Hansa z potężnym rozczarowaniem w oczach. Na rękach trzymał siostrę, która z całych sił ścisnęła swoją lalkę. Dzieci były w piżamach. Jedną dłoń Hans podtrzymywał zmaltretowane ciało matki, która ledwie mogła utrzymać się na nogach, zgarbiona, ze spuszczoną głową, posiniaczoną twarzą i nieobecny, całkiem nieobecny wzrokiem.

Warszawa, o świcie 5 czerwca 1945 roku

Drogi Juriju,

mam nadzieję, że czytasz te litery i że los da Ci tę szansę, której mi odmawia. Z tą nadzieją chcę Cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobił, coś, co rozdziera mi duszę. Proszę Cię, żebyś przekazał ten medalik moim rodzicom. Mieszkają w Brienz, małym miasteczku w Szwajcarii, niedaleko Interlaken. Wiem, że wojnę przeżyli w miarę spokojnie i że niecierpliwie czekają na mój powrót. Ale życie nie zawsze toczy się tak, jak byśmy chcieli. Przekaż im, że kochałem ich całym sercem, że byli najlepszymi rodzicami, jakich dziecko może sobie wymarzyć; powiedz mojej mamie, że żałuję, że nie dałem jej tak upragnionych wnuków i że pęka mi serce na myśl, ile bólu im sprawiłem. Wiem, że gdybym wysłał ten list bezpośrednio do nich, nigdy by go nie otrzymali, a nie mogę znieść myśli, że na próżno będą wyczekiwali mojego powrotu...

W tych ostatnich godzinach życia nie wyrzekam się moich ideałów, w które nadal wierzę, i odchodzę z tego świata, ciesząc się, że ich broniłem. Ale w jednym muszę przyznać Ci rację: nawet najbardziej wzniosłe ideały w rękach tyraństwa zamieniają się w tyranie. Proszę Cię, żebyś się nie obwiniał o mój smutny koniec. Nie dajmy im tej satysfakcji. Obaj byliśmy skazani, gdy Cię odkryłem na Kółmie. Obyś ocalał, Jurij, bo dzięki temu moje poświęcenie nie pójdzie na marne. Jutro wszystko się dla mnie skończy. Umrę o świcie pięknego majowego dnia...

Uważaj na siebie, Jurij, a jeśli zdołasz uwolnić się z tego piekła, przeżyj intensywnie życie, które mnie nie dane jest przeżyć.

Axel Laufer

Moskwa, 10 maja 1945

– Mam się dziś stawić w Łubiance – wyznał mu Axel niepewnie.

Obaj zdawali sobie sprawę, że nie jest to dobra wiadomość. Od jakiegoś czasu bacznie mu się przyglądano z powodu niemieckiego pochodzenia, a jego upór w dążeniu do uwolnienia Jurija z Kołymy zwrócił uwagę jednego ze strażników, który poinformował o wszystkim Moskwę. List, który Jurij trzymał w rękach, potwierdzał, że podstępny cień Pietii Smełowa w końcu dosięgnął też Axela Laufera.

Przyjemny zapach świeżo zaparzonej kawy sprowadził go na ziemię. Westchnął ciężko, list wraz z medalikiem włożył do podniszczonej koperty z jego nazwiskiem, schował ją i wyszedł na korytarz domu zajmowanego przez oficera NKWD, któremu służył za tłumacza w Warszawie od końca stycznia, od czasu wyzwolenia miasta przez armię sowiecką. Oprócz Jurija i oficera w domu zamieszkało dwóch Sowietów i jeden Polak, a ich zadaniem było sporządzanie i przesyłanie raportów na temat wszelkiej przechwyconej od nazistów dokumentacji piętrzącej się na biurku dawnego właściciela domu, szanowanego żydowskiego adwokata, który zniknął z powierzchni ziemi wraz z żoną i pięciorgiem dzieci.

Masza Kuzniecowa, rosyjska żołnierka, asystentka porucznika, która nastawiła kawiarkę, z zaangażowaniem kochanki przygotowywała śniadanie dla oficera.

Jurij uśmiechnął się, wchodząc. Wziął kubek i nalał gorącej kawy po sam brzeg. Usiadł i objął kubek dłońmi. Dziewczyna zerkała na niego, rozsmarowując konfiturę na kromce czarnego chleba.

– Czekają na ciebie na dole, masz z nimi jechać do kwatery dowództwa.

– Co za ranne ptaszki – rzucił Jurij ironicznie.

Rozkaz marszałka Konstantego Rokossowskiego dotarł bardzo późno poprzedniego dnia. Oficer, któremu służył, powiadomił go o tym zimnym, zdystansowanym tonem. Miał się stawić w kwaterze o świcie.

– Może nic się nie stanie – wyszeptwała.

Jurij roześmiał się sardonicznie.

– Od pewnego czasu nie wierzę w cuda.

– Służyłeś Stalinowi jak inni. Nie mogą ci tego zrobić.

– Nikomu nie służyłem, Masza, a już na pewno nie Stalinowi.

– Ale to niesprawiedliwe – zaprotestowała stanowczo ze zboląłą miną.

Jurij, zafrapowany, pogodzony z nieuchronnym losem, odezwał się przygaszonym głosem:

– Ktoś kiedyś mi powiedział, że Rosja zawsze dotrzymuje słowa.

Uniósł kubek do ust, podmuchał lekko i wypił łyk kawy. Gorzki, gorący płyn spłynął przełykiem do żołądka. Zrobiło mu się przyjemnie.

– Jak byłam mała, moja mama w tajemnicy przed ojcem nauczyła mnie modlitwy. Dziś ją za ciebie zmówię.

Spojrzał na nią z wdzięcznością.

Wyciągnął z kieszeni list, wziął leżący na tacy ołówek i na kopercie pod swoim nazwiskiem dopisał: „Julius Laufer. Brienz, Szwajcaria”.

– Zrobisz coś dla mnie?

– Pewnie.

– Zadbaj o to, żeby ten list dotarł do adresata. To dla mnie ważne. Zrobisz to?

Kiwnęła głową. Wzięła list i schowała go do torebki, a potem wzięła tacę i wyszła z kuchni, zaciskając wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Jurij dopił kawę. Nic nie zjadł. Wolał mieć pusty żołądek, żeby pod wpływem stresu przypadkiem nie wymiotować. Odświeżył się, włożył sowiecką kurtkę i czarne buty z lśniącej skóry, na głowę wcisnął czapkę z gwiazdą i znów wyszedł na korytarz. Napotkał tam żołnierkę, która zaniósła śniadanie do pokoju oficera i czekała na niego zrozpaczona tym definitywnym pożegnaniem. Jurij Michajłowicz był dla niej miły, traktował ją z szacunkiem i sympatią, co rzadko się zdarzało wśród jego kolegów. Ona czuła wobec tego pół-Rosjanina tę samą miłość, jaką darzyła ukochanego brata, którego straciła na wojnie dwa i pół roku wcześniej. Tych kilka miesięcy przywróciło jej wiarę w człowieka.

Patrzyła na niego ze smutkiem, starając się wyryć w pamięci obraz tego mężczyzny, zanim odbiorą jej także jego. Niespodziewanie padła mu w objęcia, zaledwie na chwilę, i zaraz się cofnęła, zawstydzona tym przejawem słabości. Stali twarzą w twarz. Jurij przyglądał jej się z żalem: była bardzo młoda, miała zaledwie dwadzieścia lat, pochodziła z Białorusi; matkę straciła, gdy miała dziewięć lat, wraz ze starszym bratem została pod opieką surowego, wiecznie pijanego ojca, który wysłał ich do pracy w polu – dlatego nie nauczyła się ani czytać, ani pisać. Jurij wiedział, że się tego wstydzi, choć była bystra i zaradna. Gdy dowiedziała się o śmierci brata, który zginął w krwawej bitwie pod Staliningradem, zaciągnęła się do sowieckiej armii jako żołnierka, gotowa pomścić ukochanego brata poległego w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Walczyła jak inni żołnierze, brnąc w błocie, strzelając, ratując życie kolegom, odważna i śmiała w bitwie. Po poddaniu się Niemiec i zakończeniu wojny Masza Kuzniecowa zakończyła wojskową karierę w rosyjskiej armii i na powrót stała się zwykłą kobietą, odartą z bohaterstwa, które przypisywano walczącym mężczyznom. Porucznik, któremu ją przydzielono, traktował ją dobrze, zawsze uprzejmy i grzeczny – nie mogła powiedzieć na niego złego słowa, ale nie poszła na wojnę po to, żeby pracować majtki oficerowi ani dogadzać mu w łóżku ze świadomością, że po powrocie do Moskwy, w ramionach czekającej na niego ukochanej żony, zapomni nawet jej imię.

Jurij po bratersku pocałował ją w czoło.

– Nigdy nie zapominaj, że miłość i nadzieja są nieskończenie potężniejsze niż nienawiść i furia.

Dziewczyna spojrzała na niego oczami pełnymi łez, z drżącą brodą. Jurij posłał jej uśmiech, odwrócił się i wyszedł. Na ulicy czekał na niego patrol uzbrojonych żołnierzy. Zatrzymał się na chodniku. Nabrał do płuc świeżego powietrza i wznosił oczy do nieba, rozjaśnionego już pierwszymi promieniami słońca. Nie dostrzegł ani jednej chmurki na pogodnym horyzoncie. Piękny wiosenny dzień, pomyślał. Jego ostatni świt.

Zajął miejsce obok kierowcy bantama BRC-40, jednego z wielu pojazdów, jakie armia rosyjska otrzymała od Stanów Zjednoczonych do walki z siejącym grozę nazizmem. Do auta wsiedli też jego strażnicy. Kierowca uruchomił silnik i ruszyli do kwatery dowództwa. Masza Kuzniecowa nie wyszła na ulicę.

Rok wcześniej w Warszawie polskie podziemie zorganizowało powstanie przeciwko nazistowskiej okupacji i walczyło z Niemcami przez ponad sześćdziesiąt dni. Tę akcję zbrojną przypłaciły życiem setki tysięcy polskich cywilów, w większości rozstrzelanych, a miasto zostało właściwie zrównane z ziemią. Pięć miesięcy po wyzwoleniu przez armię sowiecką widok Warszawy nadal porażał: zniszczone ulice, zgliszcza i ruiny w miejscach, gdzie wcześniej wznosiły się piękne kamienice, szkielety budynków z okaleczonymi ścianami, w których było widać strzępy życia płynącego niegdyś w przytulnych domach, zwały gruzu rozmaitych rozmiarów piętrzące się na chodnikach.

Gdy dotarli przed drzwi kwatery dowództwa, Jurij wyskoczył z dżipa. Przybrał na wadze i odzyskał siły. Ustąpiły skurcze i zawroty głowy, do których przyzwyczały go głód i chłód Kołymy. Odkąd przywdział mundur Armii Czerwonej, jego życie diametralnie się zmieniło, a wszystko zawdzięczał Axelowi, który zaryzykował dla niego życiem i je stracił. Na swoim nowym stanowisku towarzyszył marszałkowi Konstantemu Rokossowskiemu w marszu na Warszawę, stale u jego boku, tłumaczył wszelkie przechwycone raporty oraz rozkazy jeńcom wojennym i wyzwolonym cywilom. Dobrze odżywiony, dobrze ubrany, przemieszczał się zawsze samochodem i nie mógł się skarżyć na to, jak przez te ostatnie miesiące traktowało go życie – nazwałby to rajem w porównaniu do tego, co przeżywał na Syberii, gdyby nie przemoc Sowietów, jakiej był świadkiem, nie tylko wobec żołnierzy wroga, ale także wobec ludności cywilnej, a zwłaszcza brutalne traktowanie kobiet, bez względu na wiek.

Bezradność wobec tak wielkiej niesprawiedliwości nękała jego duszę; musiał zamykać oczy, żeby nie widzieć, odwracać głowę, żeby nie patrzeć

na rozsiewaną wokół furję. Ze smutkiem wspominał, jak przyjęli ich głodujący mieszkańcy Warszawy w tamte mroźne styczniowe dni, dając im wodę, mleko, kwiaty, pełni nadziei i wdzięczni za wyzwolenie spod zabójczego jarzma nazistów. Biedni naiwni, myślał Jurij z bezgranicznym współczuciem, myśleli, że wyzwolą się z piekła, a tymczasem stali się ofiarami samowolnych i okrutnych porachunków.

Wszedł do budynku przysposobionego na siedzibę dowództwa Armii Czerwonej. W obstawie jednego z żołnierzy dotarł do drzwi gabinetu marszałka Rokossowskiego. Zapukał i wszedł, słysząc ze środka rozkaz.

Marszałek pochylał głowę nad kartką. Na chwilę oderwał wzrok i przestał pisać, żeby spojrzeć na przybyłego, po czym natychmiast powrócił do przerwanej czynności.

Jurij stał na baczność, aż Rokossowski postawił pieczęć na swoim podpisie. Później znów spojrzał mu w oczy. Odezwał się poważnym tonem:

– Juriju Michajłowiczu Santacruzcie, wiesz, po co cię wezwałem. Jesteś gotów?

– Czy na to można być gotowym?

Marszałek spojrzał na niego łaskawie.

– Wobec mnie wywiązałeś się ze swoich obowiązków, Juriju Michajłowiczu, ale rozkazy z Moskwy są kategoryczne. Beria domaga się twojego trupa. – Palcem wskazał leżącą na stole kartkę. – Na tym raporcie widnieje twoje nazwisko, godzina powieszenia i moje poświadczenie, że wyrok został wykonany...

– Panie marszałku... – Jurij nie zdołał się powstrzymać i mu przerwał.
– Lepiej miejmy to za sobą jak najszybciej.

Marszałek przyjrzał mu się z namysłem. Wysunął jedną z szuflad, wyciągnął jakiś papier, wstał, obszedł biurko, podszedł do Jurija i podał mu kartkę.

– Co to jest? – Nie miał odwagi jej dotknąć.

– Masz godzinę na zniknięcie.

Jurij, zaniepokojony, wziął pismo, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Co pan ma na myśli?

– To list żelazny, który pozwoli ci dotrzeć na Zachód jako uchodźcy.

– Złamie pan przysięgę? – spytał zdezorientowany Jurij.

Konstanty Rokossowski uniósł brwi w grymasem na twarzy.

– Obawiam się, że nie mam wyjścia.

– A trup?

– Mam ich setki – odpowiedział z wyższością, po czym łagodniejszym tonem dodał: – Wracaj do domu, na pewno czeka na ciebie piękna kobieta.

Twarz Jurija spochmurniała.

– Nie jestem pewien... Zbyt dużo czasu minęło, zbyt wiele się wydarzyło.

– Jeśli nie pojedziesz, nigdy się nie dowiesz. Jesteś wolny, Juriju Michajłowiczu.

Gdy to usłyszał, przeszył go dreszcz. Od pięciu lat nie był człowiekiem wolnym, pozbawiono go możliwości decydowania o tym, co robić, dokąd pójść, kiedy kłaść się spać i kiedy wstawać, decydować o tym, co zje i czego się napije. Stał się automatem w rękach swoich strażników, od których zależał nawet jego oddech. Aż tu nagle, dzięki temu jednemu zdaniu Rokossowskiego, znów miał przyszłość, odzyskiwał człowieczeństwo, zadrwił ze śmierci.

– Wolny – wyszeptał, ogarnięty wewnętrznym spokojem, niemal zapomnianym. – Jestem wolny...

– Tak – powtórzył marszałek, wracając na swoje miejsce. Wyciągnął papierosa i zapalił. – Musisz wiedzieć, że dla Związku Radzieckiego Jurij Michajłowicz Santacruz jest martwy. Nigdy nie będziesz mógł wrócić.

Po długim, celowym milczeniu Jurij odezwał się do niego świadomie i szczerze podniosłym tonem:

– Panie marszałku, zawdzięczam panu życie.

Oficer wodził wzrokiem za papierosowym dymem, unoszącym się przed jego twarzą.

– Mam dość śmierci. Od pierwszego dnia walczyłem w tej wielkiej wojnie ojczyźnianej, wypełniając rozkazy Stalina. Wygraliśmy wojnę, a wielu zwycięzców wracających do domów zostaje zatrzymanych, wsadzonych do pociągu i wysłanych do Magadanu z karą dziesięciu lat. Nie muszę ci tłumaczyć, co ich tam czeka.

– A jakie są tego powody? – spytał Jurij, choć wiedział, że w Związku Radzieckim nie potrzeba powodu, żeby zostać zatrzymanym. Wszyscy jednak myśleli, że gdy skończy się wojna, sytuacja ulegnie zmianie. Wielu żołnierzy, z którymi przez te miesiące spędzał czas, zwracało na to uwagę. Wszystko powinno wyglądać inaczej. Stalin powinien być dumny z zacieklej walki swojego narodu.

– Różne i rozmaite – odpowiedział marszałek, wzruszając ramionami.
– To, że zostało się aresztowanym przez Niemców, uszło z życiem z nazistowskich obozów koncentracyjnych. – Spojrzał na niego wzrokiem pełnym bólu. – My, którzy wiedzieliśmy, jak wyglądają tutaj domy i drogi, jak się żyje bez komunizmu... Wszyscy staliśmy się dla ojca Stalina zagrożeniem, zasługującymi na karę zdrajcami. Obawiam się, że taki los czeka i mnie. Nie zdziwiłbym się: mnie, podobnie jak ciebie, także wyciągnięto z Magadanu, żebym walczył na wojnie... jego wojnie. Wygraliśmy ją, więc nie jesteśmy mu do niczego potrzebni. – Odwrócił wzrok, zawstydzony tym, że się wzruszył. – Jeśli będę musiał tam wrócić, chciałbym, żeby ktoś wspominał mnie z wdzięcznością. Tylko dzięki temu można przeżyć w miejscu tak zimnym. Nie sądzisz?

– Jestem o tym przekonany – przyznał Jurij. – Dziękuję, panie marszałku.

Sowiecki oficer przez chwilę nie spuszczał wzroku z Jurija. W końcu popatrzył na leżące na biurku dokumenty, ignorując jego obecność.

Jurij powoli odwrócił się do drzwi, niepewnie, nie mogąc uwierzyć w to, co się działo. Miał wrażenie, że stracił zdolność samodzielnego decydowania o sobie, kierowania własnym życiem.

Wyszedł na ulicę. Nikt nie czekał, żeby go nadzorować, strażników nie było. Ciągłe nie dowierzając, rozejrzał się dookoła. Ruszył przed siebie,

wstrzymując oddech, spodziewając się, że w każdej chwili może zostać zatrzymany albo powali go strzał w plecy. „Wolny, wolny”, powtarzał to słowo z każdym stawianym krokiem. „Wolny, wolny”, jego wargi rozchyłały się, żeby wypowiedzieć te słowa – one niczym paliwo napędzały go w drodze.

Przestraszyła go czyjaś obecność za plecami. Odwrócił się i zobaczył Maszę Kuzniecowa, promienną, uśmiechniętą na jego widok.

– Byłam pewna mocy tej modlitwy, której nauczyła mnie mama.

Mimowolnie przysunęła się do niego i padła mu w ramiona z siostrzanym uczuciem, które Jurija wzruszyło.

– Co ty tu robisz? – spytał, kiedy w końcu znów mógł jej spojrzeć w błyszczące z radości oczy. – Porucznikowi będzie cię brakować.

Wzruszyła ramionami, nie przestając się uśmiechać.

– Miałam przecucie... – Sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła kopertę i mu ją podała. – Chyba już mnie do tego nie potrzebujesz.

Jurij z zadowoloną miną schował list od Axela. Dziewczyna przyglądała się z uśmiechem, bez słowa, temu, kogo uważała za brata cudem wyrwanego ze szponów śmierci, która zdążyła go dopaść.

– Muszę iść – powiedziała w końcu. – Napiszesz do mnie?

– Jasne – odpowiedział uprzejmie Jurij. – Podaj mi adres.

Masza powiedziała mu nazwę ulicy w Gacuku, jej miejscowości na Białorusi.

– Będziesz pamiętał? – upewniła się.

– Nie zapomnę, ale musisz mi obiecać, że nauczysz się czytać i pisać, żeby móc odczytać moje listy i do mnie napisać. Obiecujesz?

– Obiecuję – przyrzekła z radosną pewnością. – Obiecuję.

Masza Kuzniecowa odwróciła się i pobiegła. Jurij przyglądał jej się, dopóki nie znikła mu z oczu. Ona była jasnym promykiem tej wielkiej wojny ojczyźnianej, która dobiegła końca.

Ostatnie dni w Berlinie...

Poniedziałkowy ranek, 15 czerwca 1945 roku

Claudia i Krista siedziały w kuchni z Jenell i Hansem, którzy ze smakiem zajadali suchy chleb. Skąpa racja masła, którą zdobyły na kartki poprzedniego dnia, wystarczyła zaledwie na parę kromek. Claudia oddała im część swojego chleba, a Krista – swoją porcję masła. Kobiety piły gorącą herbatę z niewielką ilością cukru, który dodawał im sił. Jenell zjadła ostatni okruszek i spytała żałośnie:

– Nie ma więcej?

– Przykro mi, córciu... – odpowiedziała matka, zasmucona tym, że nie może nakarmić dzieci. – Trzeba zostawić trochę na wieczór, inaczej z głodu nie zaśniecie.

Mała niechętnie się podniosła i wyszła z kuchni, a zaraz za nią ruszył Hans.

– Jeśli nie zdobędę jedzenia, mała w końcu się rozchoruje. – Claudia była zdruzgotana. Nagle się wyprostowała, jakby podjęła decyzję. – Pójdę na dół do Ulricha, poproszę o puszki, które są w spizarce. Było ich sporo, i ziemniaki... Musi mi je dać.

Krista jej zabroniła.

– Nie możesz się do niego zbliżać, Claudio. Wiesz, że ci ich nie da, nie ma sensu ryzykować.

Claudia spojrzała na przyjaciółkę z bezgranicznym smutkiem i pokręciła głową.

– Właściwie niczego nie mogę od niego żądać – wyszeptała załamana.

Minęło kilka tygodni, odkąd Claudia z dziećmi schroniły się w mieszkaniu Kristy. Kiedy Ulrich wytrzeźwiał i zorientował się, że się wyprowadzili, wyrzucił ze schodów wszystkie ubrania Claudii i dzieci. Dzięki temu mieli w co się ubrać. Strach przed aresztowaniem kazał mu się ukrywać, więc w ogóle nie wychodził z domu. Claudia wiedziała, że zapasy pozwolą mu przetrwać kilka tygodni, jeśli będzie z nich korzystał rozsądnie. Bała się, że zrobi krzywdę jej albo dzieciom, więc oni też prawie nie wychodzili z domu.

Krista patrzyła na nie niepewnie. Jej głos zabrzmiał cicho.

– Są jego, prawda? – Odszukała wzrok Claudii. – Dzieci... są Jurija? – Chciała ją o to zapytać, odkąd usłyszała, jak rzuca te słowa w twarz Ulrichowi.

Claudia uśmiechnęła się ze smutkiem i kiwnęła głową.

– Hansa poczęliśmy, kiedy ciebie nie było jeszcze w jego życiu. Ale Jenell... – Spuściła wzrok. – Przykro mi, Krista... Bardzo mi przykro.

Krista wyciągnęła nad stołem dłoń, chwyciła Claudię za rękę i ścisnęła ją czule.

– Mamy szczęście, Claudio, pomyśl... Przynajmniej coś nam po nim zostało.

Przerwał im krzyk po drugiej stronie domu, który w pierwszej chwili je przestraszył. Pani Blumenfeld biegła przez korytarz, wykrzykując rozentuzjasmowana.

– Woda! Mamy wodę!

Krista wstała i odkręciła kurki w kuchni, i we trzy w ekstazie przyglądały się, jak kran zaczyna krztusić się cennym płynem, jakby wypływającym przez rury.

– Wielkie nieba – odezwała się staruszka. – Jakbym patrzyła na mannę lecącą z nieba. Co za radość.

– Koniec z dźwiganiem wiader na trzecie piętro – ucieszył się Hans, który przybiegł do kuchni z Jenell i przyłączył się do tego pięknego spektaklu.

– Będziemy mogli się wykąpać, zamoczyć całe ciało w wannie – dodała Claudia z radością, wyobrażając sobie to doznanie. – Nie mogę w to uwierzyć...

Gdy już uczcili odzyskanie wody w kranach, dzieci wróciły do swoich zabaw, a kobiety zostały same. Angela Blumenfeld zrobiła sobie herbatę i usiadła przy stole, gdy Claudia wstawiała, żeby sprzątnąć talerze zostawione przez dzieci i zanieść je do zlewu.

– Mała jest bardzo chuda – zauważyła staruszka. – Powinna pić mleko.

Kartki żywnościowe wydawane przez Rosjan nie wystarczały na zaspokojenie głodu społeczeństwa, które od dawna nie miało co do ust włożyć i żyło w niedostatku. Angela i Krista zajmowały się wykupywaniem żywności na kartki i czasami wracały z torbami w połowie pustymi, bo towar się skończył albo przywieziono go za mało. Pani Blumenfeld wyczarowywała cuda z ziemniaków, grochu i pokrzyw, które zbierała po drodze, żeby nadać nieco smaku wywarom. Największe ilości mięsa przysługiwały dzieciom, ale brakowało go nawet, żeby zaspokoić pierwszy poranny głód. Wszyscy byli potwornie wychudzeni, ale najslabsza była Jenell; ciągle była głodna, ciągle zmęczona, całe godziny przesiadywała w fotelu, nic nie robiąc, i matka zaczynała się o nią martwić, a wraz z nią pani Blumenfeld.

Po chwili dłużej, przytłaczającej ciszy staruszka wyciągnęła z torebki szmaciany woreczek i wysypała na stół jego zawartość.

– To biżuteria, którą udało mi się odnaleźć w gruzach mojej sypialni. Mąż mojej kuzynki Izabeli zna jubilera, który skupuje wszelkiego rodzaju ozdoby. Nie są wiele warte, ale to złoto, coś za to dostaniemy.

Claudia odwróciła się i spojrzała na splątane łańcuszki, pierścionki, broszki i wisioriki, które wyleciały z torebki.

– Pani Blumenfeld – odezwała się ze wzruszeniem. – Jestem pani z całego serca wdzięczna, ale nie mogę się zgodzić, to pamiątki... Nie mogę ich przyjąć.

Krista wstała.

– Proszę to schować, pani Angelo. Mam coś, co na jakiś czas może nas wyzwolić z opresji. – Wyszła z kuchni i wróciła z zegarkiem Hitlera, który dała jej Ernestine Rothman, zanim zabił ją pocisk. Położyła go na stole. – Wreszcie może będzie jakiś pożytek z Hitlera.

Hans zajął do kuchni przerażony.

– Przyszli rosyjscy żołnierze. Wchodzą na klatkę.

Claudia się przestraszyła. Krista wstała i podeszła do niej, mówiąc:

– Zaczekaj tutaj. Pójdę sprawdzić, o co chodzi.

Wyszła na schody. Usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Wychyliła się poza poręcz i zobaczyła pół tuzina mężczyzn, którzy zatrzymali się na drugim piętrze. Walenie do drzwi, krzyki wzywające do ich otwarcia. Ze swojego mieszkania wyszła też Eva Bauer. Przestraszył je strzał. Żołnierze przestrelili zamek i dalej krzyčili i wydawali rozkazy. Krista widziała, jak wyprowadzają Ulricha z mieszkania i szturchając, wyganiają go na ulicę. Zamieszanie słychać było w całej klatce. Krista zbiegła po schodach. Kiedy wychodziła z klatki, żołnierze stawiali Ulricha pod ścianą budynku po przeciwnej stronie ulicy. Nie protestował, stał prosto, niechlujnie ubrany, w koszuli, bosy, w brudnych spodniach. Gdy pluton wycelował w niego broń, stanął na baczność, wyciągnął rękę i krzyknął „Heil Hitler!” dokładnie w chwili, kiedy padła krótka seria i Ulrich von Schönberg padł jak marionetka, której nagle podcięto sznurki. Ten, który wydał rozkaz, podszedł do powalonego, wycelował w niego pistolet i strzelił mu w głowę. Ciało Ulricha lekko poruszyło się na ziemi. Mężczyźni wsiedli do samochodu, który ich przywiózł, i odjechali. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że właściwie nikt nie zdążył się ruszyć. Ulicą zapanowała grobowa cisza. Ludzie wyglądali z okien, ale nikt nie podszedł. Krista stała bez ruchu na chodniku.

Obok niej stanęła Claudia i utkwiała wzrok w zwłokach człowieka, który był jej mężem.

– Kto go wydał? – odezwała się Krista, właściwie do siebie.

– Ja – przyznał głos za jej plecami. Córka Bauerów również przyglądała się zabitemu, z mściwym, złośliwym uśmiechem. – Należało

mu się. Za całe zło, które wyrządził. – Odwróciła się do Claudii z nienawiścią w oczach. – A tobie się upiekło, bo masz dwoje dzieci, i nie chcę, żeby było o dwie sieroty więcej. Ale jesteś takim samym śmieciem jak on i będziesz żyła z tym do końca swoich dni. – Splunęła Claudii pod nogi z obrzydzeniem, odwróciła się i weszła do klatki.

Sparaliżowana Claudia, nieprzygotowana na taką pogardę, dała się zaprowadzić Kriście na górę, przytłoczona zalewem poczucia winy i wstydu. Nieco ponad pół godziny później przed bramę zajechał studebaker US6, zabrał zwłoki Ulricha i odjechał. Claudia była przybita zarówno z powodu nagłego owdowienia, jak i zimnego prysznic, jakim oblała ją Eva Bauer.

– Nigdy mi tego nie wybaczą... Jestem naznaczona. Pokój będzie dla mnie piekłem.

– Wiele przeszliśmy, Claudio – próbowała ją pocieszyć przyjaciółka. – Poradzimy sobie, jestem przekonana, że razem przebrniemy przez wszystko. – Patrzyły na siebie przez chwilę, aż w końcu Krista uśmiechnęła się do niej. – Teraz musimy pomyśleć, jak zdobyć jedzenie, na tym powinnyśmy się skupić. – Wstała, gotowa do wyjścia. – Pani Blumenfeld, proszę mi powiedzieć, dokąd mam się udać, żeby sprzedać ten przeklęty zegarek.

Angela Blumenfeld doradziła jej sklep przy Marienstrasse, niedaleko Karlplatz, ale nie podała numeru, bo go nie знаła. Krista wyruszyła w drogę z zamiarem zdobycia pieniędzy ze sprzedaży zegarka, który ją parzył, gdy tylko pomyślała, do kogo należał. Większość budynków przy Marienstrasse została zamieniona w stosy gruzu i nie nadawała się do zamieszkania; ulica była pusta i panowała na niej przeraźliwa cisza, jak w wielu zakątkach Berlina pozbawionych obecności ludzi, samochodów, dzieci z ich zabawami, bez codziennej krzątaniny, jakby nie mogła wyzwolić się z całunu śmierci. Rozglądała się za kimś, kto mógłby pomóc jej znaleźć sklep jubilera, który zarabiał na ludzkim nieszczęściu. Dostrzegła mężczyznę grzebiącego w stertach śmieci. Wyglądał jak bezdomny, ale w tych czasach łatwo mógł tak wyglądać nawet

najbardziej elegancki kiedyś mężczyzna. Z ponurą miną wskazał jej budynek z czerwonej cegły na końcu ulicy. Krista znalazła lokal, ale był zamknięty; dobijała się natarczywie, ale nikt nie otwierał. Wróciła do tamtego mężczyzny. Nie wiedział, gdzie może się podziewać jubiler, o którego tak wypytywała.

Ruszyła w stronę domu ze smutkiem, dotykając zegarka w marynarce. Do klatki wchodziła bardzo zmęczona, paliły ją stopy, w ustach i w gardle zaschło jej z powodu wielkiego pragnienia. Marzyła, żeby zdjąć buty i wypić szklankę wody. Gdy o tym myślała, poczuła, że ktoś mocno chwyta ją za szyję. Chciała krzyknąć, ale lepka, śmierdząca dłoń zatkała jej usta.

– Nie krzycz, bo poderżnę ci gardło – wyszeptał jej do ucha ochrypły głos.

Znieruchomiała. Zaczął ją obmacywać, i pomyślała, że to Rosjanin, który chce sobie ulżyć, aż dłoń zatrzymała się, gdy wyczuła w kieszeni zegarek. Krista nagle się poruszyła i zdołała się wyzwolić z silnego uścisku rzezimieszka. Gdy się odwróciła, odkryła, że ma do czynienia z mężczyzną, którego prosiła o pomoc na Marienstrasse. Szedł za nią z zamiarem obrabowania jej z biżuterii, którą zamierzała sprzedać w skupie złota. Krzyknęła, a mężczyzna zamachnął się i trafił w jej ciało. Poczowała ostry ból żeber, tak silny, że zgięła się wpół, a napastnik wykorzystał sytuację: zanurzył dłoń w kieszeni jej marynarki i wyciągnął przeklęty zegarek. Krista się dusiła. Złodziej z łupem w dłoni pchnął ją z wściekłością, a ta padła na schody. Widziała, jak ucieka na ulicę.

Oszołomiona poruszyła się na ziemi. Poczowała, że sukienkę ma mokrą. Podniosła dłoń i zorientowała się, że mocno krwawi. Zakryła dłonią ranę, chcąc zatrzymać krwotok. Dostrzegła broń, która ją raniła: ostry kawałek zardzewiałego żelaza. Wiedziała, że zadana czymś takim rana może wywołać posocznicę, jeśli nie podejmie się działań od razu. Nie przestając uciskać rozcięcia, próbowała się podnieść, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa, jakby nie reagowały na polecenia wydawane przez

mózg. Zdołała wejść na pierwsze piętro; usłyszała kroki kierujące się w dół. To był Hans.

– Krista! – krzyknął przerażony.

– Biegnij po lekarza z bramy naprzeciwko – poprosiła ledwie słyszalnym głosem.

Hans nie posłuchał jej od razu. Krzyknął co sił w płucach, żeby zawiadomić matkę, która zeszła, a zaraz za nią – Angela Blumenfeld. Dopiero wtedy Hans je zostawił i pobiegł po pomoc. Kobiety zaprowadziły Kristę na górę i położyły do łóżka.

Stary lekarz zjawił się dwie minuty później. Zraniona wyjaśniła, jak biegnie rana, i poinformowała o ryzyku zakażenia.

Lekarz przy pomocy skromnych środków, jakimi dysponował, zdezynfekował i zszył ranę, jak umiał.

– Musisz zażywać sulfonamidy. Postaram się zdobyć jakąś dawkę, ale najlepiej by było, gdybyś znalazła się w szpitalu.

– Doktorze, wydaje mi się, że przebił mi płuco – powiedziała Krista cichym głosem.

Lekarz ją uspokoił i podał środek przeciwbólowy. Po skończonej wizycie Claudia została z nią, a Angela Blumenfeld odprowadziła lekarza.

– Trzeba będzie ją zawieźć do szpitala – powiedział lekarz, starannie myjąc ręce w kuchennym zlewie. – Mają panie telefon?

Pani Blumenfeld zaprowadziła go do aparatu, a lekarz odbył kilka rozmów, które nie dały żadnego rezultatu. Za czwartym razem odłożył słuchawkę i z bardzo poważną miną odwrócił się do staruszki, która niecierpliwie czekała na rozwiązanie.

– W Charité powiedzieli, że postarają się ją przyjąć, ale trzeba trochę poczekać. Szpital pęka w szwach. Mają bardzo mało karetek i wszystkie są zajęte.

– Ale Kristę trzeba ratować...

– Zapewnili, że przyślą karetkę, jak tylko będą mogli. Nie ma wyjścia, trzeba czekać. Na razie proszę pilnować, żeby się nie ruszała. Zajrzę do niej za jakiś czas.

Jurij wyskoczył z tylnej części gazika, który wioził go do Berlina przez ostatnie dwieście kilometrów. Pożegnał się z dwoma żołnierzami, którzy go podwieźli i jechali dalej. Kierowca nacisnął pedał gazu i terenówka oddaliła się z rykiem silnika.

Rozejrzał się. Znajdował się na skrzyżowaniu Hofjägerallee i Tiergartenstrasse, niedaleko mieszkania Ericha Villanuevy. Postanowił pójść najpierw do niego, żeby się dowiedzieć, czego ma się spodziewać. Musiał go zapytać, czy dostał list wysłany z Kołymy, czy udało mu się porozmawiać z Kristą, dowiedzieć się, co u niej słychać. Musiał się przygotować na potencjalne spotkanie, choć widząc zniszczenia, jakie dotknęły Berlin, nie wykluczał, że mogło ją spotkać coś złego. Poza tym był zapuszczony, brudny, z kilkudniowym zarostem, doskwierał mu głód i miał zniszczone buty po przebyciu piechotą wielu kilometrów, dopóki nie trafił na rosyjskich żołnierzy, którzy pomogli mu pokonać ten ostatni odcinek powrotnej podróży.

W kieszeni kurtki miał list żelazny otrzymany od marszałka, który pozwolił mu dotrzeć do Berlina bez większych przeszkód, razem z listem Axela i jego medalikiem. W małym plecaku niósł swój niewielki dobytek: jabłko, pół tubki skondensowanego mleka, kawałek czarnego chleba i tomik poezji znaleziony w ruinach domu, w którym spędził kilka nocy. To był cały jego majątek. Od dawna nic nie posiadał i miał wrażenie, że niczego nie potrzebuje poza tym, żeby się umyć, ogolić i włożyć czyste ubranie.

Był pogodny poranek w zrujnowanym Berlinie. Słońce mocno świeciło, a zieleń parku kontrastowała ze zniszczeniami niektórych budynków na Tiergartenstrasse; inne najwyraźniej miały więcej szczęścia i stały niewzruszone niczym twierdze ocalone przed pożogą ognia i bomb. W jednej z tych kamienic mieściło się mieszkanie Villanuevy. Cudem uchowało się właściwie nienaruszone wśród ruin przyległych budynków, zamienionych w gruzy osmalone w płomieniach.

Przed bramą stał elegancki granatowy hispano-suiza, pokryty warstewką pyłu. Ucieszyła go myśl, że Villanueva umiał sobie radzić nawet w czasie wojny, jak na bystrego człowieka przystało.

Solidna fasada kamienicy była upstrzona śladami po pociskach karabinów maszynowych, a okna nie miały ani szyb, ani futryn. Wszedł do klatki, która zachowała pewną okazałość, czystej, z lśniąca podłogą, gdzieś z odpryskami na ścianach, spowodowanymi wybuchami bomb. Wszedł na drugie piętro i stanął przed drzwiami. Serce zaczęło mu szybciej bić, gdy głośno zapukał. Czekał, nasłuchując odgłosów w środku. Nie mógł powstrzymać zdenerwowania, zniecierpliwienia, żeby znów go zobaczyć, dowiedzieć się, co u niego słychać, opowiedzieć o swoich przeżyciach, uściskać go.

Usłyszał skrzypienie drewnianej podłogi po drugiej stronie drzwi.

– Kto tam?

Zdziwił się, gdy rozpoznał głos Volkera Finckensteina.

– Panie Volker, to ja, Jurij Santacruz.

Drzwi natychmiast się otworzyły. Volker wyglądał świetnie, dobrze odżywiony, opalony, nieco bardziej siwy i z większą liczbą zmarszczek wokół oczu. Miał na sobie elegancki szary garnitur z wełny alpaki, białą koszulę i jedwabny krawat. Zmierzył Jurija wzrokiem z góry na dół, nie wierząc własnym oczom. Uśmiechnął się i wypuścił wstrzymywany oddech.

– W najgorszych koszmarach nie wyobraziłbym sobie siebie w tym mundurze.

Jurij uniósł brwi i odparł z ironią:

– Podobno habit nie czyni mnicha, a ja z mnicha nie mam nic, mogę pana zapewnić. – Wobec oszołomienia Volkera, który najwyraźniej nie mógł uwierzyć w niespodziewane pojawienie się Jurija, spytał: – Mogę wejść?

Mężczyzna przesunął się na bok i wpuścił go do środka. Zamknął drzwi, nie przestając mu się przyglądać.

– Skąd wracasz?

– Długa historia.

– Villanueva miał rację... Powiedział, że wrócisz, był pewien, że przeżyjesz.

Jurij szybko rozejrzał się po mieszkaniu, wydało mu się ogołoczone, bez obrazów, bez mebli.

– Przyszedłem do niego. Gdzie jest?

Volker przez chwilę patrzył mu w oczy, zacisnął szczękę, uśmiechnął się, ale uśmiech zaraz zniknął z jego warg. Jego głos zabrzmiał ochryple.

– Erich nie przeżył. Zmarł latem czterdziestego pierwszego, ale nie wiem dokładnie, którego dnia.

Jurij poczuł się ogłuszony. Za pewnik przyjmował, że zostanie go przy życiu, gdy ujrzał zaparkowany przed bramą samochód (i założył, że należy do Villanuevy), i kiedy zobaczył, że dom jest nienaruszony, i Volker w takim dobrym stanie... Ta przeklęta wojna zadawała mu kolejne ciosy.

– Nie wiedziałem... – Z trudem przełknął ślinę.

– Wejdz, mamy wiele spraw do omówienia. Ale najpierw musisz się umyć. Wyglądasz okropnie. – Spojrzał na niego z odrazą.

Przeszli szerokim korytarzem do drzwi – tych samych, zza których wyłonił się tamten nagi chłopak wtedy, gdy Jurij dowiedział się o homoseksualizmie Villanuevy. Volker stanął przed nimi.

– Wykap się. Pożyczę ci ubranie. Domyślam się, że chcesz zdjąć to przebranie.

Jurij się ogolił i wziął regenerującą kąpiel. Włożył koszulę i sportowe spodnie Volkera. Dostał też sznurowane buty – nosili ten sam rozmiar.

– Przyjechałem do Berlina tydzień temu – poinformował go Volker. – Moje mieszkanie znikło z powierzchni ziemi, więc wprowadziłem się tutaj. Zatrudniłem kilka kobiet, żeby doprowadziły mieszkanie do porządku. Gestapo splądrowało dom po tym, jak zatrzymali Ericha. Nie uchowało się praktycznie nic z tego, co miał, ani z ubrań, ani z wyposażenia domu, ani, rzecz jasna, żadne wartościowe przedmioty.

Uratowało się tylko kilka mebli, zapewne dlatego że nie mieli jak ich wynieść.

Znajdowali się w przestronnej kuchni z wielkim oknem bez szyb wychodzącym na park. Volker podgrzał puszkę gulaszu wieprzowego. Postawił ją przed Jurijem, wkładając do wewnątrz łyżkę.

– Niestety, nie dam ci talerza, bo nie ma ani jednego.

Jurij usiadł i zabrał się za jedzenie, a Volker opowiadał.

– Do Berlina przyjechałem, żeby spróbować wskrzesić niektóre interesy zniszczone przez wojnę, oczywiście w strefie zachodniej. Chcą podzielić miasto na cztery części, na wzór podziału całego kraju: strefa wschodnia zostanie pod wpływem Związku Radzieckiego, a zachodnią rozdziela między sobą Amerykanie, Anglicy i mała część dostanie się Francuzom.

– Wyciągnął papierosa i zapalił. Paczkę odłożył na stół, zaciągnął się mocno i wypuścił dym. – Przebywałem w Szwajcarii, kiedy się dowiedziałem o zatrzymaniu Ericha. Próbowałem znaleźć dojdzie do ludzi, którzy pomogliby mi go uratować, ale już go skazano. Doniósł na niego syn. Najprawdopodobniej dowiedział się o ogromnym majątku Villanuevy i chciał się pozbyć ojca. Zamknęli go w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie i oznaczyli różowym trójkątem jako homoseksualistę. Wiem tylko to, co usłyszałem od więźnia, któremu udało się wyjść stamtąd żywym i z którym zdołałem się skontaktować w Monachium zaledwie miesiąc temu. Powiedział mi tylko, że Villanueva wiele wycierpiał... – Spuścił dyskretnie wzrok. – Tyle mi powiedział, i że zmarł od wszystkiego po trochu: z głodu, osłabienia, żalu...

Jurij przestał jeść, patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem i wspominał obraz Villanuevy, zawsze uśmiechniętego, zawsze nieskazitelnie ubranego, tak pełnego życia i zabawnego. Odsunął puszkę i wziął papierosa. Volker przysunął płomień zapalniczki.

– Jakie masz plany? – spytał po chwili.

– Przede wszystkim muszę sprawdzić, czy Krista żyje. Później powinienem pojechać do Szwajcarii, ale nie bardzo wiem, jak to zrobić.

List żelazny, dzięki któremu tu dotarłem, tutaj mi się nie przyda, a paszportu nie mam.

– W Berlinie go nie wyrobisz; ambasada hiszpańska została zamknięta w marcu, ale mógłbym załatwić ci paszport w Szwajcarii. Dobrze znam nowego hiszpańskiego ambasadora, Angela Sanza Briza. Rok temu musiał objąć placówkę w Budapeszcie i przez kilka miesięcy ściśle z nim współpracowałem – zamilkł, zamyślony, jakby samo wspomnienie zasługiwało na pełną szacunku ciszę. – Ten człowiek uratował tysiące węgierskich Żydów. Pamiętasz Benjamina Newmana, naszego bystrego księgowego?

Jurij pamiętał go jak przez mgłę, ale przytaknął, żeby Volker mówił dalej.

– Większość jego krewnych mieszkała w Budapeszcie. Rzecz jasna, byli Żydami. Kiedy rok temu zaczęto na masową skalę wywozić Żydów do obozów zagłady, Sanz Briz obmyślił plan, żeby uratować Sefardyjczyków na podstawie dekretu uchwalonego dwadzieścia lat wcześniej za czasów dyktatury Primo de Rivery, który uznawał ich za Hiszpanów, a ponieważ byli Hiszpanami, nie można ich było deportować. – Pokręcił głową, wspominając to przedsięwzięcie. – To było ogromne wyzwanie, bardzo niebezpieczne. Wiele osób ratowaliśmy z dworca, a nawet wyciągaliśmy z przeklętych pociągów. Tak naprawdę niewielu mogło dowieść sefardyjskiego pochodzenia, ale zawsze, kiedy ratowaliśmy jednego, podpowiadał nam szeptem nazwiska krewnych. Wtedy my je wyczytywaliśmy, i wychodzili, i ci nowi mówili nam szeptem nazwiska, a my je wykrzykiwaliśmy, twierdząc, że mają sefardyjskie korzenie, a więc potencjalnie są obywatelami Hiszpanii, choć w większości wcale nimi nie byli. Sanz Briz wielu załatwił hiszpańskie paszporty, a ja sam odbyłem sporo podróży, podczas których przez Austrię do Szwajcarii przewiozłem ponad sto osób, wśród nich całą rodzinę Benjamina. Zawsze, gdy myślę o tych wszystkich uratowanych ludziach, którzy będą żyli jeszcze wiele lat... – Uśmiechnął się półgębkiem, z satysfakcją. – To jest bezcenne, Jurij; jedno z najbardziej satysfakcjonujących

przedsięwzięć, w jakich brałem udział... – Westchnął głęboko, jakby chciał nabrać rozpędu, i uśmiechnął się z zadowoleniem. – Więc paszportem się nie przejmuj, załatwię ci go. Będę potrzebował twojego zdjęcia i danych. – Ze skórzanej aktówki wyciągnął notes i ołówek, po czym podał je Jurijowi. – Napisz mi twoje imię i nazwiska, datę urodzenia i wszystkie możliwe dane, to ułatwi sprawę. – Później wyjął mały aparat fotograficzny, leicę, i poprosił, żeby spojrzał w obiektyw. Zrobił zdjęcie i schował aparat. – Jutro muszę wracać do Genewy, polecę samolotem. Drogi są nieprzejezdne. Do Berlina jechałem dwa dni. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za kilka tygodni twoja sprawa będzie załatwiona. Jeśli chcesz, możesz tu zostać. Materac nie jest zbyt wygodny, ale to ci chyba nie będzie przeszkadzać.

– Proszę się nie przejmować, panie Volker – powiedział uprzejmie, z wdzięcznością. – Zapewniam, że to dla mnie raj. Nie wyobraża pan sobie, w jakich miejscach sypiałem.

Claudia nie odstępowała Kristy ani na chwilę i z niepokojem obserwowała jej stan. Morfina utrzymywała ją przez kilka godzin w niespokojnym śnie. Lekarz przyszedł w nocy, bo dostała wysokiej gorączki i jęczała, miała dreszcze, trudności z oddychaniem, lepką skórę i przyspieszony puls. Dał jej więcej morfiny i poradził, żeby robić jej zimne okłady na twarz i kończyny. Claudia nie przestawała się nią zajmować, choć Angela Blumenfeld chciała ją zastąpić.

– Musisz odpocząć, Claudio, siedzisz przy niej od ponad dwudziestu godzin. Jak nie odpoczniesz, i ty się rozchorujesz. Prześpij się trochę, a ja z nią zostanę.

Ale Claudia nie słuchała słów sąsiadki; delikatnie kładła zimne kompresy na spoconym ciele Kristy.

– Musi wydobrzcć, pani Angelo – mówiła zdruzgotana. – Musi się wyleczyć... Potrzebuję jej do życia... – Wzdrygnęła się. – Co ze mną będzie, jeśli jej się coś stanie?

Rozpłakała się z taką żalnością, że wzruszyła panią Blumenfeld, która zdołała zaprowadzić ją do łóżka i pomogła jej się położyć. Claudia jej na wszystko pozwoliła, czuła, że mięśnie ma ciężkie jak z ołowiu, a zmęczenie nie pozwalało jej trzeźwo myśleć. Sąsiadka zdjęła jej buty i przykryła ją kołdrą. Nadchodził świt, gdy Claudia w końcu zapadła w głęboki sen.

Obudził ją dzwonek. Nie wiedziała, jak długo spała. Dom tonął w gęstej ciszy. Przez szpary w kartonach umieszczonych w oknach wpadało słoneczne światło. Zdezorientowana wstała i boso wyszła na korytarz. Zajrzała do pokoju dzieci, które jeszcze spały; zastała je na łóżkach w ubraniu, jakby padły z wyczerpania. Poszła do pokoju Kristy. Angela Blumenfeld chrapała w fotelu, który przysunęła do łóżka, a chora wyglądała, jakby spokojnie spała, ale Claudia zauważyła, że jest bardzo blada, a oczy ma obwiedzione ciemnym cieniem. Miała do niej podejść, ale znów rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Pomyślała, że może to lekarz. Zmęczonym krokiem przeszła przez korytarz. Otworzyła drzwi i znieruchomiała na widok stojącego przed nią mężczyzny. Przez chwilę nie była w stanie zareagować. Te oczy... Serce zaczęło jej bić jak szalone i musiała chwycić się klamki, bo czuła, że traci równowagę.

Jurij spoglądał na nią z zaskoczeniem, że widzi ją w tym mieszkaniu, i z uczuciem radości, że żyje.

– Claudia... – wyszeptał, oczarowany oczami, których nigdy nie zapomniał. Choć była wyjątkowo chuda, zachowała urodę, którą zapamiętał.

Po paru sekundach niedowierzania bez namysłu padła mu w ramiona. Z twarzą wtuloną w jego pierś, z zamkniętymi oczami, poczuła, jak jego ramiona obejmują ją bardzo powoli, i wtedy, na kilka ulotnych chwil, świat wokół przestał istnieć.

– Jurij... – powiedziała w końcu, odsuwając się od niego i spoglądając mu w oczy. Głaskała go po twarzy, chwyciła za ręce, żeby się upewnić, że to nie sen, że on tu jest naprawdę, że wrócił. – Myślałyśmy, że nie żyjesz. Święty Boże... Jurij...

– Cudem, ale żyję. – Nie miał pojęcia, co robi Claudia w mieszkaniu zmarłej wdowy Metzger. Bał się zapytać, ale w końcu zdobył się na odwagę. – Claudia... Byłem na poddaszu... – Głos mu się łamał. – Ona... Krista...

– Jest tutaj – przerwała mu z promienną miną, ciągnąc za rękę do środka. – Dzieci i ja mieszkamy u niej, i jeszcze pani Blumenfeld. Chodź... Ucieszy się na twój widok, uszczęśliwisz ją... – Słowa dusił pełen przejęcia płacz, który usiłowała powstrzymać.

Gdy dotarli do pokoju, pani Blumenfeld obudziła się, przestraszona, jakby wyczuła obecność gościa.

– Matko pięknej miłości... – wyszeptała oszołomiona jego widokiem.

Krista leżała z zamkniętymi oczami, wyglądała na spokojną. Claudia wypuściła dłoń Jurija i podeszła do łóżka, nachyliła się nad nią i delikatnie dotknęła jej policzka.

– Krista, obudź się – odezwała się radośnie słodkim tonem. – Patrz, kto się zjawił. Wrócił, Krista. – Głos jej się łamał przy każdym słowie. – Obudź się... Jurij wrócił...

W tej chwili oczy Kristy się otworzyły, jakby to imię dało jej siłę, by to zrobić. Claudia odwróciła się do mężczyzny, jakby chciała jej go pokazać, po czym cofnęła się, żeby mógł podejść do łóżka. Zrobił to dopiero po chwili, nie rozumiejąc, dlaczego jest przykuta do łóżka i tak słaba. Patrzyli na siebie, nie odrywając wzroku, pragnąc oswoić skołowany umysł z tą piękną rzeczywistością. Jurij powoli pochylił się nad łóżkiem, aż znalazł się tuż nad jej twarzą. Chwycił ją za rękę i przyciągnął ją do swoich ust, próbując zapanować nad wzruszeniem. Poczul żar jej skóry.

– Krista... Jestem tutaj – wyjąkał. – Wróciłem do ciebie.

– Jurij... Mój kochany Jurij... Gdybyś wiedział, jak o tobie marzyłam...

– To wszystko już za nami, Krista. Nic nas już nie rozdzieli. Nic.

– Jurij, Jurij... Jestem bardzo słaba. – Uśmiechnęła się, a jej oczy odzyskały dawny blask. – A jednak... Wydawało się, że to niemożliwe, a jednak wróciłeś... Jesteś i mogę umrzeć spokojnie...

– Nie umrzesz. – Jurij czuł w piersiach niespokojną żalność. – Musisz wytrzymać... Musisz to zrobić dla mnie.

Krista delikatnie położyła dłoń na jego wargach, żeby zamilkł.

– Jurij, posłuchaj mnie, błagam... Życie staje przed oczami, kiedy przychodzi śmierć... Miałam dość szczęśliwe życie i mogę odejść ze spokojnym sumieniem. – Wbiła wzrok w Claudię, stojącą w kącie, tulącą dwoje swoich dzieci, które zdążyły się obudzić i przyszyły się przyjrzeć nieznanemu. Później spojrzała na Jurija. – Ona cię kocha taką miłością, jakiej nigdy nie widziałam, i wiem, że ty też nie przestałeś jej kochać.

– Nie, Kristo, moja miłość do ciebie jest prawdziwa...

– Jurij – przerwała mu spokojnym tonem. – Kochałeś mnie, i to bardzo, ale to ona była dla ciebie najważniejsza. Nie oszukiwałeś mnie, bo nigdy mi nie powiedziałeś, że kochasz tylko mnie, ani razu... – Jej wzrok znów powędrował do dzieci. Claudia je obejmowała, przejęta tą sceną. Krista spojrzała na swojego ukochanego z uśmiechem na suchych wargach. – To twoje dzieci, Jurij. Jesteście rodziną. Musicie być szczęśliwi, musicie postarać się o szczęście... Zróbcie to dla mnie.

Ogarniała go rozpacz, gdy widział, jak z każdym wypowiedzianym słowem ubywa jej siła. Poruszył się niespokojnie, bezradny wobec tej sytuacji.

– Co się stało?

– Napadł ją jakiś mężczyzna, chciał ją okraść – odpowiedziała spokojnie Angela Blumenfeld. – Ma ranę z boku, tuż przy płucach. Twierdzi, że wdała się sepsa. Opiekuje się nią lekarz, który mieszka przy tej ulicy.

– Trzeba ją zawieźć do szpitala – oznajmił.

– Próbujemy – odpowiedziała sąsiadka. – Ale nie ma karettek, a lekarz powiedział, że nie możemy jej ruszać. To niebezpieczne.

Jurij znów spojrzał na twarz Kristy; zdążyła zamknąć oczy. Była taka blada... – Podniósł lekko kołdrę i zobaczył, że jest przesiąknięta krwią.

– Wykrwawi się! – krzyknął z przerażeniem. – Wezwijcie lekarza, szybko!

Oczy Kristy więcej się nie otworzyły. Zdawało się, że z każdym uderzeniem serca z jej ciała wypływa coraz więcej krwi i że nadchodzi ta ponura chwila, gdy kosa śmierci przetnie nić życia. Ku rozpaczycy wszystkich lekarz nie mógł się zjawić od razu. Kiedy Hans po niego pobiegł, jego żona powiedziała, że wezwano go do szpitala i że nie wie, kiedy wróci. Niewiele mogli zrobić poza czekaniem i trwaniem przy niej. Czuwać aż do ostatecznego pożegnania w pełnej szacunku ciszy. Nad ranem, gdy Jurij leżał obok niej, a Claudia siedziała w nogach łóżka, na wargach Kristy pojawił się lekki uśmiech i przestała oddychać.

Pochowali ją obok matki. Ceremonia była skromna. Wszystkim zajęła się Angela Blumenfeld. Jurij był nieobecny, szedł za trumną, a po zmówionej modlitwie odwrócił się i odszedł bez słowa, ze spuszczoną głową, z dłońmi w kieszeniach, ciężkim krokiem. Claudia przyglądała się, jak się oddala, aż zniknął jej z zalanych łzami oczu.

W następnych dniach włóczył się po ulicach, niezdolny do niczego innego. Prawie nie jadł. Spacerował całymi dniami; wieczorem, kompletnie wyczerpany, wracał do mieszkania Villanuevy, kładł się na materacu i zapadał w półsen, w którym trwał do świtu.

Volker wrócił z Genewy po trzech tygodniach. Zaskoczył go opłakany stan Jurija, niemal gorszy, niż gdy pojawił się u niego w mundurze rosyjskiego żołnierza.

– Co ci się, u licha, stało? – zdziwił się. – Nie wyglądasz za dobrze.

– Krista umarła – wyszeptał.

– Współczuję, Jurij – powiedział oniemiały. – Bardzo mi przykro.

Po chwili żałobnej ciszy Volker położył na stole swoją teczkę i ją otworzył.

– Tu masz ważny paszport. Teraz możesz się przemieszczać, gdzie tylko chcesz. Jesteś wolnym obywatelem.

Jurij wziął dokument i go otworzył.

– Dziwne... Od lat uciekam przed długim cieniem śmierci, a teraz, gdy w końcu się od niego wyzwoliłem... – Bezradnie rozłożył ręce. – Nie wiem, co zrobić z tą moją wolnością.

– Z tej wojny nikt nie wyszedł bez szwanku, Jurij. Powinieneś myśleć, że twoje życie zaczyna się w tej właśnie chwili. – Volker zamilkł. – Nadal wybierasz się do Szwajcarii? – spytał.

– Muszę – odparł ze spuszczoną głową. – Mam coś do przekazania.

Volker wyciągnął z walizki białą, zamkniętą kopertę. Położył ją na stole i przesunął w stronę Jurija.

– To dla ciebie. Villanueva powierzył to mojej pieczy, gdy wyjechałeś do Rosji, na wypadek, gdyby coś mu się stało; już wtedy czuł zagrożenie. – Po tych słowach sięgnął do marynarki, wyciągnął portfel, a z niego kilka banknotów. – To ci pomoże dotrzeć do Szwajcarii. Za parę dni mógłbym dać ci więcej...

– Dziękuję, panie Volker – przerwał mu skrępowany Jurij. – Ale nic nie potrzebuję.

– Weź te pieniądze, Jurij. – Wstał, gasząc papierosa w prowizorycznej popielniczce. – Muszę iść. Jestem umówiony z amerykańskimi inwestorami. Perspektywy tutaj, w Berlinie, rysują się dla mnie ciekawie, jest dużo pracy. Zostanę tu jakiś czas. – Poprawił krawat, nie spuszczając wzroku z towarzysza. Oczy Jurija zdawały się puste. – Możesz wyjechać z tego kraju, kiedy tylko chcesz.

Po pogrzebie Kristy Claudia przeprowadziła się z dziećmi do swojego mieszkania. Musiała włożyć wiele wysiłku, żeby doprowadzić je do porządku. Ulrich przetoczył się przez nie niczym huragan – wszystko było brudne, porozrzucane albo zepsute. Zanim skończył tragicznie, całą swoją wściekłość i żal wyładowywał na przedmiotach codziennego użytku.

Czuła się zagubiona. Nie wiedziała, jak potoczy się jej życie. Od paru dni chodziła do pracy w fabryce likwidowanej przez Rosjan. W ratuszu się dowiedziała, że dostanie pensję; musiała wstawać bardzo wczesnym rankiem, bo miała dwie godziny drogi, a nadal nie kursowały ani pociągi, ani tramwaje, które by ją zawiozły na miejsce. Wraz z setką innych kobiet od ósmej rano do ósmej wieczorem, z jedną zaledwie przerwą na zjedzenie zimnego kapuśniaku, zbierała cynk z wielkiego magazynu, pakowała go do skrzyń i zanosila do wagonów pociągu, który miał je zawieźć do Moskwy. Kiedy wracała do domu, do cna wyczerpana, Angela opatrywała jej odciski na dłoniach i przygotowywała ciepły posiłek.

Hans całymi dniami włóczył się po ulicy, nie mając żadnego zajęcia. Mała ze znudzoną miną przesiadywała z panią Blumenfeld.

– Co z nami będzie, pani Angelo? – zastanawiała się Claudia, gdy staruszka smarowała rany wazeliną. – Jestem taka zmęczona... Gdyby nie dzieci...

– Niech ci to nawet nie przejdzie przez myśl – zganila ją surowym matczynym tonem. – Staniesz na nogi, bez dwóch zdań. Jesteś młoda i silna. Wiele zniosłaś. Całe życie przed tobą, wiele do zrobienia i wiele przyjemności...

– Mamo! – z ulicy dobiegł głos Hansa. – Mamo!

– Czego znów chce ten dzieciak! – mruknęła nadąsana Claudia i z trudem wstała, żeby wyjrzeć przez okno. Nie podobało jej się, że jej syn krzyczy z ulicy i kilka razy go za to zganila. Wychyliła się i zobaczyła syna siedzącego na starym motocyklu Ural M-72 z bocznym wózkiem. – Złaż natychmiast!

– Chodź, szybko! – krzyknął chłopiec z promiennym uśmiechem.

W tej chwili Claudia dostrzegła Jurija; podniósł głowę i na nią spojrzał.

– Powinnaś go posłuchać.

Claudia cofnęła się od okna i znieruchomiała patrzyła na panią Blumenfeld, która też go dostrzegła.

– Na co czekasz? Dalej, przyszedł do ciebie.

Claudia poruszyła się niepewnie. Przed wyjściem z kuchni odwróciła się do sąsiadki, oszołomiona. Przyglądała włosy i dotknęła podartej sukienki.

– Ale... wyglądam okropnie...

– Wyglądasz pięknie. – Pani Blumenfeld z czułością przyglądała się jej niezdecydowaniu. – Zaslugujesz na to, żeby być szczęśliwa, Claudio. Idź wreszcie – ponagliła. – Nie każ dłużej na siebie czekać.

W końcu ruszyła schodami w dół. Przed wyjściem na ulicę przystanąła. Hans stał obok Jurija, który pokazywał mu, jak uruchomić motor. Jenell wyszła szybciej od matki i zdążyła usiąść w bocznym wózku. Claudia przyglądała się tej scenie z bramy, czując głośnie bicie serca. Zrobiła kilka niepewnych kroków.

– Patrz, mamó! – krzyknęła na jej widok rozentuzjasmowana Jenell.

Jurij skupił się na Claudii, która stała nieruchomo przed bramą, nie mając śmiałości podejść, jakby się bała, że chodnik pod jej stopami zamieni się w ruchome wydmy.

– Wyjeżdżam do Szwajcarii. – Zrobił kilka kroków w jej stronę.

Te słowa otworzyły pod jej stopami przepaść. Założyła ręce na piersiach, bo poczuła za mostkiem nagły ucisk. Kiwnęła głową i próbowała wysilić się na uśmiech, żeby ukryć ogromne rozczarowanie.

– Powodzenia – wyszeptała.

Jurij podszedł jeszcze bliżej i przystanął w odległości dwóch metrów.

– Chcę, żebyś pojechała ze mną. – Odwrócił się na chwilę, po czym znów na nią spojrzał. – Z naszymi dziećmi. W Szwajcarii zaczniemy wszystko od nowa... Jeśli chcesz.

Była wstrząśnięta. Nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego, oszołomiona, tonąc w jego spojrzeniu, za którym tak tęskniła.

– Claudio, nie mogę zaoferować ci nic poza tym motorem i życiem pełnym miłości. Tylko to...

– Pojechałabym z tobą na koniec świata – weszła mu w słowo i padła mu w ramiona. Jurij ją objął i zamknął oczy, słuchając ciepłego szeptu, powtarzającego wciąż: „kocham cię”.

Dwa dni później Claudia i dzieci żegnali się z panią Blumenfeld.

– Napiszecie do mnie? – spytała sąsiadka, nie mogąc ukryć wzruszenia.

– Oczywiście – zapewniła ją Claudia. – Może pani mieszkać u mnie, dopóki będzie potrzeba, proszę czuć się jak u siebie... – Pogłaskała jej pomarszczony policzek. – Dziękuję za wszystko, pani Angelo. Gdyby nie pani, nie wiem, co by się z nami stało.

Dzieci ucałowały staruszkę. Claudia i Jenell zajęły miejsce z boku. Dziewczynka posadziła sobie lalkę na kolanach.

Hans siedział już na motocyklu i czekał, aż Jurij usiądzie z przodu. Ten podszedł do pani Blumenfeld, żeby się pożegnać.

– Dbaj o nią, Jurij – poprosiła, bliska płaczu. – To wyjątkowa kobieta.

– Wiem. Zawsze to wiedziałem. Dziękuję za wszystko, pani Blumenfeld.

Wsiadł na motor, a Hans objął go w pasie.

– Gotowi? – Jurij poprawił okulary.

– Tak, tato – odpowiedziała Jenell melodyjnym tonem.

– Tak, tato – usłyszał za plecami głos Hansa.

Spojrzał na Claudię.

– Ruszajmy. – Uśmiechnęła się.

Motocykl warknął i ruszył powoli i niepewnie.

Claudia pomachała chusteczką, a dzieci krzyknęły „do widzenia” na pożegnanie.

Szwajcaria, lato 1945 roku

Lecz przecież i cień zrodzony jest ze światła, a tylko ten, kto przeszedł przez jasność i mrok, wojnę i pokój, wzloty i upadki, ten tylko żył naprawdę[3].

STEFAN ZWEIG,

Świat wczorajszy. Wspomnienia pewnego Europejczyka

Przez dwa dni Jurij wioził rodzinę przez terytorium Niemiec, zniszczonych przez wojnę. Spali w polu, pod gołym niebem, szczęśliwi, że żyją i mają siebie nawzajem.

Za pieniądze otrzymane od Volkera kupił motor od rosyjskiej firmy zajmującej się złomowaniem wojskowych pojazdów w złym stanie. W czasie długiej podróży mijali setki osób wracających do swoich domów. Niektórzy z nadzieją na twarzy, inni wyraźnie rozdarci, z ogromnym smutkiem z powodu wykorzenia, samotności, śmierci, ran wojennych, na których zagojenie trzeba było czasu.

Do granicy dotarli pięknego ranka, w palącym słońcu, które mocno grzało. Zatrzymali się przed szlabanem i pokazali dokumenty.

– To pańska żona? – spytał Jurija strażnik, wskazując na Claudię.

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

– Zgadza się, panie władzo, a to moje dzieci. – Znów spojrzał na strażnika z promienną miną. – Mieliśmy szczęście, przeżyliśmy tę przekłętą wojnę.

Strażnik oddał im paszporty i uniósł dłoń do czoła, żeby zaszalutować.

– Życzę, by to szczęście państwa nie opuszczało. Można jechać.

Jak tylko przekroczyli granicę, Jurij się zatrzymał i krzyknął z radości. Wszyscy czworo zeskoczyli z motocykla i uściskali się, szczęśliwi, że znaleźli się na terytorium Szwajcarii. Udało im się. Od wyjazdu z Berlina towarzyszył im strach, że jej i dzieciom nie pozwolą opuścić Niemiec z powodu nazistowskiej przeszłości Claudii, ale los naprawdę zaczął się do nich uśmiechać.

Dotarli do Berna i zatrzymali się w hoteliku na przedmieściach. Jurij zostawił Claudię z dziećmi, a sam wyruszył do śródmieścia. W liście Erich Villanueva wyraził swoje wzruszające ojcowskie uczucia, jakie wobec niego żywił.

...jeśli Volker przekazał Ci ten list, to znaczy, że spełniły się moje najgorsze obawy i nie żyję. Spotykam się z coraz większą wrogością, wiem, co czeka mnie z rąk mojego syna i mojej żony, i wiem, że niedługo spadnie na mnie śmiertelny cios.

Uważam Cię za jedynego syna, ponieważ mój rodzony pozbawił mnie roli ojca i wyrzucił ze swojego życia na zawsze. Chcę, żebyś poszedł do notariusza, którego dane załączam. Przedstaw ten list, swoje dokumenty i wysłuchaj go. Taka jest moja wola i pragnę, żebyś ją wypełnił.

Dbaj o siebie, Jurij, obyś cieszył się szczęśliwym życiem.

Ściska Cię mocno ten starzec, który tak Cię lubił.

Budynek, w którym mieściła się kancelaria notarialna, zrobił na nim wrażenie. Kamienica, brama, klatka schodowa, lokal, w którym się znajdowała – wszystko było eleganckie, wytworne, szykowne. Notariusz, dystyngowany wysoki mężczyzna w średnim wieku, przywitał go wylewnie.

– Więc to pan jest tym słynnym Jurijem Santacruzem – powiedział, przyglądając mu się zza wiekowego mahoniowego biurka.

– Na to wygląda – odpowiedział, skrzępowany swoim ubiorem i nędznym wyglądem, tak nieprzystającym do otoczenia.

– Oczekiwałem pana od jakiegoś czasu. Od Volkera Finckensteina dowiedziałem się o śmierci Villanuevy. Bardzo ceniłem Ericha, był dobrym człowiekiem i nie zasłużył na to, co go spotkało.

Jurij z głębokim smutkiem kiwnął głową.

– Zapewniam, że Erich Villanueva na zawsze pozostanie w mojej pamięci. – Starał się zapanować nad ściskającym za gardło wzruszeniem. Wyciągnął z kieszeni list i położył go na stole. – Dał mi to Volker Finckenstein. Jest w nim napisane, że mam go przedłożyć panu, więc to robię.

Notariusz wziął kopertę i odczytał list napisany ręką Villanuevy.

– Mogę prosić pański paszport? Muszę mieć pewność, że to naprawdę pan.

Kilroy was here

Jurij wręczył mu dokument. Był zdenerwowany, chciał już iść, wracać do Claudii i dzieci. Wypełnił wolę Villanuevy, teraz musiał spełnić prośbę Axela. Czuł się jak posłaniec śmierci.

– Wszystko się zgadza. Przygotuję dokumenty. Jak tylko pan je podpisze, wszystko będzie pana.

Jurij spojrzał na niego, marszcząc brwi, nic nie rozumiejąc.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Villanueva ustanowił pana wyłącznym spadkobiercą całej swojej fortuny. Jest pan bogaty, panie Santacruz, bardzo bogaty.

Formalności notarialne trwały kilka godzin. Gdy już wszystko podpisał, poszedł kupić samochód. Do hotelu wrócił po zmroku, a dzieci i Claudia wyszli mu na spotkanie. Czekali na niego długo, w obawie, że może nie wrócić, z widmem śmierci wyrytym głęboko w świadomości.

Następnego dnia, bardzo wczesnym rankiem, we czwórkę wybrali się do Brienz, przejeżdżając pięknym wybrzeżem Brienzrsee. Fascynował ich widok życia tak uporządkowanego, czystego, bez ruin, bez głodu, gdzie zamiast wszechobecnego odoru śmierci unosiły się przyjemne zapachy przyrody. Zaczynali czuć, że wojnę zostawili za sobą.

Po przyjeździe od razu odszukali Lauferów. Julius i Dora przyjęli ich w domku pełnym kolorowych kwiatów zdobiących balkony. Dom był mały, ale przytulny.

Przez otwarte okna do środka dostawała się upojna woń lata. Utrzymywali się z reperacji ubrań, którą zajmowała się ona, i z leków, które Julius przygotowywał dla miejscowego medyka, bo najbliższa apteka znajdowała się w Interlaken. Lauferowie nie rozpoznali Jurija, ale z uprzejmości zaprosili rodzinę na herbatę, a dzieci na mleko prosto od krowy.

Gdy już usiedli, Jurij postanowił spełnić prośbę Axela.

– Panie Laufer, pani Laufer... Nie pamiętają mnie państwo... – Jurij miał ściśnięte gardło. – Widzieliśmy się raz... U państwa w mieszkaniu, w Berlinie, w dniu, kiedy zatrzymano państwa syna, Axela, w trzydziestym trzecim roku.

– Rzeczywiście – odezwała się Dora z uśmiechem. – Przyszedł pan z moją kochaną Theresą Metzger.

– Zgadza się.

– Słusznie mi się zdawało, że skądś znam pana twarz. Ma pan jakieś wieści o moim synu? – spytała matka, niecierpliwie wyczekując wiadomości na temat ukochanego Axela. – Ostatni list od niego dostaliśmy ponad cztery miesiące temu, z grudniową datą. Jest tak daleko...

Jurij przełknął ślinę. Claudia i dzieci patrzyli na niego, wiedząc, że ma do przekazania złe wieści. Jurij wyciągnął list od Axela i wisiołek, i podał je Lauferom. Matka od razu rozpoznała medalik syna. Zaniepokojona rozłożyła kartkę, a Julius, który już wcześniej zrozumiał, co Jurij ma im do przekazania, nie odrywał od niego wzroku. On, skrępowany, uciekał przed tym spojrzeniem. Kiedy Dora skończyła czytać ostatnie napisane przez syna słowa, zamknęła oczy i z zadumą przycisnęła medalik do serca. Płakała po cichu, bez ostentacji. Poorana zmarszczkami twarz Juliusa sposepniała.

– Pani Laufer, pani syn był dobrym człowiekiem. Ja... – Zamilkł wzruszony. – Za to, co dla mnie zrobił, nie mógłbym mu się odwdzięczyć, nawet gdybym żył tysiąc lat, ale chcę państwa zapewnić, że do końca moich dni będę robił wszystko, żeby choć trochę wynagrodzić państwu tę wielką stratę.

Siedzieli w tej idyllicznej scenerii w pełnej goryczy, wzruszającej ciszy.

Mała Jenell obok Dory Laufer również pochlipywała, choć nie rozumiała nic poza głębokim smutkiem staruszki. Wstała, delikatnie dotknęła jej ręki, a kiedy Dora na nią spojrzała, mała podała jej lalkę, rozczulającym gestem chcąc złagodzić jej ból.

Staruszka na chwilę przestała płakać i nagle posadziła sobie Jenell na kolanach, jakby to drobne ciało było jej ostatnią deską ratunku. Przełożyła łańcuszek przez głowę dziewczynki i powiesiła go jej na szyi. Jenell spojrzała na mały skarb i uśmiechnęła się zadowolona.

– Jesteś moją babcią? – spytała przymilnie.

Dora Laufer, zaskoczona, spojrzała na Claudię, która ze wzruszeniem przyglądała się tej scenie. W końcu znów skierowała wzrok na dziewczynkę.

– Chcesz, żebym była twoją babcią?

Jenell stanowczo kiwnęła głową.

– W takim razie będę twoją babcią.

Dziecięcy uśmiech nieco osłodził łyż Dory Laufer.

Jurij i Claudia postanowili, że zamieszkają w tym uroczym miasteczku. Kupili piękny dom niedaleko Lauferów, z którymi połączyła ich serdeczna więź. Starsi państwo stali się dla dzieci dziadkami, których pozbawiła ich wojna, z kolei maluchy były dla Lauferów jak wnuki, których nie zdążył dać im Axel. Jurij podarował Juliusowi pieniądze, by mógł otworzyć małą aptekę i zarabiać w niej na życie.

Claudia zaszła w ciążę i latem 1946 roku urodziła ciemnowłosą dziewczynkę z zielonymi oczami, której dali na imię Krista.

[3] Stefan Zweig Świat wczorajszy. Wspomnienia pewnego Europejczyka, tłum. Maria Wisłowska, Warszawa 1958, s. 525.

Podziękowania

Często jestem pytana o to, skąd czerpię wiedzę, a ja mam zawsze jedną odpowiedź: z lektury. Aby osadzić opowieść na solidnych fundamentach i pozwolić czytelnikowi przenieść się nie tylko do danego okresu w historii, ale także do ówczesnej mentalności i obyczajów, posiłkuję się książkami. Dlatego chcę wyrazić głęboką wdzięczność wszystkim tym, którzy na karty dzienników przelali swoje przeżycia i refleksje, lęki i niepokoje, a także winy i błędy, bo ich lektura pomogła mi ukształtować mentalność bohaterów; autorom powieści, które pozwalają mi zanurzyć się w historii społeczeństwa danej epoki i lepiej zrozumieć codzienność w konkretnym momencie dziejów; wszystkim historykom, którzy prowadzili badania, analizy i przygotowywali prace naukowe, magisterskie i monografie, dzięki którym zdołałam zrozumieć burzliwe i dramatyczne wydarzenia historyczne, na których skupia się niniejsza powieść. Ważnym źródłem, dzięki któremu można poznać istotne szczegóły pozwalające dokładniej nakreślić opowieść, są filmy fabularne i dokumentalne. Dziękuję Víctorowi Arribasowi, pasjonatowi i znawcy kina, za fachowe doradztwo w tej materii.

Wyraży głębokiej wdzięczności mojej „Czarodziejce od książek”, która dostarcza mi w formie książek wszystko, o co poproszę.

Dzięki Ester Gómez Parro, mieszkającej w Moskwie od ponad ćwierćwiecza, pewniej poruszałam się po zawiłych ścieżkach rosyjskiego świata i rosyjskiej mentalności.

Dziękuję Palmirze Márquez za jej pracę i zaraźliwy optymizm.

Nigdy nie przestanę dziękować mojemu mężowi za jego wytrzymałość, opanowanie, skromność, pasję, entuzjizm, a przede wszystkim za bezwarunkową miłość, którą obdarza mnie od ponad czterdziestu lat.

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Berlin, 30 stycznia 1933 roku

Piotrogród (dawny Sankt Petersburg), 1921 roku

Berlin, 1933 roku

Berlin, 1934 roku

Berlin, lata 1936–1939

Moskwa, wrzesień 1939 roku

Kołyma, gułag (sowiecki obóz pracy przymusowej), Rosja Wschodnia,
Syberia, lata 1943–1944

Berlin, Führerbunker. Poniedziałek, 30 kwietnia 1945 roku, 15.30

Warszawa, o świcie 5 czerwca 1945 roku

Ostatnie dni w Berlinie... Poniedziałkowy ranek, 15 czerwca 1945 roku

Szwajcaria, lato 1945 roku

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Últimos días en Berlín*

Copyright © Paloma Sánchez-Garnica, 2021

Copyright for the Polish edition © 2022 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: © Anna Slotorsz

Ilustracja na okładce: © tilialucida/Shutterstock

© Stephen Mulcahey/Trevillion

Redakcja: RedKor Agnieszka Luberadzka

Korekta: Katarzyna Mróz-Jaskóła, Kachna Kraśnianka-Sołtys

Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-155-2

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl